

BORYS AKUNIN
PELAGIA I CZERWONY KOGUT



KRYMINAL PROWINCJONALNY

To już trzecia powieść cyklu „Kryminał prowincjonalny” i trzecia przygoda niepokornej mniszki Pelagii – tym razem wyjątkowo niebezpieczna i pełna zadziwiających wydarzeń.

Na płynącym Rzeką parowcu „Jesiotr” zebrało się barwne towarzystwo pielgrzymujących do Ziemi Świętej. Wśród pasażerów są też „znajdy”, odstępcy od wiary prawosławnej, którym przewodzi charyzmatyczny Manujła. Sytuacja nabiera dramatyzmu, gdy w kajucie ktoś znajduje jego zwłoki. A jeszcze większą niespodzianką okaże się ujawnienie prawdziwej tożsamości domniemanego proroka.

Próby wyjaśnienia tajemnicy Manujły zawiodą Pelagię najpierw do małej wioski, zagubionej w nieprzebranych poduralskich lasach, a następnie do Ziemi Świętej, dokąd podąży za nią bezwzględny prześladowca. Tymczasem zawołzski prokurator, Matwiej Berdyczowski, idąc tropem zamieszanego w sprawę byłego żandarma, doświadczy bezmiaru ludzkiej nikczemności, tym większej, im wyższa sfera władzy.

Pojawi się również czerwony kogut, który swym pianiem sprawia, że rozstępują się ciemności i światło dnia zmusza do ucieczki demony nocy; potrafi on wskazać wyjście z jaskini, a taka pomoc będzie siostrze Pelagii bardzo potrzebna.



www.noirsurblanc.pl

ISBN 83-7392-078-1



9 788373 920781 >

PELAGIA I CZERWONY KOGUT

BORYS AKUNIN

PELAGIA
I CZERWONY
KOGUT

Przełożył Henryk
Chłystowski

NOIR SUR BLANC

Opracowanie redakcyjne: Mirosław Grabowski

Korekta: Maciej Korbański Ewa
Sobków

Projekt okładki: Tomasz Lec

Tytuł oryginału: *Тле/язуа u Крaчнуu нemyx*

Copyright © B. Akunin, 2003

For the Polish edition Copyright ©
2004, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 83-7392-078-1

*Prawdziwy realista, jeśli nie jest
człowiekiem wierzącym, zawsze
znajdzie w sobie moc i zdolność
nie* Fiodor Dostojewski, *Bracia Karamazow*
w przekładzie Adama Pomorskiego

Część pierwsza

TUTAJ

O Bochniaczku

Bochniaczek przedostał się na parowiec „Jesiotr” łatwiutko i bez hałasu. Odczekał, aż przystań ogarnie gęsty kłąb mgły, skulił się cały, skurczył, tak że sam przypominał szary obłoczek. Smyrgnął na brzeg i wskoczył na żeliwny pal cumowniczy. Przedreptał do burty po naprężonej jak struna linie (dla Bochniaczka to żaden wyczyn — pewnego razu, a poszło o zakład, sparodiował damę tańczącą na sznurze), ani się ktokolwiek obejrzał. Powitajcie, kochani, nowego

Rzecz jasna, na bilet pokładowy też by się nie wykosztował. Jeśli do następnej przystani, do Ust-Swijańska, to wszystkie ledwie trzydzieści pięć kopiejek. Jednakże kupowanie biletów to dla „razyńców” brak szacunku dla własnego rzemiosła. Niechaj bilety kupują „gęsiaki” i „karasie”.

Przez wisko „Bochniaczek” wzięło się stąd, że jest on nieduży, zręczny, chodzi drobnymi kroczkami, sprężyste, zupełnie jakby się toczył. No i łebek ma okrągły, krótko ostrzyżony, a po bokach uszy niczym łopatki, malutkie, ale niezwykle wyczulone.

Co o „razyńcach” wiadomo? To taki rzeczny ludek, nic nadzwyczajnego, ale bez niego Rzeka nie byłaby Rzeką, jak bagno bez komarów. Na brzegu też znajdują się fachowcy od opróżniania cudzych kieszeni, tych nazywa się „skubaczami”, ale to publika byle jaka, oberwańcy, przeważnie przybłądy, i dlatego nie zażywają wielkiego miru, „razyńcy” zaś tak, bo trudzą się od niepamiętnych czasów.

O tym, skąd wzięło się to słowo, mówi się różnie. Oni sami uważają, że od Stieńki Razina, który na Rzece karmicielce też

oskubywał tłuste „gęsiaki”. Miejscowi są innego zdania — dlatego niby „razyńcy”, że raz, raz i każda gapa czy niedojda jest oporzędzona.

Sama robota była dobra, Bochniaczkowi wyjątkowo odpowiadała.

Wsiadasz na parowiec, tak żeby nikt cię nie widział, pokręcisz się między pasażerami i na następnej przystani wsiadasz. Coś wziął — to twoje, czego nie mogłeś — niechaj płynie sobie dalej.

Jakie masz tu przewagi?

Na Rzece oddychasz pełną piersią i jaka korzyść dla zdrowia! To po pierwsze. A znowuż jakich rozmaitych ludzi widujesz: czasami tak ciekawie zaczną opowiadać, że i o robocie zapomnisz. To po drugie. Ale najważniejsze — nie czeka cię tu ani więzienie, ani katorga. Bochniaczek pracował na Rzece od dwudziestu lat, a co to takiego więzienie, nawet nie wiedział, nie miał zielonego pojęcia. Spróbuj no złapać go z fantami. Jakby co — to buch, i kamień w wodę. Nawiasem mówiąc, to o nich, o „razyńcach”, wymyślono to powiedzonko, tyle że większość ludzi o tym nie wie. „Kamieniami” nazywają oni swoją zdobycz. Woda zaś tuż obok — pluszcze za burtą. W razie przypału wrzucasz „kamienie” w wodę i niczego ci nie udowodnią, Rzeka dobrodziejka wszystko ukryje. No cóż, przyłożą ci, to pewne, bez tego się nie obejdzie. Tyle że przyłożą ci nie za mocno, bo parowcami pływa publiczność coraz bardziej kulturalna, delikatna, nie to co w nadrzecznych wsiach. Tam z dzikości i ciemnoty chłopci mogą bez żadnych ceregieli złodzieja ukatrupić.

„Razyńcy” nazywają siebie jeszcze „szczupakami”, pasażerów zaś „gęsiakami” albo „karasiami”. Oprócz „kamienia w wodę” jest i inne powiedzenie, które wszyscy powtarzają, nie rozumiejąc jego prawdziwego znaczenia: „Po to szczupak w rzece, żeby karaś czuwał”.

Pierwszy wiosenny parowiec to dla „razyńca” największe święto, ważniejsze niż jakikolwiek odpust. Przez zimę człek robi się ociężały bez roboty, a bywa, że i się przegłodzi. Przesiadujesz i przeklinasz zimę dręczycielkę, wyczekujesz wiosny pięknotki. Upragniona, czasami długo się kryguje, ruch pa-

rowców wstrzymywany jest niemal do czerwca. W tym roku jednak wiosna zawitała do Bochniaczka jako młodziutka dziewczyna i ani trochę się nie boczyła. Tak gorąco przymilna, tak życzliwa — nie do wiary! Dopiero pierwszy kwietnia, a już cały lód spłynął i otwarto nawigację.

Rzeka rozlała się szeroko, ledwie było widać brzegi, „Jesiotr” jednak trzymał się dokładnie farwateru i szedł bardzo wolno. Z powodu mgły kapitan zachowywał wielką ostrożność i co dwie minuty dawał ochrypty sygnał: „U-duuu! Ja tu-uuu!”

Mgła to dla kapitana kłopot, ale dla Bochniaczka to najwierniejsza towarzysza. Gdyby mogli się dogadać, oddawałby jej połowę „śmietany”, byle tylko stała się jak najgęściej.

Dzisiaj nie było się co skarżyć, mgła postarała się jak nigdy. Najmocniej rozpościerała się tuż nad wodą; dolny pokład, tam gdzie kajuty, otuliła całkowicie; botdek zaś, tam gdzie szalupy i gdzie wzdłuż burt rozsiada się rozmaite tałatajstwo, to odkrywała, to przykrywała; zupełnie jak w jakiejś bajce — są ludzie i nagle wszyscy znikają, pozostaje tylko mleko. Ponad mgłę wystawały jedynie czarny wysoki komin i mostek. Kapitanowi, tam na górze, pewnie wydaje się, że nie jest kapitanem, ale samym Panem Bogiem, i że nie płynie „Jesiotrem”, tylko szybuje w obłokach.

Wszystkie statki flotyli rzecznej Towarzystwa „Nord” wzięły nazwy od jakichś ryb — tak to sobie wykoncyrował właściciel. Od statku flagowego, trójpokładowej „Bieługi”, gdzie kajuty pierwszej klasy są po dziesięć rubli, aż do najmniejszej holowniczej pyrkotki, jakiegoś „Kiełbika” albo „Uklejki”.

„Jesiotr” nie należał na linii do największych, ale był to parowiec solidny, dochodowy. Chodził od Moskwy do Carycyna. Pasażerowie płynęli przeważnie daleko: do Ziemi Świętej albo nawet do Ameryki. Wielu z ulgową szyfkartą Towarzystwa Palestyńskiego. Bochniaczek sam po morzach nie pływał, bo i po co, ale rozeznawał się we wszystkim doskonale.

Z szyfkartą Towarzystwa „Nord” podróżowało się tak: z Moskwy Oką do Niżniego, później Rzeką do Carycyna, stamtąd pociągiem do Taganrogu, dalej znowu parowcem, tyle że już morskim, gdzie komu sążone. Jeśli płynąć do

Ziemi Świętej trzecią klasą, to wyniesie to raptem czterdzieści sześć rubli i pięćdziesiąt kopiejek. Jeśli do Ameryki, to, rzecz jasna, drożej.

Bochniaczek na razie nikogo nie skubał, trzymał ręce w kieszeniach, pracowały tylko oczy i uszy. No i nogi, oczywiście. Ledwie zgęstnieje mgła — szur-szur na wołokowych podszwach od jednych do drugich, z przepatrywaniem i nasłuchiwaniem. Coście za ludzie? Czy dobrze się pilnujecie?

Tak trzeba: najpierw wszystko wypatrzeć, wywiedzieć się, a potem, bliżej przystani, pójść na pewniaka. I najważniejsze — wyniuchać „morowych”. Na pewno się tutaj kręca, też wyczekali się na nawigację. To zwierz nie-Bochniaczkowej maści. Rzadko przystępuje do rzeczy na parowcu, jego rzemiosło wygląda inaczej. Na wodzie wybiera tylko „gęsiaka”, a puch i pierze drze z niego później, na brzegu.

A niechby ich, nie nasze zmartwienie, bieda tylko, że nie chodzą przecież z fińskim nożem w zębach, ale maskują się, można się pomylić. Wasia Rybiński, szanowany „razyniec”, wyjął pewnego razu jakiemuś subiekтови złotego sikora, a tu okazało się, że to nie żaden subiekt, tylko człek z kazańskiej ferajny. Znaleźli później Waśkę i choć nie był niczemu winny, to kociotek mu rozbili. Takie mają zwyczaje — nie mogą znieść, żeby ktoś ich obrobił. Dopóki nie odpłacisz za hańbę, w tym towarzystwie nie masz się co pokazywać.

Bochniaczek zaczął od botdeku. To pasażerowie pokładowi, przeważnie golizna, ale, po pierwsze, ziarnko do ziarnka, a po drugie, Bochniaczek taki już miał charakter — najlepsze kąski zostawiał na ostatek. Podobnie zachowywał się przy jedzeniu. Jeśli to była, powiedzmy, hreczka ze skwarkami, to tłuszcz odkładał akuratnie na boczku, a zaczynał od samej kaszy. Jeśli kapuśniak na kostce szpikowej, to najpierw wysiorbywał rzadkie, potem pałaszował kapustę i marchewkę, ogryzał mięso i dopiero na końcu wysysał szpik.

A zatem przyjrzał się pokładowi szalupowemu starannie: od rufówki, poprzez szkafut, aż do dziobówki. Wszystkie subtelności i określenia, jakie wiązały się ze statkiem, Bochniaczek znał lepiej niż jakikolwiek marynarz, bo marynarz

parowca nie kocha. Jego rozpijaczanej duszy spieszy się na brzeg do karczmy, a dla „razyńca” wszystko na statku jest interesujące i wszystko może być przydatne.

Na dziobie, zbici w gromadkę, siedzieli wędrujący do Grobu Pańskiego, jakieś półtora dziesiątka chłopów i bab, a każde z dumnie sterczącym sękatym kijem — pątniczym posochem. Pielgrzymi jedli chleb z solą, popijali wrzątkiem z blaszanych czajników, a na innych podróżnych popatrywali z góry.

No, nie ma co zadzierać nosa, rzekł do siebie Bochniaczek. Są lepsi od was. Powiadają, że niektórzy docierają do Palestyny nie parowcami, ale na własnych nogach. A jak już osiągną Ziemię Obiecaną, to dalej pełzną na kolanach. To dopiero prawdziwa świętość!

Nie ruszył jednak Bożych wędrowców, odszedł. Bo i co oni mają? Każdy trzymał po pięć rubli i, rzecz jasna, zgarnąć je to głupstwo, ale trzeba by już być całkiem bez sumienia. A człowiek żyć bez sumienia nie może, nawet złodziej. Może złodziej jeszcze bardziej niż ktokolwiek inny, bo inaczej zatraci się do reszty.

Bochniaczek, żeby żyło się lżej, już dawno ustalił dla siebie zasadę: jeśli widać, że człek jest dobry albo nieszczęśliwy, to takiemu fantów nie podprowadzać, choćby nawet portfel sam mu się wysuwał, a ręce świerzbiały. Nie warto. Wzbogacisz się, dajmy na to, o trzydzieści rubelków, a choćby i o trzysta, ale przestaniesz siebie szanować. Złodziei, którzy zatracili godność, Bochniaczek widział wielu. Łajdacy, duszę zaprzędali za zmięte papierki. Czy szacunek można kupić za trzysta rubli? Nic z tego! Może w ogóle na świecie takich pieniędzy nie ma.

Wokół Niemców kolonistów zakręcił się na poważnie. Ci, trzeba przyjąć, wybierają się do Argentyny, taka teraz panuje wśród nich moda. Podobno dają im tam ziemi, ile kto zapragnie, i nie biorą do wojska. Niemiec to prawie tak jak Żyd — służyć naszemu carowi nie lubi.

Patrzajcie ich, to dopiero gawrony, kupili bilety pokładowe! Pieniążki ci kiełbasiarze mają, ale to sknery niesłychane.

Bochniaczek przysiadł pod szalupą, wsłuchał się w niemiecką mowę, ale tylko splunął. Powiadają, że to brzmi tak, jakby ktoś udawał głupka: „huk-mal-di-da”.

Jeden z nich, czerwony na pysku, dopalił fajkę i odłożył ją na pokład — bliźniutko. Bochniaczek nie wytrzymał i podbrał to cacko, nie było co czekać. Na razie mgła, a kto wie, jak będzie później.

Przyjrzał się fajce (porcelanowa, z małymi figurkami — cudeńko) i wsunął ją do „tylnika”, płóciennego woreczka, który wisiał na sznurku pod pachą.

Na dobry początek.

Dalej siedzieli duchoborcy, czytali głośno świętą książkę. Tych Bochniaczek nie tknął. Wiedział, że jadą do Kanady. Ludzie spokojni, krzywdy nikomu nie czynią, żyją w prawdzie. Hrabia Tołstoj, pisarz, jest po ich stronie. Bochniaczek czytał jedną jego książkę: *Ile człowiekowi trzeba ziemi*. Śmieszna — o tym, jaką głupotą karmi się chłopstwo.

No dobra, duchoborcy, płyńcie sobie, Bóg z wami.

Od szkafuta aż do rufy rozłożyli się sami Żydzi, ale też nie gromadą, tylko grupkami. Bochniaczka to nie dziwiło. Wiedział, że taka to nacja, co to wciąż się między sobą gryzie.

U nich, tak jak u naszych, największy szacunek należy się tym, którzy płyną do Palestyny. Bochniaczek zatrzymał się i posłuchał, jak „palestyński” Żydek chełpi się przed „amerykańskim”: „Bez obrazy, ale my jedziemy dla ducha, a wy dla brzucha”. „Amerykanin” zniósł to bez szemrania, zwiesił jedynie głowę.

„Palestyńskiemu” Bochniaczek wyjął z kieszeni składany metr krawiecki. Kąsek nie za tłusty, ale będzie go można podarować wdowie Głaszy, która szyje babom kiecki, weźmie z podziękowaniem. „Amerykańskiemu” skroił zegarek — tandeta, miedziany, wart może z półtora rubelka.

Schował zdobycz do worka i wkręcił się w gromadkę pejsatych podrostków — niektórzy wrzeszczeli coś po swojemu, większość jednak po rosyjsku. Wszyscy chudzi, z dużymi grdykami i piskliwymi głosami.

Hałasowali, bo z dolnego pokładu przyszedł do nich rabin, żydowski pop. Natychmiast się do niego rzucili.

Rabin był postawny, w czapie z futrzanym oblamowaniem i w kapocie do kolan. Długie siwe brodzisko, pejsy niczym dodatkowe dwie brody, gęste brwi — jeszcze dwie małe bródki. Żydzięta go obstały i nuż się skarżyć. Bochniaczkowi w to graj — im tłoczniej, tym łatwiej.

— Rebe, mówiłeś, że popłyniemy jak wybrańcy w arce Noego! A tu jakiś *chojszechl* — piszczał piegowaty Żydek. — Kogo tu nie ma! Jakby mało było tych amerykańców, to jeszcze apikojresy* syjoniści i goje pożerający słoninę — to o Niemcach, domyślił się Bochniaczek — a nawet... tfu! tfu!... goje, co to udają Żydów!

— Tak, tak, „znajdy"! A razem z nimi, jak mówią, sam ich prorok! O którym opowiadałeś straszne rzeczy! — podchwycili inni.

— Manujła? — Rabinowi błysnęły oczy. — Jest tutaj? Szatańskie nasienie! Uważać mi! Nie zbliżać się do niego! I do „znajd" też!

Jeden z narzekających pochylił się ku zarostemu siwymi włoskami uchu i zaszeptał, ale niezbyt cicho, bo Bochniaczek usłyszał każde słowo.

— A jeszcze, powiadają, ci są tutaj. „Chrystusowi oprycznicy". — Słowa zostały wypowiedziane pełnym grozy, świszczącym szeptem, tak że wszyscy pozostali natychmiast za milkli. — Chcą nas zabić! Rebe, nie wypuszczą nas żywych! Lepiej byśmy zostali w domu!

O „Chrystusowych oprycznikach" Bochniaczek czytał w gazecie. Od dawna wiadomo, że w niektórych miastach, gdzie zajęcia mało, ale złości dużo, ledwie trafi się jakaś okazja, to ludzie zaraz rzucają się bić Żydów. Czemuż by nie bić i nie grabić, jeśli władza pozwala? Jednak oprócz zwyczajnych pogromowców od pewnego czasu pojawili się jeszcze jacyś „oprycznicy", ludzie poważani, którzy poprzysięgli nie dawać spokoju Żydom i ich polepcznikom. I jakoby zabili już kogoś — jakiegoś adwokata i studenta. Że adwokata, to jeszcze, wszyscy oni to bezwstydni zdziercy, ale czym im student zawinił? Też pewnie miał ojca i matkę.

* Bezbożnicy (jidysz).

To zresztą sprawy odległe. Nad Rzeką rodzicielką, chwała Tobie, Panie, ani „opryczników”, ani pogromców nigdy nie bywało.

Kiedy Żydzieta podnosiły gwałt, Bochniaczek paru z nich przetrzepał kieszenie, ale zyskał ledwie piątaka i dwudziestkę.

Żydowski pop zaś przez chwilę słuchał i nagle jak nie tupnie nogą!

— Milczeć!

Zrobiło się cicho. Starzec zerwał z nosa okulary i wsunął do kieszeni (błysnęła oprawka — ani chybi złota). Z drugiej kieszeni wyjął pękate książysko w skórzanej oprawie i otworzył. Coś groźnie zaklekotał po swojemu, a potem powtórzył to po rosyjsku — widać byli tutaj Żydzi, którzy niekoniecznie rozumieli własne narzecze.

— „I rzekł Pan do Mojżesza: Dokądże ta zła gromada szemrze przeciwko mnie? Narzekania synów Izraelowych słyszałem. Przeto powiedz im: Żywię ja, mówi Pan: jakoście mówili, gdym ja słyżał, uczynię wam. Nie wnidziecie do ziemi, o którą podniosłem rękę moje, żeby wam mieszkać dał”*. Czy słyżeliście, niedowiarki, co zostało powiedziane Mojżeszowi?

Z białą brodą i ze wzniesionym ku górze palcem sam był podobny do Mojżesza z obrazka, który Bochniaczek widział w Biblii.

Wszyscy się pokłonili. Bochniaczek też się przygiął i wsunął rękę między dwóch, którzy stali przed nim. A rękę miał szczególną, prawie w ogóle bez kości, na samych chrząstkach. Wyginać się mogła we wszystkich kierunkach, a jeśli trzeba, to i wydłużała się ponad wszelkie ludzkie możliwości. Tą swoją niezwykłą ręką Bochniaczek sięgnął do rabinowej kieszeni, zahaczył małym paluszkiem okulary, przysiadł na piętach i kaczym chodem zniknął we mgle.

Okulary wziął na ząb. Złote, jak rany boskie!

Żydowski pop grzmiał tymczasem zza pochylonych pleców:

— Jakem Aron Szefarewicz, przepędzę każdego, który będzie małodusznie szemrał! Popatrzcie na siebie, wyschłe

* Wszystkie cytaty z Biblii w przekładzie Jakuba Wujka (przyp. tłum.).

robaki! Na co byście się przydali „oprycznikom”? I komu w ogóle...

Bochniaczek już nie słuchał, nie chciał kusić losu.

Mgła zgęstniała całkowicie, ledwie widać było poręczę. „Razyniec” zaczął się posuwać wzdłuż nich.

U-duuu!!! — zadudniło ogłuszająco z góry. To znaczy, że obok sterówka.

Kiedy parowiec przestał dudnić, do Bochniaczkowych uszu dotarły dziwne słowa.

Ktoś przed nim deklamował śpiewnie:

*Data oddech moim ustom, Potem
pochodnię swą zgasiła I cały
świat na Tu i Tam W chwili
szaleństwa rozdzieliła. Poszła — /
zimno się zrobiło...*

— Przestań wyć, Koloseuszu — przerwał inny głos, ostry i drwiący. — Lepiej wzmacniaj mięśnie. Po co ci dałem *rub-ber-bal*?

Z lewego brzegu zadął wiatr i całun mgielny w mig się przemieścił. Pod schodkami sterówki Bochniaczek ujrzał całą kompanię: siedziało tam ze dwudziestu chłopaków, a z nimi dwie dziewczyny.

Dziwaczne to było towarzystwo, nieczęsto takie zobaczysz. Wśród chłopców wielu było okularników i kędzierzawych, a i nosaci się trafiali — z wyglądu niby Żydki, a niby i nie. Bardzo byli weseli, każdy z uśmiechem od ucha do ucha. Jeden z nich był starszy, barczysty, pod rozpiętą bluzą miał marynarską koszulkę, a w zębach fajkę. Ani chybi człowiek morza, bo i bródkę miał bez wąsów — tak gołą się marynarze, żeby nie podpalić się węgielkiem z fajki.

Jeszcze dziwniejsze były dziewczyny. A raczej nie dziewczyny, tylko panienki.

Pierwsza szczuplutka, o białej skórze, oczyska na pół twarzy, ale włosy, głupiutka, ostrzygła nie wiedzieć dlaczego po chłopięcemu. A włosy miała wspaniałe, gęste, ze złotym połyskiem.

Druga niziutka, okrągłutka, a ubrana tak, że boki zrywać: na głowie biała płócienna czapka z malutkim rondem, zamiast sukienki krótkie spodnie w zielonym kolorze, tak że nogi całe na widoku, na nich zaś białe skarpetki i lichutkie pantofle na skórzanych rzemykach.

Bochniaczek aż zamrugnął na tak rzadkie dziwowisko. Bo i jakże — widać wszystko od kostek po grube uda, z zimna całe w gęszej skórce.

Ciekawiły go jednak nie tylko nogi.

Co to za ludzie? Dokąd płyną i po co? I co to takiego ten „raberbol”?

Niezrozumiałe słowo wyrzekł brodaty. Ów zaś, który recytował wiersze, zaśmiał się na jego wymówkę i zaczął poruszać ręką. Bochniaczek przyjrzał się dokładniej — chłopak trzymał w dłoni czarną kulę i wciąż ją ugniatał. Tylko po co?

— Marzniesz, Małke? — zapytał brodaty grubaszkę, bo też dostrzegł jej gęsią skórę. — To nic, będziesz wspominała tę podróż niczym raj. Chłodno i wody pod dostatkiem. Dlaczego wyznaczyłem zbiórkę w Niznim? Żebyście pożegnali się z Rosją. Patrzcie, oddychajcie. Wkrótce nie będzie czym. Nie wiecie jeszcze, co to takiego prawdziwy upał. A ja wiem. Pewnego razu staliśmy w Port Saidzie, trzeba było połatać poszycie. Zwolniłem się u kapitana na tydzień — zapragnąłem posmakować pustyni, przyjrzeć się jej.

— I co, przyjrzałeś się? — zapytała delikatna panienska.

— Przyjrzałem się, Rochele, przyjrzałem — uśmiechnął się brodaczkę. — Nie mam takiej białej skóry jak ty, a i tak pod wieczór twarz miałem w bąblach. Wargi popękały i mocno krwawiły. Gardło — jakby ktoś przejechał po nim pilnikiem. O picciu wody mowy nie ma — trzeba lizać sól.

— Dlaczego sól, Magellanie? — zdziwił się jeden z chłopaków.

— Dlatego, że kiedy się pocisz, z organizmu wydalana jest sól, a to gorsze niż brak wody. Można od tego zdechnąć. Poce się, liżę sól, ale jadę przed siebie. Postanowiłem sobie tak: dwieście wiorst do Gazy, tam dzień odpoczynku i z powrotem. — Magellan wypuścił strużkę dymu. — Tyle że do Gazy nie dotarłem, pobłądziłem. Głupiec ze mnie, bo miałem nadzieję kierować się wedle słońca i nie wziąłem kompasu. Trze-

ciego dnia pustynia zaczęła się kotysać i płynąć. Zupełnie jak na falach: w lewo, w prawo, w lewo, w prawo. W oddali zobaczyłem brzezinę, a potem jezioro. Aha, myślę sobie, to mamy i miraż. Wieczorem zaś, kiedy barchany zaczęły rzucać długie cienie, zza wydmy wypadli Beduini. W pierwszej chwili pomyślałem, że to jeszcze jeden miraż. Wyobraźcie sobie: trójkątne cienie, które pędzą z niezwykłą szybkością i wciąż się powiększają. A to oni puścili cwałem wielbłądy. I najważniejsze — wszystko to w całkowitej ciszy. Ani dźwięku, tylko piasek cichutko szeleści. Ostrzegano mnie przed rozbójnikami. Miałem ze sobą winchestera i rewolwer. A tu, skończony idiota, zastygłem w siodle i patrzę, jak śmierć gna mi na spotkanie. Wspaniały widok — nie można było oczu oderwać. Bo co na pustyni jest najgroźniejsze? To, że od słońca i wysiłku przytępia się instynkt samozachowawczy.

Wszyscy słuchali gawędziarza, wstrzymując oddech. Dla Bochniaczka też było to ciekawe, ale i o robocie nie wolno zapominać. Z kieszonki komicznych spodni grubej Malke wystawała zachęcająco portmonetka. Bochniaczek nawet już ją wyciągnął, ale włożył z powrotem. Żal mu się zrobiło głuptaski.

— Ależ nie tak! Przecież pokazywałem! — Magellan przerwał opowieść. — Czemu poruszasz całą dłoń? Palcami, palcami! Daj no tutaj!

Odebrał okularnikowi Koloseuszowi kulę i zaczął ją ścisnąć.

— Rytmicznie, rytmicznie. Tysiąc, dziesięć tysięcy razy! Jak z takimi palcami utrzymasz konia w cuglach? Łap i ćwicz.

Odrzucił kulę, ale niezdara wierszokleta jej nie pochwycił.

Kula stuknęła o pokład i jak ci nagle nie podskoczy! Tak jakoś dźwięcznie, czupurnie — Bochniaczkowi bardzo się to spodobało.

Piłeczka, odbijając się, uciekła po pokładzie, a tymczasem z prawej strony znowu nadciągnęła mgła i utopiła całe dobre towarzystwo w gęstym mleku.

— Oferma! — dobiegł głos Magellana. — No dobrze, znajdziesz później.

Ale na magiczną piłeczkę nastawił się już Bochniaczek. Ciekawa sztuczka. Podaruje się ją gazeciarzowi Parchomce, niech się chłopczyna cieszy.

Byle tylko nie wypadła za burzę. Bochniaczek przyspieszył kroku.

Gdyby popatrzeć z boku, wyglądało to śmiesznie: toczą się dwie kulki, jedna malutka, druga duża.

Stój, nie uciekniesz!

Piłeczka natknęła się na coś ciemnego i zastygła w miejscu. Natychmiast ktoś ją podniósł. Bochniaczek tak zajął się pościgiem, że omal nie wpadł na człowieka, który siedział na pokładzie (to na nim żwawa *rubber-ball* zakończyła swój bieg).

— *Pardon* — przeprosił kulturalnie Bochniaczek. — To moje.

— Proszę, skoro to pańskie — odrzekł życzliwie siedzący i odwrócił się do sąsiadów (była tam ich jeszcze dwójka), by ciągnąć rozmowę.

Bochniaczek rozdziawił gębę. Ci wydali mu się jeszcze dziwniejsi niż poprzedni.

Dwaj mężczyźni i kobieta, ale ubrani jednakowo: w białe chlamidy do pięt, z ciemnoniebieskimi pasami pośrodku — kobieta przyszyła sobie wstęgę, mężczyźni zaś wymalowali je niedbale farbą.

Toż to właśnie „znajdy”, połapał się Bochniaczek. Ci, na których pomstowali Żydzi. Widzieć to ich wcześniej nie widywał, ale czytać się zdarzało — i o żydujących, i o ich proroku Manujle. W gazecie można przeczytać o wszystkim na świecie.

„Znajdy” to Rosjanie, ale tacy, co to odeszli od Chrystusa i przystąpili do żydowskiej wiary. Na co im żydowska wiara i dlaczego nazywa się ich „znajdami”, w głowie się nie zachowało. Bochniaczek zapamiętał jednak, że gazeta mocno odstępców łajała i że źle pisała o proroku Manujle. Wiele narodu odciągnął oszustwem od prawosławia, a komu to się może podobać?

Toteż i Bochniaczek od razu tę trójkę zniechęcił i zaczął myśleć, co by im tu skroić — nie dla korzyści, ale żeby wiedzieli, co znaczy zdradzać Chrystusa.

Ulokował się z boku, za skrzynią na łańcuch kotwiczny, przycupnął.

Ten, w którego trafiła piłeczka, był już w latach i miał zniszczoną twarz. Z wyglądu zapijaczony kancelista, choć był trzeźwy. Mówił miękko i uprzejmie.

— Szczerze wam powiadam: to on jest mesjaszem. Chrystus — tamten był fałszywy, a ten jest najprawdziwszy. A ukrzyżować go złym ludziom się nie uda, dlatego że Manujła jest nieśmiertelny, Bóg go strzeże. Sami wiecie, że już go zabi-
jali, a on zmartwychwstał, tylko że do nieba nie poszedł, został wśród ludzi, bo jego przyjście jest ostateczne.

— A ja, Jehudo, mam wątpliwość co do obrzezania — zadudniło basem ogromne chłopisko. Po łapskach i po czarnych kropkach pod skórą Bochniaczek rozpoznał w nim kowala. — Jak dużo trzeba ciąć? Na palec? Na pół palca?

— Tego ci, Ezechielu, nie powiem, sam nie wiem. Gadali mi w Moskwie, że jeden szewc odciął sobie odrzek nożycami, to potem mało co nie umarł. Ja na razie myślę się wstrzymać. Dojedziemy do Ziemi Świętej i tam zobaczymy. Powiadają, że Manujła nie kazał się obrzezywać. Słyszałem, że nie dał na to „znajdom” błogosławieństwa.

— Bujdy — westchnął kowal. — Trzeba się ciąć, Jehudo, trzeba. Prawdziwy Żyd zawsze jest obrzezany. Bo inaczej to jak? Nawet do łaźni w Ziemi Świętej wstyd będzie zajść. Wyśmieją.

— Twoja racja, Ezechielu — zgodził się Jehuda. — Choć straszno, to pewnie trzeba.

Tutaj odezwała się baba. Głos miała przegniły, nosowy, co zresztą nie było dziwne, bo nos z jej twarzy nie sterczał — zapadł się.

— Ech, wy, „straszno”. I to mają być Żydzi! Szkoda, że nie jestem chłopem, ja bym się nie przestraszyła.

Co by tu tym bestiom świsnąć, rozmyślał Bochniaczek. Może kowalowy worek?

I już pomalutku zaczął podkradać się do worka, gdy do siedzącej trójki podszedł czwarty, w takiej samej chlamidzie, tyle że pas miał nie namalowany, ale przyszyty białą nitką.

Ten wydał się Bochniaczkowi jeszcze bardziej obrzydliwy: zmrużone oczy, morda płaska, obleśna, tłuste włosy do ramion, parszywa bródka. Jakiś szynkarz, nie inaczej.

Siedząca trójka zerwała się.

— Coś ty, Sołomosza, zostawiłeś go samego?

Starszawy zaś, którego nazywali Jehudą, rozejrzał się po bokach (Bochniaczka nie zauważył, gdzie mu tam) i cicho powiada:

— Przecież umówiliśmy się, że przy kasie zawsze będzie dwójka!

Bochniaczek uznał, że się przestyszał, ale obleśny Sołomosza machnął ręką.

— A gdzie by się ta kasa podziała? On śpi, a skrzyneczkę ma pod poduchą i obłapiają rękami. Tam w kajucie duszno.

Usiadł, zdjął but i zaczął przewijać onucę.

Bochniaczek przetarł oczy — sen to czy jawa?

Kasa! Skrzyneczka!

Udała się pierwsza nawigacja, udał się „Jesiotr”!

Te złote okulary to głupstwo, a o reszcie nie warto nawet wspominać. W kajucie, pod poduszką proroka Manujły, czekała na Bochniaczka skrzyneczka z kasą. Tu ją mamy, kosteczkę ze szpikiem!

I natychmiast zdmuchnęło „razyńca” zza skrzyni.

Bochniaczek sfrunął po schodkach na dolny pokład. Nikogo i niczego nie było tam widać, jedynie żółte plamy kajutowych okien.

Bochniaczek zwrócił się do plam: no, w której z was wiozłą kasę?

W oknach były zasłonki, ale nie od samej góry. Jeśli stanąć na stołeczku (na pokładzie były stołeczki, jakby specjalnie dla Bochniaczka), to można zajrzeć ponad zasłonką.

W pierwszym okienku ujrzał Bochniaczek wzruszający obrazek: rodzina piła herbatę.

Tatulo — z gęstą brodą, solidny — popijał z dużej szklanki. Naprzeciwko, na foteliku, małżonka w domowym czepcu coś wyszywała — była to osoba nieco męskiej urody, lecz o niezwykle miękkim i dobrym obliczu. Po obydwu zaś stronach tatusia, przytuliwszy się do jego szerokich ramion, siedziały dzieci: syn gimnazjalista i córka w tym samym mniej więcej wieku. Nie były to jednak bliźniaki — chłopak czarniawy, dziewczyna złotowłosa.

Córeczka nuciła. Cichutko, tak że przez okno słów nie było słyhać, wyczuwało się tylko delikatne drżenie powietrza.

Spojrzenie miała panienka marzycielskie, a różowe usteczka to otwierały się szerzej, to ściągały w trąbkę.

Bochniaczek zapatrzył się na ów sielankowy obraz. Nigdy w życiu nie obrobiłby takich szczęśliwców.

Synek powiedział coś i podniósł się. Pocałował tatę, ale jak czule! — prosto w usta. Wziął kaszkiet i wyszedł na korytarz. Pewnie po to, żeby się przespacerować, odetchnąć świeżym powietrzem. Tata w ślad za nim posłał pocałunek.

Bochniaczek rozrzewnił się. Bo przecież taki to groźny z wyglądu mężczyzna. W swoim kantorze albo w urzędzie musowo wywołuje w podwładnych strach, a z rodziną, w domowych pieleszach, prawdziwy z niego baranek.

Westchnął na myśl o swoim samotnym życiu. Nie dla „razyńca” zakładanie rodziny.

Już następne okno okazało się właściwe. Bochniaczkowi znowu się poszczęściło.

Tutaj nawet na stołek nie trzeba było włączyć, bo zasłonki nie były szczelnie zsunięte. Przez szparę Bochniaczek ujrzał wychudłego jasnobrodego mężczyznę, który leżał na obitej aksamitem kanapie. Pomyślał: to ci dopiero prorok, wyznawców pognął na pokład, a sam zadaje szyku w pierwszej klasie. A jak słodko śpi — aż mu ślina cieknie z ust.

I co to tam błyszczący pod poduszką? Ani chybi lakowa szkatułka.

Spij sobie, śpij, i to jak najmocniej.

Bochniaczka aż ponosiło, ale nakazał sobie spokój. Rzecz nadarzyła się niebłaha, żeby tylko nie było przypału.

Wejść z korytarza, otworzyć zamek?

Nie, jeszcze ktoś zobaczy. Łatwiej stąd. Mgła współniczka pomoże.

Że okno zamknięte, to głupstwo. Każdy „razyniec” ma na taką okoliczność stosowne narzędzie, tak zwaną łapkę. Podważasz nią wkrety, na których trzyma się rama (byle na początek nie zapomnieć kapnąć z oliwiarki, żeby nie zaskrzy-piało), rrraz z lewej, rrraz z prawej, i niemal gotowe. Teraz trochę więcej oliwy z boku, w fugi. I pomalutku do góry.

Okienko popęzło ku górze bez najmniejszego hałasu, jak się należy.

Dalej sprawa prosta. Wleźć do środka i na czubkach palców do kanapy. Wyciągnąć spod poduszki szkatułkę, a zamiast niej podsunąć skręcony ręcznik.

Na wypadek gdyby śpiący miał się przypadkiem obudzić, trzeba wsłuchiwać się w jego oddech — to niezawodny sposób. Na twarz patrzeć jednak nie wolno — niektórzy wyczuwają przez sen, kiedy ktoś się na nich gapi.

Bochniaczek skulił się, żeby przeleźć przez okno, a nawet wsunął już głowę, gdy nagle tuż obok zaskrzypiała rama i kobiecie głos donośnie, porywczo rzucił:

— Proszę zaraz przestać!

Bochniaczek zeszywniał: źle, przypał!

Wyciągnął głowę z powrotem, odwrócił się — i ulżyło.

To w sąsiedniej kajucie otwarto okienko. Na pewno zrobiło im się duszno.

Ten sam głos ciągnął gniewnie:

— Zaczerpnijcie świeżego powietrza, władyko! Bóg jeden wie, co żeście wymyślili! Nie odbierajcie mi chociaż moich grzechów!

Głęboki bas, równie gniewny, odparł:

— Mój to grzech, mój! To ja pobłazałem, to ja wyznaczyłem ci pokutę i ja będę odpowiadał! Ale nie przed stołecznym prokuratorem — przed Panem Bogiem!

Oj, niedobrze. Rozbudzą proroka przekłęci krzykacze.

Bochniaczek opadł na czworaki i podsunął się do otwartego okna. Ostrożnie, jednym okiem, zajrzał.

Początkowo wydawało się, że w kajucie jest dwoje ludzi — siwowłosa archijerej z ozdobnym krzyżem na piersi i mniszka. Potem dostrzegł w kącie trzeciego, także mnicha. Tamten jednak siedział cicho i nie dawał znaku życia.

Po co te wrzaski, ludzie Boży? Trzeba po chrześcijańsku, z pokorą. Pobudzicie pasażerów.

Mniszka jakby usłyszała Bochniaczkowe życzenie. Westchnęła i zwiesiła głowę.

— Przysięgam wam, władyko, że nigdy więcej się nie skuszę. I was nie będę kusił. Tylko nie karzcie siebie.

Archijerej poruszył gęstymi brwiami (jedna była już prawie siwa, druga wciąż jeszcze czarna) i pogładził zakonnice po głowie.

— To nic, Pelagijko, Bóg jest miłosiwy. Jakoś się uratujemy. A grzech zmażemy wspólną modlitwą.

Temperamentna para. Bochniaczek nadał im już przezwiska: Siostrzyczka Lisiczka (to z powodu rudego kosmyka, który wydostał się spod chusty) i Ataman Kudejar (pop wyglądał bardzo wojowniczo, żadnej w nim dobroduszości).
Jak z pieśni:

*Towarzyszy swoich zostawił,
Porzucił też napadanie; W
klasztorze Kudejar się stawił,
Bogu i ludziom służyć z oddaniem!*

Innym razem Bochniaczek z wielką ciekawością posłuchałby o grzechu, do jakiego doszło między władką a mniszką, ale teraz nie pora na to. Pogodzili się, przestali krzyczeć — i chwala Ci, Panie.

Powrócił na czworakach pod okno proroka.
Uchwycił się rękami ramy, uniósł.
Posypia sobie, kochaneczek. Nie obudził się.

W ostatniej chwili, kiedy niczego nie można już było zrobić, Bochniaczek usłyszał za sobą szmer. Chciał się odwrócić, ale było za późno.

Coś chrząstnęło i rozerwało się w samej Bochniaczkowej głowie — zniknęły dla niego na zawsze i wiosenne wieczory, i nadrzeczna mgła, i w ogóle wszystko.

Dwoje mocnych rąk chwyciło zwiotczałe ciało za nogi i pociągnęło po pokładzie do burty — szybko, żeby nie zostawić śladów krwi. „Tylnik”, worek na zdobycz, zahaczył o nóżkę stolika. Szarpnięcie, i sznurek pękł, nie wstrzymując ruchu.

Potem Bochniaczek poszybował w powietrzu, posłał Bożemu światu na pożegnanie fontannę bryzgów i połączył się z Rzeką rodzicielką.

Ona zaś przyjęła swego syna marnotrawnego w czułe objęcia, ululala, ukołysala i ułożyła głęboko na miękkiej pierzynie mułu.

Stołeczne nieprzyjemności

— A jednak to zastanawiające, skąd Konstanty Pietrowicz się dowiedział — powtórzył któryś już raz władyka Mitrofaniusz, obejrzawszy się mimowolnie na głuchy odgłos za oknem; zupełnie jakby ktoś upuścił na pokład toból albo sztukę płótna. — Istotnie, wysoko siedzi, to i daleko widzi.

— Jego ekscelencji wypada wiedzieć i z obowiązku służbowego — wtrącił z kąta ojciec Serafim Starowny.

Rozmowa o jednym i tym samym ciągnęła się między przewielebnym, jego duchową córką Pelagią i biskupim sekretarzem już trzeci dzień. Rozpoczęła się jeszcze w Petersburgu, po nieprzyjemnym spotkaniu z oberprokuratorem Najświętszego Synodu, Konstantym Pietrowiczem Pobiedinem. Mówiono o owych nieprzyjemnościach i w pociągu, i w moskiewskim hotelu, a teraz i na parowcu, który wiozł gubernialnego archijereja i jego towarzyszy do rodzinnego Zawołżska.

Nieporozumienia między oberprokuratorem a władką trwały od dawna, dotychczas jednak nie doszło nigdy do bezpośredniej konfrontacji. Konstanty Pietrowicz przyglądał się jakby i przymierzał do szacownego oponenta, doceniając jego siłę i jego prawdę, albowiem sam też był mężem silnym i też miał własną prawdę. Jasne wszakże było, że wcześniej czy później owe dwie prawdy zetną się, bo nazbyt się od siebie różniły.

Po wezwaniu do stolicy przed surowe oblicze oberprokuratora Mitrofaniusz spodziewał się wszystkiego, każdej szykany, tyle że nie od tej strony, z której nastąpiło uderzenie.

Konstanty Pietrowicz zaczął wedle swego obyczaju cicho, jakby z przyzajenia. Pochwalił zawołżczanina za dobre stosunki z władzami świeckimi, a przede wszystkim za to, że gubernator słucha Mitrofaniuszowych rad i chodzi do niego się spowiadać. „Oto przykład nierozzerwalności państwa i Cerkwi, i na tym jedynie wznosić się może gmach życia społecznego” — powiedział Pobiedin i gwoli przydania wagi swym słowom uniósł palec.

Potem niezbyt surowo skarcił za miękkość i słabość w stosunkach z innowiercami, którzy na Zawołżu są bardzo licz-

ni: i koloniści protestanci, i katolicy wśród dawnych polskich zesłańców, i muzułmanie, i nawet poganie.

Jego ekscelencja miał szczególny sposób mówienia — zupełnie jakby wygłaszał z kartki referat. Gładko, składnie, ale jakoś sucho i dla słuchaczy nużąco: „Kościół państwowy to system, w którym władze uznają za prawdziwe jedno wyznanie, popierają wyłącznie jeden Kościół i opiekują się nim, mniej lub bardziej znacząco pomniejszając wpływy, prawa i pozycje innych kościołów — pouczał Konstanty Pietrowicz. — W przeciwnym razie państwo utraciłoby duchową łączność z narodem, którego przytłaczająca większość trwa przy prawosławiu. Państwo bez wiary nie jest niczym innym, jak niemożliwą do zrealizowania utopią, albowiem brak wiary to otwarta negacja państwa. Jakie zaufanie mogą mieć prawosławne masy do władzy, jeśli naród i władza wierzą na różne sposoby albo jeśli władza w ogóle nie wierzy?”

Mitrofaniusz znosił wykład, dopóki tylko mógł (to znaczy niedługo, cierpliwość bowiem żadną miarą nie zaliczała się do mocnych stron archijereja), ale w końcu nie wytrzymał i przerwał wysoko postawionemu mówcy.

— Konstanty Pietrowiczu, jestem przekonany, że wiara prawosławna jest spośród wszystkich najprawdziwsza i najbardziej przepełniona miłosierdziem, ale przekonanie to nie bierze się z racji państwowych, tylko z potrzeby duszy. Jednakże, jak waszej ekscelencji wiadomo z naszych poprzednich rozmów, uważam za szkodliwe, a nawet występne, nawracanie innowierców na naszą religię za pomocą przymusu.

Pobiedin pokiwał głową — nie na znak zgody jednak, tylko z przyganą, jakby nie oczekiwał od biskupa niczego innego prócz nieuprzejmego przerywania i knąbrności.

— Tak, wiadomo mi, że wasza zawołńska... frakcja — to nieprzyjemne i, co gorsza, groźne słowo Pobiedin podkreślił dodatkowo intonacją — jest wrogiem wszelkiego przymusu.

W tym miejscu oberprokurator wytrzymał pauzę, po czym zadał druzgocący, bez wątpienia przygotowany zawczasu cios.

— Przymusu i przestępczości. — Znowu intonacja. — Nie podejrzewałem jednak, do jakiego stopnia posunęła się

wasza gorliwość w wykorzenianiu tej ostatniej. — Odczekawszy, aż na twarzy Mitrofaniusza pojawi się zaniepokojenie, ze złowrogą łagodnością zapytał: — Za kogo mieliście się wy i wasze otoczenie, władko? Za nowe wcielenia Vidocqa? Sherlocka Holmesa?

Siostra Pelagia, która była obecna przy rozmowie, w tym momencie pobladła i nie potrafiła powstrzymać cichego okrzyku. Dopiero teraz dotarło do niej, dlaczego przewielebnemu polecono wziąć na audiencję także ją, skromną mniszkę.

Oberprokurator natychmiast potwierdził niedobre domysły.

— Nie przypadkiem poprosiłem was, żebyście zechcieli przybyć z kierowniczką waszej słynnej szkoły klasztornej. Siostra zapewne myślała, że mowa będzie o nauczaniu?

Pelagia tak w istocie myślała. Błogosławieństwa do zajęcia stanowiska kierowniczką szkoły dla dziewczynek w Zawołzsku archijerej udzielił jej zaledwie pół roku temu, po śmierci siostry Krystyny, jednakże w tym krótkim czasie Pelagia zdążyła powprowadzać tyle reform, że mogło to wywołać niezadowolenie synodalnej zwierzchności. Gotowa była bronić każdej ze swych nowinek i przygotowała sobie w tym celu mnóstwo przekonujących argumentów, ale usłyszawszy o Vidocqu i o jakimś nieznanym Sherlocku (pewnie też detektywie, tak jak znamienity Francuz), całkowicie straciła głowę.

Tymczasem Konstanty Pietrowicz wyjmował już z oprawnej w płótno teczki kartkę papieru. Coś na niej wyszukał i stuknął w to miejsce białym kościstym palcem.

— Niechże mi siostra powie, czy nie zdarzyło się jej słyszeć o niejkiej Polinie Andriejewnie Lisicynej? Powiadają, że to bardzo mądra osoba. I bardzo dzielna. Miesiąc temu udzieliła policji nieocenionej pomocy w wyjaśnieniu nikczemnego zabójstwa protojereja Nektariusza Zaczatjewskiego.

Tu wlepił w Pelagię swoje sowie oczy.

Ona zaś, czerwieniejąc, wyjąkała:

— To moja siostra... Oberprokurator pokręcił z wyrzutem głową:

— Siostra? Bo ja mam inne informacje.

O wszystkim wie, zrozumiała mniszka. Co za wstyd! Tym większy, że skłamała.

— I jeszcze kłamiecie. Taka to Chrystusowa oblubienica — ukłuł w czułe miejsce Pobiedin. — Detektyw w riasie. Nieźle, co?

Zresztą, w spojrzeniu potężnego człowieka nie było gniewu, tylko raczej ciekawość. Jakże to — czernica, a bada przestępstwa kryminalne?

Pelagia już nie przeczyła. Spuściła głowę i spróbowała się wytłumaczyć.

— Proszę zrozumieć, łaskawy panie, kiedy widzę, jak triumfuje łotrostwo, a zwłaszcza kiedy oskarża się niewinnego, jak to miało miejsce we wspomnianej przez pana sprawie... Albo jeśli grozi komuś śmiertelne niebezpieczeństwo... — Tu zapłatała się i głos jej zadrżał. — Wtedy tutaj — zakonnica przyłożyła rękę do serca — jakby rozpałał mi się węgielek. I żarzy się, nie daje spokoju, dopóki prawda nie zwycięży. Zgodnie z moim powołaniem powinnam się modlić, ale nie mogę. Wszak Bóg nie oczekuje od nas bezczynności i daremnych narzekań, ale pomocy — takiej, na jaką każdego stać. A wtrąca się w ziemskie sprawy dopiero wówczas, kiedy w walce ze złem ludzkie siły słabną...

— Żarzy się, i to tutaj? — przerwał Konstanty Pietrewicz. — I nie możecie się modlić? Ojej. Ależ to bies w was siedzi, siostró. Wedle wszelkich oznak. W stanie zakonnym nie macie czego szukać.

Pelagia po tych słowach zmartwiała, ale na pomoc pospieszył Mitrofaniusz.

— Wasza ekscelencjo, ona nie jest winna. To ja jej poleciłem. To za moim przyzwoleniem.

Zdaje się, że zwierzchnik Synodu tylko na to czekał. To znaczy na pozór w ogóle tego nie oczekiwał i strasznie się zdumiał, zamachał rękami: nie wierzę, nie, nie wierzę. Wy?! Wy?! Gubernialny arcypasterz?

I zupełnie jakby utracił dar mowy. Twarz mu zszarzała, opuścił powieki. Po chwili powiedział z rezygnacją:

— Idźcie, władko. Będę się modlił, żeby Pan mnie oświecił, jak z wami postąpić...

Do takiej oto rozmowy doszło w Petersburgu. I na razie nie było jeszcze wiadomo, do czego ona doprowadzi, jakie pouczenie od Najwyższego w kwestii zawołzkiej frakcji uzyska oberprokurator.

— Trzeba by się pokajać przed Konstantym Pietrowiczem — przerwał milczenie Starowny. — Taki to człowiek, że okazanie mu pokory byłoby całkowicie na miejscu.

Miał zapewne rację. Konstanty Pietrowicz to człek szczególny. W cesarstwie rosyjskim, jak wyraziła się postać ze sztuki Ostrowskiego, „rzeczy niemożliwych było dla niego niewiele”. Zawołzczanie przekonali się o tym już na samym początku petersburskiej audiencji.

Na stole jego ekscelencji zadzwonił jeden z telefonów — ten najładniejszy: mahoniowy, z błyszczącą słuchawką. Pobiedin przerwał w pół słowa, podniósł palec ku ustom, drugą ręką zakręcił korbką i przyłożył do ucha trąbkę.

Sekretarz Starowny, który przysiadł z teczką (było w niej sprawozdanie z działalności diecezji) na brzeżku krzesła, domyślił się od razu, kto telefonuje, zerwał się i wyciągnął w postawie na baczność.

W całej Rosji była tylko jedna osoba, która mogła przerwać Konstantemu Pietrowiczowi. Poza tym wiadomo było, że gabinet oberprokuratora połączony jest z Pałacem specjalną linią.

Rzecz jasna, głosu monarchy goście słyszeć nie mogli, byli jednak pod wielkim wrażeniem, zwłaszcza formy, w jakiej Pobiedin, z ojcowską surowością, czynił wymówki pomazańcowi Bożemu.

— Tak, wasza wysokość, redakcja przysłanego przez waszą wysokość dekretu nie wydała mi się satysfakcjonująca. Przygotuję nową. Ponadto ułaskawienie zbrodniarza stanu także żadną miarą nie jest dopuszczalne. Niektórzy wasi doradcy pozwalają sobie na taką swobodę, że uważają za możliwe darowanie kary śmierci. Jestem Rosjaninem, żyję wśród Rosjan i wiem, co czuje naród i czego się domaga. Niechaj nie ma dostępu do waszego serca głos pochlebców i marzycieli.

Trzeba było widzieć w tym momencie oblicze Starownego: malowały się na nim i przerażenie, i trema, i świadomość współudziału w wielkiej tajemnicy Najwyższej Władzy.

Sekretarz przewielebnego był człowiekiem bez zarzutu — jeśli chodzi o sumienność i obowiązkowość, wręcz nienaganym — a jednak Mitrofaniusz nie miał dla niego serca. Najwyraźniej właśnie dlatego archijerej był dla ojca Serafima szczególnie łaskawy, przemagając serdecznością ciężki grzech nieuzasadnionej irytacji. Czasami zdarzało się, że tracił nad sobą panowanie, raz nawet cisnął w Starownego kamiławką, później jednak prosił zawsze o wybaczenie. Dobrotliwy sekretarz bał się, długo nie ośmielał się wymówić słów wybaczenia, jednak koniec końców wyduszał z siebie: „Przebaczam i wy mi przebaczcie”, po czym powracał spokój.

Pewnego razu, w związku z osobowością ojca Serafima, obdarzona żywym umysłem Pelagia wyraziła wobec Mitrofaniusza pogląd, że na świecie są ludzie żywi, prawdziwi, ale są też „podrzutki”, które tylko usiłują upodobnić się do ludzi. Zupełnie jakby podrzucano nam ich z innego świata albo może z innej planety po to, żeby nas śledziły. Jednym „podrzutkom” fałsz udaje się lepiej, i te są prawie nie do odróżnienia od prawdziwych ludzi, innym zaś gorzej, i od razu to widać. Takim nieudanym egzemplarzem jest właśnie Starowny. Gdyby mu zajrzeć pod skórę, to zapewne znalazłyby się tam jakieś śrubki i kółka zębate.

Władyka zbeształ mniszkę za tę „teorię”. Zresztą niepokorne myśli nawiedzały Pelagię często, więc przewielebny przyzwyczał się do tego i pouczał ją głównie dla porządku.

Archijerej wiedział, że ojciec Serafim marzy o wysokim cerkiewnym stanowisku. Dlaczego nie? I wykształcony, i obyczajny, a jak zadbany! Włosy i brodę sekretarz pielęgnował i utrzymywał w czystości, nie żałując pachnideł. Paznokcie polerował szczoteczką. Nosił szaty z cienkiego sukna.

Niby nie było w tym niczego nagannego, Mitrofaniusz sam wzywał duchowieństwo do zachowywania przyzwoitego wyglądu, a jednak pomocnik go drażnił. Zwłaszcza w czasie tej podróży, kiedy sfery niebieskie spuściły na przewielebnego ogniste błyskawice. Ani porozmawiać od serca z córką duchową, ani wyrazić rzeczy najgłębszych. Siedzi ta kwoka, małym grzebykiem rozczesuje wąsiki, milczy, milczy, a potem odezwie się nie w porę i zakłóci całą rozmowę — tak jak teraz.

Na wezwanie, aby pokajać się przed oberprokuratorem, Pelagia pospiesznie odrzekła:

— Cóż, bardzo proszę. Przysięgnę choćby przed świętą ikoną: nigdy więcej, pod żadnym pozorem, nie wetknę nosa w jakiegokolwiek śledztwo. Niechby to nawet była najbardziej tajemna z tajemnic. Nie zerknę nawet w tę stronę.

Mitrofaniusz zaś spojrział tylko z ukosa na sekretarza, ale nie odpowiedział.

— Chodźmy, Pelagijko, przejdziemy się po statku. Rozprostujemy kości... Nie, nie, Serafimie, ty siedź tutaj. Przygotuj mi papiery na konsystorz. Jak wrócę, to przeczytam.

I obydwójce z ulgą opuścili kajutę, zostawiając Starownego sam na sam z teczką.

Wszelkiego ciała po dwojgu

Po dolnym pokładzie nie chodzili, bo z powodu mgły nie można było dojrzeć ani Rzeki, ani nieba (samego pokładu zresztą też). Weszli na górę, gdzie grupkami siedzieli pasażerowie z najtańszymi biletami.

Przyjrawszy się poprzez mgłę całej tej pstrokaciznie, Mitrofaniusz rzekł półgłosem: „I ze wszech zwierząt wszelkiego ciała po dwojgu wwiedziesz.

Pobłogosławił chłopów pielgrzymów i dopuścił ich do ręki. Innych zaś, którzy na zawsze opuszczali Rosję i błogosławieństwa prawosławnego pasterza nie potrzebowali, objął jedynie smutnym spojrzeniem.

Ściszonym głosem rzekł do towarzyszki:

— To wszak jeden z najmądrzejszych ludzi i szczerze pragnie dobra dla ojczyzny, a w jakim trwa pobłądzeniu. Popatrz tylko, ile przynosi szkody.

Nazwiska nie wymienił, ale i tak było jasne, o kim mowa — o Konstantym Pietrowiczu.

— Przyjrzyj się owocom jego walki o dobro — ciągnął gorzko przewielebny, przechodząc obok sekciarzy i innowierców. — Wszyscy, którzy nie pasują do większości, którzy są dziwni — precz z państwa. Można ich nawet nie przepędzić, wyjadą sami z powodu ucisku i niechęci rządu. Wydaje

mu się, że Ruś stanie się dzięki temu bardziej zwarta i jednomyślna. Może i tak, ale jakże zblaknie, zmarnieje, zubożeje. Nasz prokurator pewien jest, iż on tylko wie, jak należy urządzić i ratować ojczyznę. Takie to teraz czasy, że nastała moda na proroków. Pojawiają się ze wszystkich stron. Niektórzy komiczni, jak nasz sąsiad Manujła. Inni poważniejsi, na przykład hrabia Tołstoj albo Karol Marks. Konstanty Pietrowicz też uroił sobie, że jest mesjaszem. Tyle że nie w skali ogólnoswiatowej, ale lokalnej, tak jak w czasach starotestamentowych, kiedy prorok objawiał się nie całej ludzkości, lecz tylko narodowi wybranemu...

Niewesołe utyskiwania biskupa przerwała czcigodna rodzinka, która także weszła na pokład szalupowy, aby pospacerować: przysadzisty pan domu, dama z robótką na drutach i dwójka nastoletnich dzieci — milutki gimnazjalista i ładniutka jasnowłosa panienska.

Gimnazjalista zerwał kaszkiet i ukłonił się, prosząc o błogosławieństwo.

— Jak pan ma na imię, młodzieńcze? — zapytał Mitrofaniusz miłego chłopca, żegnając znakiem krzyża całą rodzinę.

— Antinous, wasza przewielebność.

— To imię pogańskie, można go używać tylko w kręgu domowym. A ze chrztu?

— Antip, wasza przewielebność.

— Dobre imię, ludowe — pochwalił władyka.

Chłopiec musnął delikatnie wargami jego rękę, a wzruszony Mitrofaniusz pogładził Antipa-Antinosa po głowie.

Poszedł niespiesznie dalej, Pelagia jednak zatrzymała się — matka bogobojnego gimnazjalisty nadzwyczaj biegle nakładała pętelki. Mniszka sama także lubiła robienie na drutach i zawsze nosiła na szyi woreczek z robótką, wszakże z powodu małej sprawności palców wiecznie myliła kolejność i nie radziła sobie z węzełkami.

„W jaki sposób udaje się pani tak zręcznie nabierać oczka?” — chciała zapytać, gdy nagle zamrugała i przycisnęła okulary do nosa.

Mistrzynie miała dziwne ręce: szerokie i z włoskami na palcach.

Pelagia podniosła oczy i nad koronkowym kołnierzykiem ujrzała niekobiecą szyję z wystającą grdyką.

Zdumiewająca dama zatrzymała się, uchwyciwszy spojrzenie mniszki, i mrugnęła porozumiewawczo.

Jej rodzina ruszyła dalej, tak że obydwie entuzjastki robotek zostały same.

— Jest pani mężczyzną? — zapytała szeptem Pelagia, szeroko otwierając oczy.

Tamta skinęła i położyła palec na wargach: tsss.

— A... tamci to kto? — Zmieszana zakonnica wskazała głową barczystego pana i urocze potomstwo.

— Moja rodzina. — Przebieraniec miał głos wysoki, nieco piskliwy, od kobiecego niemal nieodróżnialny. — Mój mąż, Lew Iwanowicz. I nasze dzieciaczki, Antinous i Salomea. Jesteśmy sodomitami.

To ostatnie zdanie zostało wypowiedziane całkowicie normalnym tonem, jakby mówiący powiedział „jesteśmy raoskwianami” albo „jesteśmy menonitami”.

— S-sodomitami? To znaczy... to znaczy pederastami? — Pelagia zająknęła się, wymawiając wstydlive słowo. — A co z panienką? Poza tym... czy wy możecie mieć dzieci?

— Salomea nie jest panienką, dawniej pracował on w męskich łaźniach. Lowuszka go stamtąd zabrała. Taki delikatny, taki delikatny! A jak śpiewa! Antinous — ten jest wesoły, psotny, czasami i połobuzować lubi, ale Salomejka to po prostu anioł. Wszyscy trzej kochamy Lwa Iwanowicza — rzekł z rozmarzeniem niezwykle rozmówca. — To prawdziwy mężczyzna, nie to co inni. Kobieta to dla prawdziwego mężczyzny za mało, dla niego wszyscy mężczyźni są jak ko-

Wstyd było słuchać, ale zarazem ciekawie. Pelagia obejrzała się, jak daleko odszedł Mitrofaniusz. Byle tylko nie dowiedział się, biedny, kogo z taką łaskawością błogosławił.

Przewielebny był blisko. Zatrzymał się obok grupy Żydów i czemuś się tam przysłuchiwał. To dobrze.

— Wy tak od dawna? No... tak żyjecie? — spytała zaciekawiona mniszka.

— Ja od niedawna. Zaledwie od siedmiu miesięcy.

— A wcześniej?

— Wcześniej żyłem jak wszyscy. Miałem żonę, córeczkę. Pracowałem. Byłem nauczycielem w gimnazjum klasycznym. Łacina, greka. Dożyłem do czterdziestki, a nie wiedziałem, kim i czym jestem. Patrzyłem na życie jak przez zakurzone okno wagonu, a ono toczyło się wciąż obok i obok. Kiedy spotkałem Lwa Iwanowicza, okno natychmiast pękło i rozsypało się. Nie wyobraża sobie pani, jaka jestem szczęśliwa! Zupełnie jakbym zmartwychwstała!

— A cóż na to pańska rodzina? Mam na myśli tamtą rodzinę.

Nauczyciel z gimnazjum klasycznego westchnął.

— Co ja mogłem, kiedy tutaj była miłość i zmartwychwstanie? Wszystko im zostawiłem. Pieniądze w banku, ile tam tego było. Dom. Szkoda córeczki — bardzo była rozgarnięta. Ale lepiej jej bez takiego ojca. Niechaj pamięta mnie takim, jakim byłem dawniej.

Popatrzawszy na czepiec i jedwabną sukienkę zmartwychwstałej, Pelagia zdecydowała, że nie będzie podawać w wątpliwość tego twierdzenia.

— Gdzie się teraz udajecie?

— Do Sodomy — padła odpowiedź. — Przecież pani powiedziała: jesteśmy sodomitami.

Pelagia znowu przestała cokolwiek rozumieć.

— Do jakiej Sodomy? Do tej, którą Bóg zniszczył razem z Gomorą?

— Była zniszczona, ale teraz się odrodziła. Pewien amerykański milioner, mister George Cyrus, znany filantrop, odnalazł miejsce, gdzie znajdowała się biblijna Sodoma. Obecnie wznoszone jest tam rajskie miasto dla takich jak my. Żadnych policyjnych prześladowań, żadnej pogardy społecznej. I żadnych kobiet. — Rozmówca się chytrze uśmiechnął. — Wy i tak nie staniecie się takimi kobietami, jakimi mogą stać się mężczyźni. Chociaż, rzecz jasna, i u pani jest na co popatrzeć. — Dawny klasycysta obrzucił taksującym wzrokiem figurę zakonniczy. — Biust to nie sztuka, można podłożyć watę, ale już ramiona, linia bioder...

— Herodiado! Gdzie ty przepadasz? — dobiegł z mgły gromki głos. — Dzieci chcą z powrotem do kajuty!

— Idę, mój miły, idę! — Herodiada zakręciła się i pospieszyła na wezwanie ukochanego.

Nad jakimiż to istotami ma pieczę Pan Bóg, zadumała się Pelagia i ruszyła w stronę Mitrofaniusza.

Ujrzała, iż przewielebny zdążył przejść od działań pasywnych — przysłuchiwanie się cudzym wypowiedziom — do działań aktywnych: potrząsając prawicą, wyrzucał coś siwobrodemu rabinowi, otoczonemu gromadką wyrostków.

Z jakiego powodu zaczął się spór, siostra nie słyszała. Zapewne władyka, z właściwą mu dociekliwością, zaczął wypytywać Żydów, dokąd jadą i dla jakich przyczyn — czy za chlebem, czy z potrzeby wiary, czy też może uchodzą przed niesprawiedliwymi prześladowaniami — i przy okazji stał się ze swym judejskim odpowiednikiem.

— ...I dlatego zewsząd was przepędzają, bo wiele w was pychy! — grzmiał władyka.

Starozakonny odpowiadał mu równie tubalnie.

— Prawda jest taka, że mamy swoją dumę! To człowiekowi przypisane! Bo on jest koroną stworzenia!

— Ależ nie chodzi tu o dumę, tylko właśnie o pychę! Gardzicie wszystkimi, którzy żyją inaczej niż wy, wciąż boicie się powalać! Któż mógłby was za to kochać?

— Gardzimy nie ludźmi, ale ludzkim brudem! Jeśli zaś chodzi o miłość, to król Dawid powiedział: „Zewsząd otaczają mnie słowami nienawiści, zbroją się przeciwko mnie bez powodu; za miłość moją powstają na mnie, a ja się modłę”.

Podniecony oporem, Mitrofaniusz zawołał:

— I kogóż to kochacie oprócz swoich współplemieńców?! Nawet wasi prorocy zwracali się tylko do was, Żydów, nasi zaś święci troszczą się o całą ludzkość!

Pelagia pomyślała: szkoda, że oberprokurator nie słyszy, jak władyka gromi innowierców — dopiero by się ucieszył.

Słuchać dysputy było ciekawie, ale jeszcze ciekawiej obserwować: przy wszystkich religijnych różnicach oponenti i z temperamentu, i z powierzchowności niezwykle byli do siebie podobni.

— Nie odwracamy się od ludzkości! — Rabin potrząsał siwą brodą. — Nie zapominamy jednak, że złożono na nas ciężkie brzemię: dawania innym narodom przykładu wierno-

ści i czystości. Nasze szeregi stoją otworem dla każdego, kto pragnie być czysty. Jeśli zechcecie, to i was przyjmiemy!

— Nie mówicie prawdy! — zatriumfował Mitrofaniusz, a jego broda także zaczęła podskakiwać. — Oto owce owe zbłąkane, zwane „znajdami” — tu wskazał na trójkę włóczęgów, siedzących nieopodal w błazeńskich ubiorach z ciemnoniebieskimi lamówkami — które garną się do waszej wiary, wyrzekłszy się Chrystusa. I co? Przyjęliście ich do siebie, szanowny rebe? Nie, kręcicie nosem!

Rabinowi z oburzenia dech odebrało.

— Tych... przyjąć?! Tfu, tfu i jeszcze raz tfu na nich i na ich fałszywego proroka! W księgach Mojżeszowych powiedziano: „Mąż albo niewiasta, w których by był duch pythonów, albo wieszcz, śmiercią niech umrą: kamieniem je pobiją, krew ich niech będzie na nich”. Wiem, że to wy, ludzie Cerkwi, podłożyliście nam świnię, żeby poprzez waszego proroka Manujłę, jarmarcznego kłowna, wyśmiać naszą wiarę! To wasze popie podle zwyczaję!

Jeden z uczniów demaskatora, nieco starszy niż inni, pochwyił rabina za rękaw i przerażony zaszeptał coś do niego w jidysz. Pelagia zrozumiała tylko jedno słowo — „policja”. Jednak izraelita nie przestraszył się.

— Po krzyżu i po nakryciu głowy sam widzę, że to biskup. Niechaj się skarży. Proszę powiedzieć policji, że Aron Szefarewicz obraził w pańskiej osobie Cerkiew!

Słowa te podziały na przewielebnego w nieoczekiwany sposób. Zamiast rozpalić się jeszcze mocniej, zamilkł. Przypomnił sobie zapewne, że on, gubernialny archijerej, ma za sobą siłę i państwa, i panującego Kościoła. Jakaż tu może być dysputa?

Ponadto dostrzegł Pelagię, wobec której także zrobiło mu się wstyd.

— Nazbyt jesteście gniewliwi, rebe, podobnie jak wasz judejski Bóg — odezwał się po chwili. — Stąd głos Jego słyszy tak niewiele. Tymczasem nasz apostoł Paweł powiedział: „Wszelakie rozdrażnienie i złość niechaj będą od was oddalone”.

Wystrzelwszy do nieprzyjaciela tę ostatnią salwę, oddalił się z godnością, jednakże przesadnie wyprostowane plecy

i mocno splecione z tyłu ręce mówiły Pelagii wyraźnie, że Mitrofaniusz jest poważnie zirytowany — nie na zuchwałego rabina, rzecz jasna, lecz na samego siebie za to, że wdał się w próżną i nieprzystojną awanturę.

Doskonale wiedząc, że kiedy przewielebny jest w takim stanie ducha, lepiej trzymać się od niego z daleka, mniszka nie poszła za swym duchowym ojcem. Zresztą trzeba było uspokoić biednych Żydów.

— Jak się pan nazywa? — zapytała chudziutkiego, garbatonosego wyrostka, który patrzył z lękiem w ślad za biskupem.

— Szmulik — odpowiedział ów, zadrżawszy, i równie lekliwie popatrzył na mniszkę. — A co?

Jaki bladziutki, użaliła się nad chłopcem Pelagia. Powinien lepiej się odżywiać i częściej bawić na ulicy, zamiast tego z pewnością od rana do wieczora przesiaduje nad Talmudem.

— Proszę powiedzieć waszemu nauczycielowi, że nie trzeba się bać. Władyka Mitrofaniusz nie będzie się nikomu skarżył.

Szmulik pociągnął za okręcony wokół ucha pejs i uroczyście oznajmił:

— Rebe Szefarewicz nikogo się nie boi. To wielki człowiek. Wezwał go do Jeruzalaim sam chacham-basza, żeby pomógł mu umocnić święte miasto.

Kim jest chacham-basza, Pelagia nie wiedziała, ale skinęła uprzejmie głową.

— Jeruzalaim! Umocnić! — Szmulik dumnie błysnął oczami. — A? Oto jak cenią naszego rebe! Wiara jego jest twarda jak kamień. Wie pani, kim on jest? To nowy Szammaj!

O twórcy starożytnego ruchu faryzejskiego, nieprzejednanym Szammaju, mniszka trochę czytała. Jednakże jeśli chodzi o faryzeuszy, to bliższy jej był bardziej wyrozumiały Hillel, który, gdy go zapytano o istotę Prawa Bożego, odpowiedział jednym zdaniem: „Nie czynь drugiemu, co tobie niemiłe — oto i całe prawo, reszta zaś to tylko komentarze”.

Pokład znowu zaciągnęło postrzępioną watą, smętne postaci Żydów zakotłuszały się, zblakły i zaczęły przypominać widma.

Tym bardziej nieoczekiwany był śpiew, jaki nagle dotarł ze środka pokładu, gdzieś spod kapitańskiego mostka. Młode głosy bardzo zgodnie i składnie zaintonowały *Dubinuszkę*.

Może studenci?

Pelagia zapragnęła posłuchać, ale zanim przedarła się przez białą zawieszinę, śpiew ucichł. Ledwie zdążyli zacząć z uczuciem: „Spośród wszystkich pieśni jedna zapadła w mą pamięć — to pieśń roboczego artelu”. Chór zmieszał się, melodia załamała, a zgodne głosy rozsypały w nieskładnym rozgwarze.

Mniszka jednak nie zmieniła marszruty, postanowiła przyrzec się, co to za młodzież.

Nie, to nie byli studenci. Na pierwszy rzut oka bardzo ich przypominali — i z wyglądu, i z odzienia, ale po pierwszych słowach, jakie dotarły do Pelagii, stało się jasne, że są to przesiedleńcy do żydowskiej Palestyny.

— Mylisz się, Magellanie! — zawołał młodzieńczy głos. — Cywilizacja aryjska pragnie uczynić świat pięknym, żydowska zaś moralnym; oto podstawowa różnica. Obydwa zadania są ważne, ale trudno je pogodzić i dlatego trzeba nam budować własne państwo z dala od Europy. Będziemy uczyć się od nich piękna, a oni od nas moralności. Nie będzie u nas ani eksploatacji, ani zależności płci żeńskiej od męskiej, ani trywialnej burżuazyjnej rodziny! Staniemy się przykładem dla całego świata!

Ach, to ciekawe, pomyślała Pelagia i cichutko stanęła z boku. Zdaje się, że to właśnie syjoniści, o których tyle się pisze i mówi. Jacy sympatyczni, jacy młodzi i jacy delikatni, zwłaszcza panienki.

Nawiasem mówiąc, młodego człowieka z szyperską bródką (tegoż Magellana, do którego zwracał się orator) trudno byłoby nazwać delikatnym. Przede wszystkim był starszy od pozostałych — miał zapewne około dwudziestu pięciu lat. Spokojne niebieskie oczy spoglądały na rozpalonego mówcę z pobłażliwym uśmiechem.

— Najważniejsze, żebyśmy w Palestynie nie zdechli z głodu, nie zaczęli kwękać, nie pożarli się między sobą — odpowiedział spokojnie. — O ideałach moralnych zaś pomyślimy później.

Pelagia pochyliła się nad miłą dziewczyną w dziecięcych spodenkach (zdaje się, że nazywają się one z angielska szortami) i zapytała szeptem:

— Macie tu komunę, tak?

Dziewczyna zwróciła ku górze okrągłą twarz i uśmiechnęła się.

— Oj, zakonnica! Tak, jesteśmy członkami komuny „Megiddo-Chadasz”.

— A co to znaczy? — Zaciekawiona mniszka przykucnęła.

— „Nowe Megiddo”. *Megiddo* oznacza w starohebrajskim „Miasto Szczęścia”. Takie miasto rzeczywiście istniało, w Dolinie Izraelskiej, i zostało zniszczone — albo przez Asyryjczyków, albo przez Egipcjan, nie pamiętam. My odbudujemy Megiddo, już nawet kupiliśmy od Arabów ziemię.

— To wasz przywódca? — Pelagia wskazała brodatego mężczyznę.

— Kto, Magellan? My nie mamy przywódców, wszyscy jesteśmy równi. On po prostu ma doświadczenie. Był już w Palestynie i żeglował po wszystkich morzach — stąd przydomek „Magellan”. Czy wie pani, jaki on jest? — W głosie gołonożnej panienki zabrzmiał nieklamany zachwyt. — Z nim nic nie jest straszne! W Połtawie „oprycznicy” chcieli go zabić za to, że zorganizował żydowską samoobronę. Ostrzeliwał się. Teraz szuka go policja! Och! — Panienka przeraziła się, że wyapała zbyt dużo, i przykryła dłonią usta. Pelagia jednak udała, że słowa o policji do niej nie dotarły albo że ich nie rozumiała; wiadomo wszak, że mniszki nie są zbyt rozgarnięte i że w ogóle nie są z tego świata.

Dziewczyna natychmiast uspokoiła się i zaczęła trajkotać dalej.

— To Magellan wymyślił Miasto Szczęścia. Poza tym zebrał nas i zdobył pieniądze. Całe trzydzieści tysięcy! Wyobraża sobie pani? Przekazał je do banku w Jaffie, zostawił nam na drogę tylko po osiem kopiejek na osobę dziennie.

— Dlaczego tylko osiem? To bardzo mało.

— Koloseusz... jest studentem historii... — dziewczyna wskazała na jednego z młodych ludzi, niesłychanie chudego i przygarbionego — wyliczył, że właśnie taka suma... rzecz jasna, po przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze... wystarczała

rolnikowi w czasach króla Salomona. A zatem i nam powinna wystarczyć. Przecież my teraz też jesteśmy rolnikami. Pieniądze bardziej przydadzą nam się w Palestynie. Trzeba będzie kupować bydło, osuszać bagna, budować domy.

Pelagia popatrzyła na cherlawego Koloseusza. Jakże on może machać motyką albo chodzić za pługiem?

— Ale dlaczego „Koloseusz”? Nie jest on zbyt wielki.

— W ogóle to nazywa się Fira Głuskin, a Koloseuszem ochrzcił go Magellan. Bo wszyscy mówią o „ruinach Koloseum”, a Fira to jedna chodząca ruina — ma wszystkie choroby świata: i skrzywienie kręgosłupa, i płaskostopie, i zapalenie zatok. Też jednak jedzie.

Przedmiot rozmowy pochwyli! na sobie współczujące spojrzenie mniszki i wesoło zawołał:

— Hej, siostrzyczko, jedź z nami do Palestyny!

— Przecież nie jestem Żydówką — zmieszała się Pelagia, widząc, że patrzy na nią cała kompania. — I raczej nigdy się nią nie stanę.

— I nie trzeba — zaśmiał się jeden z członków komuny. — Podrabianych Żydów starczy nam i bez pani. Proszę tylko popatrzeć na tych tam!

Wszyscy odwrócili się i także zaczęli się śmiać. Nieopodal trójka „znajd”, nakrywszy głowy tałasami, wybijała pokłony. Dobiegały gorliwe, soczyste uderzenia czół o pokład.

— Nic w tym śmiesznego, durnie — wycedził Magellan. — Tu na wiorstę pachnie Ochroną. Ten ich Manujła pensję pobiera na Gorochowej, węch mam dobry. Wziąć by paskudnika za nogi i łbem o pacholek cumowniczy...

Syjniści zamilkli, a Pelagii żal się zrobiło „znajd”. Nikt ich, biedaków, nie lubi, wszyscy dokuczają. To nie znajdy, tylko jakieś sieroty. Nawiasem mówiąc, ciekawe, skąd mają takie dziwne przezwanie? Podeszła, aby zapytać, ale powstrzymała się — w końcu ludzie się modlą.

Spostrzegła się, że zbyt długo spaceruje. Władyka będzie niezadowolony. Trzeba wstąpić do niego — pokazać się, życzyć dobrej nocy, a potem do siebie, do drugiej klasy. Poczytać książkę, przygotować się do lekcji. Wszak jutro już w domu.

Zeszła po schodkach na dolny pokład.

Szklane Oko

Wydawało się, że ponad Rzeką, ponad oblanymi wodą brzegami i ponad mgłą płonie zorza — w każdym razie z przodu mgła była lekko zaróżowiona. Zwabiona ową magiczną świetlistością, Pelagia przeszła na dziób parowca. Może nagle choć na chwilkę wiatr dokona wyłomu w dokuczliwej zasłonie i pozwoli nacieszyć się widokiem przedwieczornego nieba?

Na dziobie wiatr w istocie wiał, ale nie był wystarczająco mocny, by odsłonić zachodzące słońce. Pelagia chciała zawrócić, gdy nagle zauważyła, że nie jest sama.

Przed nią na wyplatanych krześle siedział jakiś człowiek, opierając o poręcz długie nogi w wysokich butach. Widać było wyprostowane plecy, szerokie ramiona, czapkę z zagiętym daszkiem. Mężczyzna zaciągnął się papierosem i wypuścił obłoczek dymu, który momentalnie rozplynał się we mgle.

Nagle odwrócił się — raptownie, z kocią szybkością. Usłyszał pewnie oddech albo szelest szaty.

Na Pelagię patrzyła wąska trójkątna twarz z ostrymi, sterzącymi na boki wąsami. W spojrzeniu nieznanego mniszka dostrzegła coś dziwnego: niby patrzył na nią, ale jakby nie całkiem.

Zmieszana, że zakłóciła samotność palacza, wymamrotała:
— Proszę o wybaczenie...

I niezręcznie ukłoniła się, co było już zbędne. Tym bardziej że wąsacz nie odwzajemnił się podobną uprzejmością.

Wręcz przeciwnie — ni stąd, ni zowąd wyciął numer: wyszczerzył się od ucha do ucha, podniósł rękę ku twarzy i — o zgrozo — wyjął z oczodołu lewe oko!

Pelagia zakrzyknęła i cofnęła się, ujrzawszy na dłoni błyszczącą kulkę z tęczowym kółkiem i czarną kropką źrenicy. Dopiero po chwili domyśliła się, że oko jest szklane.

Kawalarz zachichotał sucho, zadowolony z efektu. Uragliwym, skrzypiącym głosem powiedział:

— Mniszka, a taka ważniaczka. Grzech, mateczko, po gardzać biednym kaleką.

Jakiż nieprzyjemny człowiek, pomyślała siostra i odwróciła się pospiesznie, by odejść. Jeśli nie chce, żeby ktoś naru-

szał jego odosobnienie, mógłby dać to do zrozumienia delikatniej.

Szła wzdłuż burty, prowadząc walkę z biesem obrazy. Wzięła górę nad kosmatym szybko, bez większego wysiłku — lata w zakonie zrobiły swoje.

Z przodu, tam mniej więcej, gdzie powinna być kajuta Mitrofianusza, powiewało coś białego.

Kiedy podeszła bliżej, ujrzała, że to poruszają się zasłonki — i nie w kajucie archijereja, tylko w sąsiedniej, w której podróżuje osławiony prorok. Na pewno otworzył okno i zapomniał o tym. Sam zaś wyszedł albo zasnął.

Strasznie zachciało się choć okiem rzucić na tymczasowe przytulisko szarlatana. Jeśli przejść po prostu obok i całkiem nieznacznie zerknąć, to chyba nic takiego?

Na wszelki wypadek rozejrzała się i przekonała, że wokół nie ma żywej duszy, zwolniła więc kroku, żeby mieć czas zerknąć dokładniej.

U Manujły paliła się lampa — bardzo sposobnie.

Pelagia statecznie doszła do okienka, kątem oka spojrzała w prawo i omal się nie potknęła.

Prorok był u siebie i, jak się zdawało, spał, tyle że nie na kanapie jak każdy normalny człowiek, ale na podłodze, i to z rozkrzyżowanymi rękami. Może u tych „znajd” jest to przyjęte? A może Manujła złożył jakieś szczególne śluby?

Mniszka podeszła się nieco bliżej okna i uniosła na palcach.

Coś dziwnego — na twarzy śpiącego białeły w oczodołach dwa jajka. Pelagia przycisnęła okulary do nosa i zmrużyła oczy, żeby lepiej przyjrzeć się dziwowisku.

Chwilę później, kiedy wzrok przystosował się do przyćmionego oświetlenia kajuty, już było wiadomo: to nie jajka, ale coś tak strasznego, że usta Pelagii otwarły się same — powinny były wydać krótki, godny zakonnicy okrzyk: „O Boże!”, zamiast tego jednak wyrzuciły z siebie histeryczny babski pisk.

II

ROZWIĄZUJEMY REBUSY

Jak należy fotografować zwłoki

— Prawą rękę z bliska — polecił śledczy Dolinin policyjnego fotografowi, kiwając jednocześnie palcem na Pelagię. — Proszę przyjrzeć się, siostró, obecnym prorokom. Już prawie wyzionął ducha, a wciąż nie mógł się rozstać z pieniędzmi.

Pelagia podeszła i przeżegnała się.

Śmierć Manujły była wyjątkowo drastyczna. Ktoś zmiażdżył mniemanemu prorokowi potylicę uderzeniem o niezwykłej sile, po którym wyskoczyły mu z orbit gałki oczne. To one właśnie w półmroku wydały się mniszce kurzymi jajkami.

Fragmenty mózgu i odpryski kości znajdowały się i na poduszce, i na dywanie. Oględziny zwłok były nieprzyjemne również dlatego, że zadarta koszula nocna odsłaniała biały owłosiony brzuch i wstydlive miejsce nieboszczyka, na które zresztą zakonnica starała się nie patrzeć. W zaciśniętych palcach Manujła trzymała strzęp sturublowego banknotu.

Błysnęła oślepiająco magnezja, ale śledczy nie był zadowolony.

— Nie, nie, mój drogi. Magnezję należy sypać po obydwu stronach aparatu, bo inaczej pojawią się cienie. I nie na kupkę, ale smugami — dłużej będzie się paliła. Statyw do zdjęć wertykalnych, rzecz jasna, nie macie? Och, prowincja ukochana...

Lekarz sądowy obracał głowę martwego, trzymając ją za włosy.

— Co za cios! — Obwiódł palcem regularną dziurkę wielkości srebrnego rubla. — Jaka siła, jaka gwałtowność! Penetracja bardzo głęboka, a obrys prawidłowy, owalny, o rów-

nych krawędziach. Nigdy nie widziałem takich obrażeń, nawet w podręczniku.

— Taak, to niezwykle — zgodził się Dolinin i pochylił. — Może młotkiem? Ale jaka to szatańska siła! Żeby gałki oczne wypadły z orbit... no, to powiem wam...

W kajucie surowo pachniało wysychającą krwią. Pelagię mldliło. Najgorsze było to, że przykra woń mieszała się z zapachem wody kolońskiej, jaki roztaczał kapitan „Jesiotra”. Obecny był przy oględzinach z racji obowiązków służbowych, ale stał skromnie z boczku i nie plątał się specjalistom pod nogami.

Siostra zamknęła oczy, walcząc z nudnościami. Nie ma na świecie widoku straszniejszego i bardziej przygnębiającego niż pozbawiona dostojeństwa i obnażona tajemnica śmierci. I jeszcze ten zmięty banknot...

— Na członku ślady obrzezania, stosunkowo niedawne — oznajmił lekarz, kontynuując oględziny. — Blizna jeszcze nie zbladła. Było to jakieś siedem, osiem miesięcy temu, nie wcześniej.

Pelagia odczekała, aż lekarz i fotograf zakończą swoją pracę i odejdą od nieboszczyka, i poprosiła śledczego, by pozwolił odmówić jej modlitwę. Uklękła i przede wszystkim okryła nagość martwego. Potem wyjęła z bezwładnej ręki świstek papieru. Oczekiwała, że zeszywniałe palce nie zechcą rozstać się ze swą własnością, tymczasem dała się ona wyciągnąć zdumiewająco łatwo.

Przekazując dowód śledczemu, Pelagia powiedziała:

— Dziwne. Czyżby spał, ściskając w dłoni pieniądze? Albo, już z rozbitą głową, próbował wyrwać je z rąk złoczyńcy?

Dolinin przez chwilę milczał, patrząc z zainteresowaniem na czernicę w okularach. Potem chrząknął i potarł nos nad *pince-nez*.

— W istocie. *Merci* za spostrzegawczość. Zgodnie z zeznaniem współtowarzyszy Manujły pieniądze — albo, jak oni to nazywają, „kasa” — znajdowały się w szkatułce pod poduszką... Szkatułki, rzecz jasna, brakuje. Hmm. Z tak rozwaloną czaszką chwycić zabójcę za ręce? Cuda. Zapiszemy pod hasłem „rebusy”.

I rzeczywiście zapisał coś w oprawnym w skórę notesie. Pelagii to się spodobało: człek nie spieszy się z wyciąganiem wniosków.

W ogóle Dolinin jej się podobał, bo pracował rozumnie i dokładnie — od razu widać, że fach śledczy zna i lubi.

Można by rzec, że prorokowi Manujle poszczęściło się ze śledczym.

Mistrzowi robota posłuszna

Początkowo wszystko wyglądało inaczej.

Na krzyki mniszki pod okno kajuty zbiegli się ludzie i przerażeni podnieśli harmider. Jeszcze więcej hałasu narobiły „znajdy”. Dowiedziawszy się, że ich przywódca został zabity, zaczęły wrzeszczeć i lamentować.

— Rety! Gwałtu! Biada! Ratunku! Elohim!

Najczęściej jednak powtarzało się słowo: „Kasa! Kasa!”

Pojawił się kapitan, ale zamiast zaprowadzić porządek, powiększył jeszcze rozgardiasz — czy to z przestachu, czy też z racji pewnej nietrzeźwości.

Szef parowca przeobraził się w miotającego gromy Zeusa. Przed fatalną kajutą i pod jej oknem wystawił warty złożone z marynarzy, uzbrojonych w sprzęt pożarniczy. Pasażerom pierwszej i drugiej klasy nakazał siedzieć w kajutach i nie wytykać stamtąd nosa; pokładowych spędził na rufę i umieścił pod strażą dwóch umorusanych palaczy z łopatami w rękach. Sam zaś włożył paradny biały mundur, z boku przywiesił ogromny rewolwer, a dla zabicia wódczanego zapachu wylał na siebie cały flakon wody kolońskiej.

Przystań w powiatowym Ust-Swijażsku „Jesiotr” minął i rzucił kotwicę dopiero na wysokości miasta. Wbrew rozkładowi stanął z dala od cumowiska. Do władz został wydelegowany pierwszy oficer, który opuścił pokład w szalupie.

Po godzinie pasażerowie kajut usytuowanych z prawej burty ujrzeni, jak z kłębiącej się nad wodą wieczornej mgły wynurza się łódka pełna ludzi, przeważnie w mundurach, ale byli też i cywile.

Przeprowadzić dochodzenie pofatygował się nie jakiś tam

cyrkulowy i nawet nie przystaw. To znaczy, byli, rzecz jasna, wśród przybyłych i przystaw, i inne szarże, z naczelnikiem powiatowej policji włącznie, ale główną personą okazał się szczupły mężczyzna po cywilnemu. Jego mądre, bystre oczy rzucały zimne błyski poprzez *pince-nez*, a wąska dłoń co rusz przyglądała bródkę w klin. W klapie surduta połyskiwał uniwersytecki znaczek.

Cywil okazał się wielką figurą, członkiem Rady Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nazywał się Sergiusz Siergiejewicz Dolinin. Później od miejscowych urzędników policyjnych dowiedziano się, że jego ekscelencja jeździł po guberni kazańskiej z ważną inspekcją. Gdy dowiedział się o zabójstwie, do którego doszło na parowcu Towarzystwa „Nord”, wyraził życzenie osobiście pokierować śledztwem.

Sam Sergiusz Siergiejewicz w rozmowie z przewielebnym Mitrofianuszem (uznał za swój obowiązek odwiedzić go natychmiast, gdy tylko znalazł na liście pasażerów tak ważną osobistość) objaśnił własną gorliwość szczególnym znaczeniem osoby zamordowanego.

— Niezwykle skandaliczną figurą był pan Manujła. Ośmielał się zapewnić was, władzyko, że szum i hałas podnie się na całą Rosję. Jeśli, rzecz jasna... — Tutaj Dolinin urwał, nie dopowiadając zdania. Jakie owo „jeśli” miało znaczenie, pozostało niewiadome.

Pelagii, która była z Mitrofianuszem, wydało się, że przy słowach „hałas na całą Rosję” szare oczy śledczego zabłysły. No cóż, przerost ambicji to w przypadku człowieka na służbie grzech wybaczalny, możliwe nawet, że to w ogóle nie grzech, sprzyja bowiem pilności.

Nader prawdopodobne, że wizyta Sergiusza Siergiejewicza u archijereja wynikała nie z kurtuazji, ale z całkiem innego powodu — natury praktycznej. W każdym razie Dolinin, ledwie skończył z należnymi wyrazami szacunku, obrócił się ku Pelagii i powiedział rzeczowo:

— To pani, zdaje się, jest tą mniszką, która znalazła ciało? Świetnie. Za pozwoleniem jego przewielebności (krótki ukłon w stronę Mitrofianusza) zmuszony jestem prosić panią, siostrze, o udanie się ze mną na miejsce zbrodni.

W ten sposób Pelagia znalazła się wśród niewielu osób

w wywołującej mdłości, przesyconej zapachem krwi i kwiatowej wody kolońskiej kajucie.

Gdyby nie ów zapach i obecność zniekształconego ciała, obserwowanie sprawnych, profesjonalnych działań Sergiusza Siergiejewicza byłoby czystą przyjemnością.

Zaczął od tego, że szybko naszkicował w notesie plan kajuty, przez cały czas wypytując przy tym siostrę.

— Róg dywanu był zagięty? Jest pani pewna? Okno było podniesione dokładnie dotąd? Na pewno? Narzuta leżała na podłodze?

Był zadowolony ze ścisłości odpowiedzi, nawet pochwalił.

— Jest pani wyjątkowym świadkiem. Doskonała pamięć wzrokowa.

Spojrząwszy na rysunek śledczego, który wyglądał dosyć niezwykle, Pelagia ze swej strony zapytała:

— Co to takiego?

— To nazywa się szkicem — odrzekł Dolinin, szybko kreśląc ołówkiem. — Schemat miejsca zbrodni. Tutaj mamy skalę w metrach. Litery oznaczają strony świata, to konieczne. Ponieważ jesteśmy na statku, rolę północy pełni dziób (D), a rolę wschodu sterburta (S) — prawa burta.

— Wie pan — powiedziała Pelagia — krzesło stało gdzie indziej. Kiedy zajrzałam do kajuty, było tam — wskazała, gdzie stało krzesło. — I papiery na stole leżały równo ułożone, a teraz są porozrzucane.

Sergiusz Siergiejewicz obrócił głowę w prawo, w lewo i szturchnął palcem kapitana:

— Co to, pozwoliliście sobie na samowolę, kochaneczku?

Ów przełknął ślinę i ze skrucną rozłożył ręce.

Przejrzawszy rozrzucone po stole kartki, śledczy podniósł jedną, zapisaną koślawymi drukowanymi literami. Przeczytał:

— *Baruch ata Adonaj Elohenn melech ha-olam...* — Odłożył. — To jakaś żydowska modlitwa.

Pelagia, która — gdy przykryto nieboszczyka — poczuła się nieco pewniej, wciąż się rozglądała.

Sama się dziwiła, ile rzeczy zapamiętała w tej krótkiej chwili, zanim zaczęła krzyczeć.

— Poza tym nie było tutaj tej fajki — wskazała na piankową fajkę, która leżała na dywanie.

Obok Dolinin zdążył już umieścić kartkę z cyfrą 8, a sam dowód rzeczowy przykrył z jakiegoś powodu szklanym słótkiem.

— Jest pani tego całkowicie pewna? — zmartwił się.

— Tak. Zwróciłabym uwagę.

— Co za przykrość! Odpadł mi jeden z najważniejszych dowodów. A ja, dureń, przykryłem ją, żeby nie zniknęły mikroskopijne drobiny.

Sergiusz Sergiejewicz przywołał kapitana i zapytał go o fajkę. Ten potwierdził.

— Tak jest. To fajka bosmana Sawienki, który wchodził tutaj ze mną i przyświecał w kątach latarnią. Musiał upuścić, nie inaczej.

— To dopiero siostrzyczka! — zachwycił się Dolinin. — Miałem szczęście, że na panią trafiłem. Wie pani co, moja droga, proszę jeszcze się rozejrzeć. Kto wie, może znowu coś pani zauważy albo przypomni sobie.

Dalej, rozmyślając głośno (śledczy miał taki zwyczaj), zwracał się wyłącznie do Pelagii, nie zaszczycając uwagę innych obecnych, w tej liczbie także naczelnika powiatowej policji. Najwyraźniej zwracanie się z retorycznymi pytaniami do bystrej mniszki było dla Sergiusza Sergiejewicza ciekawsze albo, by tak rzec, bardziej egzotyczne.

— No cóż, siostro, obejrzymy teraz ubranie? — mówił, przeglądając odzież zabitego: nankinowe spodnie, kamizelkę, pelerynę z białego płótna z ciemnoniebieskim pasem. — Taak. Metki na spodniach nie ma. Byle jakie spodenki, kupione u tandeciarza. A płynął pierwszą klasą i miał „kasę”. Skąpiradło... Co mamy na koszuli? Czy jest znaczek z pralni? Co pani o tym sądzi, siostrzyczko?... Słusznie pani sądzi, nasz prorok z usług pralni nie korzystał... Buty na razie odłożymy, trzeba będzie je rozpruć...

Skończywszy z odzieżą, Dolinin rozejrzał się i sam do siebie skinął.

— No cóż, w kajucie chyba wszystko. Rozejrzemy się dookoła. I, rzecz jasna, zaczniemy, moja droga, od sposobu dostania się do środka.

Pokombinował przy drzwiach, po czym osobiście odkręcił i wyjął zamek. Zbadał go przez lupę.

— Zadrapania — wymruczał. — Świeżutkie. Wytrych? A może nowy klucz? Ustalimy.

Potem przeniósł się pod okno. Coś go tam zainteresowało: wszedł kolanami na stolik, pochylił się.

Wyciągnął do tyłu rękę i niecierpliwie pstryknął palcami.

— Światło tutaj, światło!

Rzuciło się do niego dwóch naraz — kapitan i naczelnik policji. Pierwszy podawał lampę naftową, drugi elektryczną latarkę.

Dolinin dał pierwszeństwo postępowi.

Świecąc latarką na fugę ramy, powiedział:

— Łapeeczka była w robocie. Jaaasne. Oto, siostrzyczko, rozwiązanie pani rebusu. Proszę spojrzeć.

Pelagia spojrzała, ale niczego szczególnego nie zobaczyła.

— No jakże? — zdziwił się Sergiusz Siergiejewicz. — Ob-
luzowane wkręty. I ślady oliwy. Był tu „razyńiec”, to ich spo-
soby.

Po czym wyjaśnił Pelagii, kim są „razyńcy”. Ona zaś, choć
wychowana nad Rzeką, nigdy o nich nie słyszała.

— Obraz się rozjaśnia — oznajmił z zadowoloną miną
śledczy. — Mistrzowi robota posłuszna. Manujta obudził
się, kiedy złodziej wyciągnął już spod niego szkatułkę. Do-
szło do walki. „Razyńcy” zwykle unikają mokrej roboty, ten
jednak, jak się zdaje, oszalał od dużych pieniędzy. Albo się
przestraszył. No i stuknął.

Ktoś zapukał do drzwi. Wsunęła się głowa w służbowej
czapce.

— Wasza ekscelencjo, to znaleźli na pokładzie. Przy burcie.

Sergiusz Siergiejewicz odebrał od policjanta płócienny
worek z przerwany sznurkiem i zaczął w nim grzebać. Wy-
jął okulary w złotych oprawkach, porcelanową fajkę, metr
krawiecki, kauczukową piłeczkę. Ze zdumienia czoło śled-
czego pofałdowało się, lecz niemal natychmiast wygładziło.

— Ależ to „tylnik”! — zawołał mistrz śledztwa. — Wo-
rek, do którego „razyńcy” chowają zdobycz. Oto ma pani
potwierdzenie mojej hipotezy!

— Dlaczego zatem złodziej go porzucił? — zapytała Pe-
lagia.

Dolinin wzruszył ramionami.

— Na co „razyńcowi” ten cały chłam, gdy trafiła się prawdziwa wziętka? Zerwał z ramienia, żeby nie przeszkadzał, i wyrzucił. Poza tym po zabójstwie nie czuł się pewnie. Brak praktyki.

Wszystko się zgadzało. Pelagia była pod wrażeniem przenikliwości petersburżanina, jednak jej myśl pobiegła już dalej.

— Jak rozpoznać, który z pasażerów jest „razyńcem”? Czy mają oni jakieś cechy szczególne?

Sergiusz Sergiejewicz uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Jeśli mamy tu „razyńca”, a mamy niezawodnie, to już dawno ślad po nim przepadł.

— Gdzie mógł się podziać? Z parowca nikogo nie wypuszczano. Przecież „Jesiotr” nie przybijał do brzegu.

— Co z tego? Zimna woda to dla „razyńców” fraszka — pływają jak wodne szczury. Zsunął się do wody po łańcuchu kotwicznym i tyle go widzieli. Albo wyskoczył jeszcze wcześniej, zaraz po zabójstwie. To nic. Trzeba trochę czasu. Teraz, siostrzyczko, to kwestia czasu. Roześlę zapytania do wszystkich nadrzecznych urzędów. Znajdziemy go bez trudu... Czemu pani się tam przygląda?

Słuchając Dolinina, mniszka podeszła do kanapy i ostrożnie dotknęła poduszki.

— Nie zgadza się — mówiła, pochylając się nad poszewką. — W żaden sposób się nie zgadza.

— Co takiego się nie zgadza? — Śledczy zbliżył się do niej. — No, no, proszę wyjaśnić.

— Pańskie rozwiązanie rebusu nie pasuje. Nie było żadnej walki i ofiara nie chwytła zabójcy za ręce. Zabito ją na łóżku. Proszę spojrzeć — wskazała Pelagia — na poduszce odcisnęła się twarz. To oznacza, że w momencie uderzenia Manujła leżał na brzuchu. Wokół widać owalne ślady krwi, a zatem kapiała ona z góry na dół. Gdyby szarpnął się, podniósł głowę, to ślady byłyby podłużne.

Spieszony Sergiusz Sergiejewicz wymamrotał:

— Bo i prawda... Zresztą zacieki krwi na twarzy także układają się w kierunku od potylicy do nosa. Ma pani rację. Przyznaję, to moje niedbalstwo. Przepraszam, ale jak wobec tego zwłoki znalazły się na podłodze, i to jeszcze w takiej pozie?

— Zabójca ściągnął je z kanapy. Zadarł koszulę i wsunął w rękę kawałek sturublówki. To jedyne możliwe wyjaśnienie. Po co to zrobił — nie podejmuję się zgadywać.

Śledczy z zakłopotaniem wpatrywał się w zakonnice, po czym potrząsnął głową.

— To jakieś bzdury. Nie, nie, siostró, myli się pani. Sądzę, że sprawa wyglądała inaczej. Nie wyobraża sobie pani, do jakiego stopnia żywotni są tak zwani prorocy i starcy. Kryje się w nich zaiste szatańska energia, więc uśmiercenie tych opętańców nie jest takie proste. Pamiętam, miałem podobny przypadek, kiedy byłem jeszcze śledczym sądowym. Prowadziłem sprawę zabójstwa pewnego proroka skopców. Jego duchowi synowie niemal całkowicie odrabali mu toporem głowę, wisiała tylko na jednym strzępie skóry. Prorok zaś, proszę sobie wyobrazić, jeszcze przez jakąś minutę biegał po pokoju i machał rękami. Krew bije z niego fontanną, głowa majta się z tyłu niczym plecak, a on biega. Zapewne z naszym Manujłą zdarzyło się to samo. „Razyniec” uznał, że go zabił, stanął pośrodku kajuty i wziął się do przeliczania banknotów. Nieboszczyk tymczasem nagle się ocknął i rzucił, by odebrać pieniądze.

— Z taką dziurą? Z uszkodzonym mózdzkiem? — wyraził wątpliwość lekarz. — Zresztą wszystko może się zdarzyć... Fizjologia przedśmiertnych konwulsji nie jest przez naukę dostatecznie zbadana.

Pelagia nie oponowała — wersja Sergiusza Siergiejewicza wyglądała bardziej przekonująco niż jej własna. Wydawało się, że ów rebus został mimo wszystko rozwiązany.

Wkrótce jednak pojawiły się inne.

Pasażer z trzynastki

— Jak pan sobie życzy, ale koszulę martwemu tak czy owak sprawca zadarł — powiedziała Pelagia. — Zwrócił pan uwagę na fałdy? Ułożyły się od strony piersi w literę „V”. Przy upadku tak by się nie stało.

— Doprawdy? — Dolinin spojrział na martwe ciało, ale dzięki staraniom obyczajnej zakonnicy koszula była obciążona, tak więc nie zachowały się żadne fałdy.

Siostry to nie stropiło.

— Zobacz pan później na fotografiach. Wygląda na to, że zabójca nie tylko w ogóle się nie przeraził tym, co zrobił, lecz jeszcze chciał się ponaigrawać... By tak postąpić, trzeba mieć szczególną mentalność.

Sergiusz Sergiejewicz z niezwykłą uwagą popatrzył skrupulatnemu świadkowi w oczy.

— Wyczuwam, że mówi to pani nie bez powodu. Ma pani podstawy, by kogoś podejrzewać?

Przenikliwość śledczego zmusiła siostrę do spuszczenia wzroku. Podstaw do podejrzeń nie miała żadnych, bo i mieć nie mogła. Ale paskudny wyczyn zbezczeszczenia martwego ciała, a jeszcze bardziej gałki oczne, które wypadły z orbit, przypomniały jej inny psikus podobnego rodzaju. Powiedzieć czy raczej nie?

— No — ponaglił ją Dolinin.

— To nawet nie podejrzenie... — zawahała się mniszka. — Po prostu podróżuje z nami pewien pasażer... Taki wysoki, wąsaty, w botfortach. Ponadto ma szklane oko... Gdyby tak dowiedzieć się, co to za człowiek...

Śledczy patrzył na Pelagię spode łba, nachmurzony, zupełnie jakby próbował wyczytać z jej twarzy to, czego nie powiedziała.

— Rosły, z długimi wąsami, w botfortach, ze sztucznym okiem — powtórzył opis i zwrócił się do kapitana. — Jest tu ktoś taki?

— Tak, w kajucie numer trzynaście. Pan Ostrołyżeński. Bilet ma z Niżniego do Kazania.

— W trzynastej?

Dolinin szybko odwrócił się i wyszedł.

Pozostali spojrzeli po sobie, ale powstrzymali się od uwag.

Kapitan nalał wody z karafki, przetaił chusteczką brzeg szklanki i zaczął łapczywie pić. Potem nalał sobie jeszcze. Pelagia, naczelnik policji, lekarz i fotograf patrzyli, jak nad kołnierzem białego munduru podskakuje grdyka.

Ach, niedobrze, zadreczęła się Pelagia. Ni z tego, ni z owego rzuciłam cień na człowieka...

Kiedy kapitan rozprawił się z drugą szklanką i sięgnął po trzecią, drzwi gwałtownie się otworzyły.

— Poleciał pan wszystkim pasażerom siedzieć w kajutach? — rzucił od progu kapitanowi Dolinin.

Tak.

— To dlaczego trzynasta jest pusta?

— Jak to pusta? Na własne oczy widziałem, jak pan Ostrołyżeński tam wchodził! I uprzedziłem go, żeby bez pozwolenia nigdzie się nie oddalał!

— „Uprzedziłem"! Trzeba było postawić w korytarzu marynarza!

— Ależ to absolutnie niemożliwe! Proszę pozwolić, ja...

Kapitan rzucił się do drzwi.

— Proszę się nie trudzić. — Sergiusz Siergiejewicz zmarszczył się z odrazą. — Właśnie tam byłem. Bagaże na miejscu, ale pasażera nie ma. Wchodzić i dotykać czegokolwiek zabraniam. Przy drzwiach postawiłem policjanta.

— Niczego nie rozumiem... — Kapitan rozłożył ręce.

— Przeszukać parowiec! — rozkazał z ponurym skupieniem Dolinin. — Od komina aż do bunkra z węglem! Żwawo!

Kapitan i naczelnik policji wybiegli na korytarz, śledczy zaś już zupełnie innym tonem, jak do kogoś równego sobie, rzekł do mniszki:

— Zniknęło pani Szklane Oko. No i ma pani, *mademoiselle* Pelagia, rebus numer dwa.

Siostra nie obraziła się za ironiczne *mademoiselle*, zrozumiała bowiem, że ów swobodny zwrot nie był kpina, ale oznaką sympatii.

— Ten to nie „razyniec" — powiedział z zadumą śledczy. — Ci nigdy nie kupują biletów, a już zwłaszcza pierwszej klasy. To zapewne „morowiec". To ich obyczaje.

— „Morowiec" — to znaczy bandyta?

— Tak, z jakiejś poważanej rzecznej szajki. Ale niekoniecznie, wilki samotniki nie są wśród nich rzadkością.

Podejrzane zniknięcie jednookiego uwolniło Pelagię od poczucia winy. Nabrała więc śmiałości.

— Wie pan, ów człowiek rzeczywiście przypominał rozbójnika. Tyle że nie drobnego drapieżcę, nawet nie wilka, ale jakiegoś tygrysa albo lamparta.

Powiedziała i zawstydziała się tej nadmiernej kwiecistości. Dlatego zmieniła ton na suchy, rzeczowy.

— Jednego nie rozumiem. Jeśli zabójstwa dokonał bandyta dużego kalibru, to co z workiem, z tym, jak tam, „tylnikiem”? Po co takiemu człowiekowi drobne kradzieże?

— Rebus — przyznał Dolinin. — Bez wątpienia rebus. I dokonał zapisu w notesie.

Przekartkował zapisane stroniczki. Przystąpił do podsumowania.

— To chyba wszystko, jeśli chodzi o dochodzenie wstępne. Dzięki pani, miła siostrzyczko, pojawił nam się główny podejrzany. Wygląd znamy (później zanotuję pani opis do kładniej), nazwisko także. Tyle że najpewniej jest ono fałszywe. Teraz trzeba dojść do ładu z ofiarą.

Dolinin pochylił się nad zwłokami i zmarszczył z niezadowolaniem.

— Ależ mu twarz wykrzywiło. Będą kłopoty z identyfikacją.

— Po cóż go identyfikować? — zdziwiła się mniszka. — Przecież nie podróżował sam, lecz z wyznawcami. Oni to zrobią.

Spojrząwszy na lekarza i fotografa, którzy przysłuchiwali się rozmowie, Sergiusz Siergiejewicz powiedział:

— Doktorze, proszę pójść do kajuty kapitana i napisać raport. Krótko, ale nie zapominając o rzeczach najistotniejszych. Pan zaś — to już do fotografa — będzie uprzejmy udać się do bosmana i przynieść motek szpagatu. I jeszcze nóż do lin — bosman będzie wiedział.

Dopiero kiedy został z Pelagią sam, przytłumionym, pofałym głosem powiedział:

— Wie pani, *mademoiselle*, dlaczego postanowiłem osobiście wyjaśnić to zabójstwo?

Pytanie było wyraźnie retoryczne i po wytrzymaniu stosownej teatralnej pauzy Dolinin z pewnością odpowiedziałby na nie sam, jednakże mniszka, której błyskotliwy śledczy podobał się coraz bardziej, pozwoliła sobie na swobodę (skoro już nie „siostrzyczka”, tylko *mademoiselle*).

— Sądzę, że znudziła się panu inspekcja i zapragnął pan powrócić do praktyki.

Sergiusz Siergiejewicz zaśmiał się, a jego sucha, żółtawa twarz złagodniała i odmłodziła.

— Ma pani zapewne rację, a ta przenikliwość zmusza mnie do kolejnych pochwał pod pani adresem. To prawda, że chyba nigdy nie przyzwyczaję się do roboty administracyjnej. Koledzy zazdroszczą: niezwykła kariera, generalska ranga w wieku czterdziestu lat, członek ministerialnej rady, a ja wciąż tęsknię za poprzednim zajęciem. Wszak jeszcze rok temu byłem sędzią śledczym. I, śmiem zapewnić, sędzią nie najgorszym.

— To widać. A zatem zwierzchnicy docenili pańską pracę i nagrodzili awansem?

— Nic z tych rzeczy. — Dolinin uśmiechnął się. — Śledczy, choćby miał czoło wysokie na siedem piędzi, choćby przetaił na kolanach tysiąc par spodni, a na dodatek tysiąc surdutów na łokciach, nie wzniesie się na takie wyżyny żadną miarą. Nie tak robi się wielkie kariery.

— Jak zatem?

— Sposobem papierowym, droga siostrzyczko. Papier — oto latający dywan, na którym w naszym państwie można wzbic się na szczyty. Ja, szczerze mówiąc, kiedy brałem się do pióra, nad karierą nawet się nie zastanawiałem. Przeciwnie, obawiałem się, by za podobną śmiałość nie przepędzono mnie na zbitą głowę. Nie miałem już jednak sił patrzeć na barbarzyństwo w naszym śledczym fachu. Napisałem projekt reformy i rozesłałem do najwyższych osobistości, którym powierzono strzeżenie naszej praworządności. Niech będzie, co ma być. Zacząłem już szukać sobie innej pracy w adwokaturze. Aż tu nagle wzywają sługę Bożego na sam Olimp. Spisałeś się, powiadają. Od dawna szukamy kogoś takiego jak ty. — Dolinin podniósł żartobliwie rękę, zupełnie jakby kapitulował wobec nieprzewidywalności kapryśnego losu. — I to mnie zlecono opracowanie reformy, która ma uregulować współdziałanie organów dochodzenia policyjnego ze śledztwem sądowym. Sam sobie to zgutowałem. I teraz, niczym Żyd Wieczny Tułacz, błąkam się po miastach i wsiach. Mam już tych regulacji po dziurki w nosie. Niech pani wszakże, mademoiselle Pelagio, nie sądzi, że Dolinin, jak jakiś gimnazjalista, uciekł po prostu z nudnej lekcji. Nie, jestem człowiekiem odpowiedzialnym, nie podlegam chłopięcym porywom. Widzi pani, z tym pro-

rokiem Manujłą to sprawa szczególna. Bo zabijają go już po raz drugi.

— Jakże to?! — zawołała Pelagia.

Zaczarowany Manujłą

— A tak. Tego osobnika wielu nie może znieść.

Siostra skinęła głową

— To już wiem.

— Manujłą zabito po raz pierwszy trzy tygodnie temu w guberni twerskiej.

— Proszę wybaczyć, ale czegoś tu...

Dolinin machnął ręką: proszę słuchać i nie przerywać.

— Zamordowany okazał się mieszczaninem Pietrowem albo Michajłowem, w tej chwili nie pamiętam. „Znajdą”, wyznawcą Manujły, podobnym do niego zewnątrz. Stąd pogłoski o nieśmiertelności Manujły.

— A może to też nie on? — Pelagia wskazała zwłoki.

— Trafne pytanie. Warto byłoby to wyjaśnić. Wygląd zewnętrzny, o ile pamiętam, zgadza się. Szkoda tylko, że nie dysponujemy fotografią proroka. Manujłą nie był karany, zatem nasz resort nie miał powodów, by utrwalić jego urocze rysy. A wyznawcy — cóż wyznawcy. Na razie poleciłem zamknąć ich w składziku, ale jaki będzie z tych dziwaków pożytek? Mogą kłamać. Ale mogą też sami się mylić co do tożsamości nieboszczyka.

— Cóż za zdumiewająca historia!

— Ja myślę... Nie tylko zdumiewająca, ale, co ważniejsze, polityczna. — Sergiusz Siergiejewicz spoważniał. — Zabójstwo proroka, zwłaszcza „nieśmiertelnego”, to sprawa państwowa. Wszystkie gazety to roztrąbią, i nie tylko rosyjskie. Tym istotniejsze jest ustalenie, czy to Manujłą, czy znowu jego sobowtór.

W tym momencie wrócił fotograf ze szpagatem i z krótkim, bardzo ostrym nożem.

Przywoławszy policjantów z korytarza, śledczy wydał dziwne, wręcz bluźniercze polecenie:

— Tego — ruch głową w stronę nieboszczyka — ubrać,

posadzić na krześle, przywiązać szpagatem. Niezwłocznie! — Popędziwszy załężnionych podkomendnych, wyjaśnił mniszce: — Trzeba doprowadzić zwłoki do stanu rozpoznawalności. Nowa metoda, mojego pomysłu.

W czasie gdy policjanci, sapiąc, wsuwali niezesztywniałe jeszcze kończyny denata w nogawki i rękawy, Dolinin bardzo zręcznie odpruł nożem zelówki prorokowych butów i rozciął cholewy.

— Taak — powiedział zadowolony, wyciągając z rozprutych butów jakieś papiery.

Przejrzał je pobieżnie i lekko wzruszył ramionami. Powierniczce ich nie pokazał, a prosić o to Pelagia nie śmiała, choć bardzo była ciekawa.

— Posadziliście go? — Sergiusz Siergiejewicz odwrócił się do policjantów. — Oczy, oczy, do diabła.

Siostra nierozważnie spojrzała i natychmiast spuściła wzrok. Gałki oczne nieboszczyka zwisały na policzki, a patrzeć na to przekraczało ludzką możliwość.

— Gumową rękawiczkę z mojej walizeczki — polecił rzeczowo śledczy. — Tak właśnie. Doskonale, gałki na miejscu. Watę. Nie, nie, dwa małe kłaczki, zrobimy wałeczki... Teraz pod powieki je, pod powieki. Otworzyły się, bardzo do brze... Ech, rogówka wyschła i zmętniała. Mam tam flaszeczkę z nitrogliceryną i strzykawkę, podajcie... W prawe... W lewe... Aha. Rozczeszemy włosy... Teraz mokrym ręcznikiem... Gotowe. Może pani otworzyć oczy, *mademoiselle*, proszę się nie bać!

Pelagia ostrożnie, krzywiąc się zawczasu, spojrzała na nieboszczyka i zdrętwiała.

Na krześle — co prawda, w nieco wymuszonej pozycji i z głową przechyloną na bok — siedział jak żywy kościsty, brodaty mężczyzna i patrzył na nią skupionymi, błyszczącymi oczami. Był w koszuli, kamizelce i spodniach. Broda i długie włosy były starannie rozczesane.

Nagle zmartwychwstanie było tak niespodziewane, że siostra aż się cofnęła.

Sergiusz Siergiejewicz roześmiał się z zadowoleniem:

— No, to teraz można monsieur Szełuchina sfotografować.

— Jak pan go nazwał? — zapytała Pelagia.

— Tak jak stoi w paszporcie. — Z wyciągniętych z cholewy papierów śledczy odczytał: — Piotr Sawieljew Szełuchin, lat trzydzieści osiem, wyznania prawosławnego, włościanin z wsi Stroganowka, gmina staricka, powiat gorodiecki, gubernia zawołżska.

— Ależ to u nas! — zawołała siostra.

— A ja słyszałem, że Manujła pochodzi z guberni wiackiej. W każdym razie zaczynał działalność właśnie tam. „Znajdy”, nawiasem mówiąc, są przekonane, że ich prorok urodził się w Ziemi Świętej i że wkrótce tam powróci. I rzeczywiście, Szełuchin miał bilet do Jaffy...

Z sykiem wybuchła magnezja.

— Raz jeszcze *en face*. Potem trzy czwarte z prawej i z lewej. I obydwa profile — zarządził Dolinin. Popatrzył sceptycznie na odszykowanego nieboszczyka, westchnął. — Wzrost powyżej średniego, rysy twarzy pospolite, włosy płowe, oczy niebieskie, szczupła budowa ciała, znaków szczególnych nie posiada. Tak wygląda co najmniej jedna trzecia rosyjskich chłopów. Nie, panowie, to na nic. Potrzebna mi jest stuprocentowa pewność...

Zmarszczył czoło i coś kalkulował. Pociągnął się za koniec bródki. Zdecydowanie potrząsnął głową.

— Siostró, stąd do Zawołżska płynie się dwanaście godzin, czy tak? A ile stamtąd do Gorodca?

— Dwa dni rzekami. Ale powiat gorodiecki jest rozległy, a Stroganowka to już podnóża Uralu. Trzeba przedzierać się tam przez las, przez głuchą knieję. Droga trudna, daleka. Byłam raz w tamtych stronach z władzą. Jeździliśmy po ras-kolniczych pustelniach i przekonywaliśmy miejscowych, żeby nie obawiali się władz...

— Pojadę — oznajmił Sergiusz Siergiejewicz, a jego oczy zabłyły podnieceniem. — Sprawa ma istotnie znaczenie publiczne. Żeby Dolinin, znalazłszy się na miejscu zbrodni, nie doko-pał się do prawdy? Wykluczone. Do ministra wyślę telegram: w związku z nadzwyczajnymi okolicznościami przerywam podróż inspekcyjną. Będzie z pewnością zadowolony, że w odpowiednim czasie znalazłem się w odpowiednim miejscu.

III

STRAK

Sama tego chciała

Trzeciego dnia podróży wyładowali się z barki i zanocowali w Gorodcu, dużej wsi starowierców, gdzie baby w białych chustkach, ujrawszy riasę Pelagii, spluwały przez lewe ramię. Dalej ruszyli drogą przez Las.

Nijak się nie nazywał — po prostu Las i tyle. Początkowo liściasty, potem mieszany, a następnie niemal wyłącznie iglasty, ciągnął się przez sto wiorst do uralskiego grzbietu, przepelzał przez góry, za nimi zaś, wydostawszy się na swobodę, rozlewał po całej niewyobrażalnie wielkiej przestrzeni aż do Oceanu Spokojnego, poprzetykany szwami ciemnych, szerokich rzek, z których wiele także nie miało nazw. Jakże bowiem wymyślić taką masę nazw i kto miałby to uczynić?

Na Zawołżu, w swej zachodniej części, Las nie nabrał jeszcze pełnej mocy, ale nawet na owej nizinie różnił się od europejskich współbraci tak, jak fala morska różni się od jeziornej — szczególną potęgą i niespiesznym oddechem, wreszcie absolutnym lekceważeniem ludzkiej obecności.

Droga tylko z początku udawała porządną gruntówkę, ale już na dziesiątej wiorście przestała dbać o pełną przejezdność i skurczyła się do rozmiarów zwykłej przesieki.

Po godzinie, dwóch trzęsawki na obrosłych wiosenną trawką koleinach, w których mętnie lśniła czarna woda, trudno było uwierzyć, że na świecie istnieją miasta, stepy, pustynie, otwarte niebo, jasne słońce. Gdzieś tam już na dobre panowało ciepło, na łąkach żółciły się mlecze, głośno brzęczały na wpół rozbudzone pszczoły, a tutaj w rozpadlinach szarzały wysepki śniegu, w jarach pieniała się odtajająca woda razem

z lodową kaszą, drzewa liściaste zaś stały smętne, po zimowemu nagie.

Kiedy świerki zastąpiły brzozy i osiki, stało się jeszcze bardziej nieprzytulnie, jeszcze ciemniej. Przestrzeń zamknęła się, światło przytłumiło, w powietrzu pojawiły się nowe zapachy, od których ciarki przebiegały po plecach. Pachniało dzikim zwierzem — nie byle jakim, ale z matecznika, a oprócz tego jakąś nieokreśloną, surową zgrozą. Przed nocą zatrwajający zapach nasilił się, tak że konie kupiły się przy ognisku, lekliwie parskały i strzygły uszami.

Chcąc nie chcąc, Pelagia przypomniała sobie zawoźzańskie podania o wszelakim leśnym diabelstwie: o niedźwiedziu Babaju, co to porywa dla swoich uciech dziewczyny, o lisicy Lizusze, która przybiera postać pięknej dziewczycy i zwabia chłopców, a nawet żonatych mężczyzn. Najokropniejszy był jednak wedle zawoźzańskich opowieści Strąk, wilkołak z ognistymi oczyskami i kowanymi zębiskami, którym straszy się dzieci, żeby nie zapuszczały się za daleko w las. Z paszczy Strąka buchają ogień i dym, a biegać to on nie biega, tylko skacze po wierzchołkach drzew jak ryś, jeśli zaś spadnie i uderzy o ziemię, to zamienia się w zawiadackiego zucha w szarym kaftanie. Nie daj Boże napotkać w lesie takiego mysiego człowieka.

W mieście owe stare bajania wydawały się naiwnym i sympatycznym wytworem ludowej wyobraźni albo, jak coraz częściej się teraz mawia, folklorem, ale w Lesie, przy grobowym pohukiwaniu sowy i niedalekim wyciu wilczego stada, można było uwierzyć i w Babaja, i w Strąka.

A już zupełnie żadnych wątpliwości nie mogło być co do tego, że Las żyje, że cię podśluchuje, patrzy, a patrzeć to niedobre, wręcz wrogie. Ciężkie spojrzenie Lasu Pelagia czuła na plecach i na głowie, i to niekiedy tak wyraźnie, że oglądała się za siebie i ukradkiem żegnała. Jaki to byłby strach znaleźć się samej w gęstwinie!

Na szczęście nie była w Lesie sama.

Przygotowana przez Sergiusza Siergiejewicza ekspedycja wyglądała w sposób następujący.

Z przodu, dziarsko postukując kosturem, kroczył przewodnik — wójt gminy; za nim jechał sam Dolinin na mocnym

bułanym koniku, którego odstąpił znakomitemu gościowi isprawnik z Gorodca; potem zwłoki na furmance (w drewnianej skrzyni, obłożonej sianem i kawałkami lodu), a po jej bokach dwaj strażnicy; maleńką karawanę zamykała kryta płótnem żaglowym bryczka z prowiantem i bagażami. Na koźle siedział woźnica Zytiak, a obok niego Pelagia, która ze stoickim spokojem znosiła i wstrząsy na wybojach, i monotony śpiew sąsiada, i gryzący dym z jego fajki z kory brzoźowej.

Bojaźliwie rozglądając się na boki, siostra nie przestawała dziwić się samej sobie. Jak to się stało, że ona, spokojna czernica, kierowniczką klasztornej szkoły, znalazła się w zapadłych stronach, wśród obcych ludzi, towarzysząc zwłokom fałszywego proroka? Niezbadane są Twoje zamysły, Panie. Ale można to ująć też inaczej — zamroczyło naszą mniszkę. Zawrócił jej w głowie, zaczarował energiczny petersburski śledczy.

Z „Jesiotra” zeszli w Zawołżsku.

Żadnego z pasażerów, ze „znajdami” włącznie, Sergiusz Siergiejewicz nie zatrzymał, bo miał już wyraźnie ustalonego podejrzanego — pasażera z kajuty numer trzynastie.

Pelagię zdziwiło, że wyznawcy Manujły nie wyrazili chęci towarzyszenia swemu bożyszczu w ostatniej drodze, tylko ruszyli dalej, do Ziemi Świętej.

Dolinin skomentował to tak:

— Niewdzięczne zajęcie być prorokiem. Zdechłeś i wszyscy mają cię w nosie.

— Przeciwnie, wydaje mi się, że ów człowiek, cokolwiek o nim sądzić, swoje osiągnął — ujęła się za Manujłą i jego trzódką siostra. — Słowo przeżyło proroka i tak powinno być. Manujły nie ma, a „znajdy” ze swej drogi nie zboczyły. Przy okazji, dlaczego oni tak na siebie mówią?

— Powiadają, że Manujła „znalazł” ich wśród ludzi — wyjaśnił Dolinin. — Wydobył ze smrodu i brudu, przyoblókł w białe szaty i obdarował niebieską wstęgą, symbolem nadchodzącego królestwa Bożego. Mają całą filozofię, tyle że dosyć prymitywną. Jakieś strzępy poprzekręcane Starego Testamentu. Chrystusa i ewangelie odrzucają, ponieważ pragną być Żydami. Powtarzam: wszystko to jest niezwykle mgliste i nieokreślone. O ile mi wiadomo, Manujła nie za bar-

dzo troszczył się o swoich świeżo upieczonych „Żydów”. Zawróci w głowie jakiejś prostej duszy i idzie sobie dalej, a te nieboraki same sobie dopowiadają, co mają robić i jak żyć. Tu ma pani zapewne rację. Śmierć Manujły mało co zmieni... Ach, siostrzyczko... — Twarz śledczego stwardniała. — Takie to teraz czasy. Łowcy dusz wyruszyli na wielkie polowanie. A im dalej, tym będą liczniejsi, tym obfitsze będzie ich żniwo. Pamiętaj pani, jak to jest u Mateusza? „I wiele fałszywych proroków powstanie, i wielu zwiodą”.

— „A iż się rozmnoży nieprawość, oziębnie miłość wiele” — dokończyła przekaz apostoła Pelagia.

Dolinin zadrżał i popatrzył dziwnie na mniszkę, zupełnie jakby słyszał te słowa po raz pierwszy albo jakby nigdy przedtem nie zastanawiał się nad nimi.

— Bóg z nią, z miłością — powiedział ponuro. — Byle tylko dusze uchronić przed łowcami.

„Bez miłości?” — chciała zapytać Pelagia, ale powstrzymała się, bo nie był to właściwy moment na abstrakcyjne dyskusje. Pomyślała jednak w duchu: zdaje się, że w sferze uczuciowej życia śledczego-reformatora nie wszystko się układa. Ciekawe, czy jest żonaty?

Głośno podjęła jednak inny wątek.

— Czy to dobrze, że wszystkich pan wypuszcza?

— Niechaj płyną. W pierwszym porcie wsiądzie na „Jesiotra” kilku agentów policji kryminalnej; wydałem polecenie telegraficznie. Nie wykluczam, że i Ostrołyżeński wychynie z jakiejś dziury. Parowiec to nie spiżarnia, wszystkich kątów się nie przepatrzy. No, a jeśli nasza wersja jest całkowicie błędna i pan Szklane Oko nie ma tu nic do rzeczy...

— Jak to „nic do rzeczy”? — rzuciła się Pelagia. — Gdzie się zatem podział?

— Założmy, że został zabity. I wrzucony do wody. Może za dużo zobaczył. Takie przypadki nie są rzadkie... Jeśli więc zabójcą nie jest Ostrołyżeński, tylko ktoś inny, to po moim odejściu ów osobnik uspokoi się, nie będzie tak czujny. Agenci mają instrukcje, by zwracać szczególną uwagę na tych, którzy zejda ze statku, nie dopłynąwszy tam, dokąd wykupili bilet. I w ogóle na każdy podejrzany drobiazg. Do Carycyna droga jeszcze daleka. Jeśli zabójca jest na parowcu, zdążymy go aresztować.

Pelagia, pod wrażeniem przezorności śledczego, zamilkła.
— A ja tymczasem przejadę się do Stroganowki i z powrotem — ciągnął Sergiusz Siergiejewicz. — Sprawdzę, co to za jeden ten Szełuchin. Możliwe też, że i stamtąd wysupła się jakaś niteczka.

I nagle, bez jakiegokolwiek wstępu i zająknięcia, tym samym rzeczowym tonem dodał:

— Miła siostrzyczko, mam do pani prośbę. Dziwną i może zaskakującą. Ale jakoś sędzę, że nie będzie się pani oburzać, a jeśli będę miał szczęście, to się pani zgodzi... — Odkasznął i wypalił: — Czy nie zechciałaby pani dotrzymać mi towarzysztwa?

— W jakim sensie? — nie zrozumiała mniszka.

— W sensie wspólnej podróży do Stroganowki. —

I szybko, póki rozmówczyni nie powiedziała „nie”, zaczął tłumaczyć. — Choć ów Manujła wyrzekł się ojczyściej wiary, to przecież była to dusza ochrzczone. Wieć ciało bez osoby duchownej za bardzo nie wypada. Dadzą mi do towarzystwa jakiegoś skwaszonego zakonnika. Z panią było by nieporównanie przyjemniej... — Tu Sergiusz Siergiejewicz połapał się, że ostatnia uwaga zabrzmiała zbyt lekko-myślnie, i pospieszył to naprawić. — Ale przede wszystkim rozumniej. Sama pani mówiła, że bywała w tej głuszy. Po może mi pani znaleźć wspólny język z tamtejszymi mieszkańcami...

— Nie byłam w Stroganowce, tylko w Staricy, a to stamtąd pół setki wiorst.

— Nieważne, w każdym razie znane są pani tamtejsze obyczaje. Poza tym miejscowi mniej będą bać się mniszki niż przyjezdnego dostojnika... Wydało mi się także, iż los tego, pożałuj Boże, proroka nie był pani obojętny. Zmówi pani po drodze choć modlitwę za jego zbłąkaną duszę... No co?

I tak popatrzył w oczy, że Pelagia, która już dobierała słowa, by uprzejmie odmówić, zawahała się.

Wiedziała doskonale, że kusi ją szatan próżności. Było absolutnie jasne, w czym tkwi przyczyna „zaskakującej prośby” Sergiusza Siergiejewicza. Mistrz śledztwa docenił jej przenikliwość, jej bystrość i ma nadzieję na pomoc w dochodzeniu.

Inny powód, pospolicie grzesznej natury, osobie o duchownym powołaniu nie przyszedł nawet na myśl. Ale wystarczyło szatana próżności.

Nie oparła się pokusie słaba dusza.

Sama jestem sobie winna, pomyślała zaróżowiona z zadowolenia Pelagia. Trzeba było milczeć i nie narzucać się ze swymi wnioskami. A teraz to byłoby nawet dziwne, gdyby opuściła Sergiusza Siergiejewicza przed końcem dochodzenia.

— Proszę się tylko zgodzić — poprosił cicho Dolinin, widząc jej niepewność. — Z jego przewielebnością sam porozmawiam.

— Nie — westchnęła Pelagia. — To już lepiej ja.

O Boskim Oblubieńcu

Do niełatwej rozmowy przygotowała się gruntownie. Zamierzała poprowadzić ją w ulubiony przez Mitrofaniusza męski sposób, to jest bez jakichkolwiek emocji, opierając się wyłącznie na logice.

Argumentów związanych z korzyścią dla śledztwa nie podnosiła w ogóle. Największy nacisk położyła na niebezpieczeństwo, jakie mogła nieść ze sobą zaplanowana przez Dolinina ekspedycja.

— Jeśli potwierdzi się, że sekciarski prorok pochodzi z naszej eparchii, to dopiero Konstanty Pietrewicz będzie miał prezent — mówiła. — Wszak napiszą o tym we wszystkich gazetach i na pewno wspomną o Zawołżu. W Synodzie zaś powiedzą: powinszować zawołżskiemu archijerejowi, który taką zmiję wyhodował w swoim gnieździe. Wasza sytuacja i bez tego jest niepewna.

— Do tronu biskupiego nie przyrośłem — nachmurzył się Mitrofaniusz.

— Wiem. To jednak nie o was chodzi, tylko o nas. Kogo oberprokurator przyśle nam na wasze miejsce? To pewne, że jakiegoś swego ulubieńca. Zaciekłego inkwizytora. Nadejdzie koniec zwołżskiej zgody i spokoju.

Potem obszernie udowadniała, jak istotne jest, żeby przy identyfikacji, obok ważnego petersburskiego urzędnika, była

obecna ona — człowiek bliski Mitrofaniuszowi. W najgorszym razie będzie mogła w porę go uprzedzić o niekorzystnym obrocie sprawy. Biorąc jednak pod uwagę, że jej stosunki z panem Dolininem nabrały cech przyjacielskich, niewykluczone, że uda jej się wpłynąć na treść i ton relacji, jaką śledczy wyśle do Petersburga.

Władyka wysłuchał z uwagą swoją duchową córkę. Pokiwał głową, uznając słuszność argumentów. Potem na długo zamilkł, a kiedy otworzył usta, zaczął mówić o czymś zupełnie innym.

— Zapewne rację miał Pobiedin, że nie powinnaś być zakonnicą — powiedział z zadumą. — Zaczekaj tylko, nie przerażaj się. Wiele dyskutowaliśmy o celu ziemskiego życia i wydaje się, że zgodziliśmy się, iż podstawowym obowiązkiem każdego człowieka wobec Boga jest odnalezienie siebie, swojej drogi, przeżycie własnego, a nie cudzego losu. Sama wszak mówiłaś, że największe nieszczęścia naszego rodzaju biorą się stąd, że na tysiąc ludzi dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu umiera bez zrozumienia siebie, przeżywszy życie, w którym zajmowali się nie swoimi sprawami. Ja także sądzę, że Bóg niczego od nas nie potrzebuje — byle tylko każdy odnalazł własną drogę i przemierzył ją do końca. Weźmy na przykład ciebie. I ja, i ty wiemy dobrze, że twoim powołaniem jest odślanianie ludzkich tajemnic. Ty zaś, Pelagio, zajmujesz się czymś zupełnie innym. Powołanie zakonne, modlenie się do Pana za grzesznikami to rzecz wyjątkowo godna, ale czyż możemy mieć pewność, że nie bierzesz na siebie grzechu? Przeżycie nie swojego losu, odrzucenie talentu, wzgardzenie owym boskim darem to grzech najcięższy, to najsmutniejszy spośród wszystkich występków, jakich może dopuścić się człowiek wobec siebie i wobec Pana. Czy rozumiesz, o czym mówię?

— Rozumiem — odparła siostra drżącym głosem. — Chcicie powiedzieć, że nie mam powołania do służby zakonnej i że moim miejscem nie jest cela, tylko życie świeckie. Że tam będzie ze mnie więcej pożytku dla ludzi i dla Pana.

Spuściła głowę, żeby władyka nie zobaczył napływających do oczu łez. Rozmowa zbaczała w stronę kobiecych emocji, co zapowiadało płacz i błagania.

— Bardzo możliwe, władko, że tak właśnie jest. Czyżbyście zapomnieli jednak — tutaj Pelagia podniosła głowę i popatrzyła na Mitrofaniusza mocno błyszczącymi oczyma — że do stanu zakonnego dotarłam nie poprzez pobożność i siłę duchową, ale ze skraju przepaści? Nawet nie ze skraju, tylko z samej przepaści, w którą niepowstrzymanie spadałam i gotowa już byłam...

Głos się mniszce załamał, tak że nie mogła dokończyć zdania.

Logika, niestety, zniknęła z tej rozmowy bez śladu.

— Pamiętam — odparł archijerej. — Byłaś nieszczęśliwa, byłaś w samobójczej rozpacz.

— Ale poszczęściło mi się. Bóg zesłał was. A wy powiedzieliście: „Jedyny twój ratunek, jeśli nie chcesz zgubić na wieki swej duszy, to upodobać sobie w Boskim Oblubieńcu, który nigdy cię nie opuści, albowiem jest wieczny”.

— I to pamiętam.

— Posłuchałam was. I złożyłam śluby wierności — Jemu. I cóż, mam je teraz naruszyć? Tylko dlatego, że zrećcznie udaje mi się odsłaniać pospolite sekrety?

— Jezus zrozumie i wybaczy.

— On zrozumie na pewno, tyle że ja nie mogę tak z Nim postąpić. Wszak jestem Chrystusową oblubienicą i powinnam Mu służyć.

— Chrystusowi można służyć i gdzie indziej, nie gorzej niż w klasztorze. Nawet jeszcze lepiej.

— Można, ale nie z całkowitym oddaniem. Trzeba bowiem dzielić czas między sprawy ziemskie a Wieczną Miłość. — Pelagia wytarła chustką oczy i zdecydowanie, już bez jakichkolwiek łzawych nutek, dokończyła: — Obiecałam wam i powtarzam ponownie: nie będzie już żadnego dochodzenia. Zresztą tutaj moja zrećczność się nie przyda. Pan Dolinin jest detektywem z Bożej łaski, nie mnie się z nim równać.

Mitrofaniusz popatrzył z niedowierzaniem na swą rudą powiernicę, westchnął ciężko, ale już się nie sprzeciwiał. Zgodził się.

Opowieść rogacza

Wieść o tym, że przewielebny pobłogosławił Pelagię na podróż, Dolinin przyjął bez spodziewanego entuzjazmu. Skinął tylko głową i niczego nie powiedział, a ponadto zdrząły mu nerwowo kąciki ust. Na pewno nie była to osoba pozbawiona dziwactw.

W drodze także utrzymywał wyraźny dystans. Nie żartował, nie nawiązywał rozmów, ograniczał się do najniezbędniejszej uprzejmości. Zupełnie jakby ktoś Sergiusza Siergiejewicza odmienił.

Mniszka była początkowo zakłopotana, obawiała się, że w jakiś sposób go obraziła, ale potem pogodziła się z tym — ponuractwo śledczego złożyła na karb jego hipochondrycznej natury.

Kiedy płynęli barką — początkowo dopływem Rzeki, a potem dopływem dopływu — Dolinin wciąż przeglądał swój notes i pisał jakieś listy albo raporty. Pelagia mu się nie naprzykrzała. Z psiej wełny robiła na drutach kamizelkę dla Mitrofianusza, czytała zabrane na drogę *Żywoty świętych niewiast czasów nowożytnych* albo po prostu patrzyła na mijane brzegi. Kiedy jednak przesiadła się z barki na bryczkę, dwa pierwsze zajęcia odpadły z powodu wybojów, trzecie zaś straciło sens z racji ograniczonego pola widzenia: gdziekolwiek spojrzysz, same drzewa.

Odkąd wjechali w Las, Sergiusz Siergiejewicz przez pierwszą połowę dnia zachowywał się tak jak przedtem i utrzymywał dystans. Co prawda, od czasu do czasu obracał się w siodło, jakby sprawdzając, czy mniszka jest na miejscu, czy nie zniknęła z kozła.

Na postoju obiadowym Pelagia podeszła do byle jak zbitej skrzyni, w której spoczywał denat, i zaczęła szeptem odmawiać modlitwę. Myślała o sensie tragicznego wydarzenia, jakim jest nagła śmierć, kiedy człowiek rozstaje się z duszą w kwiecie wieku, bez przygotowania i uprzedzenia. Po co to Panu Bogu? Czyżby tylko jako przykład i pouczenie dla innych? Co w takim razie z tym, który umarł? Czy godne jest, by człowiek był jedynie pouczającym przykładem?

Tak pograżyła się w niełatwych rozmyślaniach, że nie usłyszała kroków — zadrżała, gdy tuż przy jej uchu rozległ się głos Dolinina.

Zupełnie jakby nic się nie wydarzyło, jakby nie było dwóch z górą dni milczenia, śledczy zapytał:

— No, siostró, i co pani o tym wszystkim sądzi?

— O czym?

— Przecież doskonale pani wie. — Przez twarz Sergiusza Siergiejewicza przebiegł niecierpliwy grymas. — Z pewnością stworzyła sobie pani obraz przestępstwa. Kto, jak, w jakim celu. Jest pani kobietą przenikliwą, o bystrym umyśle, z doskonałą intuicją. Na etapie dochodzenia wstępnego okazała mi pani nieocenioną pomoc. Tak więc proszę nie zatrzymywać się w połowie drogi. Proszę mówić. Hipotezy, domysły, najbardziej fantastyczne przypuszczenia — za wszystko będę wdzięczny.

Gdyby pytanie zostało zadane nie teraz, tylko przed pełną łez rozmową z Mitrofaniszem, Pelagia niezawodnie podzieliłaby się z Sergiuszem Siergiejewiczem wszystkimi przemyśleniami. Przyznawszy się szczerze przed sobą, że w jej zgodzie na wyjazd do Stroganowki główne role odegrały próżność i grzeszna ciekawość, zakonnica jak najsurowiej zabroniła sobie rozważań o tym, gdzie podział się Szklane Oko i czy to on zabił „proroka”, a jeśli on, to dlaczego — czy z nienawiści, czy dla zysku, czy też z innych pobudek.

Śledczemu odpowiedziała z pokorą, ze spuszczonej oczyma.

— Nawet o tym nie myślałam. To nie na mój rozum. Zdało się, że nabrał pan przekonania, iż uważam siebie za detektywa. Zapewniam pana, łaskawy panie, że to nie tak. Czy wypada czernicy wdawać się w świeckie sprawy, w dodatku tak naznaczone grzechem? Jeśli tamtego dnia nadmiernie się rozgadałam, był to skutek wstrząsu na widok martwego ciała. Pan, łaskawy panie, ma własne zajęcia, ja też. Niechaj Bóg pana prowadzi, a ja będę modliła się za powodzenie pańskich wysiłków.

Popatrzył na nią uważnie, badawczo.

Potem uśmiechnął się nagle — jasno i przyjaźnie.

— Szkoda. Podedukowalibyśmy sobie razem. A jeszcze

większa szkoda, siostrzyczko, że nie pracuje pani u nas. Kobiet agentów mamy niewiele, ale każda warta jest dziesięciu mężczyzn. Pani zaś, ze swymi zdolnościami, byłaby warta setki. No dobrze, nie będę pani przeszkadzał. Zdaje się, że odmawia pani modlitwę?

Odszedł do ogniska, a jego zachowanie od tej chwili zmieniło się: powrócił dawny Sergiusz Siergiejewicz — mądry i nieco kpiarski rozmówca, w którego towarzystwie czas zaczął biec i szybciej, i ciekawiej.

Teraz Dolinin wołał jechać nie z przodu, ale obok bryczki. Od czasu do czasu śpędzał Zytiaka z kozła i powoził sam. Bywało też, że zsiadał z konia i szedł pieszo. Raz zaproponował Pelagii przejażdżkę wierzchem, ale wymówiła się swoim stanem, choć bardzo się chciało, jak za dawnych czasów, usiąść w siodle po męsku, ścisnąć kolanami gorące, pełne boki konia, unieść się w strzemionach i popędzić po miękkiej, dźwięcznie cmokającej ziemi...

Kpiarski ton Sergiusza Siergiejewicza nie irytował zakonnicy, raczej jej imponował, ponieważ nie było w nim zupełnie cynizmu, tak powszechnego w wykształconych warstwach społeczeństwa. Wyczuwało się, że jest to człowiek z przekonaniami, z ideałami i — w dzisiejszych czasach rzecz całkowicie zdumiewająca — głębokiej, a nie powierzchownej wiary.

Obecność nieszczęsnego ładunku sprawiała, że rozmowa początkowo obracała się wciąż wokół osoby denata.

Od Dolinina mniszka dowiedziała się o pewnych szczegółach grzesznego żywota „łowcy dusz”.

Jak się okazuje, nowo objawiony mesjasz zaczął nauczać nie tak dawno, jakieś dwa lata temu, zdążył jednak obejść niemal połowę guberni i pozyskać niemałą liczbę wyznawców, przeważnie najniższego stanu. „Znajdy” nie zbierały się w dużych grupach i nie urządzały masowych procesji, a jednak zwracały na siebie sporo uwagi — zarówno swymi biało-niebieskimi chlamidami, jak i demonstracyjnym odrzucaniem chrześcijaństwa, zwłaszcza zaś Cerkwi prawosławnej. A przy tym sens Manujłowych nauk, jak to zazwyczaj bywa w przypadku mącieli, którzy wyłonili się z ciemnych głębin ludu, był mglisty i nie poddawał się logicznej wykładni. Jakieś pomysły, skierowane przeciwko świętowaniu niedzieli,

przeciwko kapłanom, ikonom, biciu w dzwony, służbie wojskowej, spożywaniu wieprzowiny, a ponadto mało sprecyzowana gloryfikacja żydostwa (choć Manujła, jeśli naprawdę pochodził z zapadłego kąta guberni zawołżskiej, Żydów nie mógł nawet widzieć) i rozmaite inne brednie.

Koniec końców, opowiadał Dolinin, wędrowny kaznodzieja zainteresował samego oberprokuratora Pobiedina, który z racji swych obowiązków pilnie śledził wszelkiego rodzaju herezje. Dygnitarz zawezwał do siebie chłopca w łapciach i wszczął z nim dysputę na tematy duchowe. („Konstanty Pietrowicz bardzo lubi duchowe starcia z heretykami, pod warunkiem jednak, że wychodzi z nich, zgodnie z nazwiskiem, zwycięsko” — uśmiechnął się Sergiusz Siergiejewicz, który opowiadał o tym zdarzeniu w sposób komiczny, bez jakiegokolwiek złośliwości). Manujła zaś, nie w ciemną bity, odczekał, aż prostoduszny oberprokurator odwróci się do obrazu Zbawiciela, by się przeżegnać, i buchnął ze stołu złoty zegarek z diamentami, podarowany Pobiedinowi przez samego monarchę. Został przyłapany na kradzieży i odprowadzony do cyrkułu. Konstanty Pietrowicz ulitował się wszakże nad włóczęgą i przegnał go na cztery wiatry. „Nie zdążyli nawet sfotografować delikwenta ani zrobić szkicu, a jak by to teraz ułatwiło moje zadanie!” — westchnął z żalem narrator i zakończył słowami:

— Lepiej by go nie wypuszczał, nieszczęsny łaskawca. Siedziałyby Manujła w kozie, ale żyłby.

— Smutna historia — powiedziała Pelagia. — Ale najsmutniejsze jest to, że prawosławie, wydawałoby się, nasza naturalna religia, wielu Rosjanom nie daje duchowej pociechy. Prostemu sercu czegoś w niej brakuje. Albo może odwrotnie: jest w niej jakaś nieprawdziwa domieszka, w przeciwnym razie ludzie nie odwracaliby się od naszej Cerkwi ku rozmaitym niedorzecznym herezjom.

— Jest. Wszystko w naszej wierze jest — wtrącił Dolinin, i to z tak niewzruszonym przekonaniem, jakiego po owym sceptyku Pelagia by się nie spodziewała.

Replika mniszki z jakichś powodów poruszyła śledczego. Wahał się przez chwilę, a potem, zaczerwieniwszy się, powiedział:

— Opowiem pani... historyjkę o pewnym człowieku... — Zerwał *pince-nez* i nerwowo potarł nos. — Zresztą nie o żadnym „pewnym”. To historia o mnie. Jest pani mądra, i tak by się pani domyśliła. Jest pani, siostró, drugą istotą na świecie, której zapragnąłem to opowiedzieć... Nie wiem dlaczego... Nie, kłamie. Wiem. Ale nie powiem, to nieważne. Zapragnąłem i już.

Z Sergiuszem Siergiejewiczem coś się działo, bo denerwował się coraz mocniej. Pelagii ów stan był znany: nosi w sobie człowiek coś, co pali duszę, wytrzymuje, ile może, niekiedy całe lata, a potem nagle wyzna najboleśniej rzeczy pierwszemu napotkanemu, jakiemuś przypadkowemu towarzyszowi podróży. W tym cały dowcip, że właśnie przypadkowemu.

— Zwyczajna historia, wręcz trywialna — zaczął Dolinin, uśmiechając się krzywo. — Takich historii jest wokół mnóstwo. Żadna tragedia, tylko temacik do pieprznej anegdoty o mężu rogowca i rozwiązłej żonie... Pewien człowiek (ma go pani przed sobą, ale lepiej już pozostanę przy trzeciej osobie, tak będzie łatwiej) miał młodą i piękną żonę. Uwielbiał ją, rzecz jasna, był szczęśliwy i sądził, że ona także jest szczęśliwa, że będą żyli razem aż do grobowej deski i że, jak to się mówi, umrą tego samego dnia. No, nie będę się rozwodził, materia znana... I nagle grom z jasnego nieba. Zaczął szukać w jej torebce jakiegoś głupstwa... Nie, lepiej uściśnę, bo to jeszcze bardziej podkreśla trywialność i komizm... Temu głupcowi potrzebna była puderniczka, żeby przypudrować pryszcz; szedł się do ważnego wystąpienia w sądzie, a tu taki kłopot — pryszcz na nosie. To znaczy wtedy mi się wydawało, że wystąpienie na procesie to rzecz niezwykle ważna. — Mimo wszystko Sergiusz Siergiejewicz przeszedł z trzeciej osoby na pierwszą. — Do chwili, kiedy znalazłem w torebce bilecik. O treści nadzwyczaj pikantnej.

— Ach! — wyrwało się Pelagii.

— Mówię przecież, że to historia trywialna — skrzywił się Dolinin.

— Nie, to nie trywialność! — zawołała mniszka. — To najgorsze z nieszczęść! A że zdarza się często... Wszak i śmierć nie jest rzadkością, nikt jednak nie nazywa jej try-

wialną. Kiedy jedyny na całym świecie człowiek zdradza, to jeszcze gorzej, niż gdyby umarł... Nie. To grzeszne słowa. Nie gorzej, nie...

Pelagia pobladła i dwa razy mocno potrząsnęła głową, zupełnie jakby odpędzała jakieś wspomnienie albo widzenie, ale Sergiusz Siergiejewicz nie patrzył na nią i, jak się zdaje, nawet nie słyszał jej protestu.

Ciągnął przerwana opowieść.

— Rzuciłem się do niej z żądaniem wyjaśnień, a ona, zamiast prosić o wybaczenie czy choćby skłamać, powiada: „Kocham go, od dawna kocham ponad życie. Nie miałam odwagi ci tego powiedzieć, bo szanuję cię i żał mi ciebie, ale skoro już do tego doszło...” Okazało się, że to nasz stary znajomy, przyjaciel rodziny i częsty gość... Bogaty, przystojny i w dodatku „jaśnie pan”. Wkrótce przeprowadziła się do niego, a ja zupełnie straciłem głowę. Jaka tam praca, jakie ważne procesy, kiedy świat się wali... Nigdy bym nie pomyślał, że mogę pokornie błagać, szlochać i tak dalej. Mogłem, i to jak jeszcze mogłem! Tyle że to wszystko na nic. Moja żona to istota dobra, współczująca. Kiedy płakałem, wylewała łzy razem ze mną. Ja na kolana i ona też zaraz — buch! Tak sobie wspólnie pełzaliśmy. „Wybacz mi”, „Nie, to ty mi wybacz”, et cetera, et cetera. Przy całej skłonności do współczucia była to jednak dama zdecydowana, od rzeczy ważnych nie odstąpi — wiedziałem o tym już wcześniej i ceniłem ją za to. Rzecz jasna, teraz też nie odstąpiła, niepotrzebnie tylko dręczyłem i ją, i siebie. Pewnego razu zaś, wykorzystując to, że się rozjęczałem — tu w głosie Sergiusza Siergiejewicza po raz pierwszy pojawiła się zawziętość — uprosiła mnie, bym oddał jej syna. Oddałem. Miałem nadzieję, że swą szlachetnością i ofiarnością wywrę wrażenie. I wywarłem. Ale, tak czy owak, nie wróciła do mnie... A ów słynny projekt reformatorski napisałem właśnie wtedy. Z ukrytym, niemal szaleńczym celem. Całkowicie naruszyłem subordynację, ton przyjąłem arcybezczelny. Myślałem: jeśli przepędzą z pracy, to już nie będzie mieć znaczenia — niech jedno pójdzie za drugim. Ale gdybym tak wydzwignął się i zrobił karierę? Wszak myśli są niegłupie, państwowotwórcze, od dawna przetrwione... Początkowo rzeczywiście usunięto mnie

ze stanowiska. Nie przejąłem się tym, poczułem wręcz zadowolenie. Niech i tak będzie, pomyślałem. Bo, widzi pani, akurat w tym czasie dojrzywał we mnie pewien plan.

— Jaki plan? — zapytała Pelagia, domyślając się z tonu, że musiało to być coś niedobrego.

— Doskonały — uśmiechnął się Dolinin. — Wręcz jedyny w swoim rodzaju. Rzecz w tym, że szczęśliwi kochankowie postanowili wziąć ślub. No, może nie całkiem, bo o uroczystości cerkiewnej nie mogło być mowy; w każdym razie miało się odbyć coś na kształt wesela. Wszak obyczaje stołeczne to nie to co prowincjonalne; ślub z cudzą żoną nie jest tam wcale rzadkością. „Ślub cywilny” — tak to się nazywa. Przygotowali wszystko z rozmachem. Nowocześnie, bez obłotek. Jak świętujemy, to na całego. Prawdziwa miłość nie liczy się z obmową i przyjętymi regułami. Co do mnie, to udawałem, że godzę się z tym, co nieuchronne. Niektórzy życzliwi już dawno namawiali mnie, by „patrzeć na rzeczy szerzej”, no to tak popatrzyłem. — Sergiusz Siergiejewicz zaśmiał się sucho, skrzekliwie. — Takie zrobiłem z siebie jagniątko, takiego tołstojowca, że... nie uwierzy pani... w liczbie innych wybrańców dostąpiłem zaszczytu zaproszenia na owo święto miłości. I tu powstał plan... Początkowo, za przykładem mieszkańców Krainy Wschodzącego Słońca, chciałem na oczach ludzi rozpruć sobie nożem brzuch i wywalić wnętrzności wprost na weselny stół — macie, częstujcie się. Wymyśliłem jednak coś lepszego.

Pelagia wytrzeszczyła oczy i przysłoniła dłonią usta. Narrator ciągnął bezlitośnie swoją dręczącą opowieść.

— Pomyślałem sobie, że przyjdę z bukietem i butelką jej ulubionego białego wina, które dawniej pozwalałem sobie kupować jedynie dwa razy w roku — na jej urodziny i na rocznicę ślubu. W pełni przyjęcia poproszę o głos, że niby chcę wznieść toast. Wszyscy, rzecz jasna, nastawią uszu i zwrócą na mnie uwagę. Co za pikanteria: porzucony mąż winszuje nowożeńcom. Niektórzy roztkliwią się, inni będą się ze mnie w duchu natrzasać. A ja wygłoszę bardzo krótką mowę. Powiem: „Miłość to niepoohamowana siła. Niechaj zawsze towarzyszy nam blask jej uśmiechu, tak jak te raz mojego”. Otworzę butelkę, napełnię po brzegi szklani-

cę, wzniosę ją ponad głowę i tak przez chwilę potrzymam — to specjalnie dla syna, który na pewno także będzie na przyjęciu. Żeby dobrze wszystko zapamiętał. A potem wyleję sobie zawartość szklanic tutaj. — Dolinin przyłożył palec do czoła. — Tyle że w butelce będzie nie wino, lecz kwas siarkowy.

Pelagia krzyknęła, ale Sergiusz Siergiejewicz znowu, jak się zdawało, nie usłyszał.

— Niedługo przedtem prowadziłem sprawę — zbrodnia namiętności. Pewna uliczna kobieta chlusnęła z zazdrości swemu kochasiowi kwasem w twarz. W kostnicy widziałem jego zwłoki: cała skóra zeszała, wargi do cna wyżarte i ten uśmieszek obnażonych zębów... Wymyśliłem sobie, że taki właśnie „uśmiech wszechogarniającej miłości” pokażę nowożeńcom. Bólu się nie bałem — pragnąłem go jak jakiejś rozkoszy. Tylko taki ból mógł zrównoważyć ogień, jaki spalał mnie od środka przez wszystkie te miesiące... Oczywiście umarłbym na miejscu, bo przy tak rozległym poparzeniu serce nie wytrzymało wstrząsu. A oni niechby sobie żyli i cieszyli się szczęściem. Coś by się im nocami śniło... I żeby syn zapamiętał to na całe życie... Taki mniej więcej nakreśliłem sobie plan.

— I co przeszkodziło w jego realizacji? — zapytała szepem mniszka.

Tym razem Dolinin usłyszał. Skinął głową.

— Tuż przed pamiętnym dniem wezwano mnie nagle do samego empireum władzy. Dokonał się cud, na górze znaleźli się ludzie o szerokich horyzontach. Okazali przychylność, wynieśli, nadali życiu nowy sens. W stanie, w jakim wtedy byłem, uznałem to za znak. Oto właśnie możliwość udowodnienia żonie, że jestem wielkim człowiekiem, większym niż jej hrabiątko. Będę miał i pozycję, i bogactwo, i władzę. Prześcignę go we wszystkim. A wówczas ona pożałuje i wyrazi skruchę. (O niczym takim nie mogło być, rzecz jasna, mowy, bo to nie tego rodzaju kobieta — ale ja wtedy oceniałem to inaczej).

Sergiusz Siergiejewicz zamilkł na chwilę, a potem dokończył opowieść zupełnie innym tonem, już bez zawziętości i udręki.

— Jednakże sens znaku polegał na czymś całkiem innym. Później wytłumaczył mi to pewien człowiek — nieważne kto, pani go nie zna. Powiedział: „To Bóg się nad panem ulitował. Ulitował się i uratował pańską duszę”. Tak zwyczajnie. Bóg się nade mną ulitował. A kiedy to zrozumiałem, uwierzyłem. Bez mędrkowania, bez hipotez. Uwierzyłem i już. Od tego momentu zaczęło się moje prawdziwe życie.

— Zaprawdę tak! — zawołała Pelagia i w bezwiednym porywie wypaliła: — Wie pan, ja także panu o sobie opowiem...

Śledczy ściągnął jednak cugle i zatrzymał swego bułanka, bryczka zaś potoczyła się dalej.

Mniszka zeskoczyła na ziemię i zaczęła na Dolinina. Już nie po to, żeby opowiedzieć o sobie (zrozumiała, że Sergiusz Sergiejewicz nie ma teraz ochoty na cudze zwierzenia), ale żeby oznajmić coś ważnego.

— Bóg uratował panu życie i duszę. I do tej łaski się nie ograniczy. Upłynie czas, rana się zablizni, a pan przestanie gniewać się na byłą żonę. Zrozumie pan, że ona nie jest winna. Po prostu nie była tą, którą On panu przeznaczył. I bardzo możliwe, że swoją właściwą małżonkę jeszcze pan spotka.

Dolinin roześmiał się — niby drwiąco, ale bez złośliwości.

— No nie, pokornie proszę. Mnie już wystarczy. Chyba że spotkam taką jak pani. Podejrzewam jednak, że drugiej takiej na świecie nie ma, a ożenek z zakonnicej żadną miarą nie jest możliwy.

Uderzył konia piętami i odjechał na przód karawany, zostawiając Pelagię w całkowitym pomieszeniu.

Leśne strachy

Przez długi czas potem siostra jechała zadumana. Bóg tylko wie, gdzie bujały myśli mniszki, ale jej twarz była dziwna — jednocześnie smutna i rozmarzona. Pelagia uśmiechnęła się kilka razy, ale po jej policzkach spływały łzy, które ocierała bezwiednie dłonią.

Aż nagle ten nastrój prysł, myśli splątały się. Pelagia nie od razu zrozumiała, co jej przeszkadza, co ją odrywa.

Potem pojęła: znowu. Na karku i potylicy wyraźnie czuła czyjeś natarczywe spojrzenie.

Coś takiego zdarzyło się nie po raz pierwszy. Niedawno, w czasie dziennego postoju, Pelagia odwróciła się gwałtownie i zobaczyła — naprawdę zobaczyła — jak na odległym skraju polany poruszyła się gałąź.

Teraz także mniszka nie wytrzymała i obejrzała się.

Przycisnęła rękę do serca: na świerku siedział duży szary ptak i wybałuszał na nią okrągłe żółte oczy.

Siostra roześmiała się cichutko. Boże, puchacz! To tylko puchacz...

Wieczorem jednak, kiedy rozbijali obozowisko na nocleg, zaszło coś takiego, że zrobiło jej się nie do śmiechu.

W czasie gdy mężczyźni budowali szałas i zbierali chrust, zakonnica oddaliła się za potrzebą. Wstydząc się mężczyzn, zapuściła się dosyć daleko, bo zmierzch jeszcze całkiem nie zapadł, więc nie było obawy pobłądzenia.

Nagle skądś słabo zapachniało dymem, ale nie z polany, tylko z przeciwnej strony. Natychmiast przypomniały się jej opowieści o leśnych pożarach. Wielki Las palił się rzadko, bo ratowały go bagna, ale jeśli już zapłonął, to dla nikogo ani niczego nie było ratunku z tego piekła.

Wciągając nosem powietrze, Pelagia ruszyła w stronę podejrzanego zapachu. I rzeczywiście, ujrzała przed sobą drgający ogieniek. Może to próchno?

Kiedy do ogieńka było całkiem blisko, nagle rozległ się trzask. Niezbyt głośny, ale wyraźnie pochodził od żywej istoty. Mniszka zamarła.

Za świerkiem coś się poruszyło.

Nie coś — tylko ktoś!

Zdrętwiała ze strachu zakonnica zauważyła jakieś rytmiczne machanie. Przyjrzała się — ogon, i to wilczy! Najbardziej niepojęte było to, że ogon poruszał się nie nad ziemią, lecz dosyć wysoko, tak jakby zwierzę siedziało na gałęzi!

Pelagia przeżegnała się i cofnęła, mamrocząc: „W Bogu nasze schronienie i siła...”

Z mroku dobiegło niegłośne powarkiwanie z jakimś dziwnym mlaskaniem; nie tyle drapieżne, ile — przywidziało się biednej mniszce — urągliwe.

Opamiętawszy się, szybko się odwróciła i co sił w nogach popędziła z powrotem.

Biegła tak, że potknęła się o kłodę, upadła i rozdarła sobie habit, ale nawet tego nie zauważyła; natychmiast zerwała się i puściła jeszcze szybciej.

Wypadła na polanę pobladała, z zagryzioną ze strachu wargą.

— Co się stało? Niedźwiedź? — wyskoczył jej na spotka nie Dolinin, wyciągając rewolwer.

Policjanci sięgnęli po karabiny.

— Nie... nie — wydobyła z siebie Pelagia, chwytając ustami powietrze. — Nic takiego.

Na widok ogniska i spokojnie siedzących współtowarzyszy zrobiło się jej wstyd. Wilk na gałęzi i w dodatku mlaskający? W lesie może przywidzieć się wszystko.

— No, no — rzekł cicho Sergiusz Siergiejewicz, odprowadzając ją na bok. — Nie należy pani do osób strachliwych, a jest pani teraz blada jak chusta. Co się przydarzyło?

— Tam wilk... Dziwny... Jakby siedział na drzewie. I pali się ogieniek... Przypomniałam sobie o Strąku. Wie pan, to takie leśne straszdyło — przyznała się Pelagia z wymuszonym uśmiechem.

Ale Dolinin nie odpowiedział tym samym. Spojrzał ponad jej ramieniem w granatowiejącą wieczorną gęstwinę.

— No cóż, pójdziemy popatrzeć, co to za Strąk. Pokaże pani?

Ruszył przodem, świecąc latarką. Kroczył pewnie, nie kryjąc się, pod nogami trzeszczały gałązki, a strach przygał i odstąpił.

— To tam — wskazała mniszka, doprowadzając śledczego do straszego miejsca. — To tamten świerk.

Sergiusz Siergiejewicz rozsunał bez wahania kłujące zielone łapy i pochylił się.

— Złamana gałązka — powiedział. — Ktoś na nią nastąpił, i to całkiem niedawno. Szkoda, że tu mech, bo zostały by ślady.

— On... Ono warczało — poskarżyła się Pelagia. — I ja kość tak szyderczo, nie po zwierzęcemu. A najważniejsze, że ogon miało na takiej wysokości. — Wspięła się na palce, żeby pokazać. — Przysięgam! A ogieniek zniknął. I dymem też już nie pachnie...

Zrobiło jej się nieswojo, że wyplata takie bzdury. Dolinin jednak i tutaj nie pozwolił sobie na żarty. Pociągnął nosem.

— Odrobinę chyba tak... Wie pani, *mademoiselle*, jestem człowiekiem o naturze racjonalnej i kieruję się światopoglądem naukowym. Daleki jestem wszakże od myśli, że nauce znane są wszystkie ziemskie tajemnice, nie mówiąc już o tajemnicach nieba. Naiwnym byłoby sądzić, że istotę zjawisk wyczerpują prawa fizyki i chemii. Tylko bardzo ograniczeni ludzie mogą być materialistami. Ale pani nie jest materialistką?

— Nie.

— Dlaczego zatem tak się pani zdziwiła? Cóż, przestraszyła się pani, to zrozumiałe, ale dlaczego zaraz się dziwić? Sama pani widzi, jaka tu okolica. — Ogarnął ręką mrok, którym w nocy okrył się Las. — Gdzież miałoby się trzymać diabelstwo, jeśli nie w głębinach wód i w leśnych ostępach?

— Pan żartuje? — cicho zapytała Pelagia.

Sergiusz Siergiejewicz westchnął.

— Proszę powiedzieć, czy Bóg i aniołowie istnieją?

— Tak.

— A zatem istnieje też Szatan i jego pomagierzy. To jedyny logiczny wniosek. Istnienie bieli niemożliwe jest bez istnienia czerni — podsumował niezwykle śledczy. — No dobrze, chodźmy napić się herbaty.

Dziki Tatarzyn

Do Stroganowki dotarli czwartego dnia pod wieczór.

Wioszczyna rozrzuciła swoje niepozorne domki po obszernej łące, która, jak się zdaje, została odebrana Lasowi jeszcze w odległych czasach.

Jakieś dwieście, trzysta lat temu znajdowały się tutaj, jak wynikało z nazwy wsi, włości kupców Stroganowów — zdobywców Syberii. Z dawnych dni pozostał prostokąt ze zbutwiałych kłoców — ślady po niewielkiej warowni — i kilka dziesiątków dołów na pamiątkę istniejącej tu niegdyś solnej faktorii.

Mieszkali w tej okolicy surowi długobrodzi chłopci, potomkowie stroganowowskich potępieńców, wszelkiej maści zbieraniny, która już w XVI wieku pociągnęła z całej Rusi na tutejszą wolniznę. To, że tubylcy nie należą do spokojnego rolniczego plemienia, wyczuwało się od razu — i z powodu braku pól uprawnych, i po malutkich, obronnych okienkach chat, i po suszących się na płotach zwierzęcych skórach. Stroganowowcy ziemi nie orali. Żyli z lasu i wyskrobywali z od dawna wyeksploatowanych dołów sól kamienną. Była byle jaka, szara, brali ją tylko chłopci z okolicznych gmin, i to za pół darmo.

Za sosnami zaś, po drugiej stronie bystrej kamienistej rzeczki, widać było urwiste skały — pierwsze zwiastuny Uralu.

Dolinin rozmawiał z sołtysem — ponurym dziadem, który niczym lichy leśne obrosły był siwozielonkawymi włosami. Oprócz starca w gromadzkiej chacie byli jeszcze dwaj

niemłodzi chłopci, którzy nie otwierali ust i tylko wybałuszali się z napięciem na nieproszonych gości. Gdyby nie wójt gminy, który był dla starosty kumem, zapewne do żadnej rozmowy w ogóle by nie doszło.

Rzecz podstawowa, dla której tutaj jechali, wyjaśniła się niemal natychmiast.

Zajrzawszy do otwartej skrzyni, sołtys przeżegnał się i powiedział, że to na pewno Piet'ka Szełuchin, rodowity stroganowowiec. Już trzy lata, jak odszedł, i nikt go odtąd nie widział.

— W jakich okolicznościach opuścił miejsce zamieszkania? — zapytał Dolinin.

— Czegój to? — Sołtys, który posługiwał się miejscowym dialektem, dla obcych dosyć trudnym do zrozumienia, wytrzeszczył na śledczego oczy. — Coż powiedacie?

— No, dlaczego odszedł?

— O to, to, odszedł, to odszedł. My łoni onegoż domek odpisali na gromadę. — Dziad wskazał izbę, trzeba przyznać, że okropną, z niskim sufitem, w rogach aż czarną od pajęczyn.

— „Łoni” to w „zeszłym roku” — przetłumaczyła Pelagia. — W domu Szełuchina urządzili chatę gromadzką.

— *Merci*. Nie pytam go o chatę. Co to był za człowiek ten Szełuchin? Dlaczego opuścił wieś?

— ...człowieczyna. — Dziad wyraźnie wymówił to niezbyt ładne słowo, na które mniszka zmarszczyła się. — Chełpa, gnus. Do łzy pirwy libo i co zemknąć.

— No? — zapytał Dolinin Pelagię.

Ta wyjaśniła:

— Samochwał, próżniak. Kłamca zawołany. Nieobce mu było też złodziejstwo.

— Pasuje jak ulał — zauważył Sergiusz Siergiejewicz. — Zwyczajnie zgadzają się. Dlaczego Szełuchin wydalili się nagle z tej pięknej okolicy? Niechaj lepiej pani o to zapyta, siostró, bo my z tym matuzalemem jakoś nie bardzo nawzajem się rozumiemy.

Pelagia zapytała.

Sołtys, wymieniwszy spojrzenia z milkliwymi chłopami, odrzekł, że Piet'ka „odszedł z dzikim Tatarzyńcem”.

— Z kim? — zapytali chórem Sergiusz Siergiejewicz i za konnica.

— Tuto był taki człek. Nie nasz. Z dalecza, nie świadomo zjad.

— Co to takiego „tuto”? — Dolinin spojrział niecierpliwie na pomocnicę. — I jeszcze to „zjad”.

— Ależ proszę zaczekać. — Pelagia niegrzecznie opędziła się od niepojętego śledczego. — Powiedzcie, dziadku, to jednak, skąd... zjad Tatarzyn przyszedł?

— Nizjad. Tatarzyna bo przyprowadziła Głuptaczka. Tu już i czernica się pogubiła.

— Co?

Po długich wyjaśnieniach, obfitujących we wszelkiego rodzaju nieporozumienia, okazało się, że Głuptaczka nazywają niemą i zdziwaczałą dziewczynkę, mieszkankę

Między tubylcami rozgorzał spór na temat tego, jak naprawdę Głuptaczka ma na imię.

Jeden z chłopów uważał, że Stieszka, drugi, że Fimka. Sołtys na temat imienia głuptaski niczego powiedzieć nie potrafił, oznajmił jednak, że niemowa mieszka z babką Bobrychą, która „siedm roków” cierpi na „leżuchę” (paraliż). Głuptaczka opiekuje się chorą, jak potrafi, a i gromada tym czy tamtym pomaga.

Pewnego razu wiosną, trzy lata temu, ta właśnie Głuptaczka nie wiadomo skąd przyprowadziła „dalecznego” człowieka, „czyście dzikiego”.

— Dlaczego dzikiego? — zapytała Pelagia.

— Ano nijak, tylko dziki. Łbem świdrzy, oczyska wypałbia, nieco rokuje, niby po ludzku, jedno bez nijakiego rozumienia. „Ej, fuani, ej, fuani”. Czysty koślawiec, z tych, co to w miastach pod cerkwią mendykują.

— Koślawiec? To znaczy, że był kaleką? — przerwał słuchający z natężeniem Sergiusz Siergiejewicz.

— Nie — odparła mniszka. — „Koślawiec” to „nawiedzony”. Powiedzcie, dziadku, a jak ten człowiek był odziany?

— Rachuj, że nijak. Bez portek, w samym wańtuchu, po wierzchu opasany jacyntowym sznorem.

— Jakim, jakim sznorem, siostrzyczko?

Pelagia odwróciła się do śledczego i cicho powiedziała:

— „Jacyntowy” to niebieski...

Dolinin gwizdnął.

— Masz, babo, placek. A zatem ten w skrzyni to nie Manujła... *Quod erat demonstrandum*.

— Proszę zaczekać. — Pelagia znowu zwróciła się do sołtysa. — A skąd wam to przyszło, że jest Tatarem?

Dziad spojrział koso na czernicę, ale wprost nie odpowiedział — polecił zrobić to jednemu z chłopów.

— Dońka, ty jej rzeknij, mnie się nie godzi.

— My go do bani, coby go umyć, a u niego pyta obkoro-
wana — wyjaśnił Dońka. — Jak u tatarstwa.

— Co? Co?

— To akurat zrozumiałem — odezwał się Sergiusz Siergiejewicz. — „Dziki Tatarzyn” był obrzezany. Nie ma wątpliwości, to Manujła. Ten łajdak istotnie jest nieśmiertelny...

W dalszej rozmowie ujawniły się kolejne szczegóły.

Piet'ka Szeluchin, najmniejszy chłopina w całej Stroganowce, z jakichś powodów przywiązał się do „dzikiego”, przygarnął do swej chaty i chodził za nim wszędzie jak za rodzonym bratem. Wedle świadectwa sołtysa naprawdę byli do siebie podobni — i z oblicza, i ze wzrostu. I tak właśnie Pietka nazywał obcego: „starszym bratem”, ów zaś ochrzcił swego opiekuna mianem „Obłupanego”

— Nieee, nie Obłupany. Obłupaniec. *Szelujak*. Tak go Tatarzyn wołał — poprawił Dońka.

— Ano tak — potwierdził drugi chłop. — Obłupaniec. I Piet'ka to przywziął.

Śledczy polecił zawezwać dziewczynkę, która przyprowadziła „Tatarzyna”.

Sprowadzono ją, tyle że nic rozsądnego z tego nie wyszło. Głuptaczka miała zapewne około czternastu lat, ale z powodu mizernego wzrostu i zamorzenia wyglądała na dziesięć. O cokolwiek ją pytano, nie rozumiała — i tylko coś meczała. Przeczesała brudną dłonią zmierzwione włosy i pociągała nosem.

Dolinin w końcu machnął na nią ręką.

— To, powiadasz, Szeluchin zaprzyjaźnił się z przyby-
szem? — zwrócił się do sołtysa. — A na jakiej właściwie podstawie?

Pelagia, westchnąwszy ciężko nad niepoprawnym Sergiuszem Siergiejewiczem, przygotowała się do przetłumaczenia

pytania na język mieszkańców Stroganowki — w przeciwnym bowiem razie powtórzona zostałaby rozmowa księcia duńskiego z grabarzem („A na jakim podłożu? — Na jakim? Tu, w Danii”^{*}). Gdy nagle, całkiem przypadkowo, spojrzała na kulącą się u drzwi Głuptaczkę. Teraz, kiedy dorośli przestali zwracać na nią uwagę, wyraz jej twarzy uległ zmianie: w pustych oczach zapaliły się ogniki, a głupkowatość zniknęła. Dziewczynka przysłuchiwała się roz— Mykaj, mykaj! — zawołał do niej sołtys.

Niechętnie wyszła.

Rozmowa o „dzikim” była kontynuowana.

— To w czym Tatarzyn Piet’ce ugodził? — zapytała Pelagia.

— Piet’ka kłapał, że dziki o Świętej Ziemi mu rokował. W rzeczy o tym, jak żyć po prawdzie.

— Dlaczego „kłapał”?

— Alboż to Tatarzynowi o Świętej Ziemi rokować, acz on po naszymu ni zacz nie gwarzył?

— To znaczy, że zupełnie nie umiał mówić?

— Aha.

Jeden z chłopów (nie Dońka, tylko drugi) wtrącił swoje trzy grosze:

— Jak to tam oni z Głuptaczką, ojczaszku, a? Ona meczy, on glegocze. Zabawka. Ochrim to niegdy zadurował, nie? „Głuptaczka — peda — oblubionego se przyswatała. Niczegowata rodzinka — Głupek i Głuptaczką”.

Tu pogładził ręką brodę, co, jak się zdaje, oznaczało w Stroganowce najwyższy stopień lekkomyślności, sołtys bowiem osadził wesołka:

— Zębów nie susz. Alboż to przepomniałeś, jako było potem?

— A co było potem? — zainteresował się natychmiast Dolinin.

Stroganowowcy spojrzeli po sobie.

— Ano, wyświecili my Tatarzyna — powiedział sołtys. — Pokołatali słusznie, łbem do gruby i puhami precz.

^{*} William Szekspir, *Hamlet*, w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.

— Co oni zrobili? — Sergiusz Siergiejewicz spojrział bezradnie na mniszkę.

— Prawie na śmierć pobili, wrzucili do dołu z nieczystościami, a potem przegnali ze wsi batogami.

— Za co? — Dolinin skrzywił się na miejscowe obyczaje.

— Trza go było, szkaradę, na śmierć sprawić — z powagą oświadczył sołtys. — Albo pytę mu tatarską urwać. Głuptaczkę, sirotę ubogą, co to za nim jako psina latała, zesromocić chciał. Bo i nosi ziemia bestyje. Głuptaczka potem dwa dni leżała zamartwe.

Sergiusz Siergiejewicz zachmurzył się.

— No, a co Szełuchin?

— Za swoim Tatarzynem w las się podał. Jak my zaczęli paskudę sprawiać, Piet'ka polazł za łby z chłopami, nie dawał swojego „starszego” nakarać. To i Piętce my mordę skołatali. A jak pognali my Tatarzyna w las, Piet'ka tobołkę zawiązał i za nim. „Zatraci się on w lesie! — zwał. — To człowiek Boży!” I sporzej my Piętki nie widali, aż do dzisiaj.

— A powiedz no, dziadku, w którą to stronę odszedł od was Tatarzyn? Na zachód, na wschód, ku północy czy... jak to tam... ku siewioru? — zapytał Dolinin.

Pelagia cichutko wstała i skierowała się do drzwi.

Przyczyny tego były dwie. Pierwsza — że Sergiusz Siergiejewicz, jak się zdaje, oswajał się pomału z miejscową idiomatyką. Druga wiązała się z samymi drzwiami, które zachowywały się zagadkowo — to lekko uchylały się, to znowu przymykały, chociaż przeciągu nie było.

Wyślizgnąwszy się do ciemnej sieni, mniszka obróciła głowę i w kącie, za kufrem, spostrzegła jakiś cień.

Podeszła i przykucnęła.

— Nie bój się, wyjdź.

Zza kufra wysunęła się potargana głowa. W ciemności błyszczało dwoje szeroko otwartych oczu.

— No, czemu się ukryłaś? — zapytała łagodnie głuptaskę Pelagia. — Dlaczego podsłuchiwałaś?

Dziewczynka wyprostowała się na cały swój niewielki wzrost i popatrzyła z góry na przykucniętą mniszkę.

Czy naprawdę jest ograniczona? — zaczęła powątpiewać Pelagia, patrząc małej dzikusce w oczy.

— Chcesz o coś zapytać? Albo poprosić? Wyjaśnij, jakkolwiek, choćby gestami. Zrozumiem. I nikomu nie powiem.

Głuptaczka dotknęła palcem piersi siostry, gdzie wisiał miedziany krzyżek betlejemski.

— Chcesz, żebym się pobożyła? — domyśliła się Pelagia. — Przysięgam ci na Chrystusa, że nikomu niczego nie powiem.

Przygotowała się na niełatwe zadanie — rozszyfrowywania mecenia i gestykulacji upośledzonej.

Z izby dotarł odgłos kroków — ktoś kierował się ku drzwiom.

— Przyjdź do młyna — szepnęła nagle niemowa i niczym myszka wymknęła się z sieni na ganek.

W tej samej sekundzie, no, może w następnej, drzwi się otworzyły i pojawił się w nich Sergiusz Siergiejewicz.

Pelagia nie zdążyła ukryć malującego się na jej twarzy oszołomienia, śledczy jednak jej uniesione brwi wytłumaczył sobie na swój sposób.

— Ależ to nikiemnik! — powiedział ze złością. — Chroni siebie, dobry pasterz, podstawiając na swoje miejsce innych. Czy już wiemy, dlaczego „znajdy” z parowca nie zechciały towarzyszyć ciału proroka? Zdawali sobie sprawę, łajdacy, że to żaden prorok, że to podmiana.

— A kiedy zabójstwo zostało odkryte, krzyczeli głównie o kasie — przypomniała Pelagia. — Powinam już wtedy zwrócić na to uwagę.

— Podsumujemy? — zaproponował Dolinin, kiedy wyszli na ganek. — Rysuje się następujący obraz. Manujła powierzył opiekę nad „kasą” swemu „młodszemu bratu”, Piotrowi Szeluchinowi. Najwyraźniej przewidywał, że na pieniądze ktoś może polować. Nie zechciał ryzykować swojej cennej osoby.

— A ja myślę, że polowano nie na kasę, ale na samego Manujłę.

— Podstawy? — szybko zapytał śledczy, mrużąc oczy.

Po sztuce, jaką wycięła Głuptaczka, mniszka była nieco rozkojarzona i dlatego zapomniała o złożonym przyrzeczeniu — oddała się dedukcji.

— Przecież sam pan powiedział, że był już zamach na proroka. Czy wtedy wchodziły w grę pieniądze?

— Nie, niczego takiego sobie nie przypominam.

— Widzi pan. Tu chodzi o samego Manuję. Na parowcu nie działał jakiś tam „razyniec” i zabójstwa dokonano wcale nie przypadkiem. Komuś ten szachraj Manuję bardzo mocno dokuczył.

— Komu?

Dolinin chmurzył się coraz bardziej, a Pelagii — co tu ukrywać — jego napięta uwaga pochlebiała.

— Jest zaledwie kilka wariantów. Po pierwsze... — zaczęła, ale ugryzła się w język, bo wreszcie przypomniała sobie o obietnicy. I wpadła w popłoch. — Nie, nie! Nie będę o tym. I niech mnie pan nie namawia! Złożyłam przyrzeczenie. Jest pan doświadczony, sam pan wszystko rozwikła.

Sergiusz Siergiejewicz uśmiechnął się.

— Działania umysłu nie da się pohamować, choćbyś nie wiem jak się zarzekał. Zwłaszcza tak ostrego umysłu jak pani... No dobrze, jeśli pani się namyśli, to wyłoży pani swoje „warianty” w drodze powrotnej. Nie mamy tutaj już nic do roboty. Prorok cieszy się zdrowiem, tak że trzeba będzie dać do gazet sprostowanie. Co za reklama dla Manuję! To go zabijają, to zmartwychwstaje.

Splunął z irytacji. To jest nie dosłownie, rzecz jasna, bo był człkiem dobrze wychowanym, ale symbolicznie, mówiąc „tfu!”

— Nie ma co zwlekać, dziś jeszcze wyjedziemy.

— Na noc? — zaniepokoiła się Pelagia, patrząc na Stroganówkę w świetle księżyca. Gdzie mógłby tu być młyn?

— Bez obaw, nie zabłądzimy. I tak tyle czasu straciliśmy na próżno. Myślałem, że to sprawa wagi państwowej, a tu nic.

Zdaje się, że tam się ukrył — mniszka dostrzegła kwadratowy budynek nad rzeczką i nawet jakby usłyszała skrzypienie młyńskiego koła.

— Ja tak wyjechać nie mogę — powiedziała. — Sołtys nie chce posyłać po kapłana do Staricy. Mówi, że nie ma koni, a poza tym trzeba byłoby zapłacić. I co teraz, mamy zakopać człowieka jak psa? Odprawić nabożeństwa nie mogę, ale choć odmówię nad grobem modlitwę. To mój obowiązek. A pan niech się nie martwi. Byłoby o wiele gorzej, gdybyśmy tutaj nie przyjechali. Powiadomiłby pan

zwierzchników, że Manujła nie żyje, a potem okazałoby się, że nic podobnego. Sytuacja byłaby dla pana niezręczna.

— Co racja, to racja, a jednak... — mruknął Sergiusz Siergiejewicz, którego, jak się zdaje, niepowodzenie ekspedycji poważnie przygnębiło. Ambitny reformator chyba jednak chciał się popisać przed dziennikarzami. — No dobrze. Proszę pochować Szełuchina jutro rano. Ale, błagam, jak najwcześniej. Do diabła, jak szkoda tego czasu!

Po raz pierwszy o kogucie

Pelagia życzyła śledczemu dobrej nocy i powiedziała, że nocleg znajdzie sobie sama, a potem pospieszyła nad rzeczkę.

Przeszła ulicą mimo płotów, zza których cicho powarkiwaly nieszczekliwe stroganowowskie psy, przypominające raczej wilki. Za opłotkami, na łące, szum wody stał się głośniejszy. Kiedy zaś do młyna było już całkiem blisko, spod solidnej budowli z kłoców ruszyła ku mniszce szczuplutka figurka.

Dziewczynka niecierpliwie podbiegła do siostry, pochwyciła jej rękę czepliwą, szorstką łapką i zapytała:

— Czy on żyje? Czy żyje?

— Kto? — zdumiała się Pelagia.

— Amanuił.

— Chcesz powiedzieć: Manujła?

— Amanuił — powtórzyła Głuptaczka. — Tak onyż się zwał.

— Skąd to wiesz?

— Wiem. Tak się szturgał — dziewczynka dotknęła palcem piersi — i powiedział: „Amanuił, Amanuił”. Siła jeszcze powiedział, jedno ja nie urozumiiała. Mała była i czyście głupia.

To pewnie „Manuił”, domyśliła się Pelagia. Gminne zaś „Manujła” pojawiło się później, kiedy zagadkowy „Tatarzyn” ruszył ze swymi naukami po wsiach.

— Żyje twój Manuił, żyje — uspokoiła Głuptaczkę. — Nic mu się nie stało. Wiesz co, opowiedz, gdzie go znalazłaś.

— To nie ja go naszłam, tylko Białaska.

Tutaj Głuptaczka opowiedziała Pelagii osobliwą historię, której mniszka wysłuchała z niezwykłą uwagą. Zdumiewało

także to, w jak składny sposób potrafiła mówić rzekoma niemowa — o wiele żywiej i barwniej niż miejscowy sołtys.

A historia była taka.

Zaczął się od tego, że z gromadzkiego kurnika, którego doglądała mała Głuptaczka, uciekła Białaska, nioska o wyjątkowo „brykliwych”, to jest nieznośnych, obyczajach. Kurnik znajdował się na drugim brzegu rzeczki, tak więc szukać uciekiniarki należało albo w pobliskich krzakach, albo dalej, przy „kamieniach” (skałach).

Głuptaczka przepatrzyła dokładnie zarośla, ale Białaski tam nie znalazła. Na nieszczęście kwoka należała do sołtysowego starszego syna Dońki, chłopu awanturnego i czepliwego, którego Głuptaczka „haniebnie” się bała.

Cóż było robić, poszła szukać przy „kamieniach”. I wołała, i po kurzemu błagała, i płakała — wszystko na nic.

Tak dotarła do Czarciego Kamienia, gdzie z własnej woli nigdy by się nie zapuściła, a już na pewno nie sama.

— Dlaczego? — zapytała Pelagia. — Co to za Czarci Kamień?

— Mocno złośliwe miejsce.

— Dlaczego złośliwe?

— A dla jaśnie pana.

Głuptaczka opowiedziała, że bardzo dawno temu przy Czarcim Kamieniu zaginął przyjezdny pan. Mówiła jej o tym babuła, kiedy jeszcze od „leżuchy” nie odjęło jej języka. A babuli opowiadał o tym jej dziad.

Może sto lat temu, a może jeszcze dawniej, przyjechał do Stroganowki jaśnie pan. Szukał skarbów — złota, kamieni szlachetnych. Łaził po górach, gdzie miejscowi w życiu nie zaglądali, bo i po co. Kopał w ziemi, zapuszczał się do „pieczarów”. Do „pieczaru” koło Czarciego Kamienia też wlaź. Wziął ze sobą koguta.

— Po co? — nie zrozumiała mniszka

— Bo kiedy w pieczarze obładzisz, kokota trza puścić, on zawdy wyście najdzie.

Ale jaśnie panu kogut nie pomógł. Przepadli obydwaj — i człowiek, i ptak; z jaskini już nie wyszli. Wtenczas wioskowi, ci odważniejsi, wyruszyli ich szukać. I znaleźli: po jaśnie panu sukienną czapkę, a po kogucie pióro z ogona.

Więcej nic. Czarł ich porwał, bo to wiadomo — kamień jego.

Okropnie strasznie było Głuptaczce iść w takie miejsce, ale bez Białaski też nie ma co wracać.

Szła „obokoło” przeklętej skały, „żałowała” (płakała), cała się trzęsła. Nagle słyszy — coś jakby kogut piał: głucho, jak spod ziemi. Zajrzała za wielki głaz i krzyknęła. Tam, za krzakiem, czerniało wejście, a pianie dochodziło właśnie

Zrozumiawszy, że to jest onaż jaśniepanowa jaskinia, Głuptaczka długo nie mogła się zdecydować, czy do niej wejść. Skąd tam się wziął kogut? Czyżby to ten sam, którego porwał czarł? A może zaginiony pan też tam jest? Oj, jak strasznie!

Chciała już uciekać, gdy nagle słyszy — gdakanie. Znajome, Białaski!

To znaczy, że ona tam jest — w jaskini.

I przeżegnawszy się (modlitwy odmówić nie mogła — „niemowna” była), poszła szukać Białaski.

Początkowo niczego nie mogła dostrzec — ciemno. Potem oczy trochę się przyzwyczyły. Ujrzała białą plamę — Białaska. Rzuciła się do niej, a obok kogut. Ostry, bo co rusz na kurę wskakiwał. Patrzy, a tu trochę dalej leży brodaty mężczyzna w białej koszuli (tak w każdym razie Głuptaczce się wydawało) i pochrapuje. Gdyby mężczyzna nie spał, ubiegałaby z przeklętego miejsca i za nic by tam nie wróciła. Ale bać się śpiącego? To znaczy bała się przez jakiś czas, pewnie, ale potem przyjrzała się, zobaczyła, że nie jest straszny, obudziła go i razem z kogutem przyprowadziła do wsi.

Kokot ów, czerwonego upierzenia, przypadł Głuptaczce, bo jaskiniowy mężczyzna powiedział, żeby go sobie wzięła. Dobry to był kogut, miejscowe wiejskie nie mogły się z nim równać. Za kilka jajek Głuptaczka i babula użyczyły go, żeby deptał cudze kury, i odtąd mocno im się poprawiło, a po kokocie pojawił się w Stroganowce gatunek „pytliwych” (to jest nienasyconych w deptaniu) czerwonych kogucików. Jego zaś po roku sąsiedzkie koguty zadziobały — za bardzo był już awanturny.

Wysłuchawszy opowieści do końca, Pelagia zaczęła wy-
pytywać o Amanuiła: jakim był człowiekiem, jak się zacho-
wywał, czy był porządny? Pamiętała, za co chłopci przepędzili
mniemanego proroka, i nie mogła sobie tego poskładać: jeśli
tak, to dlaczego Głuptaczka tak bardzo martwi się o
„szkaradę”.

Dziewczynka niczego złego o swym krzywdzicielu nie po-
wiedziała, wręcz przeciwnie. Kiedy o nim mówiła, jej głosik
łagodniał i pojawiały się w nim marzycielskie nutki. Zdaje
się, że spotkanie z „dzikim Tatarzynem” stało się najważ-
niejszym wydarzeniem w jej malutkim, biednym życiu.

Jest dobry, powiedziała Głuptaczka. Dobrze było z nim
„staczać gadki”.

— Ale jakże mogliście rozmawiać? — nie wytrzymała Pe-
lagia. — Ty byłaś niemowna, a on też, jak mówią, nie za
bardzo.

W duchu pomyślała: a może udawał przed chłopami?

— Mieli gadałki — uparcie powtórzyła Głuptaczka. —
Amanuił tak rokował, co ni słówka nie wyrozumiesz, a po-
baczysz wszystko.

— To co on ci takiego opowiadał?

— Różnisto — odparła dziewczynka i spojrzała w niebo,
na księżyc. Na jej twarzy błąkał się dziwny uśmiech, by-
najmniej nie dziecięcy. — A bo to mała byłam i durna. Chcę
go umawiać: „Nikędy nie chodź, żyj u nas z babulą”, a sama
tylko „me” i „me”.

— To kiedy nauczyłaś się mówić?

— To on, Amanuił, zlecił mnie od niemoty. Peda: „Ty,
dziewka, drzewiej gadać nie chciała, bo to ani z kim, ani o
czym. A ze mną zagadasz”.

— I wszystko to wyraził ci bez słów? — zapytała Pelagia
z niedowierzaniem.

Głuptaczka zamyśliła się.

— Nie pomnę. Zawiódł mnie nad rzeczkę, kazał zwlec
się do gołego. Naczał wodą polewać na ciemko, po ramio-
nach gładzić. Tak to słodko! I gusła przymawiał czarowne.
A tu Waniatka od młynarzów nas spatrzał, poleciał za chło-
pami. Przylecieli ci oni i dawaj go, Amanuiła, kołatać, a za
włosy po ziemię wlekać, a nogami! A ja jak nie wskrzyknę:

„Nie ruszajcie go! Nie ruszajcie!” Słowami wskrzykłam, jedno nikt nie usłyszał — tak silno bałuszyli. I tak się zmiałam, że mogę słowami — że padłam bez pamiętki i leżałam dzień i wtóry. A jak się ocuciłam, już jego wyświecili... Żądałam lecieć za nim do Świętej Ziemi. Amanuił zonął roc — Z Ziemi Świętej? Skąd ci to przyszło?

— Bo i zjad jeszcze taki by się przywział? — zdziwiła się Głuptaczka. — A i sam mi o tym rokował. Jedno ja nie poleciała. Bo nie kazał. Ja jeszcze drzewiej się u niego wyprasałam — meczałam: „Weź mnie, weź”. Bojałam się, że nie wyrozumie, bo kromie babuli żadny mnie nie usłyszał. A on wyrozumiął. „Rano tobie — peda — do Świętej Ziemi. Bo jak bez ciebie babula? Bóg dopuści, tedy do mnie przystępuj. Czekać będę”.

Dopiero teraz, z pewnym opóźnieniem, do Pelagii dotarło, że dziewczynka może coś zaplatać albo, łagodniej mówiąc, fantazjować. Wymyśliła sobie bajkę i to daje jej pociechę. Bo, z drugiej strony, czym innym biedaczka mogłaby się pocieszać?

Pelagia pogładziła Głuptaczkę po głowie.

— Dlaczego milczysz? We wsi uważają cię za przygłupią niemowę, a ty taka mądrała. Porozmawiaj z wioskowymi, to od razu odniosą się do ciebie inaczej.

— Z kim tu gadać? — parsknęła Głuptaczka. — I o czym? Jedno z babulą rokuję, cichuczko. Powieczernie. O Amanuile jej powiedam, a ona słucha. Odkazać nie może, bo bez języka leży. Kiedy mała byłam, babula, bywało, gada i gada, a ja, głupia, meczę. Ninie opak. Ja gadam, babula meczy. Mdła ona, rychle pomrze. Pochowam ją i wonczas wolna będę. I pójde do niego, do Amanuila. Do Świętej Ziemi. Jedno wprzód podrośnię, dziewczką będę. Na co mu mała dziewczynka? Trza jeszcze roczeń, dwa czekać. Pożrzyj, co tu u mnie. — Głuptaczka z dumą rozpięła podartą sukieneczną, po czym pokazała ledwie nabrzmiewające piersiatka: najpierw jedno, potem drugie. — Baczysz? Rychle dziewczką będę?

— Rychle — westchnęła Pelagia.

Obydwie zamilkły, zadumały się, a każda myślała o czym innym.

— Posłuchaj — powiedziała mniszka — czy mogłabyś pokazać mi tę jaskinię? No, tam gdzie znalazłaś Manuiła?
— Ukażę — łatwo zgodziła się Głuptaczka. — Jak kokoty wtórn timer zapieją, zasię do młyna przychodź. Zawiodę.

Wstydlivy sen

Do piania kogutów, które zgodnie z prawami natury powinno poprzedzać świt, było jeszcze daleko, pewnie jakieś pięć albo sześć godzin, tak więc należało urządzić sobie nocleg.

Pelagia wróciła do gromadzkiej chaty, żeby zapytać sołtysa, gdzie można zanoćować.

W domu świeciły się okna, mniszka więc, zanim weszła, zajrzała przez jedno z nich.

Sołtysa w izbie nie było. Przy zbitym z desek stole siedział samotnie Sergiusz Siergiejewicz, a wzdłuż ścian ułożyli się na ławach pozostali uczestnicy ekspedycji.

Widać było z tego, że chatę przeznaczono na nocleg dla śledczego i jego oddziału. Bo gdzież by indziej ich umieścić? Stroganowka to nie miejsce dla zajazdu.

Dosyć długo siostra stała nieruchomo, patrząc na Sergiusza Siergiejewicza. Ach, jaki wyraz twarzy miał śledczy, kiedy sądził, że nikt go nie widzi! Ani śladu drwiny, ani śladu oschłości.

Czoło Dolinina poznały wyrażające cierpienie zmarszczki, usta wykrzywiła tragiczna fałda, a oczy błyszczały podejrzenie mocno — czy nie z powodu łez?

Nagle Sergiusz Siergiejewicz opuścił głowę na skrzyżowane ręce, a jego ramiona zadrżały.

Jakże go żałowała — brak słów. Oto jaką udrękę nosi w sobie człowiek, ale nie ugina się, nie poddaje.

Tu mniszka przyłapała się na tym, że bardzo chciaaby przycisnąć jasną głowę cierpiętnika do piersi, pogładzić udęczone czoło, otrzeć łzy z oczu.

Dosyć — przeraziła się nagle — czy to na pewno litość? A jeśli nie?

Skoro ma być ze sobą całkowicie szczerą, bez żadnych wykrętów, to dlaczego tak łatwo zgodziła się jechać z Dolininem

do Stroganowki? Czy chodziło tylko o śledztwo i ochronę spraw Mitrofianusza?

Nie, mateczko, spodobał ci się petersburski mistrz kryminalistyki, dowodziła sobie zakonnica. W dodatku ty, grzesznico, wyczułaś, że i sama mu się podobasz. No to zachciało się pobyć razem z nim. Co, może nie?

Tak, zwiesiła głowę Pelagia, właśnie tak.

Przypomniała sobie, jak ścisnęło się jej serce, kiedy zwrócił się do niej z niedopuszczalnymi słowami, że drugiej takiej nie ma na świecie i że gdyby nie była mniszką...

Ach, jaki wstyd! Ach, jak niedobrze!

A najgorsze to, że swą straszną opowieścią o kwasie siarkowym Sergiusz Siergiejewicz potrafił w niej jakąś czułą strunę. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego, niż kiedy w kobiecym sercu, trwającym w bezwzględny rygorze — można nawet rzec: zaciśniętym w żelaznej rękawicy — nagle delikatnie zadźwięczy pewna, wydawałoby się, od dawna i na zawsze zerwana struna...

Czernica tak się przestraszyła, że zaszeptała modlitwę o wybawienie od pokuszenia.

Strach wywołał stanowczość.

Pelagia wkroczyła na ganek, przeszła przez sień i zastukała do drzwi izby. Odczekała chwilę, aby Sergiusz Siergiejewicz zdążył dojść do siebie, i przestąpiła próg.

Dolinin podniósł się na jej widok. Opanować twarzy nie potrafił — patrzył na zakonnice ze zdumieniem iomalże lekkiem, zupełnie jakby przyłapano go na gorącym uczynku. To dodatkowo przekonało ją o słuszności decyzji.

— Wie pan co? Proszę na mnie nie czekać — oświadczyła Pelagia. — Proszę wracać, choćby zaraz. Po co ma się pan tu męczyć? Widzę, że nawet spać pan nie może. Skoro już, dzięki panu, znalazłam się w tej głuszy, zajmę się swoimi sprawami. W końcu jestem kierowniczką szkoły. Rozejrzę się, porozmawiam z chłopami, z sołtysem. Może oddadzą mi mniejsze dziewczynki na naukę. Po co mają rosnać tu w nieuctwie?

Pomyślała: bo to prawda i koniecznie trzeba będzie zabrać Głuptaczkę, a jej babcię można umieścić w klasztorным szpitalu.

Była przekonana, że Dolinin zacznie protestować, a nawet się zirytuje.

Śledczy jednak patrzył na nią w milczeniu — nie wyrzekł ani słowa.

Czyżby odgadł prawdziwą przyczynę? — przeraziła się Pelagia. Z pewnością się domyślił, wszak to człowiek mądry i subtelny.

Spuściła oczy, a może nawet się zaczerwieniła. W każdym razie policzki oblało jej gorąco.

Sergiusz Sergiejewicz oschle, z wysiłkiem wydusił:

— Cóż... Może tak i lepiej... I rozkaszał się.

— To nic — cicho, łagodnie powiedziała Pelagia. — To nic...

Na żadne inne słowa pozwolić sobie nie mogła, ale i tych było aż nadto. To jest w samych słowach, całkowicie obojętnych, nie było niczego nagannego, lecz ton, jakim zostały wypowiedziane, był, rzecz jasna, niedopuszczalny.

Dolinin szarpnął się na ów ton, a jego oczy błysnęły złością, jeśli nie nienawiścią.

Burknął:

— No, żegnam panią, żegnam.

Odwrócił się.

Krzyknął na podwładnych:

— Co za wylegiwanie się, taka wasza mać! Wstawać!

To z macią było celowe, zrozumiała Pelagia. Żeby szybciej wyszła.

Dziwny człowiek. Trudno takiemu żyć na świecie. A i z nim, zapewne, także trudno.

Skłoniła się w stronę gniewnych pleców śledczego i wyszła.

Postanowiła nocować w stodole na gromadzkim podwórzu. Nie było tam tak duszno jak w chacie, poza tym miała nadzieję, że uniknie karaluchów.

Weszła po drabinie na górę, wstrząsnęła zleżale siano. Położyła się. Przykryła rozwiniętym pledem. Nakazała sobie spać.

Że zaśpi, nie bała się.

Stodolę wybrała na nocleg także dlatego, że na dole były kury. Podskakiwał też żwawy kogucik, sądząc po upierzeniu, potomek tamtego jaskiniowego. Taki budzik zaspać nie da:

pierwszym krzykiem, po północy, rozbudzi, da czas, żeby się umyć i zebrać myśli. Po drugim pianiu zaś trzeba będzie pospieszyć do młyna na spotkanie z Głuptaczką.

Słychać było, jak na podwórzu podwładni Dolinina zapręgają i ładują bagaże.

Pelagia westchnęła, słysząc nerwowe, ostre polecenia Sergiusza Siergiejewicza. Brzęknęła uprząż, zaskrzypiały koła. Ekspedycja ruszyła w drogę powrotną.

Pelagia westchnęła jeszcze kilka razy, po czym zasnęła.

Przyśnił jej się straszny, grzeszny sen.

Straszne sny, rzecz jasna, miewała i wcześniej. Zdarzały się także grzeszne — rzadko której mniszce nie śnią się rzeczy wstydlive. Władyka wyjaśniał, że takich snów nie ma się co obawiać, i nawet zabraniał się z nich spowiadać, bo to bzdura i chimera. Nie ma w tym grzechu, wręcz przeciwnie. Jeśli mnich albo mniszka w godzinach czuwania przepędza od siebie biesa cielesności, to ów przyczaja się do pory snu, kiedy słabnie wola człowieka, i wtedy, niczym mysz, włazi z podziemia w duszę.

Ale żeby sen był jednocześnie i straszny, i wstydlivy — nic takiego wcześniej Pelagii się nie przydarzyło.

A najbardziej zadziwiające, że przyśnił się jej wcale nie Sergiusz Siergiejewicz.

Pelagia zobaczyła martwego chłopca Szełuchina — takiego, jaki siedział przywiązany do krzesła. Niby całkiem jak żywy, a w istocie martwy. Oczy otwarte i nawet błyszczą, ale to od nitrogliceryny. A otwarte są dlatego — pamięta Pelagia — że powieki utrzymuje wata.

Przyjrzała się nieboszczykowi i nagle widzi, że to jakby nie Szełuchin. Tamten wargi miał bladoliliowe i wąskie, a ten ma nabrzmiące, jaskrawoczerwone. I oczy niezupełnie takie — wpadnięte i kłujące.

To na pewno nie Szełuchin, ustaliła śpiąca. Podobny, ale to nie on. To Manuił, nikt inny. I wystarczyło, że domyśliła się tożsamości martwego, gdy ów poruszył się nagle i przestał udawać nieboszczyka.

Najpierw mrugnął, ale nie obydwoma oczyma naraz, tylko po kolei, jakby dwukrotnie dawał znak. Potem oblizał po-

woli swoje czerwone wargi jeszcze bardziej czerwonym, wilgotnym językiem. Niby nic szczególnego — wielkie rzeczy, oblizał się człowiek, ale Pelagia nigdy w życiu nie widziała niczego straszniejszego. Zajęczała przez sen, zaczęła miotać głową po sianie.

Manuil zaś otworzył oczy bardzo szeroko i skinął na siostrę żółtym palcem. I szepcze:

— Chodź tu, chodź.

Powinna była uciekać co sił w nogach, ale dziwna moc popchnęła ją naprzód i pociągnęła ku siedzącemu.

Twarda, szorstka dłoń pogładziła bezwolną Pelagię po policzku, po szyi. Było wstyd, ale też błogo.

— Oblubieniczka moja, kochaneczka — przeciągnął Manuil, wymawiając słowa jak mieszkańcy Stroganowki.

Męska ręka zaczęła gładzić pierś Pelagii. „Na Chrystusa jedynego...” — próbowała modlić się czernica. Palec proroka namacał łańcuszek, zerwał go z łatwością i odrzucił krzyżyk w kąt.

Tu Manuil zachichotał, potrząsnął brodą i szyderczo przedrzeźnił:

— Na Chrystusa jedyneego... Och, moja kurka. Ko-ko-ko, ko-ko-ko. — Aż raptem jak nie zawrzaśnie na całe gardło: — KUKU-RY-KUUUU!!!

Pelagia zerwała się, dławiona szlochem. Na dole przejmująco darł się kogut. O Boże!

Zapanowała cisza

W ciemności coś zaszeleściło, zastukało. To krzykacz machał skrzydłami i drapał szponami belki — wspinał się, by zawrzeć z Pelagią znajomość.

— No, witaj, witaj — zwróciła się mniszka do gościa, który przyglądał się jej, przekrzywiwszy czubatą głowę.

— Ko-ko — zagadywał kogucik.

Zdaje się, że Pelagia mu się spodobała. Zbliżył się i bezceremonialnie kolnął dziobem w obciągnięte czarnym suknem kolano.

— I ty to samo — upomniała go siostra.

W bladym świetle księżycy, które przesączało się przez dziurawy dach, trudno było ptakowi dokładnie się przyjrzeć. Bo i co tu się przyglądać? Kogut jak kogut.

— Ach, ty, Pietia-Pietuszek, główka maślana, bródka jedwabiana. — Zakonnica lekko pociągnęła go za mięsiste korale.

Kogut odskoczył, ale niedaleko.

— Kiedy będziesz piał po raz drugi? Wkrótce? — zapytała siostra.

Zeszła na podwórze, do studni. Obmyła twarz, rozczesała włosy — nie było kogo się krepować.

Całe niebo pokryło się gwiazdami. Pelagia spojrzała ku górze i zastygła.

Tuż obok pojawił się kogucik. Wskoczył na zrab studni i też zadarł głowę. Może wydało mu się, że na niebie rozsypane jest złociste ziarno. Przeskoczył wyżej, na studzienny kołowrót, wyciągnął szyję, ale i tak do ziarenek nie sięgnął. Gniewnie zagadał i znowu:

— Kukurykuuuu!!!

Zaskoczył tym Pelagię. Z jakiegoż to powodu piał? Wedle swojego koguciego zegara czy ze złości? Czy można ów krzyk uznać za „wtórnie”, czy też nie?

Ale na innych podwórzach także odezwały się koguty. A zatem pora.

Kiedy przecinała łąkę, księżyc zaszedł. Zrobiło się całkowicie ciemno, jak to zwykle przed świtaniem.

Ścieżka ledwie szarzała w mroku, a każdy krok odzywał się głucho. Początkowo mniszce wydało się nawet, że ktoś z tyłu idzie, ale potem domyśliła się — to echo. Nie wiedziała nawet, że echo pojawia się na otwartej przestrzeni. Może za przyczyną wyjątkowej przezroczystości powietrza?

Pośrodku łąki okazało się, że kogut przyczepił się do swojej nowej znajomej. Podskakiwał z tyłu, pomachiwał skrzydłami.

— Ach, jaki zuchwalec — skarciła go mniszka. — Lekko-
duch! Rzucił rodzinę i gniazdo dla pierwszej napotkanej spódniczki.

Psykała na niego, machała rękami: idź, wracaj, ale Pie-tia-Pietuszek nie posłuchał. No dobrze, niech ci będzie. Jeśli zechcesz — drogę znajdziesz.

Głuptaczka czekała przy młynie.

— Widzisz, jestem z kawalerem — powiedziała Pelagia.

— Przyczepił się. Pędziłam go, pędziłam...

— Zwidziała się ty jemu. Tera nie odstanie. Oni, czerwone, strach jakie uczipne. Ano, pójdziem na Kamień albo jak?

— Pójdziemy.

Na pewno lepiej byłoby zajrzeć tam za dnia, pomyślała Pelagia. Ale za dnia mogą zauważyć, a to niepotrzebne. Co za różnica, dzień czy noc — w jaskini i tak jest ciemno.

— Nafciana? — Dziewczynka z szacunkiem wskazała lampę, którą niosła mniszka.

— Tak, naftowa. W miastach teraz wszystkie takie. A na ulicach latarnie gazowe. Na pewno ci pokażę.

Przez rzeczkę przedostały się po kamieniach: pierwsza Głuptaczka, za nią Pelagia, unosząc poły. Kogucik podskakiwał za nimi.

Potem dość długo szły przez zarośla — pewnie jakąś wiorstę. Aż pojawiły się skały.

Dziewczynka szła szybko, bez wahania. Mniszka ledwie za nią nadążała.

I znowu, tak jak w Lesie, Pelagia odniosła wrażenie, że nocny świat na nią patrzy, przy czym nie w oczy — od przodu, ale po złodziejsku — od tyłu.

Obejrzała się nawet i zauważyła ruch jakichś cieni, ale strach okiełznała. Jeśli bać się nocnych cieni, to jak wejść do jaskini? Tam to dopiero będzie strasznie.

A może jednak nie wejść, zadrżała Pelagia. Zobaczę, gdzie to jest, i wystarczy.

„Po co w ogóle to miejsce oglądać? — zapytała sama siebie. — Na co ci się przyda ta jaskinia?”

Nie znalazła odpowiedzi, dlatego że żadnej racjonalnej odpowiedzi nie było. Nie wątpiła jednak, nie rozumiejąc nawet powodów, że miejsce, gdzie Głuptaczka natknęła się na Manuiła, zobaczyć trzeba. Sergiusz Siergiejewicz, wiedząc,

że to nieracjonalne, nie zrobiliby tego. Ale to mężczyzna, a oni kierują się czym innym.

— Czarci Kamień. — Dziewczynka zatrzymała się, wskazując palcem ciemny garb, stromo wznoszący się ku górze. — Albo nawróćmy?

— Prowadź do jaskini — powiedziała Pelagia i zacisnęła zęby, żeby nie szczękały.

Miejsce naprawdę było niedobre. Pewnie nawet za dnia ogarniał tu lęk — z racji ciasno stojących skał i absolutnej, dzwoniącej ciszy. A co mówić o nocy!

Głuptaczka jednak, jak się wydaje, wcale się nie bała. Zapewne wspomnienie o Manuile rozjaśniało jej ów złowieszczy pejzaż innymi, nie tak strasznymi kolorami.

— Często do pieczary zaglądasz? — zapytała Pelagia.

— Wnętrz ani razu nie wchodziła. Ale do Czarciego Kamienia biegam.

— Dlaczego nie wchodzisz do środka?

Dziewczynka wzruszyła ramieniem.

— Bo tak.

Nie chciała wyjaśnić.

Zdaje się, że Pietia-Pietuszek także czuł się doskonale.

Wskoczył na duży kamień i śmiało rozłożył skrzydła.

Wygląda na to, że tylko ja jedna tchórzę — wyrzuciła sobie Pelagia i poprosiła:

— No, gdzie? Pokaż.

Wejście do jaskini znajdowało się w zarostej krzakami rozpadlinie, która wbijała się w skałę wąskim klinem.

— Tuta — wskazała Głuptaczka, rozsuwając gałęzie.

Na tle przedrannego mroku czerniał ciasny otwór. Wysoki był na półtora arszyna — żeby wejść, trzeba się mocno przygiąć.

— Wnijdziesz? — zapytała z podziwem Głuptaczka.

Kogut smyrgnął jej między nogami. Z ciekawością popatrzył na dziurę, podskoczył i zniknął.

— No pewnie, wejdę. A ty?

— Nie, mnie nie można.

— Zaczekasz tutaj? Głuptaczka pokręciła głową.

— Bieżeć trzeba. Pastuch Fiediuszka wrychle stado popę-

dzi. Ale ty, ciotula, nie strachaj się. Aby daleko nie chodź. Kto go tam wie, tego pieczara... Na wstecz do wsi pójdziesz — dzierzysz się steczki. No, na raziczku.

Odwróciła się i pomknęła z powrotem — zamigały tylko białe łydki.

Pelagia przeżegnała się i wyciągnęła przed siebie rękę z latarnią. Weszła.

Głuptaczka biegła lekko, zwiewnie i wydawało się jej, że nie biegnie, tylko leci nad białawym przedrannym dymkiem, który siał się nad ziemią. Nawet ręce rozrzuciła na boki niczym żuraw.

Żeby zdążyć na wypęd, trzeba by puścić się jeszcze szybciej, bo inaczej Fiediuszka wychłószcze po siedzeniu.

„To nic, to nic” — szeptała Głuptaczka, pędząc między skałami. Łatwiej było biec, kiedy powtarzało się: to-nic-to-nic.

Już kalkulowała: dobiegnie do zarośli, a tam zabraknie jej tchu, do rzeczki przyjdzie zwolnić. Stamtąd znowu można pognać — po łące. Byle tylko zdążyć, bo już prawie całkiem jasno.

Tchu jej jednak nie zabrakło, bo od Czarciego Kamienia odbiegła niedaleko, jakieś pół setki kroków.

Tam gdzie ścieżka przyciskała się do samego urwiska, od skały na spotkanie biegnącej oderwał się wielki czarny cień. — Amanu... — zaczęła wołać, ale nie dokończyła.

Coś drapieźnie świsnęło, przecinając powietrze.

Rozległ się krótki trzask kości.

I zapanowała cisza.

W jaskini

Trzeba powiedzieć, że zdecydowawszy przedostać się przez czarny otwór, siostra Pelagia musiała pokonać nie zwyczajną kobiecą bojaźliwość, której zresztą prawie w sobie nie miała (w każdym razie ciekawość niezmiennie brała w niej zdecydowanie górę nad lękliwością, nawet w znacznie bardziej ryzykownych sytuacjach). Nie, tu przyczyna była poważniejsza.

Rzecz w tym, że od pewnego czasu, po historii, jaka przydarzyła się jej w nieodległej przeszłości, zakonnica miała własne porachunki z jaskiniami. I teraz, na samą myśl, że ze wszystkich stron napierają niewidzialne w mroku kamienne ściany, a od góry niskie sklepienie, duszę Pelagii opanowała naga, bezrozumna trwoga.

Wyciągnąwszy rękę nad głowę i nic nie namacawszy, wyprostowała się ostrożnie i przymusiła do spokoju.

Bo i co strasznego mogło być w tym „pieczarze”? Drapieżnik?

Nie wygląda na to. Gdyby niedźwiedź albo wilcze stado wybrały jaskinię na swoje leże, byłoby czuć ostry zapach.

Nietoperze?

Dla nich jest tutaj zbyt ciasno — nie mogłyby nawet zamachać skrzydłami.

Przekonała siebie jakoś, uspokoiła.

Zapaliła lampę, poświeciła dookoła.

Jeśli chodzi o ciasnotę, to, jak się okazało, nie miała racji: za wąskim wejściem jaskinia powiększała się i wszere, i ku górze, tak że ścian nie było widać — tonęły w ciemności.

Na samym skraju oświetlonego kręgu mignął malutki cień. To Pietia-Pietuszek badał terytorium.

„Po co ja tu jednak przyszedłam? — zapytała siebie Pelagia. — Z jakiej potrzeby?”

Podeszła nieco do przodu i zobaczyła, że w odległym kącie sklepienie i ściany znowu się schodzą, ale, jak się wydawało, jaskinia tam się nie kończy, tylko wznosi wyżej.

Siostra postawiła lampę na ziemi, a sama usiadła na występie.

Zaczęła zastanawiać się, dlaczegoż to los wciąż ją zapędza w jakieś jaskinie?

Co to w ogóle za dziwne zjawisko — podziemne nisze? Po co one Panu? Jakie mają przeznaczenie? A że przeznaczenie mają, i to przeznaczenie szczególne, wie każdy, kto choć raz w życiu zapuścił się do odrobinę głębszej, odosobnionej jaskini.

Wszak nawet w Piśmie wiele się o nich mówi.

Starożytni Izraelici mieszkali w jaskiniach i grzebali w nich swoich zmarłych. Prorok Eliasz usłyszał w jaskini głos Pana,

który pytał: „Co tu czynisz, Eliaszu?” I czy mogło być przypadkowe to, że właśnie w pieczarze zmartwychwstał Chrystus?

Naturalne wejście w ziemskie wnętrze — czyż to nie droga z jednego świata do drugiego? Ze światła w mrok, od widzialnego ku niewidzialnemu? Jaskinia przypomina krater wulkanu, co to z powierzchni prowadzi do samego jądra Ziemi, planety, która, jak utrzymuje nauka, w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach składa się z ognia. Pędzimy poprzez mrok na ognistej kuli, ledwie przykrytej cieniutką skórką. Nad nami zagłada i pod nami też.

Czy to od filozoficznych myśli, czy też od czegoś innego, w każdym razie Pelagii zwidziało się, że mrok dookoła jakby zakotłosał się i popłynął. Zaczął morzyć ją sen i dało się słyszeć ciche, niewyraźne bicie w dzwony, które tutaj zupełnie nie miało się skąd wziąć.

A potem coś się wydarzyło.

Z ciemności, od strony wejścia, rozległ się huk, łoskot. Początkowo odległy, później z każdą chwilą głośniejszy.

Pelagia rzuciła się w tę stronę.

Do otworu wpełzła na czworakach z gwałtownie bijącym sercem.

Natrafiała rękami na zwartą kamienną ścianę.

Osuwisko!

Spróbowała odsunąć kamienie — gdzie tam! Przywalone z góry, utkwiły na dobre.

Pelagia rozpaczliwie, łamiąc sobie paznokcie, usiłowała je rozrzucić, choć odrobinę poruszyć usypisko, ale nic z tego nie wyszło. Przeciwnie, z zewnątrz dobiegł hurgot nowej lawiny. Stos, przyjąwszy na siebie jeszcze większy ciężar, drgnął lekko.

Spokojnie, obejdziemy się bez babskiej hysterii — nakazała sobie Pelagia, wycierając rękawem czoło, całe pokryte kropelkami zimnego potu.

Jutro, to znaczy już dzisiaj, Głuptaczka zobaczy, że nie wróciłam, przybiegnie tutaj i zrozumie, w czym rzecz. Jeśli sama nie będzie mogła odgrzebać, przyprowdzi chłopów. Przy takiej okazji przemówi do nich.

Wytrzymać kilka godzin. Co najwyżej dzień. To źle, rzecz jasna, ale śmiercią nie grozi.

Mniszka wydostała się z powrotem na wolną przestrzeń. Usiadła. Przykręciła knot, żeby zużywać mniej nafty.

Posiedziała chwilę, gdy nagle serce ścisnęła okropna myśl.

Zgadywałaś, co cię do tej jaskini ciągnie? A może dlatego ciągnęło, że właśnie tutaj pisane ci spotkanie z własnym losem? A jeśli przywiódł cię tutaj instynkt — tyle że nie instynkt życia, ale instynkt śmierci?

Na takie domysły Pelagia zerwała się — bardzo się wystraszyła. Jakiż to byłby złośliwy figiel losu, gdyby miała tu zgiąć! Bo naprawdę: ciekawość — pierwszy stopień do piekła! A przede wszystkim jakoś to głupio — bez jakiegokolwiek potrzeby i sensu!

„Trzeba coś zrobić — nakazała sobie mniszka. — W przeciwnym razie zwariujesz. Czemuż to one do mnie się przyczepiły, te przekłete jaskinie? Za co mnie dręczą, czym się im naraziłam?”

Wzięła lampę i ruszyła do góry po żwirze, po kamykach. Może znajdzie się inne wyjście?

Jaskinia obniżyła się na tyle, że trzeba było wspinać się na łokciach i kolanach. Przepelniesz krok, dwa, potem ciągniesz za sobą lampę i stawiasz ją wyżej. Znowu pełniesz. Biedna mniszka starała się nie myśleć o tym, że mogą tutaj być węże. Właśnie budzą się z zimowej śpiączki. Kwiecień, zmię mają najmocniejszy jad. Boże, Boże...

Po pewnym czasie korytarz stał się szerszy i doprowadził do następnej sali — o wiele większej niż dolna.

Pelagia zbadała kawernę. Po prawej stronie, potem po lewej. Odkryła aż dziewięć albo przejść, albo po prostu szczelin. Którą drogę wybrać?

Kogucik, jak się okazuje, także zdążył się tutaj przedostać. I ani trochę nie utracił ducha — biegał tam i z powrotem, postukując szponami.

Tu siostra przypomniała sobie, jak Głuptaczka mówiła, że kogut jakoby zawsze znajdzie wyjście z labiryntu.

Przysiadła przed kokotem na piętach i nuż go namawiać:

— Pietia, Pietieńka, wyprowadź mnie stąd. Zdobęde dla ciebie cały worek ziarna. Co, Pietieńka?

Patrzył na nią, obrócony bokiem, i wsłuchiwał się w łagodny głos, ale nigdzie się nie wybierał.

Wówczas, straciwszy cierpliwość, pochwyciła go i zaczęła zanosić po kolei do każdego z przejść. Przyniesie, postawi i patrzy — wejdzie czy nie.

Do pierwszej szczeliny kogut smyrgnął, ale zaraz wyskoczył z powrotem.

Do drugiej nie wetknął nawet dzioba.

Do trzeciej za to wemknął się tak zręcznie, że natychmiast zniknął z oczu.

Pelagia złapała lampę i przecisnęła się w ślad za nim.

Ów przełaz był jeszcze ciaśniej szy niż ten, który prowadził z poziomu pierwszego na drugi. W pewnym miejscu, przypominającym szyjkę butelki, Pelagia omal nie utknęła. Sama przesunęła się jakoś, ale potem nie mogła sięgnąć po lampę.

Dalej wspinała się w nieprzeniknionych ciemnościach, wymacując oparcie dla rąk. Cała przemokła i zziębła — po skałach ściekała zimna woda. Nie oznaczało to jeszcze, że na górze jest wyjście — woda, jak wiadomo, przesącza się przez każdą szczelinę, niekiedy nawet przefiltruje przez zwartą skałę.

Mniszka odpędzała straszną myśl: oto korytarz zwęzi się do takiej szczeliny, że dalej posuwać się już nie zdołasz. Wówczas koniec, a przy tym straszny, dlatego że wycofać się nie jest możliwe. Utkwisz w tym kamiennym całunie i nikt nigdy cię nie odnajdzie... Po co ją poniosło za kogutem? Lepiej siedziałaby na dole i czekała na pomoc!

Gdzie on się podział, ten sprawca zguby? Taki to wszędzie przejdzie.

Pelagia bezsilnie przycisnęła czoło do mokrej skały i zamknęła oczy.

W tym momencie Pietia dał znać o sobie: zawrzasnął na całe kogucie gardło, gdzieś na górze, blisko:

— KUKURYKUUUU!!!

Zdaje się, że nadeszła pora, aby zapał po raz trzeci i ostatni.

Siostra otworzyła oczy, zadarła głowę i zobaczyła słabo przesączające się światło!

Krzyknęła i ruszyła do góry.

Niebo, dalibóg, niebo! Nieznośnie błyszczało i raziło przywykłe do ciemności oczy.

Pelagia po pas wysunęła się z jamy, odetchnęła pełną pierśią błogim zapachem otwartej przestrzeni. Obok, na skale, jak gdyby nigdy nic, siedział Pietia i nie zwracając na mniszkę uwagi, coś sobie pracowicie wydziobywał spod czerwonego skrzydła.

Światło nie było takie jasne, jak w pierwszej chwili wydało się siostrze. Okazuje się, że ledwie zaczęło świtać, a słońce nie uniosło się jeszcze nad horyzontem.

Dziwne — zakonnica mogłaby przysiąc, że uwięziona spędziła w podziemiu kilka godzin, gdy tymczasem barwa nieba wskazywała, że najwyżej pół godziny. Jakież to jednak zagadkowe zjawisko — czas. To zastygnie w miejscu, to pędzi na złamanie karku i nigdy jedna minuta nie równa się drugiej, godzina godzinie, dzień dniowi, rok rokowi.

Należało wszakże ustalić, gdzież to ona się wydostała?

Tu okazało się, że całkowicie wyjść z dziury się nie da — nie ma dokąd. Szczelina, z której wyglądała siostra, znajdowała się w pionowej skale: ani wejść do góry, ani zejść na dół. Kogucik jeszcze jakoś ulokował się w skalnym wyłobieniu, ale człowiek to przecież nie ptak.

Wyglądało na to, że radość była przedwczesna.

Wychyliwszy się, Pelagia z trwogą ujrzała, że ku dołowi urwisko jest nie tylko pionowe, ale jeszcze i podcięte. Nie ma mowy, żeby po czymś takim zejść. Skoczyć tym bardziej. Wysokość jakieś dziesięć sążni, na dole ostre kamienie.

Jak się stąd wydostać? Przecież nie do jaskini z powrotem. Dreszcze przejmowały na samą myśl. Poza tym wracać nie ma sensu — wszak wyjście zasypane.

Przyjrząwszy się lepiej, mniszka zrozumiała, że znajduje się dokładnie nad miejscem, gdzie wchodziła do jaskini. Poznana i klinowate zagłębienie, i krzaki. Dobrze widoczne było także samo wejście, przy czym... w ogóle nie było zasypane, tylko całkowicie otwarte!

Nie wierzyła własnym oczom.

Jak to możliwe?

Czyżby przez te nieskończone pół godziny, kiedy wdrapywała się na górę, ktoś zdążył usunąć zawal? Ale wówczas wokół rozrzucone byłyby kamienie, a jakoś ich nie widać.

Cuda, nic innego.

Z dołu dobiegł łoskot — początkowo niezbyt głośny, ale stopniowo nabierał siły.

Znowu lawina?

Mniszka wychyliła się jeszcze bardziej i nagle na zboczu, powyżej wejścia, ujrzała człowieka, który zachowywał się nader dziwnie.

W rękach miał tęgi drąg, którego używał jako dźwigni: próbował poruszyć wielgachny blok skalny, spod którego sypały się w dół mniejsze kamienie.

Po chwili blok przechylił się i zwałił na dół.

Zatrzeszczały gałęzie — w ślad za głazem spadł na krzaki cały grad kamieni, a wejście zostało całkowicie zasypane.

Pelagia patrzyła jak zaczarowana. Nawet nie na sam zawał, ale na człowieka, który go wywołał.

A ściślej — na głowę złoczyńcy.

Twarzy nie było z góry widać — zasłaniała ją włochata czapka ze zwisającym wilczym ogonem. I właśnie w ów ogon wpatrywała się mniszka.

To było to, na pewno to! Ogon Strąka, który wieczorem zwieszał się w lesie ze świerkowej gałęzi!

Pelagia najbardziej przełękała się tego, że śpi i że to sen. Że zemdlą w zaczopowanej jaskini, że ją zamroczyło. Zaraz się ocknie i okaże się, że niczego nie ma — ani światła, ani świeżego powietrza — że jest tylko kamienny worek.

Zamknęła oczy aż do bólu w powiekach, zakryła rękami uszy.

Niczego nie widzieć, niczego nie słyszeć!

Kiedy z wysiłku zadzwoniło w uszach, odsłoniła je i otworzyła oczy.

Nie, to nie sen.

Niebo, różowawy blask poranka, skalna ściana.

Zniknęła tylko zjawa w wilczej czapce. Zostało jednak jej dzieło — zawałone na głucho wejście do jaskini.

A może to przywidzenie?

Potem Pelagia długo się modliła, nie próbując ogarnąć rozumem niedostępnych mu rzeczy. Dobrze jednak być mniszką: jeśli nie wiesz, co robić i co myśleć, możesz po prostu się pomodlić — a modlitw wszelakich znała wiele. I od diabelskiego pokuszenia, i od przedranych utrapień, i od omroczenia duszy.

Nie od razu się uspokoiła — po godzinie, a może po dwóch, kiedy słońce porządnie już świeciło, zaczęła przemyśliwać, jak się wydostać.

I wymyśliła. Przykład dał jej Pietia-Pietuszek.

Widać zdziwiło mu się sterzeć na maleńkim występie niczym na żerdce.

Zagdał i zeskoczył ze stromizny.

Trzepocząc zaciekle krótkimi, mieniącymi się skrzydełkami, poszybował w dół. Tam otrząsnął się i nie oglądając na porzuconą w nieszczęściu przyjaciółkę, pobiegł po ścieżce.

Pelagia uwolniła się od paraliżu.

„Sukno jest mocne” — powiedziała sobie, macając swoją szatę. Jeśli podrzeć je na pasy, wyjdzie z tego lina, i to długa. Koniec można przywiązać obok, do skalnego występu.

Nie wystarczy jej, rzecz jasna, do samego dołu, ale nie ma takiej potrzeby. Byle spuścić się do zbocza, gdzie stał Wilczy Ogon, to stąd na oko pięć sążni, bo dalej jest już znacznie łagodniej. Jeśli jednak lina okaże się zbyt krótka, to są przecież jeszcze niciane pończochy.

To nic, to nic, jakoś to będzie.

V MÓZG WAŻNIACZKI

Achillesowy obcas

Prokurator okręgowy Matwiej Bencjonowicz Berdyczowski miał pewną skłonność do patetycznych zwrotów — nabrał takiego przyzwyczajenia, występując w sądzie przed przysięgłymi. W życiu codziennym zdarzało się, że zaczynał mówić zwyczajnym językiem, po czym popadał w entuzjazm albo rozrzewnienie i zaraz pojawiały się rozmaite „dopokąd” i „zaprawdę”.

Podobnie i teraz Berdyczowski zaczął rzeczowo, z powściągliwością właściwą dla poważnej rozmowy w wąskim kręgu, lecz nie utrzymał się w analitycznych ramach i ześlizgnął w ton dytyrambiczny.

— I jeszcze jedno — powiedział, przenosząc wzrok z Mitrofianusza na Pelagę. — Jeśli państwo pozwolą, zaprawdę brak mi słów, ażeby wyrazić, droga siostró, cały mój podziw dla pani przytomności umysłu i dokładności! Po tak strasznym wstrząsie nie uległa pani nerwom, jak uczyniłaby to każda inna przedstawicielka słabej płci, a zresztą i dziewięciu na dziesięciu mężczyzn! Przeprowadziła pani najrzetelniejsze, najbardziej profesjonalne badanie świeżych śladów! A przy tym zupełnie sama, bez pana Dolinina! Jestem pełen uwielbienia dla pani dzielności!

Zmieszana taką ilością wykrzykników, a zwłaszcza „uwielbieniem”, mniszka odpowiedziała, nieco się usprawiedliwiając:

— Jakże mogłam tego nie zrobić, skoro dziewczynka nie przyszła wypędzać krów? Trzeba było ustalić, gdzie się podziała. Ale nie powiedział pan jeszcze, co z plamami?

Matwiej Bencjonowicz westchnął boleśnie i tylko odrobinnę popisując się terminologią naukową, odrzekł:

— W laboratorium zbadano woreczek z ziemią, którą zebrała pani w tamtym miejscu. Jak słusznie pani się wydawało, to istotnie krew, co potwierdza reakcja van Deyena na oddziaływanie wyciągiem z żywicy gwajakowej. Badanie surowicze metodą Ullengutha ustaliło zaś, że jest to, niestety, krew ludzka.

— Ach, jakie nieszczęście! — zawołała mniszka, załamując ręce. — Tego właśnie się bałam! Zabił biedaczkę, ukrył w jakiejś rozpadlinie i zasypał kamieniami! To przeze mnie straciła życie! Co teraz będzie z jej „babulą”?

Tu załapała się łzami, tak więc tym razem postąpiła dokładnie tak, jak należałoby oczekiwać od wyżej wspomnianych przedstawicielek słabej płci.

Mitrofaniusz zasępił się — źle znosił kobiece łzy, zwłaszcza gdy, jak teraz, łąły się ze słusznych powodów.

— Po staruszkę poślę, niechaj umieszczą ją w naszym przytułku. Ale jakież to złoczyńca z tego twojego Wilczego Ogona! Nie dość mu było ciebie, zakonnicy, musiał jeszcze i dziecko zabić! Czym mu ta dziewczynka zawiniła?

— Nie chciał, żeby opowiedziała we wsi, dokąd panią zaprowadziła — wyjaśnił prokurator, miętosząc w rękę czystą chusteczkę, którą chciał zaproponować Pelagii do otarcia łez, ale zabrakło mu śmiałości.

Siostra skorzystała z własnej chusteczki. Przyłożyła ją do oczu, wytarła nos. Zapytała niewyraźnie:

— A co ze śladem? Czy dobrze go odtworzyłam?

Uradowany, że rozmowa powraca na mniej emocjonalne tory, Matwiej Bencjonowicz odparł pospiesznie:

— Mój ekspert twierdzi, że odcisk buta został odrysowany niemal idealnie. Jak to możliwe, że pani się nie bała — sama, prawdopodobnie na miejscu zabójstwa!

— Jeszcze jak się bałam! — Pelagia chlipnęła, powstrzymując szloch. — Ale co miałam robić? Kiedy wróciłam od Czarciego Kamienia do Stroganowki i dowiedziałam się, że Głuptaczka nie pojawiła się na wypęd bydła, zrobiło mi się słabo. Popędziłam do sołtysa i mówię: trzeba szukać. On zaś nie daje ludzi, niby że wszyscy przy pracy, zresztą niewielka

strata —jakaś tam Głuptaczka. Wróciłam do Czarciego Kamienia sama, tążę drogą. Bałam się, to jasne, ale pomyślałam sobie: po co nikczemnik miałby tam tkwić? Z pewnością jest przekonany, że swój plan wykonał, że замуrował mnie w jaskini. Dotarłam do samego Kamienia, rozglądając się dookoła. W drodze powrotnej zaś patrzyłam już tylko pod nogi. No i na ścieżce, pod urwiskiem, znalazłam ślady na ziemi: smugę, jakby ktoś coś włókł, ciemne plamy i odcisk buta. Wioskowi nie noszą butów, tylko łapcie. Sprawdziłam to później. Jedyna na całą Stroganówkę para jest u sołtysa. Wkłada je na odpusty i kiedy jeździ do gminy. Tyle że mają one zupełnie inną podeszwę.

— Tak, podeszwa jest niezwykła. — Berdyczowski skinął głową. — I jest to, pozwolę sobie zauważyć, nasz jedyny punkt zaczepienia. Czapka z wilczym ogonem to nic szczególnego. Zytacy robią je od niepamiętnych czasów. Można je kupić także u nas, na bazarze w Zawołżsku, za pięć rubli. Ale ten but — to rzecz całkiem inna. Zelówka jest... jak by to ująć... interesująca, z ćwiekami, które układają się we wzór. Zwołałem u siebie naradę z udziałem najlepszych policjantów i śledczych. Proszę pozwolić. — Wyjął notes i odczytał: — „Nosek ścięty, czworokątny. Okuty dwudziestoma czterema ćwiekami, które tworzą trzy romby, rant dziesięćmilimetrowy, podkówka podwójna. Obcas kwadratowy, średniej wysokości. Wniosek: nie jest to wyrób fabryczny, lecz wysokiej klasy majstra, który ma własny styl". To dobrze, bo to umożliwia poszukiwania — wyjaśnił prokurator. — Gorzej natomiast, że w naszej guberni takiego majstra nie ma. Co jeszcze, by tak rzec, można wydobyć ze śladu? Wedle formuły de Parville'a, który ustalił, że wzrost człowieka to długość jego stopy pomnożona przez sześć i osiemset siedemdziesiąt sześć tysięcznych, otrzymamy, z cztero-, pięćmilimetrową poprawką na obuwie, że poszukiwany osobnik ma wzrost w granicach od metra siedemdziesiąt osiem do metra osiemdziesiąt cztery, to znaczy wysoki.

— Ile to będzie po naszymu? — skrzywił się przewielebny, niechętny najnowszej modzie przekładania wszystkiego z rosyjskich miar na metry. — No dobrze. Bóg z nimi, z tymi metrami. Powiedz lepiej, Matusza, jak ty to wszystko widzisz?

Berdyczowski miał własną wersję, chociaż była ona dosyć mglista.

— Przestępca (za waszą przewielebnością będę go nazywał Wilczym Ogonem) podążał za siostrą Pelagią od samego Zawoźska. Na razie, ze względu na brak dowodów, powstrzymam się od pokusy założenia, że Wilczy Ogon i Szklane Oko to jedna i ta sama osoba. Nie budzi wszakże wątpliwości to, że przyczyny tak uporczywej uwagi, jaką zbrodniarz poświęca drogiej nam osobie, należy upatrywać nie w czym innym, tylko w uśmierceniu rzekomego proroka.

— Matwieju — poprosił przewielebny — wyrażaj się prościej, przecież nie występujesz w sądzie.

Prokurator stracił wątek, ale tylko na chwilę.

— Prawdę mówiąc, jestem przekonany, że to jest właśnie Szklane Oko — powiedział już zwyczajnie, bez zadęcia. — Dowiedział się jakimś sposobem, że to siostra Pelagia naprowadziła na jego ślad, i postanowił się z nią porachować. Jeśli tak, to jest to człowiek niezrównoważony psychicznie. Przeczytałem niedawno niemiecką pracę na temat mściwości maniacko-obsesyjnej. Wszystko się zgadza. Tacy osobnicy żyją z nieustannym poczuciem powszechnego spisku, który skierowany jest wyłącznie przeciwko nim, i ciągle poszukują winnych, a czasami mszczą się w naj okrutniejszy sposób. Coś takiego — tropić kobietę przez kilka setek wiorst, omal do samego Uralu! Przez las, wcześniej po rzece. Płynął łódka czy jak? A jaki nieludzki sposób zabójstwa wymyślił! I nie żał mu było dziewczynki. Proszę wybaczyć, ale to bez wątpienia maniak.

— Dlaczego nie zabił mnie w lesie? — zapytała Pelagia. — To byłoby najprostsze.

— Przecież mówię: zaciekle obsesja. Nie interesowało go zabicie pani „najprościej”. Ośmielę się twierdzić, że te patologiczne typy lubią urządzać spektakle — jak choćby zamurowywanie żywcem w jaskini. Poza tym, jak się zdaje, chciał przedłużyć sobie przyjemność, poznęcać się. Czyż nie dlatego warczał na panią ze świerka? Bawił się jak kot z myszą.

Mniszka skinęła, uznając trafność wywodów prokuratora.

— Jeszcze jedna rzecz nie daje mi spokoju. Wciąż o tym myślę. Gdzie byłam, kiedy doszło do zawału: na dole, w ja-

skini, czy na górze? Jak mogłam widzieć z góry to, co zdarzyło się wcześniej?

Mitrofaniusz i Berdyczowski wymienili spojrzenia. Ten dziwny szczegół opowieści mniszki już między sobą omawiali i doszli do pewnych wniosków, które teraz przewielebny spróbował przekazać Pelagii — rzecz jasna, najdelikatniej, jak to możliwe.

— Sądzę, moja córko, że wstrząs wywołał u ciebie pomieszanie rzeczywistości z jej pozorem. Czy nie mogło się tak zdarzyć, że Wilczy Ogon pojawił się w twojej wyobraźni po przygodzie w lesie, która tak mocno cię przestraszyła? Dobrze, dobrze — powiedział pospiesznie Mitrofaniusz, widząc, jak te słowa wzburzyły Pelagię. — Bardzo możliwe, że tu w ogóle nie chodzi o ciebie, tylko o przyczyny zewnętrzne. Sama mówiłaś, że w jaskini jest jakieś szczególne powietrze, od którego lekko kręci się w głowie i dzwoni w uszach. Może wydziela się tam jakiś naturalny gaz, który wywołuje odurzenie — czytałem o takich przypadkach. Istnieją nieznanie nauce substancje i emanacje, których działanie niedostępne jest ludzkim zmysłom. Czy pamiętasz, co było w Kanaanie?

Pelagia pamiętała bardzo dobrze. Zadrżała.

— Będziemy postępować w sposób następujący — oznajmił z ożywieniem Matwiej Bencjonowicz, kierując rozmowę od chimer ku rzeczywistości. — Niechaj przestępca myśli, że wszystko mu się udało: siostrę zlikwidował, usunął jedyne świadka. A my tymczasem pochwycimy go za ów achillesowy obcas. — Postukał palcem w rysunek. — Wysłałem zapytanie do Moskwy, Petersburga i Kijowa, do gabinetów naukowej ekspertyzy sądowej. Są tam dobre kartoteki o najrozmaitszych profilach. Tylko patrzeć, jak trafimy na mistrza szewskiego. A przez szewca, jak Bóg da, znajdziemy i zabójcę.

— Na Boga zbyt mocno nie licz — ostudził jego optymizm Mitrofaniusz. — Wystarczy mu trosk i bez obcasów.

Tractatus de speluncis

Powróciło zwyczajne, codzienne życie, w którym zabrakło miejsca dla tajemniczych jaskiń.

Obowiązki kierowniczkę szkoły diecezjalnej były dla siostry Pelagii trudne i brzemiennie w rozmaitego rodzaju zawirowania. Prawdę powiedziawszy, znaczną ich część zawdzięczała sobie.

Przyjąwszy polecenie kierowania szkołą, w której uprzednio była nauczycielką, Pelagia wprowadziła zmiany w programie, co wystawiło ją na ataki i z góry, i z dołu.

Z góry za sprawą władcy Mitrofanusza, który innowacjom nie przeszkadzał, ale bynajmniej ich nie popierał, czynił zjadliwe uwagi, a ponadto wróżył nieprzyjemności ze strony Najświętszego Synodu, grożąc, że wówczas wicherzycielki krył nie będzie i że oddają pod sąd. „Będziecie, wasza przewielebność, będziecie, nigdzie od tego nie zdołacie uciec” — odpowiadała mu w myślach Pelagia, choć na zewnątrz demonstrowała całkowitą uległość.

Znacznie bardziej doskwierała krytyka z dołu. Wprawdzie siostry nauczycielki, przywykłe do mniszej pokory, ani myślały kwestionować wolę kierowniczkę, ale wykładowczynie spoza klasztoru, Maria Wikientjewna Swiekołkina, która niedawno ukończyła kursy pedagogiczne w Moskwie i pałała żądzą działalności oświatowej, psuła Pelagii niemało krwi.

Tu należy wyjaśnić, na czym polegała istota reformy.

Szkoła była czteroletnia, a w takim czasie nie da się zbyt wiele nauczyć. Toteż Pelagia postanowiła pozostawić tylko cztery przedmioty, bez których, wedle jej rozumienia, obejść się w żaden sposób nie można. Lepiej mniej, ale lepiej — takie było hasło kierowniczkę. Z ciężkim sercem usunęła z programu nauki przyrodnicze i geografię jako niekonieczne dla dziewczynek z biednych rodzin — po zakończeniu nauki tak czy owak zapomną całkowicie o prawach fizyki i obcych stolicach. Głównym przedmiotem uczyniła gospodarstwo domowe, przeznaczając na nie połowę lekcji, ponadto zostawiła gimnastykę, literaturę i religię wraz ze śpiewem.

Swój wybór Pelagia tłumaczyła następująco.

Prowadzenie gospodarstwa domowego to najważniejsza umiejętność dla przyszłych żon i matek. Gimnastyka (latem pływanie, a w chłodnych porach roku ćwiczenia na sali i hartowanie zimną wodą) konieczna jest dla zdrowia i zachowania kształtnej figury. Literatura niezbędna dla rozwoju szlachet-

nych uczuć i poprawnego posługiwania się językiem. A co do nauki religii poprzez śpiew, to dzieciom najłatwiej i najprościej pojąć Najwyższego właśnie poprzez muzykę.

W krótkim czasie chór szkolny zasłynął na całą zawołzańską krainę. Bywało, że sam gubernator von Hagenau ocierał łzę rozczulenia, gdy słuchał, jak uczennice (każda w brązowej sukience i w białej chusteczce) wyciągają anielskimi głosikami *Wielbi dusza moja Pana* albo *Sercu miły*.

Kursistce Pelagia tłumaczyła, że jeśli któraś z dziewczynek zainteresuje się dalszą nauką, to taką będzie można umieścić na koszt państwa w szkole miejskiej, a jeśli okaże się bardzo zdolna, to i w gimnazjum. Dla takich przypadków w gubernialnym budżecie istnieje osobna pozycja.

Swiekołkina argumentów nie słuchała i używała w stosunku do kierowniczkę rozmaitych obelżywych słów, po których Pelagia czasami płakała: nazywała ją wsteczniczką, klerykałką, obskurantką i służką męskiego despotyzmu, który chciałby zamknąć kobiety w klatce gospodarstwa domowego.

Na rozpatrywaniu spraw, nagromadzonych w czasie nieobecności siostry, i na bataliach z progresistką minęły trzy dni. Ale nawet w tym gorączkowym okresie zdarzało się Pelagii, że w toku jakiegoś zajęcia zapominała się nagle i zastygała, o czymś rozmyślając. Potem, rzecz jasna, przytomniała i powracała do przerwanej pracy ze zdwojoną pilnością.

Pierwszego zaś wolnego wieczoru (było to czwartego dnia po powrocie ze Stroganowki) mniszka wybrała się do siedziby archijereja. Miała pozwolenie bywać tam o każdym czasie i traktować pokoje władzyki jak swoje własne. Teraz z tego skorzystała.

Przewielebno nie zamierzała niepokoić. Wiedziała, że przed spoczynkiem pisze zazwyczaj swoje *Notatki z przeżytego żywota*. Pasja ta pojawiła się u biskupa niedawno i oddawał się jej z zapamiętaniem.

Przedstawić wydarzenia ze swojego życia Mitrofaniusz postanowił nie z samochwalstwa czy zarozumiałstwa. „Życie mija — powiedział — a czy dużo mi jeszcze zostało? Człowiek odejdzie, nie podzieliwszy się nagromadzonym bogactwem. Wszak jedyne prawdziwe bogactwo, którego nikt człowiekowi nie odbierze, to jego życiowe doświadczenie. Je-

śli umiesz układać słowa, to wielkim grzechem jest nie podzielić się z rodzajem ludzkim swoimi myślami, błędami, udrami i odkryciami. Na pewno większości na nic się to nie przyda, ale ktoś przeczyta i może uniknie nieszczęścia, a nawet uratuje duszę".

Archijerej nie dawał do czytania tego, co napisał. Nie dopuszczał nawet sekretarza, sam przepisywał na czysto. Mawiał: „Jak umrę, to wtedy przeczytacie". A czemu, zachodzi pytanie, miałby umierać, skoro jest krzepki, zdrowy i ma jasny umysł?

Pelagia przemknęła do biblioteki i półgłosem przywitała się z ojcem Starownym, który wypisywał coś z ksiąg teologicznych dla potrzeb przyszłego kazania.

Ojciec Serafim ponad wszystko na świecie uwielbiał nauczać wiernych. Kazania wygłaszał niezwykle uczone, z mnóstwem cytatów, wyróżniające się długością. Przygotowywał się do nich równie długo i poważnie. Bieda tylko, że nikt nie chciał docenić jego uczoności. Dowiedziawszy się, że odprawiał będzie Starowny, parafianie woleli wybrać się do jakiejś innej cerkwi, nierzadko zdarzało się więc, że biedny ojciec Serafim przemawiał do kilku głuchych staruszek, które przyszły do świątyni powąchać kadzidła albo ogrzać się.

Mitrofaniusz nie mógł dopuścić do takiego obniżenia rangi nabożeństw, ale nie chciał też urazić gorliwego kaznodziei, i dlatego od niedawna pozwalał mu wygłaszać kazania jedynie w cerkwi archijerejskiej, we własnej siedzibie, dla braciszków i służby, którzy tak czy owak musieli tu być przytomni.

Widząc, jak Pelagia przechadza się wzdłuż szaf z książkami, sekretarz uprzejmie zaproponował pomoc w poszukiwaniu ksiąg. Mniszka podziękowała i odmówiła. Wiedziała, że ten jak się przyczepi, to nie odstąpi, dopóki o wszystko nie wypyta. A sprawa była delikatna, nie na rozum Starownego.

Ojciec Serafim ponownie zaskrzypiał piórkiem. Potem, jakby w poszukiwaniu natchnienia, otworzył kieszonkowy modlitewnik i utkwiał w nim wzrok.

Pelagia zagryzła wargę, żeby nie parsknąć śmiechem. Czystym przypadkiem dowiedziała się kiedyś, co to za modlitewnik. Od wewnętrznej strony umieszczone było tam

w okładce lusterko — Starowny nader cenił swą szlachetną urodę.

Sekretarz posiedział jeszcze trochę i wyszedł, a siostra wciąż przechodziła od półki do półki i nijak nie mogła znaleźć tego, czego potrzebowała — ani w dziale literatury katolickiej, ani w kanonice, ani w hagiografii. Zajrzała nawet do szafy z naukami przyrodniczymi i także nie znalazła.

Skrzypnęły drzwi, wszedł Mitrofaniusz. Z roztargnieniem skinął głową — i do półki. Pochwycił jakiś tomik, zaszeleścił stronicami. Zapewne potrzebował coś sprawdzić albo wyszukać cytat. Widać było, że władyka przebywa teraz daleko stąd, gdzieś w przeżytych latach.

Pelagia podeszła bliżej i zobaczyła, że archijerej przerzuca *Dzienniki* Wałujewa.

Zakaśtała. Nie zwrócił uwagi.

Wówczas upuściła ze stołu na podłogę *Słownik starohebrajsko-rosyjski*. Foliał ważył jedną trzecią puda i narobił tyle hałasu, że Mitrofaniusz omal nie podskoczył. Odwrócił się, zamrugał oczyma.

— Wybaczenie, władzyko — wyszeptła mniszka, podnosząc tomisko. — Zaczepiłam rękawem... Skoro jednak już się oderwaliście... Nie mogę znaleźć pewnej książki. Pamiętacie? Po historii kananejjskiej mówiliście mi, że macie księgę jakiegoś łacińskiego autora o cudownych jaskiniach.

— Wciąż kłopotujesz się swoim Czarcim Kamieniem? — domyślił się przewielebny. — Jest książka o jaskiniach. W dziale mediewistycznym.

Podszedł do dużej dębowej szafy, powiódł palcem po grzbietach i wyciągnął tom *in octavo*, oprawiony w cielęcą skórę.

— Tyle że nie łacińskiego autora, lecz niemieckiego. — Mitrofaniusz pogładził z roztargnieniem wyblakłe złote tłoczenie. — Adalbert Ulubiony, jeden z młodszych mistyków reńskich. Masz, studiuj, a ja już pójdę.

I rzeczywiście wyszedł — nie zapytał nawet, co Pelagia ma nadzieję znaleźć w średniowiecznym dziele. Co to znaczy przymus pisania!

Siostra zresztą sama nie wiedziała za bardzo, czego szuka.

Niepewnie otworzyła tom i skrzywiła się na trudną do pobieżnego przeglądania gotycką czcionkę.

Przeczytała tytuł.
*Tractatus de speluncis**

Pod nim epigraf: *Quibus dignus non erat mundus in solitudinibus errantes et montibus et speluncis et in cavernis terrae**.*

Zaczęła przerzucać kruche stronice, tu i ówdzie wczytując się dokładniej.

W prologu i w pierwszych rozdziałach autor skrupulatnie wyliczał wszystkie dwadzieścia sześć wzmianek o jaskiniach w Piśmie Świętym, dołączając do każdego epizodu obszernie komentarze i pobożne rozmyślania. Na przykład, badając Pierwszą Księgę Królewską, Adalbert ze średniowieczną prostodusznością wdał się w szczegółowe rozważania, za jaką właściwie potrzebą — dużą czy małą — król Saul wszedł do jaskini, gdzie ukrył się Dawid ze swymi stronnikami. Powołując się na innych autorów, a także na własne doświadczenie, Adalbert dowodził przekonująco, że król mógł tam wejść tylko za bardziej solidną spośród potrzeb przyrodzonych, albowiem przy załatwianiu potrzeby mniej ważkiej człowiek nie bywa na niej tak skupiony i nie wydaje *crattoritum et irrantum**** — co, poza wszelką wątpliwością, przeszkodziło pomazańcowi spostrzec, że Dawid odcina mu kraj płaszcza.

Zmęczona odczytywaniem średniowiecznej łaciny, Pelagia chciała już odłożyć dalsze skrupulatne badania. Przerzuciła nieuważnie jeszcze kilka stronic, gdy wzrok jej padł na nagłówek: *Capitulum XXXVIII de Speluncis Peculiaribus tractans****.*

Zaczęła czytać i już nie mogła się oderwać.

A jeszcze są jaskinie, zwane Osobliwymi, ukryte od człowieka, dopokąd on żyje. Jaskinie owe łączą świat cielesny ze światem bezcielesnym, a każda dusza przechodzi przez nie dwakroć: kiedy wchodzi w ciało przy zrodzeniu i kiedy wychodzi z ciała po śmierci, tylko że dusze nieprawe spadają z jaskini w dół, w ognistą gehennę, a dusze prawe wzlatują w wyższe

* Traktat o jaskiniach (łac).

** Ci, których świat cały nie był wart, tułali się po pustyniach i górach, po jaskiniach i jamach w ziemi (łac).

*** Stękania i wewnętrznych dźwięków (łac).

**** Rozdział XXXVIII, traktujący o Osobliwych Jaskiniach (łac).

sfery. Osobliwe Jaskinie, a liczba ich sto i czterdzieści cztery, miłosierdziem Bożym pomieszczone są na świecie pomiernie, po jednej na tysiąc lig, ażeby droga duszy do ciała i na powrót nie była zbyt długa, albowiem nie masz niczego bardziej dręczącego aniżeli owo przejście.

Najbliższa naszym krainom Osobliwa Jaskinia kładzie się w ziemi styryjskiej, nieopodal góry Eisenhut; ojcu przeorowi opactwa Blaugarten mówił o tym pewien czcigodny człowiek z miasta Innsbruck, ale ustanowić ścisłego miejsca nie mógł albo nie chciał.

Bywa podczas i nierzadko, że poniek którą duszę Pan zawezwie już przed Swój Majestat, ale wstawi się za grzesznikiem Matka Miłosierna albo święty orędownik i dusza nawraca się do świata, zostaje w niej wszakoż niejasny wspominek o przebyciu w Osobliwej Jaskini. Trafiło się i mnie widzieć człowieka, którego dusza dzieliła się od ciała, ale nawróciła. Był to knecht w służbie landgraфа Hesji, imieniem Gothard z Oberswaldu. Onże Gothard spadł z konia, uderzył głową o kamień i był uznany za martwego, ale nazajutrz, już złożony w trumnie i po nabożeństwie, nagle otworzył oczy i całe wrócił się do zdrowia. Opowiadał, że jego dusza, będąc odłączona od ciała, przeprowadzała się przez ciasne, mroczne podziemie. A kiedy na końcu owej jaskini zajaśniało mocne światło, niewiadoma siła ściągnęła strwożoną duszę z powrotem na ziemię. Przeor opactwa w Blaugarten, także przytomny tej opowieści, zapytał Gotharda, czy ktoś nie modlił się za niego do Przenajświętszej Bogarodzicy albo do świętego Gotharda z Hildesheim, i pokazało się, że za ten czas, kiedy knecht leżał martwy, za jego duszę bez ustanku modliła się żona, która onegoż Gotharda szczerze kochała.

Wyglądem Osobliwe Jaskinie nie różnią się od zwyczajnych, a kto przypadkiem do nich się zapuści i ma czulą duszę, to słyszy ciche niebiańskie dzwonięcie, a kto na duszy przytępiony, to nie słyszy niczego, wszakoż doznaje nieprzепartego pragnienia, iżby co prędzej wyjść i nigdy więcej do onego miejsca nie nawracać.

Przeczytawszy o „niebiańskim dzwonieniu”, Pelagia zadrzała i poczuła, jak po plecach przebiegają jej ciarki. Jednak największy wstrząs był dopiero przed nią.

Biada temu, który znajdzie się w Osobliwej Jaskini o zaranku, kiedy w bliskości zapieje czerwony kogut, albowiem ten, co usłyszy to pianie, zawisa nie tylko duszą, ale i ciałem między światami, gdzie nie bieży czas (iw intermundis ubi non est aemanatio temporisj, / może zginąć na wieki wieczne alboż być wrzucony w inny czas, a nawet do innej Osobliwej Jaskini.

Pomieniony już czcigodny człowiek z Innsbrucka opowiadał, jak pewien handlarz ptactwem domowym, zaskoczony nie pogodą, umyślił przenocować w takiej jaskini, nie wiedząc, że jest ona Osobliwa. Miał ze sobą klatkę, w której siedziały kury i kogut. I wszedł ów człowiek do jaskini w wigilię Wniebowstąpienia Przenajświętszej Dziewicy, a wyszedł trzy miesiące wcześniej, w dniu Odzyskania Krzyża Pańskiego, a przy tern z całej innej jaskini, pomieszczonej we władztwie króla szkockiego Jakuba, i dobierał się do domu, za wspomżeniem dobrych ludzi, równo trzy miesiące, tak to, że nawrócił się w rodzinne strony ściśle w dniu Wniebowstąpienia Matki Boskiej, ale nikt mu nie wierzył, że był w królestwie Szkocji, acz handlarz ów słynął jako człek prawy.

A jeszcze trafiło mi się słyszeć o niejakim myśliwym z Ze-landii imieniem Rip, który z podziemnej jamy usłyszał krzyk koguta i uznał, że to lis porwał ptaka, i wszedł, ażeby dobyć li-sią skórę. Wyszedł po bardzo krótkim czasie, ale kiedy nawrócił się do wsi, nikt go tam nie poznał, bo nie było go całych dwadzieścia lat.

A niejaki kupiec z Ligurii, który bywał w krainie China, opowiadał szlachetnemu panu Klausowi von Weiler, dobrze mi znajomemu (było to w mieście Lubeka w gospodzie „Pod Korabiem”, w przytomności świadków), jak Kitajczycy mówili mu, temu kupcowi, o niejakim rybaku z królestwa Japona, co to kładzie się na Morzu-Oceanie w pobliżu Ziemi Jana, kapłana-króla. Onże rybak, łowiąc ostrygi, wszedł o zaranku do nadmorskiej jaskini, kiedy zakrzyczał czerwony żółw, który wieści nadejście dnia miast koguta, a to za karę, że tameczni mieszkańcy nie wiedzą chrześcijańskiej wiary, i rybak ów zasnął na niedługi czas, a kiedy się zbudził, to pokazało się, że przespał całych osiemdziesiąt osiem lat, i nie wpuścili go do jego wsi, bo nikt go tam nie pamiętał, i błąkał się po rozmaitych miejscach, a ci Kitajczycy sami go widzieli, kiedy pływali!

li do Japona za złotem, którego w onym królestwie nieprzebrana moc, a stoi ono nie więcej niżli srebro lubo nawet miedź.

O tym zasię, dlaczego pianie czerwonego koguta podnosi w duszy takie rzeczy, pisałem w Disputatio ypothetica de rubri galli statu preelectu toteż na nowo pisał o tym nie będą, tylko przejdę do*

*Rozdziału XXXIX,
mówiącego o tym,
jak hodować w jaskiniach jadalne grzyby*

Trzeba dodać, że przeczytawszy o czerwonym kogucie, Pelagia zerwała się z krzesła i do końca rozdziału czytała na stojąco — tak ją to poruszyło. Z rozpędu zaczęła czytać i o grzybach, ale wkrótce przekonała się, że o Osobliwych Jaskiniach nie ma tam już mowy. Uważnie przekartkowała tom, mając nadzieję natrafić na jeszcze jakieś wzmianki o *Rozważaniach domniemanych*, ale niczego nie znalazła.

Wzburzona zatrzasnęła księgę i popędziła do gabinetu przewielebnego.

Mitrofaniusz odwrócił się zdumiony — nie zdarzyło się jeszcze nigdy, żeby jego duchowa córka wtargnęła do niego w ową najświętszą godzinę, i to bez pukania.

— Władzko, a *Rozważania o czerwonym kogucie*¹? — wy paliła mniszka.

Archijerej nie od razu powrócił na ziemię.

— Co? — zapytał niezbyt grzecznie.

— Traktat o czerwonym kogucie, napisany przez tegoż Adalberta, gdzie on jest? — niecierpliwie nalegała Pelagia.

— O jakim kogucie? — Biskup zdumiał się jeszcze bardziej. — Co z tobą, moja córko? Czy nie masz gorączki?

Kiedy w końcu zrozumiał, czego domaga się czernica, wyjaśnił, że poza *Traktatem o jaskiniach* nie zachowały się do naszych czasów żadne inne dzieła Adalberta Ulubionego. Klasztor, w którym mistyk przebywał i umarł, został spalony w czasie wojen religijnych przez żołnierzy księcia Nassau. Tylko ta jedna księga ocalała, a i to szczęśliwym trafem —

* *Rozważania domniemane o niezwykłości czerwonego koguta* (Iac).

była właśnie u intrologatora. O tym, że Adalbert popełnił był pracę o kogucie, Mitrofanusz usłyszał po raz pierwszy.

— W piętnastym wieku modne było przypisywanie rozmaitym zwierzętom cudownych właściwości — zaczął wyjaśniać przewielebny. — Niektórzy ówczesni scholastycy przejęli się ideą parzystości. Bóg jakoby stworzył wszystko w parach: mężczyzna i kobieta, czarne i białe, słońce i księżyc, ciepło i zimno. Próbowali także znaleźć parę dla rodzaju ludzkiego w świecie zwierząt — jakiś gatunek stworzeń, wybranych i wskazanych przez Boga na równi z człowiekiem. Jedni przypisywali tę rolę mrówkom, inni delfinom, a jeszcze inni jednoroźcom. Sądząc wedle tytułu dzieła, Adalbert był apologetą kogutów, dlaczego jednak czerwonych — to już Bóg tylko wie.

— Mrówki to zrozumiałe, mrowisko istotnie przypomina ludzką społeczność. Delfiny też — bo są mądre. Jednoroźców średniowieczni autorzy nie widzieli na oczy, więc mogli przypisywać im cokolwiek. Ale kogut? Zaczepny, głupi ptak. Depcze tylko kury i wydziera się.

— O nie! — Archijerej podniósł palec. — Koguta traktowano w sposób szczególny od dawna, jeszcze w czasach przedchrześcijańskich. Ów szczególny stosunek obserwujemy wszędzie, gdzie występuje gatunek *gallus domesticus*. U Chińczyków, na przykład, uosabia on zasadę *yang*. To jest śmiałość, życzliwość, godność i wierność. Kogut zaś o czerwonym upierzeniu jest dodatkowo symbolem Słońca. Jeśli zwrócisz uwagę na zupełnie inny obszar planety, na starożytnych Celtów, to u nich czerwony kogut uosabiał bogów Podziemia. W kulturze grecko-rzymskiej kogut oznacza odrodzenie. W ogóle w większości mitologii ptak ów związany jest z bogami jutrzeńki, słońca, światła, niebiańskiego ognia — z powstawaniem nowego życia. Kogut przepędza noc i towarzyszące jej mrok, strach, ślepotę.

Tego rodzaju improwizowane wykłady, wygłaszane niekiedy z najbardziej nieoczekiwanych powodów, były ulubionym konikiem Mitrofanusza, Pelagia zaś słuchała ich zawsze z zainteresowaniem, ale nigdy jeszcze tak chciwie jak teraz.

— Weźmy chrześcijaństwo — ciągnął przewielebny. — W naszej religii interesujący cię pierzasty także ma szczegól-

ny status. Kogut to symbol światła. Wita wschód Słońca-Chrystusa, zmuszającego siły ciemności do ucieczki. W czasie świąt wielkanocnych, kiedy przypominamy sobie Mękę Pańską, kogut oznacza zmartwychwstanie. Czy wiadomo ci, że krzyż, obecnie powszechnie przyjęty symbol chrześcijaństwa, pojawił się dosyć późno, bo dopiero w połowie piątego stulecia? Do tamtej pory chrześcijanie korzystali z innych symboli, w tym bardzo często z koguta — był to obraz Syna Bożego, który przyszedł przebudzić ludzkość. Nie zapomnijmy także o prorocztwie mądrego Eklezjasty: „I powstaną na głos ptaszy, i ogłuszą wszystkie córki śpiewania”, co znaczy, że właśnie kogut obwieści ludziom dzień Sądu Ostatecznego.

Im dłużej słuchała Pelagia uczonych wywodów Mitrofaniusza, tym bardziej zadumane było jej oblicze, a spojrzenie stało się pod koniec zupełnie nieobecne.

Kiedy zaś władyka skończył, zakonnica już o nic więcej nie pytała. Z pokłonem podziękowała za lekcję, przeprosiła, że oderwała przewielebnego od pisarskiego trudu, i pożegnała się do jutra.

Legowisko cyklopa

Siostra zamierzała opuścić siedzibę archijereja tą samą drogą, jaką tu przyszła — nie dłuższą, przez podwórzec i bramę, ale krótszą, przez ogrodową furtkę, do której miała własny klucz.

W oknach korpusu braciszków światła już pogasty, nie paliła się też latarnia przy ganku frontowym, za to na niebie mocno świecił księżyc, noc więc była jasna.

Pachniało młodym listowiem, z alei jabłoniowej docierało szemranie fontanny — wszystko to spowodowało, że napięcie, jakie odczuwała mniszka, zaczęło powoli opadać.

Ogród władyki uznawany był w mieście za jedno z ciekawszych miejsc i utrzymywany we wzorowym porządku. Bielutkie alejki, posypywane specjalnie przesiewanym piaskiem, podmiatano kilka razy dziennie, tak że Pelagia miała wrażenie, że stąpa nie po ziemi, ale po Drodze Mlecznej. Aż

niezręcznie było zostawiać tutaj łańcuszek własnych śladów i dlatego mniszka starała się trzymać samego skraju.

Nagle zobaczyła przed sobą, dokładnie pośrodku białego jak śnieg pasa, ślady butów. Ktoś przeszedł tędy całkiem niedawno, już po ostatnim wieczornym zamiataniu.

Kto by to mógł być — zastanowiła się z roztargnieniem Pelagia, której myśli wciąż jeszcze owładnięte były jaskiniami i kogutami. Mało komu pozwalano spacerować po ogrodzie, tym bardziej o tak późnej porze. Ojciec Starowny? Nie, osoba duchowna ma krok krótszy, bo ograniczony przez riasę, wydedukowała Pelagia.

Poprawiła okulary na nosie, myśląc wciąż jeszcze o tym samym, popatrywała jednak przy tym na ślady, które prowadziły w stronę furtki.

Nagle siostra zakrzyknęła, opadła na czworaki, przycisnęła nos niemal do samej ziemi i ponownie krzyknęła, tym razem głośniej.

Czworokątne noski! Znajomy kontur obcasa! A jeśli przyjrzeć się dokładniej, to widać trzy romby!

Serce mniszki zatrzepotało w piersi.

Był! Tutaj! Niedawno! Może nawet dopiero co! Wyszedł przez furtkę!

Zerwała się i rzuciła z powrotem, ale zaraz się zatrzymała. Zniknie, zanim można będzie dobudzić czeladź! Przecież na ulicy, na brukowanej jezdni śladów nie będzie!

A jeśli jest niedaleko i można go wysledzić?!

Pelagia podniosła dół sukni i ruszyła naprzód — nie po śladach, ale obok, żeby ich nie zadeptać.

Co mogło oznaczać nagle pojawienie się Wilczego Ogona w rezydencji archijereja — o tym w tej chwili w ogóle nie myślała.

Ślady skręcały z głównej alei w boczną, a zatem prowadziły nie do furtki, tylko do odległej, rzadko odwiedzanej części ogrodu.

Siostra zatrzymała się na chwilę, próbując się domyślić, co oznacza ów manewr. I zgadła: przecież złoczyńca nie ma klucza, będzie chciał przeleźć przez płot.

Pobiegła jeszcze szybciej.

Dróżka stała się tutaj węższa, zamknięta z obydwu stron

wysokimi krzewami, w których cieniu ślady niknęły, ale za to nie można było stąd nigdzie skręcić.

Oto i koniec ogrodu. Drewniana szopa, gdzie jesienią wstawia się skrzynie z jabłkami, a za nią ogrodzenie. Trzeba podbiec, wsunąć głowę między pręty i ostrożnie wyrzeć — może da się zobaczyć umykającą sylwetkę?

Jeśli tak, to należy przeskoczyć na tamtą stronę i wysledzić.

Nawet jeśli okaże się, że jest to całkowicie niewinny człowiek, to przynajmniej będzie można ustalić, u kogo obstalował buty. A potem...

Pelagia zrównała się właśnie z szopą. Kątem oka spostrzegła czarną szparę — drzwi były uchylone — i mimochodem pomyślała: brak porządku.

Tu drzwi otworzyły się nagle na całą szerokość.

Z ciemności wysunęła się długa ręka, pochwyliła siostrę za kołnierz i gwałtownie wciągnęła do środka.

Szczęknęła zasuwa.

Ogłuszona, oślepta od nagłego mroku, Pelagia krzyknęła, ale szeroka, szorstka dłoń natychmiast zatkała jej usta.

— No, witaj, ważniaczko z parowca — usłyszała z ciemności.

I od razu wiedziała, kto to jest. Nawet nie głos tu decydował, który słyszała zaledwie raz, ale to paskudne słówko „ważniaczka”.

Szklane Oko (także i Wilczy Ogon — miał rację Berdyczowski) wytrzymał pauzę, rozkoszując się zapewne przerażeniem jeńca.

Ciemność już nie wydawała się siostrze tak nieprzenikniona. Szopa sklecona była luźno, ze szczelinami — po to, żeby jabłka oddychały — i między deskami przesączało się światło księżycy.

Pierwsze, co dojrzała Pelagia, to dwoje błyszczących oczu, przy czym błyszczących rozmaicie, tak że nie połapiesz się, które z nich jest prawdziwe, a które sztuczne.

— Tyle za tobą biegam, że żal byłoby od razu cię wykończyć — powiedział straszny człowiek. — Pożyj jeszcze minutkę, dobrze? Ale umowa stoi: jeśli piśniesz, to od razu trumna z frędzelkami.

— Nam to nie przysługuje — zduszonym głosem, przez zatkane usta odrzekła mniszka.

— Co nie przysługuje? — Szklane Oko odjął rękę.

— Trumna z frędzlami. Czernicom jest to zakazane — wyjaśniła, myśląc tylko o jednym: mówić cokolwiek, jakiegokolwiek głupstwa, byle tylko na minutkę, na dwie odwlec to, co nieuniknione.

Nie po to, żeby się uratować — jakże byłoby to możliwe? Po to, żeby przygotować duszę do wielkiej tajemnicy, odmówić w myślach ostatnią modlitwę.

— Żartujesz. Zuch kobieta — pochwalił zabójca. — I umysł masz trzeźwy. Byłby mniej trzeźwy, pożyłabyś dłużej. Widziałaś taką zabawkę?

Wyjął z kieszeni jakiś przedmiot, który dziwnie zatańczył w jego ręce. Pelagia przyjrzała się — ciężarek na sprężynie.

— Mój wynalazek — pochwalił się Szklane Oko. — Bije na dobry sążeń, i to jak dokładnie.

Prawie niezauważalnie poruszył dłonią, sprężyna rozkręciła się, w powietrzu świsnęło, a na półce rozleciał się w drobny mak gliniany dzban, którego ogrodnik używał zapewne do picia; w następnej chwili ciężarek wrócił do ręki miotającego.

— Jak wydostałaś się z jaskini? Spryciuła, nie ma co mówić. I ślad odrysowała. No i na ten ślad złapałem cię niczym kielbik na wędkę.

Zaśmiał się cicho, tryumfująco.

Najstraszniejsze było to, że siostra nie widziała jego twarzy, a z poprzedniego spotkania nie bardzo ją zapamiętała.

To taka ona jest, śmierć — wzdrygnęła się Pelagia. Pozbawiona oblicza, cicho się zaśmiewająca.

— Skąd... skąd pan się dowiedział, że odrysowałam ślad? — szepnęła mniszka.

Ponownie zachichotał.

— Jaka ciekawska... Wkrótce o wszystkim się dowiesz.

Tam — wskazał palcem na sufit.

— Gdzie? — nie zrozumiała.

Rozradował się jeszcze bardziej.

— „Gdzie, gdzie”. Na tamym świecie. Tam odsłaniają się wszystkie ziemskie tajemnice.

— Za co chce mnie pan zabić? — zapytała łagodnie zakonnica. — Czym panu zawiniłam?

— Nie ty, tylko twój mózg. — Zabójca postukał w jej czoło. — Za chwilę go rozwalę. Ciekawie będzie popatrzeć, co to za specjał — mózg ważniaczki.

Pelagia odruchowo rzuciła okiem na półkę, gdzie leżały resztki dzbana. Szklane Oko pochwycił to spojrzenie i zaczął dusić się ze śmiechu — zdarzało się, że tak chichotały dziewczynki na lekcjach Pelagii, kiedy jedną z nich opanowywał niedorzeczny, łaskotliwy chochlik, a za nią od razu całą klasę.

Mniszka kurczowo przycisnęła ręce do piersi.

Szydełka! Na szyi siostry, jak zazwyczaj, wisiał woreczek z robótką. Wydawałoby się, że to żadna broń, ale jeśli innej nie ma skąd wziąć? A przecież zdarzało się już, że dwa stalowe pręciki ratowały swoją właścicielkę — i to w sytuacjach nie mniej rozpaczliwych niż obecna.

Pelagia zerwała woreczek z szyi, ujęła go mocniej.

— Co tam masz, modlitewnik? No nie, modlić się nie będziemy, to nudne. Żegnaj, ważniaczko.

Odstąpił do tyłu i dla większego zamachu — a może po to, aby nacieszyć się strachem ofiary — zatoczył ciężarkiem świszczący krąg.

Na drugi krąg Pelagia już nie czekała — z przeraźliwym piskiem wbiła szydełka przez woreczek w jedyne oko mordercy. W ostatniej chwili przestraszyła się: a jeśli nie zapamiętała dobrze, które oko jest prawdziwe?

Jednakże, sądząc po dzikim wyciu, trafiła tam, gdzie należało.

Wycie przeszło w jęczenie. Zabójca podniósł dłonie do twarzy, ale zaraz je odjął.

Pelagia cofnęła się — widok atłasowego woreczka, zwisającego z ludzkiego oblicza, był trudny do wytrzymania.

Rzuciła się do drzwi, szarpnęła zasuwę, ale odemknąć nie mogła — była przerdzewiała, a jej zabrakło sił.

Ranny wyrwał i odrzucił woreczek, a po policzku pociekła mu ciemna masa. Zebrał ją w garść i próbował umieścić z powrotem w oczodole.

Pelagia zmrużyła oczy.

— Suka! — zaryczał oślepiony. — Żmija jadowita! I tak cię zabiję!

Zamachnął się — mniszka ledwie zdążyła przykucnąć.
Nad jej głową z przerażającym świstem przeleciał ciężarek.
Zaczęli miotać się na niewielkiej — trzy na trzy sążnie —
powierzchni.

Szklane Oko machał ręką, kierując uderzenia to w prawo, to
w lewo. Ciężarek, przecinając powietrze, rozbijał puste skrzynki
na półkach, z trzaskiem walił w ściany, przełamał trzonek
ogrodowych wideł.

Mniszka rzucała się to w jeden kąt, to w drugi, przykuciała.
Zabójca też raz przysiadł i próbował trafić ją w nogi, ale Pelagia
zdążyła podskoczyć.

Wszystko to wyglądało niczym jakaś potworna gra w berka
albo w chowanego.

Mniszce zupełnie nie w porę przypomniał się jeszcze Odyseusz
w jaskini Polifema. „Oblewała go strugą gorąca posoka... Jego oko
syczało pod oliwnym kołem. Straszliwie wrzasnął, skały wokół odjęły...”*

Cyklop wył i pochlipywał, wydawał nieartykułowane krzyki,
a zdyszana od zrywów i skoków Pelagia wciąż próbowała
przemówić mu do rozsądku:

— Proszę się uspokoić! Potrzebny jest panu lekarz!

Tym samym jednak ujawniała swoją pozycję. Po każdej
takiej prośbie następowało uderzenie, wycelowane dokładniej
niż inne.

Wówczas mniszka przycupnęła na piętach i ścichła.

Szklane Oko przez pewien czas jeszcze miotał się po szopie,
a potem dotarło do niego, że przeciwniczka zmieniła taktykę.
Także zamarł i zaczął się wsłuchiwać.

Stał zaledwie o dwa kroki. Czernica przycisnęła rękę do
lewej piersi — bała się, że zdradzi ją bicie serca.

— Zdechniesz, tak czy owak zdechniesz — wysyczał ślepiec.
— Ja cię bez ciężarka, gołymi rękami...

I rzeczywiście schował swoją broń do kieszeni, rozpostarł
łapska i zaczął się obracać wokół własnej osi.

Sprawy wyglądały źle. Za chwilę wpadnie na pomysł,
żeby przykucnąć i po wszystkim — koniec.

Pelagia zerwała z nosa okulary i cisnęła je w kąt.

* Homer, *Odyseja*, w przekładzie Jana Parandowskiego.

Obróciwszy się gwałtownie, zabójca rzucił się w tę stronę. Podbiegła wówczas do drzwi i napała na nie całym ciałem — chwała Bogu, zasuwa ustąpiła.

Wyskoczyła do ogrodu i zobaczyła, że z zewnątrz też jest zasuwa, więc czym prędzej ją zaryglowała.

Popędziła w stronę budynków, krzycząc na całe gardło:

— Tutaj! Tutaj! Na pomoc!

Z tyłu słychać było trzask i łomot — to Szklane Oko walił w zamknięte drzwi.

O sprzeciwianiu się złu, o ojczyźnie i o prawdzie

Zanim zbiegli się braciszczkowie, zanim zrozumieli sens niejasnych krzyków zakonnicy, zanim ustalili, czy iść do ogrodu, czy też zawezwać policję, minęło z pewnością jakieś dziesięć minut. Minęłoby i więcej, gdyby na hałas i gwar nie wyszedł sam władyka. W ciągu kilku chwil uchwycił istotę rzeczy. Ujął Pelagię za ramiona. Zapytał tylko o jedno: „Czy nic ci nie jest?” A kiedy potwierdziła, długim krokiem ruszył w głąb ogrodu. Nie biegł, albowiem pośpiech nie przystoi biskupiej godności, lecz czeladź nawet biegiem ledwie za nim nadążała.

Drzwi ogrodowego domku wciąż były zamknięte — Szklane Oko nie zdołał wyrwać się na wolność. W środku było wszakże cicho.

Mnisi i słudzy bojaźliwie otoczyli drewnianą szopę.

— Łaskawy panie?! — zawołał drżącym głosem Starowny. — Jest pan tam? Lepiej, żeby pan poniechał gwałtownych zamierzeń i oddał się w ręce wymiaru sprawiedliwości.

Mitrofaniusz ujął ojca Serafima za ramię, odsunął na bok i bez wahania otworzył drzwi.

Postąpił do środka.

Pelagia zasłoniła usta. W żadnym razie nie wolno było krzyczeć — władyka, nie daj Boże, odwróci się, a odwracanie się od rannego, śmiertelnie niebezpiecznego zwierza byłoby szaleństwem.

Archijerej stał na progu przez kilka sekund. Pokiwał głową, uczynił znak krzyża.

Wówczas do szopy, przepychając się, wpadli pozostali. Byli przerażeni i także zaczęli się żegnać. Pelagia wspięła się na palcach, zaglądając przez ramię ojca ekonoma.

Na podłodze kładł się prostokąt błękitnawego księżycowego światła i widać było, że Szklane Oko siedzi w kącie, oparty plecami o ścianę. Samobójca ścisnął w rękach złamane stylisko wideł, które wbił sobie w gardło — i to tak mocno, że zęby przeszły na wylot i utkwiły w deskach.

W nocy, kiedy prokurator okręgowy i policja wypełniali swoje obowiązki (od latarni i pochodni zrobiło się w ogrodzie jasno jak za dnia), Pelagię ogarnęła spóźniona histeria, której świadkiem, na szczęście, był tylko przewielebny.

— Jakiej strasznej rzeczy dokonałam, żeby uratować własne życie! — rozpaczła siostra, załamując ręce. — Zapomniałam, kim jestem! Zachowałam się tak jak każda inna kobieta, która boi się o swoje życie. A przecież jestem mniszką! Zamiast stosować się do nauk Chrystusa, który nakazuje nie sprzeciwiać się złu, tylko nadstawić drugi policzek, postąpiłam w zgodzie z Mojżeszem! Oko za oko! Nigdy więcej nie tknę robótek na drutach!

Mitrofaniusz uznał, że najlepiej będzie uśmierzyć to samobiczowanie surowością, zaczął więc z całą powagą pouczać swoją duchową córkę:

— Co z tego, że jesteś mniszką? Mnisi też się między sobą różnią. Bywali mnisi-wojownicy. Osłabia i Pierieswiet walczyli za ojczyznę i prawdę z bronią w ręku!

— Czy „za ojczyznę” i „za prawdę” to jedno i to samo? — dzwoniąc zębami, zaoponowała Pelagia. — Każdy naród ma własną ojczyznę, ale prawda jest dla wszystkich jednakowa. Co jest dobrego w waszym Pierieswicie? Dla Księstwa Moskiewskiego i dla Rosjan jest on, rzecz jasna, bohaterem, Chrystus wszakże nie dał się ukrzyżować za Księstwo Moskiewskie i za jeden tylko naród, ale za całą ludzkość. Ów Tatar, Czelubej, którego Pierieswiet zabił, też miał żywą duszę. Nie wolno słudze Bożemu chwytać za broń, nawet jeśli grozi mu nieuchronna zagłada. Ach, władzyko, proszę wyobrazić sobie, jak boi się człowiek, który utracił już jedno oko, o utratę drugiego! Na pewno śniły mu się po nocach

koszmarnie sny, że ośleplę całkowicie... A przecież byłam na tyle okrutna, że nie tylko pozbawiłam go wzroku, ale jeszcze zamknęłam z zewnątrz drzwi, żeby nie uciekł. Co by ze sobą, oślepli, zrobił? Wyobrażam sobie, jak tłucze się, nieszczęsny, o ściany w poszukiwaniu wyjścia i nie znajduje go... Gdyby znalazł, to może nie zatraciłby swej nieśmiertelnej duszy.

Czy nie mam racji?

Mitrofaniusz, widząc, jak Pelagia się zadręcza, zrezygnował z surowości i ujął mniszkę za rękę.

— To nie tak! Nie tak! Trzeba walczyć ze złem. Nie zgadzam się tutaj z hrabią Tołstojem i z tym, jak on objaśnia nauki Chrystusa. Życie jest pokonywaniem zła i walką ze złem, a nie kapitulacją wobec nikczemników. Ty przypominasz Dawida, który pokonał Goliata, albo Jerzego Kapadockiego, który zabił ognistego smoka. Podziwiam cię nawet bardziej niż owych herosów, bo jesteś słabą kobietą, a twoje szydełko to broń równie dobra jak proca Dawida albo kopia świętego Jerzego.

Zamiast jednak odczuwać dumę z pochlebnych porównań, Pelagia machnęła tylko ręką i rozszlochała się na dobre.

Wyjaśniło się

Działo się to wszystko w nocy z czwartku na piątek, w dzień Jana Pustelnika, a w środę — co oznacza, że nie minął nawet tydzień — Matwiej Bencjonowicz Berdyczowski przedstawił biskupowi i siostrze Pelagii pełne i wyczerpujące sprawozdanie z przeprowadzonego dochodzenia.

Tożsamość zamachowcy udało się ustalić znacznie łatwiej, niż spodziewał się prokurator. Odnaleziono najpierw hotel, w którym ów się zatrzymał. Nie było to trudne, ponieważ Zawołżsk nie jest miastem zbyt dużym. W numerze dokonano przeszukania i natrafiono na paszport, wystawiony na nazwisko obywatela Maurycego Irinarchowicza Piersikowa.

Berdyczowski paszportowi nie uwierzył, pamiętając, że na parowcu przestępca występował jako szlachcic Ostrołyżeński, polecił więc sfotografować zwłoki. Rzecz jasna, nie

w tak wysoce profesjonalny sposób jak Sergiusz Siergiejewicz Dolinin — nie rozczesywał nieboszczykowi włosów i nie wpuszczał do oczu nitrogliceryny (zresztą zwłoki nie miały oczu — ani jednego).

Fotografie wraz z opisem zostały rozesłane do wszystkich oddziałów Ochrony i policji w imperium. I zaledwie po kilku dniach nadeszła odpowiedź z kijowskiej Ochrony, przy czym wyjątkowo zaskakująca.

— To nie Piersikow ani Ostrołyżeński. — Matwiej Bencjonowicz, z zagadkowym wyrazem twarzy, przeszedł do głównej części swego raportu (zaczął zaś od tego, że podniósł i z zachwytem wychwalał dzielność siostry Pelagii). — To niejaki Bronisław Racewicz, szlachcic rodowy z guberni kowieńskiej. — Tutaj prokurator wytrzymał efektowną pauzę i ujawnił swoją największą sensację. — Zechciejcie państwo zwrócić uwagę — były sztabsrotmistrz żandarmerii. Służył w wydziale wołyńskim, a dokładniej w Żytomierzu. W otrzymanym z Kijowa piśmie doniesiono, że Racewicz zasłynął jako odważny i śmiały oficer, a w ostatnim okresie służby był członkiem lotnego oddziału do zwalczania szczególnie niebezpiecznych przestępców. Przy zatrzymywaniu bandy dynamitardów stracił w strzelaninie oko. Nagradzany. Jednakże w zeszłym roku został wydalony z korpusu w skandalicznych okolicznościach — za naruszenie kodeksu honorowego. Zapewne nie wiecie, że wedle regulaminu oficerowie żandarmerii mają zakaz pożyczania pieniędzy, sztabsrotmistrz zaś zadłużył się, i to u żydowskich lichwiarzy, co dla jego zwierzchników było najwyraźniej w dwójnasób naganne — pozwolił sobie na zjadliwość Berdyczowski, sam Żyd z urodzenia. — Zamknięto go w więzieniu za długi. To znaczy najpierw usunięto Racewicza ze służby, a dopiero potem wsadzono, bo oficer Korpusu Żandarmerii siedzieć w więzieniu nie może. Wkrótce wykupił się jakimś sposobem i spłacił długi, ale powrót do służby nie był już możliwy. Natychmiast po uwolnieniu Racewicz wyjechał z Żytomierza w nieznanym kierunku. Dalsza jego działalność i miejsce pobytu nie są kijowskiemu oddziałowi Ochrony znane.

Zaskoczenie słuchaczy było dla prokuratora najlepszą nagrodą. On sam, kiedy godzinę wcześniej przeczytał depe-

szę, zaczął wzburzony biegać po gabinecie, powtarzając: „To niemożliwe, to niemożliwe!”

— Ale... ale jak to wyjaśnić? — Przewielebny rozłożył ręce. — Żeby oficer żandarmerii, choćby nawet były... Jestem absolutnie zaskoczony!

Matwiej Bencjonowicz, który w odróżnieniu od biskupa miał czas, żeby poradzić sobie z tą sensacją i zebrać myśli, przygotował już odpowiedź.

— Sądzę, że sprawy miały się następująco. Racewicza rozjątrzyły wymogi prawa, których przez wiele lat skutecznie bronił, a które bezlitośnie go odrzuciły — nie za jakieś przestępstwo, ale za zwykłe wykroczenie. Wielkie rzeczy! Nie mógł na czas zwrócić długu! Coś takiego zdarza się powszechnie, na każdym kroku. On zaś, człek zasłużony, został usunięty i pozostawiony bez środków do życia. Jak proponujecie zarabiać na chleb? — Berdyczowski uśmiechnął się chytrze i sam sobie odpowiedział. — Co potrafił Racewicz? Śledzić, przewąchiwać i, by tak rzec, używać przemocy, nic więcej. Czy wiecie, co to jest „lotny oddział”? To grupa oficerów i agentów o najwyższych kwalifikacjach, którzy opanowali wszelkie sposoby posługiwania się bronią, walki wręcz i inne umiejętności, niezbędne w zmaganiach z niebezpiecznymi przestępcami. No to pan Racewicz znalazł sobie zajęcie najbliższe jego dawnej profesji. W praktyce kryminalistycznej dosyć częste są przypadki, kiedy z szeregów policji wywodzą się najzacieklejsi wrogowie społeczeństwa. Możliwe, że Racewicz działał w pojedynkę. Ale raczej nie. Pozwolę sobie przypomnieć, że jest Polakiem. Nie wykluczam, że były sztabsrotmistrz związał się z warszawskimi bandytami, elitą świata przestępczego. Ta kategoria niewiele ma wspólnego z naszymi „dołami”. Zachowują się i dokonują zbrodni, proszę wybaczyć wulgaryzm, z szykiem. Wielu szlachetnej krwi. Wykształceni, o nienagannych manierach.

— Ale czego chciał od naszej Pelagii? — zapytał Mitrofaniusz, nie do końca przekonany do tej wersji.

Berdyczowski najwyraźniej i na to miał gotową odpowiedź.

— Skierowała na Racewicza podejrzenie. Nie wiem, jak zdołał wydostać się z parowca po zabójstwie Szełuchina

i przywłaszczeniu sobie szkatułki z „kasą”. Najpewniej wpływ. Wątpliwe, żeby przymusowa kąpiel w lodowatej wodzie mu odpowiadała. Rozdrażniony typ o psychopatycznej osobowości. Wśród przestępców (także wśród tych, którzy ich ścigają) podobni osobnicy nie są rzadkością. Wszelkie przeskody uznają za osobistą zniewagę, a za zniewagę odpłacają pełną miarą. Mogę powtórzyć to, co już mówiłem: zabójca postanowił policzyć się z siostrą Pelagią, i to w sposób sadystryczny, z rozmysłem. Z zemstą zwlekał, czekał na stosowną okazję. Taką, jaka nadarzyła się przy Czarcim Kamieniu. A kiedy dowiedział się, że nic z tego, przestał się patyczkować — postanowił roztrzaskać głowę i koniec.

Pelagia zadała pytanie, które nie dawało jej spokoju:

— Skąd jednak wiedział o porażce jego planów? A zwłaszcza o śladzie?

Prokurator zasepił się.

— To, jeśli pani pozwoli, nie jest kwadratura koła. Wiadomo. Rozsyłając zapytania z prośbą o naukową ekspertyzę sądową, żadną miarą nie podejrzewałem, że przestępca jest byłym żandarmem. Znalazł się tam, oprócz kopii śladu, także opis wyglądu „pana Ostrołyżeńskiego” — szklane oko i tak dalej. Zapytanie trafiło do rąk jakiegoś dawnego współpracownika Racewicza. Zapewne stosunki przyjacielskie. A może interesy — nie wiadomo. Zdarzało mi się słyszeć, że niektórzy policjanci z guberni małorosyjskich i polskich utrzymują, by tak rzec, korzystne stosunki z „warszawiakami”. To jednak, proszę wybaczyć, nie należy już do moich kompetencji, to sprawa o większej niż zawołzka skali. Cieszymy się, że nasz przeciwnik został unieszkodliwiony — dzięki pani męstwu i Opatrzności Bożej.

— Amen — powiedział z ulgą władcyka. — Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

I to ich uspokoiło.

VI ROZUM I UCZUCIE

Piękny pomysł

Zebranie niezbędnych informacji zajęło pięć dni. Jakiś niecierpliwiec poradziłby sobie z tym szybciej, bo zwyczajnie i sposób poruszania się obiektu były nad wyraz stałe, Jakow Michajłowicz jednak nie cenił pośpiechu, zresztą dosyć już przez to napsuli. Ale, co godne uwagi — jak ktoś coś spartaczy i narozrabia, to zaraz: „No, Jakowie Michajłowiczu, prosimy pomóc. Niech pan posprząta brudy i zrobi tak, żeby było czyściutko”. Choć raz daliby świeżą robotę, a nie rozpraną, żeby nie zbierać na szufelkę cudzego gówna. Czym dla nich jestem, czyszcicielem ustępów?

Tak powarkiwał do siebie człowiek w średnim wieku, o niepozornym wyglądzie, siedzący na tarasie „Cafe de Paris” na Małej Borszczowce, naprzeciwko ogrodu archijereja, i sponad „Zawołzkich Wiadomości Diecezjalnych” popatrywał na zalaną słońcem ulicę.

Ubrany był odpowiednio do powierzchowności — porządnie, ale jakoś bezbarwnie, tak że oko nie miało się na czym zatrzymać: szara marynareczka w krateczkę, niewyszmelcowany, ale też i niezbyt biały kołnierzyk; na stoliku leżał nieco podniszczony melonik. Jediną rzeczą, która jakoś wyróżniała owego nad wyraz skromnego pana, był okropny zwyczaj wyłamywania palców, zwłaszcza w chwilach skupionego namysłu.

Teraz też splótł szybko dłonie i zachrzęścił tak głośno, że przy sąsiednim stoliku odwróciły się dwie panienki, a jedna zmarszczyła nawet nosek.

— *Pardon.* — Jakow Michajłowicz, który zdawał sobie

sprawę ze swego paskudnego nawyku, uśmiechnął się ze skrucłą pulchnymi ustami. — Więcej nie będę.

Kawa, którą pił z fajansowej filiżanki, zapachem i nadmierną słodyczą przypominała nieco kakao, ale w podróży po rosyjskiej prowincji zdarzało mu się pić jeszcze gorszą lurę. Zwykle postępował tak: prosił o przyniesienie całego dzbanuszka śmietanki (śmietanka jest na prowincji znacznie lepsza i tłustsza niż w miastach stołecznych), wlewał jej do filiżanki jak najwięcej i mógł już pić nawet z przyjemnością.

O siódmej dwadzieścia dziewięć Jakow Michajłowicz wyjął taniutki srebrny zegarek, szczerknął wieczkiem, ale na cyferblat nie spojrzął; zamiast tego obrócił głowę w prawo, jakby na coś albo na kogoś czekał. Czekał nie dłużej niż minutę — zza rogu, od strony rogatki kazańskiej, wyszła zakonnica. W okularach, z rudym kosmykiem wysuwającym się spod chusty. Dopiero teraz siedzący przyglądał rzędniejące czarne włosy i spojrzął na zegarek (wskazywał dokładnie wpół do ósmej), po czym kiwnął z zadowoleniem głową i nakreślił coś ołówkiem w notesie — nie słowo i nie cyfrę, ale jakiś znaczek, którego sens był wiadomy tylko jemu.

Kiedy mniszka zrównała się z tarasem, brunet zasłonił twarz i ramiona gazetą. A gdy tylko weszła przez furtkę do ogrodu archijereja, klient uregulował rachunek i wyszedł, zostawiając osiem kopiejek napiwku.

Jak się zdaje, przyjezdny pilnych spraw nie miał. Niespiesznym krokiem przespacerował się po Zawołzsku, miście przyjemnym i miłym, zwłaszcza w tak pogodny wiosenny dzień. Wymachując lekkim sakwojażem, Jakow Michajłowicz obszedł wszystkie godne uwagi miejsca, a o dziewiątej zjadł w mlecznej jadłodajni twaróg z racuchami. Ponownie dał osiem kopiejek napiwku i zapytał, gdzie tu jest ustronne miejsce. Okazało się, że na podwórku.

Gość udał się do latryny i tam zniknął, żeby więcej się nie pojawić. Zamiast Jakowa Michajłowicza z ustępu wyszedł rzemieślnik — w czapce z daszkiem, w kapocie, z siwiejącą bródką. Od razu widać było, że to człowiek solidny, niepijący i choć niezbyt dostatni, to świadom własnej wartości. Na plecach rzemieślnika dyndał worek na tasie.

Gdzie podział się brunet w podniszczonym meloniku, pozostawało zagadką. Czyżby utopił się w nieczystościach?

To sam Jakow Michajłowicz tak na swój temat zażartował. Nawykły do samotności, której wymagała jego profesja, nieustannie toczył ze sobą wewnętrzną rozmowę: i dyskutował, i sprzeczał się, a czasami i pożartował, dlaczego nie?

Nowo narodzony rzemieślnik niczym nie przypominał obywatela, który siedział w „Cafe de Paris” i jadł twaróg w mlecznej jadłodajni. No, może tylko wzrostem i butami, ale i te wcześniej były wyczyszczone, a teraz stały się szare od kurzu.

Niespiesznym krokiem proletariusz skierował się w stronę peryferii. Tymczasem zapadł zmrok i zapaliły się latarnie. Jakow Michajłowicz odnotował, że ulice oświetlane są doskonale — odnotował to nie jako postronny obserwator, ale dla własnych celów.

Po pewnym czasie przebieraniec znalazł się przed szkołą diecezjalną dla dziewcząt, dosyć długim parterowym budynkiem, pomalowanym na żółto i na białą.

Z boku mieściła się „cela” kierowniczkii: białe firanki w dwóch oknach, niewysoki ganek, drzwi z miedzianym dzwoneczkiem.

Jakow Michajłowicz dostał się do środka już trzeciego dnia. Mieszkanie malutkie, dwa pokoiki, dosyć przytulne, ale porządku to tam nie było.

Stanął dalej od latarni, za krzakiem, i zadarł głowę, udając, że podziwia jasny księżyc. Zresztą nikt na marzyciela nie patrzył, bo na spokojnej ulicy nie było żywego ducha.

Wkrótce dotarły odgłosy jadącej kolaski.

Jakow Michajłowicz zerknął na zegarek — za dwadzieścia dziewięć jedenasta. Znowu postawił w notesie tajemniczy znaczek.

Podjechał dwumiejscowy ekwipażyk angielskiego typu. Powoził urzędnik w średnim wieku, z dużym nosem, w kaszkiecie. Obok siedział obiekt — ta sama mniszka, która niedawno przeszła Małą Borszczowką.

Mężczyzna zeskoczył na ziemię, uniósł kaszkiet i uklonił się. Ruda zakonnica powiedziała coś do niego, także się ukloniła i zaczęła wchodzić po schodkach na ganek. Urzęd-

nik patrzył w ślad za nią i odjechał dopiero, kiedy za siostrą zamknęły się drzwi, a i to nie od razu, ale po jakichś dwóch minutkach. Stał, miętosząc czubek nosa, zupełnie jakby rozwiązywał jakieś zawile zadanie, jednak Jakow Michajłowicz wiedział już, że urzędnik ma taki nawyk, coś w rodzaju tiku nerwowego.

Kiedy odprowadzający odjechał, obserwator wyszedł zza krzaka, otworzył pod latarnią swój notes i przejrzał zapiski.

W ciągu pięciu dni ani jednego odstępstwa od rutyny. Można przystępować do dzieła.

A zatem.

Od jedenastej wieczór do szóstej rano sen. Pół godziny na poranną toaletę. Potem idzie do najbliższej cerkwi. Wraca do siebie. Interesujące dziwactwo: od wpół do ósmej do ósmej kąpie się w Rzece, choć woda zimna. Potem w szkole je z uczennicami śniadanie. Od dziewiątej do dwunastej lekcje. Dalej obiad. Od pierwszej do piątej znowu lekcje. Od piątej do siódmej próba chóru. Po siódmej idzie do siedziby archiereja (marszruta: z Kazańskiej skręca w Szlachecką, stamtąd w Małą Borszczowkę; ulice są o tej porze pełne ludzi). O dziesiątej dwadzieścia wyjeżdża od przewielebnego z prokuratorem okręgowym, który towarzyszy jej do samego

Takie są okoliczności zadania, same w sobie nieskomplikowane.

Ale...

Cały szkopuł w dodatkowym warunku. Powiedziano: koniecznie nieszczęśliwy wypadek albo nagła śmierć od choroby. Żadnych podejrzeń o przemoc. To, rzecz jasna, ciekawsze niż zwykłe puk-puk, ale i wielokrotnie trudniejsze.

Jednym słowem, łamigłóweczka.

— Nuże, nuże — półgłosem pogadywał Jakow Michajłowicz, wyteżając umysł.

Gdyby nie napsuli, mądrale, to najprościej, rzecz jasna, byłoby w czasie porannej kąpieli.

Żelazna mniszka (nie poskapił Bóg zdrowia) chodzi pływać do odosobnionej zatoczki, nie bacząc na pogodę. Rozebrawszy się do długiej białej koszuli, szybkimi pociągnięciami

mi płynie do środka Rzeki i z powrotem. Od samego patrzenia robi się zimno.

Tu trzeba by tak. Ogłuszyć (całkiem lekko, żeby potem w płucach znalazła się woda) i wrzucić do Rzeki. Że niby skurcz ją złapał i utonęła. Zwykła sprawa. Woda ma trzynaście stopni, zmierzyło się termometrem.

Ale tak się nie da. Władze są czujne po tym, jak popracował poprzednik. Miał człowiek całkowitą swobodę, to nie, narobił głupstw, impresjonista kosooki.

Polecono: „Żeby mucha nie usiadła” — to znaczy jak?

To znaczy: na oczach publiczności i żeby nikt niczego nie zaczął podejrzewać.

Spróbujcie zdrową młodą kobietę, która pływa przy trzynastu stopniach, zabić na oczach licznych świadków, nie wywołując najłżejszego podejrzenia. Wszak każda para oczu to dodatkowe ryzyko. Nie wiadomo, jaką kogo natura obdarzyła spostrzegawczością.

— No nie, ładni panowie, to zanadto, to przekracza granice możliwości! Nie jestem Panem Bogiem Sabaothem — warczał pod nosem Jakow Michajłowicz, jednakże w tym zrządzeniu sporo było obłudy: schlebiało mu, że obarczają go takimi trudnymi zadankami. Wygląda na to, że doceniają talent człowieka.

I co może być bardziej podniecającego niż rozwiązywanie zadania, które wydaje się przekraczać granice możliwości?

Jakow Michajłowicz wierzył święcie w nieograniczoną potencję ludzkiego umysłu. W każdym razie własnego.

Powyłamywał palce, pocmokał grubymi wargami, stęknął sobie nawet i mimo wszystko znalazł rozwiązanie. A jakie czyste, piękne — po prostu чудо!

Nie potrzeba żadnej publiczności, nie potrzeba wielu oczu. Tutaj, jak niemal w każdej sprawie, ważna jest nie ilość, lecz jakość. Niechaj będzie jedna para oczu, ale zastępująca cały tłum świadków (którzy nie wiadomo jeszcze, co zobaczą, czego się domyśla i co zeznają w czasie przesłuchań). Jeśli mniszka umrze na oczach tego, który sam kieruje śledztwami, żadne przesłuchania, przepytywania w ogóle nie będą potrzebne. Bo co — nie uwierzy własnym oczom? Uwierzy, nie będzie miał wyjścia.

No, no.

Prokurator okręgowy Berdyczowski co wieczór odprowadza mniszkę z siedziby archijereja do służbowego mieszkania. Dowozi swoją dwukółką do samego domu, pomaga wysiąść. Zawsze czeka, dopóki nie wejdzie ona na ganek i nie otworzy drzwi.

Co tu można wymyślić?

Spowodować, żeby koń poniósł? W pewnym miejscu, na zakręcie ze Szlacheckiej, jest w pobliżu urwisko.

Konia ma prokurator spokojnego, ale jeśli palnąć mu z dmuchawki w bok kolcem posmarowanym czymś żrącym, poniesie aż miło.

Ryzykowne.

Przed wszystkim może wyskoczyć, przecież to sportmenka. Wykręci się jakimś byle złamaniem. Albo zabiją się, ale obydwójce. Tego tylko brakowało!

Od ogólnej idei kluczowego świadka do właściwego olśnienia droga nie była daleka.

Pomysł przyszedł prawie natychmiast, i to taki, że Jakow Michajłowicz aż świsnął z zadowolenia.

Zawrócił, kierowany natchnieniem. Nie wbiegł, ale, rzecz by można, wleciał na ganek i przytknął nos do samej klamki, przyświecając sobie małą latarką elektryczną.

Tak jest!

Za sprawą ludzkiego umysłu poszerzyły się granice możliwości.

Prokurator zobaczy wszystko na własne oczy. Tuż pod jego haczykowatym nosem Jakow Michajłowicz skończy z rudą mniszką, a pan Berdyczowski niczego nie zrozumie i nie spostrzeże.

Tu macie prawdziwy impresjonizm i prawdziwe piękno, to nie to, co urządzić głupie zawały w jaskiniach.

Nazajutrz, o dziesiątej wieczorem, specjalista od czystej roboty znowu pojawił się na cichej peryferyjnej ulicy, tyle że przebrany był nie za rzemieślnika, ale za tandeciarza.

Ulokował się naprzeciwko szkoły. Chodził, leniwie pokrzykując: „Starzyznę, butelki skupujemy! Szmaty, gałgany bierzemy!” — bardziej z profesjonalizmu aniżeli dla sprawy.

Jak ustalił wcześniej, ludzie o tej porze po ulicy nie chodzą, szmat i butelek oddawać nie będą.

Na ganek wszedł zaledwie na minutkę, dłużej nie było trzeba. Klamka przy drzwiach była najzwyczajniejsza: drewniana rączka, przybita gwoźdźmi, przy czym Bóg jeden wie, ile lat temu — główki dawno zardzewiały. Jakow Michajłowicz wbił jeszcze jeden, cienki, ale nieco na ukos, tak że czubeczek wyszedł odrobinę z drugiej strony — akurat tam, gdzie chwyciło się palcami. Sterczący koniec Jakow Michajłowicz posmarował jakąś ciecżą z flakonika — z niezwykłą ostrożnością, włożył nawet rękawiczki.

Fachowiec zawsze brał ze sobą w podróż służbową specjalną apteczkę: rozmaite flaszeczki, probóweczki na każdą możliwą okoliczność.

Zadrapać palec o klamkę to istne głupstwo, każdemu może się zdarzyć.

Rankiem opuchlizna. Pod wieczór temperatura. Symptomy wskazujące na zakażenie krwi: zaraz też i dreszczyki, i obfite pocenie się, i żółknięcie skóry. Następnego dnia silna gorączka, maligna. Tego samego wieczoru, a jeśli serce silne, to najpóźniej nad ranem — wieczne odpoczywanie. I żadnych podejrzeń, zwykły życiowy przypadek. Najważniejsze zaś, że będzie to wszystko obserwował prokurator. Usłyszysz, jak ona, ukłuwszy się, krzyknie. Kto mógłby przypuszczać, że takie głupstwo wywoła posocznicę? Nikt. Zrządzenie Boże.

Jakow Michajłowicz zajął pozycję w krzakach. Czekał.

Przyjechali za dwadzieścia jedenasta, zaczynał się już de-nerwować.

Dzisiaj prokurator nie tylko wysadził towarzyszkę, ale z galanterią odprowadził ją do samych drzwi.

To jeszcze lepiej — niechaj napatrzy się z bliska.

Ruda ujęła klamkę, pociągnęła, krzyknęła.

Jak było przewidziane.

Usłyszawszy ciche „ach!”, Jakow Michajłowicz cmoknął i wycofał się, a po pięciu sekundach całkowicie rozpląnął w ciemności.

Sprawa zakończona. Jak to się mówi, reszty dokona natura.

Zakochany prokurator

Radcy stanu Matwiejowi Bencjonowiczowi Berdyczowskiemu, mądrymu i rzeczowemu trzydziestodzieciuletniemu mężczyźnie, przydarzyło się nieszczęście, jakiego obawiał się przez całe swoje małżeńskie życie, niezwykle szczęśliwe, a ponadto pobłogosławione licznym potomstwem.

Miłość Matwieja Bencjonowicza do żony w ciągu wielu spędzonych wspólnie lat przebyła kilka naturalnych faz i na trwałe weszła w ramy przyjaznego przyzwyczajenia i pełnego pokrewieństwa dusz, niewymagającego czułych słówek i wzniosłych czynów. Maria Gawriłowna, która w wieku osiemnastu lat odznaczała się płomiennym, romantycznym usposobieniem, po urodzeniu trzynaściorga dzieci całkowicie zatraciła owe pierwotne cechy — pojawiły się skłonności i troski ważniejsze. Na przykład: jak utrzymać rodzinę za pobory męża, skądinąd zupełnie przyzwoite, ale to przecież cała piętnastka!

Po trzydziestce pani Berdyczowska przekształciła się w kwitnącą, spokojną damę o statecznym, twardym charakterze, bez najmniejszych wątpliwości na temat tego, co w życiu jest ważne, a co jest głupstwem i na uwagę nie zasługuje.

Matwiej Bencjonowicz cenił owe zalety żony, najbardziej jednak zachwycała go niedostępna dla mężczyzny ofiarność wobec tych, których Maria Gawriłowna kochała — miłością bezwarunkową, naturalną, pozbawioną jakiegokolwiek afektacji.

Odwrotnie było z samym Berdyczowskim, u którego z upływem lat żarliwość wyobraźni i marzycielstwo raczej się wzmogły. Jak każdy zdrowy mężczyzna oglądał się za pięknymi lub zwyczajnie pociągającymi kobietami (a takich zawsze znajdzie się wokół aż nadto) i jeśli jakaś szczególnie mu się podobała, zaraz pojawiał się lęk: a jak się zakocham? I fantazja natychmiast zaczynała rysować tak straszne następstwa, tak przerażające dramaty, że starał się trzymać od niebezpiecznej osoby jak najdalej. Zakochać się w obcej kobiecie, kiedy ma się wierną żonę i trzynaścioro latorośli, byłoby dla szacownego człowieka czymś absolutnie niedopuszczalnym.

Do czasu Bóg litował się nad Matwiejem Bencjonowiczem i nie doświadczał go ponad miarę. A może raczej tak: prawdzi-

wa pokusa to nie ta, którą od razu widać. Bardzo możliwe, że czarodziejki, których unikał Berdyczowski, nie były dla niego rzeczywistym zagrożeniem, albowiem kto uprzedzony, ten uzbrojony. Jak to zwykle się zdarza, zguba czyhała na cnotliwego męża tam, gdzie, wydawałoby się, nie ma się czego bać.

Bo czyż może komuś przyjść do głowy, by wystrzegać się miłosnych pokus ze strony mniszki?

Po pierwsze, zakonnica to istota, by tak rzec, pozbawiona właściwości płciowych.

Po drugie, siostra Pelagia nie miała nic wspólnego z żeńskim typem, po którym Matwiej Bencjonowicz spodziewał się zamachów na swoje serce. O kołatanie przyprowadzały je zwykle pulchne blondynki z dołeczkami albo przeciwnie, kształtne brunetki o władczym spojrzeniu i z delikatnym łukiem bezbronnej białej szyi. A ta była ruda, piegowata i w dodatku w okularach.

Po trzecie, była to osoba znana od dawna, by tak rzec, swoja, to znaczy, wedle rozpowszechnionego wśród mężczyzn błędnego mniemania, w sensie romantycznym niegroźna. Chociaż właśnie tutaj najczęściej dochodzi do dramatów: wcześniej w ogóle nieinteresująca kobieta nagle, z powodu byle drobiazgu, zasnuje się zwiewną mgiełką i rozpromieni blaskiem. Pochwycisz się za serce, zawołasz: ślepcze, gdzie miałeś dotąd oczy? I już jest za późno, żeby cokolwiek zmienić, żeby się wycofać — można powiedzieć, że dokonały się wyroki losu.

To właśnie przytrafiło się Berdyczowskiemu — mgiełka, blask, serce.

Zaczął się od podziwu dla umysłu, odwagi i talentu Pelagii. W tamtym czasie Matwiej Bencjonowicz myślał o swoich uczuciach wobec mniszki jako o naznaczonej szacunkiem przyjaźni i nie zastanawiał się, dlaczego w jej towarzystwie jest mu tak dobrze. Przyjaciołom powinno być razem dobrze, czyż nie?

A potem, pewnego szczególnie jasnego dnia, już po powrocie siostry ze Stroganowki, olśnił go wspomniany drobiazg. Ową chwilę prokurator zapamiętał tak wyraźnie, że wystarczyło mu zamknąć oczy, by ujrzeć wszystko na nowo jak żywe.

Pelagia przycinała róże, przyniesione władcyce z oranżerii, i upuściła nożyce do kryształowego wazonu z wodą. Podciągnęła rękaw, aby wsunąć tam rękę. Serce Matwieja Bencjonowicza nagle zamarło. Nigdy w życiu nie widział czegoś równie zmysłowego jak ta delikatna, obnażona ręka, która wysunęła się z czarnego rękawa riasy i zanurzyła w skrzęcej wodzie. Oblizawszy wyschłe wargi, radca stanu zupełnie jakby po raz pierwszy zobaczył twarz czernicy: biała skóra, cała obsypana złotym pyłkiem, pełne łagodnego światła oczy... Tej twarzy nie dało się nazwać ładną czy choćby regularną, a jednak była ona bez żadnych wątpliwości piękna.

Tego dnia Berdyczowski wyszedł od władzyki wcześniej, tłumacząc się pracą. Był jak ogłuszony, wręcz chwiał się na nogach. Przybywszy do domu, popatrzył na żonę ze strachem — przestał ją nagle kochać? Teraz zobaczy swoją Maszeńkę nie przez przychylne okulary miłości, ale taką, jaka jest w rzeczywistości: otyła, zabiegana, o grubym głosie.

Wypadło jeszcze gorzej. Miłość do żony nie zniknęła, przestała jednak zajmować główne miejsce w jego życiu.

Posiadając prawy i szlachetny charakter, Matwiej Bencjonowicz dręczył się strasznie. Co za podłość, co za nieuczciwość, co za trywialna historia: mąż tuż przed czterdziestką ochłódł w stosunku do żony, która utraciła uroki młodości, i zakochał się w innej. Jakby to żona była winna, że przywiedła, rodząc mu dzieci i zapewniając spokojne, szczęśliwe życie!

W pierwszych dniach po strasznym odkryciu prokurator przestał wieczorami chodzić do władzyki, kiedy można tam było spotkać Pelagię.

Trzeciego dnia nie wytrzymał. Powiedział sobie: „Maszy nigdy w życiu nie rzucę i nie zdradzę, ale przecież serce nie sługa. Na szczęście ona jest mniszką, a zatem coś takiego jest niemożliwe podwójnie, a nawet do kwadratu”. Tym uspokoił sumienie.

Ponownie zaczął bywać u przewielebnego.

Patrzył na Pelagię, słuchał. Był gorzko, nieprzytomnie szczęśliwy. Tak uwierzył w niemożność czegoś takiego, że przyjął za regułę odwożenie czernicy własną kolaską do szkoly. Owe jazdy stały się dla Matwieja Bencjonowicza naj-

ważniejszym wydarzeniem dnia, sekretną rozkoszą, na którą czekał od wczesnego ranka.

Dziesięć minut razem na wąskim siedzeniu. Czasami, na zakręcie, dotyk łokcia. Pelagia, rzecz jasna, w ogóle tego nie zauważała, przez prokuratora zaś przetaczała się słodka fala, od splotu słonecznego w dół.

Był jeszcze i deser: podanie ręki, kiedy będzie wysiadała z kolaski. Mniszki wszak rękawiczek nie noszą. Dotknąć jej skóry — leciutko, ani na sekundę nie przedłużając kontaktu. Co znaczą wszystkie zmysłowe uniesienia w porównaniu z tą krótką chwilą?

W drodze przeważnie milczeli. Pelagia rozglądała się na boki, Berdyczowski całą swą postawą pokazywał, że pochłania go powożenie. Tymczasem zaś marzył: są mężem i żoną, wracają do domu z wizyty. Zaraz wejdą do pokoju, ona z roztargnieniem pocałuje go w policzek i pójdzie do łazienki, by przygotować się do snu...

W podobnych chwilach Matwiejowi Bencjonowiczowi marzyło się najcudowniej, zwłaszcza jeśli wiosenny wieczór był tak piękny jak teraz. Aby przedłużyć iluzję, prokurator pozwolił sobie na swobodę — pożegnał się nie przy kolasce jak zazwyczaj, ale odprowadził mniszkę do samego ganku.

Urządził sobie całą orgię: nie dość, że lekko ścisnął dłoń, pomagając pasażerce wysiąść z dwukółki, to potem jeszcze nadstawił łokieć.

Pelagii ani trochę nie zdziwiła zmiana w rytuale — nie przydawała temu znaczenia. Ujęła go pod rękę, uśmiechnęła się.

— Cóż za wieczór... Cudo!

Berdyczowskiemu zaraz zaświtała śmiała idea: odprowadzanie od kolaski na ganek podnieść do rangi zwyczaju. Ponadto: czy nie wprowadzić pożegnalnego uścisku dłoni? Bo niby cóż takiego? Mniszek nie całuje się w rękę, uścisk dłoni zaś to rzecz całkiem na miejscu, niewinna i przyjacielska.

Na ganku prokurator podniósł kaszkiet — lewą ręką, żeby prawa była wolna, ale mimo wszystko nie zdecydował się jej podać, a Pelagii nie przyszło to do głowy.

— Spokojnej nocy — pożegnała się.

Ujęła klamkę i nagle krzyknęła — miło, bezbronne, po dziewczęcemu.

Cofnęła dłoń i Berdyczowski zobaczył na serdecznym palcu kropelkę krwi.

— Gwóźdź wyszedł! — powiedziała z irytacją mniszka. — Już dawno czas zrobić nową rączkę, miedzianą.

Sięgnęła po chusteczkę.

— Proszę pozwolić! — zawołał Matwiej Bencjonowicz, wprost nie wierząc własnemu szczęściu. — Chusteczką nie wolno, co też pani! A jeśli, nie daj Boże, tęzec się wda...! Mogą tam być mikroby! To trzeba wyssać, tak czytałem... w pewnym artykule.

I całkiem stracił głowę — pochwycił Pelagię za rękę, podniósł ukłuty paluszek do ust.

Tak się zdumiała, że nie próbowała się uwolnić. Popatrzyła tylko na troskliwego prokuratora w szczególny sposób, zupełnie jakby zobaczyła go po raz pierwszy.

Domyśliła się?

Ale teraz Berdyczowskiemu było wszystko jedno. Od ciepła jej ręki, od smaku krwi zakreśliło mu się w głowie — niczym wygłodzonemu wampirowi.

Matwiej Bencjonowicz ze wszystkich sił wciągnął słoną ciecz. Żałował tylko jednego — że nie jest to ukąszenie śmiertelnie jadowitej żmii.

Pelagia oprzytomniała i wyrwała palec.

— Proszę wypluć! — nakazała. — Kto wie, jakie mogły być tam brudy!

Delikatnie splunął w chusteczkę, choć, rzecz jasna, wołałby wszystko połknąć.

Już żałując swego porywu, wymamrotał zmieszany:

— Natychmiast wyciągnę ten paskudny gwóźdź.

Ach, źle! Domyśliła się, na pewno się domyśliła! Przy jej bystrości... Teraz koniec, zaczniesz stronić ode mnie i unikać spotkań!

Zdjął z hołobli latarnię, a ze skrzynki pod siedzeniem wyjął cęgi (w ekwipażu rzecz niezbędna, by usunąć drzazgę z kopyta, jeśli koń okuleje).

Na ganek wrócił poważny i skupiony. Wyciągnął zdradliwy gwóźdź, pokazał.

— Dziwne — powiedziała Pelagia. — Czubek rdzawy, a główka błyszczący. Jakby dopiero co został wbity.

Berdyczowski przyświecił latarnią. Zobaczył, że czubek połyskuje. Od krwi? Tak, od krwi także. Ale gwóźdź połyskiwał i wyżej, czymś oleistym, o jaśniejszej barwie.

Prokuratorowi zaparło dech, tyle że tym razem już nie z powodu miłosnych uniesień.

— Szybko! Do szpitala! — krzyknął na cały głos.

Krrk-krrk

Profesor Zasiekin, lekarz naczelny szpitala Świętych Marty i Marii, a ponadto rosyjska znakomitość, nie zainteresował się ranką na palcu. Obejrzał, wzruszył ramionami i nawet nie posmarował jodyną. Za to gwóźdź potraktował z najwyższą uwagą. Zaniósł go do laboratorium, przez godzinę odprawiał tam swoje czary, po czym wrócił zakłopotany.

— Ciekawa mieszanka — powiedział prokuratorowi i jego towarzysze. — Aby uzyskać pełną formułę, potrzeba czasu, ale obecne są tutaj i *Agaricus muscarus* i *Strychnos toxifera*, a koncentracja pałeczki okrężnicy jest wprost fenomenalna. Taki poncz przyszykowali, że oj-oj-oj. Gdyby pan, kochanieczku, nie odessał tego paskudztwa zaraz po zranieniu... — Doktor wymownie pokręcił głową. — Zdziwiający, że ranka jest całkowicie czysta. Widać, że ssał pan ile sił, z przejęciem. Zuch!

Matwiej Bencjonowicz poczerwieniał, bojąc się spojrzeć na Pelagię. Ta zaś zapytała:

— „Przyszykowali”? Chce pan powiedzieć, profesorze, że ktoś to specjalnie przygotował?

Berdyczowski zawstydzził się: boi się o głupstwa, a tu coś takiego.

— Bez żadnych wątpliwości — odrzekł profesor. — W naturze taki kompot nie występuje. Pracował tutaj wysokiej klasy specjalista. I z całą pewnością nie u nas — w Zawołżsku nie ma nawet takich laboratoriów.

Prokuratora zmroziło, kiedy uświadomił sobie znaczenie tego oświadczenia. Pelagia także zmieniła się na twarzy. Mat-

wiej Bencjonowicz kochał ją w tej chwili tak, że poczuł łaskotanie w nosie. Gdyby mu teraz powiedziano: „Oto osobnik, który zamierzał zgubić drogą ci istotę” — radca stanu rzuciłby się na złoczyńcę, pochwycił go za gardło i... Tu Berdyczowskiemu, głowie rodziny i człowiekowi łagodnemu, pociemniało w oczach i odebrało oddech. Nigdy nie spodziewałby się po sobie takiej determinacji.

Niezwłocznie, w samym środku nocy, w domu archijereja odbyła się narada.

Matwiej Bencjonowicz był blady i stanowczy. Na zewnątrz zachowywał spokój, tyle że częściej niż zazwyczaj chwycił się za nos.

— Teraz widać, że to nie pojedynczy maniak, ale cała banda. Dlatego najważniejsza staje się wersja „warszawskich”. Porachowanie się za „swojego” to dla nich sprawa honoru. Jeśli wbili sobie do głowy, że ich współnika zgubiła siostra Pelagia, to nie ustaną, dopóki jej nie zabiją. Zostawię wszystkie inne sprawy, pojedę, gdzie trzeba: do Warszawy, do Moskwy, do Żytomierza, ale odszukam łajdaków. Nie wiadomo jednak, jak długo potrwa dochodzenie. Tym czasem zaś naszej drogiej siostrze grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, a my nie możemy się nawet domyślić, z której strony nastąpi kolejny atak. I tu nadzieja tylko w was, władko...

Przewielebny, którego zerwano z łóżka, był w szlafroku i w pilśniowych pantoflach. Drżącymi ze zdenerwowania rękami pociągał i szarpał krzyżyk na piersi.

— Uchronić ją to rzecz najważniejsza — powiedział ochrypłym głosem. — O tym tylko myślę. Wyślę ją jak najdalej, do jakiegoś spokojnego klasztoru. Nikomu nie wolno o tej sprawie wiedzieć. A ciebie o nic nawet nie zapytam! — zagroził duchowej córce, oczekując sprzeciwu.

Mniszka jednak zmilczała. Najwyraźniej zmyślny podstęp z gwoździem przestraszył ją nie na żarty. Berdyczowski tak pożałował biedaczki, że gwałtownie zamrugnął, władyka zaś zasępił się i zaczął chrząkać.

— Przeorysza w monasterze Znamieńskim nad Angarą jest moją wychowanicą, opowiadałem ci o niej. Miejsce od-

ległe, spokojne. — Przewielebny zagiął jeden palec, a po nim drugi. — Poza tym dobra pustelnia jest też nad rzeką Ussu-ri. Obcych widać na dziesięć wiorst. Tamtejszy starszy zgromadzenia jest moim przyjacielem. Sam cię odwiozę — czy to nad Angarę, czy nad Ussuri, dokąd zechcesz.

— Nie! — zgodnie zawołali prokurator i mniszka.

— Wam nie wolno — wyjaśnił Berdyczowski. — Zbyt jesteście widoczni. A wiadomo już, że śledzą nas, nie spuszczaają z oka. Trzeba po cichutku, skrycie.

Pelagia dodała:

— Najlepiej ja sama.

— I dobrze byłoby, rzecz jasna, żeby nie w mniszej szacie, ale w przebraniu — zaproponował Berdyczowski, choć był przekonany, że ten pomysł odrzuca.

Mitrofaniusz i czernica wymienili spojrzenia, ale niczego nie odpowiedzieli.

— Składałam przysięgę — niepewnie wyrzekła Pelagia, czym zaskoczyła Berdyczowskiego (o istnieniu pani Lisicynej prokurator nie miał pojęcia).

— W takim przypadku zwalniam cię z przyrzeczenia. Tymczasowo. Dotrzesz na Syberię jako Lisicyna, a tam wrócisz do właściwej postaci. No, mów, dokąd byś chciała?

— Dlaczego na Syberię, lepiej już do Palestyny — oznajmiła nagle siostra. — Zawsze marzyłam o pielgrzymce do Ziemi Świętej.

Nieoczekiwany pomysł spodobał się mężczyznom.

— W istocie! — zawołał Matwiej Bencjonowicz. — Za granicą najbezpieczniej.

— I z korzyścią poznawczą — poparł go władyka. — Ja także przez całe życie marzyłem, ale nie dostawało czasu. A przecież jestem członkiem Towarzystwa Palestyńskiego. Jedź, córeczko. W pustelni będzie ci nieswojo, znam twoje żywe usposobienie. A tam zobaczysz nowe krainy, nabierziesz nowych doświadczeń. Ani się spostrzeżesz, kiedy czas minie. Ja zaś napiszę do ojca archimandryty w misji i do przeoryszy klasztoru na Górze Oliwnej. Powędruj po Palestynie, popielgrzymuj, pomieszkać w klasztorze, dopóki Matwiej nie pochwyli przestępców.

Tu biskup od razu zasiadł do stołu, aby napisać listy reko-

mendacyjne — na specjalnym papierze z archijerejskim monogramem.

Środki ostrożności przemyśleli aż do najdrobniejszych szczegółów.

Rankiem odwieziono Pelagię „karetką pogotowia” — wielu to widziało. Uczennicom, które przybiegły do szpitala, powiedziano, że kierowniczką bardzo źle się czuje i że nikogo nie wolno do niej wpuszczać. W nocy zaś mniszka wyślizgnęła się tylnym wejściem, a Berdyczowski zawiózł ją do maleńkiej przystani o piętnaście wiorst od miasta.

Czekał tam kuter. Konspiratorzy pokonali nim jeszcze pięć wiorst i zatrzymali się pośrodku Rzeki.

Pół godziny później pojawił się rozświetlony parowiec, który płynął z prądem od Zawołżska. Kuter zamrugał lampą i kapitan, uprzedzony zawczasu tajną depeszą, zatrzymał maszynę — cicho, bez wołania przez tubę i bez sygnałów, żeby nie budzić śpiących pasażerów.

Matwiej Benecjonowicz pomógł Pelagii wejść po trapie. Po raz pierwszy widział ją niejako mniszkę, ale jako damę — w podróżnej sukni i w kapelusiku z woalką. Z powodu tego stroju przez cały czas, od samego szpitala, pozwalał sobie na niedopuszczalne fantazje. Powtarzał w cichości: „To kobieta, to po prostu kobieta”. W duszy prokuratora kłębiły się szaleńcze nadzieje.

Pelagia tymczasem była nieobecna, jej myśli krążyły gdzieś daleko.

Kiedy weszli na pokład, Berdyczowskiemu nagle ścisnęło się serce. Usłyszał jakiś głos, który ze smutkiem powiedział: „Pożegnaj się. Nigdy więcej jej nie zobaczysz”.

— Proszę nie wyjeżdżać... — zaczął pleść w panice prokurator. — Nie znajdę sobie... — Tu oprzytomniał, olśniony zbawiennym, jak mu się zdawało, pomysłem. — Wie pani co, a może jednak nad Angarę? Władyka nie może, ale ja bym panią zawiózł. I potem już wezmę się do śledztwa. Co?

Wyobraził sobie, jak będą jechali we dwójkę przez całą Syberię. Przełknął ślinę.

— Nie, muszę do Palestyny — wymamrotała podróżniczka, wciąż nieobecna. I półgłosem, już tylko do siebie, dodała: — Byle tylko zdążyć. Przecież zabijają...

Co do „zdążyć”, to Matwiej Bencjonowicz nie bardzo zrozumiał, ale otrzeźwiło go zakończenie. Zawstydził się.

Życie drogiej istoty znajduje się w niebezpieczeństwie. Jego zaś obowiązkiem nie są podróże po syberyjskich bezdrożach, ale odszukanie złoczyńców, i to jak najszybciej.

— Przysięgam pani, że odnajdę bandytów — zapewnił cicho radca stanu.

— Wierzę, że pan odnajdzie — życzliwie odpowiedziała Pelagia, ale jakoś bez większego zainteresowania. — Tyle że, jak sądzę, to nie są bandyci, a zagrabione pieniądze nie mają tu nic do rzeczy... Zresztą sam pan się w tym rozezna.

Kapitan, który osobiście witał niezwykłą pasażerkę, przynaglił:

— Łaskawa pani, prąd nas znosi, a po prawej mamy mieliznę. Muszę uruchomić maszyny.

Wykorzystując to, że Pelagia nie jest w riasie, tylko w sukni, Berdyczowski pocałował ją w rękę — w paseczek skóry nad koronkową rękawiczką.

Ona zaś musnęła wargami jego czoło, przeżegnała i prokurator, oglądając się co chwila, zaczął schodzić po trapie.

Smukła sylwetka niknęła w mroku, a potem całkowicie roztopiła się w ciemności.

Pelagia szła za marynarzem, który niósł jej walizkę. Na pokładzie było pusto, tylko pod oknem salonu, zakutany w pled po sam nos, drzemał jakiś miłośnik nocnego powietrza.

Kiedy dama w kapelusiku z woalką przeszła obok, opatulony poruszył się i splótł dłonie.

Rozległ się suchy, nieprzyjemny chrzęst: krrk-krrk.

Część druga
TUTAJ I TAM

VII BYLE ZDAŻYĆ

Tajemnicza i piękna

Przy pierwszym zetknięciu z Ziemią Świętą niewielu tylko ma szczęście ujrzeć ją tajemniczą i piękną, jaką rzeczywiście jest.

Polinie Andriejewnie Lisicynej udało się. Port Jaffa, morska brama Palestyny, pojawił się przed nią niejako stos żółto-szarych zakurzonych kamieni, ale jako migocząca choinkowa bombka — zupełnie jak w dzieciństwie, kiedy podkradniesz się w nocy do drzwi pokoju z choinką i zerkniesz przez szczelinę: początkowo niczego nie widać, a potem błysnie nagle w mroku coś okrągłego, mieniącego się i serce zamrze w oczekiwaniu na cud.

Tak zdarzyło się z Jaffą.

Parowiec, choć plaskał kołami z najwyższym wysiłkiem, nie zdążył osiągnąć upragnionego brzegu przed zachodem słońca. Czarne niebo zlało się z czarnymi wodami, a zawiedzeni pasażerowie smętnie powlekli się pakować rzeczy. Na pokładzie zostali tylko pani Lisicyna i chłopci pątnicy, których cały bagaż składał się z płóciennej sakwy, miedzianego czajnika i pielgrzymiego kostura.

Zaraz potem drzwi mroku uchyliły się. Najpierw zapaliło się pojedyncze światełko, przypominające odległą gwiazdę. Po chwili stało się wyraźniejsze, obok pojawiło się drugie, trzecie, czwarte i wkrótce na morze wytoczyło się złociste jabłko miasta-skały, całe w cętkach łagodnego światła.

Chłopci padli na kolana i zaczęli się modlić. Ich czoła tak głośno stukały o pokład, że Polina Andriejewna, chcąc zatrzymać podniosłą chwilę, zatkała sobie uszy. Wietrzyk przyniósł z brzegu słaby zapach pomarańczy.

— Joppen — podróżniczka wypowiedziała głośno biblijną nazwę portu.

Trzy tysiące lat temu przybywały tutaj spławiane z Libanu cedry na budowę Świątyni Salomonowej. W tych falach z nakazu Pana wieloryb połknął przekornego Jonasza, a był Jonasz w wielorybim brzuchu trzy dni i trzy noce.

Parowiec zwolnił, zatrzymał się, zazgrzytał łańcuchem, przeciągle zabuczał. Na pokład wylegli pasażerowie, wrzeszcząc z podnieceniem w rozmaitych językach.

Czar prysł.

Rankiem okazało się, że statek rzucił kotwicę w odległości pół wiorsty od lądu — bliżej nie było można z powodu płytczyny. Pół dnia tkwili bezczynnie, bo wiał silny wiatr, po obiedzie zaś, gdy tylko fale na morzu opadły, od brzegu, wściekle pracując wiosłami, oderwała się cała flotylla łodzi. Siedzieli w nich smagli ludzie z głowami omotanymi gałganami, do złudzenia przypominający morskich rozbójników.

Parowiec został błyskawicznie wzięty abordażem. Piraci wdrapali się po spuszczonej trapie i z oszłamiającą szybkością rozbiegli we wszystkie strony. Jedni chwytały pasażerów za ręce i ciągnęli ich do burty, inni przeciwnie, nie zwracali uwagi na ludzi, tylko zręcznie zarzucali sobie na ramiona toboły i walizy.

Szturman Prokofiusz Siergiejewicz, z którym Lisicyna zdążyła się zaprzyjaźnić w czasie podróży, wyjaśnił, że to taki jafski układ: monopol na rozładowywanie statków mają dwa arabskie klany tragarzy, przy czym jedni odpowiadają za ludzi, a drudzy za bagaż, i podział ten ściśle jest przestrzegany.

Baby pątniczki, pochwycone wpół żyłastymi rękami, rozpaczliwie piszczały, a niektóre próbowały nawet się bronić, obdarzając bezwstydników soczystymi kuksańcami, ale nawykli do tego tragarze szczyrzyli tylko zęby.

Nie minęły dwie minuty, a już pierwszy barkas, przepełniony ogłuszonymi pątnikami, odbijał od burty, tuż za nim zaś płynęła jolka, wyładowana sakwami, czajnikami i kosturami.

Następna łódź zapełniła się równie szybko.

Do Poliny Andriejewny też podbiegł spocony tubylec i chwycił ją za nadgarstek.

— Dziękuję, ja sama...

Nie dokończyła — dziarski człowiek bez wysiłku przerzucił ją sobie przez ramię i podreptał po trapie. „Ach!” — zdołała tylko zawołać Lisicyna. W dole kołysała się i skrzyła woda. Ręce tragarza były szorstkie i zarazem zadziwiająco delikatne — trzeba było zdusić w sobie w jakiś sposób przyjemne, ale bez wątpienia grzeszne podniecenie.

Po kwadransie zawołoska pątniczka stanęła na ziemi palestyńskiej i rozłożyła ręce, starając się zachować równowagę — w ciągu dwóch tygodni odwykła od stałego lądu.

Przysłoniła dłonią oczy od oślepiającego słońca. Rozejrzała się.

Paskudna i cuchnąca

Jakże tu było brzydko!

To znaczy w małych rosyjskich miasteczkach także bywa bardzo brzydko — i ubogo, i brudno, i nieznośnie z powodu otaczającej cię nędzy, ale tam w kałużach odbija się niebo, nad zapadłymi dachami zielenią się drzewa, a pod koniec maja pachnie czeremcha. A jaki spokój! Zamkniesz oczy i tylko szelest listowia słyszysz, brzęczenie pszczoł, bijące blisko dzwony.

W Jaffie zaś wszystkie bez wyjątku organy zmysłów dostarczały pątniczce samych nieprzyjemności.

Oczy — dlatego że wszędzie natrafiały na stosy gnijących odpadków, rybich wnętrzności, najrozmaitszych i bynajmniej nie malowniczych łachmanów, a ponadto łzawiły od kurzu i wciąż trzeba było je mrużyć z powodu nieznośnie jaskrawego światła.

Język — dlatego że wszechobecny pył natychmiast zaczął trzeszczeć w zębach, zupełnie jakby usta wypełniał papier ścierny.

Nos — dlatego że zapach pomarańczy, który niedawno oczarował Polinę Andriejewnę, okazał się całkowitą chimerą: albo w ogóle był złudzeniem, albo nie wytrzymał rywalizacji z napływającymi zewsząd miazmatami gnicia i nieczystości.

O uszach nie ma nawet co wspominać. W porcie nikt nie mówił, wszyscy wrzeszczeli, przy tym na całe gardło. W wielogłosowym chórze górę brały osły i wielbłądy, a nad całą tą kakofonią unosił się beznadziejnie głos muezina, który, jak się wydawało, tracił nadzieję, że przypomni o Bogu całej tej wieży Babel.

Spośród wszystkich wrażeń najbardziej dokuczliwy był kontakt fizyczny, wystarczyło bowiem, aby Polina Andriejewna przeszła przez turecką komorę celną, a już w przebraną mniszkę wczepili się ze wszystkich stron żebracy, agenci hotelowi, dożkarze. Rozeznać się, kto jest kim, było niemożliwe.

Zapyziałe rosyjskie miasteczko przypomina marnego pi-jacynę, któremu ma się ochotę dać kopiejkę, z westchnieniem nad jego nędznym losem, Jaffa zaś wydała się Polinie Andriejewnie albo opętanym, albo trędowatym, przed którym nic, tylko uciekać ile sił w nogach.

Dodając sobie ducha, pani Lisicyna powiedziała do siebie surowo: „Mniszka nie powinna uciekać nawet przed trędowatym”. Aby odgrodzić się od obrzydlistwa i fetoru, skierowała wzrok wyżej, na żółte mury miejskich budowli. Ale i one nie były odpoczynkiem dla oka. Anonimowi architekci tych niewyszukanych budynków pozbawieni byli próżności i najwyraźniej nie zależało im na opinii potomnych.

Polina-Pelagia podniosła walizkę, sakwojaż ścisnęła pod pachą i ruszyła poprzez ciżbę w stronę wąziutkiego zaułka ze schodkami — tam przynajmniej będzie można znaleźć cień i postanowić, co robić dalej.

Jednak nic z tego nie wyszło — została na placu.

Nieogolony człowieczek — w kamizelce i spodniach, ale przy tym w tureckim fezie i arabskich sandałach — tryumfalnie szturchnął ją palcem:

— *Ir zend a jidiszke!** Chodźmy szybciej, zaprowadzę panią do pierwszorzędnego koszernego hotelu! Będzie tam pani jak u mamy!

— Jestem Rosjanką.

— Aaa — przeciągnął nieogolony. — To musi pani do tamtego pana.

* Jest pani Żydówką! (jidysz).

Polina Andriejewna spojrzała we wskazanym kierunku i radośnie zakrzyknęła. Pod szerokim płóciennym parasolem siedział tam na składanym krzeselku przyzwoicie wyglądający mężczyzna w ciemnych okularach; w rękę trzymał tabliczkę z miłym sercu napisem po rosyjsku:

Cesarskie Towarzystwo Palestyńskie
Bilety na przejazd i wskazówki dla
wędrujących do Grobu Pańskiego

Pelagia rzuciła się doń jak do kogoś bliskiego.

— Proszę mi powiedzieć, jak mogłabym się dostać do Jerozolimy?

— Można rozmaicie — odpowiedział statecznie przedstawiciel szacownego towarzystwa. — Można koleją za trzy ruble pięćdziesiąt kopiejek: za ledwie cztery godziny i jest pani u bram Starego Miasta. Dzisiejszy pociąg odjechał, jutrzejszy odchodzi o trzeciej po południu. Można ośmiomiejscowym dylizansem za rubel siedemdziesiąt pięć. Wyjazd jutro w południe, do Świętego Miasta przybędzie pani w nocy.

Pątniczka zawahała się. Podróżować po Ziemi Świętej dylizansem? Albo, jeszcze gorzej, koleją? Jakoś to niewłaściwe. Zupełnie jakby jechało się w interesach do Kazania albo Samary.

Jej spojrzenie spoczęło na grupie rosyjskich pielgrzymów, którzy zebrali się na skraju placu. Klęczeli, całując zakurzoną ulicę, a potem ruszyli przed siebie, wymachując kosturami. Dwóch chłopków przywiązało sobie do kolan łapcie z łyka i zręcznie zaszurało w górę ulicy.

— Będą tak pełzli całe siedemdziesiąt wiorst do Jerozolimy — westchnął przedstawiciel. — Jaki dla pani bilet? Czy już pani wie?

— Zapewne na dylizans — powiedziała niepewnie Polina Andriejewna, pomyślawszy, że podróż pociągiem zniszczy ostatecznie nabożny nastrój, który i bez tego został poważnie nadszarpnięty widokiem portu w Jaffie.

W tym momencie ktoś pociągnął ją za spódnicę. Odwróciła się i ujrzała smagłego człowieka o dosyć miłej powierzchowności. Był w długiej arabskiej koszuli, a z szero-

kiego pasa zwiślał mu błyszczący łańcuszek zegarka. Tubylec ukazał w uśmiechu białe zęby i zaszeptał:

— Na co dylizans? Niedobrze dylizans. Mam chantur.

Wiesz, co chantur? Taki kareta, od góry daszek. Jak sułtan Abdulhamid pojedziesz. Konie — ajaj, jakie konie. Arabskie, wiesz? Gdzie zachcesz — staniemy, patrzeć będziesz, modlić się będziesz. Wszystko pokażę, wszystko opowiem. Pięć rubel.

— Skąd pan zna rosyjski? — zapytała Pelagia, nie wiedząc dlaczego także szeptał.

— Żona Rosjanka. Mądra, ładna jak wszystkie Rosjanki. Ja też rosyjskiej wiary. Nazywać się Salach.

— A czy Salach to imię chrześcijańskie?

— Jeszcze jak chrześcijańskie.

Na dowód Arab przeżegnał się trzema palcami i wymamrotał: „Ojczenaszktóryśjestwniebie”.

To był cudowny znak! W pierwszych chwilach po przybyciu do Ziemi Świętej spotkać prawosławnego Palestyńczyka, w dodatku mówiącego po rosyjsku! Ilu pożytecznych rzeczy będzie można się od niego dowiedzieć! A ponadto podróż własnym ekwipażem, w dobre konie, to nie jakimś tam linowym dylizansem.

— Jedziemy! — zawołała Polina Andriejewna, chociaż życzliwy szturman uprzedzał ją z naciskiem: „W Palestynie nie jest przyjęte zgadzać się z wyznaczoną ceną, tutaj należy o wszystko długo się targować”.

Ale kiedy jedziesz do Najświętszego Miasta Jerozolimy, nie będziesz przecież spierać się o marnego rubla.

— Jutro jedziemy. — Salach złapał walizkę przysłej pasa żerki i skinął ręką, żeby szła za nim. — Dzisiaj nie można. Do noc nie zdążyć, a noc źle, rozbójnicy. Idziemy, idziemy, dobre miejsce nocować będziesz, u moja ciocia. Jeden rubel, tylko jeden rubel. A rano jak ptaszek lecimy. Arabskie konie.

Pelagia ledwie nadązała za szybko nogim przewodnikiem, który prowadził ją labiryntem wąskich uliczek, wciąż wznoszących się do góry.

— To pana żona jest Rosjanką?

Salach kiwnął głową:

— Natasza. Imię Marusia. My Jerozolima mieszkamy.

— Co? — zdziwiła się. — To Natasza czy Marusia?

— Moja Natasza nazywać się Marusia — odpowiedział zagadkowo tubylec i na tym rozmowa się urwała, bo podejście stromą uliczką odebrało pątniczce oddech.

„Dobre miejsce”, gdzie przewodnik przyprowadził Polinę Andriejewnę, okazało się glinianym domem, w którym dla gościa przeznaczono pusty pokój bez jakiegokolwiek umeblowania. Salach pożegnał się, wyjaśniając, że w domu nie ma mężczyzn i dlatego nie wolno mu tutaj nocować — przyjedzie nazajutrz rano.

Spać wypadło podróżnicze na cienkim sienniku, myć się w misce, a rolę waterklozetu pełnił miedziany nocnik, bardzo podobny do lampy Aladyna.

Podniosły nastrój duchowy, który jest zjawiskiem kruchym i efemerycznym, nie zniósł tych wszystkich przykrych niewygód — skulił się i zniknął pod popiołem niczym głownia w wygasłym ognisku. Mniszka próbowała czytać Biblię, aby na nowo rozniecić czarodziejską iskierkę, ale bez powodzenia. Zdaje się, że przeszkadzał świecki ubiór. W riasie znacznie łatwiej zachować ów błogosławiony stan.

A kiedy w czasie mycia spojrzała w lusterko, upadła na duchu całkowicie.

Masz ci los! Na nosie i na policzkach pojawiły się piegi — zmartwienie dla każdej kobiety, dla osoby duchownej zaś rzecz w ogóle nie do przyjęcia. A przecież wydawało się, że za pomocą mleczka rumiankowego i wcierania miodu zostały zlikwidowane raz na zawsze!

Pustki i spustoszenie

Przez całą noc nieszczęsna pani Lisicyna przewracała się na twardym legowisku, a wczesnym rankiem, umywszy się pospiesznie, zajęła stanowisko przy bramie w oczekiwaniu rychłego przybycia woźnicy.

Minęła godzina, druga, trzecia. Salacha nie było.

Słońce zaczynało przypiekać, a Polina Andriejewna niemal namacalnie czuła, jak przekłete piegi gęstnieją i nabierają barwy.

Pojawienie się prawosławnego tubylca już nie wydawało się jej „cudownym znakiem” — raczej niegodziwym fortem, który wymyślił Diabeł, by opóźnić przybycie pątniczki do Bożego Grodu.

Kiedy mniszka wahała się — czekać dalej czy wracać do portu — minęło południe, a to oznaczało, że jerozolimski dyliżans już przegapiła.

Obawiając się spóźnienia także na pociąg, Pelagia ruszyła w końcu w stronę morza, ale zatrzymała się zaraz na pierwszym skrzyżowaniu. Gdzie skręcić, w prawo czy w lewo?

Właśnie w tym momencie wytoczył się zza rogu rozchwirutany pojazd na ogromnych kołach, przykryty od góry płachtą wypłowiałego płótna. Z przodu zasiadał podstępny oszust Salach, który leniwie pomachiwał batem nad grzbietami dwóch kościstych koników.

— Mój chantur — wskazał z dumą na mało reprezentacyjny ekwipaż. — Moje konie.

— Arabskie? — Polina Andriejewna nie powstrzymała się od złośliwej uwagi, przypomniawszy sobie z urazą swoje wczorajsze marzenia o smukłonogich rumakach, które przez góry i doliny poniosą ją do najważniejszego na całym Bożym świecie miasta.

— Pewnie, arabskie — przytaknął kanciarz, umieszczając na wozie walizkę. — Tutaj wszystkie konie są arabskie. Oprócz tych, które są żydowskie. Żydowskie trochę lepsze.

Na tym jednak nie skończyły się łotrostwa Salacha.

Wóz zawrócił do centrum Jaffy i zatrzymał się przed hotelem „Europa” (okazuje się, że jest tu i taki — spania na podłodze można było łatwo uniknąć!). Pani Lisicyna musiała zrobić miejsce — na ławeczce zasiadła amerykańska para małżeńska. Okazało się, że nie są pielgrzymami, tylko turystami: podróżowali po *Holy Land*, wyekwipowani wedle wskazówek Agencji Cooka — imponującymi bagażami obywateli Nowego Świata objuczony został brudny, niedożywiony wielbłąd.

— Przecież zapłaciłam pięć rubli! — wyszczała Polina Andriejewna. — To nieuczciwe!

— Jesteś chuda, miejsca dużo, razem wesoło — odpowiedział beztrosko syn Palestyny, przywiązując cugle garbate-

go tragarza z tyłu swojej kolasy. — *Mister, missus, we go Jerusalem!*

— *Gorgeous!* — odrzekła na tę informację „missus” i karawana ruszyła w drogę.

Na znak protestu mniszka udawała, że nie rozumie angielskiego, i przysłoniła twarz chusteczką, Amerykanie jednak wcale nie potrzebowali rozmówców. Przepelniała ich energia, wszystko niezmiernie ich cieszyło i co rusz pstrykali małym aparatem fotograficznym, a słowo *gorgeous* padało z ich ust nie rzadziej niż dwa razy na minutę.

Kiedy wóz wyjechał na otwartą przestrzeń, którą przecinała znikająca za horyzontem szosa, turyści (zapewne zgodnie ze wskazówkami Cooka) nałożyli zielone okulary, co było nawet niegłupie — Polina Andriejewna wkrótce się o tym przekonała. Po pierwsze, okulary chroniły przed oślepiającym słońcem, a po drugie, kolor szkieł, jak się zdaje, kompensował całkowity brak w pejzażu zielonej gamy.

Wszędzie tylko kamienie i pył. Była to ta sama równina, gdzie Jozue, ścigając wojska pięciu królów kananejskich, zawołał: „Słońce, przeciw Gabaon nie ruszaj się, a księżycu przeciw dolinie Ajalon!” I słońce zatrzymało się pośród nieba, i nie spieszyło ku zachodowi jeszcze przez jeden dzień.

Przy wyschniętym strumieniu, gdzie Dawid poraził Goliata, turyści zażądali przystanku. Mąż wziął do ręki kamień i srogo wytrzeszczył oczy; żona, chichocząc, wycelowała w niego kodaka.

Obok przejeżdżały pojazdy typu europejskiego i azjatyckiego, kłusowali jeźdźcy, ciągnęli piesi, przy czym ci ostatni to prawie wyłącznie rosyjscy pielgrzymi, dziwnie niepasujący do tego pustynnego pejzażu. Polina Andriejewna pomyślała przygnębiona, że „arabskie konie” Salacha nie poruszają się ani trochę szybciej niż ci żwawi chłopci i te baby.

Kilku pielgrzymów zeszło do strumienia w nadziei zdobycia wody. Rozgrzebali suchy żwir, ale nie znaleźli ani kropli.

— Jednemu naszemu, z wiaziemskich, przeszłego roku to dopieroż na dobre poszło — podsłuchiwała Pelagia urywek rozmowy. — Szedł on ci z Jeruzolimy wracający i zbóje go zarzli na śmierć. Trafiło mu się w Świętej Ziemi duszę Bogu oddać.

— To ci szczęście — pozazdrościli słuchacze.

Ruszyli w drogę.

W oddali ukazały się wzniesienia — Góry Judejskie. Dojrzawszy na jednej z gór ruiny twierdzy (zbudowanej najpewniej przez krzyżowców), mniszka pokręciła głowę. Dlaczego ludzie przez tyle wieków walczą o tę ubogą, bezpłodną ziemię? Czy warta jest tego, aby z jej powodu przelewać tyle krwi?

Widocznie w biblijnych czasach owa równina była zupełnie inna: rzeki płynęły mlekiem i miodem, wszędzie zieleniły się pola i drzewa. A teraz zostało tutaj przeklęte, opuszczone miejsce. Powiedziane jest u proroka Ezechiela: „I dam ziemię na pustki i spustoszenie, i ustanie pyszna moc jej; i spustoszą góry Izraelskie, dlatego nie masz żadnego, kto by po nich przechodził. A poznają, że ja Pan, gdy uczynię ziemię ich spustoszoną i pustą dla wszech obrzydłości ich, które czynili”.

Tu w głowie Pelagii pojawiły się zupełnie nie pielgrzymie, ale wyraźnie heretyckie myśli.

Dlaczego starotestamentowy Bóg był tak okrutny? Dlaczego troszczył się tylko o jedno — czy Żydzi oddają mu cześć z wystarczającym zapalem? Czy to jest takie ważne? I dlaczego tak cudownie zmienia się On w Nowym Testamencie? A może to już inny Bóg, a nie Tamten, który pouczał Jakuba i Mojżesza?

Przeżegnała się, odpędzając bluźniercze domysły. Aby się czymś zająć, zaczęła przysłuchiwać się paplaninie Salacha.

Ten trajkotał niemal bez ustanku. Ponieważ rosyjska pasażerka na wszystkie próby nawiązania dialogu odpowiadała surowym milczeniem, woźnica na rozmówców wybrał sobie amerykańską parę. Po angielsku mówił nie gorzej niż po rosyjsku — to znaczy z błędami, ale śmiało i składnie.

Uwierzywszy najwyraźniej, że Pelagia nie zna tego języka, spryciarz oznajmił, że jego żona jest Amerykanką, „ładną i mądrą jak wszystkie Amerykanki”. Polina Andriejewna chrząknęła, ale dała spokój.

Kiedy przecinali dolinę Ajalon, Salach wciąż wymyślał na Żydów, którzy nie dawali spokoju miejscowym mieszkańcom ani w czasach starożytnych, ani teraz. Twierdził przy tym, że Palestyńczycy mieszkali tutaj zawsze i że oni

właśnie są w prostej linii potomkami biblijnych Kananejczyków. Żyli sobie i zmartwień nie mieli, dopóki z pustyni nie pojawiło się okrutne, podłe plemię, które obcych nie uważa za ludzi. Nawet ich księga nakazuje: dla Kananejczyków nie mieć litości, wytrzebić ich do ostatka. No to trzebią — i w dawnych czasach, i teraz.

Pelagia słuchała nie bez zainteresowania. W gazetach pisano, że ludność miejscowa Palestyny zaniepokojona jest napływem Żydów, którzy w coraz większej liczbie zasiedlają Ziemię Obiecaną, i że dzicy Arabowie dopuszczają się wobec spokojnych przesiedleńców grabieży i prześladowań. Ciekawie było poznać także inny punkt widzenia.

Niemal dwa tysiące lat żyliśmy bez nich, i dobrze żyliśmy, skarżył się Salach. I oto pojawili się znowu. Cisi tacy, godni politowania. Przyjęliśmy ich pokojowo. Nauczyliśmy uprawiać ziemię, chronić się przed upałem i chłodem. A co teraz? Rozmnożyli się niczym myszy, przekupują Turków swoimi europejskimi pieniędzmi. Teraz całą najlepszą ziemię mają Żydzi, a nasi fellachowie są u nich parobkami za kawałek chleba. Żydzi nie uspokoją się, dopóki nie przepędzą nas z naszej ojcowizny całkowicie, bo my nie jesteśmy dla nich ludźmi. Tak mówią ich księgi. Mają okrutne księgi, to nie to, co nasz Koran, który wzywa do miłosierdzia wobec innowierców.

Amerykane słuchali tych lamentów niezbyt uważnie, bo co rusz zajmowały ich jakieś osobliwości (*Look, honey, isn't it gorgeous?!*), Pelagia zaś w końcu nie wytrzymała:

— *Our Quaran?* — powtórzyła z jadem w głosie. — A kto kłamał, że jest prawosławny?

— A kto kłamał, że nie rozumieć angielski? — odciął się Salach.

Polina Andriejewna zamilkła i aż do samego wieczora ust więcej nie otworzyła.

Przez góry poruszali się jeszcze wolniej — głównie z powodu wielbłąda, który na długo zatrzymywał się na poboczu przy każdej ciernistej krzewince, której udało się przebić przez martwą glebę. Jazda uległa przyspieszeniu, dopiero kiedy paskudne zwierzę zainteresowało się kwiatami na kapelusiku Poliny Andriejewny. Czuć na sobie gorący, wilgot-

ny oddech parzystokopytnego nie było zbyt przyjemnie — raz za kołnierz podróżniczki wpadła grudka lepkiej śliny — ale mniszka z samozaparciem zносиła owe zaczepki i tylko od czasu do czasu odpychała łokciem kosmaty łeb.

Przenocowali w arabskiej osadzie Bab al-Wad u wuja Salacha. Ta noc była jeszcze bardziej uciążliwa niż poprzednia. W pomieszczeniu, przeznaczonym dla pani Lisicynej, nie było podłogi, długo więc nie kładła się w obawie przed pchłami. Nie udało się także skorzystać z „lampy Aladyna”, ponieważ przy drzwiach ulokowały się dwie kobiety z niebieskim tatuażem na policzkach i dziewczynka, która w brudne włosy wplecione miała mnóstwo srebrnych pieniążków. Siedziały w kukki, przyglądając się gościowi, i wymieniały jakieś komentarze. Dziewczynka wkrótce zasnęła, zwinąwszy się w kłębek, jednak arabskie matrony przypatrywały się czerwonołosej cudzoziemce niemal do samego świtu.

Nazajutrz okazało się, że Amerykanie spędzili noc doskonale — za radą wszędobylskiego Cooka rozwiesili w ogrodzie hamaki i wyspali się po prostu *gorgeous*.

Wyczerpana Pelagia trzęsa się w chanturze, co chwila zapadając w sen. Raz za razem podrywała się na gwałtowne szarpnięcia, nieprzytomnie spoglądała na tyse szczyty wzgórz i ponownie zasypiała. Kapelusik oddała wielbładowi, żeby zostawił ją w spokoju. Głowę nakryła gazowym szalem.

Nagle, gdzieś na granicy jawy i snu, zabrzmiał głos, który wyraźnie i ze smutkiem powiedział: „Nie zdążysz”.

Duszę Poliny Andriejewny przeszył ostry niepokój. Podróżniczka otrząsnęła się. Senne otumanienie zniknęło bez śladu, umysł oprzytomniał.

„Chyba całkiem wyzbyłam się rozumu — powiedziała do siebie Pelagia. — Turystka się znalazła: kolej jej nie odpowiada! A dzień stracony na próżno. Jakaż niewybaczalna, wręcz karygodna głupota!”

Trzeba się spieszyć. Ach, żeby już szybciej była Jerozolima!

Podniosła głowę, strząsnęła z rzęs resztki snu i w oddali, na wzgórzu, zobaczyła zawieszony w lekkiej mgiele miasto.

Niebiański Gród

Oto ona, Jerozolima, zrozumiała Pelagia i uniosła się na siedzeniu. Ręka podskoczyła jej do gardła, zupełnie jakby podróżniczka bała się, że straci oddech.

Natychmiast poszły w zapomnienie i kurz, i upał, i tajemniczy, nie wiadomo skąd płynący głos, który wyrwał pątniczkę z sennego odrętwienia.

Salach wyjaśniał w dwóch językach, że celowo zjechał z szosy, żeby pokazać Jerozolimę w całej krasie; Amerykanie coś wrzeszczeli, konie strzygły uszami, wielbłąd kończył przeżuwać kapelusik, a Pelagia jak zaczarowana patrzyła na drgające niczym miraż miasto. Z pamięci same wypłynęły wersety z Objawienia świętego Jana Apostoła:

„A ja, Jan, widziałem święte miasto Jeruzalem nowe, zstępujące z nieba od Boga, zgotowane, jako oblubienicę ubraną mężowi swemu (...) A miało mur wielki i wysoki; mający bram dwanaście, a na bramach dwanaście Aniołów (...) A fundamenty muru miasta, ozdobione wszelakim kamieniem drogim. Pierwszy fundament Jaspis, wtóry Szafir, trzeci Chalcedon, czwarty Szmaragd. Piąty Sardonyx, szósty Saryusz, siódmy Chrysolit, ósmy Beryllus, dziewiąty Topazyusz, dziesiąty Chrysopras, jedenasty Hiacynt, dwunasty Amethyst. A dwanaście bram są dwanaście pereł, każda z osobna, a każda brama była z jednej perły: a ulica miasta złoto czyste, jako szkło przezroczyste". W staro-cerkiewno-słowiańskim ostatnie zdanie brzmiało jeszcze piękniej: *I stogny grada złato czisto, jako stiektło prieswietło*.

Oto ono, najważniejsze miejsce na Ziemi. I dobrze, że droga do niego jest tak trudna i uciążliwa. Do tego widoku trzeba dotrzeć przez cierpienie, wszak światło jaśnieje mocno tylko dla oczu udreńczonych ciemnością.

Mniszka zesła na ziemię, ukłękła i wyrecytowała radosny psalm: „Błogosław, duszo moja! Panu: i wszystko, co we mnie jest, imieniowi świętemu jego”, ale zakończyła modlitwę dziwnie, nie wedle kanonu: „I poucz mnie, Panie, jak zrobić to, co należy”.

Chantur ruszył na spotkanie Jerozolimy. Miasto początkowo zniknęło, zasłonięte przez najbliższe wzgórza, a potem

pojawiło się ponownie, ale już bez śladu mgiełki i bez podobieństwa do grodu niebiańskiego.

Ciągnęły się ponure ulice, zabudowane parterowymi i piętrowymi domami. To nie był nawet Wschód, tylko jakaś zapadła Europa, i gdyby nie arabskie napisy na szyldach i fezy na głowach przechodniów, z łatwością można byłoby sobie wyobrazić, że jest się gdzieś w Galicji albo w Rumunii.

Przed Bramą Jafską Starego Miasta Polina Andriejewna całkowicie zwątpiła. Cóż to w istocie jest! Fiakry, bank Credit Lyonnaise, francuska restauracja, a nawet — o zgrozo! — kiosk z gazetami!

Amerykańska para wysiadła przed hotelem „Lloyd”, przekazawszy wielbłąda szwajcarowi w czerwonej liberii. Pani Lisicyna została jedyną pasażerką chantura.

— Czy świątynia Grobu Pańskiego jest tam? — zapytała z drżeniem, wskazując na zębate mury.

— Tam, ale my tam nie jedziemy. Jak jesteś Rosjanka, to trzeba ci do *Migrasz a-rusim*, do rosyjskiej misji. — Salach machnął ręką gdzieś w lewo.

Wóz pojechał wzdłuż warownych murów i po kilku minutach podróżniczka znalazła się na niedużym placu, który jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przeniósł się tutaj prosto z Moskwy. Wzrok mniszki, znękany górami i pustynią, objął z miłością kopuły prawosławnej świątyni, nieomylnie rosyjskie budynki urzędowe, tabliczki z napisami: „Piekarnia”, „Grzanie wody”, „Jadalnia ludowa”, „Pielgrzymi dom gościnny dla kobiet”, „Siedziba Sergiusza”.

— Do widzenia pani — pokłonił się Salach, który przy pożegnaniu stał się bardzo uprzejmy; zapewne liczył na bakszysz. — Tutaj sami nasi, Rosjanie. Zechcesz na powrót Jaffo jechać albo gdzie indziej, idź Brama Damasceńska, pytaj Salach. Tam wszyscy wiedzą.

Bakszyszu Polina Andriejewna mu nie dała — nie zasłużył, ale pożegnała się z nim przyjaźnie. Kanciarz, to pewne, mimo wszystko jednak przywiózł.

Tutaj, podobnie jak w jafskim porcie, dla wygody pątników siedział pod parasolem w najbardziej widocznym miejscu pracownik komitetu pielgrzymkowego. Informował o tutejszych

porządkach, odpowiadał na pytania, rozmieszczał w kwadrach w zależności od stanu i środków: dla ludzi biednych dach i stół kosztowały wszystkiego trzynaście kopiejek, ale można też było zatrzymać się komfortowo za cztery ruble.

— Jak mogłabym spotkać się z ojcem archimandryta? — zapytała Polina Andriejewna. — Mam dla niego list od ekscelencji Mitrofanusza, archijereja z Zawołńska.

— Jego przewiełbność jest nieobecny — odpowiedział informator, życzliwy staruszek w drucianych okularach. — Pojechał do Hebronu, żeby obejrzeć plac pod szkołę. A pani niechaj odpocznie, łaskawa pani. Mamy własną łaźnię, nawet z oddzielną częścią dla szlachetnie urodzonych. I dobre praczki — bieliznę można wyprać. Albo może wypowiada się pani z drogi. Wielu tak robi. W świątyni brakuje miejsca, więc ojciec archimandryta pozwolił postawić namioty-konfesjonały w ogrodzie, jak za czasów wczesnochrześcijańskich.

I rzeczywiście, na skraju placu stały pod drzewami cztery namioty, zwieńczone połączanymi krzyżami. Do każdego ustawiła się kolejka: jedna bardzo długa, dwie krótsze, obok czwartego zaś czekali zaledwie dwaj ludzie.

— Skąd takie różnice? — zaciekawiała się Pelagia.

— A to, jeśli pani pozwoli, zgodnie z życzeniem. Najbardziej pragną dostać się do ojca Januarego, najświętszego starca w całej naszej misji. Ojciec Martyriusz i ojciec Korneliusz też są miłowani przez pielgrzymów, chociaż, rzecz jasna, mniej niż ojciec January. A tam, do ojca Agapiusza, mało kto ma odwagę. Surowiutki i gwałtownego charakteru. Proszę wybaczyć, miła pani. — Staruszek rozłożył ręce. — Konfesjonał to nie hotel, kategorii nie posiada. Wobec Boga wszyscy są równi. Jeśli zatem życzy sobie pani do ojca Januarego, to trzeba będzie poczekać razem z prostaczkami — to jakieś cztery godziny w skwarze, nie mniej. Niektórzy państwo, co prawda, najmują kogoś, żeby postął zamiast nich, ale to grzech, nie ma co mówić.

— To nic, wypowiadam się później — lekko powiedziała Polina Andriejewna. — Kiedy upał zelżeje. A na razie proszę mnie gdzieś umieścić.

W tym momencie z konfesjonału cieszącego się u pielgrzymów najmniejszym powodzeniem (stał najbliżej placu)

dobiegł krzyk. Płócienne ścianki namiotu zafalowały, a na zewnątrz wypadł czarniawy pan w okularach i omal nie rozciągnął się na trawie. Zdaje się, że okularnik został wyrzucony z przybytku tajemnicy, jak to się mówi, na zbity pysk.

Ledwie utrzymawszy się na nogach, wpatrywał się oszłomiony w wejście, stamtąd zaś wyjrzał kosmaty pop z wykrzywioną wściekłością purpurową twarzą i zagrzmiał:

— Idź do swoich mojszów! Do Row Ha-Judi! Niech wyświadcą cię tamci judasze!

— No, widzi pani! — powiedział z bólem przyjmujący pielgrzymów starszek. — Znowu to samo!

— A co to jest „Row Ha-Judi”? — szybko zapytała Polina Andriejewna, patrząc na groźnego ojca Agapiusza z niezwykłą uwagą.

— Żydowski kwartał na Starym Mieście. Tam, za murami, są cztery kwartały...

Ale Pelagia już nie słuchała — postąpiła kilka kroków w stronę ogrodu, zupełnie jakby bała się, że uroni choć słowo z rozpoczynającej się połajanki.

Czarniawy pan, który doszedł do siebie po pierwszym wstrząsie, także zaczął krzyczeć:

— Jak pan śmie! Jestem ochrzczony! Poskarżę się na pana ojcu archimandrycie!

— „Ochrzczony!” — przedrzeźnił go spowiednik i splunął. — Lud powiada: „Żyd jak bies: nigdy się nie pokaja”. I jeszcze: „Żyda przeżegnaj i pod lód wegnaj!” Pluję na ciebie! Tfu! Precz!

I tak gwałtownie przeżegnał okularnika, jakby zamierzał uderzyć go złożonymi palcami najpierw w czoło, potem w brzuch, a na koniec jeszcze pod obydwie obojczyki. Na tak groźne ruchy przepędzony wycofał się rakiem i uciekł z pola walki, mamrocząc coś i pociągając nosem.

Na dwóch pielgrzymach, którzy czekali na swoją kolej przed namiotem ojca Agapiusza, scena ta wywarła mocne wrażenie. Szybciotko zrejterowali — jeden stanął w kolejce do ojca Martyriusza, drugi do ojca Korneliusza.

— Proszę zaczekać! — zawołał do Poliny Andriejewny starszek. — Pokażę pani, gdzie jest hotel dla dobrze urodzonych pątniczek.

— Dziękuję. Wie pan co, mimo wszystko najpierw się wy
spowiadam — odrzekła Pelagia. — Akurat nie ma kolejki.

Rzekomy brachicefalik

Kiedy pątniczka wypowiedziała przewidzianą formułę:
„Spowiadam się Panu Bogu Wszechmogącemu...”, kapłan
nagle zapytał:

— A co to, ma pani rude włosy?

Polina Andriejwna mało uprzejmie otworzyła usta — tak
była zaskoczona tym pytaniem. Ojciec Agapiusz zmarszczył
brwi.

— Czy nie jest pani aby z przechrztów?

— Nie — zapewniła go penitentka. — Słowo honoru!

Kapłanowi jednak „słowo honoru” nie wystarczyło.

— A może pani rodzic pochodził z kantonistów? Czy ma
pani w sobie krew żydowską — ze strony ojca albo matki?
Nie ma rudości bez żydości.

— Co też wy, ojcze, jestem najczystsza Rosjanka. No,
może pradziadek...

— Co, z Żydków? — Spowiednik zmrużył oczy. — Aha!
Oko mam niezawodne!

— Nie, przyjechał z Anglii sto lat temu. Ale ożenił się z Ro-
sjanką i przyjął prawosławie. Ale dlaczego tak się dopytujecie?

— A, to inna sprawa — uspokoił się ojciec Agapiusz. —
Jak z Anglii, to nie szkodzi. Pewnie z irlandzkimi korzeniami.
Wtenczas zrozumiałe. Rudość bywa przecie z dwóch źródeł:
celtyckiego i żydowskiego. A próbowałem panią po to, żeby
nie skalać tajemnicy pokuty. Teraz wielu jest Żydów i pół-
Żydków, co próbują wkręcić się do prawosławia. Żyd jest do
niemożliwości paskudny, a ochrzczony Żyd w trój-nasób.

— I dlatego przepędziliście tamtego pana?

— Miał to wypisane na gębie. Mówię przecie, że oko mam
pewne. Nie dopuszczę do świętokradztwa, niechby mnie na-
wet spalili na stosie!

Wyraz twarzy Pelagii świadczył o całkowitym poparciu dla
tak daleko posuniętej ofiarności, głośno jednak powiedziała:

— Ale nasza Cerkiew cieszy się z nawróconych, zwłaszcza z wiary żydowskiej...

— Nie Cerkiew, nie Cerkiew, tylko cerkiewni głupcy! Jeszcze zapłaczą, ale będzie za późno. Co to jest: durnota czy diabelskie poduszczenie — żeby do stada białych owiec wpuszczać czarną!

Pop natychmiast wyjaśnił swoją mętłą alegorię:

— Są owce białe, które pasą się na zboczach gór pod okiem Pańskim. Ale są i owce czarne, a ich pastwiska to ni ziny ziemskie, gdzie porasta kąkol i tarnina. Białe owce to chrześcijanie, czarne zaś — Żydzi. Niechaj żrą swoje ciernie, byle tylko nie przyłączali się do naszego stada, nie kękały białego runa. Powiedziano w czasie szóstego Soboru Powszechnego: nie lecz się u Żyda, nie chodź z nim do łaźni, nie zaprzyjaźniaj się z nim. A tego, żeby Boże stado nie mieszało się z parszywymi owcami, pilnujemy my, Boże psy pasterskie. Jeśli obca owca podkrada się do naszego stada, chwyć ją zębami za nogi i dajemy jej nauczkę, żeby innym się odechciało.

— A jeśli w drugą stronę? — zapytała z niewinną miną Pelagia. — Jeśli ktoś z białego stada zechce do czarnego? Są przecież tacy, którzy wyrzekają się chrześcijaństwa i przyjmują judaizm. Opowiadano mi właśnie o sekcje „znajd”...

— Zaprzańcy! — zagrział ojciec Agapiusz. — A ich przywódca Manujła to bies przysłany z piekieł, żeby powtórnie zgubić Syna Człowieczego! Tego Manujłę trzeba wdeptać w ziemię i przebić osinowym kołkiem!

Głos Poliny Andriejewny stał się jeszcze cichszy, jeszcze bardziej aksamitny.

— Ojcze, mówiono mi, że ten niedobry człowiek udał się jakoby do Ziemi Świętej...

— Jest tutaj, jest! Widziano go w czasie Wielkanocy, męcił w głowach pielgrzymom swoimi pokusami i niektórych nawet skusił! Już i sami Żydzi chcieli go ukamienować, w nich też wzbudził wstręt! Uciekł, ukrył się gad. Ech, trzeba by tu braci!

— Macie, ojcze, braci? — naiwnie zapytała pątniczka.

Ojciec Agapiusz uśmiechnął się groźnie.

— Znajdą się, i to wielu. To braterstwo ducha, a nie krwi.

Witezie prawosławia, obrońcy Boga. Słyszałaś o „Chrystusowych oprycznikach”?

Polina Andriejewna uśmiechnęła się, zupełnie jakby popoznajmił jej coś bardzo miłego.

— Słyszałam i czytałam w gazetach. Jedni mówią o tych ludziach dobrze, inni źle. Niby że bandyci i pogromowcy.

— To kłamstwa Żydów i ich popleczników! Ach, gdybyś wiedziała, córko moja, jak okrutnie mnie tutaj gnębią! — poskarżył się ojciec Agapiusz. — W Rosji to nasi mają dobrze, tam grzeje ich własna ziemia, a obok mają wiernych towarzyszy. Tam jesteśmy mocni. Na obczyźnie zaś gorzko samemu i ciężko.

Wyznanie to bardzo poruszyło wrażliwą rozmówczynię.

— Jakże to?! — zawołała zaniepokojona. — Czyż nie macie tutaj, w Ziemi Świętej, zwolenników? Kto uchroni białe owieczki przed czarnymi? Gdzie są ci wasi „oprycznicy”?

— Tam, gdzie powinni być — w Rosji mateczce. W Moskwie, Kijowie, Połtawie, Żytomierzu.

— W Żytomierzu? — powtórzyła z najżywszym zainteresowaniem Polina Andriejewna.

— Tak, żytomierzanie to obrońcy pewni, bojowi. Żydom nie folgują, a ponadto przyglądają się też ich poplecznikom. Gdyby ten obrzydliwy Manujła zaczął mącić wodę w Żytomierzu albo gdyby ten nosaty, którego dopiero co wyrzuciłem, śmiałyby mnie, osobie duchownej, grozić, natychmiast zrobiliby z nimi porządek!

Wspomnienie o niedawnej kłótni na nowo rozdrażniło ojca Agapiusza.

— Poskarży się archimandrycie! Ten zaś tylko się ucieszy. Naszego przewielebnego opanował bies wszechprzebaczenia, a ja stoję mu kością w gardle. Przepędzą mnie stąd, siostrze — wyrzekł z goryczą zwolennik czystej wiary. — Nie pasuje im moja niezłomność. Przyjdiesz spowiadać się następnym razem, a mnie już tu nie będzie.

— To jesteście tu całkowicie osamotnieni? — spytała Polina Andriejewna, wyraźnie rozczarowana, i niby do siebie dodała: — Ach, to nie to, zupełnie nie to.

— Co „nie to”? — zdziwił się pop.

Tu z oblicza pątniczki zniknęła uprzednia przymilność:

spojrzała twardo ojcu Agapiuszowi w oczy, odczuwając zgoła niechrześcijańskie pragnienie, by temu niemiłemu człowiekowi powiedzieć coś nieprzyjemnego — coś, co by nim wstrząsnęło. To nic takiego, można, poddała się pokusie. Gdybym była w riasie, to nie, ale w świeckiej sukni można.

— A wy to przypadkiem nie macie w sobie krwi żydowskiej? — zapytała Polina Andriejewna.

— Co?!

— Wiecie, ojczy, na uniwersytecie słuchałam wykładów z antropologii. I mówię wam: wasza mama albo może babka zgrzeszyła z Żydem. Proszę spojrzeć w lustro: odległość między oczami niewielka, wyraźnie semickiego typu, nos haczykowany, włosy też się trochę kędzierzawią, ponadto charakterystyczne uszy, ale najważniejsze to absolutnie brachicefalny kształt czaszki...

— Jaki?! — zakrzyknął przerażony ojciec Agapiusz, chwytając się za głowę (która, by zachować ścisłość, należała raczej do typu dolichocefalnego).

— No nie. — Pelagia pokręciła głową. — Nie będę ryzykowała spowiedzi u Żyda. Lepiej zaczekam w kolejce do ojca Januarego.

Po tych słowach wyszła z namiotu, nad wyraz z siebie zadowolona.

Okazało się, że przy namiocie stoi jakiś pielgrzym: chłop w wysokiej filcowej czapie, zarośnięty gęsto niemal po same oczy.

— Lepiej niech pan idzie do innych kapłanów — poradziła mu pani Lisicyna. — Ojciec Agapiusz źle się czuje.

Chłop nie odpowiedział, a nawet się odwrócił — wyraźnie nie chciał pokalać się przed spowiedzią widokiem kobiety. Kiedy jednak pątniczka odeszła, obrócił się i odprowadził ją wzrokiem.

Cichutko zamruczał:

— No, no...

Berdyczowskiego ugryzła mucha

Matwieja Bencjonowicza nie można było poznać, zupełnie jakby ktoś człowieka odmienił — mówili o tym i podwładni, i znajomi, i domowi.

Gdzie zniknęła dawna miękkość i skłonność do peszenia się przy byle okazji? Zwyczaj uciekania wzrokiem podczas rozmowy? Bąkania i przetykania wypowiedzi rozmaitymi zbędnymi „czy zdajecie sobie sprawę”, „jeśli państwo pozwolą” i „prawdę mówiąc”? Wreszcie śmieszny zwyczaj — w razie jakichkolwiek kłopotów — chwywania się palcami za długi nos i pokręcania nim niczym śrubą albo wkrętem?

Wydatne i nieco bezwolne usta Berdyczowskiego stały się teraz twarde i pewne siebie, brązowe oczy zyskały barwę roztopionej stali z pomarańczowym pobłyskiem, mowa zaś nabrała rzeczowości. Słowem, miły, inteligentny człowiek stał się prawdziwym, surowym prokuratorem.

Pierwsi tę metamorfozę radcy stanu odczuli na sobie jego podwładni.

Rankiem, po „ewakuacji” siostry Pelagii, zwierzchnik przyszedł do pracy skoro świt, stanął w drzwiach z zegarkiem w ręku i karciał surowo każdego, kto zjawił się w urzędzie później niż o ustalonej godzinie, która do tej pory uważana była przez wszystkich, w tej liczbie i przez prokuratora okręgowego, za pewną abstrakcyjną umowność. Następnie Matwiej Bencjonowicz wezwał do siebie jednego po drugim pracowników wydziału śledczego i każdemu przydzielił odrębne zadanie, niby całkowicie jasne co do swej istoty, ale nieco mgliste, jeśli chodzi o cel nadrzędny. Dawniej bywało, że prokurator

zbierze wszystkich i zacznie rozwlekle rozprawiać o strategii i ogólnym obrazie dochodzenia, teraz jednak żadne wyjaśnienia nie nastąpiły: zechciej robić, co polecono, i nie dyskutuj. Urzędnicy wychodzili z gabinetu zwierzchnika skoncentrowani i chmurni, a na pytania kolegów machali jedynie ręką — nie ma czasu — i pędzili do pracy. Z racji niewielkiej przestępczości na Zawołżu prokuratura była dotąd najbardziej flegmatycznym urzędem w guberni, aż tu nagle zaczęła przypominać sztab dywizji w czasie manewrów: urzędnicy już nie pełzali jak muszki, ale rozbiegli się niczym karaluchy; drzwi zamykały się nie z grzecznym „klik-klik”, ale z ogłuszającym trzaskiem, a do aparatu telegraficznego niemal bez przerwy ustawiała się niecierpliwa kolejka.

Następną ofiarą bezwzględności Berdyczowskiego stał się sam gubernator, dobroduszny Antoni Antonowicz von Hagenau. Po swym nagłym przeobrażeniu prokurator przestał zupełnie pokazywać się w Klubie Szlacheckim, gdzie dawniej lubił posiedzieć godzinę, dwie, analizując partie szachowe, jednak tradycyjnego wtorkowego preferansa u pana barona nie ośmielił się zlekceważyć. Siedział w niezwykłym dla niego milczeniu i popatrywał na zegarek. Kiedy zaś wistował w parze z jego ekscelencją przeciwko naczelnikowi urzędu skarbowego, gubernator pozwolił sobie na przeoczenie — pobił królem damę prokuratora. Dawny Matwiej Bencjonowicz uśmiechnąłby się tylko i powiedział: „Nic takiego, to ja pana zmyliłem”, ale nowy rzucił karty na stół i nazwał Antoniego Antonowicza ofermą. Gubernator zamrugał swymi białymi bałtyckimi rzęsami i żałośliwie obejrzał się na małżonkę, Ludmiłę Płatonownę.

Do niej zaś zdążyły dotrzeć już niepokojące słyuchy z prokuratury, postanowiła więc nie odkładać sprawy i zaraz nazajutrz złożyć wizytę prokuratorowej Marii Gawriłownie.

Tak też zrobiła. Ostrożnie, przy kawie, zainteresowała się zdrowiem Matwieja Bencjonowicza: a może na jego zachowanie wpływ ma czterdziestka — granica, która dla wielu mężczyzn nie jest łatwa do przekroczenia.

Zmienił się — poskarżyła się prokuratorowa. Zupełnie jakby Motię ugryzła jakaś mucha — stał się drażliwy, prawie nic nie je, a w nocy zgrzyta zębami. Maria Gawriłowna za-

raz jednak przeszła do spraw bardziej istotnych: Kiriusza ma przewleklą biegunkę, a Sonieczkę coś obsypało, nie daj Boże odra.

— Kiedy mój Antosza skończył czterdziestkę, to też się zbiesił. — Ludmiła Płatonowa wróciła do tematu mężów. — Rzucił palenie fajki i zaczął smarować łysinę czosnkową nalewką. A po roku uspokoił się, pogodził z nową sytuacją. U was też, duszko, wszystko się ułoży. Tylko niech pani postępuje z nim łagodnie, ze zrozumieniem.

Po wyjściu gościa Maria Gawriłowna jakiś czas jeszcze rozmyślała o utrapieniu, jakie wiązało się z jej mężem. Koniem końców postanowiła upiec jego ulubiony makowiec, a resztę pozostawić woli Najwyższego.

W całym Zawołżsku jedynie Mitrofaniusz znał właściwą przyczynę zaniepokojenia i nerwowości prokuratora. Umówili się obydwaj, że wszystko będą zachowywali w najściślejszej tajemnicy, pamiętając o śladzie buta, który omal nie zgubił Pelagii, a także o wszechobecności nieznanego przeciwnika.

Zniknięcie kierowniczkii szkoły diecezjalnej wyjaśnione zostało przyczynami zdrowotnymi: siostra zaziębiła sobie nerki, kąpiąc się nierozsądnie w lodowatej Rzece, teraz więc wyprawiona została pilnie na leczenie do kaukaskich wód. W szkole szalała progresistka Swiekołkina, dręcząc biedne dziewczynki ułamkami dziesiętnymi i różnoramiennymi trójkątami.

Późnymi wieczorami zaś pojawiał się u Mitrofaniusza Matwiej Bencjonowicz i zdawał szczegółowe sprawozdania z podjętych działań, po czym otwierali obydwaj atlas i próbowali ustalić, gdzie w danej chwili znajduje się Pelagia — z jakichś powodów przynosiło im to dużą satysfakcję. „Zdaje się, że mijają Kercz — mówił na przykład biskup. — Widać tam obydwie brzegi, i krymski, i kaukaski. A za cieśniną fala jest już zupełnie inna, morska”. Albo: „Płynię po morzu Marmara. Słońce tam przepięka, pewnie obsypała się piegami”. Tu biskup i prokurator uśmiechali się z rozmarzeniem, przy czym jeden rozglądał się po kątach, a drugi patrzył w sufit.

Po czym Berdyczowski zniknął, wezwany jakoby przez ministerstwo. Nie było go przez tydzień.

Wrócił i natychmiast z przystani, nie myśląc w ogóle o domu, pospieszył do władyki.

A to kanciarz!

Ledwie zamknął za sobą drzwi gabinetu, wypalił:

— Miała rację. Zresztą jak zawsze... Nie, nie, nie będę uprzedzał faktów. Jak pamiętacie, postanowiliśmy dotrzeć do bandytów poprzez ich pierwsze przestępstwo, to jest grabież Manujłowej „kasy”. Bo też od tego wydarzenia pociągnęła się złowieszcza nić. Zakładaliśmy, że „warszawscy” upatrzili sobie ofiarę zawczasu i — zgodnie ze swoim zwyczajem — „prowadzili” ją, czekając na dogodny moment. Postanowiłem odtworzyć marszrutę, jaką pokonały „znajdy”, i pójść tym tropem, wyszukując świadków.

— Pamiętam, wszystko pamiętam — popędził swego duchowego syna władyka, który po jego wyrazie twarzy zorientował się, że ów nie wrócił z pustymi rękami. — Miałeś nadzieję ustalić, kto naprowadził tych zbójów... no, jak to się mówi...?

— Na ślad — podpowiedział Berdyczowski. — Kto wskazał im sekciarską „kasę”. A stąd dotrzeć do samych bandytów. Jedna z najważniejszych reguł śledztwa powiada: najkrótsza droga do przestępcy prowadzi od otoczenia ofiary.

— Tak, tak. Mów. Znalazłeś?

— Nikogo takiego nie było! Zresztą wcale nie w tym rzecz! Ach, właduko, proszę mi nie przerywać, muszę to wam wyłożyć po kolei...

Poczuwając się do winy, archijerej uniósł dłonie, po czym jedną przyłożył do ust: będę milczał jak ryba. Opowieść ruszyła wreszcie z miejsca, chociaż całkowitego milczenia biskup zachować nie potrafił — to nie ten temperament.

— Szełuchin i jego świta wsiedli na parowiec w Niżnim — zaczął sprawozdanie prokurator. — Przyjechali tam, jak usta liłem, pociągiem z Moskwy. Konduktor zapamiętał rzekomego Manujłę: pasażer, jak na pierwszą klasę, wyjątkowo barwny. Jechał w przedziale sam, pozostali oberwancy zaś, którzy mieli najtańsze miejsca, kolejno go odwiedzali. Zrozumiałe,

dłaczego pierwsza klasa — dla większego prawdopodobieństwa, że niby istotnie prorok jedzie. Zrozumiałe też, dlaczego zawsze ktoś był przy Szełuchinie — z powodu szkatułki... W Moskwie „znajdy” mają coś w rodzaju miejsca spotkań, suterенę na Chitrowce obok synagogi. Należy sądzić, że celowo trzymają się w pobliżu współwyznawców, prawdziwi Żydzi jednak nie wpuszczają ich do synagogi i w ogóle nie chcą mieć z nimi do czynienia. Manujłowa trzódka modli się na zewnątrz, na ulicy. Widowisko komiczne: nakrywają głowy połamami swoich sukien i mamrocą coś w łamanym hebrajskim. Gapie mają rozrywkę, Żydzi spluwają. Jednym słowem, atrakcja. Trzeba też wziąć pod uwagę, że większość „znajd” to ludzie mało wyglądni. Ułomni, przepici, z wpadniętymi od syfilisu nosami... Ciekawe, że miejscowa hołota tych nawiedzonych nie rusza — litują się nad nimi. Trochę ich obserwowałem, z niektórymi nawet porozmawiałem. I wiecie, co mnie najbardziej zdumiało? Proszą o jałmużnę, ale nie przyjmują pieniędzy — jedynie żywność. Mówią, że kopiejki nie są im potrzebne, bo pieniądż jest carski, a wikt Boski.

— Jakże to, nie biorą pieniędzy? To skąd wzięła się „kasa”?

— W tym cały szkopuł! Skąd? Przecież zakładaliśmy, że zagrabiona szkatułka zawiera datki zebrane przez „znajdy”. Że Manujła wszystkie te niezliczone piątaki i groszaki wymienił na banknoty i umieścił akuratnie w skrzyneczce. Od razu wyjaśniam — nie, nic podobnego! Chwilowo nawet porzuciłem wersję „warszawską” i zainteresowałem się pochodzeniem pieniędzy. Zacząłem ostrożnie rozpytywać fałszywych Żydów, czy nie słyszeli o Manujłowej kasie. Trzeba przyznać, że przeważnie są to ludzie otwarci i ufni — i właśnie tacy stają się zwykle ofiarami przestępców. Mówili, że wiedzą i że słyszeli. „Ogromniaste pieniędzy” na urządzenie się w Ziemi Świętej ofiarował prorokowi Manujle jakiś kupczysko z Borowska. Rzecz jasna, udałem się do Borowska i porozmawiałem z „kupczyskiem”.

— Jakże go jednak odszukałeś?! — zawołał Mitrofaniusz, wciąż zaskoczony zdecydowaniem i energią, jakie ujawniły się niespodziewanie u jego duchowego syna.

— Bez trudu. Borowsk to małe miasto. Zasobne, czyściutkie, trzeźwe — mieszkają tam staroobrzędowcy. Wszys-

cy o wszystkich wszystko wiedzą. Pojawienie się tak ozdobnej figury jak prorok Manujła zapamiętali na długo. A rzecz miała się tak. „Kupczysko” z Borowska (nazywa się Pafnutjew) siedział w swoim kramie spożywczym i handlował, bo dzień był targowy. Podchodzi do niego wychudzony włóczęga w chlamidzie, przepasanej niebieskim sznurem, z kosmatą głową i kosturem w ręku. Prosi o chleb. Pafnutjew żebraków nie lubi, zaczął go pouczać, nazwał darmożjadem i pasożytem. Tamten mu odpowiedział: „Jestem żebrakiem, a ty jesteś biedakiem, a być biedakiem to o wiele gorzej niż być żebrakiem”. „Ja biedakiem?!” — obraził się Pafnutjew, którego uważa się w Borowsku za jednego z największych bogaczy. Manujła na to: „A nie? Przeżyłeś czterdzieści siedem lat — powiada — i nie pojąłeś, że ubogi bardziej jest błogosławiony niż bogaty”. Kupca zamurowało — skąd obcy dowiedział się, ile ma lat? — i tylko wymamrotał: „Czym bardziej błogosławiony?” „Duchem” — odparł włóczęga. Mitrofanusz nie wytrzymał i parsknął:

— Manujła nie uznaje Chrystusa, nie mylę się? A jednak „błogosławionych duchem” zρέcznie zaczerpnął z ewangelii.

— I nie tylko ich. Prorok oznajmił Pafnutjewowi, że drzwiczki do Boga są ciasne i że nie każdy przez nie przejdzie. „Rozważ sam — powiada — komu łatwiej będzie się precisnąć — żebrakowi czy tobie?” Tu poklepał się po chudych bokach. Pafnutjew zaś, jak przystało kupcowi, ważył osiem, jeśli nie dziesięć pudów. Wszyscy wokół pokładali się ze śmiechu — bardzo to wypadło pogładowo. Pafnutjew jednak nie obraził się, ale, wedle jego własnych słów, „popadł w niejaki zadumanie”, zamknął kram i zaprowadził „dziwnego człowieka” do swego domu, by z nim porozmawiać.

— Czegoś tu nie rozumiem. Manujła był rzekomo „niemowny”. W każdym razie miał wydawać nieartykułowane dźwięki. Myślałem o nim, że to nad wyraz oryginalny kaznodzieja, bo obywa się bez słów.

— Jak najbardziej artykułowane. Ma jakąś wadę wymowy, albo grasejuje, albo sepleni, ale w niczym to nie przeszkadza. Pafnutjew powiedział: „Mówi niewyraźnie, ale rozumiałe”. Szczególnie zwracam waszą uwagę na „niejakie

zadumanie", które opanowało Pafnutjewa i zmusiło do całkowicie obcego mu zachowania.

— Zdolności hipnotyczne? — domyślił się przewielebny.

— Można przypuszczać, że nieprzeciętne. Pamiętacie, jak uwolnił dziewczynkę od niemoty? Bardzo zręczny osobnik i bardzo, by tak rzec, dokładny. Czy wiecie, na co złapał Pafnutjewa, kiedy zasiedli do herbaty? Opowiedział kupcowi całe jego życie, a przy tym ze szczegółami, które mało komu były znane.

— A zatem nie przypadkiem podszedł na bazarze właśnie do Pafnutjewa!

Matwiej Bencjonowicz przytaknął.

— Zebrał informacje, przygotował się. I, ośmielam się was zapewnić, nie z powodu kawałka chleba. O czym rozmawiali, Pafnutjew nie był w stanie powtórzyć. Stękał, pstrykał palcami, ale niczego istotnego z Manujłowych wypowiedzi nie potrafił przytoczyć. Z wyjątkiem jednej rzeczy. — Prokurator zamilkł znacząco. — „Boży człowiek” namawiał kupca, by oddał całe swoje bogactwo potrzebującym, albo wiem w ten tylko sposób może osiągnąć prawdziwą wolność i odnaleźć drogę do Boga. Sumienie bogatego jest twarde, bo inaczej nie mógłby żywić się białymi bułkami, kiedy innym nie dostaje nawet sucharów. Będziesz biedakiem, sumienie odzyska wrażliwość i wrota niebios staną dla ciebie otworem. Sam zważysz, czy jest to warte zachodu.

— I cóż, przekonał bogacza? — uśmiechnął się archijerej. Berdyczowski uniósł palec: proszę słuchać dalej, to się do wiecie.

— Nie do końca. „Zgroza, przestraszyłem się — opowiadał mi Pafnutjew. — Ale bies się we mnie wczepił i nie dozwolił oddać całego majątku”. W kącie za świętymi obrazami leżało u niego zawiniątko z „nieczystymi” pieniędzmi. O ile zrozumiałem, kupcy z Borowska mają następujący obyczaj: jeśli trafią im się „bokiem” spore pieniądze (sprzedadzą przeterminowany towar albo kogoś oszukają), nie uczciwy dochód umieszczają na pewien czas za ikoną, żeby się „oczyścił”. No i Pafnutjew oddał walczącemu z bogactwem te właśnie pieniądze — ile ich tam było. Manujła krygował się początkowo, nie chciał ich brać — że niby na nic

mu one. W końcu jednak, rzecz jasna, nie odmówił. Powiedział, że przydadzą się gołym i głodnym w Palestynie. Tam ziemia biedna, nie to co w Rosji.

Matwiej Bencjonowicz nie wytrzymał i roześmiał się. Zdało się, że ów spryciarz wywołał jego podziw.

— I co teraz? — zaciekawiał się Mitrofaniusz. — Czy Pafnutjewowi szkoda pieniędzy? Czy zrozumiał, że go oszukano?

— Proszę sobie wyobrazić, że nie. Pod koniec rozmowy rozkleił się, zwiesił głowę i powiedział: „Och, jaki wstyd! Przecież to nie Manujłę, ale Pana Boga próbowałem przekupić tymi brudnymi pieniędzmi. Trzeba było oddać wszystko, wtenczas duszę bym uratował”. Dajmy sobie jednak spokój z Pafnutjewem i z jego problemami. Ważne jest co innego.

— Co takiego?

— Proszę zgadnąć, jaką sumę kupiec wyłożył.

— Skąd miałbym wiedzieć. Zapewne niemałą.

— Półtora tysiąca rubli. Tyle było pod ikoną.

Mitrofaniusz nieco się rozczarował.

— Tylko tyle...

— W tym cała sprawa! — zawołał Matwiej Bencjonowicz. — Po co „warszawskim” byłaby tak mała suma, powiązana w dodatku z zabójstwem? Ponadto nie wiadomo, czy Manujła całą sumę oddał „mniejszemu bratu”. Zapewne lwią część zostawił sobie. Pelagia miała rację. Tu rzecz nie w szkatułce, ale w samym Manujle. Ci, których szukamy, to wcale nie bandyci.

Kimże oni są?

— To kimże oni są? — Mitrofaniusz zmarszczył brwi. — Komu Pelagia jest do tego stopnia nienawistna, że trzeba ją było albo żywcem zamurowywać, albo truć?

— O trucieliu niczego nie wiemy. Za to o pierwszym złoczyńcy wiadomo nam dosyć dużo. Od niego zaczniemy tańcować — oznajmił prokurator z przekonaniem, świadczącym o tym, że ma już gotowy plan dalszych działań. — Co według was jest w historii Racewicza najbardziej niezwykle?

— To, że był żandarmem. I to, że przepędzono go ze służby.

— A dla mnie coś innego. To, że spłacił długi. Własnych środków Racewicz na to nie miał, bo inaczej nie doszłoby do więzienia i zwolnienia z korpusu. *Ergo* pieniądze na wykupienie dał mu ktoś inny.

— Kto?! — zawołał przewielebny.

— Tu wersje są dwie, w pewnym sensie lustrzanie przeciwstawne. Pierwsza jest dla mnie osobiście nader nieprzyjemna. — Berdyczowski skrzywił się męczeńsko. — Możliwe, że dług nie został spłacony, ale umorzony przez samych wierzycieli. A wierzycielami sztabsrotmistrza byli, jak wiadomo, żydowscy lichwiarze.

— Żeby lichwiarze darowali dług? To coś niesłychanego. Z jakiej racji?

— W tym cała kwestia. Co zrobił albo powinien był zrobić Racewicz w zamian za wolność? Po co Żydom specjalista od śledztwa i przemocy? Odpowiedź wydaje się, niestety, oczywista. Żydzi nienawidzą proroka Manujły, uważają, że znieważa on i hańbi ich wiarę. Gdybyście tylko widzieli, z jaką zawziętością przepędzali te nieszczęsne „znajdy” sprzed synagogi.

Wyczuwało się, że Matwiejowi Bencjonowiczowi trudno jest mówić źle o współplemiencach, jednakże dobro śledztwa zmuszało go do bezstronności.

— Ach, władzyko, nasze żydostwo, do niedawna najbardziej łagodna społeczność, w ostatnim czasie zupełnie oszalała. W jego masach przebudziły się najrozmaitsze siły i tendencje, a wszystkie bez wyjątku zaciekle i fanatyczne. Masy żydowskie zaniepokoiły się, poruszyły i gotowe są pociągnąć albo do Palestyny, albo do Argentyny, albo, wybacz, Boże, do Ugandy (jak wiecie, Anglicy zaproponowali, żeby tam właśnie utworzyć nowy Izrael). Najbardziej jednak burzą się Żydzi w Rosji, dlatego że są uciśnieni i pozbawieni wszelkich praw. Najmłodszy i najbardziej wykształceni, którzy szczerze próbują odnaleźć tutaj swoją ojczyznę, napotykać niechęć i brak zaufania władz. Żydowi trudno i prawie niemożliwie stać się Rosjaninem — zawsze znajdzie się ktoś, kto wypożyczy „łotrą, któremu przebaczone”. Słyszeliście może ostatni żart? Kiedy chrzczysz Żyda, zanurz mu głowę w wodzie i po trzymaj przez pięć minut. Wielu tych, którzy się zasymilo-

wali, Rosja rozczarowała, chcą więc urządzić własne państwo w Ziemi Świętej — raj na ziemi. A urządzanie raju na ziemi to rzecz bezwzględna, bez krwi się nie obywa. Ja sam także, gdybym nie miał szczęścia was spotkać, znalazłbym się najpewniej w obozie tak zwanych syjonistów. Są to przynajmniej ludzie z poczuciem własnej godności i wolą, zupełnie odmienni od chałaciarzy. Jednak nawet chałaciarze nie są już tacy jak dawniej. Pojawiło się u nich przekonanie, że klątwa, jaka od dwóch tysiącleci ciąży na żydostwie, już wygasa i że zbliża się czas odbudowy Świątyni Jerozolimskiej. Tym ostrzejsze są walki między grupami i grupkami — między Żydami litewskimi a małorosyjskimi, między tradycjonalistami a reformatorami. Wszelka antysemita hołota poruszyła się nie bez powodu, rozprzestrzeniając słuchy o rytualnych mordach, o tajnych sanhedrynach i krwi chrześcijańskich niemowląt. Rytualnych mordów, rzecz jasna, nie ma i być nie może, bo po co Żydom goje i ich niekoszerna krew? Inna rzecz — to swoi. Tutaj tylko patrzeć, jak dojdzie do rozlewów krwi. Zwłaszcza za przyczyną spraw palestyńskich. W Ziemi Świętej jest co dzielić. Nigdy dotąd ofiary nie płynęły tam takim strumieniem. Proszę mi wybaczyć, władko, ten wykład, ale posłużyłem się nim dla dopełnienia obrazu. Jeszcze bardziej zaś po to, by uzasadnić swoją decyzję.

— Pojedziesz do Żytomierza? — Archijerej spojrzał na niego uważnie.

— Tak. Chcę się przyjrzeć wierzytelom sztabrotmistrza. Mitrofaniusz zastanawiał się przez chwilę, po czym przytaknął z aprobatą.

— No cóż, praca. Mówiłeś wszakże o dwóch wersjach? Radca stanu ożywił się. Najwyraźniej druga wersja odpowiadała mu znacznie bardziej niż pierwsza.

— Wiadomo, że granica osiedlenia, wewnątrz której znajduje się gubernia wołyńska, to arena działalności różnego typu organizacji antysemitycznych, w tym także najbardziej skrajnej, „Chrystusowych opryczników”. Tym żydówcom nie wystarczają same pogromy, nie cofają się nawet przed mordami politycznymi. Proroka Manuję „oprycznicy” muszą nienawidzić jeszcze bardziej niż prawdziwych Żydów, albowiem według nich, odciągając Rosjan od prawo-

sławią, zdradza on wiarę i naród. Postawiłem sobie pytanie: czy Racewicz nie wykupili „oprycznicy”? Może postanowili wykorzystać człowieka, którego zgubili Żydzi?

— No cóż, to bardzo prawdopodobne — przyznał Mitrofaniusz.

— Znowu wychodzi na to, że muszę się wybrać do Żytomierza. Czy przyjmą pierwszą wersję, czy drugą, początków należy szukać tam.

— Ależ to niebezpieczne — zatrwożył się biskup. — Jeśli masz rację, są to ludzie zdecydowani na wszystko, zarówno pierwsi, jak i drudzy. Dowiedzą się, po co przybyłeś, i zabiją.

— Skąd mieliby wiedzieć? — Matwiej Bencjonowicz uśmiechnął się chytrze. — Nie oczekują mnie tam i zupełnie nie znają. Zresztą nie o mnie należy myśleć, władcyko, tylko o niej.

Przewielebny zawołał z żalem:

— Jakże ja ci zazdroszczę, Matusza! Będziesz pracował, a ja niczym nie mogę pomóc. Chyba że modlitwą.

— „Chyba że”? — Prokurator z żartobliwą wymówką pokręcił głową. — Cóż za pomniejszenie roli modlitwy, i to w ustach księcia Cerkwi!

Matwiej Bencjonowicz przygotował się do przyjęcia błogosławieństwa. Chciał ucałować dłoń archijereja, ale ten objął go za ramiona i przycisnął do szerokiej piersi tak mocno, że duchowemu synowi zabrakło tchu.

W Berdyczowskim zaszła istotnie jakaś zasadnicza przemiana i nie tyle nawet natury zewnętrznej, co wewnętrznej.

Wybierając się do Żytomierza, w ogóle nie myślał o zagrożeniach, a przecież dawny Matwiej Bencjonowicz, z racji nadmiernie rozwiniętej wyobraźni, drżał wobec wydarzeń zupełnie nieważnych, czasami wręcz śmiesznych, jak wygłoszenie mowy w klubie albo głupia wizyta u dentysty.

Nie strach, lecz gorączkowa niecierpliwość, niejasne poczucie, że czas ucieka — oto co zawładnęło zawołżskim prokuratorem, kiedy opuszczał domowników.

Przeżegnał mechanicznie wszystkie trzynastoro dzieci (pięcioro młodszych już spało, bo pora była późna) i pospiesznie ucałował żonę.

Tu surowa Maria Gawriłowna zrobiła coś niesłychanego. Objęła Berdyczowskiego swymi pełnymi rękami za szyję i cichutko powiedziała:

— Matiuszeńka, bądź ostrożny. I wiedz, że bez ciebie nie ma dla mnie życia.

Matwiej Bencjonowicz osłupiał. Po pierwsze, nie sądził, że żona cokolwiek podejrzewa. Po drugie zaś, Maria Gawriłowna nigdy nie była skłonna do osobistych wynurzeń — można rzec, że zupełnie ich nie uznawała.

Prokurator zaczerwienił się, odwrócił niezręcznie i pospiesznie wyszedł na ulicę, gdzie czekała służbowa kolaska.

A jidisze kop, czyli „Jasnowłósy Anioł”

W miarę zbliżania się do Żytomierza wzmocniało się dziwne wrażenie. Zupełnie jakby Matwiej Bencjonowicz znalazł się na jakichś torach, z których nie można zjechać ani zawrócić, dopóki nie osiągnie się punktu końcowego, choć nikt go nie wybierał i nawet nie znał jego nazwy.

A przy tym po drodze, którą Berdyczowski przemierzał pierwszy raz w życiu, tu i tam pojawiały się wskazówki, przeznaczone jakby wyłącznie dla niego. Wydawało się, że Opatrzność niezbyt ufa zdolnościom umysłowym radcy stanu i uważa za konieczne wysyłać mu sygnały: tak ma być, to właśnie twój kierunek, nie wahaj się.

Zaczęło się od tego, że pociąg, którym Berdyczowski jechał z Niżniego Nowogrodu, dowiózł go do Berdyczowa, gdzie trzeba było się przesiąść na żytomierską wąskotorówkę.

Kiedy zaś Matwiej Bencjonowicz przybył do stolicy wołyńskiej guberni, okazało się, że obydwaj interesujące go urzędy — komitet więziennictwa i zarząd policji — mieszczą się nie gdzie indziej, tylko na ulicy Wielkiej Berdyczowskiej.

Już wtedy prokuratora ogarnęło całkowicie mistyczne poczucie, że to nie on gdzieś się kieruje, ale że to jego kierują, i dlatego nadstawiał uszu i szeroko otwierał oczy, żeby, nie daj Boże, nie przeoczyć jakiegoś ważnego znaku.

I co sądzicie?

Na dworcu podsłuchał przypadkowo rozmowę dwóch żydowskich handlarzy. Skarżyli się, jak to trudno jest żyć w mieście i jakie to nieszczęście, kiedy szef policji jest „żydożercą”. Do tej chwili Berdyczowski zamierzał udać się najpierw do komitetu więziennictwa, do którego miał pismo z kancelarii zawołńskiego gubernatora, ale tu postanowił wnieść korektę: zacząć właśnie od policyjnego „żydożercy”.

Zdecydował zatrzymać się w najlepszym hotelu, o nazwie „Bristol”, gdzie w recepcji lśnił lakierem aparat telefoniczny Mixa-Genesta i pysznił się wykaz miejskich abonentów, mieszczący się na jednej stroniczce.

Tragarz z wydatnymi wargami, pociągając nosem, postawił walizkę gościa przy recepcji. Królował tam portier — wyniosły, ze złotym łańcuszkiem na brzuchu.

— Z pociągu, Naumie Sołomonyczu — oznajmił tragarz. — Migiem dopadłem, tak i tak, powiadam, proszę do nas, do „Bristolu”.

— Spisałeś się, Kola — pochwalił portier.

Uważnym spojrzeniem obrzucił eleganckie palto Matwieja Bencjonowicza, przyjrzał mu się przez chwilę i słodko się uśmiechnął.

Berdyczowski patrzył tymczasem na aparat. W tym atrybucie postępu także dostrzegł znak z góry. Oto numer policmajstra: „3-O5, radca dw. Gwozdikow Siem. Lik.”. Co oznacza „Lik.”, nie było wiadomo.

Niemniej jednak wykręcił numer i poprosił panienkę o połączenie. Nie działał logicznie, tylko pod wpływem impulsu.

Wymienił swoje nazwisko, stanowisko i rangę, umówił się na spotkanie. Rozłączył się bardzo z siebie zadowolony — zdaje się, że żytomierskie śledztwo zaczyna się w dobrym tempie.

Tu jednak oczekiwała Berdyczowskiego niespodzianka.

Portier, który otworzył już księgę gości i nawet zamaczał obsadkę w kałamarzu, zwrócił się z uszanowaniem:

— Witamy uniżenie waszą ekscelencją. Jakiż to zaszczyt dla naszego zakładu. Miło, kiedy Żyd jest tak ważnym czło-
wiekiem.

Kręcący się obok szwajcar (absolutnie taki, jaki powinien być szwajcar — w liberii i z bujną brodą, a przy tym z długimi pejsami) dorzucił:

— *Afalejidn gesukt!**

— Skąd u was przekonanie, że jestem Żydem? — zmartwiał Berdyczowski.

Portier uśmiechnął się tylko.

— Chwała Bogu, nie pierwszy raz na ludzi patrzę.

— Oj, panie generał, albo to nie widać po panu, że jesteś pan *ajidisze kop***\ — dodał szwajcar.

Matwiej Bencjonowicz przeklinał w myślach swoją nieostrożność. Za chwilę cały żydowski Żytomierz dowie się o intrygującym przyjeźdźnym, w dodatku z wszelkimi przerysowaniami. Już jest „generałem” i „ekscelencją”, a pod wieczór stanie się zapewne ministrem.

— Tragarz! — zawołał do zaziębionego prokurator. — Bierz walizkę i wołaj dorożkarza!

— Aj-aj, czy coś pan zapomniał? — zaniepokoił się portier.

— Tak. Z powrotem na stację — rzucił ostro Berdyczowski, wychodząc.

Usłyszał, jak portier głośno powiedział w jidysz do pejsatego szwajcara:

— Te przechrztły są gorsze od gojów.

Ten w odpowiedzi zacytował, tyle że już po hebrajsku, groźne słowa proroka Izajasza, które Matwiej Bencjonowicz często słyszał w dzieciństwie od ojca: „A zetrze złoźniki i grzeszniki spolem: a którzy Pana opuścili, będą wyniszczeni”.

Dobry nastrój minął.

Na głównej ulicy Kijowskiej zaniepokojony prokurator wstąpił do *salon de beaute* i kupił patentowaną amerykańską farbę „Jasnowłosa Anioła”.

Znalazł inny hotel — „Wersal”, który jednak Wersalem absolutnie nie był. Wszedł tam z naciągniętym na oczy kapełuszem i podniesionym kołnierzem.

Nad umywalką w pokoju zaczął przefarbowywać się na jasnowłosego anioła, nie zapomniał też o brwiach.

Ach, trzeba było przewidzieć to wcześniej! Tu przecież gra-

* Żeby wszystkim Żydom tak było (jidysz).

** Żydowska głowa (jidysz).

nica osiedlenia, a nie bogobojny Zawoźsk, gdzie nie potrafią tak biegle rozpoznawać człowieka po wyglądzie.

Rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania. Matwiej Bencjonowicz niepokoił się trochę z powodu swego wyraźnie nie-słowiańskiego nosa, ale „blondynowość” poradziła sobie i z nosem: było żydowskie haczyko, a zamieniło się w dumny bukszpryt o orlim, nawet rasowym wyglądzie.

Przyglądając się w lustrze swojej odmienionej fizjonomii, radca stanu dostrzegł w niej wszelkie oznaki arystokratycznej degeneracji, aż po przykre wklęsłości pod kośćmi policzkowymi i cofnięty podbródek. Chociaż czemu się tutaj dziwić? Każdy Żyd, nawet największy mizerota, posiada genealogię, której mogą pozazdrościć Romanowowie i Habsburgowie na dokładkę.

Przed wstąpieniem na ścieżkę wojenną Berdyczowski, aby dopełnić bojowego kamuflażu, przebrał się w mundur frakowy, na którym promieniście błyszczały gwiazdy piątej rangi (żydożerca był „radcą dw”, to jest urzędnikiem zaledwie siódmej rangi).

Przyjrzał się sobie i z prawej, i z lewej strony. Widok go zadowolił.

Jak szlachcic ze szlachcicem

— Czy raczy pan mnie poinformować, panie Berdyczowski, dlaczego pana, prokuratora z odległej guberni, interesują dane na temat żytomierskiej sekcji „Chrystusowych opryczników”? — zapytał cicho Siemion Likurgowicz Gwozdikow, otyły osobnik z nalanyimi policzkami i niezdrową żółcią pod oczyma.

Matwiejowi Bencjonowiczowi nie spodobało się w tym pytaniu absolutnie wszystko: i to, że zostało zadane po długim milczeniu, i to, że miało kontruujący charakter, a już zupełnie nie do przyjęcia była intonacja, z jaką policmajster wymówił podejrzanego nazwisko.

— Jak pan mnie nazwał? — zmarszczył się gość. — Berdy-czowski? To co, przypominam panu żydowskiego handlarza z Berdyczowa? Berg-Dyczowski — wyskandował i uniósł

brew, jakby miał zamiar umieścić w oku monokl. — W czasie ślubu mojego pradziada i prababki, jedynej potomkini Dyczowskich, postanowiono połączyć obydwie herby, żeby nie wygasł starożytny ród.

W oczach radcy dworu pojawiło się przerażenie, a nalana twarzyczka oblała się czerwienią.

Gwozdikow tak przeżył swoją gafę, że aż uniósł się na krześle.

— Mój Boże, ależ to... Stokrotne przeprosiny... Nie do słyszałem przez telefon. Wie pan, ta łączność jest okropna!

Żeby wzmocnić efekt, należało ów gwoździć jeszcze raz stuknąć w główkę. Matwiej Bencjonowicz lekceważącym gestem oddalił to śmieszne nieporozumienie, zniżył konfidenjonalnie głos i pochylił się w stronę rozmówcy.

— Powiedzcie, Gwozdikow — to nazwisko szlacheckie? Policmajster spurpurowiał jeszcze bardziej.

— Nie, w zasadzie jestem ze stanu mieszczańskiego. Na razie dosłużyłem się tylko osobistego szlachectwa...

Prokurator zawahał się — czy warto kontynuować rozmowę z tak podejrzanym partnerem? Westchnął, ale okazał się wielkoduszny.

— To nic, Bóg da, a dosłużycie się i rodowego. Na nas, szlachcie, trzyma się gmach rosyjskiego państwa. Sam monarcha — wskazał na portret, który kiepską jakością nadrabiał rozmiarami — jest przecież w końcu tylko pierwszym ze szlachetnie urodzonych. To nasi przodkowie ustanowili Michała Romanowa carem. Toteż spoczywa na nas odpowiedzialność. Zgadza się?

— Tak — zgodził się Gwozdikow, który słuchał z wielką uwagą. — Ale, ekscelencjo, ja nie całkiem...

— Już wyjaśniam. Widzę uczciwego, porządnego człowieka i patriotę. Nie będę ukrywał: dowiadywałem się o was u kompetentnych ludzi. — Matwiej Bencjonowicz znacząco zniżył głos. — I dlatego przechodzę od razu do celu mojej wizyty. Z racji swoich obowiązków wiecie niewątpliwie wszystko o ruchach społecznych i organizacjach, jakie istnieją w Żytomierzu.

— Jeśli chodzi panu o nihilistów, to raczej Ochra...
— Nie o nihilistów — znowu przerwał policmajstrowi Ber-

dyczowski. — Całkiem przeciwnie. Interesuje mnie organizacja wiernopoddańcza, państwowotwórcza. Ta, którą wspomniałem na początku rozmowy. Rzecz w tym, że u nas, w guberni zawołżskiej, też namnożyło się Żydków. Pozwalają sobie na bardzo dużo. Przejęli bank gubernialny, założyli paszkodną gazetkę, wypierają rodowitych zawołżczan z handlu. Tak więc my, patrioci, postanowiliśmy zapoznać się z waszymi doświadczeniami. Wiele dobrego opowiada się o żytomierskich „oprycznikach”. Jeśli pomożecie mi się z nimi skontaktować, dokonacie naprawdę ważnej rzeczy.

Siemion Likurgowicz czuł się wyraźnie pochlebiony, ale zachowywał ostrożność.

— Ja, panie radco stanu, do „opryczników” nie należę. Nie wolno mi choćby z racji stanowiska. Tym bardziej że sam pan wie — ich metody nie zawsze są zgodne z przepisami prawa...

— Przecież nie przyszedłem do was oficjalnie. Nie jak prokurator do naczelnika policji, ale jak szlachcic do szlachcica — odparł z wyrzutem Matwiej Bencjonowicz.

— Rozumiem — pospieszył uspokoić go policmajster. — I mówię to wyłącznie po to, żeby uniknąć jakiegokolwiek dwuznaczności. Do „opryczników” nie należę i nie wszystkie ich akcje popieram, w szczególności te, które zagrażają mienu albo życiu i zdrowiu. Czasami trzeba skarcić po ojcowsku, bez tego nie sposób. To ludzie gorący, trafiają się też szalone głowy, ale serca mają czyste. Co jakiś czas trzeba tylko ich powstrzymywać, żeby nie nabałaganili.

— Jakże to słuszne, co mówicie! — zawołał gość. — Jestem niezwykle rad, że zwróciłem się właśnie do was. Rozumiecie, dlatego chciałbym sam utworzyć w Zawołżsku drużynę „opryczników”, żeby nie puścić tego na żywioł. Życzyłbym sobie, by tak rzec, być u źródła i dyskretnie nadawać kierunek.

— No tak. Ja także dyskretnie kieruję. A nauczyć się u naszych zuchów jest czego. — Gwozdikow zamilkł z powagą, jak przystoi solidnemu człowiekowi, który rozważa wszystkie „za” i „przeciw” przed podjęciem odpowiedzialnej decyzji. — Dobrze, panie Berg-Dyczowski. Jak szlachcic szlachcicowi. I skontaktuję, z kim trzeba, i wyjaśnię, w jakim celu

pan przyjechał. Sam przy spotkaniu nie będę mógł być obecny — łaskawie proszę o wybaczenie...

Matwiej Bencjonowicz uniósł dłonie: rozumiem, rozumiem.

— ...A z pańskim tytułem też radzę się nie ujawniać. I jeszcze jedno... — Gwozdikow delikatnie spuścił wzrok. — Polecę pana esaułowi jako Dyczowskiego, bez „Berga”. Bo nasi Rosjanie, proszę wybaczyć, Niemców też nie za bardzo poważają.

— Ach, proszę dać spokój, jaki ze mnie Niemiec! — zawołał szczerze Berdyczowski.

Ojczyzna w niebezpieczeństwie

Do niebezpiecznego przedsięwzięcia Matwiej Bencjonowicz przygotował się rzetelnie, choć był zażenowany, a nawet ironizował na swój temat, mamrocząc: „To ci dopiero wojownik. Dziecinada, doprawdy dziecinada...”

Przede wszystkim w sklepie z bronią kupił rewolwer lefocher. Sześciostrzałowy, ze składanym spustem, za trzydzieści dziewięć rubli. O składanym spuście subiekt powiedział:

„Rozumne urządzenie, zwłaszcza jeśli nosi się broń w kieszeni. Nie zahaczy się i niepotrzebnie nie wypali”. Za tę samą cenę, jako podarek od firmy, Berdyczowski otrzymał jeszcze jednostrzałowy pistolecik kamizelkowy, który w całości mieścił się w dłoni. „Niezastąpiona rzecz przy nocnej napaści — wyjaśnił subiekt. — Ten drobiazg posiada wyjątkową jak na swój kaliber siłę rażenia”.

„Drobiazg” miał język spustowy zwyczajny, nieskładany, więc prokurator zaniepokoił się. Wyobraził sobie, że pistolecik, obrócony lufą w dół, nagle wystrzeli. Pocisk o wyjątkowej sile rażenia przebije i pierś, i bok. Cholera.

Przełożył zabawkę do kieszeni spodni.

Nie, tak też niedobrze.

Wreszcie wymyślił: podniósł nogawkę, wsunął za pasek skarpetki. Żelazo nieco ugniało kostkę, ale można było wytrzymać.

Notatka, przysłana do hotelu przez Gwozdikowa, była krótka i dziwna: „O północy na bulwarze nad rzeką pod latarnią”.

Należało sądzić, że chodzi o rzeczkę Kamionkę, ponieważ nad Teterewem, największą rzeką w Żytomierzu, z powodu skalistych brzegów bulwarów nie było. Zresztą i Kamionka też się tu nie wyróżniała — Berdyczowski nie zastał tam niczego, co by można nazwać bulwarem. Za to zagadkowe „pod latarnią” wyjaśniło się od razu: na brzegu paliła się tylko jedna latarnia, inne były ciemne i, zdaje się, pozbawione szkieł.

Odprawiwszy dorożkarza, prokurator stanął w niewielkim kręgu światła. Podniósł kołnierz — od rzeczki ciągnęło wilgocią. Czekał.

Dookoła było czarno, to znaczy nic w ogóle nie było widać.

Matwiejowi Bencjonowiczowi natychmiast przywidziało się, że z ciemności ktoś mu się przygląda. Początkowo skulił się, ale zaraz powiedział sobie: „No pewnie, że patrzą. I bardzo dobrze, że patrzą”.

Radca stanu uwolnił się od niepokoju w bardzo prosty sposób. Wyrzekł szeptem jedno tylko słowo: „Pelagia”, a strach od razu ustąpił miejsca podnieceniu; zwierzyzna momentalnie zamieniła się w myśliwego.

Niecierpliwie pokręcił głową i gniewnie tupnął nogą. Gdzie jesteście, diabelskie pomioty?

Ciemność jakby czekała na ów magiczny znak. Poruszyła się, zaszurała i w obrębie słabego naftowego oświetlenia pojawiła się postać, która wydała się Berdyczowskiemu gigantem. Figura dała znak ręką.

Radca stanu, znowu niepewny siebie, postąpił w stronę nieznanego, ów jednak odwrócił się i ruszył przodem, oglądając się od czasu do czasu i czyniąc przyzywające gesty.

Nogi przewodnika głucho stapały po brukowanej jezdni. Olbrzym szedł wyprostowany, a plecy miał nienaturalnie sztywne.

Posąg Komandora — wzdrygnął się Matwiej Bencjonowicz, ledwie za nim nadążając.

Z bulwaru skręcili w krzywy zaułek, gdzie nie było już jezdni, tylko mokra po niedawnym deszczu ziemia. Z jed-

nej strony szczelny płot, z drugiej mur, za którym były albo magazyny, albo jakieś warsztaty. Oświetlenia żadnego.

Berdyczowski potknął się na wyboju i przeklął — nie wie-
dzieć dlaczego półgłosem.

Mur doprowadził do bramy, nad którą paliła się lampa.
Prokurator przeczytał na szyldzie: „Zakłady czyszczenia jelit
Sawczuka”.

Przeczytał i wzdrygnął się. Znaki znakami, ale ze strony
Opatrzności było to już prawdziwe szyderstwo, jeśli nie
chamstwo. Rzecz w tym, że w brzuchu porządnie jednak
wystraszonego radcy stanu zachodziły rozmaite mało przy-
jemne procesy.

Berdyczowski zatrzymał się przed wąską furtką. Z drze-
niem w głosie zapytał posągu Komandora:

— Co to takiego? Po co?

Na odpowiedź nie miał nadziei, ale olbrzym (chłopisko
rzeczywiście niemal sążniowego wzrostu) odwrócił się i od-
powiedział nieoczekiwanie cienkim, usłużnym głosem:

— To, łaskawy panie, zakład, gdzie czyści się kiszki.

— W jakim sensie?

— W zwyczajnym. Na kiełbasy.

— Aa — uspokoił się nieco Matwiej Bencjonowicz. — Ale
po co mamy tam iść?

Komandor zachichotał, co potwierdziło wyraźnie, że do-
tychczas milczał nie w groźnych zamiarach, ale z powodu
provincjonalnego onieśmienia wobec przyjeźdnego.

— Miasto raczy pan sam widzieć jakie: żydostwa więcej niż
Rosjan. A tu miejsce najlepsze. Bo kiełbasa świńska. Wśród
robotników nie ma ani jednego Żyda, sami tylko Rosjanie
albo Chochoły.

Potajemne zebranie drużyny „Chrystusowych opryczni-
ków” odbywało się w kancelarii zakładu.

Był to zapuszczony pokój, dosyć przestronny, ale z niskim
sufitem, z którego zwieszało się kilka lamp naftowych.

Krzesła w dwóch rzędach, a naprzeciwko nich stół, na-
kryty rosyjską flagą. Na ścianach ikony, przemieszane z por-
tretami ojczystych bohaterów: Aleksandra Newskiego, Dy-
mitra Dońskiego, Suworowa, Skobielewa. Główne miejsca

w owej galerii zajmowały wizerunki Iwana Groźnego i panującego monarchy.

Przewodniczył niemłody mężczyzna w marynarce i wąziutkim krawacie, ale z długimi włosami, ostrzyżonymi na okrągło.

Przed stołem stał chudy osobnik w rubaszce — najwyraźniej prelegent. Słuchaczy było około dziesięciu.

Wszyscy odwrócili się w stronę przybyłych, ale Berdyczowski ze zdenerwowania nie przyjrzał się dokładnie twarzom. Zdaje się, że większość była brodata i także ostrzyżona po rosyjsku.

— A oto i drogi gość — powiedział przewodniczący. — Łaskawie prosimy. Jestem esaułem.

„Oprycznicy” wstali, ktoś zadudnił basem:

— Życzymy zdrowia, wasza ekscelencjo.

Z przejścia Matwiej Bencjonowicz o mało nie zaczął poprawiać, że nie jest żadną ekscelencją, ale w porę się pohamował. Energicznie, po wojskowemu skinął głową, od czego opadł mu na czoło kosmyk anielskiego koloru.

„Esauł” (tak chyba nazywało się stanowisko przywódcy „opryczników”) wyszedł zza stołu i ruszył w stronę prokuratora.

Tu Berdyczowski znowu omal nie popełnił *faux pas* — chciał już ścisnąć rękę. Okazało się, że nie należało wyciągać dłoni, tylko rozewrzeć ramiona. Tak właśnie postąpił przewodniczący: ze słowami „Rusi chwala!” przycisnął gościa do piersi i po trzykroć ucałował w usta.

Pozostali także postanowili przywitać znacznego człowieka, tak więc całować się trzeba było ze wszystkimi — ogółem jedenaście razy, przy czym za każdym razem wygłaszano sakramentalną formułkę, sławiącą ojczyznę.

Zapachy, z jakimi zmuszony był zapoznać się gorąco witany pan Berg-Dyczowski, nie odznaczały się różnorodnością: tani tytoń, surowa cebula, przetrawione przez żołądki opary *spiritus vini*. Tylko ostatni z całujących, ówże przewodnik, który doprowadził Matwieja Bencjonowicza na zebranie, roztaczał woń wody kolońskiej i fiksaturu. Cmoknął też nie tak jak inni, ale subtelnie, z wyciągniętymi w trąbkę ustami. Fryzjer, zrozumiał prokurator, ujrawszy podkręcone włosy na skroniach i rozczesaną na boki bródkę.

— Proszę tutaj. — „Esau” wskazał gościowi honorowe miejsce.

Wszyscy wlepili wzrok w „ekscelencję”, oczekując najwyraźniej powitalnego przemówienia, do czego radca stanu absolutnie nie był przygotowany. Znalazł się jednak — poprosił o kontynuowanie, „albowiem przyszedł nie mówić, tylko słuchać; nie pouczać, tylko uczyć się”. To się spodobało. Skromnemu „generałowi” zaklaskano, zakrzyknięto: „Jak miło!”, i przerwany raport ciągnął się dalej.

Orator, którego z racji sposobu mówienia i nieco beczącego tembru głosu Berdyczowski ochrzcił Diaczkiem, opowiadał drużynie o rezultatach przeprowadzonego przezeń śledztwa, dotyczącego panoszenia się Żydów w gubernialnej prasie.

Obraz rysował się straszny. O „Gazecie Żytomierskiej” Diaczek nie mógł mówić bez wzburzenia: same perelmutery i kaganowicze, bezczelne natrząsanie się z wszystkiego, co drogie rosyjskiemu sercu. Jednakże i w „Wołyńskich Wiadomościach Gubernialnych” sytuacja jest dalece niekorzystna. Z powodu pobłażliwości redaktora nierzadko drukuje się tam artykuły napisane przez Żydków, którzy kryją się za rosyjskimi nazwiskami. Tu nastąpił wykaz wszystkich tych wilków w owczej skórze: Iwan Swietłow — Icchak Sarkin, Aleksander Iwanow — Mojsza Lewensohn, Afanasij Bieriozkin — Lejba Rabinowicz, i tak dalej, i tak dalej. Jednak najbardziej sensacyjne odkrycie występujący zachował na koniec. Okazuje się, że sanhedryn zapuścił macki nawet do „Wołyńskich Wiadomości Diecezjalnych”: redaktor, protopop Kapustin, ma żonę z domu Fiszman, z przechrztów.

Po pokoju przetoczył się szum wzburzenia. Matwiej Bencjonowicz także pokręcił ze smutkiem głową.

„Esau”, pochyliwszy się, szepnął:

— Zbieramy właśnie materiały do wiernopoddańczego pisma. Gdyby pan zobaczył dane na temat kapitału finansowego i oświaty! Mróz po kościach!

Prokurator zasepił się surowo: źle, oj, źle. Referujący zakończył, usiadł na swoim miejscu. Wszyscy znowu z oczekiwaniem wpatrzyli się w gościa. Było jasne, że od wystąpienia nie da się wykręcić.

W samą porę przypomniało się mądre powiedzonko: jeśli nie wiesz, co mówić — mów prawdę.

— Cóż powiedzieć? — podniósł się Matwiej Bencjonowicz. — Jestem wstrząśnięty i przybity.

W odpowiedzi nastąpiło głośne westchnienie.

— W naszej guberni, oczywista, sprawy wyglądają niedo-
brze, ale nie do takiego stopnia. Zgroza, panowie. Zgrzyta
nie zębów. Wszakże, moi drodzy, powiem wam jedno. Śledz
two i wiernopoddańcze pisma to na pewno rzecz dobra, ale
to przecież za mało. Przyznam, że od żytomierzan oczekiwa-
łem czegoś innego. Opowiadano mi, że jesteście ludźmi czy
nu, że nie przywykliście siedzieć z założonymi rękami. Bo
patrzysz na Ruś i serce ci krwawi! — Berdyczowski zaczął się
pomału rozgrzewać. — Dookoła same gaduły, bohaterowie
tylko w gębie! Przepyskujemy ojczyznę, panowie patrioci!
Przegadamy! A tymczasem Żyd na próżno nie gada, on ma
wszystko wyliczone na lata naprzód!

Słuchając gorzkiej, zrodzonej z cierpienia wypowiedzi kraso-
mówcy, siedzący popatrywali po sobie i kręcili się na krzesłach.

Wreszcie „esauł” nie wytrzymał. Doczekawszy się krótkiej
przerwy, której Berdyczowski potrzebował, aby nabrać po-
wietrza, przywódca „opryczników” zawołał:

— Nie jesteśmy gadułami i bazgraczami papieru! Tak, nie
opuszcza nas nadzieja, że dobijemy się do naszej głuchej wła-
dzy legalnymi metodami, ale śmiem pana zapewnić, że do sa-
mych pism się nie ograniczamy. — Widać było, że przewod-
niczący ledwie się powstrzymuje, tak bardzo pragnie się
usprawiedliwić. — Łaskawy panie, zapraszam do gabinetu,
porozmawiamy w cztery oczy. A was, drodzy bracia, proszę
tymczasem, żebyście ugościli się, czym chata bogata.

Dopiero teraz Matwiej Bencjonowicz zauważył w kącie
pokoju nakryty stół z samowarem, bochnami chleba i robiącą
wrażenie obfitością kielbasianych wyrobów — sądzić na-
leżało, że to produkcja zakładu oczyszczania jelit.

Drużyna z ożywieniem ruszyła przekąsać, prokurator zaś
został wprowadzony do „gabinetu” — ciasnego kąta,
oddzielonego od kancelarii przeszklonymi drzwiami.

Przepadłeś!

Teraz doszło i do uścisku rąk. Trzeba rzec, że pozbywszy się swoich zuchów, „esauł” zmienił nieco sposób zachowania, jakby chciał pokazać, że należy do tego samego kręgu co gość.

— Sawczuk — przedstawił się. — Właściciel zakładu. Za uważałem, panie Dyczowski, jak pan patrzył na moich jan czarów. Nie są okzesani, to pewne, nie błyszczą także, że tak powiem, zaletami umysłu.

Matwiej Bencjonowicz wystraszył się (sądził, że doskonale konspiruje swoje uczucia) i uczynił ręką protestujący gest.

— To nic — uspokoił go kielbasiarz. — Przecież rozumiem. Jednakże proszę zważyć, że to nie są ideologowie, tylko dziesiętnicy, kierownicy rejonów. Wyrażając się językiem biblijnym, „mężowie siły”. Nazywam ich żartobliwie „apostołami” — jest ich akurat dwunastu. Powinien być jeszcze jeden, ale jakoś się spóźnia. Do przemyśleń moi dziesiętnicy się nie kwapią, ale jak do czegoś dojdzie, to nie zawiodą. Proszę nie myśleć, mamy u siebie także inteligencję, najlepszych Rosjan. Adwokaci, lekarze, nauczyciele gimnazjalni — to oni najbardziej cierpią od żydowskiego naporu. Jeśli pan zechce, skontaktuję pana z nimi później, w bardziej odpowiednich okolicznościach. Głazków Ilja Stiepanowicz, wiceburmistrz, to otwarta głowa, myśliciel.

— Wie pan — odpalił Berdyczowski — myślicieli i tak jest dookoła pełno. Brakuje ludzi czynu. Żeby bez strachu, bez oglądania się na prawo. Oto czego należałoby się nauczyć. Tyle że nie chodzi o machanie łomem, o gromienie żydowskich sklepów — to rzecz nietrudna. Proszę mi powiedzieć, czy macie u siebie ludzi z doświadczeniem z prawdziwej roboty — w policji albo w Ochronie? Tylko nie w służbie, żeby nie byli związani literą prawa.

— Jakże to? — zapytał Sawczuk i zachmurzył się zakłopotany.

Matwiej Bencjonowicz chwycił byka za rogi.

— Postanowiłem zajechać do was do Żytomierza po dłuższej rozmowie z pewnym bardzo interesującym człowiekiem, który niedawno był w Zawołżsku. Z dymisjonowanym

sztabsrotmistrzem żandarmerii Racewiczem, Bronisławem Wieniaminowiczem...

Tu zrobił pauzę i z zamarłym sercem oczekiwał na efekt. Na efekt nie trzeba było długo czekać.

Twarz „esauła” wykrzywiła się pogardliwie.

— Z Racewiczem? I co panu ten żydowski kum nakłamał?

— D-dlaczego żydowski kum? — osłupiał prokurator. —

Jak zrozumiałem, było przeciwnie: to właśnie od Żydów ucierpiał... Oni zwichnieli mu karierę i posadzili do więzienia za długi!

— Jak posadzili, tak i wysadzili — wycodził Sawczuk.

— To właśnie Żydzi go wykupili? — zgnębionym głosem upewnił się radca stanu. Stracił ducha na dobre.

— A któż by? Ten Polaczek miał, jak powiadają, piętnaście tysięcy długu. U kogo oprócz Żydów znajdzie się tyle pieniędzy? Wywdzięczył mu się sanhedryn i wiadomo za co. Dwa lata temu nasi ludzie w powiecie lipowieckim ukarali śmiercią naczelnika ziemstwa, znanego judofila. Śledztwo w Ochronie prowadził Racewicz. Dokopał się do wszystkiego, wyniuchał i dwóch Rosjan wyprawił na katorgę. Za tę nikczemność dostał nawet od Goel-Israel pismo dziękczynne. To oni tego judasza wydobyli z więzienia — ciesz się wolnością i gub lud prawosławny. To ten ich Goel-Israel, nikt inny.

— Goel-Israel?

— Tak, jest u nas taki wrzód, największy żydowski ropień. Hacer rabina Szefarewicza. Hacer to — proszę wybaczyć porównanie — coś w rodzaju siedziby archijereja, tylko żydowskiego. Mają tam synagogę i jeszybot, żydowskie seminarium. Szefarewicz (wiadomo to z całą pewnością) jest członkiem rzeczywistym tajnego sanhedrynu. Wychowuje swoje wilczęta w nienawiści do Chrystusa i wszystkiego co rosyjskie. Nikogo do swoich diabłów nie dopuszcza. Szczególnie zaś obawia się, żeby Rosjanki nie odciągały tych Żydziaków od ich wiary. Bo u nich to tak — kto związał się z gojką, ten dla żydostwa przepadł, jakby na zawsze się zaszargał. — „Esauł” splunął. — I to niby oni się zaszargali, co? Niedawno zdarzyła się tu pewna historia. Znaleziono w rzece chrześcijańską dziewczynę. Przeprowadziliśmy własne śledztwo. Ustaliliśmy, że to ladaco zadawało się z pewnym Żydziakiem z haceru Szefarewicza.

Żydzi dowiedzieli się o tym. Wezwał go rabin i zażądał: przepędź od siebie tę gojkę. Żydek trafił się uparty — za nic. Kocham, powiada, i koniec. No to wysłali go na Litwę, a tę dziewczynę omalże następnego dnia znaleziono w Teterewie. Wszystko jasne, zabójstwo. I jasne, kto zabił. Ale nasi judofile bali się rozgłosu. Utopiła się, powiadają, z nieszczęśliwej miłości. Postanowiliśmy wtedy przeprowadzić własną rozprawę sądową, ale nie zdążyliśmy — Szefarewicz wraz ze swymi kurczakami dał drapaką do Jerozolimy. Oto do czego tu u nas dochodzi!

Berdyczowski ze sceptycyzmem słuchał opowieści o zabójstwie dziewczyny. A potem nagle zaczął się zastanawiać. Wśród Żydów jest nie mniej szaleńców niż wśród innych nacji. A może nawet więcej. Wszystko możliwe — a jeśli w Żytomierzu rzeczywiście pojawił się jakiś żydowski Savonarola? Miejmy nadzieję, że drogi Pelagii i nieokiełznanego rabina nie przetną się w Jerozolimie. Chwała Bogu, nie ma żadnych powodów.

Głosy w sąsiednim pokoju stały się głośniejsze, przy czym wybijał się zwłaszcza jeden, który wydał się Berdyczowskiemu jakoś znajomy. Radca stanu natężył słuch.

Przeziębiony, lekko nosowy głos opowiadał:

— .. Gładki, ważny, z takim nohalem. „Jestem prokurator — powiada. — Taki-owaki najgłówniejszy radca”.

— Żyd prokuratorem? — przerwano mu. — Bujasz, Kolka!

— A oto i dwunasty mój apostoł. — Sawczuk przyjrzał się przez szybę hałasującym „oprycznikom”. — Zjawił się jednak. Starszy rejonu kijowskiego, ma posadę tragarza w hotelu „Bristol”. Ej, Kola! Chodź tutaj, przedstawię cię dobremu człowiekowi.

Matwiej Bencjonowicz zmartwiał i wstał. Spocona ręka wsunęła się do kieszeni i odnalazła rękojeść rewolweru. Palec zaczął wymacywać składany spust, ale ów zaciął się i nijak nie chciał się rozłożyć.

Do gabineciku wszedł znany już tragarz z „Bristolu”.

Uklonił się. Ze słowami „Rusi chwała!” rozłożył ramiona, spojrzął w twarz Berdyczowskiemu i zamarł.

Godny konkurent

Gdyby Szmulik Mamzer wiedział, że nigdy więcej nie zobaczy, jak nad jasnym miastem Jeruzalaim, niechaj trwa na wieki, wschodzi słońce, to z pewnością popatrzyłby na poranną gwiazdę łaskawiej, a tak to tylko zmrużył oczy na okrągłą różową łysinę, która wynurzyła się zza Góry Oliwnej, i wyburczał: „Żebyś wreszcie się rozpękło, przeklęte”. Wydawało się, że dopiero co, jakieś pięć minut wcześniej, człowiek złożył głowę na owiniętym tałesem tomie Talmudu, który nocami stawał się poduszką, a już masz — pora wstawać.

Pocierając bok, który ścierpł od leżenia na podłodze, Szmulik przeciągnął się. Inni uczniowie, ci, którzy nocowali w jeszybocie, też sprząтали swoje posłania — takie same jak Mamzera: coś cienkiego na podłogę, książka albo jakieś łachy pod głowę, kołdra zaś latem, chwała Bogu, nie była potrzebna. Ich twarze były zmięte, zaspane, ale za chwilę, po umyciu, staną się inne.

Przez całe piętnaście lat życia Szmulikowi zdarzyło się spać w prawdziwym łóżku zaledwie trzykrotnie: dwa razy, kiedy chorował, i jeszcze raz przed bar micwą, a poza tym to na podłodze albo z trzema, czterema sąsiadami, ale to, powiem wam, jeszcze gorzej niż na podłodze i dlatego się nie liczy. Tak było i w żytomierskim chederze, i potem w tamtejszym jeszybocie, a teraz tutaj, w jasnym mieście Jeruzalaim, niechaj trwa na wieki.

A czego byście chcieli, jeśli człowiek nie ma ani ojca, ani matki, ani byle jakiej ciotki? Szmulik pojawił się na świecie nie w rodzinnym domu, jak wszystkie normalne dzieci, ale na

progu synagogi, zawinięty w prześcieradło. Początkowo ludzie wątpili, czy w ogóle jest Żydem — może podrzuciła go jakaś bezwstydną szyksa, która uznała, że u Żydów dziecko będzie lepiej. Zebrali się szanowani ludzie i rozważali, czy nie oddać bękartu do rosyjskiego przytułku, ale rebe Szepietowker, niech mu ziemia będzie puchową pierzyną, powiedział: „Lepiej wychować na Żyda Rosjanina niż zgubić żydowskie dziecko, oddając je do gojowskiego przytułku”, i Szmulika obrzezano, przyłączając podrzutka do narodu wybranego. (Strach ogarnia, kiedy się pomyśli, że mogło ułożyć się inaczej). Przyłączyć przyłączyli, ale nikt nie pokwapił się dać urzędnikowi w łapę trzech rubli, by ten nadał dziecku ładne nazwisko: Synajski albo Jordański; nie dali nawet rubla, żeby zapisał go po prostu jako Chajkina albo Rywkina. No to urzędnik się rozeźlił. Innym kancelistom także zdarzało się żartować z biedaków — nazywali Słowikiem, Brzoskwinią, a jak nos był duży, Noskiem, ale ten przeklęty goj znał na nieszczęście nieco jidysz i nadał Szmulikowi nazwisko najgorsze z możliwych, postanowił zatruć sierocie całe życie. *Mamzer* — to z nieprawego łoża, bękart, wyrodek. Z takim nazwiskiem ani ożenić się, ani zostać szanowanym rabinem. Gdzie widzieliście dziewczynę, która zechce zostać „panią Bękartową”? A „rebe Wyrodek” —jak wam się podoba?

No i co, czy ów podły urzędnik osiągnął swój cel i zwichnął Szmulikowi życie?

Nic podobnego.

Wstydlive nazwisko od wczesnych lat zasiało w chłopcu wielkie, niemal nieziszczalne marzenie: wyjechać do Ziemi Obiecanej, gdzie nazwiska w ogóle nie są potrzebne, bo tam każdego Żyda ma na oku Pan, a On już będzie wiedział, który z nich jest kim.

Szmulik uczył się zawsze — od kiedy pamiętał. Żydowscy chłopcy lubią się uczyć, ale tak pilnego kujona nie było w całym Żytomierzu, gdzie, nawiasem mówiąc, mieszka dwadzieścia pięć tysięcy Żydów, a wielu z nich to uczniowie zgłębiający wiedzę.

Do trzynastego roku życia Szmulik uczył się Pięcioksięgu na pamięć. I to nie zwyczajnie, tylko „pod igłę”. Człowiek, który zna Pismo Święte w taki sposób, weźmie igłę, wbije ją

w jakąkolwiek literę i natychmiast powie wam, jakie słowa przebiła na następnych stronicach.

Po osiągnięciu pełnoletności Szmulik zaczął studiować komentarze do Tory, wykuł słowo w słowo wszystkie 613 praw, odpowiadających 613 częściom duszy: 248 jej wyższej sfery i 365 niższej. Opanował doskonale i artykuły *ejdut*, w których wspomina się wydarzenia historyczne, i łatwe do zrozumienia zasady *miszpatim*, i nawet nieosiągalne dla ludzkiego rozumu nakazy *chukim*.

Tak wszechstronnie czytany, zagłębił się w labirynty Talmudu. Teraz już nie zakuwał bezkrytycznie, ale ostrze rozumu utrzymywał w stałej gotowości, dlatego że tam, w przemyślanej płataninie księgi Zohar, kryły się nieopisane skarby. Wiadomo, że człowiek uczony, obdarzony darem przenikania sekretnych znaczeń liter, może znaleźć w owej księdze klucz do wielkich tajemnic i cudów, może nawet stać się władcą świata. W zestawieniach liter, jakie wykorzystuje się w imionach Boga, w świętej liczbie 26, ekwiwalencie cztero-literowego *Jod-He-Waw-He*, kryje się dostęp do tajemnej wiedzy, która nie daje spokoju wielu pokoleniom talmudystów. Inni uczniowie jeszybotu próbowali niczym papugi po 26 razy powtarzać różne modlitwy, jeszcze inni 26 razy stukali głowami o Ścianę Płaczu albo 26 razy obchodzili górę Meron, gdzie pogrzebany jest wielki Szymon Ben Jochaj, autor księgi Zohar, Szmulik jednak czuł, że to głupstwa, że tępym powtarzaniem niczego się nie osiągnie. Serce podpowiadało: wszystko jest niezmiernie bardziej złożone, a jednocześnie w jakiś sposób proste. Pewnego dnia o zachodzie słońca (wiedział na pewno, że zdarzy się to o zachodzie) prawda odsłoni się przed nim w całej swej wspaniałej prostocie, a on będzie mógł wymówić niewymawialne, usłyszeć niesłyszalne i ujrzeć niewidzialne. Bóg wyznaczy go na Swojego namiestnika, albowiem w Swojej wszechogarniającej mądrości będzie wiedział: Szmulikowi Mamzerowi można zaufać, on ludzkiemu światu zła nie przyczyni.

Możecie być pewni, że gdyby Szmulik został władcą świata, urządziłby go w najdoskonalszy sposób. Nikt by już więcej nie wojował, dlatego że zawsze przecież można się dogadać. Nikt by więcej nikogo nie dręczył: jeśli ludziom dobrze jest ra-

zem, niechaj żyją razem, ale jeśli źle, to można się rozstać, miejsca na ziemi dużo. I wszyscy goje zaczęliby przestrzegać przykazań Tory — początkowo tylko koniecznych, nazywanych *chowa*, a później także pożądaných, *rszut*. Wkrótce wszyscy, ale to wszyscy, staliby się Żydami, a Szmulik zaśłynąłby jako największy spośród ludzi, większy nawet niż prorocy Mojżesz i Eliasz. Jeśli nazywać rzeczy po imieniu, zostałby mesjaszem, który uratuje świat i pogodzi go z Bogiem.

Nawiasem mówiąc, Szmulik własnym rozumem doszedł do wielkiego odkrycia, ale, broń Boże, nie podzielił się nim z rebe Szefarewiczem. Mesjasz nie przyjdzie z nieba; mesjaszem zostanie ten, kto rozszyfruje imię Pańskie i nie ulęknie się go wymówić, weźmie na siebie odpowiedzialność za wszystko, co dzieje się na Ziemi. A wtenczas nadejdzie poranek, kiedy słońce nie wyjrzy już zza gór, bo nie będzie już miało po co ogrzewać ziemi: człowiek dokonał swoich przeznaczeń, proch w proch się obróci, a duch powróci do Pana. I wszystko to dzięki Szmuelowi z Żytomierza, który niegdyś nazywał się Mamzer.

Wśród uczniów wielkiego rebe Szefarewicza — przygarbionych, krótkowzrocznych, wiecznie siąkających nosami — nie on jeden płonął boskim ogniem, z którym równać się nie mogą żalosne gojowskie marzenia o karierze i bogactwie. Ale Szmulikowy płomień gorzał najjaśniej, bo był on ilujem. Madame Pierłowa, która całe życie spędziła w Kijowie i zupełnie nie znała hebrajskiego, mówiła po rosyjsku: „genialny chłopiec”. To też brzmi nieźle. Nazwała go jeszcze kiedyś „Mozartem Talmudu”, ale gdy okazało się, że ten Mozart to muzykant, Szmulik się obraził. Bo czy można przyrównywać szlachetną sztukę studiowania kabały do rzępolenia na skrzypcach! Z drugiej strony czegoż wymagać od kobiety, która w języku Żydów nie potrafi odmówić nawet najprostszej modlitwy?

Illuj z jeszybotu wielkiego rebe Szefarewicza — oto jaką reputację zyskał sobie Szmulik w Jeruzalaim, a przecież jest tu zaledwie od paru tygodni.

Rzecz jasna, nic takiego by się nie zdarzyło, gdyby nie rebe, o którego uczoności i nabożności opinia dotarła aż tutaj, tak że sam *riszon lecyjon*, najważniejszy rabin, który ma

na szyi medal od sułtana i *kisywę* z pieczęciami od tureckiego paszy, poprosił żytomierskiego mędrca o przybycie do świętego miasta wraz z uczniami. Czy często zdarza się, żeby aszkenazyjskiemu rabinowi przypadł w udziale taki zaszczyt?

Żydzi spierali się, jak określić rebe Szefarewicza: czy uznać go za gaona, wielkiego uczonego, czy też za lamed-wowa, to znaczy jednego z trzydziestu sześciu sprawiedliwych, którzy zawsze powinni być obecni na świecie, dlatego że tylko z ich powodu Pan nie niszczy naszej grzesznej Ziemi. Jeśli na świecie zabraknie choć jednego lamed-wowa — to koniec. Dla trzydziestu pięciu On nie zechce już tego dłużej znosić.

Kiedy w zeszłym roku rebe Szefarewicz zachorował na świnkę (a wszyscy wiedzą, jak niebezpieczna to choroba dla niemłodego człowieka), Szmulik okropnie się przestraszył: nie daj Boże, nauczyciel umrze, a z nowym lamed-wowem wyjdą jakieś trudności — i co wtenczas? Ale rebe nie umarł, stał się jedynie jeszcze bardziej zawzięty.

Wielki Szefarewicz to człowiek szczególny. Jak wiadomo, przy narodzinach każda dusza obdarowana jest iskrą Bożą, u niego zaś to nie iskra i nawet nie świeczka, ale pochodnia, całe ognisko — stać w pobliżu trudno. A i niebezpiecznie, tylko patrzeć, jak się oparzysz. Z tej przyczyny rebe Szefarewicz miał w Żytomierzu wielu wrogów, ale i tutaj, w Jerozolimie, choć minął zaledwie miesiąc od przyjazdu, wielu także zaczyna się krzywić. Powiadają: nazbyt jest gniewny.

No cóż, to prawda. Nauczyciel jest surowy. Jeśli zajrzy do pokoju lekcyjnego i zobaczy, że ktoś nie zdążył jeszcze się umyć i mruga oczyma, to będzie *az och'n wej*, krzyki „och” i „wej”, czyli, wyrażając się językiem Biblii, płacz i zgrzytanie zębów.

Dlatego, mrużąc oczy od słońca, Szmulik włożył spodni tałas, przygładził niedbale długie włosy i odmówił modlitwę po przebudzeniu: „Dziękuję Ci, Królu żywy i prawdziwy, za to, że w Swojej łasce przywróciłeś mi duszę moją”.

Polewając wodą dłonie (każdą po trzykroć, jak jest ustanowione), odmówił modlitwę ablucyjną.

Potem udał się do ustronnego miejsca i złożył dziękczynienie Panu Świata za to, że ów mądrze stworzył człowieka, zaopatrując go w niezbędne otwory i wewnętrzne jamy.

Po trzech kolejnych modlitwach — za błogosławieństwo duszy, za spożycie śniadania (żeby nasi wrogowie tak jedli: kubek gorącej wody i połówka placka) i za naukę — Szmulik usiadł wraz z innymi uczniami przy stole i zagłębił się w Gemarze.

Sąsiedzi zachowywali się niestosownie, by nie powiedzieć hałaśliwie: albo czytali głośno, albo potrzęsali głowami i kołysali się, a nawet wymachiwali rękami, Szmulik jednak niczego wokół siebie nie widział i nie słyszał. Nie ma na świecie zajęcia bardziej pochłaniającego niż wpisywanie do zeszytiku kombinacji liter i gematrycznych wyliczeń. Zupełnie jakby czas przestał istnieć, zamierając nabożnie: oto już-już Szmulik dotknie Tajemnicy, a świat nie będzie taki sam jak przedtem. Zdarzyć się to może kiedykolwiek, w każdej chwili!

Dźwiękiem, który przywrócił przysłego zbawcę ludzkości do spraw przyziemnych, było burczenie w brzuchu sąsiada, balabesa Mendlika. Balabesami albo balbesami nazywano młodych przyżenionych, którzy mieszkali i stołowali się przy rodzinie przyszłej żony do czasu osiągnięcia dojrzałości. Mendlik miał zaledwie czternaście lat, musiał więc jeszcze trochę poczekać.

Wcześniej na prawo od Szmulika siedział Michl-Byk, którego imienia zakazano teraz wymawiać, ale przecież na myśli zakazu nie da się nałożyć. O nieszczęsnym Byku Szmulik myślał często. Gdzie jest teraz? Jak mu się wiedzie?

Żyje sobie człowiek, niechby nawet tak tępy i gruboskórny jak Michl, ale to przecież Żyd, żywa dusza, a potem nie wiadomo skąd dopadnie go los, przyjmując postać bosonogiego sztukmistrza, i koniec, nie ma Żyda.

Mendlikowi znowu gdzieś zaburczało, a brzuch Szmulika odezwał się na to przychylnie.

Słońce pokonało już południe. Pora na obiad.

Od razu po przybyciu do Jeruzalaim, niechaj trwa na wieki, każdemu uczniowi jeszybotu wręczono listę: w jakiej miejscowej rodzinie ma się żywić w poniedziałek, wtorek, środę i we wszystkie inne dni tygodnia. Tu już jak komu się uda. Dzień niepodobny do dnia. Jeśli rodzina biedna albo skąpa, chodzisz głodny. Jeśli gościnna i współczująca, napchasz się do niemożliwości.

Dzisiaj Szmulikowi wypadło iść do madame Pierłowej. To zarazem dobrze i źle. Dobrze dlatego, że wdowa nakarmi lepiej niż na Paschę: i mięsem, i rybą, i kremowymi ciasteczkami (chwała Bogu naszemu, który stworzył takie чудо). Źle zaś, bo usiądzie obok, będzie wpatrywała się wilgotnymi krowimi oczyma i gładziła po ramieniu, a nawet po policzku. Szmulikowi robiło się od tego niedobrze i ekierka utykała w gardle.

Madame Pierłowa, podobnie jak inne bogate wdowy, przyjechała do Jeruzalaim, niechaj trwa na wieki, żeby umrzeć w pobliżu cmentarza na Górze Oliwnej. Wybrała już i kupiła najlepsze miejsce na grób. Tyle że zdrowia wystarczyło jej jeszcze na jakieś pięćdziesiąt lat, należało zatem zatroszczyć się, jak je przeżyć. Wiadomo, że kobiecie w nagrodę za to, że karmi i troszczy się o męża, na tamtym świecie przypadnie w udziale dokładnie połowa zapracowanej przez niego łaski. W tym sensie ze świętej pamięci panem Pierłowem nie należało wiązać zbyt wielkich nadziei — był maklerem giełdowym. Na życie małżonki, co prawda, zapracował, ale żeby na życie po życiu — to niestety. A zatem zainteresowanie wdowy było zrozumiałe: Szmulik Mamzer stanie się z całą pewnością wielkim uczonym, i to w najgorszym razie.

On sam też myślał: a może się ożenić? Pokazał się już i puch na brodzie. Chyba nie trzeba czekać, aż wyrosną wąsy? Bez paskudnego nazwiska, które zostało w Żytomierzu, a wkrótce w ogóle będzie zapomniane, Szmulik stał się pożądanym konkurentem. Mówiąc prawdę, ani grosza przy duszy, ale kiedy to Żydzi patrzyli na bogactwo? Uczoność i dobre imię są więcej warte niż pieniądze. Iluja chętnie przyjmą nawet do rdzennej rodziny jerozolimskiej. Sefardyjczycy nigdy nie żenią się z aszkenazyjskimi dziewczynami, dlatego że są one rozpieszczone i samowolne, ale za to przychylni są aszkenazyjskim konkurentom, którzy bywają zazwyczaj dobrymi i troskliwymi mężami.

Tylko po co sefardyjska rodzina, jeśli jest madame Pierłowa? Kobieta jest dobrą, gospodarną i przy kapitale, a to oznacza, że kłopoty ze zdobywaniem chleba powszedniego nie będą przeszkadzały Szmulikowi w dziele jego życia. Rzecz jasna, jest ona bardzo gruba i nie można powiedzieć,

żeby była zbyt ładna, ale mędracy powiadają, że piękno cielesne nic nie znaczy, a mędracy nie kłamią.

Rebe Szefarewicz też powtarza: żeń się. Obiecał, że w następnym tygodniu zaprowadzi go do rebe Menachema Ajzyka, który chętnym do żeniaczki wyjaśnia, jak należy kłaść się z kobietą, żeby nie naruszyć żadnego z nakazów Prawa — wszak w cielesnym złączeniu uczestniczy trójca: mąż, żona i Ten, Którego Imię Błogosławione.

Kierując się w stronę domu madame Pierłowej, Szmulik podjął decyzję. Pójdę, posłucham rebe Menachema Ajzyka. Czego nie zrozumieć, to zapamiętam, a potem niech się stanie — uszczęśliwię wdowę, ożenię się. Dosyć spania na podłodze.

W kwartale ormiańskim ruszył truchcikiem. Dzieci były tu okropne — obrzucały Żydów oślimi odchodami. To nic, w Żytomierzu kundesy z robotniczej słobody mogły nawet przywalić kamieniem.

Czym byście chcieli dostać w plecy: ciężkim brukowcem czy oślim plackiem, który przyklei się, ale potem sam odpadnie?

No, właśnie.

Wszystko wskazywało na to, że w ciągu minionej wiosny Szmulik wdrapał się po życiowej drabinie wysoko — można powiedzieć, że z samego dołu skoczył na samą górę, omijając Bóg wie ile szczebli: żytomierski *mamzer* stał się godnym konkurentem, i to nie gdzie indziej, tylko w Jeruzalaim, niechaj trwa na wieki.

Ruda szyksa

Po obiedzie, który dzisiaj był wyjątkowo smaczny, Szmulik odrobinę poleniuchował na podwóreczku na miękkich poduszkach. Poczytał madame Pierłowej Torę. Nie rozumiała ani słowa, ale słuchała nabożnie i nie ośmieliła się go głaskać. Na podwórku wdowy rośło cieniste drzewo, wielka rzadkość na Starym Mieście. Siedzieć by i siedzieć, ale należało spieszyć się do jeszybotu. Po południu zajęcia z uczniami miał sam rebe Szefarewicz, a do niego spóźnić się nie

wolno. Illuj nie iluj — dostaniesz kijkiem boleśnie po palcach. Nauczyciel nie ma pobłażania dla cielesności — ani cudzej, ani własnej, dlatego że ciało przynależy do *asija*, niższej sfery zjawisk, i nie zasługuje na wyrozumiałość.

Nawet w jerozolimskim upale rebe ubiera się tak, jak przystało aszkenazyjskiemu mędrcom: w czarny długopółny surdut z aksamitnym kołnierzem i lisi sztrajmel, spod którego zwisa ją lepkie od potu siwe pejsy. I to teraz, w maju, a co będzie latem? Mówią, że skwar w Ziemi Obiecanej bywa taki, iż położone na piasku jajko po dwóch minutach jest ugotowane na twardo. Czy świętość rabina wytrzyma taką próbę?

Patrząc na przechadzającego się po klasie nauczyciela, Szmulik pomyślał: wytrzyma.

Rebe Szefarewicz przystanął obok zezowatego Lejbki i szturchnął go palcem w kark.

— Dlaczego nie przepisałeś rozdziału z Miszny, jak było zadane?

— Brzuch mnie bolał — ponuro odpowiedział Lejbka.

— Brzuch go bolał — oznajmił nauczyciel pozostałym uczniom, jakby tego nie słyszeli. — Rozważmy to.

Ostatnie zdanie oznaczało, że zaczyna się uczony wykład — za chwilę z ust rebe tryśnie źródło mądrości. Tak też się stało.

— Powiedzione jest: wszystkie choroby, nękające człowieka, są karą za jego grzechy. Zgadzasz się?

Lejbka wzruszył ramionami — taki początek nie wróżył mu niczego dobrego.

Rebe Szefarewicz udał, że jest zdziwiony.

— Czyż nie? Głowa boli tego, który myśli o rzeczach marnych i próżnych. Zęby bolą łakomczucha, który zjada dużo cukru. Członek ropieje rozpustnikowi, który zadaje się z nieprzystojnymi dziewczkami. Chyba z tym się zgadzasz?

Lejbka zmuszony był skinąć.

— To i dobrze. Skoro bolał cię brzuch, to znaczy, że twój brzuch zgrzeszył: napchał się rzeczy zbędnych. Jest sprawcą twojej choroby. Zgadzasz się? A do kogo należy brzuch? Do ciebie. A zatem ty sam jesteś winien. Zgadzasz się?

Na miejscu Lejbki — pomyślał Szmulik — odpowiedziałbym cytatem z *Rozsypanych pereł* Jehudy Gabirola: „Głupiec

obwinia innych; rozumny obwinia siebie; mądry zaś nie obwinia nikogo". W ostatnim czasie Szmulik nabrał przyzwyczajenia spierać się z nauczycielem. Przyzwyczajenie było nader chwalebne dla talmudysty, ale nie całkiem bezpieczne wobec rebe Szefarewicza, dlatego iluz prowadził polemikę tylko w myślach.

Lejbka nie potrafił przytoczyć cytatu na swoje usprawiedliwienie, toteż dostał kijkiem.

Dzisiaj nauczyciel znowu był nie w humorze — jak przez wszystkie ostatnie dni. Po łapach dostało się też Szymonowi, który odpowiadał bojaźliwie i w sposób niepełny.

— Powiedziałeś wszystko, co wiesz? — zachmurzył się rebe.

— Tak, powiedziałem wszystko, co wiem — odpowiedział Szymon przepisowo, tak jak należało.

Ale to go nie uratowało.

— Głupiec mówi, że wie. Mędrzec wie, co mówi! — wrzasnął nauczyciel.

Szmulik natychmiast odparował w myślach innym aforyzmem: „Głupota krzyczy, mądrość mówi szeptem”. Doskonała odpowiedź. Nieźle byłoby podyskutować z rebe — nieważne, na jaki temat. Jeszcze nie wiadomo, kto byłby górą. Jest taka sztuczka, nazywa się „telefon”. W sam raz do dysputy z rebe Szefarewiczem: mów mu, co chcesz, a kijkiem cię nie dosięgnie.

Szymon nie był aż tak winny, żeby tłuc go tak mocno, z całym zamachem. Biedaczysko aż zawył, a łzy popłynęły dwoma strumieniami. Nikt spośród uczniów, z wyjątkiem Michła-Byka z jego grubą skórą, nie wytrzymałby takiej egzekucji bez krzyku.

Znowu przypomniało mu się zakazane imię, już drugi raz tego dnia.

Zdaje się, że rebe Szefarewicz myślał o tym samym, bo na temat dzisiejszych rozważań wybrał odstępstwo od wiary.

Współczesna Europa stanowi straszne zagrożenie dla żydostwa — powiedział wielki człowiek. Dawniej, kiedy nas grabiono, zabijano, zamykano w gettach, było łatwiej — prześladowania tylko nas jednoczyły. Teraz jednak rządy tak zwanych przodujących krajów wyrzekły się antysemityzmu, a przed tamtejszymi Żydami pojawiła się pokusa, aby stać się

takimi jak wszyscy, aby niczym nie odróżniać się od gojów. Przecież bycie Żydem to nie tylko przypadkowy fakt urodzenia, ale też świadomy wybór. Jeśli nie chcesz — proszę bardzo. Ochrcij się albo po prostu przestań okazywać swoje żydostwo, a natychmiast otworzą się przed tobą wszystkie drogi. W krajach Pejl i Lite, teraz wchodzących w skład imperium rosyjskiego, sytuacja jest jeszcze znośna, dlatego że tam Żydom, którzy przestali być Żydami, na wiele nie pozwalają, wypominają pochodzenie. Ale w Europie Zachodniej sprawy stoją bardzo źle. W kraju Taje ogromne szkody wyrządził judaizmowi Bismarck, tak że tysiące Żydów odstęczyło się od wiary ojców. Kiepska jest też sytuacja w kraju Cerfat, w którym już sto lat temu ogłoszono równouprawnienie Żydów. Chwała Bogu, głupi goje wszczęli tam proces przeciwko przechrzcie Dreyfusowi, co wielu odstępcom dało do myślenia. Żydzi mają wrogów dwóch rodzajów. Pierwsi chcą nas zniszczyć i tych bać się nie należy, albowiem Pan zawsze obroni swój naród wybrany. Drudzy są po stokroć groźniejsi, bo czyhają nie na nasze ciała, ale na nasze dusze. Kuszą nas dobrymi słowami i życzliwością, chcą, abyśmy odstąpili od tego, co nas wyróżnia, abyśmy przestali być Żydami. I wielu, bardzo wielu się poddaje, staje się meszumedami. Meszumed, który przyjął Chrystusa, jest tysiąc razy gorszy od najbardziej zażartego goja. Aby zasłużyć się nowym panom, oczernia nas i naszą wiarę. A kiedy pojawia się między nami, to zasiewa zwątpienie i pokusę w małodusznych sercach, pysniąc się bogatym odzieniem i osiągniętą pozycją.

Rebe Szefarewicz rozpałał się coraz bardziej i bardziej. Oczy rozjarzyły się ogniem świętego gniewu, palec prawej ręki co rusz unosił się groźnie ku sufitowi.

— Tych zdrajców trzeba zabić, jak zabija się zarażoną owcę, zanim zdąży zgubić całe stado! Powiedział Pan: „Jeśli kto z domu Izraela oderwie się ode mnie, zwrócę oblicze Moje przeciwko niemu i zniszczę go, i usunę z narodu Mojego, i poznacie, że Ja Pan”.

Na to Szmulik zaoponował tak: „Pan nie powiedział «usunę» i kropka, ale «usunę z narodu Mojego», to znaczy wypędzę spośród Żydów, a dalej żyj sobie, jak chcesz, tylko beze Mnie.

Powiedziane to było jednak przez „telefon”, tak więc rebe argumentu nie usłyszał i grzmiał dalej, tym razem kierując swój gniew na apikojresów.

— My, Żydzi, jesteśmy jedynymi strażnikami Boskiego ognia, który bez naszego narodu dawno by zagasł. My nie zmieniamy się, od czasów Abrahama i Mojżesza wciąż jesteśmy tacy sami. A czego chcą apikojresy-syjonisci? Żeby Żydzi stali się zwyczajnym narodem ze zwyczajnym państwem. Ale zwyczajne narody nie żyją długo, pojawiają się i znikają. Gdzie ludy moabickie, gdzie Filistyńczycy, Asyryjczycy, Babilończycy, Rzymianie, którzy nas gnębili? Od dawna ich nie ma, wyparli ich nowe narody: Anglicy, Niemcy, Turcy, Rosjanie. Miną dwa albo trzy wieki i pochodnie tych młodych narodów, które teraz płoną tak jasno, zgasną, a zamiast nich zapalą się nowe, jeszcze jaśniejsze. Nasza świeczka zaś wciąż będzie paliła się tym samym spokojnym, niegasnącym płomieniem, który trwa od tysięcy lat! Czy jest na świecie inny naród, którego świeca pali się tak długo?

Tutaj Szmulik nie wytrzymał.

— A Chińczycy, rebe? — powiedział głośno. — Zachowuj ją swoje obyczaje tak samo jak my. Może nawet dłużej. Cztery tysiące lat, nie mniej.

O Chińczykach wyczytał w encyklopedii u madame Piłowej.

Replika była bardzo efektowna — rebemu aż zatrzęsa się broda. No, co on na to powie, jaki cytat przytoczy?

Szmulik nie doczekał się cytatu, ale doczekał się kijka — i to nie po palcach, tylko po szyi, po karku.

Wpadł z klasy z krzykiem, obsypywany wyzwiskami i uderzeniami.

Trudno dyskutować z rebe Szefarewiczem.

Teraz trzeba było odczekać, dopóki nauczyciel nie ostygnie, a potem iść i prosić o przebaczenie — po godzinie, dwóch, nie wcześniej.

Szmulik wsunął rękę do kieszeni i przeszedł się tam i z powrotem po ulicy, ale do kwartału ormiańskiego nie poszedł.

W pobliżu Gnojnej Bramy ktoś zawołał do niego po rosyjsku:

— Chłopcze! Chłopcze!

Podeszła szyksa w ciemnej jedwabnej sukience, z przezroczystą chustką na rudej głowie. W ręku sakwojaż. Piegowata twarz kobiety wydała się Szmulikowi jakoś znajoma.

— Nazywasz się Szmulik, tak? — Rudowłosa uśmiechnęła się radośnie. — To przecież z tobą rozmawiałam na parowcu? Pamiętasz? Byłam wtedy w sukni zakonnej.

Tak, przypomniał sobie. Widział już tę szyksę, kiedy płynęli z Moskwy rzeką do morza — tam żydowscy rodzice przywieźli z rozmaitych miast swoich synów, aby oddać ich na naukę do jerozolimskiego jeszybotu rebe Szefarewicza. Tylko w riasie szyksa nie była taka ładna. Ze złocistymi kropczkami na twarzy i z pobłyskującym nimbem włosów stała się znacznie piękniejsza.

— Dzień dobry — grzecznie odpowiedział Szmulik. — Jak pani się miewa?

— Dziękuję. Jak to dobrze, że cię spotkałam! — wciąż cieszyła się ruda.

A co w tym dobrego, jeśli łaska?

Uczeń szacownego rebe Szefarewicza stoi pośrodku ulicy i gada z szyksa. Nie daj Boże, ktoś naskarzy nauczycielowi. Jakby i bez tego Szmulik mało miał nieprzyjemności. Oto jakiś litwak w kapeluszu i chałacie zatrzymał się i gapi. Przypomnieć by mu mądre powiedzenie: „Lepiej rozmawiać z kobietą i myśleć o Bogu niż na odwrót”.

Jednak, szczerze mówiąc, Szmulik w ogóle nie myślał w tej chwili o Bogu, ale o tym, że gdyby madame Pierłowa miała taką białą skórę, żenić się z nią byłoby znacznie przyjemniej.

— Muszę z tobą koniecznie porozmawiać! — powiedziała szyksa.

A litwak wciąż wytrzeszczał gały. Dobrze się to nie skończy — niechybnie doniesie rebemu.

— Spieszę się — burknął Szmulik. — Nie mam czasu.

I chciał iść sobie dalej, ale piękna szyksa nagle zachwiała się i z jękiem oparła na Szmulikowym ramieniu.

— Oj, jakoś zakręciło mi się w głowie... Chłopcze, odprowadź mnie w cień... Przynieś wody...

Przymknęła oczy, rękę uniosła ku skroni. Słońce ją spiekło, nieprzyzwyczajona.

Jedna z najważniejszych Bożych nauk, która odwołuje wszelkie zakazy, głosi: bądź miłosierny. Odprowadzę ją w cień, dam się napić i zaraz pobiegnę — postanowił Szmulik.

Ujął osłabłą kobietę za łokieć, a drugą ręką, niczym wachlarzem, pomachał jej przed nosem — to, aby litwak zobaczył, że nie chodzi tu o jakiś flirt, tylko że człowiekowi zrobiło się niedobrze od upału.

W zaułku było cieniście i nie tak gorąco. Szmulik posadził Rosjankę na kamiennym stopniu, pobiegł do studni i przyniósł w jarmułce wodę.

Szyksa odrobinę wypila i zaraz doszła do siebie. Odezwała się do Szmulika:

— Chłopcze, szukam pewnego człowieka.

Tutaj Szmulik powinien był ruszyć w swoją drogę. Okazał miłosierdzie i wystarczy. Wzięła go jednak ciekawość, kogo to ona szuka. Zaułek to w końcu nie ulica. Nikt tu specjalnie nie chodzi i nie ma komu wybałuszać gał na ucznia jeszybotu, który rozmawia z szyksą.

— Jakiego człowieka?

— Nazywa się Manujła. Prorok sekty „znajd”, słyszałeś może?

Zadrżał. Jakie to dziwne! Ta też o bosonogim sztukmistrzu!

Zdaje się, że coś błysnęło w jego oczach, bo ruda szybko zapytała:

— Przecież był tutaj. A ty go widziałaś, tak?

Szmulik zwlekał z odpowiedzią.

Wydarzyło się to w pierwszą sobotę po święcie Paschy, całe dwa tygodnie temu, a zupełnie jakby dzisiaj.

Rebe Szefarewicz zaprowadził uczniów do Ściany Płaczu.

Stanęli w szeregu i zaczęli się modlić. Szmulik zamknął oczy, aby wyobrazić sobie Świątynię w całej jej nieprzemijającej wspaniałości — jaka była dawniej i jaka będzie, kiedy wybije godzina.

Nagle sąsiad szturchnął go łokciem w bok i kogoś mu wskazał.

Stał tam włóczęga w brudnym chałacie, przepasany niebieską szmatą. W rękę trzymał sękaty kostur, a na nogach

miął chłopskie łapcie, uwalane zaschlą gliną. Goła kudłata głowa, na plecach worek na sznurku — w krainie Pejł nazywają je sidorami.

Oberwaniec z ciekawością obserwował kołyszających się boleściwie Żydów. Niedbale zadarł szatę i podrapał się po żylastej, włochatej goleni — spodni pod łachmanami nie miał.

Cóż to robicie, ludzie, i dlaczego płaczecie? — zapytał po hebrajsku, dziwacznie wymawiając słowa.

Wyglądało na to, że mimo rosyjskich łapci jest jednak Żydem, tyle że dosyć osobliwym. Żeby Żyd nie wiedział, co opłakuje się przy Ścianie Płaczu?! Z całą pewnością obłąkany.

Prawo nakazuje okazywać szaleńcom współczucie, Szmulik więc odpowiedział uprzejmie włóczędze — rzecz jasna, nie po hebrajsku (święty język nie jest przeznaczony do byle jakiego gadania), ale w jidysz:

— Opłakujemy zburzoną Świątynię.

Niezbyt dobrze rozumiem twój język, odparł golonogi w swym śmiesznym hebrajskim, przypominającym klekotanie ptaka. Powiedziałeś, że opłakujecie świątynię? Tę, która stała tutaj dawniej? Wskazał Wzgórze Świątynne.

Szmulik skinął, już żałując, że wdał się w rozmowę.

Włóczęga zdziwił się. A po cóż to, powiada, ją opłakiwać? Kamienie to kamienie. Lepiej, byście się modlili, żeby jak najszybciej przyszedł Meszycha.

Szmulik nie od razu zrozumiał, co to za „Meszycha”, ale kiedy się domyślił, że to przekrecone słowo „Masziach”, Mesjasz, to się przestraszył. Tym bardziej że rebe przestał odmawiać modlitwę i odwrócił się. Podskoczył do niego Beri, który wszystko wie, i szepnął:

— Rebe, to rosyjski prorok Manujła, ten właśnie... Wiedziano go już w mieście, mówiłem wam.

Czoło nauczyciela groźnie się zmarszczyło, a on sam głośno powiedział po rosyjsku:

— Jestem Aron Szefarewicz, członek rady rabinów miasta Jeruzalaim. A kimże jesteś ty, który toczysz czcze rozmowy w języku modlitwy, dla ciebie obcym? Skąd przyszedłeś i jak się nazywasz?

Włóczęga odpowiedział, że nazywa się Emmanuel, a przyszedł z góry Har Ha-Zetim, gdzie spędził noc w jednej z tamtejszych jaskiń. Po rosyjsku mówił także nieszczególnie — o takich powiada się, że mają „kaszę w ustach”. I co to za jaskinie na Górze Oliwnej? Może grzebalne? No, to rebe da mu teraz za bluźnierstwo!

Nauczyciel jednak o jaskinię się nie dopytywał, zamiast tego rzekł z obrzydzeniem:

— I dlatego jesteś taki brudny w dzień szabatu?

Kopałem ziemię, to i uświłem się jak prosiak, beztrusko zaśmiał się Emmanuel.

— Kopałeś ziemię? W szabat? I chcesz mienić się Żydem?

Wokół zebrał się cały tłum. Wszyscy chcieli posłuchać, jak wielki talmudysta, mistrz słownych pojedynków, rozprawi się z fałszywym prorokiem.

Człowiek, który nazwał się Emmanuelem, lekceważąco machnął ręką. Ee, powiedział, nie człowiek dla szabatu, ale szabat dla człowieka.

— Żydzi tak nie mówią, tak mówi chrześcijański bóg Jezus — zauważył na stronie, zwracając się do uczniów, rebe Szefarewicz. — Nie, Emmanuelu, ty nie jesteś Żydem.

Włóczęga przysiadł na piętach, położył kostur na kolanach i z rozbawieniem, od dołu, popatrzył na nauczyciela.

Odpowiedział tak. Żadnego boga Jezusa nie znam, a Żydem jestem, możesz być tego pewien. Wszak Żyd to nie ten, który zrodzony jest z Żydówki, nosi pejsy i nie je wieprzowiny, ale ten, który pragnie oczyścić duszę. Żydem może zostać każdy, kto zawrze przymierze z Bogiem, i bezcelowe jest tu wymyślanie głupich zakazów i pozbawianie małych chłopców kawałka ciała. Bóg uwierzy człowiekowi i bez tego. Tu Emmanuel zaniósł się śmiechem i zakończył swą bluźnierczą przemowę w sposób absolutnie nieprzyzwoity, wręcz łobuzerski. Rozważ sam, powiedział, członku rady rabinów, po co Bogu, do którego należą wszystkie skarby nieba i ziemi, jeszcze i taki skarb — kawałek twojej *pipiske!*

Zabawne słówko zabrzmiało tak nieoczekiwanie, że niektórzy uczniowie zachichotali, Szmulik zaś przymknął oczy, aby czym prędzej uwolnić się od obrazu, jaki natychmiast wyrysowała zbyt zuchwała wyobraźnia: Pan Bóg przygląda

się darowi rebe Szefarewicza i zastanawia się, co ma z tym drobiazgiem zrobić — czy ma go jakoś zachować, czy też wyrzucić.

Chichoty urwały się. Zapanowała złowieszcza cisza. Jeszcze nikt nigdy tak strasznie nie znieważył czcigodnego rebe, i w dodatku na oczach całego tłumu Żydów! I nie gdzie indziej, tylko pod Ścianą Płaczu!

Czy należy się dziwić, że nauczyciel nie potrafił się opanować?

— Żydzi! — zakrzyknął, potrząsając pięścią. — Bijcie w niegodziwca kamieniami!

Mało kto spośród obecnych podniósł kamień, a jeśli nawet, to raczej dla pozorów. Bo jakże to — obrzucać żywego człowieka kamieniami?

Rzucił tylko Michl-Byk, najgorszy spośród uczniów, którego rebe trzymał w jeszybocie do najcięższych robót. Michl był dwakroć roślejszy od pozostałych i czterekroć silniejszy. Wszyscy bali się jego gniewnego i bezwzględного charakteru. Szmulik widział raz, jak Byk pochwycił za ogon psa podwórzowego i roztrzaskał mu głowę o ścianę. Przy czym pies go nie ugryzł, nawet nie obszczekał — leżał tylko pośrodku drogi, co psy bardzo lubią.

Kamień trafił kucającego w pierś. Ten zachwiał się, ale podniósł szybko i przyłożył rękę do miejsca, gdzie go uderzono.

Michl ujął następny kamień, ale wówczas Emmanuel, patrząc krzywdzicielowi w oczy, wyrzekł szybko bardzo dziwne słowa. Chłopcze, zawołał żałośliwie, to mnie boli! Boli mnie tak samo jak twego ojca, kiedy go zabijano.

Byk wypuścił kamień i pobladł. Szmulik nigdy by nie uwierzył, że twarda miedziana gęba Michla może być tak biała.

Bo i jakże! Skąd obcy człowiek dowiedział się, że w czasie połtawskiego pogromu „Chrystusowi oprycznicy” zabili ojca Michla?

Tu opamiętał się także rebe Szefarewicz — machnął ręką, żeby pozostali również odrzucili kamienie.

— To utrzymujesz, że jesteś Żydem? — zapytał.

Oczywiście, Żydem, wymruczał dziwny włóczęga, ściągając kołnierz swojej chlamidy na dół. Na kościstej piersi ślad po uderzeniu szybko stawał się granatowopurpurowy.

Nauczyciel rzekł złowieszczo:

— To doskonale. *Henech, gej-no mit mir!**

I skierował się szybkim krokiem do pałacu Machkame, który stał w sąsiedztwie Ściany Płacz. Henech, miejscowy uczeń, który znał języki arabski i turecki, popędził za nim.

Szmulik od razu się domyślił, dokąd i po co spieszy rebe. W Machkame mieściły się sąd miejski i *zaptija*, turecka policja. Wedle prawa wszyscy Żydzi podlegają radzie rabinów i jeśli członek rady poleci wsadzić któregoś z nich do więzienia, powinno to być wykonane.

Zdaje się jednak, że Emmanuel o tym nie wiedział, bo w ogóle się nie przestraszył, a nikt spośród Żydów go nie uprzedził.

Byk ochryple zapytał:

— Skąd wiesz o moim ojcu?

Włóczęga w odpowiedzi: przeczytałem.

— Gdzie przeczytałeś? W gazecie? Przecież to było siedem lat temu!

Nie w gazecie, powiedział Emmanuel, ale w książce.

— W jakiej znowu książce?

A w takiej, oświadczył z powagą oberwaniec i wskazał na czoło Michla. Ja, powiada, potrafię czytać twarze, jak inni czytają książki. To bardzo proste, tylko trzeba znać alfabet. Liter w owym alfabecie nie ma trzydziestu siedmiu, jak w rosyjskim, i nawet nie dwudziestu dwóch, jak w hebrajskim, tylko jest ich zaledwie szesnaście. Czytać twarz to znacznie ciekawsze niż czytać książkę — i więcej ci opowie, i nigdy nie oszuka.

Tu Byk zaczął nagle odmawiać modlitwę, przeznaczoną na okazje, kiedy zobaczysz coś cudownego albo kiedy będziesz miał szczęście spotkać wyjątkowego człowieka: *Baruch ata Adonaj Elohenu melech ha-olam, sze-kacha lo be-olamo* — „Błogosławionyś Ty, Panie Boże nasz, Władco Świata, gdzie zdarza się coś takiego”.

Żeby Michl bez przymusu, sam z siebie odmówił modlitwę? Niewiarygodne!

Pomodliwszy się, Byk powiedział:

* Henech, chodź ze mną (jidysz).

— Musicie uciekać, rebe. Przyleci tu zaraz policja, będą was bić i wsadzą do więzienia.

Emmanuel obejrzał się niespokojnie na duży budynek, w którym zniknął rebe Szefarewicz. Ach, powiada, ach, zaraz odchodzę. Odchodzę na dobre. I poufnie oświadczył otaczającym go ludziom, że w Jerozolimie nie ma na razie nic do roboty. Przyjrzałem się faryzeuszom, teraz pójde popatrzeć na saduceuszy. Mówiono mi, że saduceusze osiedlili się w Dolinie Izraelskiej, tam gdzie dawniej było miasto M^oUniósł skraj koszuli i pospiesznie odszedł.

Michl dopędził go, chwycił za ramię.

— Rebe, ja z wami! Droga do Megiddo daleka, wszędzie tam rozbójnicy, sami przepadniecie! Jestem silny, będę was bronił. A wy w zamian nauczycie mnie tych szesnastu liter!

Ów jednak pokręcił przecząco głową.

— Dlaczego?! — zawołał Byk.

Ty, powiedział sztukmistrz, nie nauczysz się tych liter. Tobie to niepotrzebne. A żebyś szedł ze mną, też nie ma potrzeby. Nic mi się nie przytrafi, Bóg mnie ochroni. Mnie tak, ale nie tych, którzy będą ze mną. Dlatego teraz poruszam się wszędzie w pojedynkę. Ty zaś, jeśli chcesz stać się Żydem, staniesz się nim i beze mnie.

Ruszył szybko, niemal w podskokach, w stronę Gnojnej Bramy.

Ledwie skrył się za węglem — nie minęło pół minuty — gdy pojawił się rebe Szefarewicz, a z nim dwaj tureccy żandarmi.

— Gdzie on jest, Żydzi?! — zawołał wielki człowiek.

— Tam, tam! — wskazali Żydzi.

Henech przetłumaczył to żandarmom na turecki i Turcy pobiegli łapać zakłócającego spokój. Po kilku minutach wrócili, jęcząc i utykając. Jeden miał rozbitą głowę, drugi wypłukał krew razem z zębami.

Żydzi nie wierzyli własnym oczom: jakim sposobem chuderlawy włóczęga mógł się rozprawić z takimi silnymi chłopiskami?

Policjanci zaś wyplatali głupstwa. Niby już-już dopędzili włóczęgę, ale ten umknął im w zaułek. Popędzili w ślad za

nim, gdy nagle w ciemnym przejściu wydarzyła się rzecz straszna. Diabelska siła pochwyciła jednego z nich za kołnierz i walnęła o mur, tak że padł bez przytomności. Drugi nie zdążył się nawet obejrzeć i spotkało go to samo. *Szajtan, szajtan!* — powtarzali przerażeni policjanci, a rebe Szefarewicz wycedził: *Ha-Satan!* — i splunął.

Sztukmistrz okazał się sprytny, choć na pierwszy rzut oka nikt by tego nie przypuszczał.

Tego samego dnia wieczorem Michl-Byk odszedł. Bo i jak nie miałby odejść po tym, co wydarzyło się przy Ścianie Płaczu?

Na pożegnanie powiedział: „Pójdę, obejdę Ziemię. Zobaczę, jaka to ta Afryka. I jeszcze Ameryka”.

Do białej koszuli przyszył niebieską wstążkę i odszedł. Opuścił swój naród...

Oto co wydarzyło się w pierwszą sobotę po żydowskiej Wielkanocy. Szmulik jednak nie opowiedział szyksie ani o Michlu-Byku, ani o gołonogim magiku, który kradnie żydowskie dusze; rzekł tylko:

— Człowiek, o którego pani pyta, był tutaj i poszedł sobie.

— Kiedy? — ożywiła się Rosjanka.

— Dwa tygodnie temu.

— A nie wiesz, dokąd poszedł?

Szmulik zawahał się — ma powiedzieć czy nie? A cóż takiego? Dlaczego by nie powiedzieć?

— Mówił o Dolinie Izraelskiej, o starożytnym mieście Megiddo i o saduceuszach.

— Megiddo? — powtórzyła szyksa, a jej oczy rozszerzyły się przerażone. — O Boże! A gdzie to jest i jak tam się dostać?

Wyjęła z sakwojaża małą książeczkę. Była w niej złożona kartka, a na niej mapa.

Szmulik chciał powiedzieć głupiej, że droga do Doliny Izraelskiej jest długa i trudna, że Emmanuel i tak tam nie trafi, bo w pojedynkę nikt tam nie chodzi z powodu wielkiej liczby rozbójników. A już kobieta z Europy naprawdę nie ma się po co pokazywać w takiej głuszy.

Chciał, ale nie zdążył, dlatego że obejrzał się niechętny i całkowicie zeszytywniał. Przeklęty litwak, który niedawno wybałuszał gały na ulicy, okazał się natrętny i oto teraz wygląda zza

rogu. Strach pomyśleć, co nakłamię rebe Szefarewiczowi. Jedyna nadzieja w tym, że nie rozpoznał, w którym jeszybocie uczy się miłośnik rozmów z szyksami.

Szumlik natychmiast wpadł na złamanie karku w najbliższy zaułek, dał nura w głęboką sień i przyczał się.

Obok zastukały damskie obcasiki — to przeszła szyksa. Po chwili w tym samym kierunku zaszurały miękko głuche kroki.

Chwała Tobie, Panie. Udało się.

Zycie w arabskim haremie, widziane od środka

Megiddo? Saduceusze?

Polina Andriejewna szła szybko wąziutkim zaułkiem, a echo jej kroków odbijało się dźwięcznie od murów, między którymi nie było więcej niż sążeń.

Na pewno saduceuszami nazwał syjonistów. Bez wątplenia są do siebie podobni. Tamci także upierali się przy wolnej woli i utrzymywali, że los człowieka spoczywa w jego rękach. Okrągłutka dziewczyna z parowca „Jesiotr” wspominała o Dolinie Izraelskiej i o Mieście Szczęścia, które wzniesione będzie niedaleko starożytnego Megiddo.

Ach, jak wszystko źle się dzieje! Ach, jak niedobrze!

I przecież minęły całe dwa tygodnie!

Decyzję podjęła w jednej chwili, bez najmniejszych wahań. Jak to dobrze, że pomyślała o tym, by na wszelki wypadek wziąć ze sobą sakwojaż z najniezbędniejszymi rzeczami: bielizną, składaną przeciwsloneczną parasolką, różnymi damskimi drobiazgami. Do hotelu można nie wracać.

W przewodniku dla pielgrzymów obok mapy Ziemi Świętej był także plan Jerozolimy. Oto i kwartał żydowski, w dole Starego Miasta. Należy kierować się cały czas prosto, przez dzielnicę chrześcijańską, a potem przez muzułmańską, i trafić się na Bramę Damasceńską.

Tyle że zaułek nie chciał prowadzić prosto — zbaczał to w jedną stronę, to w drugą, tak że wkrótce pani Lisicyzna straciła wszelką orientację. Słońca zaś nie było widać, bo piętra domów, obudowane drewnianymi kratkami i przypominające kurniki, wysuwały się naprzeciw siebie i niemal się stykały.

Mniszka zatrzymała się niezdecydowana. Nie było kogo zapytać o drogę. Może ktoś wyjrzy przez okno?

Zadarła głowę — i w samą porę. Zza otwartej kratki wysunęły się kobiece ręce, trzymające miednicę. W dół poląła się, błyskając srebrem, struga wody z mydlinami.

W ostatniej chwili Polina Andriejewna zdążyła uciec w jakiś boczny zaułek i jeszcze odskoczyć, żeby nie zamoczyły jej bryzgi.

Ponieważ i tak już zabłądziła, powrót nie miał sensu — ruszyła przed siebie bocznym zaułkiem. Tyle że teraz co rusz spoglądała z obawą do góry. Sądząc po napotykanym śladach, z okien wylewano także nieczystości mniej niewinne niż woda z mydlinami.

Byle jak najszybciej wydostać się na normalną ulicę! Zaułek doprowadził do jakiegoś klasztoru, a tam było już łatwiej. Idąc wzdłuż murów, Pelagia dotarła na plac i pierwszego odzianego po europejsku przechodnia zapytała, jak trafić do Bramy Damasceńskiej.

Odszukać zaś dom Salacha istotnie nie było trudno.

Mniszka zatrzymała się przy ulicznej arabskiej kawiarni, powiedziała „Salach” i ufała, że trzyma lejce. Zrozumiano ją doskonale i odpowiedziano w tym samym języku: prosto, potem na prawo, a tam zobaczysz bramę (nakreślony w powietrzu półokrąg i „tuk-tuk-tuk”).

Na stukanie otworzył sam gospodarz, który rozstał się z Poliną Andriejewną jakieś trzy godziny temu.

— Jest pan na pewno zdziwiony — wyrzekł zdyszany gość. — Ale mam do pana sprawę.

Ujrawszy niedawną pasażerkę, Salach wytrzeszczył brązowe, nieco wylupiające oczy, kiedy jednak usłyszał o „sprawie”, zaczął machać rękami.

— Nie wolno! Nie wolno sprawa! Gości przyszła, zapraszamy serdecznie. Kawę pić będziemy, jeść chałwa. Potem mówić sprawa.

Pelagia chciała powiedzieć, że sprawa nie cierpi zwłoki, ale przypomniała sobie o sztywnej wschodniej etykietce i dała spokój. Koniec końców, co zmieni kilka dodatkowych minut, a innego woźnicy w Jerozolimie i tak przecież nie zna.

Z zewnątrz dom Salacha wyglądał nieszczególnie: łuszczące się ściany, śmieci i odpadki tuż przy bramie. Polina Andriejewna przygotowała się zatem na przykry widok biedy i zaniedbania. Czekala ją jednak niespodzianka.

Dom zamykał prostokątną przestrzeń, a pośrodku miał otwarte podwórze. Wewnętrzne ściany budynku oślepiały bielą, w centrum zaś podwórza, pod baldachimem, wznosił się nader wygodny pomost, przykryty dywanem.

Pelagii przypomniła się opinia, wyczytana w książce pewnego podróżnika: azjatyckie domostwo, w odróżnieniu od europejskiego, troszczy się nie o zewnętrzny pozór, ale o wewnętrzną wygodę. Właśnie dlatego ludzie Wschodu są tak flegmatyczni i obojętni — ich świat ogranicza się do ścian własnego domu. Odwrotnie Europejczycy — tym pod własnym dachem niewygodnie, włóczę się więc po całym świecie, badając i podbijając odległe ziemie.

A przecież azjatycka droga jest lepsza — pomyślała nagle Polina Andriejewna, osuwając się z rozkoszą na miękkie poduszki. Jeśli życie jest poszukiwaniem samego siebie, to po cóż wlec się na kraj świata? Siedź sobie w domu, pij kawę z miodowymi placuszkami i kontempluj własne wnętrze.

Gruba kobieta z dosyć wyraźnym wąsikiem postawiła na dywanie paterę z kandyzowanymi owocami i naląka kawę.

Salach zamienił z nią kilka zdań po arabsku, a potem przedstawił:

— Fatima. Żona.

Fatima na pomost nie weszła — przysiadła obok na piętach, z dzbankiem w rękach, i za każdym razem, kiedy gość opuszczał na chwilę filiżankę, dolewała kawy.

Straciwszy kilka minut na wymogi etykiety (piękny dom, wspaniała kawa, miła małżonka), Pelagia wyjawiała cel wizyty: trzeba pojechać do Megiddo. Ile to będzie kosztowało?

— Nic — odpowiedział gospodarz, kręcąc głową.

— Jakże to?

— Nie jestem szalony. Żadne pieniądze nie jadę.

— Dwadzieścia pięć rubli — powiedziała Polina Andriejewna.

— Nie.

— Pięćdziesiąt!

— Choćby tysiąc! — Salach gniewnie klasnął w dłonie. — Nie jadę!

— Ale dlaczego?

Zaczął rozprostowywać palce.

— Gorączka bagienna. Raz. Rozbójnicy Beduini. Dwa. Rozbójnicy Czerkiesi. Trzy. Za nic nie jadę.

Powiedziane to było nie po to, żeby podnieść cenę, ale w sposób ostateczny — mniszka od razu zrozumiała. Wygląda na to, że straciła czas na próżno! Rozdrażniona Pelagia odstawiła filiżankę.

— A przechwalał się: zawiozę, dokąd zechcesz.

— Dokąd zechcesz, ale nie tam — uciął Salach.

Widząc, że gość nie pije już kawy, Fatima zapytała o coś męża. Ów odpowiedział — zdaje się, że wyjaśnił, o co chodzi.

— A zatem znowu pan nakłamał — skonstatowała gorzko Polina Andriejewna. — Jak mnie wówczas o żonie Rosjance, Amerykanom zaś o Amerykance.

— Kto nakłamał? Ja nakłamał? Salach nigdy nie nakłamał! — oburzył się Palestyńczyk.

Klasnął w dłonie i zawołał:

— Marusia! Annabel!

Z drzwi, które prowadziły w głąb domu, wyjrzała kobieta, ubrana na sposób wschodni, ale tak rumiana i z tak perkatym nosem, że nie mogło być żadnych wątpliwości co do jej pochodzenia. Na głowie miała arabską chustkę, zawiązaną jednak nie pod brodą, jak czynią to miejscowe, ale na karku, po chłopsku.

Otrzepując powalane mąką ręce, Słowianka pytająco spojrzała na Salacha.

— Tutaj chodź! — nakazał i zakrzyknął jeszcze głośniejszym głosem: — Annabel!

Nie usłyszawszy odpowiedzi, podniósł się i zniknął w domu.

Z wnętrza dobiegły jego nawoływania:

— *Honey! Darling! Come out!*

— Naprawdę jest pani Rosjanką? — zapytała Polina Andriejewna.

Okrągłolica kobieta skinęła, podchodząc bliżej.

— Pani Natasza, tak? Małżonek mi opowiadał.

— Nie, jestem Marusia — zaciągnęła rodaczka głębokim głosem. — „Nataszkami” tutejsze chłopcy nazywają wszystkie nasze baby. Tak już poszło.

— To dużo jest tutaj Rosjanek?

— Moc — oświadczyła Marusia, biorąc z patery cykatę i umieszczając ją w pełnych ustach. — Która baba na pielgrzymce ma rozum, to nie chce się do Rosyi nawracać. Bo co tam dobrego? Harujesz jak kobyła. Chłop pije. Zimą namarzniesz się. A tutaj sama dobrość. Ciepło, błogo, jakie chcesz owoce. A jak której trafi się męża znaleźć, to już całkiem raj. Arap, ten wody nie żłapie, łagodny, i znowuż nie sama musisz koło niego chodzić. Kiedy bab trzy albo cztery, to dużo lżej. Nie tak, Fatimka? Zatrąkotała po arabsku, tłumacząc to, co powiedziała. Fatima potaknęła. Nalała sobie i Marusi kawy, przysiadły obydwie na skraju pomostu.

Z domu wciąż dobiegały anglojęzyczne wezwania.

Marusia pokręciła głową.

— Anka nie wyjdzie. O tym czasie pisze książkę.

— Co? Co? — zamrugła Pelagia. — Jaką książkę?

— O babskim życiu. Po to i wyszła za mąż. Powiada: pożyję roczek z arabskim chłopem, a potem książkę napiszę, jakiej jeszcze nie było. A nazwę ma książka taką. — Tu Marusia wyrecytowała bez zająknięcia: — *Lajf-in-arabian-harem-sin--from-insajd*. To po amerykańsku, a po naszymu: *Opowieść o arabskich chłopach*. Powiada: cała Ameryka taką książkę kupi, milion pieniędzy zarobię. Anka to baba uczona, a mądra, że aż strach. Prawie jak Fatimka. Potem, powiada, pojedę do kraju Chiny, wyjdę za mąż za Chińczyka. Też książkę napiszę: *Opowieść o chińskich chłopach*. Baby muszą wiedzieć, jak gdzie indziej żyje się naszym siostrom.

Zaintrygowana Polina Andriejewna zawołała:

— Ale jakże ona pojedzie?! Przecież jest zameżna!

— Bez ceregieli. Tutaj to bardzo łatwe. Sałasza trzy razy wypowie: „Nie jesteś już moją żoną”, i to wszystko, jedź sobie, dokąd chcesz.

— A jeśli nie wypowie?

— Wypowie, co by miał zrobić. I nie trzy razy, tylko trzydzieści trzy. Baba, jak zechce, zawsze chłopą opanuje. A trzy baby tym łatwiej...

Marusia przetłumaczyła to Fatimie, a ta znowu potaknęła. Siedzieć tak we trójkę, pić mocną aromatyczną kawę i rozmawiać o kobiecych sprawach było dla mniszki czymś niezwykłym i pociągającym — na jakiś czas zapomniała nawet o swej pilnej misji.

— Ale jak się godzicie, żyjąc z jednym mężczyzną?

— Bardzo dobrze. Samej Fatimce było z nim trudno: i gospodarstwo prowadzić, i doglądać dzieci. To i dobrała mnie za żonę — wypatrzyła na bazarze. Zobaczyła, że jestem baba mocna, robotna i pocziwa.

— I Salach zgodził się?

Marusia zaśmiała się i powtórzyła pytanie koleżance. Ta również parsknęła. Powiedziała (Marusia przetłumaczyła na rosyjski):

— A kto go pytał?

Dla Poliny Andriejewny wszystko to było niesłychanie interesujące.

— A czym zajmuje się u was Amerykanka?

— Anka? Uczy dzieci i pokutuje za nas w łóżku, osobliwie w upały. Jest młoda, chuda, dla niej niegorąco. A i dla książki pożytek. Jak dokończy i odejdzie, inną weźmiemy, też młodzieńką. Już postanowione. Jakaś Żydóweczkę z tujejszych, bo są żwawe.

— Czy islam pozwala żenić się z Żydówkami?

Marusia zdumiała się.

— A ty co, myślałaś, że ja swoją wiarę zamieniłam na ichnią? Mowy nie ma; w jakiej się urodziłam, w takiej umrę. Sałasza mnie nie przymuszała. Islam to wiara dobra, bez złości. Chrześcijanki i Judejki to po ichniemu „ludzie Księgi”, znaczą się Biblii. Żenić się z nimi nie jest wstyd. To tylko z nieczystymi pogankami nie można, a kto je tutaj widział, te poganki?

W tym miejscu Fatima po raz pierwszy powiedziała coś, nie czekając na przekład.

— Pyta, dlaczego tak ci pilno do Megiddo.

— Potrzebuję koniecznie odnaleźć pewnego człowieka, a Sałach nie chce, boi się. Nawet za pięćdziesiąt rubli.

Wąsata grubaska popatrzyła na gościa, szacując go uważnie.

— Kochasz go bardzo?

Zaskakujące pytanie zmieszało Pelagię do tego stopnia, że nie wiedziała, co odrzec. Najprościej było skłamać:

— Tak...

Powiedziała to i oblała się rumieńcem. Jakież to wstyd, kiedy mniszka kłamie!

Fatima zrozumiała to jednak po swojemu.

— Mówi, że jak się zaczerwieniłaś, to znaczy, że naprawdę mocno kochasz.

Żony rozmówiły się po arabsku. Potem starsza pogładziła Polinę Andriejewnę po policzku i coś krótko powiedziała.

— Pojedzie — przetłumaczyła „nataszka” Marusia. — A pięćdziesiąt rubelków oddaj Fatimie.

Kłopoty

Długa podróż przez fale, góry i doliny nastroiła Jakowa Michajłowicza filozoficznie. W jego profesji nieczęsto się zdarzało, żeby tak spokojnie i niespiesznie mógł poruszać się po matce Ziemi. Szczególnie przyjemna była podróż morską. Śledzić obiektu nie było potrzeby — ze statku nigdzie nie ucieknie. Przeciwnie, należało trzymać się jak najdalej, żeby nie rzucać się w oczy. Podróż morzem, z racji sytych posiłków i zdrowej drzemki na pokładzie, pozwoliła nawet Jakowowi Michajłowiczowi przybrać na wadze.

Była to jednak rzecz chwilowa — tłuszczuk zniknął natychmiast. Spróbujcie przejść w upale siedemdziesiąt wiorst.

Po zejściu na brzeg Jakow Michajłowicz uznał, że należy zmienić wygląd — na parowcu był nierzucającym się w oczy pasażerem w panamie i płóciennym kostiumie, a na lądzie wtopił się w tłum jeszcze bardziej — jako chłopski pielgrzym. Tacy ciągną do świetlanej Jerozolimy w niesłychanej liczbie.

Obiekt jechał konnym zaprzęgiem, ale tak byle jakim, że nie trzeba być kozą, żeby nadażyć.

W Jerozolimie zaś Jakow Michajłowicz uznał za celowe przeobrazić się w Żyda. Publika ta była tutaj niesłychanie różnorodna, przy czym wszyscy boczyli się na siebie nawzajem i porozumiewali własnymi gwarami. Do fałszywego litwaka podchodzili parę razy podobni chałaciarze w kapelu-

szach i o coś zagadywali, ale Jakow Michajłowicz jedynie me-
czał w odpowiedzi — Żydzi także bywają głuchoniemi. Lit-
wacy litościwie cmokali i zostawiali nieboraka w spokoju.

I wszystko toczyło się jak najlepiej, dopóki nie przydarzył
się kłopot.

Jakow Michajłowicz podążał za obiektem ciasnym zauł-
kiem. Utrzymywał dystans, nie kleił się, ale też nie tracił z
oczu, nie zawierzał samemu postukiwaniu obcasików.

Nagle ukazało się nadprzyrodzone zjawisko, po prostu fa-
tamorgana, inaczej tego nie nazwiesz.

Odwrócił się za ledwie na sekundkę, żeby sprawdzić, czy
nikt nie idzie z tyłu. Z przodu raptem plusk. Spojrzał — z
okienka na piętrze leje się woda, a mniszka jakby zapadła się
pod ziemię. Przetarł oczy — chyba przywidzenie. Dopiero co
tutaj była i żegnajcie: na ziemi tylko kałuża wody z mydlina-
mi. Roztopiła się niczym Śnieżka? A może zauważyła, że ktoś
ją śledzi, i puściła się co sił w nogach?

Popędził przed siebie, ale po stu krokach zaułek kończył
się ślepo. Dopiero wracając, odkrył po prawej stronie wą-
ziutkie przejście, gdzie pewnie czmychnęła ruda.

Za późno — nie dogonisz.

Pokręcił się trochę po zaułkach, spocił jak mysz. Ktoś
inny, o słabszym charakterze, natychmiast by zwątpił, ale
Jakow Michajłowicz, jak już mówiliśmy, wierzył święcie w
potęgę ludzkiego rozumu. Nie ma nierozwiązywalnych
zadań, zdarzają się jedynie tępi rozwiązujący.

Zatrzymał się w cieniu, natężył umysł.

No, no. Co w takiej sytuacji podpowie rozum?

Iść do rosyjskiej misji, do kobiecego hotelu? I tam czekać
na zbytnicę?

Ale po co miała w ręku sakwojażyk? Jeśli nie zamierza wra-
cać do hotelu, to co wtedy?

Kombinował dalej. Kiwnął głową i powiedział: „Mądralina”.

Zawrócił w stronę dzielnicy żydowskiej.

Przygarbiony Żydziak był w tym samym miejscu, gdzie
przywołała go ruda. Stał oparty plecami o mur i pociągał no-
sem. Potem przysiadł na piętach, podniósł patyk i zaczął coś
gryzmolić na ziemi. Tak go to wciągnęło, że nie zauważył, jak
podszedł do niego Jakow Michajłowicz.

Ow odczekał, aż ulica opustoszeje, i trącił chłopaka w ramię. W skierowanych na Jakowa Michajłowicza czarnych oczach odbił się różowy poblask zachodu; można w nich było także odczytać strach.

Cherlak zaszwargotał coś w żydowskim żargonie i potrząsnął głową — wyglądało na to, że próbuje się usprawiedliwiać.

— Chodź ze mną, koleżko — powiedział Jakow Michajłowicz, lekko ścisnął chudziutkie ramię i jednym szarpnięciem postawił Żydka na nogi.

— Ja nic — wybełkotał chłopczyzna po rosyjsku. — Ja dałem jej tylko wody...

— Chodźmy, chodźmy — powtarzał uspokajająco rzekomy litwak, prowadząc chłopaka za sobą. — O, tutaj mamy spokojne miejsce. Pogadamy sobie i nikt nam nie przeszkodzi. O co pytała cię ta ruda?

Żydek spojrział w spokojne oczy Jakowa Michajłowicza i zdaje się, że zobaczył w nich coś szczególnego, bo z trudem przełknął ślinę, a wargi mu zadrżały.

To dobrze, że jest taki pojętny. Aby zaoszczędzić sobie czasu, Jakow Michajłowicz przycisnął palcem miejsce pod obojczykiem, gdzie jest splot nerwowy, a drugą ręką zamknął chłopakowi usta, żeby niepotrzebnie nie krzyczał.

Krzyzczeć nie mógł — jedynie zajęczał. Rozszerzyły się mu źrenice — to od bólu. Jakow Michajłowicz, z racji swych zajęć, wielokrotnie miał okazję obserwować to osobliwe zjawisko, ostatnio zaś w pewnym naukowym piśmie wyczytał, że to reakcja fizjologiczna, wywołana ostrym podrażnieniem nerwu wzrokowego.

— To o co cię ona pytała? — powtórzył Jakow Michajłowicz, odczekawszy, aż źrenice chłopaka nieco się zwężą.

Cofnął dłoń, ale tylko odrobinę — na parę werszków. Palec, którym przycisnął bolesne miejsce, także trzymał w gotowości.

— O rosyjskiego proroka — szybko odpowiedział Żydek. — O Emmanuela... Jest tu taki...

Jakow Michajłowicz uśmiechnął się i z aprobatą poklepał chłopca po głowie, a ten ze strachu aż przymknął oczy.

— Mówisz prawdę, wierzę ci. A czy wiesz, dokąd ona się udała?

— Nie wiem, wujaszku... — Żydek zawiódł Jakowa Michajłowicza, ale kiedy zobaczył, jak sposepniało oblicze straszego człowieka, natychmiast dodał: — Mówiła o Dolinie Izraelskiej. Pytała, jak tam się dostać. I jeszcze o Megiddo.

„Wujaszek” westchnął z ulgą.

— I niczego więcej nie powiedziała?

— N-nie...

Chłopak był chyba wydojony do ostatka. Jakow Michajłowicz zamyślił się.

— Wujaszku, daję słowo, wszystko panu powiedziałem...

— Milcz, koleżko, nie przeszkadzaj. Zastanawiam się, czy można darować ci życie — wymamrotał „wujaszek”, pocierając skroń.

Tu Żydek ni stąd, ni zowąd wypalił — uroczyście, z przekonaniem:

— Zabić mnie w żaden sposób nie można, bo muszę uratować ludzkość!

To zdecydowało. Jeśli to jeden ze zbawców ludzkości, to na pewno rozgada — zrozumiał Jakow Michajłowicz. Znamy ich żydowski telegraf.

Uśmiechnął się uspokajająco do chłopca, jedną ręką pogładził go po guzowatym karku, a drugą ujął za wąski podbródek i gwałtownie, mocno szarpnął.

W kurzej piersi coś zapiszczało, a kiedy Jakow Michajłowicz się cofnął, chudziak bezgłośnie osunął się po murze. Rozdęta, uczona głowa opadła na ramię i zbawca ludzkości połączył się ze swymi przodkami.

To dopiero Berdyczowski!

Matwiej Bencjonowicz, unikając wzroku dziesiętnika rejonu kijowskiego, za to patrząc na jego wilgotne wargi, które ułożyły się do pocałunku w kurzy kuper, wycedził z odrazą:

— Pocałunek Judasza. Co, poznałeś mnie, żydowski kumie?

Przydało się teraz to poręczne określenie, zapożyczone od „esauła”.

Sawczuk wytrzeszczył oczy, Kola zaś zwinął wargi tak, że dolna opadła mu wraz ze szczęką.

Teraz najważniejsze były burza i napór.

— Niezłych macie „apostołów”! — napadł Berdyczowski na fabrykanta. — Widziałem tego typka w „Bristolu”! Żydowskie gniazdo, parch na parchu! A ten pełza przed nimi na czworakach. Oni do niego „ty” i „Kolka”, a on do nich z całym szacunkiem! Kiedy widzę, jak Rosjanie sami depczą swoją godność, to robi mi się ciemno przed oczyma!

„Esauł” pospieszył ratować Kole.

— Ależ to celowo! To my mu tak nakazaliśmy! W „Bristolu” zatrzymują się wszyscy ważni Żydzi. Mikołaj to nasze oczy i uszy!

— Gnie się do samej ziemi za byle dziesięć kopiejek. — Rozgniewany prokurator nie chciał nic słyszeć. — Może to u was jest on żydowskimi oczami i uszami!

Gniew Matwieja Bencjonowicza robił wrażenie. Usta pryskały śliną, rękami zaś machał tak wściekle, że tragarz cofnął się, wpadł na krzesło i zwałił na ziemię.

— Zapewniam pana, panie Dyczowski, że myli się pan, to nasz człowiek! — uspokajał Berdyczowskiego „esauł”. —

Sprawdzony dokładnie! Brał udział w najtajniejszych akcjach.

Radca stanu pozwolił się w końcu udobruchać, ale bynajmniej nie od razu.

Tu nastąpił kontratak ze strony obrażonego Koli. Wskazując palcem Matwieja Bencjonowicza, zawołał drżącym z oburzenia głosem:

— Nie miał takich włosów, był czarniawy!

Prokurator rzucił wzgardliwie:

— Głupiec! Nie słyszałeś o farbie do włosów?

— Kola, tyś naprawdę głupiec — wsparł prokuratora fryzjer. — Zajdź do mnie, a ja z miejsca cię przemaaluję.

— Ale dlaczego przefarbował się pan na Żyda? — zasępił się Sawczuk.

Berdyczowski dał znak oczyma: chodźmy na stronę.

Zaszeptał „esaułowi” na ucho:

— Jutro znowu się przefarbuję. Mam pewien plan. Chcę udawać Żyda. Wkręcę się do nich i wybadam, kto oni i jak ich podejść. Mam nadzieję, że dostanę od was stosowne informacje. Kto kieruje ich sanhedrynem po wyjeździe Szefarowicza?

— Jest pan szalony! — Fabrykant zamachał rękami. — Jak z pańskim wyglądem mógłby pan uchodzić za Żyda! Obcego natychmiast rozgryzą. I jak tę dziewczynę — głową pod wodę...

— Raz się żyje, sam pan tego doświadcza — skromnie, mężnie, bez jakiegokolwiek przesady powiedział Berdyczowski. — No, Sawczuk, niechże powie mi pan wszystko, co pan wie.

„Infernalna Zizi”

W piątek rano radca stanu wybrał się na Wielką Berdyczowską do naczelnika gubernialnego komitetu więziennictwa, gdzie zasięgnął pewnych informacji.

Po obiedzie podjął wyprawę numer dwa — tyle że nie do jeszybotu Goel-Israel (po którym zresztą został tylko budynek). Znalazł się cel o wiele bardziej interesujący.

Pogoda była znakomita, prawie letnia, zatem Matwiej Bencjonowicz postanowił się spacerować, tym bardziej że należało zebrać myśli.

Jakże niepodobny był Żytomierz do ukochanego Zawołzka!

Raj i piekło — powtarzał Berdyczowski, rozglądając się dookoła. Tutaj to bez wątpienia piekło — mimo świeżego listowia, lekkiego wiatereku i błękitnego nieba. Mało tego, na tle piękna natury brzydota miasta raniła jeszcze bardziej. Jakże wyraźnie świat Boży różnił się tutaj od ludzkiego!

Bóg zesłał żytomierzanom i wysokie niebo, i śpiew ptaków, i wspaniały widok z Góry Zamkowej na Teterew.

Ludzie zaś dodali od siebie do Bożego daru brudne zaułki z koślawymi domami, zaplute i zapaskudzone jezdnie, a ponadto własne, wykrzywione złością fizjonomie.

W Zawołzsku wyczuwało się we wszystkim skromną trwałość, pewność, tutaj zaś królowały ponura nędza i jakaś rozlazłość: tylko patrzeć, jak domki zamieniają się w próchno, a mieszkańcy rozpierzchną we wszystkie strony niczym poparzone karaluchy. Ponadto w powietrzu unosiło się jakieś szczególne napięcie, zupełnie jakby miasto gotowe było w każdej chwili stanąć dęba i zamienić się w pole bitwy.

Co za spojrzenia, co za twarze, kręcił głową Berdyczowski, tęsknie przypominając sobie zawołzczan.

Żytomierski tłumek zdumiewał pstrokacizną. Obok Żydów, Rosjan i Ukraińców trafiali się tutaj i Polacy, i Niemcy, i Czesi, i raskolnicy, przy czym każdy ubierał się i zachowywał po swojemu, na obcoplemieńców patrzył z góry i nie chciał mieć z nimi żadnych kontaktów.

Może to kwestia przynależności narodowej? Nie, odpowiedział sobie Matwiej Bencjonowicz. W Zawołzsku także mieszanina — i Tatarzy, i Baszkirowie, i Zytiacy, i Wotiacy, i Mordwini, i ciż Polacy. Jedni to prawosławni, drudzy są staroobrzędowcami, inni wyznają islam, jeszcze inni katolicyzm i wreszcie zdarzają się też poganie. I co, żyją wspólnie nie najgorzej, nikt nikogo za gardło nie chwyta.

Berdyczowskiemu przyszła do głowy nieprzyjemna antysemicka myśl, akurat stosowna dla przechrzty: może wszystkim winni są Żydzi? Bo też jest to religia indywidualistycz-

na, każdy Żyd ma własne układy z Bogiem, a zatem odpowiada tylko za siebie. Dlatego Żydzi są do przyjęcia, kiedy jest ich mało. Kiedy jednak jest ich wielu albo, jak w Żytomierzu, większość, to koncentracja energii jest tak duża, że nie obędzie się bez iskrzenia.

Chociaż nie, w Petersburgu Żydów prawie nie ma — nie pozwala się im tam mieszkać — a wrażenie życia pod wulkanem jest znacznie ostrzejsze niż w Żytomierzu.

Petersburg naprowadził na odpowiedź. To nie jest kwestia Żydów ani tym bardziej różnic narodowych i religijnych.

To kwestia władzy.

Bo w Zawołżsku władze działają rozważnie, tak że wszyscy żyją sobie spokojnie, sąsiad sąsiadowi nie jest wilkiem i nikt nikomu w spodnie nie zagląda — czyś obrzezany, czy nie. Jeśli jednak ktoś się uprze, to od razu dostanie za swoje: albo od władzy doczesnej, to jest od gubernatora, albo od władzy duchownej, to jest od archijereja.

W Żytomierzu zaś konflikty między mieszkańcami są podtrzymywane, o czym może zaświadczyć osoba policmajstra Likurgowicza. To samo mamy w Petersburgu, a zatem — należy przyjąć — w całym ogromnym imperium.

Przeprowadza się odgórnie segregację narodów i religii — jedno lepsze, inne gorsze, jeszcze inne zupełnie nieprzydatne. Tak powstaje długa drabina, z której Rosja może się zwyczajnie ześlizgnąć, połamać sobie kości, a nawet skrócić kark.

Na najwyższym stopniu umieszczeni są prawosławni Wielkorusini, potem inni prawosławni, potem Niemcy luteranie, a dalej Gruzini, Ormianie, muzułmanie, katolicy, raskolnicy, Żydzi — za Żydami zaś już tylko jakieś zakazane sekty: w rodzaju duchoborców albo chłystów. Każdy podany wie, na jakim znajduje się szczeblu, ale żaden nie jest z tego zadowolony. Także rzekomo uprzywilejowani Wielkorusowie, bo dziewięciu na dziesięciu z nich cierpi głód, są niepiśmienni i żyje się im gorzej niż tym, którzy stoją od nich niżej.

Wszystko to pachniało socjalizmem, do którego Matwiej Bencjonowicz miał stosunek negatywny, uważając teorię przymusowej równości za szkodliwą niemiecką pokusę, nakierowaną na niepewne siebie dusze. Prokurator westchnął

i dał sobie spokój z filozofowaniem — powrócił do rzeczywistości. Zresztą najwyższy był na to czas — Góra Zamkowa została z tyłu, a zaczynała się Podgóрка, którą inspektor komitetu więziennictwa nazwał „okropną żydowską płuskwiarnią”.

Inspektor miał zapewne rację, myślał Berdyczowski, krocząc po brudnych ulicach żydowskiej dzielnicy. Jak przy takiej nędzy „oprycznicy” mogą urządzać pogromy? Tu i tak wszystko jest zniszczone i rozbabrane.

Porządnemu panu w meloniku przyglądano się z ciekawością. Wielu witało się z nim w jidysz, a niektórzy próbowali nawet nawiązać rozmowę, jednak Matwiej Bencjonowicz uprzejmie odmawiał: *unszuldiken si mir**, drogi panie, spieszę się.

Radca stanu przemalował się na powrót z anioła na bruneta; w tym celu kupił w znanym już *salon de beaute* farbę „Infernalna Zizi”, która obiecywała „czuprynę wroniej barwy ze zdumiewającym antracytowym połyskiem”.

Naturalnej barwy włosów nie udało się uzyskać (najwyraźniej Anioł i Zizi mieli coś przeciwko sobie w sensie chemicznym) i rzadki porost na głowie prokuratora przyjął kolor brunatnoczerwony. To nic, Żydzi i tacy bywają, dlatego Matwiej Bencjonowicz pogodził się z tym łatwo. Ucieszył się nawet z tej rudości, która jakoś przybliżała go do Pelagii (chroń ją, Boże, od wszelkich nieszczęść i utrapień).

Pod synagogą kłębił się tłumek dziwacznych oberwańców. Było głośno i hałaśliwie, ale nie na sposób rosyjski, z przekleństwami i babskimi piskami, tylko tępo i dokuczliwie, z lamentami i wznoszeniem rąk — słowem, prawdziwy żydowski *chipesz*. No tak, to przecież piątkowy wieczór. Biednym Żydom rozdaje się *chalaw* — dzbanki z mlekiem i chały, żeby mogli świętować sobotę.

Od synagogi bardzo blisko, radca stanu przypomniał sobie wskazówki inspektora. Trzeba tylko skręcić w Małą Wileńską.

No i mamy — piętrowy szary dom z koślawą mansardą (wedle słów inspektora — „gniazdo pająka”).

* Proszę wybaczyć (jidysz).

Na szyldzie po rosyjsku, po polsku i żydowsku wypisane było: „Lombard i kasa pożyczkowa Efraima Gołosowkera”.

Rada za dwadzieścia pięć tysięcy

Berdyczowski zabrzączał dzwoneczkiem i wszedł do kantoru, który na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie nędznego i zapuszczonego. Jeśli jednak ktoś chciałby przyjrzeć się uważniej, to zobaczyłby, że zakurzone, popękane okna zabezpieczone są wyjątkowo mocnymi stalowymi prętami, że w drzwi wstawiony jest potrójny angielski zamek, a sejf pyszni się matowo stalą Kruppa.

Nie lubimy się wysadzać — ustalił w duchu prokurator, przyglądając się właścicielowi.

Pan Gołosowker miał na głowie wyszmelcowaną jarmułkę, zauszniki okularów wzmocnione były sznureczkiem, a na łokciach wydymały się przetarte buchalteryjne zarękawki. Rzuciwszy okiem na interesanta, udał, że jest niezwykle zajęty — trzasnął gałkami liczydeł.

W pomieszczeniu był jeszcze jeden człowiek — fircykowa ty blondyn z idealnym przedziałkiem. Stał w kącie przy kantorku i wpisywał coś do podniszczonej księgi rachunkowej.

— *Szabat szolom* — przywitał się Matwiej Bencjonowicz z okazji nadchodzącej soboty.

Młody człowiek wyszemrał:

— Witamy.

Spojrzenie miał wyjątkowo łagodne, wprost jedwabne.

Lichwiarz zaś jedynie skinął. Spojrzał na przybysza raz jeszcze, nieco dłużej, i wyciągnął otwartą dłoń.

— Proszę pokazać.

— Co pokazać? — zdziwił się Berdyczowski.

— To, co pan przyniosłeś.

— Skąd pomyśl, że coś panu przyniosłem?

Gołosowker przewrócił oczami, westchnął i cierpliwie, jak komuś nierozgarniętemu, wytłumaczył:

— Do mnie przychodzi się albo-albo. Albo wziąć pożyczkę, albo zastawić rzeczy. Chyba nie jesteś pan *cudrejter*, aby myśleć, że dam pożyczkę nieznajomemu? Nie, *cudrejter* pan

nie jesteś. Żyd, jeśli z niego *cudrejter* albo, wyrażając się kulturalnie, idiota, nie nosi melonika za dwanaście rubli i marynarki z angielskiego tweedu za czterdzieści, a może nawet za czterdzieści pięć rubelków. To znaczy, że coś pan przyniósł. No, co tam pan ma? Złoty zegarek? Sygnet z kamieniem?

Opuścił okulary na koniec nosa, a w oku umieścił lupę i pstryknął palcami.

— No, proszę pokazać. Nie jestem żadnym cadykiem ani rabinem, ale w piątek wieczorem chodzę do synagogi, a potem śpiewam *Szalom alejchem, mal'achej ha-szalom* i zasiadam do świątecznego stołu. Kiesza, a pan co się tak guzdrze? — zwrócił się do blondyna. — Lepiej bym najął jakiegoś Żyda bezbożnika, żeby siedział w kantorze w piątek wieczorem i w sobotę.

— Już, już, Efraimie Lejbowiczu — potulnie odezwał się Kiesza i zaczął pisać coś w księdze ze zdwojoną pilnością. — Jakoś nie widzę w spisie turkusowego naszyjnika madame Stuckier. Czy nie przyjdzie go wykupić? Jutro ostatni dzień.

— Przyjdzie na pewno, chociaż to sobota, i będzie płakała, że nie ma pieniędzy, a to oznacza, że naszyjnika nie oddamy. Zamykam go w sejfie.

Wykorzystując przerwę w rozmowie, Matwiej Bencjonowicz przyglądał się „pająkowi”, próbując ustalić, jak z kimś takim rozmawiać. Zapewne najlepiej byłoby utrafić w jego ton.

— Niczego panu nie przyniosłem, mosje Gołosowker — powiedział radca stanu, a jego głos sam z siebie nabrał śpiewnej intonacji, która, jak się wydawało, przepadła raz na zawsze wraz z długimi latami nauki i służby państwowej. — Przeciwnie, chcę od pana coś dostać.

Lichwiarz cofnął rękę i zmrużył oczy.

— Będę dawał coś nieznanemu, choćby nawet był w meloniku? To co, myślisz pan, że jestem *szlimazl*!

Berdyczowski uśmiechnął się nieznacznie.

— Nie, mosje Gołosowker, nie jesteś pan *szlimazl*. Wielki Ibn Ezra powiedział: „Jeśli *szlimazl* zechce być grabarzem, ludzie przestaną umierać, a jeśli *szlimazl* zacznie sprzedawać świeczniki, to przestanie zachodzić słońce”. A u pana interes, o ile mi wiadomo, jest w całkowitym porządku.

— A o ile panu wiadomo? — zapytał Gołosowker. — I czy mogę się dowiedzieć, o ile naprawdę panu wiadomo? Wybaczysz pan, ale kim pan jesteś i skąd?

— Mordechaj Berdyczowski. — Wymieniając imię, które nosił do chrztu, prokurator skłonił się. — Z Zawoźska. I istotnie co nieco o panu wiem. — Spostrzegłszy, jak na te słowa stężyła twarz rozmówcy, Matwiej Bencjonowicz dodał pośpieszenie: — Proszę się nie obawiać, mosje Gołosowker. Chcę poprosić pana o to, czego chętnie udzieli każdy Żyd — o radę.

— I przyjechałeś pan do Żytomierza z Zawoźska, żeby poprosić Efraima Gołosowkera o radę? — zapytał podejrzliwie lichwiarz.

— Będziesz się pan śmiał, ale właśnie tak.

Śmiać się Efraim Lejbowicz nie zaczął, ale lekko się uśmiechnął — z pewną obawą i jednocześnie zadowoleniem.

Berdyczowski spojrział z ukosa na młodego człowieka, którego zachowanie dowodziło, że zajęty jest pracą i niczego wokół siebie nie widzi ani nie słyszy.

— Proszę mówić, mosje Berdyczowski. Kiesza to dobry chłopak, *ajidisze charc**, chociaż kacap. Wie, że co zostało powiedziane w tych ścianach, to w tych ścianach musi zostać.

Posiadacz żydowskiego serca, tak się przynajmniej wydawało, nie słyszał pochlebnej rekomendacji — w skupieniu szeleścił stronicami, czegoś na nich wyszukując.

Niemniej jednak prokurator zniżył głos.

— Mam w Zawoźsku spółkę zapomogowo-pożyczkową, coś niby jak u pana. No, może nieco zasobniejszą.

Kciukiem i palcem wskazującym pokazał, jak niewiele zasobniejszą.

— A jak to się panu udało? Przecież gubernia zawoźska jest poza granicą osiedlenia. Przechrzciłeś się pan?

— Nie, no jakże! — Berdyczowski z wyrzutem rozłożył ręce. — Jak to się mówi, że świńskiego ogona jarmułki nie uszyjesz. Ale to, powiem panu, był jeszcze ten *makes*. Trzeba było zapisać się do pierwszej gildii kupieckiej. Niech pan tylko nie myśli, że być kupcem pierwszej gildii to *cymes mit kompot*. Samo świadectwo kosztowało pięćset sześćdzie-

* Żydowskie serce (jidysz).

siąt pięć rubli, a jeszcze przecież trzeba prowadzić sprzedaż hurtową — a jaka może być w naszym rzemiośle sprzedaż hurtowa? Nie chcesz hurtu — to opłacaj się policmajstrowi, *a loch im in kop* — zgrzeszył Matwiej Bencjonowicz, obrzucając błotem wyjątkowo uczciwego zawoźskiego policmajstra.

Nie mógł się sam sobie nadziwić — z jaką łatwością wypływały z pamięci słówka i wyrażenia z dzieciństwa.

— Ech, nie poznał pan jeszcze naszej policji. — Gołosowker uśmiechnął się smętnie. — Gorszych urlów nie widziałem nawet w Białej Cerkwi.

Prokurator poczuł się niepewnie, ale zaraz sobie przypomniał: *url* to inaczej goj.

Czas był wszakże przejść do rzeczy. Berdyczowski zaczął ostrożnie:

— Zwrócił się do mnie pewien człowiek. Chce otworzyć własny interes i prosi o pożyczkę w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy.

Efraim Lejbowicz, na znak szacunku dla podobnej sumy, wzniósł oczy ku górze.

— Pewnie bym nie dał, dlatego że to człowiek w Zawoźsku nowy i nieruchomości tam nie posiada, ale są tu pewne szczególne okoliczności. To szlachcic, goj, rekomendacje jednak przywiózł od Żyda, i to nie od jakiegoś tam łajdaka, tylko od szacownego rebe Szefarewicza z waszego miasta.

Gołosowker uniósł brwi, a Berdyczowski natychmiast zamilkł — czekał na jakiś komentarz. Ale nie, nic takiego nie nastąpiło.

— Pan Szefarewicz to taki człowiek, że o nim i o jego Goel-Israel słyszeliśmy nawet w Zawoźsku. Poręczenia rebe go nie sposób zlekceważyć. Zresztą i procent jest korzystny. Ja jednak jestem człowiekiem rozważnym. Postanowiłem przyjechać tutaj i sprawdzić. I czego się dowiaduję? Okazuje się, że rebe wyruszył do *Jeruszalaim, eliger sztot**. — Wymawiając nazwę świętego miasta, Matwiej Bencjonowicz wzniósł nabożnie ręce. — Poza tym wiadomo, że mój klient siedział tutaj w więzieniu za długi.

* Jerozolimy, świętego miasta (jidysz).

— No tak, wiedziałem — z satysfakcją zauważył lichwiarz. — Jakiś łajdak.

— Proszę zaczekać, to nie takie proste. Siedział, ale niezbyt długo. Ktoś za niego wszystko wypłacił, co do kopiejki. A powiedziano mi w zaufaniu, że dług spłacił albo sam rebe Szefarewicz, albo stało się to za jego wiedzą. Czy zatem mogę przyjąć to poręczenie? Przyszedłem do pana, mosje Gołosowker, dlatego że zna pan doskonale mojego klienta. To niejaki Bronisław Racewicz, pański dawny dłużnik. Wszak to pan go posadził?

— Tak, ja. — Właściciel kasy uśmiechnął jak człowiek, który wspomina swoje dawne zwycięstwo. — Bo jak mądry handlowiec obraca swoimi pieniędzmi? Dzieli je na trzy części: podstawową część inwestuje w sprawy pewne, ale dające niewielki dochód. Drugą część przeznacza na przedsięwzięcia o średnim ryzyku — i ze średnim zyskiem. A najmniejszą część traci na projekty całkowicie wątpliwe, gdzie jak nic można stracić wszystkie pieniądze, ale w razie powodzenia można wygrać bardzo dużo. W moim i pańskim geszefcie inwestycja o wysokim ryzyku to skupowanie beznadziejnych weksli. Za dziesięć, czasami za pięć procent. Sam pan zresztą wie.

Berdyczowski skinął, chociaż te lichwiarskie mądrości były dla niego całkowitą nowością.

— Najczęściej stracisz, ale czasami się udaje. No i wykupiłem weksle Racewicza za tysiąc rubelków. Ludzie nie mieli nadziei na zwrot swoich pieniędzy, bo to człowiek, co służy w żandarmach. A ja się nie wystraszyłem. I dostałem wszystko, całe piętnaście tysięcy. Oto czym jest inwestycja o wysokim stopniu ryzyka.

Gołosowker podniósł znacząco palec. Wyrzuciwszy podziw dla obrotności rozmówcy, Matwiej Bencjonowicz z najwyższą ostrożnością zapytał:

— To kto w takim razie pokrył weksle? Szacowny rebe Szefarewicz?

Efraim Lejbowicz skrzywił się pogardliwie.

— Szefarewicz miałby wykupywać żandarma? *A chic in parowóz!*

— „Żar w parowozie”? — nie zrozumiał Berdyczowski. — Co oznacza to wyrażenie?

Lichwiarz roześmiał się.

— Z pańskim nazwiskiem powinien pan je znać. Powstało w Berdyczowie, kiedy przeprowadzono tam linię kolejową. Chciałem powiedzieć, że Szefarewiczowi potrzebny jest ten żandarm jak dodatkowe palenisko w parowozie.

— Ale przecież mogą oni mieć jakieś szczególne, nieznanne postronnym stosunki...

— Nie, nie i nie — uciął Gołosowker. — Stosunki między ludźmi mogą być jakiegokolwiek, to jasne, ale piętnastu tysięcy Szefarewicz nigdy by nie zebrał. Kto miałby wiedzieć, jak nie ja? Szefarewicz i piętnaście tysięcy! Proszę mnie nie rozśmieszać! W taki *umzin** można uwierzyć, kiedy mieszka się w Zawołżsku. Niech pan przepędzi Racewicza na zбитy pysk, to oszust. Pieniądzy panu nie odda, a rekomendacje sfałszował — wie na pewno, że Szefarewicz wyjechał i już nie wróci. Oto moja rada, która warta jest dwadzieścia pięć tysięcy!

Lichwiarz potwierdził to szerokim, szczodrym gestem.

Triumf emancypacji

— Chwileczkę, chwileczkę — zaniepokoił się Matwiej Bencjonowicz, któremu odpadła druga, a zarazem ostatnia wersja. — Mówi pan, że Goel-Israel nie miał pieniędzy, żeby wykupić Racewicza. Trudno w to uwierzyć. Tak szanowany człowiek jak rebe Szefarewicz nie potrzebuje kapitału. Wystarczy jego polecenie, a bogaci Żydzi przyniosą, ile potrzeba. Od człowieka, który zasługuje na całkowite zaufanie, słyszałem, że szanowny rebe przypomina proroka Ezechiela. Ludzie powiadają, że tak groźnego i wojowniczego Żyda nie było od czasów Judy Machabeusza, że w rebe Szefarewiczu odrodziły się siła i gniew Izraela.

— Niech pan napluje temu, kto panu to powiedział, w fizjonomię. Szefarewicz to zwyczajna żydowska pleciuga, jakich wiele rodzi nędzna ziemia wygnania. Trzęsą brodami, błyskają oczami i odgrażają się, a przy tym przypominają węże; syczą głośno, ale gryzą niegroźnie. — Gołosowker cięż-

* Głupstwo (jidysz).

ko westchnął. — Machabeusze odrodzili się istotnie, ale nie mają pejsów ani nie świętują soboty, może mi pan wierzyć.

— Pan o syjonistach?

— O niektórych. — Lichwiarz obejrzał się na młodego człowieka i zaszeptał: — Czy wie pan, na co straciłem te piętnaście tysięcy i dodatkowo jeszcze pięć? — Rozłożył bezradnie ręce. — Nie uwierzy pan. Na osuszenie bagien w jakiejś palestyńskiej dolinie. Jak się panu to podoba? Gdzie Efraim Gołosowker, a gdzie te bagna?

— To uczynek szlachetny — rzucił z roztargnieniem Berdyczowski, myśląc o swoich sprawach.

— Będziesz szlachetny, jeśli proszą cię tak przekonująco, *az och-n-wej...*

Intonacja, z jaką wypowiedziane zostało to zdanie, zaintrygowała radcę stanu.

— Zmuszono pana? Szantaż?

— Nie. — Efraim Lejbowicz uśmiechnął się gorzko. — Ten człowiek nie szantażował. Przyjechał do mnie do hotelu. Uprzejmy, młody, pod krawatem, w surducie. Powiedział łagodnym głosem: „Gołosowker, jest pan bogatym człowiekiem, a wzbogaciłeś się pan głównie na krwi żydowskiej biedoty. Nadszedł czas, aby podzielić się ze swoim narodem. Będę panu niezwykle zobowiązany, jeśli w ciągu trzech dni przekaże pan na konto komuny «Megiddo-Chadasz» dwadzieścia tysięcy rubli. A jeśli nie, to znowu się spotkamy”. A powiedział to tak spokojnie, że nie ma żadnego porównania z przemowami rebe Szefarewicza. Pomyślałem sobie: oto żmija, która nie syczy, ale jeśli już ukąsi — to *neszyne gedacht**. I strasznie nie chciało mi się zobaczyć z tym człowiekiem ponownie.

— Kiedy to było? Gdzie? I kim jest ten człowiek?

— Pytasz pan kiedy? Cztery miesiące temu. Pytasz pan gdzie? W Odessie, *zol dos farchapt wern***.

Matwiej Bencjonowicz przypomniał:

— Zapytałem też, kim był ten bandyta.

*Nie daj Boże (jidysz).

** Żeby tak przepadła (jidysz).

— To pan go tak nazwał, nie ja. — Lichwiarz obejrzał się na drzwi, chociaż do Odessy było stąd dobre pięćset wiorst. — Wielu Żydów uważa, że jest bohaterem. Gdybyś pan mnie zapytał, to powiem, że bohaterów i bandytów wyrabia się z tej samej mąki, ale to nieważne. Uprzejmy młody człowiek, który złożył mi wizytę, nazywał się Magellan. Rozpytałem godnych zaufania ludzi. Opowiedzieli mi o tym Magellanie takie rzeczy, że pomyślałem: niech już sobie te bagna będą. To jest: niech już ich nie będzie. Dwadzieścia tysięcy to bardzo duże pieniądze, ale po co one nieboszczykowi?

— Aż tak? — Berdyczowski uśmiechnął się, rozbawiony opowieścią. Kto mógłby oczekiwać takiej wrażliwości od żytomierskiego wyzyskiwacza?

— Nie będę panu powtarzał wszystkiego, co powiedzieli mi zaufani ludzie o Żydzie imieniem Magellan, bo byłoby to za długo, nocą zaś miałby pan na pewno koszmarne sny, a komu potrzebne koszmary w sobotnią noc? Opowiem panu tylko o tym, co widziałem na własne oczy, a potem dopiero będzie pan mówił „aż tak?” i uśmiechał się, zgoda? — Gołosowker wzdrygnął się na niedobre wspomnienia. — Myślisz pan, że jestem *miszugener*, żeby za bezdurno, a nawet mocno przestraszony, oddawać dwadzieścia tysięcy na jakieś bagna? Dwa dni to dwa dni, pomyślałem. W ciągu dwóch dni Bóg zdołał oddzielić światło od ciemności i wodę od łądu — a co dopiero mówić o bagnach! W odeskiej gazecie wyczytałem, że następnego dnia „Megiddo-Chadasz” urządza mityng, postanowiłem więc przyjrzeć się tym ludziom. Jeśli są niebezpieczni — natychmiast uciekam do Żytomierza, niechaj mosje Magellan szuka wiatru w polu. A jeśli nie za bardzo, to najpierw załatwię swoje odeskie interesy, a ucieknę dopiero później.

Poszedłem. Cóż, mityng jak mityng. Jakiś Żyd wykrzykuje, reszta słucha. Potem pojawia się inny Żyd i też krzyczy. Potem trzeci. Długo wrzeszczą na całe gardło, ale to na nic, bo Żydzi kochają mówić sami, a słuchać innych nie lubią. Wreszcie wystąpił Magellan. Mówił cicho i niedługo, ale słuchano go tak, jak w naszej synagodze słucha się kantora Zejewsohna, kiedy przyjeżdża z Kijowa ze swoim osiemnastoosobowym chórem. A kiedy Magellan skończył i powiedział: „Kto z nami — proszę podpisywać się pod Kartą” (mieli jakąś tam

Kartę, coś w rodzaju potwierdzenia albo przysięgi), to ustawiła się cała kolejka, złożona z młodych ludzi. Wszyscy chcieli osuszać bagna i bić się z arabskimi bandytami. A ja pomyślałem: Bóg z nimi, z odeskimi interesami, wyjeżdżam natychmiast do Żytomierza. Aż tu nagle rozpycha publiczność Fira Dorman i także zaczyna przemawiać. Wywieziono ją jako dziewczynkę do Ameryki, a tam nasiąknęła rozmaitymi głupimi ideami i przyjechała macić w biednych żydowskich głowach, które i tak są wystarczająco mętne...

No to Fira wystąpiła — krótko ostrzyżona, z papierosem, w jakichś szarawarach — i zakrzyknęła tak gromkim głosem, jak jakiś feldfelbel na placu musztry: „Nie wierzcie temu szmoku, dziewczęta! Łgał wam tutaj o równouprawnieniu, o nowym braterstwie. A ja was zapytam: czym jest to «braterstwo»? Jeśli równouprawnienie, to dlaczego nie «siostrzeństwo»? I dlaczego najważniejszy jest w komunie mężczyzna? Dlatego że ten frazesowicz chce wam zafundować nowe niewolnictwo! Do nas, do Ameryki, także przyjeżdżali tacy jak on, aby urządzić komuny! Opowiem wam, czym to się skończyło! Biedne dziewczyny pracowały tak samo jak mężczyźni, ale poza tym opierały ich, karmiły i rodziły dzieci, a kiedy postarzały się przedwcześnie i utraciły wdzięki, to dawni «bracia» sprowadzili sobie nowe żony, młodsze, którym o równouprawnieniu już nie opowiadali!”

Fira trochę jeszcze pohłasowała, a potem pochwyciła ich Kartę z podpisami i podarła na drobne strzępy. Wrzaski, krzyki. Ona zaś stanęła przed Magellanem i podparła się pod boki. „I co, zapomniałeś języka w gębie, eksploatatorze?” Odpowiedział z większym niż zwykle spokojem: „Popieram równouprawnienie płci. Kobiety są takimi samymi ludźmi jak mężczyźni. Zaraz to udowodnię”. Ona na to: „Słowa, tylko słowa!” Magellan: „Nie, czyny. Każdemu mężczyźnie, który ośmieliłby się zniszczyć coś, co jest dla nas święte, połamałbym jego świętokradcze ręce. To właśnie uczynię z tobą”. Nikt nie zdążył zareagować — pochwycił ją za ramię i szarpnął z taką siłą, że Fira przysiadła na podłodze. Po czym miły młody człowiek złamał jej rękę na swoim kolanie. To samo powtórzył z drugą ręką. Powiem panu, że to było „cóż”. Chrzęst, trzask! Fira rozwarła usta, oczy wy-

trzeszczone, a ręce od łokci zwisają niczym na sznurku, i tylko zadarł się jeden rękaw: widać, jak cieknie krew, a kość wystercza spomiędzy poszarpanej skóry!

— To dopiero typek. — Berdyczowski skrzywił się na ów ścisły opis. — I co, aresztowano go? Zgodnie z kodeksem karnym to „spowodowanie uszkodzeń ciała w stopniu średnim” — kara więzienia do lat pięciu albo katorga do lat trzech.

Powiedział to i zmieszał się — nazbyt wyszło po prokuratoru. Poruszony okropnymi wspomnieniami Gołosowker przepuścił prawnicze ustalenia mimo uszu.

— A gdzie tam! Fira skargi na policję nie złożyła. Naza-jutrz przyjechała do Magellana, objęła go zagipsowanymi rękami za szyję i wyciąowała — za to, że uznał kobietę za istotę równouprawnioną. Ale sam tego już nie widziałem, bo byłem w drodze do Żytomierza.

— Uciekł pan?

— Popędziłem zbierać pieniądze — odrzekł ze smutkiem Efraim Lejbowicz.

— Jest to historia, rzecz jasna, efektowna, ale mojego problemu nie dotyczy — wyrzekł Berdyczowski. — Jeśli nie rabin wykupił Racewicza, to kto w takim razie?

Lichwiarz wzruszył ramionami.

— Pieniądze wpłynęły na moje konto z kijowskiego oddziału Rosyjskiego Banku Handlowo-Przemysłowego.

— I nie wiadomo, od kogo? — zapytał niepewnym głosem Matwiej Bencjonowicz.

— Nie wiadomo. Rzecz jasna, próbowałem ustalić, ale Rosyjski Handlowo-Przemysłowy to bank gojski, nie mam tam żadnych znajomych. Zresztą! — Efraim Lejbowicz filozoficznie wzruszył ramionami. — Alboż to moja sprawa? Kiesza, czy skończył pan wreszcie?

Sekretny znak

Prokurator wyszedł ponownie na Małą Wileńską w całkowitym pomieszaniu. Wyglądało na to, że wyprawę do Żytomierza podjął na próżno, że niepotrzebnie utracił drogi cenny czas.

Obydwie wersje, jedna lepsza od drugiej, zawiodły go donikąd. Znalazło się niewielkie zaczepienie, które prowadziło do kijowskiego banku, ale to żadna pociecha. Berdyczowski wiedział doskonale, czym jest tajemnica bankowa, i traktował ją z należnym uszanowaniem. Można, rzecz jasna, wysłać za pośrednictwem prokuratury oficjalne zapytanie, ale to pisanina nie na jeden tydzień, a poza tym rezultat może i tak okazać się znikomy. Jeśli przekazujący pieniądze chciał zachować incognito, to zawsze potrafi je

Matwiej Bencjonowicz stanął niepewnie, nie bardzo wiedząc, co miałby teraz robić i dokąd się udać.

Czyżby śledztwo osiągnęło kres? A co z Pelagią?

Nagle z tyłu odezwał się łagodny tenorek:

— Proszę pana... No jakże... pan Berdyczowski!
Odwróciwszy się, radca stanu ujrzał sympatycznego subiekta Kieszę.

— Czy może pan tak sobie zostawić kasę? — zdziwił się prokurator. — Czy pan Gołosowker już wyszedł?

— Zamyka osobiście sejf. — Blondyn uśmiechnął się nieznacznie. — Ja w takich chwilach muszę być na zewnątrz.

— Czego pan sobie życzy? Czy chciałby pan coś mi powiedzieć?

Kiesza jakoś niepewnie skłonił głowę i jękając się, zapytał:

— Proszę posłuchać... Przecież nie jest pan właścicielem spółki pożyczkowo-kredytowej.

— Co panu przyszło do głowy?

Berdyczowski patrzył na subiekta z coraz większą uwagą.

— Tak naprawdę to interesuje pana Racewicz, domyśliłem się. I zdaje się, że wiem dlaczego.

— To dlaczego?

Tu młody człowiek zrobił dziwny gest: ujął lewą dłoń Matwieja Bencjonowicza i połaskotał ją małym palcem.

Zaskoczony prokurator wzdrygnął się i już chciał się oburzyć na tak niesłychaną familiarność, jednak się powstrzymał. Dziwaczne łaskotanie przypominało jakiś se-

— Aha, wiedziałem — skinął Kiesza i roześmiał się ci chutko. — Teraz jasne jest, dlaczego chce pan wiedzieć, kto

wykupił Racewicza. W interesującym pana przedmiocie mam dosyć wiarygodne przypuszczonek. Tyle że nie jestem Żydem i bezpłatnych rad nie udzielam.

— Ile? — schrypniętym z podniecenia głosem zapytał Berdyczowski.

XI MIASTO SZCZĘŚCIA

Żydowskie szczęście I

Przemówień nad trumną nie wygłaszano. I nie płakano. Tak się członkowie komuny umówili. Zresztą sama Rochele, zanim zaczęła bredzić w przedśmiernej malignie, poprosiła: „Nie płaczcie”.

Malaria była czymś zupełnie innym, niż sądziła Małke. Rankiem Rochele wstała jak zwykle, wydoiła krowy, potem usiadły sortować nasiona i śpiewały na dwa głosy *Nie trzeba wspomnień*, gdy nagle powiedziała: „Jakoś pociemniało mi w oczach, zaraz przejdzie”. A po półgodzinie płonęła już żywym ogniem.

Małke zaprowadziła ją do chanu, Rochele zaś wciąż powtarzała: „Ja sama, ja sama, a ty idź, bo chłopaki wrócą z pola, a tu obiad niegotowy”.

Przybiegł Magellan, przyłożył dłoń do jej czoła i popędził konno do Zichron-Jaakow po doktora Szermana. A przed nocą, kiedy przybył lekarz, Rochele już nie żyła. Okazało się, że malaria może rozwijać się błyskawicznie.

Najlepszą i najpiękniejszą pochowali ciemną nocą przy świetle pochodni. Małke umyła nieskostniałe jeszcze ciało — niewiarygodnie białe, bez jednego choćby pieprzyka — ubrała nieboszczkę w jedwabną suknię, włożyła szykowne pantofelki, których Rochele nie zdążyła nawet ponosić.

Grób wykopali nad brzegiem rzeczki, pod eukaliptusem, który posadzili zaledwie tydzień temu. Drzewko było całkiem malutkie, ale kiedyś stanie się wielkie i potężne.

Nieopodal stała gromadka Arabów z sąsiedniej wioski, którzy przyszli pogapić się na żydowski pogrzeb.

Niczego szczególnego Arabowie nie zobaczyli.

Wystąpił Magellan i powiedział: „To pierwsza śmierć, ale będą też następne. Nie możemy się roztkliwiać”.

Ciało, zawinięte w prześcieradło, zasypali ziemią i wrócili do chanu.

Stypy zaś nie było w ogóle, bo picie zakazane, a poza tym — jak powiedział Magellan — nie ma o czym mówić.

Małke trzymała się, dopóki mogła, ale kiedy poczuła, że dłużej już nie da rady, pochwyciła wiadro i wyszła — że niby idzie po wodę.

Uciekła jak najdalej za ogrodzenie i tam rozszlochała się na dobre.

Kiedy wracała, usłyszała, że w krzakach ktoś ciężko wzdycha i pochlipuje. Kto? Zapewne Sienia Lewin, który zawsze wpatrywał się w Rochele. Chociaż mógłby to być ktokolwiek z pozostałych dwudziestu pięciu. Nawet sam Magellan.

Małke prześlizgnęła się obok krzaków niczym myszka.

Komuna „Nowe Megiddo” świętowała właśnie miesiąc swego istnienia.

W tym krótkim czasie udało im się wiele zrobić.

Przede wszystkim wyremontowali i pomalowali opuszczony chan, który dostał im się wraz z ziemią. Chan to dom-twierdza: umocniony prostokąt z pojedynczą bramą. Wewnątrz, wzdłuż jednej ze ścian, ciągną się pomieszczenia mieszkalne, wzdłuż drugiej — chlew; trzecia to magazyn dla inwentarza, a czwarta to spiżarnia.

Agronom Misza wskazał, gdzie najlepiej siać pszenicę, gdzie sadzić drzewka pomarańczowe i kukurydzę, a gdzie urządzić pastwisko. Ziemia, zakupiona nad brzegami rzeki Kisson, była naprawdę dobra i urodzajna.

Mądrała Magellan wszystko przewidział. Załatwił nawet wczasu sadzonki eukaliptusów — żeby usuwały z zabagnionej gleby nadmiar wody. A ile pieniędzy udało mu się zebrać na komunę! Czarodziej! Wystarczyło nie tylko na dużą działkę, ale także na niezbędne wyposażenie, zapasy, na dwie bryczki, cztery konie, dwie krowy i na najprostszy mechaniczny młyn.

Zgodnie z Kartą majątek był wspólny i niepodzielny. Wszyscy komunardzi byli równi i wszystko rozkładało się na

nich po równo. W czasie pierwszego zgromadzenia postanowili: żadnych flirtów ani romansów. Nie z powodu obłądy, ale dlatego, że dwie dziewczyny przypadały na dwudziestu pięciu chłopaków, a brakowałyby jeszcze tego, żeby pojawiły się dramaty na podłożu miłosnym. Poza tym rodzina oznacza dzieci — a to dla Miasta Szczęścia byłoby na razie przedwczesne. Miłość odłożyli więc na później, kiedy urządzią się i kiedy przybędzie z Rosji więcej kobiet.

Dla Małke i Rochele wydzielili osobny kąt — oto i cała segregacja. Ubierały się podobnie jak mężczyźni i żadnych ustępstw nie uzyskały, bo i o coś podobnego nie prosiły.

Trudniej było zrealizować inne postanowienie — mówić między sobą wyłącznie po hebrajsku. Starohebrajski znał dobrze tylko jeden spośród komunardów — Izia Jeszybotnik. Każdego wieczoru uczył pozostałych; wszyscy starali się, ale na razie rozmawiali po rosyjsku. Jak powiesz po hebrajsku „zapalki” albo „strzelba”? Izia wymyślał jakieś nowe słowa, na przykład „ogniowe patyczki” albo „grom-laska”, ale nie był to już hebrajski, tylko czort wie co.

Co jeszcze postanowiono?

Nie przyjmować pomocy od barona Rothschilda, nie iść śladem innych przesiedleńców. Po pierwsze, Rothschild to kapitalista i wyzyskiwacz, a po drugie, trzeba zawsze polegać na własnych siłach.

Żadnych parobków — uprawiać ziemię tylko własnymi rękami. Chyba nie po to utworzyli komunę, żeby wykorzystywać trud miejscowych proletariuszy? (Z tego powodu komuna natychmiast popsuka sobie stosunki z sąsiednią wsią arabską — fellachowie mieli nadzieję, że Żydzi dadzą im pracę).

Najbardziej brzemienne w skutki była rezygnacja z „ochrony”, ponieważ Czerkiesi, Beduini i osiadli Arabowie od dawna przywykli do tego źródła dochodów i nawet bili się między sobą o prawo opieki nad każdą żydowską osadą.

Do „Nowego Megiddo” przybyli posłańcy z obozu Beduinów, z czerkieskiego aułu i od miejscowego szejka, ale Magellan natychmiast ich odprawił: „Mamy broń, sami potrafimy się obronić”.

Z tej przyczyny wypadło żyć niczym w oblężonej twierdzy.

Arabowie głównie kradli, ale Beduini i Czerkiesi okazali się prawdziwymi zbójcami.

Którejś nocy zaczęli wrzeszczeć z ciemności i strzelać na oślep. Było strasznie, kule cmokały, wbijając się w glinę. Magellan rozdał broń i polecił wystrzelić salwą. Pomogło — krzyki ustały.

Rankiem zaś okazało się, że zniknęły trzy konie pociągowe, które pasły się na zewnątrz. Zniknął także obóz Beduinów. Koczownicy zwinęli namioty i oddalili się w nieznanym kierunku. Magellan chciał popędzić za nimi na jedynym ocalałym koniu, ale z trudem go powstrzymano.

Beduini odeszli, Arabowie i Czerkiesi jednak pozostali i tylko czekali na stosowną okazję.

Doktor Szerman, który mieszkał w rothschildowskiej osadzie Zichron-Jaakow, powiedział Magellanowi: „Niech pan nie upodabnia się do biblijnego króla Jozjasza, młody człowieku. Odmówił podporządkowania się faraonowi i zginął, a wraz z nim całe Królestwo Judzkie. Nawiasem mówiąc, rozstrzygająca bitwa rozegrała się w dolinie Megiddo, tu gdzie teraz stoimy”.

Magellan mu na to: „Tutaj nasze królestwo zginęło, to i tutaj się odrodzi”. Celnie powiedział, ładnie.

Dzisiaj jednak, kiedy zakopano Rochele w gliniastej ziemi i kiedy doktor zaczął ponownie przekonywać Magellana, ów milczał, bo też nie miał co odpowiedzieć.

Doktor Szerman powiedział: „Do rozbójników można strzelać, czasami to pomaga. Do malarii jednak nie postrzelasz. Jak mogliście kupić ziemię w tak zakazanym miejscu, nie zasięgając rady nas, miejscowych? A przecież to dopiero początek, prawdziwe nieszczęście pojawi się latem, kiedy nastąpi szczyt gorączki. Oprócz ziemi ornej, leżącej w dole, należało jeszcze kupić działkę na wzgórzach. Czy nie zauważyliście, że miejscowi zasiedlają tylko tereny wyżej położone? Wiatr rozprasza tam bagienne wyziewy. Nawiasem mówiąc, ziemi na wzgórzach Arabowie za nic by wam nie sprzedali. To chytrusy, zaczekają do momentu, kiedy rozwinie się malaria i kiedy większość z was umrze, a wtedy za bezcen wykupią ziemię z powrotem. Albo po prostu zabiorą... I zepsuliśmy ich my, Żydzi. Dawniej utrzymywali się

z własnej pracy — skąpo, ale uczciwie. My zaś swoimi żydowskimi pieniędzmi sprowadziliśmy ich z właściwej drogi. Po co uprawiać własną ziemię, jeśli można zarobić więcej, uprawiając cudzą? Po co się w ogóle wysilać, jeśli trafiają się tacy głupcy jak wy?"

Twarz Magellana coraz bardziej mroczniała. Popatrywał na swoich komunardów i słuchał posepnych prorocत्व. Aż nagle zahuczał: „Precz stąd, stary gawronie! Dostyc krakania!"

Doktor odjechał obrażony. Szkoda go, chciał jak najlepiej, ale Magellan postąpił słusznie. Składali wszak przysięgę: złożyć w tej ziemi własne kości, ale nie ustąpić ani na krok.

Rochele zaś kości już złożyła — pomyślała Małkę i zadrżała, przypominając sobie, jak okropnie cmokała pod łopatami tłusta ziemia.

Pozbierała się jednak i powiedziała sobie: niechaj i tak będzie. Przyjadą inni. Już jadą. I nawet gdyby zakopano mnie w błotnistym cieście, to i tak będzie to lepsze, niż gdybym miała pozostać w domu i spędzić tam pięćdziesiąt albo nawet sto lat. Jakie to byłoby życie? Bezmyślna babska wegetacja: mąż, dzieci, codzienne troski.

A poza tym Magellan jest taki przystojny!

— Hej! Hej! Szybko do mnie! — zakrzyknął z dachu chanu Sasza Briun, który trzymał straż. — Tylko patrzcie!

Wcześniej, kiedy mieli psa, straży nie wystawiali. Magellan powiada, że koniecznie trzeba sprowadzić nowego psa, ale gdzie można znaleźć drugiego takiego jak Połkan?

Wszyscy rzucili się na górę, na punkt obserwacyjny, i zaczęli wpatrywać się w ciemność.

Nad rzeczką, tam gdzie godzinę temu pochowali Rochele, kłębiły się jakieś cienie.

— Rozkopują grób! — krzyczał Sasza. — Z początku nie wiedziałem, co oni tam... ale potem się przyjrzałem. Słowo honoru, rozkopują!

Zaczęli miotać się bez sensu, nie wiedząc, co począć. Po chwili pojawił się Magellan i zawołał: „Za mną!" Wówczas każdy chwycił, co miał pod ręką, topór albo berdanę, i pobiegł do eukaliptusa. Rochele leżała w błocie. Zupełnie naga. Zdarło z niej nawet spodnią koszulę — zdjęli wszystko.

Wściekły Magellan wyrwał rewolwer z kabury i ogromnymi susami popędził ścieżką, która prowadziła do arabskiej wsi. Było do niej dwie wiorsty.

Małke pierwsza się za nim rzuciła. Tracąc oddech, rozmazywała łzy po twarzy, ale mimo krótkich nóżek nie zostawała w tyle. Pozostali biegli za nimi.

Kiedy pokonali połowę drogi, ktoś z tyłu zawołał:

— Magellanie! Spójrz! Pożar!

Obejrzeni się i zobaczyli czarne kontury chanu, rozświetlone czerwonymi płomieniami.

Natychmiast zawrócili. Teraz biec było trudniej, bo już brakowało tchu.

Dom uratowali — na szczęście mieli w beczkach wodę. Spłonęła jedynie szopa dla zwierząt. Jednak worki z wyselekcjonowanymi nasionami zniknęły, nie było też obydwu krów i konia. Ze ściany wyrwano ogniotrwałą kasę wraz z żelazną rezerwą — trzema tysiącami rubli. Przepadła także nowiutka amerykańska brona, rzecz w Palestynie na wagę złota.

Na ziemi widniały ślady końskich kopyt.

— Podkute — powiedział Magellan, przyświecając latarką. — A zatem to nie Beduini. To Czerkiesi. Urządzili zasadzkę, czekali nocy. A tu taka okazja: wyskoczyliśmy sami, nie zamknęliśmy nawet bramy...

— To jest właśnie „żydowskie szczęście” — westchnął Koloseusz. — Co teraz poczniemy bez nasion, bez brony, bez pieniędzy?

Ktoś (Małke nie poznała głosu, tak był drżący) zaszlochał:

— Trzeba nam do Zichron-Jaakow. Bo tutaj zginiemy.

Jedni lamentowali, inni wygrażali pięściami w bezsilnym gniewie, a jeszcze inni stali ze zwieszonymi głowami.

Małke płakała. Nie ze strachu, ale dlatego, że bardzo jej było żal Rochele i jeszcze krów, a zwłaszcza Łaciatej, która dawała całe dwa wiadra mleka.

Tylko Magellan nie przeklinał i nie wymachiwał rękami. Kiedy skończył ze śladami kopyt, poszedł sprawdzić, czy rabusi dobrali się do piwnicy, gdzie przechowywana była broń.

Gdy wrócił, powiedział spokojnie:

— Broni nie znaleźli. A zatem nie wszystko stracone. Chcą wojny, to będziemy wojowali.

— Z kim mamy wojować? Z Daniel-bekiem? — niepewnie zapytał Szlomo aptekarz.

Żydowskie szczęście II

O Czerkiesach wiadomo było, że pojawili się w Palestynie jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat temu z dekretu sułtana, który nagroził swych wiernych baszybuzuków dobrymi ziemiami za męstwo w walkach z rosyjskimi i serbskimi gaurami. Zanim zostali tureckimi żołnierzami, ci kaukascy ludzie walczyli pod zielonymi sztandarami wielkiego Szamila, ojczyście góry zaś porzucili, nie chcąc stać się poddanymi cara. Jego osmańska wysokość, za przykładem sąsiada z północy, postanowił zafundować sobie własnych Kozaków, którzy będą oparciem dla sułtańskiej władzy w niespokojnych prowincjach podupadającego mocarstwa. Abdulhamid liczył na to, że kiedy da tym wojakom ziemię i zwolni ich z podatków, to dalej poradzą sobie sami. Będą pilnować niespokojnej arabskiej ludności, uprawiać ziemię i hodować barany. Tyle że dawni baszybuzucy nie zamienili się w Kozaków — zbyt długo, niemal przez sto lat, żyli z wojen i napadów, by teraz zająć się spokojną pracą.

Ich służba polegała na tym, że mieli pilnować porządku na drogach. Czerkiesi jednak zrozumieli tę misję na swój sposób — wkrótce okazało się, że każdy przejeżdżający musi im się opłacać. Kiedy zaś karawany handlowe zaczęły omijać czerkieskie auły i dochody zniknęły, śmiali ludzie znaleźli sobie nowe źródła zysku: zaczęli wynajmować się do tychże karawan jako strażnicy albo chwyтали przestępców, za których głowę władze obiecywały nagrodę — czasami sami też zajmowali się rabunkiem albo porywali bogatych podróżnych dla okupu.

Policja nie chciała mieć z nimi do czynienia, bo każdy Czerkies od urodzenia był wojownikiem: od małości jeździł wierzchem, celnie strzelał, a szablą machał jak diabeł.

Auł, który rozłożył się nieopodal komuny „Nowe Megiddo”, słynął z wojowniczości. O ile Czerkiesi z innych osad

przyzwyczajali się stopniowo do osiadłego trybu życia, o tyle klan Daniel-beka uważał, że każda praca jest dla dżygita hańbą, i zarabiał na życie wyłącznie karabinem i kindżałem.

Tu chodziło o samego beka. Posunięty już w latach starzec, który całe życie spędził na koniu, mówił, że umrze także w siodle. Ale do umierania Daniel-bekowi było jeszcze daleko. Mimo ósmego krzyżyka był krzepki i żwawy — wziął sobie niedawno nową żonę, trzynastoletnią, która, jak powiadają, już jest w ciąży.

Pod swoim znakiem (sześcioramienne gwiazda z półksiężycem i końskim ogonem) Daniel-bek miał nie mniej niż pięćdziesięciu jeźdźców. Wieś urządzili tak samo jak na ojczystym Kaukazie. Na szczycie spadzistego wzgórza wystawili kamienną wieżę strażniczą, a wokół niej niskie sakle. Na wieży dniem i nocą stał wartownik, rozglądając się uważnie na wszystkie strony świata. Psów Czerkiesi nie trzymali, bo ich własne psy, które przywieźli ze sobą, nie wytrzymały palestyńskiego klimatu, a miejscowe rasy przybysze mieli za nic.

Ta właśnie okoliczność wydała się Magellanowi słabością czerkieskiej fortecy.

Kiedy członkowie komuny zrozumieli, że ich przywódca nie żartuje i że naprawdę chce wypowiedzieć wojnę Daniel-bekowi, na podwórzu chanu zapadła cisza. Wystraszyła się nawet Małke, która gotowa była popierać Magellana zawsze i we wszystkim — czy aby nie przesadził, czy nie odwróca się od niego wszyscy pozostali?

Magellan jednak zachowywał się tak, jakby podobna możliwość nie przyszła mu nawet do głowy.

— Spójrzcie tutaj — zaczął rzeczowo, usypał kupkę ziemi i wetknął w nią patyczek. — To wzgórze, a to strażnica. Kamyki to sakle.

— A to? — zapytał ktoś, wskazując wijącą się kreskę.

— Rzeczka. Tutaj zbocze jest strome, niemal urwiste. A od południowego zachodu, o tutaj, łagodny spadek i droga...

Nieźle wymyślił z tą makietą. Wszyscy zgromadzili się wokół i zamiast spierać się i lamentować, przyglądali się Magellanowemu dziełu.

— Zadanie jasne — powiedział, wycierając ręce o spodnie. — Raz na zawsze oduczyć Czerkiesów napaści. I, rzecz oczywista, odebrać to, co zagrabili.

— Magellanie, oni przecież po dobremu nie oddadzą. Będą strzelali — odezwał się boleściwie Koloseusz.

— My też. Czy was nie uczyłem?

— Jeśli zabijemy choć jednego, uruchomimy mechanizm krwawej zemsty. Przecież opowiadano nam... I nie będzie temu końca...

Magellan przeciął dłonią powietrze.

— Postaramy się obyć bez ofiar. Jeśli jednak nie wyjdzie, trzeba będzie zlikwidować wszystkich Czerkiesów płci męskiej. Do ostatniego. Bo inaczej... Koloseusz ma rację... nigdy się z tego nie wypłaczymy.

— Naprawdę wszystkich? — zapytała Małke drżącym głosem. — Nawet małych chłopców?

Rozległ się nerwowy śmiech.

Sasza Briun powiedział:

— Wątpię, czy mógłbym wystrzelić do dorosłego, a co dopiero mówić o dziecku! Daj spokój, Magellanie, to życie, a nie powieść Fenimore'a Coopera.

— W tym cały dowcip, Saszula, że to nie powieść, tylko życie. Albo postawi cię ono na czworakach, albo się nie dasz.

— Magellan potrząsnął głową, a na czoło opadł mu kasztanowy kosmyk. Był teraz tak piękny, że Małke aż zamarła. — Arabowie nazywają Żydów *ulad-el-mot*, „synami śmierci”, dlatego że wszystkiego się boimy. Pora pokazać i Arabom, i Czerkiesom, i Beduinom, że pojawili się nowi Żydzi, którzy nie boją się niczego. A ściślej, nie nowi, tylko starzy. Ci sami, do których ta ziemia należała dwa i trzy tysiące lat temu. Nie potraficie strzelać do ludzi — to się nauczyć. Kto zatem ze mną?

Małke natychmiast podniosła rękę i zawołała:

— Ja!

Po tym, jak zgłosiła się dziewczyna, tchórzyc było niezręcznie. Komunardzi jeden po drugim unieśli dłonie.

— Nie miałem wątpliwości. — Magellan wzruszył ramionami. — Będziemy działać następująco. Szlomo i Koloseusz zostaną pilnować chanu. Małke z nimi jako starsza. Baccie,

żeby nie wpadli Arabowie i nie rozkradli wszystkiego do reszty. Pozostali — za mną.

Ach, jaki chytrus! Żeby ugłaskać, wyznaczył ją jako starszą i zostawia w domu z dwoma zdechlakami! Mowy nie ma!

— Mowy nie ma! — oświadczyła Małke. — Niechaj Szlomo i Koloseusz zamkną się i nikomu nie otwierają. A ja pójdę z wami. Jak równość, to równość!

I swoje osiągnęła, bądźcie tego pewni.

Dwudziestu czterech komunardów, wyciągniętych w łańcuszek, maszerowało pustą drogą przez rozległą dolinę. Nie było widać ani księżyca, ani gwiazd — niebo zaciągnęło się chmurami. Magellan prowadził swoje wojsko szybko, niemal biegiem — z pewnością celowo, żeby nie było kiedy rozmyślać i poddawać się zwątpieniu.

Winchestery miało tylko sześciu, reszta berdanki albo broń myśliwska. Małke zaś dostała się śrutówka, dobra jedynie na kaczkę. Ledwie nadążając za Magellanem, wciąż sobie powtarzała: najpierw odwodzisz dwa małe haczyki, a potem naciskasz palcem wskazującym spust; najpierw haczyki, potem spust...

Plan (albo „rozkaz bojowy”, jak po wojskowemu nazwał go Magellan) był następujący: wdrapać się na wzgórze od strony urwiska, bo tam pole widzenia z wieży jest ograniczone. Zacząć się w krzakach i czekać na świtanie. Kiedy będzie wystarczająco jasno, żeby użyć broni, Magellan zastrzeli wartownika, a potem trzeba będzie co sił w nogach biec do wieży, zająć ją i trzymać pod ostrzałem cały auł. Jeśli ktokolwiek wysunie nos z sakli — strzelać, z góry wieś będzie widać jak na dłoni.

— Zmusimy ich do kapitulacji — śmiało oznajmił Magellan. — Odbierzemy, co nasze, i jeszcze nałożymy na nich kontrybucję. Ofiara śmiertelna będzie tylko jedna, ale tę biorę na siebie, bo nie boję się niczego — ani krwawej zemsty, ani diabła.

Małke patrzyła na niego i nagle pomyślała: gdyby tak pokochał, to niczego dla niego nie byłoby szkoda. Zaraz jednak odpędziła od siebie niedorzeczną myśl, bo byłoby to niekoleżeńskie, a poza tym jakże on mógłby ją pokochać — taką krótkonogą, przypominającą gąsiątko.

O tym, jak drapali się po stromiźnie, można byłoby napisać komedię w pięciu aktach. Może nawet tragedię.

Skrzypek Jankiel stoczył się w dół do rzeki. Wylazł cały mokry i wciąż czekał, szczękając zębami.

Meir Szalewicz rozerwał sobie spodnie o kolczaste zarośla — w ciemności białało jego siedzenie.

Niedorajda Briun, podciągając się, zamiast za korzeń chwycił za źmiję. Dobrze, że nie ukąsiła — gwałtownie zbudzona, smyrnęła gdzieś w bok. Dobrze poza tym, że Sasza był astmatykiem. Chciał już krzyknąć, ale zabrakło oddechu. W przeciwnym razie cały rozkaz bojowy byłby na nic.

Mimo wszystko jakoś się wdrapali. Zalegli na samej krawędzi, chwytając ustami powietrze.

Wkrótce pot wysechł, członkom komuny zaczęło być zimno, a świt wciąż nie nadchodził.

To było najgorsze. Teraz, gdy trwali w bezruchu, w ich głowach pojawiły się rozmaite niedobre myśli. Gdyby nie urwisko pod nimi, może ten i ów by nie wytrzymał i dał drapaka.

Magellan zdawał sobie z tego sprawę. Dlatego nie tkwił w jednym miejscu — wciąż przemieszczał się wzdłuż łańcuszka. Jednemu szepnie kilka słów, innemu doda odwagi poklepywaniem po ramieniu.

Ją zaś, Małke, ścisnął za łokieć i szepnął: „Zuch, jesteś moją podporą”.

Strach natychmiast odpłynął. „Zuch”, „jesteś moją”!

Na prawo od Małke leżał Lowa Satz, najmłodszy spośród członków komuny, ukończył zaledwie siedemnaście lat. Wciąż kręcił się i wzdychał, a gdy tylko mrok nieco ustąpił, zaczął coś pisać na kawałku papieru.

Podczołgał się do Małke.

— Zabijają mnie — szepnął drżącymi wargami. — Czuję to. Weź list, prześlesz go do mojej mamy w Moskwie.

— Co też ty sobie wymyślasz? — odszepnęła.

— Nie wymyślam. Ci, którzy mają polec, zawsze czują to przed walką. Wyczytałem w książce.

Małke przyjęła list i zaczęła wsłuchiwać się w siebie — ma przecucie śmierci czy też nie? I natychmiast do niej dotarło: ma. Umrze dzisiaj, umrze na sto procent. Trzeba by także napisać do swoich. Będą czytali i cała ulica będzie płakała...

Wzięła od Łowy kartkę i ołówek i zaczęła pisać: „Moi drodzy Mamo i Tato! Chciałabym, abyście wiedzieli, że ja niczego...”

Nagle przebiegło wzdłuż łańcuszka:

— To już! To już!

Magellan podbiegł przygarbiony do płotu, za którym widać było pierwszą saklę.

Reszta zwlekąca. Jedynie Małke, z bronią w ręku, ruszyła za dowódcą.

Następowali niczym klucz żurawi: z przodu Magellan, na prawo od niego, nieco z tyłu, Małke, na lewo Lowa, a pozostali po obydwu stronach.

Magellan oparł karabin na płocie, ostrożnie odwinął ze szmatki celownik optyczny i zamontował na broni.

Nad płaskimi dachami wznosiła się solidna kamienna baszta. Trzy poziomy, na każdym wąskie otwory strzelnicze. Na samej górze otwarty placyk. A między blankami widać głowę i ramiona strażnika.

Czy w ogóle można trafić z takiej odległości? — zwątpiła Małke. To przecież nie mniej niż sto kroków.

Magellan przycisnął policzek do kolby, zmrużył oczy.

Małke ścisnęła śrutówkę kolanami, a uszy zakryła dłońmi. Zaraz rąbnie! A wtedy trzeba będzie co sił pędzić do wieży — zanim obudzą się Czerkiesi.

Magellan jednak nie wystrzelił. Trącił Małke w ramię, a kiedy ta opuściła dłoń, zaszeptał podniecony:

— Śpi! Słowo daję, śpi jak suseł. Widać to w lunecie! — Do dał ze złością: — Nie uważają nas za mężczyzn. Do głowy im nie przyszło, że możemy odpłacić! To naprzód! Spróbujemy uniknąć rozlewu krwi! Przekaż wszystkim, żeby zdjęli buty.

Wszyscy rozzuli się i pobiegli za Magellanem, zabawnie unosząc kolana — zawsze tak bywa, kiedy próbujesz skradać się na paluszkach.

Ale nie był to już klucz żurawi, tylko bezładna gromada.

Małke zagryzła wargi, żeby nie jęczeć, kiedy w stopy wbiły się ostre kamyki. W jednym ręku trzymała buty, w drugim broń. Szorty przemokły od rosy.

Na podwórzach było cicho, tu i ówdzie wydarł się tylko kogut.

Wreszcie plac — prawdę mówiąc, żaden to plac: po prostu pusta trójkątna przestrzeń między basztą, małym glinianym meczetem a piętrowym, kamiennym domem (który najpewniej należał do samego beka).

Na podjeździe stał wyprzęgnięty arabski wóz, chantur.

Malke nagle zamarła. Do koła wozu przykuto za szyję jakiegoś człowieka. Był przytomny i patrzył na Żydów wytrzeszczonymi z przerażenia oczyma.

Bo jakże inaczej! Nie był to obraz zwyczajny.

Komunardzi, poruszający się bezszelestnie w mętym świetle, musieli wyglądać na gromadę strachów na wróble.

Z przodu Magellan w meksykańskim sombrero, ze skrzyżowanymi na piersi taśmami z nabojami. Mendel miał na głowie kolonialny hełm korkowy, Briun pilśniowy melonik, inni zaś albo arabskie chusty, albo fezy. Malke była w maminym pożegnalnym podarku — słomkowym kapelusiku z porcelanowymi wiśniami.

Magellan pogroził więźniowi winchesterem, ten zaś wciągnął głowę w ramiona i przykrył usta dłonią — na znak, że będzie milczał.

Ale podejść do wieży bezszelestnie i tak się nie udało. Kulawy Dodik Pewzner potknął się o kamień, upuścił berdanę i senną ciszę rozdarł wystrzał.

Przeklinając głośno najgorszymi słowami, Magellan w paru susach dopadł wieży i zniknął w jej wnętrzu. Pozostali, z bronią gotową do strzału, popędzili za nim. Zostali jedynie Małke i Lowa — żal im się zrobiło biedaka, którego trzymano na łańcuchu niczym psa.

Gdzieś podniosła krzyk kobieta. Potem, w innym końcu aulu, jeszcze jedna.

— Taka twoja mać! Taka mać! — powtórzył nagle za Magellanem ciemnooki więzień z żywą, bystrą fizjonomią. — Ruscy! Ja też Ruski! Wybaw i zachowaj!

Pospiesznie przeżegnał się na sposób prawosławny.

— Jakoś nie wygląda — zauważył Lowa, usiłując rozbić kolbą łańcuch.

— Ruskiej wiary jestem! Arab, ale Ruski!

— A my jesteśmy Żydami — odpowiedziała Małke.

Lowa machnął ręką — teraz już nie ma sensu zachowy-

wać ostrożności. Przystawił lufę do łańcucha i wystrzelił. Łańcuch rozpadł się na dwie części.

— Szybciej! — zawołała Malke, chwytając rosyjskiego Araba za rękę.

Ów, usłyszawszy o Żydach, stracił jakoś rezon i próbował wpełznąć pod wóz, Lowa jednak pochwycił go z drugiej strony i cała trójka dobiegła do wieży.

Wewnątrz czekali dwaj członkowie komuny i natychmiast zaryglowali drzwi potężną belką.

Potem wszyscy ruszyli schodkami na górę.

Cały oddział zgromadził się na drugim poziomie i na górnym placyku.

Zuch Magellan! Zdążył jednak dotrzeć do wartownika, zanim ów zrozumiał, co się dzieje. Strażnik, niepozorny chłopczyzna, przykucnął w kącie, obejmując rozbitą kolbą głowę, ale, chwala Bogu, żył.

Małke pokazała mu na migi, żeby opuścił ręce, bo trzeba założyć opatrunek, ale Czerkiesek wyszczerzył się na nią niczym wilczek.

— Dwóch z winchesterami do otworów strzelniczych na piętrze, dwóch na drugim — rozkazał Magellan. — Pozostali zająć pozycje między blankami i wystawić lufy na zewnątrz. Niechaj Czerkiesi widzą, że jest nas wielu i że jesteśmy uzbrojeni. Bez rozkazu nie strzelać.

Małke wysunęła się przez otwór. W dole miała teraz jak na dłoni całą okolicę.

Ulice były puste. Na podwórkach tu i ówdzie miotaty się kobiety, ale Małke nie dostrzegła ani jednego mężczyzny.

— A gdzie to dżygici? — zapytał zaniepokojony Magellan. — Nic nie rozumiem...

Wówczas odezwał się uwolniony Arab:

— Mężczyźni wszystkie noc pojechali. Na konia wsiedli i pojechali. Jeszcze nie wrócili.

— No pewnie! — Magellan klepnął się w czoło. — Że też się nie domyśliłem! Wyruszyli do El-Ledżun sprzedać zdobycz. Nie przyszło im nawet do głowy, że możemy się tu pojawić! Oto prawdziwe żydowskie szczęście, rozumiecie, maminsynki? — Zwrócił się do uwolnionego z łańcuchów. — Kim jesteś? I skąd znasz rosyjski?

— Arab jestem, ale moja narzeczona Żyd — ukłonił się ów. — Żenić się z nią będę. Może sam też Żyd zostanę. Dobra wiara, mnie się podoba.

— Dlaczego siedziałeś na łańcuchu?

— Rosyjską panią wiozłem, z Jerozolimy. Bogata pani, tylko trochę nie przy rozumie. Czerkies napadał i tutaj zabrał. Okup chce. Będzie pisał ruski konsul, żeby dawał dziesięć tysięcy franka. Za mnie chciał tysiąc franka, ale co ja — ja człowiek biedny. Wtenczas na łańcuch posadził... Chantur zabrał, dwa arabskie konie zabrał. Kiedy wróci bek, nakaż mu, żeby wszystko oddał: i chantur, i konie, i panią niech też odda.

Magellan patrzył nie na Araba, ale w dół, na dolinę. Zmrużywszy oczy, wycedził półgłosem:

— No, to masz swojego beka. Sam mu to wszystko po wiesz.

Małkę także spojrziała w dół i ujrzała długi sznur jeźdźców, którzy klusem wspinali się do wioski.

Nad uchem huknęło — to Magellan wystrzelił w powietrze: raz i jeszcze raz.

Skąd biorą się wojny

Wystrzały i krzyki nie rozbudziły Pelagii, bo też i nie spała. Przez całą noc chodziła tam i z powrotem po ciasnym pokoiku z nagimi ścianami. Na podłodze leżały poduszki, ale kłaść się na nich nie miała ochoty.

To modliła się, to wymyślała sobie wszelkimi dostępnymi mniszce słowami, ale ani jedno, ani drugie nie przynosiło ulgi.

Jakaż to głupota! Zmarnować wszystko z powodu własnej lekkomyślności!

Trzeba było wynająć w rosyjskiej misji ochroniarzy. W celu zapewnienia bezpieczeństwa pątnikom, którzy udają się nad Jezioro Tyberiadzkie, do Betlejem albo do innych niespokojnych miejsc, zatrudnieni są tam prawosławni Czarnogórcy — ci naprawdę budzą respekt: mają wspaniałe wąsy, wyszywane srebrem kaftany, mocno zakrzywione szable i pistolety za pa-

sem. I taką mają reputację, że żaden rozbójnik nawet się nie zbliży.

Miał rację Mitrofaniusz, i to po tysiącokroć: jego duchowa córka wiele ma w sobie sprytu, ale solidności za grosz. Najpierw działa, dopiero potem myśli.

A wszystko z tej przyczyny, że obawiała się utracić dodatkowy dzień, a nawet godzinę. Popędzało ją irracjonalne, niezrozumiałe przecucie, że czas ucieka i że prawie już go nie ma. Widziała ostatnie ziarenka, które ze szklanego stożka przyszłości przesypują się do szklanego lejka przeszłości.

Miała nadzieję na rosyjskie „jakoś tam będzie”. I było jakoś przez pierwsze dwa dni, ale trzeciego skończyło się.

Najpierw jechali długo przez góry. Na stromych podjazdach trzeba było schodzić i iść za chanturem pieszo — mizerne koniki nie dawały rady. Trzeciego dnia dotarli do Doliny Izraelskiej, rozległej i zielonej, szerokiej na dziesięć wiorst. Góra Har-Megiddo, w pobliżu której należało szukać komuny, wznosiła się od zachodu.

Har-Megiddo, Armageddon. Tutaj, na tym zabagnionym polu, rozegra się ostatnia na Ziemi bitwa, kiedy wojska Szatana zetną się z aniołami — pomyślała Polina Andriejewna, ale bez specjalnego przejęcia. A kiedy zobaczyła w oddali geometrycznie regularne kształty góry Fawor, gdzie dokonało się Przemienienie Pańskie, to też obyło się bez wzruszenia — wymamrotała jedynie modlitwę, ale jakoś tak mechanicznie, bez udziału ducha. Jej myśli zbyt były odległe od spraw boskich.

Do miejsca, gdzie osiedlili się nowi „saduceusze”, pozostało zaledwie kilka wiorst, a mniszka wciąż jeszcze nie wiedziała, jak powinna zachować się wobec Magellana, ich przywódcy o stalowym spojrzeniu.

Głupi, głupi Manujła! Co go tak niesie niczym ćmę do świecy! Magellan już na parowcu odgrażał się, że weźmie rzekomego proroka „za nogi i łbem o pacholek cumowniczy”. Może i wziął, a Szklane Oko nie miał z tym nic wspólnego?

Po Magellanie można by się tego spodziewać — bo to postać bajroniczna, nadczłowiek. Dla kogoś takiego zasady i potrzeba manifestacji są ważniejsze od własnego życia, nie mówiąc już o życiu innych. Przecież powiedział swoim chłopcom i dziewczynom, że Manujła jest agentem Ochrony. Z jakiego

powodu? Może wymyślił sobie, że krew zabitego „szpika” połączy na zawsze członków komuny? To samo wszak zrobił inny nadczłowiek, Nieczajew, ze studentem Iwanowem...

Niezależnie jednak od tego, czy Magellan maczał palce w zabójstwie Szefuchina, czy nie, kiedy w komunie pojawi się już nie fałszywy, ale prawdziwy Manujła, syjoniści pomyślą z pewnością, że wszechobecna Ochrana odszukała ich nawet w Palestynie. I może wtedy rozprawią się z niestrudzonym prorokiem? Policja o niczym się nie dowie, zresztą jaka tu może być policja w tej tureckiej zapadłej dziurze?

Salach swoją gadaniną odwracał uwagę podróżniczki od niespokojnych myśli.

— Na co Żydom tu żyć? — wzdychał, odpędzając komary. — Latem wszyscy umrą od gorączka. Na co im ziemia? Żydzi to naród miastowy. Siedzieliby w miasto. Rozum im pomieszało — to Allah ich pokarał. Aż ich szkoda.

Jak okazało się później, najbardziej żał mu było Żydów dlatego, że mogą żenić się tylko z Żydówkami, a to najbardziej nieznośne kobiety na świecie. Przewrotne, fałszywe, we wszystko wtykają swój garbaty nos.

— Spać z Żydówka to jak wtykać swoją męskość w nora, gdzie żyje skorpion — powiedział Salach.

Ta śmiała metafora wywołała grymas na twarzy Pelagii.

Tematem przewrotności żydowskich kobiet woźnica zajął się na poważnie. Rzecz jasna, wspomniał o podłej Judycie, która zabiła śpiącego Holofernesa, ale najbardziej używał sobie na Jaeli, która sprofanowała najświętsze nakazy gościnności. Rozbity w boju wódz Sisara (którego Salach nazwał „przodkiem Arabów”) poprosił Jaelę o schronienie w jej namiocie. I cóż ta wiarołomna zrobiła? Wedle Księgi Sędziów: „Wody proszącemu mleka dała, a w kubku książąt przyniosła masła. Lewą rękę ściągnęła do gwoźdźca, a prawą do kowalskich młotów, i uderzyła Sisarę, szukając w głowie miejsca ranie, i skroń mocno dziurawiąc. Padł jej między nogi, ustał i umarł: walał się przed jej nogami, i leżał bez dusze i nędzny”.

Wysłuchując, jak Salach opowiada na swój sposób tę biblijną historię, ubarwiając ją przejmującymi szczegółami, Pe-

lagia pożałowała biedaka — nie Sisary, który żył Bóg wie kiedy i na pewno dostał to, na co zasłużył, ale narratora. Nie wie, prostoduszny, że wszystko już za niego postanowiono: kolejną jego żoną będzie właśnie Żydówka.

— Człowiek się wyczerpał, słaby się zrobił. Zległ i od razu „chrrr”. — Dla większego efektu Salach zachrapał i oparł policzek na złożonych dłoniach.

Nagle szarpnął się i ściągnął wodze. Zza krzaków wyjechali powoli na drogę dwaj jeźdźcy. Ujrzawszy sterczące nad ich ramionami karabiny, Polina Andriejewna zawołała:

— Czy to rozbójnicy?!

— Nie wiem — odrzekł Salach i opuścił wodze.

— Na co czekasz? Zawracaj!

— Nie można. Zobaczą, że się boimy, i dopędzą. Trzeba jechać dalej i o coś zapytać. To najlepsze.

— O co zapytać?

— O droga. Jak jechać do El-Ledżun. Powiem, ty jedziesz do najgłówniejszy naczelnik policji. Ty jego teściowa.

— Dlaczego teściowa? — zdumiała się, a nawet nieco obraziła Polina Andriejewna.

— Za teściowa nie brać okupu.

— Bo co, takie tu są zwyczaje?

— Dlatego że za teściowa okup nie dawać — oświadczył krótko Salach, przygotowując się do rozmowy ze zbrojnymi.

Zaczął trajkotać już z daleka, kłaniając się i wskazując ręką gdzieś w kierunku wzgórz.

Jeźdźcy przyglądali się pojazdowi i jego pasażerom w milczeniu. Jak na Palestynę wyglądali dosyć dziwnie: mieli na sobie czerkieski z gazyrami, a na głowach — jeden baszłyk, drugi papachę. Zupełnie jak nasi kubańscy Kozacy, pomyślała Polina Andriejewna i nieco podniosła się na duchu.

— Nie rozumieć arabski — obrócił się Salach. Był błady i wystraszony. — To Czerkiesy. Całkiem złe Czerkiesy. Zaraz będę im mówić turecki...

Jeden z konnych podjechał i pochylił się nad Pelagią — zapachniało czosnkiem i baranim łojem.

— *Muskubi?* — zapytał. — Rosjanka?

— Tak, jestem Rosjanką.

Czerkiesi zaczęli rozmawiać między sobą gardłowo. Albo się spirali, albo wymyślali sobie — nie sposób było tego ustalić.

— O czym oni tam? — nerwowo zapytała Pelagia.

Salach przetknął tylko ślinę.

Ten sam rozbójnik co poprzednio nachylił się i ujął skraj sukni Poliny Andriejewny. Zapiszczała, ale niepotrzebnie — bandyta nie miał zamiaru rwać jej odzieży, potarł jedynie palcami jedwab, demonstrując coś swemu towarzyszowi. Potem podniósł z siedzenia parasolkę i pokazał rączkę ze słoniowej kości.

— Co on mówi? — zaszepotała przerażona mniszka.

— Mówi, że ty bogata i ważna. Ruscy dadzą za ciebie dużo pieniędzy.

Salach włączył się do dyskusji. Jego gestykulacja nie spodobała się Polinie Andriejewnej: najpierw Palestyńczyk jakby się odmachnął od swojej pasażerki, a potem wskazał na własną pierś i gdzieś w kierunku powrotnym. Zapewne namawia ich, żeby ją sobie zabrali, a jego wypuścili. Nikczemnik! A czynił zarzuty Jaeli!

Jednak Czerkiesi go nie słuchali. Warknęli coś krótko i pojechali przodem.

Salach zwlekał.

— Wypuścili nas? — Siostra nie mogła uwierzyć w podobne szczęście.

Tu jeden z rozbójników odwrócił się, pogroził nahajką i Salach, pojękując, ruszył z miejsca.

— Mówił jej, mówił — wyrzekał. — Nie trzeba jechać Megiddo. Żle. Nie, wież. Co będzie? Co będzie?

Wkrótce ściemniło się, więc Polina Andriejewna nie mogła dobrze przyjrzeć się drodze do czerkieskiego aułu: jakieś wzgórze, parów, potem dosyć stromy podjazd pod górę.

Niskie płaskie dachy i słabe światło w oknach — to wszystko, co zdołała dostrzec w samej wsi. Chantur zatrzymał się na ciemnym trójkątym placu, a dwie milczące kobiety w białych chustkach zaprowadziły mniszkę do domku, który stał w głębi podwórza. Chata to była niezwykła — z zamkniętymi na głucho okiennicami i z kłódką na zewnątrz. Zapewne specjalnie dla „bogaty i ważnych” więźniów, domyśliła się Pelagia.

Domysł szybko się potwierdził. Przyszedł gospodarz domu, a zdaje się, że i całego aulu — długobrody starzec w barankowej papasze, obwiązanej czałmą, i w dodatku uzbrojony po zęby. Czyżby tak poruszał się po domu: z szablą, kindżalem i rewolwerem w kaburze?

Najważniejszy Czerkies powiedział, że nazywa się Daniel-bek i że „księżnie” podadzą na kolację placek i kozie mleko. Mówił po rosyjsku zdumiewająco czysto i poprawnie, z nieznacznym tylko akcentem.

Polina Andriejewna bardzo przestraszyła się, usłyszawszy, że została „księżną”.

— Nie jestem księżną! — zawołała. — Pan się myli.

Starzec zmartwił się.

— Musa powiedział, że księżna. Sukienka jedwabna, twarz biała. To kim jesteś? Jak się nazywasz?

— Jestem pątniczką. Pelagia... to znaczy Polina Lisicyna.

Daniel-bek uklonił się uprzejmie — omal nie szurnął nogą i nie ucałował rączki.

— A kim jest twój mąż?

— Nie mam męża.

„Jestem mniszką” — chciała dodać, ale jak to udowodnić?

— Źle — cmoknął bek. — Dziewczyna już w latach, a bez męża. Pewnie dlatego, że taka chuda. Ale wyjść za mąż trzeba tak czy owak. Niech ci ojciec znajdzie konkurenta.

— Nie mam ojca.

— To brat.

— Brata też nie mam.

Gospodarz wznioł oczy — cierpliwość ma swoje granice.

— Męża nie masz, ojca nie masz, brata nie masz. To kto wypłaci za ciebie okup? Wujek?

Tak dziwnie to zabrzmiało, że Pelagia oniemiała i dopiero po chwili zrozumiała: on naprawdę myśli o wujku.

Czy w istocie jest ktokolwiek, kto gotów byłby zapłacić za nią okup? Może tylko władca Mitrofaniusz. On jednak jest daleko.

— Wujka też nie mam — odpowiedziała zrezygnowana i omal nie zapłakała nad własnym losem. — A może wypuści mnie pan bez okupu? Brać zakładników to grzech: zabrania tego i nasza, i wasza religia.

Daniel-bek zdumiał się.

— Dlaczego grzech? Byłem chłopcem, kiedy mój *papa* (wymówił to słowo śmiesznie, jakby po francusku, z akcentem na ostatniej sylabie) był wielkim naibem u Szamila. Rosjanie wzięli w amanaty syna Szamilowego, Dżemaladina, i mnie. Dżemaladin trafił do Korpusu Paziów, a ja do Korpusu Kadetów. Tam nauczyłem się rosyjskiego i wielu jeszcze innych rzeczy. Ale mój *papa* był nieustępliwy. Wziął w amanaty rosyjską księżną wraz z synem i wymienił ich na mnie. Jak widzisz, Rosjanie też biorą amanatów. I ja biorę. Bo jak inaczej żyć? Żony i dzieci trzeba utrzymać. — Westchnął ciężko. — Jeśli nie masz męża, ojca, a nawet brata, to brać dużego okupu nie sposób. Niechaj rosyjski konsul prześle dziesięć tysięcy franków i jedź sobie, dokąd zechcesz. Jutro napiszesz do konsula list: „Ojej, przyślij jak najszybciej dziesięć tysięcy franków, bo inaczej zły baszybuzuk odetnie mi palec, potem ucho, a jeszcze później nos”.

— To prawda? — Pelagia aż się skuliła.

— Nie, tylko palec. Najmniejszy. Palców wiele, jednego nie szkoda. Po dwóch tygodniach, jeśli konsul nie przyśle pieniędzy, pošlę mu ten mały palec. No, no, co tak zbladłaś? Boisz się tego? To kup od kóregoś z naszych, za mały palec dużo nie wezmą.

— Jak to „kup”? — wydobyła z siebie nieszczęsna branka.

— Czy konsul całował cię w rękę? — zapytał bek.

— N-nie...

— To dobrze. Nie pozna. Kobieta albo chłopiec odetną sobie palec, a konsul pomyśli, że to twój. Jeśli kobieta, daj jej swoją sukienkę, ucieszy się. Jeśli chłopiec, kup dobre siodło albo srebrny kindżał.

— A jeśli i tak konsul nie da pieniędzy? Przecież nawet go nie znam...

Starzec rozłożył ręce.

— Jeśli nawet palec na niego nie podziała, wydam cię za mąż. Za Kurbanda, bo właśnie zmarła mu żona. Albo za Eldara, bo jego ledwie się trzyma, choruje, potrzebna mu druga. Uspokój się, kobieto, nie masz się czego bać!

Ale Polina Aiidrijewna nie uspokoiła się. Po pierwsze, wyjść za mąż w żaden sposób nie mogła, nie pozwalały jej na

to śluby zakonne. A po drugie, dłuższego pobytu w tym rozbójniczym gnieździe jej plany nie przewidywały. Uciekał cenny czas!

— List napiszemy jutro — powiedział na pożegnanie Daniel-bek. — Teraz nie ma czasu. Jedziemy rabować *ulad-el-mot*.

— Kogo?

Wyszedł bez odpowiedzi.

Po kilku chwilach dał się słyszeć tętent wielu kopyt, a potem zapadła cisza. Pelagia sama musiała zmierzyć się ze swoją rozpaczą. Przetrwała jakoś do świtu, a kiedy przez szczeliny okiennic zaczął przesączać się poranek, we wsi zagrzemiał wystrzał i zewsząd zaczęły krzyczeć kobiety.

Co tam się działo?

Polina Andriejewna przyłożyła ucho do drzwi, ale rozeznac się w tym wszystkim było trudno. Wystrzelono jeszcze kilka razy, przy czym okazało się, że dźwięki docierają gdzieś z góry. Krzyki kobiet po chwili ścichły. Zapanowała cisza absolutna, przerywana z rzadka pojedynczymi wystrzałami.

Po upływie półtorej godziny na podwórzu dały się słyszeć kroki. Szczęknęła kłódka.

Oczekiwała Daniela-beka, ale na progu stał Salach, a obok niego jedna ze znanych już kobiet.

— Idziemy — powiedział Palestyńczyk, pociągając nerwowo nosem. — Wymieniłem ciebie.

— Na co?

— Żydzi pozwolą bekowi wejść do domu, a w zamian za to bek cię uwolni.

Pelagia absolutnie niczego nie rozumiała, ale Palestyńczyk ujął ją za rękę i pociągnął za sobą.

W aule powstała sytuacja, którą szachista Berdyczowski nazwałby patową.

W kamiennej wieży ulokowali się członkowie komuny. Rozciągał się stąd widok na podwórza, ulice i wszystkie podejścia do wsi — dlatego kobiety i dzieci pochowały się w salkach, a dżygici zalegli wokół wzgórza. Parę razy próbowali się zbliżyć, ale Magellan strzelał wtedy ze swego karabinu z lunetą — kładł ogień blisko, na postrach.

Kiedy stało się oczywiste, że Czerkiesi nie mogą wejść do wsi, Żydzi zaś z niej wyjść, z wieży zszedł parlamentariusz. Salach. Polecono mu przekazać ultimatum: Czerkiesi muszą zwrócić wszystko, co zagrabili, i wypłacić grzywnę, a wtedy Żydzi odejdą.

Daniel-bek oświadczył, że nie będzie rozmawiał z człowiekiem, który ma na szyi obrożę; może tylko rozmawiać z bekiem Żydów, ale w tym celu musi dostać się do własnego domu, dlatego że szanującym się ludziom nie przystoi dogadywać się, niczym dwóm szakalom, w krzakach.

— Od razu się połapałem. — Salach zwrócił się z zadowoleniem do mniszki. — Chce wiedzieć, czy jego żony i dzieci żyją. To ja powiadam: dobrze, bek, ale wypuść za to rosyjską księżnę.

— Ale dlaczego „księżnę”? — poskarżyła się Polina Andriejewna. — Jeśli górę wezmą Czerkiesi, to dziesięcioma tysiącami franków nie opędzimy się.

Siedzieli i czekali na Daniela-beka.

Pojawił się: jechał powoli ulicą, trzymając obydwie dłonie na widoku. Twarz starego rozbójnika zastygła i tylko biała broda poruszała się nieco na wietrze.

Na podjeździe lekko, niczym młodzieniec, zeskoczył z konia i przekazał wodze kobiecie. Zapytał ją o coś półgłosem, ona odpowiedziała, a twarz beka złagodniała nieco. Zapewne dowiedział się, że wszyscy żyją — domyśliła się Pelagia.

Wyszła wraz z Salachem na zewnątrz, aby przedostać się do wieży, gdy nagle Daniel-bek pochwycił Polinę Andriejewną za rękę i wciągnął z powrotem do chaty.

— Ej, ej! — zaniepokoił się Salach. — Taka umowa nie było!

Starzec wyszczerzył się:

— Księżna będzie ze mną! Daniel nie jest głupcem, wystarczająco żyje na tym świecie. Żydzi natychmiast wypadną i zabiją mnie. Sam bym tak zrobił! Idź do nich i powiedz: księżna umrze razem ze mną! Niechaj Magellan-bek przyjdzie tutaj sam. Porozmawiamy.

Posadził Pelagię obok siebie przy stole, mocno ujął ją za rękę. Mniszka dostrzegła kątem oka, że druga ręka Czerkiesy spoczywa na rękojeści kindżału.

— Jeśli Żyd wejdzie i zacznie do mnie strzelać, poderżnę ci gardło. Ani ty nie jesteś winna, ani ja. Taki los.

— Dlaczego mnie, a nie jemu? — zadała logiczne, choć całkowicie niechrześcijańskie pytanie.

— Jestem już stary, a on młody, szybki — odparł ze smutkiem bek.

Na tym rozmowa się urwała, bo wszedł Magellan.

Pelagia natychmiast go poznała, chociaż przywódca komunistów nieco się zmienił. Opalił się, wąsy miał dłuższe i podkreślone, a głowę żydowskiego wojownika ozdabiała ogromne operetkowe sombrero.

Na kobietę nawet nie spojrzał, nie interesowała go.

Położył rękę na odpiętej kaburze i od razu oświadczył:

— A zatem tak, stary bandyto. Po pierwsze, wszystko nam zwrócisz. Po drugie, odbierzesz Arabom to, co ukradli nam w nocy. Po trzecie, zapłacisz karę — dwadzieścia baranów.

Wtedy odejdziemy.

— Oddać barany? — najeżył się Daniel-bek. — Nie, Żydzie. To wy oddacie mi wszystkie wasze karabiny, a wtenczas my was wypuścimy. Po co Żydom karabiny? Będziecie płacili nam pięćset franków na każdy nowy księżyc i nikt was więcej nie tknie. O zagrabieniu ubrania zmarłej Żydówki słyszałem. Powiem szejkowi Jusufowi, żeby zwrócił. Pomyśl, Żydzie. Moi dżygici nie będą pchać się pod kule. W wieży nie ma wody. Jutro albo pojutrze sami wylezicie, a my was zabijemy.

Magellan milczał przez chwilę z zaciśniętymi szczękami. Jasne oczy zwięzły się.

— Czerkiesie, twoje sakle ulepione są z gliny i wielbłądziego nawozu. Kula przeszyje je na wylot. Nakażę strzelać salami i wkrótce zamiast domów będą tutaj tylko kupy śmiecia. Czerwone od krwi.

Bek także na chwilę zamilkł.

— Nie przypominacie *ulad-el-mot*. Może nie jesteście prawdziwymi Żydami? A może prawdziwi nie byli ci, którzy przyjechali tutaj wcześniej?

— My jesteśmy najprawdziwsi. I takich jak my pojawiać się będzie coraz więcej.

— To trzeba wszystkich was zabić. Nawet gdyby miały zginać nasze kobiety i dzieci — głucho odezwał się Daniel-

-bek. Knykcie palców, zaciśniętych na rękojeści, zbieleły. — Bo inaczej zabierzecie całą tę ziemię i nie zostawicie tutaj ani Arabów, ani Czerkiesów.

— Ty jesteś bekiem. Ty decydujesz.

Mężczyźni patrzyli na siebie ciężko, nieruchomo. Pelagia spostrzegła, że kindżał wysuwa się bezgłośnie z pochwy. Ręka Magellana sięgnęła nieznacznie do kabury.

— Co wy tu wyprawiacie! — zawołała wzburzona mniszka, uderzając dłonią o stół.

Wrogowie, którzy całkowicie zapomnieli o jej istnieniu, teraz sobie o nim przypomnieli.

— Ledwie mężczyźni mają jakieś kłopoty, to od razu „zabić"! A pierwsze, jak zwykle, giną kobiety i dzieci! Tylko idiota wyważa drzwi głową, kiedy brakuje mu rozumu, żeby przekręcić klucz! Mądrzy ludzie robią z głowy inny użytek! Powiedzą o was później: dwaj głupcy nie potrafili się dogadać i z tego powodu Żydzi i Czerkiesi zaczęli wyrzynać się w całej Palestynie! Niech pan odda mu to, co pan ukradł — zwróciła się do Daniel-beka. — A pan, panie Magellan, niechaj zapomni o karze. Po co panu barany? Przecież nie potraficie ich nawet strzyc!

Po tych słowach niby nic się nie zmieniło — bek wciąż ścisnął kindżał, Magellan zaś rewolwer, a jednak napięcie nieznacznie opadło. Mężczyźni wciąż patrzyli sobie w oczy, teraz jednak już nie tak groźnie — raczej pytająco.

— Gdzieś panią widziałem — odezwał się Magellan, nie patrząc na Pelagię. — Nie pamiętam gdzie, ale na pewno widziałem...

Ton świadczył, że nie bardzo go to w tej chwili zajmuje. Nic zresztą dziwnego.

Bek, jako człowiek bardziej dojrzały i bogatszy doświadczeniem, pierwszy postąpił pół kroku do zgody.

Położył obydwie dłonie na stole i powiedział:

— Księżna ma rację. Dżygity z dżygitem zawsze się dogada.

Magellan także zostawił kaburę w spokoju i złożył ręce na piersi.

— Dobrze, zapomnijmy o karze. Ale co z szejkiem?

— Jusuf nie jest dżygitem, to pies. Od dawna chcę go pocyć. Muzułmanie nie rozkradają grobów i nie rozbierają nieboszczyków. Siadaj, będziemy kunakami.

Czerkies zaprosił go gestem, a Magellan usiadł, odkładając sombrero na ławeczkę.

— Wybierzemy się tam od razu, wspólnie — zażądał. — Rochele nie może leżeć naga w rozkopanej mogile.

Bek skinął.

— Od razu. Otoczmy arabską wieś ze wszystkich stron...

— Nie — przerwał mu Żyd. — Zostawimy im jedno wyjście.

Oczy Daniel-beka zabłyśły młodzieńczo.

— Tak, tak! Zostawimy wolną drogę do brodu! Niech uciekają tamtędy!

Pochylili się obydwoj nad stołem i zaczęli kreślić coś na nim palcami, mówiąc jednocześnie i przerywając sobie nawzajem. Momentalnie rodziła się liga antyarabska.

Polina Andriejewna nie za bardzo wiedziała, co się dzieje, ale wszystko to niezbyt jej się podobało. Jakiś rozkopany grób, jakieś zagrabione ubranie...

— Zaczekajcie! — zawołała zakonnica. — Posłuchajcie! Nie wiem, kim jest szejk Jusuf, ale jeśli jest szejkiem, to pewnie nie jest biedny?

— Ma pięćset baranów — odrzekł Daniel-bek. — Jego fellachowie to nędzarze, ale sam Jusuf jest bogaty.

— Jeśli jest bogaty, to po co miałby kraść odzienie martwej kobiety? Zrobili to jacyś nikczemnicy, a szejk z pewnością ukarze ich, kiedy się dowie. Nie ma potrzeby otaczać wsi, nie trzeba zostawiać przejścia do brodu! W przeciwnym razie ludzie powiedzą: trzech głupcy nie potrafili się dogadać i...

— Kobieto! — ryknął bek. — Po raz drugi nazwałaś mnie głupcem!

— Ma rację — wtrącił Magellan. — Arabów jest w tych stronach więcej niż Żydów i Czerkiesów razem wziętych. Zacznie się wojna. Lepiej zaproponujmy szejkowi układy. Tak będzie mądrzej.

— Jesteś nie tylko mężny, Magellan-beku, ale i rozumny — Czerkies przycisnął rękę do piersi.

Mężczyźni pokłonili się sobie ceremonialnie i znowu przestali zwracać uwagę na kobietę.

Panięskie rozmowy

Na Jusuf-beka wyruszyli wspólnie: z przodu Czerkiesi na koniach, za nimi Żydzi. Aby wywrzeć wrażenie na sojusznikach, członkowie komuny ustawili się w kolumnę, z karabinami na lewym ramieniu, i próbowali maszerować w nogę.

Połączone siły, spowite kurzem, ruszyły drogą w dół. Czerkieskie kobiety patrzyły w ślad za nimi. Nie wołały i nie machały rękami — najwyraźniej tutaj nie było to przyjęte.

Bek powiedział Polinie Andriejewnie, że jest wolna i może jechać gdziekolwiek, ale „gdziekolwiek” to nie było to, o co jej chodziło. Znalazła chwilę, żeby porozmawiać z Magellaniem na osobności. Poskarżyła się, że po ostatnich wydarzeniach boi się podróżować bez ochrony, i poprosiła o nocleg w komunie.

Ów zgodził się wielkodusznie i raz jeszcze powtórzył: „Gdzież to ja jednak panią widziałem? Z pewnością w Rosji, tylko gdzie?”

Pelagia uznała, że lepiej będzie zmilczeć, on zaś nie miał teraz czasu grzebać w pamięci.

Czekała do południa w aule, dopóki z arabskiego miasteczka El-Ledżun nie przywieźli zagrabionej komunardom własności. Odbierała wszystko dziewczyna imieniem Małke, z którą mniszka zamieniła swego czasu parę słów na parowcu.

Kobieta to kobieta — Małke poznała Pelagię natychmiast, mimo świeckiego stroju i piegów. Poznała i ucieszyła się, zupełnie jakby spotkała dawną przyjaciółkę. Pojawienie się mniszki w Dolinie Izraelskiej nie wywołało u pogodnej grubaski żadnych podejrzeń.

Od razu zaczęła zwracać się do Poliny Andriejewny na „ty” i zalała ją mnóstwem szczegółowych informacji o sobie, komunie i całym świecie. Co prawda, zadawała także pytania, ale przeważnie sama zaraz na nie odpowiadała.

Zapytała na przykład:

— Skąd się tutaj wzięłaś? Ach, tak, przecież płynęłaś naszym parowcem. Do Palestyny, tak? Z pielgrzymką? A riasę zdjęłaś, żeby nie było tak gorąco? No pewnie, przy takiej spiekocie jedwabna sukienka znacznie lepsza. I zdaje się, że nie jesteś mniszką, tylko nowicjuską?

Pelagii pozostawało jedynie potakiwać.

Do „Nowego Megiddo” wyruszyły, kiedy słońce skłoniło się już ku zachodowi.

Odzyskanego konia Małke zaprzęła do czerkieskiego wozu, a z tyłu przywiązała dwie krowy. Na furę włożono broń i powgniatany, ale wciąż zamknięty sejf z pieniędzmi, na wierzchu zaś umieszczono worki z nasionami. Kobiety usiadły obok siebie i pojechały.

Salach podążał za nimi swoim chanturem, wyśpiewując na całe gardło jakieś piskliwe pieśni. Był szczęśliwy, że odzyskał swój zaprzęg, i to bez żadnego okupu.

Polina Andriejewna patrzyła z podziwem, jak zręcznie jej nowa przyjaciółka powozi obładowaną furą. Małke siedziała z nogami założonymi po turecku (opalone kolana przypominały dwa dobrze przypieczone prosięta), w poprzek nich położyła karabin i śmiało trzaskała batem, nie milnąc ani na chwilę.

Rozmowa toczyła się łatwo.

— Polu, pojęcia nie mam, dlaczego chcesz być mniszką. Gdybyś jeszcze była jakąś pokraką, ale ty jesteś po prostu piękna, daję słowo. To pewnie z powodu nieszczęśliwej miłości, co? Wszystko jedno, nawet jeśli tak — to nie warto. Po co zamykać się w klasztorze, w malusieńkim świecie, kiedy wielki świat jest tak ciekawy? Ja też mogłabym w swoim Borysowie dożyć starości i nie dowiedzieć się, kim w istocie jestem. Dawniej myślałam, że jestem tchórzem, a tu nagle okazało się, że nie brak mi odwagi. Może sądzisz, że Magellan nie zabrał mnie do arabskiej wsi, bo jestem kobietą? Nic podobnego! Nie będzie tam strzelaniny, bo inaczej na pewno bym z nim poszła. Ty, Maleńka, powiada, jesteś najrozsądniejsza, tobie mogę wszystko powierzyć. (Tak mnie czasami nazywa — nie Małke, ale Maleńka albo Malec). Dowieź, powiada, wszystko na miejsce i przypilnuj, żeby te dwa bałwany, Koloseusz i Szlomo (to prawda, że trochę są roztrzepani), nie poły od razu mojego konia; niechaj go najpierw przeprowadzą. I niechaj rozłożą nasiona, żeby się przesuszyły — nocą zawilgotniały.

Pelagia uznała, że wykorzystując szczerą miłość dziewczyny, postąpiłaby niestosownie, mimo to przy pierwszej okazji

(kiedy Małke zaczęła opowiadać, w jakim odosobnieniu żyje komuna) jakby przypadkiem zapytała:

— I nie pojawiają się żadni obcy?

— Rzadko. Rothschildowscy Żydzi uważają nas za obłąkanych bezbożników. Kontakty z Arabami są niedobre. Co do Czerkiesów, to sama widziałas.

— A jacyś wędrowcy, pielgrzymi? Mówiono mi, że w Palestynie mnóstwo jest wędrownych kaznodziejów. — Mniszka niezbyt zrećźnie wróciła do interesującego ją wątku.

Małke roześmiała się.

— Był tu jakiś prorok. Zabawny. Nawiasem mówiąc, z Rosji. Czy pamiętasz Manujłę, którego zabito na parowcu? Okazuje się, że zabito nie jego, tylko kogoś innego — opowiem ci o tym później. Ów Manujła, kiedy tylko przybył do Ziemi Świętej, dla większego efektu zaczął używać imienia Emmanuel.

Roześmiała się ponownie.

Jeśli śmieje się, to znaczy, że nie przytrafiło się nic złego. Pelagii spadł kamień z serca.

— To kiedy był u was?

Dziewczyna zaczęła zginać krótkie palce.

— Siedem, nie, osiem dni temu. Ach, tak, tej nocy zabili Połkana. — Od wesołości przeszła nagle do płaczu, pociągnęła nosem i znowu uśmiechnęła się. — On, Połkan, także zginął za Erec Izrael.

— Za co?

— Za izraelskie państwo. Połkan to pies. Przybłąkał się do nas w Jaffie. Niesłychanie mądry i odważny, niczym wojskowy pies pułkowy, dlatego nazwaliśmy go Połkanem. Nocami tak pilnował, że nie trzeba było żadnych wartowników. Jak przywiążesz go z zewnątrz do bramy, to nikt nie podejdzie. Kosmaty był, czarnożółtej maści, na jedną łapę trochę kulał, a na boku...

— I co ten prorok? — przerwała Polina Andriejewna, której nie interesował opis zabitego Połkana. — Skąd się pojawił?

— Zakołatał wieczorem do bramy. Skończyliśmy już pracę i odpoczywaliśmy, śpiewając pieśni. Otwieramy — brodaty chłopina w łapciach, z kosturem. Stoi, Połkana drapie za

uchem, a ten merda ogonem i nawet nie warknie, takie to cuda. Zapewne prorok przekabacił go na swoją wiarę — zaśmiała się Małke. — Witajcie, dobrzy ludzie, powiada. Ładnie śpiewacie. Jesteście z Rosji? My mu na to: a ty kim jesteś? Jednym ze „znajd” proroka Manujły? (Miał na sobie chlami-dę niebiesko przepasaną, jaką wszyscy oni noszą). On w od-powiedzi: Emmanuel to właśnie ja. Chodzę sobie i przyglą-dam się. Byłem w Judei, w Samarii, a teraz przyszedłem do Galilei. Pozwolicie przenocować? Dlaczego nie? Niechaj no-cuje. A ja pytam go: jakże to możliwe? Przecież zamordowali cię na parowcu. Czyżbyś zmartwychwstał? On na to: to nie mnie zabito, tylko jednego z moich *szeluchin*. Polina Andriejewna zadrżała.

— Co powiedziałaś?

— *Szeluchin* to po aramejsku „apostołowie”. Liczba mnoga — *szeluchin*, liczba pojedyncza — *szeluach*. Powiedział nam o tym Magellan, a on historię Żydów zna jak mało kto.

Szelujak, „Obłupaniec” — przypomniała sobie Pelagia. Chłopi ze Stroganowki mówili, że Manujła tak właśnie nazy-wał swego przyjaciela.

— A co Emmanuel powiedział wam o zabójstwie?

— Że *szeluach* chciał go ochronić i dlatego zginął. A chro-nić go nie potrzeba, chroni go bowiem sam Bóg. I zaczął opo-wiadać o cudownym wydarzeniu, którego dostąpił rankiem. Kłamał jak z nut. Oczęta niebieskie, szeroko rozwar-te... nie-winny aniołek. — Małke prychnęła na samo wspomnienie. — Bo kiedy, powiada, wypędzono mnie z Zichron-Jaakow... W Zichron-Jaakow mieszkają zasobni Żydzi, którzy otrzymują pieniądze od barona Rothschilda. Sami ziemi nie uprawiają, najmują fellachów... Tak więc bogaci Żydzi przepędzili Em-manuela, bo nie mieli ochoty go słuchać. Ruszył doliną między-górami, gdy napadł na niego Beduin. — Dziewczyna, najwy-rażniej przedrzeźniając Manujłę, zasepleniła po dziecięcemu: — „Bahdzo ghoźny człowiek, wymachuje szablą. Po be-duińsku nie zdążyłem się jeszcze wyuczyć i nie umiem mu wy-jaśnić, że niczego nie mam. Sam to zobaczył i hozgniewał się jeszcze bahdziej, chce mi szablą odciąć głowę. Naphawdę. I odciąłby, ale jego system nehwowy uległ dezohganizacji...”

Małke dławiała się śmiechem.

— Tak właśnie powiedział: „system nerwowy uległ dezorganizacji”? — zdumiała się Pelagia.

— Tak, bo w ogóle mówi on dziwacznie, a ja nie jestem w stanie dobrze go naśladować. A dalej prawie jak w bajce. Ledwie rozbójnik zamachnął się szablą, a tu nagle tam-pa-pam — grom z jasnego nieba. Napastnik zalał się krwią i padł martwy. „A dookoła nikogo — tu goha, tu goha, a tu ścieżka. Żywej duszy! Podziękowałem Panu, pogrzebałem mahtwego zbója i poszedłem dalej”. Śmiałyśmy się do rozpuku. Ale ów Emmanuel nie był obraźliwy, śmiał się razem z nami.

— A co na to Magellan? — Mniszka chciała zapytać, czy nie odnosił się do proroka wrogo, ale powstrzymała się.

— No cóż, Magellan potraktował go z początku surowo. Urządził mu prawie przesłuchanie. Po co przyszedłeś? Twój ludzie kręcili się wokół nas na parowcu, a teraz sam do nas zawitałeś? Czego od nas potrzebujesz? I temu podobne. Emmanuel na to: że spotkaliście na statku moich *szełuchin*, to nic dziwnego. Wielu z nich podąża za mną do Ziemi Świętej, chociaż mówiłem im: tam Ziemia Święta, gdzie człowiek się urodził. Na co im Palestyna? Ja to co innego, ja mam tutaj co robić. Oni zaś, powiada, nie słuchają mnie. A że natknęliśmy się tutaj na siebie, to nic dziwnego. Palestyna malutka. Jeśli ktoś postanowił ją obejść... Ach, nie — uśmiechnęła się Małke — wyraził się inaczej: „wojazać po niej”. Jeśli ktoś postanowił po niej wożać, to w krótkim czasie zdąży być wszędzie. A potem Emmanuel zaczął bając o swoim cudzie i Magellan stracił dla niego zainteresowanie. Machnął ręką i poszedł spać.

— A zatem to nie on — powiedziała w zadumie Pelagia.

— Co takiego?

— Nie, nie, nic. O czym jeszcze opowiadał prorok?

— Zaczęła się akurat biegać. — Małke spoważniała. — Zaczął szczekać Połkan. Pomyśleliśmy, że na szakala. Ale słyszymy, że szczekanie oddala się — zerwał się z łańcucha. Pobiegliśmy za nim. Wołamy: „Połkan! Połkan!” A on tymczasem leży martwy. O jakieś sto kroków od chanu. Zarabali go szablą. Okazało się, że to nie szakale, tylko Arabowie albo Czerkiesi. Beduini już wtedy odeszli... Obudziliśmy Magellana. On na to: dopędzić! Ale jak tu dopędzić? W którą stronę — do Arabów czy do Czerkiesów? Zaczęły się

spory, podniósł się hałas. Większość woła: nas jest mało, a ich wielu. Pozarzynają nas jak Połkana! Niedobre miejsce, trzeba stąd uciekać! Magellan na to: kto nie potrafi się obronić, temu wszystkie miejsca na ziemi będą niedobre. I dopiero się zaczęło... — Dziewczyna machnęła ręką. Nagle coś sobie przypomniała i klasnęła w dłonie. — Ach, tak, Emmanuel powiedział wówczas coś dziwnego. Jakże mogłam o tym zapomnieć! Nikt nie zwracał na niego uwagi, wszyscy byli podnieceni, krzyczeli, aż tu on mówi nagle: zwyciężycie i Arabów, i Czerkiesów. Jest was mało, ale jesteście mocni. Tyle że, powiada, wasze zwycięstwo (nie powiedział „zwycięstwo”, tylko „wiktoria”) stanie się waszą klęską. Jakimże to sposobem, pytamy, wiktoria może być klęską? Odpowiedział zagadkowo: zwycięstwo nad innym człowiekiem zawsze jest klęską. Prawdziwa wiktoria jest wtedy, kiedy pokonasz samego siebie. No cóż, nasi nie chcieli go dłużej słuchać, znowu zaczęli się klócić. A przecież wychodzi na to, że jednak miał rację!

— Co było potem?

— Nic takiego. Wypił o świcie mleko i poszedł sobie.

— A nie powiedział dokąd?

— Powiedział. Był rozmowny. Rochele dolewała mu mleka, a on rzecze: pójdę najpierw do Kafarnaum, potem jeszcze gdzieś tam, a potem trzeba będzie zajrzeć do Doliny Sid-dimskiej i w Góry Awarimskie; powiadają, że odbudowano tam Sodomę, to ciekawe...

— Sodoma! — zawołała Polina Andriejewna. — A gdzie są te Awarimskie Góry?

— Za Morzem Martwym.

— Sodoma! Sodoma! — powtarzała poruszona mniszka.

Parowcem płynęła rodzina pederastów i kierowali się właśnie tam! Ale co ma z tym wspólnego Szklane Oko? Rzecz niepojęta. A jednak coś w tym jest!

Minęło całe osiem dni, jeśli wszakże Emmanuel wybrał się najpierw do Kafarnaum, to jest szansa, żeby zdążyć. Porusza się, co prawda, szybko...

— Co tam mamroczesz, Polu?

Polina Andriejewna sięgnęła po przewodnik, wyjęła z niego i rozłożyła mapę.

— Pokaż mi, gdzie jest Dolina Siddimska. Jak tam dotrzeć?
— Po co ci to? — zdziwiła się dziewczyna, ale wyjęła ołów-
ek i poprowadziła linię. — Najpierw do rzeki Jordan, potem
wzdłuż brzegów Morza Martwego na południe. Widzisz
kółeczko? To osada Bet-Kebir. Sodoma jest gdzieś za nią.
Połu droga, po co ci to? Mniszka i od razu do Sodomy! —
Małke zaniósł się śmiechem. — Rosjo, gdzie prowadzą twoje
drogi? Nie odpowiada!

Pelagia złożyła starannie mapę i umieściła ją z powrotem
w przewodniku.

— I naprawdę chcesz się tam wybrać? — W oczach Małke
widać było i przerażenie, i ciekawość. — Jesteś szalona! Wy-
obrażam sobie, co tam się dzieje! Napisz do mnie, co? Ale ze
szczegółami!

Trąciła mniszkę łokciem i zachichotała.

Pelagia, potrącona, upuściła przewodnik. Podniosła jednak
cenną książeczkę i schowała ją do kieszeni.

Tymczasem wóz wjechał na szczyt wzgórza, skąd otwierał
się widok na dolinę i okoliczne góry.

— A tam daleko widać nasz chan. — Małke uniosła się na
siedzeniu. — Teraz zjedziemy wzdłuż rzeczki. Za jakieś
czterdzieści minut dotrzemy. Umyjesz się, odpoczniesz.

— Nie, dziękuję. — Polina Andriejewna zeskoczyła z wo-
zu. — Na mnie pora. Powiedz, w którą stronę mamy zjechać,
żeby dotrzeć do Jordanu?

Małke westchnęła — najwyraźniej nie miała ochoty na
rozstanie.

— Jedź tą oto dróżką. Jest wyboista i zarośnięta trawą, ale
doprowadzi cię prosto do rozstajów. Jeśli chcesz do Jordanu,
to kieruj się na prawo. A co z rozbójnikami? Mówiłaś
przecież, że boisz się bez ochrony?

— To nic — odparła z roztargnieniem Pelagia. — Bóg mi-
łościw.

Bóg istnieje!

Droga z Jerozolimy do Doliny Izraelskiej była tylko jedna,
tak że obiekt udało się dopędzić zaraz pierwszego dnia.

Jakow Michajłowicz ulokował się z tyłu i kroczył sobie, oddychając górkim powietrzem. Słoneczko w Ziemi Świętej nie żartowało. Spiekł się niczym Arab. I bardzo dobrze, bo ruszając w drogę, przebrał się właśnie za Araba. Najbardziej odpowiednia odzież na tutejszy klimat: wiaterek przewiewa cieką długą koszulę, a chusta (nazywa się „kufla”) chroni przed palącymi promieniami głowę i kark.

Kiedy napotykał kogoś na drodze, a ów zwracał się do niego po arabsku, Jakow Michajłowicz z szacunkiem przykładał dłoń do czoła, potem do piersi i szedł sobie dalej. Może człowiek nie ma ochoty z tobą rozmawiać, a może złożył śluby, że nie będzie gadał po próżnicy — tłumacz to sobie, jak chcesz.

Pech przytrafił się trzeciego dnia, kiedy Ruda skręciła w lewo i pojechała drogą, która ciągnęła się między doliną a wzgórzami.

Jakow Michajłowicz widział, jak Czerkiesi zatrzymują chantur, ale postanowił nie mieszać się do tego. Ludzie poważni, z karabinami, on zaś miał tylko sześciostrażalową pułkawkę. Sprawdza się w mieście, gdzie wszędzie mury i zakamarki, ale na otwartej przestrzeni to rzecz nieprzydatna. Poza tym nie wolno mu było się ujawnić.

Zaczął się wieczorem pod czerkieskim wzgórzem i obserwował całą żydowską operację. Patrzajcie no, jak to się rozbuchali. A jeśli podobnej śmiałości nabiorą też u nas, w matce Rosji?

Mówi się: wolniej jedziesz, dalej zajedziesz. Dlatego Jakow Michajłowicz uzbroił się w cierpliwość. Odczekał, dopóki Czerkiesi i Żydzi nie dogadają się i nie odejdą, a potem sprawy ułożyły się najkorzystniej, jak tylko to możliwe.

Mniszka wyjechała z aułu w towarzystwie pulchnej Żydóweczki i wiernego Araba. Wszystko wróciło na swoje miejsce.

Okolica była równinna, rozległa, należało więc zwiększyć dystans — na otwartej przestrzeni zauważyliby go z daleka. Ale i oni, chwala Bogu, też są dobrze widoczni. Nigdzie się nie zgubią.

Kiedy wozy zaczęły wspinać się na wzgórze, Jakow Michajłowicz nieco sobie pofolgował. Był pewien, że za wzgórzem droga zjeżdża do parowu, pomyślał więc: mądry nie będzie pchał się pod górę, mądry górę obejdzie.

Po co się wysilać, lepiej obejść wzgórze dołem, łączką.
Bywa, że własne nogi są lepsze niż koła.

Kto wie, czy jeszcze nie zyskasz na czasie? Można będzie zamoczyć nóżki w strumieniu. Zasiąść tam sobie w cienistej wiklinie i zaczekać, aż obiekt przejedzie obok.

Tak też uczynił. I nogi zamoczył, i napił się świeżej wody, i nawet coś naprędce przekąsił.

Ledwie usunął okruchy, a tu skrzypienie i stukot. Jada.

No, no.

Wyjrzał zza krzaków i zamarł.

Zamiast dwóch wozów jeden. Siedzi na nim Żydóweczka i wymachuje batem, a Rudej nie ma!

Serce aż się ścisnęło. Idiotą jesteś, Jakowie Michajłowiczu, żaden tam z ciebie mądrała! Teraz trzeba biegiem na górę.

Przeczaił się, aby przepuścić wóz. Ów odjechał nieco dalej i skręcił do rzeczki — najwyraźniej Żydóweczka także postanowiła się ochłodzić.

Jakow Michajłowicz klusem popędził na zbocze. Czuł, jak pot leje się z niego strumieniami, ścieka po twarzy i po plecach. W ciągu pięciu minut wbiegł na sam szczyt.

Co godzina, to nowina!

Okazało się, że jest tam skrzyżowanie: jedna droga prowadzi na prawo, druga na lewo. A jeśli dobrze się przyjrzeć — to w bok odchodził jeszcze mało używany szlak. Trawa rosła na nim ostra, sztywna, nie widać więc było, czy niedawno przejechał tędy wóz, czy też nie.

Co tu robić? Dokąd biec?

Zwrócił się do rozumu, a ten zuch jak zwykle go nie zawiódł.

Jakow Michajłowicz puścił się z powrotem do rzeczki. Z górki biec było łatwiej.

Żydówka zdążyła napić konia i prowadziła go za uzdę do wozu.

Usłyszawszy tupot, odwróciła się i ściągnęła z ramion sru-tówkę.

— Źle, dziewczyno! Nieszczęście! — Jakow Michajłowicz wrzasnął z daleka po rosyjsku.

Otworzyła szeroko usta: jakże to — Arab, a krzyczy po rosyjsku?

O swojej pukawce zapomniała całkowicie.

— Ktoś ty? — zawołała. — Jakie nieszczęście? Zatrzymał się przed nią, odzyskał oddech, otarł pot z czoła.

— Zgubiłem ją, oto jakie nieszczęście.

— Kogo zgubiłeś? Kim jesteś?

— Daj no. Nigdy nie wiadomo...

Chwycił za lufę śrutówki. Dziewczyna nie chciała puścić broni, ale Jakow Michajłowicz stuknął ją leciutko pięścią w dołek, Żydóweczka zgięła się wóół i zaczęła chwytac ustami powietrze, niczym wyciągnięte z wody rybisko.

Pukawkę odrzucił w krzaki, a grubaskę tak palnął w kark, że klapnęła na pupę.

Krzyknęła:

— Kanalia!

Przeszyła go wzrokiem — czarnymi, nieuleklymi oczyma.

No to trzeba będzie się potrudzić, zrozumiał doświadczo-ny człowiek. Nie tracił więc czasu na niepotrzebne gadanie. Najpierw należało nauczyć „krówkę” rozumu, zmiękczyć jej upór. „Krówka” to termin, który Jakow Michajłowicz stosował na własny użytek. „Krówkę” doi się, kiedy trzeba zdobyć niezbędne informacje, a potem, zależnie od okoliczności, albo puszcza z powrotem na łączkę, albo przeznaczca na befsztyki.

Krnąbrna Żydóweczka pójdzie na befsztyki, to było jasne, przedtem jednak niechaj da mleczka.

Zaczął ją kopać — bez rozmachu, bo było gorąco. Kopnął w kostkę, potem dwa razy w nerki, a kiedy skuliła się z bólu, w kość ogonową. Kiedy znowu się wyprostowała — w kobiece miejsce.

Że głośno wrzeszczała, to bez znaczenia, w pobliżu nie było żywej duszy.

Uznał, że na razie wystarczy. Usiadł dziewczynie na piersi i ścisnął palcami gardło, żeby pomyślała, że nadszedł koniec.

Gdy jednak zsiniała, a oczy wyszły jej z orbit, Jakow Michajłowicz puścił ją, pozwolił odetchnąć, poczuć smak życia. Dopiero teraz przystąpił do rozmowy.

— Gdzie ona pojechała? Którą drogą?

— Kanalia — powtórzyła „krówka”. — Magellan spod ziemi cię...

Znowu trzeba było ją poddusić.

Jakow Michajłowicz zmartwił się — tępy upór zawsze go przygnębiał, bo to najgorszy spośród ludzkich grzechów. Tak czy owak, wszystko powie, niepotrzebnie tylko męczy siebie i spieszącego się człowieka.

Rozejrzał się wokół i ujrzał leżącą obok gałąź. Podniósł ją i przełamał.

— Zaraz ci, idiotko, wydlubię tym patyczkiem oko. — Jaków Michajłowicz pokazał dziewczynie rozszczepiony kołnierz. — Potem drugie. Jeśli i to nie wystarczy, będę ci ten drążek wpychał powoli w tylny otwór. Zrozum, dziewczuszko, nie jestem bestią — mam jednak pilną sprawę. Mów, kochanieczko, mów. Gdzie skierowała się Ruda?

Znowu pozwolił jej nabrać powietrza. Ona zaś, niewdzięcznica, splunęła. Ślina nie trafiła celu, opadła jej na brodę. Nawet gdyby trafiła — to co z tego?

I co tu z nią robić?

— To kim ona dla ciebie jest? Siostrą, przyjaciółką? — zaczął się dopytywać. — No dobrze, miej pretensję do samej siebie.

Przysiadł mocniej, unieruchomił ręce Żydówki kolanami, szyję przycisnął łokciem do ziemi. Ujął gałąź tuż przy ostrym końcu i podsunął kretynce pod sam nos.

— No?

Jej oczy zabłyśły, a on zrozumiał, że niczego się nie dowie.

Wepchnął patyk w oczodół — krew zakipiła i pociekła po pulchnym policzku. Z gardła „krówki” wyrwał się szloch i odsłoniły się równe białe zęby.

Tu Żydóweczka odstawiła numer. Jakow Michajłowicz spodziewał się, że będzie wciskać głowę w ziemię, ona tymczasem szarpnęła się do przodu, i to z taką siłą, jakiej po grubasce nigdy by się nie spodziewał.

Kijek wszedł w oko po samą pięść. Jakow Michajłowicz, rzecz jasna, natychmiast go wyszarpnął, ale było za późno — głowa dziewczuchy stuknęła martwo o ziemię. W miejscu oka ziała purpurowa dziura, przykro było patrzeć, a z koniuszka patyka ściekało coś szarego — wbił się jej w mózg.

To dopiero ścierwo!

W pierwszej chwili Jakow Michajłowicz nie uwierzył we własny pech.

Och, niedobrze! Jak niedobrze, to już na całego! Panie Boże, za co mnie karzesz? Oświeć i wspomóż! Co teraz robić, jak odszukać Rudą?

Jakow Michajłowicz trapił się bardzo, ale nie siedział bezczynnie. Bo to wiadomo, kogo droga może przyprowadzić?

Martwą Żydówkę wepchnął do wody, pod brzeżek. Przy okazji zmył z ręki krew.

Podszedł do wozu. Może nim pojechać? Zawsze to łatwiej niż na piechotę. Spróbować najpierw jedną drogą i pierwszego napotkanego człowieka zapytać, czy nie przejeżdżała tędy kobieta w chanturze. Jeśli się nie powiedzie, zawrócić i powrócić to samo na drugiej drodze. Jeśli znowu nic, to ruszyć tamtym zarośniętym szlakiem.

Zdawał sobie sprawę, że plan jest kiepski. Można tutaj jechać przez godzinę albo dwie, zanim się kogoś spotka. Poza tym jak się z nim porozumieć? A jeśli droga znowu się rozwidli?

Worki z ziarnem utopił w rzeczce, bronię i sejf także. Co prawda, przy skrzyneczce z pieniędzmi nieco się zawahał. Przydałaby się laseczka dynamitu, żeby zerknąć do środka. Ale grubszej gotówki ci golcy mieć nie mogą, a taszczyć się z dodatkowym ciężarem to na nic.

Krowy chlasnęły batem po zadach.

Chciał już wsiąść i pojechać na chybił trafił, gdy nagle na dnie wozu zauważył złożoną karteczkę. Rozłożył — mapa Palestyny, malutka, dołączają takie do przewodników. Ruda też miała taką książeczkę, zdążył zobaczyć. Upuściła?

Na mapie czerwonym ołówkiem zaznaczona była marszruta.

„Bet-Kebir” — odczytał Jakow Michajłowicz nazwę kropki, na której kończyła się czerwona linia.

Przeżegnał się zamasyście.

Bóg istnieje, na pewno istnieje.

XII ZAMEK SZWARCWINDEL

Wersja numer trzy

— Katarzynkę — wyszeptał, rozglądając się, przystojny młody człowiek.

— Sto rubli?! — oburzył się Matwiej Bencjonowicz, ale raczej tylko dla porządku, bo gotów był teraz zapłacić każde pieniądze, nawet tak duże. Łatwo powiedzieć — sto rubli. Jedną czwartą miesięcznego uposażenia. Rzecz jasna, życie w Zawołżsku jest tańsze niż gdzie indziej, nie mówiąc już o stolicach, ale kiedy masz czternastoosobową rodzinę, szybko nauczysz się oszczędzać. Najgorsze, że nie da się wziąć pokwitowania — zmartwił się przy okazji Berdyczowski — a zatem nie będzie można tego włączyć do wydatków służbowych.

— Niech pan się nie waha. — Kiesza wyciągnął wąską, wypielęgnowaną dłoń. — Jeśli moje dane nie będą wiarygodne, zwracam całą sumę.

Słusznie. Prokurator wyjął paperek z Katarzyną Wielką i wręczył go blondynowi, ale ten nie spieszył się z przyjęciem honorarium — trzymał banknot delikatnie dwoma palcami, jakby chciał zademonstrować, że gotów jest go zwrócić na pierwsze żądanie.

— Kto zatem wykupił Racewicza? — zapytał ochryple Matwiej Bencjonowicz.

— Sądzę, że ten, który go kochał.

Romantyczna historia? Prokurator był zaskoczony. To całkowicie nowy trop i nie wiadomo na razie, dokąd zaprowadzi.

— Chciał pan powiedzieć: „ta, która go kochała”?

— Nie, nie chciałem — uśmiechnął się Kiesza.

— Jakoś nie bardzo...

— Myśli pan, że Racewicza szurnęli z żandarmów za długi? W żadnym razie. Gdyby wszystkich przepędzali ze służby za takie drobiazgi, mało kto by został. Poza tym zwierzchność nie pozwoliłaby posadzić do kozy zasłużonego oficera. Nie, to był tylko pretekst.

— To jaka była rzeczywista przyczyna?

Młody człowiek uśmiechnął się zagadkowo.

— Nikt tego nie wie oprócz miejscowego dowództwa żandarmerii i naszych.

— Naszych?

Subiekt ponownie ujął lewą rękę Berdyczowskiego i powtórzył dziwny rytuał — połaskotał dłoń palcem. Widząc na twarzy rozmówcy pełną konsternację, parsknął:

— Co, trudno uwierzyć? Proszę sobie wyobrazić, że i wśród żandarmów są tacy, którym podobają się mężczyźni.

Zdumiony Matwiej Bencjonowicz bezwiednie otworzył usta.

— Widzę, że swoje sto rubli zarobiłem — zauważył z zadowoleniem blondyn i włożył banknot do portfela.

Prokurator tymczasem wciąż nie mógł się pozbierać. Czy to możliwe?

I tu jakby grom go poraził. Ależ tak! Pelagia opowiadała, że parowcem płynęli pederasci, przesiedleńcy do odbudowywanej Sodomy. Ale to... Ale to kierowało śledztwo w zupełnie inną stronę!

Radca stanu mocno ujął młodego człowieka za łokieć.

— Nie powiedział pan mi jeszcze, kto wniósł pieniądze.

— Nie wiem tego na pewno, ale jestem przekonany, że to Czarnokucki, nikt inny.

— Kim jest ten Czarnokucki?

— Nie słyszał pan o hrabiach Czarnokuckich? — zapytał z niedowierzaniem Kiesza.

— Słyszałem. Znany polski ród.

— Znany! To za mało! Czarnokuccy są najbogatszą rodziną na całym Wołyniu. Dwadzieścia wiorst stąd zaczyna się powiat czarnokucki, a miasto powiatowe Czarny Kąt w całości należy do hrabiego.

— Całe miasto? Czy to w ogóle możliwe? — zdumiał się Matwiej Bencjonowicz. — W końcu to nie średniowiecze.

— Na Wołyniu bardzo możliwe. Równe należy do księcia Lubomirskiego, Staro-Konstantynów do księżny Abamelek, a Dubno do księżny Bariatyńskiej. Czarnokuccy zaś siedzą na Wołyniu od siedmuset lat. Czy widzi pan tamtą skałę? — Kiesza wskazał widoczne w oddali malownicze urwisko, które nawisało nad rzeką. — Żytomierska osobliwość. Nazwano ją „Głową Czackiego”.

Skała istotnie przypominała nieco dumnie pochyloną głowę.

— Co tu ma do rzeczy Czacki?

— Absolutnie nic. Dawniej skała nazywała się „Głową Czarnokuckiego”. W szesnastym wieku hajdamacy ścięli tutaj przodka obecnego hrabiego. Po sześćdziesiątym trzecim zaś skałę postanowiono przemianować. Rzecz w tym, że niektórzy spośród Czarnokuckich brali udział w polskim powstaniu, a jeden nawet zapłacił za to głowę. I żeby uniknąć dwuznaczności, przerobiono na Czackiego.

— To hrabia był powstańcem?

— Nic z tych rzeczy! Jaśnie pan ma zupełnie inne zainteresowania. Takie mniej więcej jak pan i ja. — Subiekt roześmiał się. — Szkoda, że nie znosi Żydów, bo inaczej zaraz bym pana z nim skontaktował.

— A ja w ogóle nie jestem Żydem — oświadczył Berdyczowski. — Udawałem, żeby pozyskać zaufanie Gołosowkera.

— Nieżle pan udawał — zauważył Kiesza, przyglądając się sceptycznie obliczu prokuratora.

— Taka jest prawda! Włosy umalowałem. W rzeczywistości jestem blondynem. Jeśli zawiezie mnie pan do hrabiego, to zmyję farbę. A nazywam się nie Mordechaj Berdyczowski, tylko Matwiej Berg-Dyczowski. Pańskie domysły są trafne: nie jestem lichwiarzem. Jestem... jestem powiatowym marszałkiem szlachty — skłamał Matwiej Bencjonowicz, nie będąc w stanie wymyślić czegoś bardziej arystokratycznego. — W guberni zawołńskiej.

Nie było pewne, czy młody człowiek uwierzył. W każdym razie powiedział po chwili:

— Dwieście rubli.

— Chyba pan oszalał! — jęknął radca stanu, próbując sobie uzmysłwić, czy ma tyle pieniędzy. W najgorszym razie można wysłać telegram do władzyki.

— Zapłaci pan, kiedy wrócimy. Jeśli pomyliłem się i hrabia Racewicza nie wykupił, to może pan w ogóle nie płacić — za uważył przedsiębiorczy młodzieniec.

Na ów warunek Matwiej Bencjonowicz chętnie się zgodził. Jeśli ślad okaże się obiecujący, a podróż owocna, to zapewne będzie można obciążyć wydatkami konto śledztwa.

— Gdzie pan się zatrzymał? — zapytał Kiesza.

— W „Wersalu”.

— Zamykam kasę o siódmej. Niech pan tylko nie skąpi grosza; proszę wynająć kareta na resorach, bo inaczej poobijamy sobie boki. Umówię się z Siemionem Pocztańką — ma dobry ekwipaż. Bo droga dosyć odległa...

Podróźne rozmyślania o nieciekawych perspektywach ludzkości

Radca stanu ponownie posłużył się „Jasnowłosym Aniołem”, ale jasnego odcienia nie udało się w pełni uzyskać. Wyszło coś, co było złocistoczerwonawe. To nic, przy sztucznym oświetleniu ujdzie — uspokajał się Berdyczowski.

Kiesza przyjechał punktualnie w nader przyzwoitej kolasce, która kosztowała prokuratora osiem rubli. Subiekta nie sposób było poznać. Wystroił się wedle najnowszej mody, wyperfumował, a w przedziałku można było przeglądać się niczym w lustrze. Kto by uwierzył, że ów frant dorabia sobie w soboty w żydowskim lombardzie?

— Dokąd jedziemy? — zapytał Matwiej Bencjonowicz, umościwszy się na miękkim siedzeniu.

— Do hrabiego, do zamku Szwarzwinkel.

— „Czarny Kąt”? — przetłumaczył nazwę prokurator.

— Tak. Po polsku Czarny Kąt, a po rosyjsku „Zapiecek” albo coś w tym rodzaju. Zbudował go w stylu gotyckim dziad jaśnie pana. Uwielbiał romanse rycerskie.

Berdyczowski zdążył wypytać o hrabiego recepcjonistę w hotelu, ale nasłuchał się takich bajęd, że tylko roznieciło to jego ciekawość. Trzeba było sprawdzić, co w tych bajaniach jest prawdą, a co nie.

— Jak się zdaje, ów magnat jest człowiekiem niezwykłym — rzekł niedbale Matwiej Bencjonowicz.

Kiesza parsknął.

— I pana, i mnie też nie można nazwać zwykłymi, czyż nie? Ale daleko nam, rzecz jasna, do jaśnie pana. To postać jedyna w swoim rodzaju.

Ciekaw szczegółów, prokurator zauważył z namysłem:

— Latorośle starych rodów skłonność do pederastii mają we krwi. Zapewne jakąś rolę odgrywa tutaj zblazowanie. Może to być też skutek degeneracji.

— Ale hrabia nie zawsze interesował się chłopcami. W młodości fascynowała go niesłychanie płeć żeńska — aż do obłędu, albo, jak sam się wyraża, obsesyjnie. „Obsesja” to taki medyczny termin, coś w rodzaju natarczywych myśli.

— Wiem.

— W końcu jest on z wykształcenia medykiem. Tak interesowały go kobiety, że po ukończeniu Korpusu Paziów nie wstąpił do gwardii ani do służby dyplomatycznej, tylko zapisał się na wydział medyczny, aby studiować ginekologię. Na pewno nie dla pieniędzy. Powiada, że chciał wiedzieć o kobietach wszystko: jak są zbudowane, co mają w środku i jaki kluczyk je otwiera. Zbadał to wszystko szczegółowo — zachichotał Kiesza. — Ale najwyraźniej szybko miał dosyć. Po ukończeniu uniwersytetu założył szpital dla kobiet, ale wkrótce to zarzucił. Teraz bab nie może znieść, wywołują w nim drgawki.

Matwiej Bencjonowicz miał nieco inne informacje. Recepjonista powiedział: „Hrabia, dopóki nie sfiksował, prowadził szpital dla kobiet, leczyl bezpłatnie kobiece przypadłości. Najpierw jedną zarznął w czasie operacji, potem drugą i trzecią. Sprawa trafiła do sądu. Zwyczajnego lekarza na pewno by skazano, a ten, wiadomo — Czarnokucki. Szpitalik jednak zamknięto”.

— Potem jego wysokość zaczął podróżować — ciągnął swą opowieść Kiesza. — Długo się po świecie objął. A był wszędzie — i w Amazonii, i w Holenderskich Indiach Wschodnich, i u Papuasów. Ma w domu niezłą kolekcję, sam pan zobaczy...

O kolekcji Berdyczowski także już wiedział: składała się jakoby z uciętych głów, umieszczonych w słojach. „Przy-

wiół to niby z dzikich krain, ale kto go tam wie" — powiedział recepcjonista.

— Koniec końców hrabia miał dosyć podróży. Od wielu już lat siedzi kamieniem w Szwarcwinklu. Swoje miejsce pomieszkania urządził niezwykle oryginalnie, sam pan zobaczy. Może pan uznać, że się panu udało. Mało kogo wpuszcza się do zamku. *Exclusivite* — to takie francuskie słówko, a oznacza...

— Wiem, co oznacza — przerwał Berdyczowski. — Niech pan opowiada dalej. Bo o pańskim hrabim nasłuchałem się takich rzeczy...

Kiesza chciał błysnąć erudycją i gdy mu na to nie pozwolono, najwyraźniej poczuł się urażony. Wyburczał:

— Beze mnie nigdy w życiu by pan tam nie trafił. A że gadają rozmaite rzeczy, to albo z zawiści, albo z niewiedzy.

Tu zamilkł.

Tak więc prokurator nie dowiedział się, czy prawdą jest, że wokół zamku rozciąga się nieprzebyty las, gdzie najsurowiej zabrania się chodzić, a żeby nikomu nie przyszło to do głowy, rozmieszczono tam mnóstwo wilczych jam, potrzasków i pułapek. Kilkoro dzieciaków połakomiło się jakoby na grzyby i jagody i przepadło bez śladu. Policja prowadziła poszukiwania i w lesie, i w zamku. Potrzaski i wilcze jamy widziała, ale niczego nie znalazła. „W rowie pod murami — szeptał recepcjonista — żyje ogromne bagienne wężysko, długie na pięć sążni. Może połknąć całego człowieka". No, na resztę opowieści Berdyczowski machnął ręką, bo były to już jawne bujdy. Teraz żałował, że nie wysłuchał do końca.

Ekwipaż toczył się przez wzgórza i pola. Ściemniało się stopniowo, na niebie pojawiły się gwiazdy — początkowo blade, z każdą jednak minutą coraz jaśniejsze.

Dokąd mnie niesie? — wzdrygnął się nagle Matwiej Ben-cjonowicz, patrząc na ów gogolowski pejzaż. Co powiem hrabiemu? Co mnie tam w ogóle czeka? Zwłaszcza jeśli potwierdzi się wersja homoseksualna, a magnat rzeczywiście powiązany jest z zabójcami.

Wszystkiemu winna żyłka myśliwska, która sprawiła, że człowiek rozsądny, głowa rodziny, zapomniał o ostrożności.

Może zawrócić — zawahał się prokurator. Przecież jeśli zginę, to nikt się nawet nie dowie, co się ze mną stało.

Przypomniał sobie jednak Pelagię. Jak wchodziła po trapie, jak szła po pokładzie z opuszczoną głową, jak na jej bezbronne ramiona padało światło latarni...

Radca stanu wysunął do przodu brodę i groźnie ściągnął brwi. Jeszcze zobaczymy, kto kogo powinien się bać: Berdyczowski wołyńskiego magnata czy też na odwrót.

— Ma pan ładny profil — przerwał milczenie Kiesza. — Jak na rzymskiej monecie.

Otarł się kolanem o nogę sąsiada. Matwiej Bencjonowicz spojrział surowo na zepsutego młodzika i odsunął się.

— To z powodu Racewicza, tak? — westchnął młody człowiek. — Tak pan go kocha? No cóż, wierność trzeba uszanować.

— Tak, jestem wierny — kategorycznie odparł prokurator i odwrócił się.

Czym jest homoseksualizm, po co on ludziom? — rozmyślał Matwiej Bencjonowicz. I co charakterystyczne: im wyższy poziom cywilizacji, tym więcej ludzi oddaje się temu zboczeniu, które potępiają i wszystkie religie, i społeczeństwa. I czy jest to zboczenie? A może jest to prawidłowość, wiążąca się z tym, że ludzkość, postępując od ogniska do światła elektrycznego, oddala się od natury? Kiedy przyjedzie się do jakiegokolwiek dużego miasta — czy to do Pitra, do Moskwy czy do Warszawy — wszędzie ich pełno, z każdym rokiem coraz więcej i coraz mniej się krępują. Dzieje się tak nie bez kozery, to jakiś znak, i nie jest to kwestia upadku obyczajów albo zepsucia. W człowieku zachodzą jakieś ważne procesy, których znaczenia na razie nie rozumiemy. Kultura oznacza wyrafinowanie, a wyrafinowanie odrzuca naturę. Mężczyzna nie musi już być silny, staje się to przeżytkiem. Kobieta przestaje rozumieć, z jakiej racji miałyby ustępować pierwszeństwa, jeśli mężczyzna jest coraz słabszy. Za jakieś sto lat społeczeństwo (w każdym razie jego wyższe warstwy) składać się będzie bez wyjątku z kobiecych mężczyzn, jak Kiesza, i z męskich kobiet, jak Fira Dorman. Tylko patrzeć, jak przemieszają się wszelkie instynkty i skłonności seksualne!

Myśl Matwieja Bencjonowicza sięgała coraz dalej, w całkowicie już odległe czasy. Ród ludzki wymrze, bo koniec końców różnica między płciami w ogóle zaniknie i ludzie przestaną się rozmnażać. Jeśli, rzecz jasna, nauka nie wynajdzie jakiegoś innego sposobu powielania ludzkich istot, na przykład przez pączkowanie. Bierze się, dajmy na to, żebro, jak Pan Bóg uczynił to z Adamem, i wytwarza nowego człowieka. Żadnych tam ognistych namiętności, żadnego zlania się pierwiastków męskiego i żeńskiego.

Jakie to szczęście, że w tym rajku na ziemi mnie już nie będzie! — wstrząsnął się radca stanu.

— A oto i Szwarzwinkel — wskazał gdzieś ku górze Kiesza.

Wyjątkowa kolekcja

Matwiej Bencjonowicz wysunął się z kolaski i ujrzał w oddali duży ciemny kontur, na którego szczycie drgały światełka.

— Co tam jest, ogniska? — zdumiał się.

— Pochodnie na basztach. Przecież mówiłem, że to średniowieczny zamek.

Od rozjeżdżonego, wyboistego traktu w stronę tajemniczej bryły skręcała wąska droga, wyłożona równym brukiem.

To duże lesiste wzgórze — domyślił się Berdyczowski. Na szczycie zamek. Można było już zobaczyć zębate mury, oświetlone pełgającymi języczkami ognia.

Po chwili kolaska wjechała w las i zamek zniknął. Zrobiło się całkowicie ciemno.

— Dobrze, że na hołobli jest latarnia — zauważył prokurator, czując, że faeton pochyla się na bok. — Bo zupełnie nic nie widać.

Przedstawiło mu się natychmiast: wywrócimy się na stromym zboczku, potoczymy jak kula w gęstwinę, a tam czeka jakaś wilcza jama z zastrzonymi kołkami...

— Bez obawy, Siemion zna drogę doskonale.

Przesieka opasywała wzgórze spiralnie, wznosząc się stopniowo. Z obydwu stron napierały drzewa, tworząc częstokół, i trudno było uwierzyć, że tuż obok, o jakieś sto kroków, mieszkają ludzie.

Jak na złość Kiesza milczał.

— Jakoś tak jedziemy i jedziemy... — nie wytrzymał Matwiej Bencjonowicz. — Daleko jeszcze?

Pytanie nie miało żadnego znaczenia, chciał tylko usłyszeć ludzki głos; młody człowiek jednak, tak wcześniej rozmowny, nie odpowiedział.

Ekwipaż odzyskał równowagę i potoczył się po płaskim. Ostatni zakręt i droga doprowadziła do sporego placu wyłożonego kamieniem. Przed nimi pojawiła się masywna baszta i brama z dwoma płonącymi pochodniami. Bramę poprzedzał most zwodzony, pod nim zaś fosa — to w niej, wedle zapewnień recepcjonisty, żyła gadzina...

Brrr, romans gotycki, wzdrygnął się radca stanu. Wyrwa w czasie.

Skądś z góry dobiegł donośny głos:

— Chto?

— Foma? To ja, Innokentij! Otwieraj! I włącz światło, bo ni cholery nie widać.

Na placu zapaliły się dwie latarnie elektryczne, najnowsze osiągnięcie techniki, i czas utracił względność, ze środka drugiego tysiąclecia powrócił do jego końca. Berdyczowski zauważył z zadowoleniem słupy z przewodami i skrzynkę pocztową przy bramie. Jakież to, do diabła, średniowiecze, gdzie tu bągienne węże!

Otwarły się ciasne drzwiczki i wyszedł z nich potężny mężczyzna, cały odziany w czarną skórę. Skórzaną miał koszulę z dekoltem na owłosionej, muskularnej piersi, skórzane wysokie buty i przylegające ściśle spodnie ze skórzanym woreczkiem na przyrodzenie, zupełnie jak na obrazach z XVI wieku. Gulfik — Berdyczowski przypomniał sobie nazwę owej dzwicznej części średniowiecznego odzienia. Tyle że tutaj nie był to gulfik, ale całe gulfisko.

Kiesza lekko zeskoczył na ziemię i przeciągnął się niczym kot.

— Chto to? — zapytał Foma, wskazując Matwieja Bencjonowicza.

— Ze mną. Gość. Sam powiem jaśnie panu. Proszę odeśłać Siemiona. — Młody człowiek zwrócił się do prokuratora. — Na drogę powrotną hrabia da własny ekwipaż.

Kiedy Berdyczowski płacił woźnicy, ów zmieszał się, zupełnie jakby chciał coś powiedzieć, ale najwyraźniej w ostatniej chwili się rozmyślił. Chrząknął tylko, naciągnął czapkę na oczy i odjechał.

Radca stanu odprowadził kolaskę smętnym spojrzeniem. Nie spodobał się Matwiejowi Bencjonowiczowi zamek Szwarzwinkel, mimo elektryczności i skrzynki pocztowej.

Weszli do środka.

Podwórcowi i budowli Matwiej Bencjonowicz nie przyjrzał się dokładnie, bo w ciemności trudno było rozróżnić detale architektoniczne. Zdaje się, że było to coś bardzo wyszukanego: wieżyczki, żygulce, kamienne chimery na tle rozgwieżdżonego nieba. W części mieszkalnej paliło się za kotarami światło — na parterze słabo, na piętrze znacznie mocniej.

W drzwiach powitał przyjezdnych inny sługa, którego Kiesza nazwał Filipem. Ubrany był dokładnie tak samo jak Foma, z czego wynikało, że hrabiowska służba nosiła taką właśnie liberię. Znowu budził szacunek rozmiar gulfika. Wpychają tam watę czy co? — pomyślał prokurator, spoglądając ukradkiem. I dopiero teraz, człek naiwny, domyślił się, że zapewne jaśnie pan wykorzystuje te ogiery nie tylko do opieki nad domem.

Poskrzypując czarną skórą, Filip poprowadził gości marmurowymi schodami, ozdobionymi rzeźbami rycerzy. Na piętrze, w urzędzonej ze smakiem komnacie, ukłonił się i wyszedł. Matwiej Bencjonowicz i Kiesza zostali sami.

Młody człowiek wskazał głową wysokie drzwi.

— Zaanonsuję pana hrabiemu. Proszę na razie tutaj poczekać.

Prokurator odniósł wrażenie, że Kiesza się denerwuje. Poprawił przed lustrem krawat, przyglądał fryzurę, po czym wyjął nagle porcelanowe puzderko i wprawnie podmałował sobie wargi. Berdyczowskiego zamurowało.

Ledwie blondynek zniknął w sąsiednim pomieszczeniu, radca stanu zerwał się z fotela i na paluszkach podkradł do drzwi. Przyłożył ucho, zaczął się wsłuchiwać.

Docierał do niego żwawy tenorek Kieszy, ale słów Berdyczowski nie był w stanie rozróżnić.

Nienaturalnie dźwięczny, jakby sztucznie wzmocniony głos wyrzekł:

— Istotnie?

Znów niewyraźne trajkotanie.

— Jak, jak? Berg-Dyczowski? Kiesza w odpowiedzi: szu-szu-szu.

— No cóż, przyjrzymy się.

Matwiej Bencjonowicz odwrócił się, trzema bezgłośnymi susami dopadł fotela, osunął się na niego i niedbale założył nogę na nogę.

Nagle, w drzwiach wychodzących na schody, ujrzał Filipa. Ów przyglądał się gościowi beznamiętnie, złożony na piersi mocne, obnażone po łokcie ręce.

Przekleństwo! Nie dość, że nie usłyszał niczego istotnego, to jeszcze zbląził się wobec sługi!

Prokurator poczuł, jak twarz oblewa mu rumieniec, ale zastanawiać się nie było kiedy.

Otworzyły się drzwi salonu i wszedł gospodarz.

Berdyczowski ujrzał wytwornego pana o wyjątkowo jasnej karnacji i z niezwykajnie czarnymi włosami. Podkręcone wąsy wyglądały z daleka jak gruba krecha, dzieląca twarz na dwie części. No, nie obyło się tutaj bez jakiejś „Infernalnej Zizi” — pomyślał radca stanu, zaprawiony w przemalowywaniu owłosienia.

Czarnokucki był w czarnym szlafroku w srebrzyste smoki, pod którym biała koszula z koronkowym kołnierzem, i w jedwabnej chińskiej czapeczce z chwaścikiem. Nieruchome oblicze magnata wydawało się pozbawione wieku: ani jednej zmarszczki. Jedynie wyblakłe niebieskie oczy pozwalały przypuszczać, że ich panu bliżej raczej do schyłku życia niż do jego rozkwitu. Zresztą spojrzenie jaśnie pana nie było ani trochę zblazowane, lecz bystre i badawcze niczym u ciekawskiego chłopaka. Postarzałe dziecko — tak pomyślał o hrabim Matwiej Bencjonowicz.

— Witam serdecznie, panie Berg-Dyczowski — wyrzekł gospodarz znanym już Berdyczowskiemu dzwoniącym głosem. — Proszę wybaczyć strój. Nie oczekiwałem gości o tak późnej porze. Rzadko kto bywa u mnie bez zapowiedzi. Wiem jednak, że Innocent nie przywiózłby nikogo przypadkowego.

To o Kieszy tak mówi — nie od razu dotarło do Matwieja Bencjonowicza. „Innokientij” — „Innocent”.

Czarnokuckiemu drgnęły lekko nozdrza, jakby tłumił ziewanie. Stało się jasne, dlaczego głos brzmi tak nienaturalnie: hrabia niemal nie poruszał ustami i unikał jakiegokolwiek mimiki — po to zapewne, by uchronić się przed zmarszczkami. Ruchy nozdrzy zastępowały mu bez wątpienia uśmiech.

Na pytanie, czy nie jest spokrewniony ze świętej pamięci feldmarszałkiem hrabią Bergiem, radca stanu odparł ostrożnie, że w bardzo dalekim stopniu.

— Innym Polakom lepiej o tym nie mówić. — Jego wielmożność znowu poruszył nozdrzami. — Mnie wszystko jedno, bo jestem absolutnym kosmopolitą.

Po tej replice Matwiej Bencjonowicz przypomniał sobie, po pierwsze, kim był feldmarszałek Berg — ciemiężcą Polaków za czasów Mikołaja Pawłowicza i Aleksandra II — po drugie zaś, zrozumiał, że ostrożny ton jego odpowiedzi został przez gospodarza mylnie odczytany. I chwala Bogu.

— Co tam, Filipie? — Hrabia spojrzał uważnie na sługę.

Ów zbliżył się z ukłonem i zaszeptał coś hrabiemu do ucha. Doniósł, bydlak.

Brwi Czarnokuckiego nieco się uniosły, a w oczach, zwróconych na prokuratora, błysnęły wesole iskierki.

— Tak więc jest pan marszałkiem szlachty? Z guberni zawołskiej?

— Co w tym śmiesznego? — nachmurzył się Matwiej Bencjonowicz, uznawszy, że najlepszą obroną jest atak. — Czy Zawołże to według pana takie zapadłe miejsce, że nie ma tam nawet szlachty?

— Nie, nie, rozweseliło mnie coś zupełnie innego. — Gospodarz otwarcie, a nawet wręcz bezceremonialnie, przyglądał się gościowi. — Zabawne, że serdeczny przyjaciel Bronka Racewicza to marszałek szlachty. Ten swawolnik nigdzie nie zginie. Proszę opowiedzieć, jak go pan poznał.

Na taką okoliczność Berdyczowski wymyślił po drodze stosowną historyjkę.

— Zna pan Bronka — powiedział, uśmiechając się do brodusznie. — Niezły z niego łobuz. Przytrafiła mu się u nas głupia historia. Chciał dla kawału nastraszyć pewną mnisz-

kę, ale trochę przesadził. Trafił pod sąd. Jako człowiek przyjezdny i nikogo w mieście nieznający zwrócił się do marszałka, żeby ułatwił mu znalezienie adwokata... Rzecz jasna, pomogłem — jak szlachcic szlachcicowi...

Matwiej Bencjonowicz zamilkł wymownie — dalszego rozwoju wydarzeń możecie domyślić się sami.

Na twarzy hrabiego znowu pojawił się uśmiech, przypominający ziewanie.

— Tak, zawsze miał słabość do osób stanu duchownego. Czy pamiętasz, Kiesza, czernicę, która zapuściła się do zamku z prośbą o jałmużnę? Pamiętasz, jak Broniek ją, co?

Drganie nozdrzy towarzyszył tym razem tłumiony szloch, co najwyraźniej nie było już śmiechem, tylko niepohamowanym chichotem.

Kiesza także się uśmiechnął, ale jakoś krzywo, wręcz ze strachem. Radca stanu zaś, usłyszawszy o czernicy, spiął się wewnątrz. Zdaje się, że gorąco!

— Ale czemuż to stoimy, zapraszam do salonu. Pokażę panu moją kolekcję, w pewnym sensie całkowicie wyjątkową.

Czarnokucki wskazał gestem drogę i wszyscy przeszli do sąsiedniej komnaty.

Salon był obity i udrapowany czerwonym aksamitem o najrozmaitszych odcieniach: od jasnomalinowego do ciemnopąsowego; wywoływał zatem dziwne — by nie powiedzieć: złowieszcze — wrażenie. Światło elektryczne, podkreślając grę krwawych barw, tworzyło efekt łuny albo płonącego zachodu słońca.

W owym zdumiewającym salonie wzrok Berdyczowskiego zatrzymał się najpierw na egipskim sarkofagu, w którym leżała doskonale zachowana mumia kobiety.

— Dwudziesta dynastia, jedna z córek Ramzesa Czwartego. Kupiłem ją w Aleksandrii od łupieżców grobowców za trzy tysiące funtów szterlingów. Jak żywa! Proszę tylko spojrzeć.

Hrabia uniósł muślin, a Berdyczowski ujrzał szczupłe, całkowicie nagie ciało.

— Widzi pan, tędy przeszedł nóż balsamisty. — Cienki palec z wypolerowanym paznokciem powiódł wzdłuż linii, która przecinała żółty pomarszczony brzuch, a potem, doszedłszy do wzgórka łonowego, oddalała się jakby ze wstrętem.

Radca stanu odwrócił wzrok i omal nie krzyknął. Z oszkłonej szafy patrzyła na niego, błyskając oczyma, mała Murzynka — zupełnie jak żywa.

— Co to?!

— Wypchana. Przywiozłem ją z Senegambii. Z powodu tatuażu. Prawdziwe dzieło sztuki!

Hrabia włączył lampę nad stelażem i Matwiej Bencjonowicz ujrzał na ciemnobrązowej skórze deseń ze splecionych liliowych wężyków.

— Jest tam plemię, które ozdabia kobiety wspaniałymi tatuażami. Akurat pewna dziewczynka umarła. Wykupiłem zwłoki od wodza za winchestera i skrzynkę nabojów. Tubylcy, jak się zdaje, uznali, że jestem amatorem ludzkiego mięsa. — Nozdrza hrabiego zadrżały. — Rzecz w tym, że jeden z moich ówczesnych służących, Felicien, był doskonałym taksydermistą. Robota robi wrażenie.

— Tak — potwierdził Berdyczowski, przełykając ślinę.

Przeszli do następnego eksponatu.

Ten okazał się mniej przerażający: zwykła ludzka czaszka, nad nią zaś portret upudrowanej damy z głębokim dekoltem i kapryśnie opuszczoną dolną wargą.

— A to kto? — zapytał z niejaką ulgą Matwiej Bencjonowicz.

— Nie poznaje pan Marii Antoniny? To jej głowa. — Hrabia miłośnie pogładził czaszkę po błyszczącym czubku.

— Skąd ona u pana?! — zawołał Berdyczowski.

— Nabyłem ją od pewnego irlandzkiego lorda, który znalazł się w trudnej sytuacji. Jego przodek był w czasie rewolucji w Paryżu i wpadł na pomysł, by przekupić kata.

Radca stanu kilka razy przenosił spojrzenie z portretu na czaszkę, próbując odnaleźć podobieństwo między ludzkim obliczem za życia i po śmierci. Nie odnalazł. Twarz i czaszka istniały osobno. Niezła kanalia z tego paryskiego kata — przyszło do głowy Matwiejowi Bencjonowiczowi.

Dalej stał szklany sześcian, a w nim lalkowata główka z kędzierzawymi włosami — pomarszczona i malutka jak u niemowlęcia.

— To z Nowej Gwinei — wyjaśnił hrabia. — Uwędzona głowa. Nie taka znowu rzadkość, w europejskich kolekcjach

jest ich niemało, ta jednak zasługuje na uwagę dlatego, że, by tak rzec, poznałem tę damę osobiście.

— Jakże to?

— Coś przeskrobała, naruszyła jakieś tabu i za to musieli ją uśmiercić. Byłem świadkiem i uśmiercania, i potem wędzenia głowy — co prawda przyspieszonego, bo wedle reguł proces ten powinien trwać kilka miesięcy, ale ja nie mogłem tyle czekać. Uprzedzono mnie uczciwie, że po kilku latach pamiątka może ulec rozkładowi. Na razie jednak wszystko w porządku, trzyma się.

— I nie zrobił pan niczego, żeby tę nieszczęsną uratować? Pytanie rozbawiło Czarnokuckiego.

— A kimże ja jestem, żeby miał mieszać się do wymierzania sprawiedliwości, choćby nawet plemiennej?

Podeszli do dużej witryny, gdzie na półkach rozłożone były woreczki o różnych rozmiarach, ściągnięte skórzanymi rzemykami.

— Co to? — zapytał Matwiej Bencjonowicz, nie znajdując w owych eksponatach niczego interesującego. — To przypomina kapciuchy na tytoń.

— Bo to są kapciuchy. Robota Indian z amerykańskiego Dzikiego Zachodu. Niczego pan nie zauważył? Proszę się przyjrzeć.

Magnat otworzył drzwiczki, wyjął jeden z kapciuchów i wręczył gościowi. Ów poobracał go w rękach, zdumiony delikatnością i miękkością skóry. Poza tym nic nadzwyczajnego — ani deseniów, ani tłoczeń. I tylko pośrodku coś w rodzaju guziczka. Przyjrzał się i przerażony odrzucił kapciuch na półkę.

— Tak, tak — zaklekotał jego wielmożność. — To sutek. Wojownicy niektórych indiańskich plemion mają miły oby czaj: przywożą z wypadów męskie skalpy i kobiece piersi. Ale zdarzają się trofea nieco bardziej okrutne.

Zdjął z półki coś, co przypominało wianuszek suszonych grzybów. Na sznureczek nawleczone były ciemne kółeczka, niektóre z nich owłosione.

— To z brazylijskiej dżungli. Gościłem u pewnego leśnego ludu, który wojował z amazonkami, niesłychanie krwiożerczymi istotami, później, na szczęście, całkowicie wytępiony-

mi. Tę girlandę nabyłem od największego zucha, który własnoręcznie zabił jedenaście amazonek. Proszę spojrzeć — dokładnie jedenaście kółeczek.

— I co to za kółeczka? — zapytał nierozgarnięty Berdyczowski, ale zaraz wszystko zrozumiał i zrobiło mu się nie dobrze.

Z głębi domu dotarł cichy dźwięk gongu.

— Czekają przekąski — oświadczył hrabia, przerywając przerażającą wycieczkę. — Proszę pozwolić.

Prokurator, po tym, co zobaczył, nie miał najmniejszej ochoty na przekąski, odpowiedział jednak pospiesznie:

— Dziękuję, z przyjemnością.

Gdziekolwiek, byle jak najdalej od owej komnaty.

Osaczyli wilka

W sąsiedniej sali, stołowej (całkiem zwyczajnej, chwała Bogu, bez uwędzonych głów i ususzonych genitaliów), Matwiej Bencjonowicz opróżnił jeden po drugim dwa kielichy wina i dopiero wtedy pozbył się dokuczliwego drżenia palców. Sięgnął po winogrona. Żołądek skurczył się, ale jakoś to wytrzymał.

Kiesza pałaszował ze smakiem faszzerowane przepiórki. Hrabia zaś nie tknął jedzenia, umoczył jedynie wargi w koniaku i zapalił cygaro.

— A zatem, mamy w Zawołzsku towarzystwo? — zapytał, wymawiając ostatnie słowo w sposób, który nie pozostawiał wątpliwości co do tego, o jakie towarzystwo chodzi.

— Niewielkie, ale jest — odrzekł Berdyczowski, gotując się do dalszych kłamstw.

Czarnokucki z najwyższym zainteresowaniem zadał jeszcze kilka pytań — niektórych zawołzczanin w ogóle nie rozumiał. Co mogło oznaczać: „Czy hodujecie kurczaki?” Pytanie wyraźnie nie miało związku z drobiarstwem. Albo: „Czy urządzacie karuzelę?” Diabli wiedzą, o jakiej karuzeli była mowa. Jakieś pederastyczne obrzydlistwa.

Żeby jednak, jak mówią złodziejaszki, nie przypalić się, prokurator postanowił przejąć inicjatywę i zmienił temat.

— Pańska kolekcja wywarła na mnie olbrzymie wrażenie. Niechże pan powie, dlaczego kolekcjonuje pan jedynie... jak by tu... szczątki piękniejszej połowy ludzkości?

— Kobieta nie jest piękniejszą połową ludzkości i w ogóle nie jest jej połową — uciął hrabia. — To wulgarna karykatura człowieka. Mówię to panu jako medyk. Kaleka, niedorzeczna istota! Galaretowate gruczoły mleczne, tłuszczowa wyściółka miednicy, niewłaściwa konstrukcja szkieletu, piskliwy głos...

Czarnokucki aż wstrząsnął się z obrzydzenia.

Oho! — pomyślał Matwiej Bencjonowicz, chociażżeś medyk, to tęskni za tobą szpital. I to taki, gdzie zamyka się drzwi.

— Proszę wybaczyć, ale całkiem bez kobiet nie sposób — sprzeciwił się łagodnie. — Choćby w kwestii przedłużenia ludzkiego rodu...

Argument ów do hrabiego nie dotarł.

— Spośród najplodniejszych należy wyselekcjonować oddzielny gatunek, jak robi się to z krowami albo z maciorami. Trzymać w oborze albo w chlewie. A zapładniać, rzecz jasna, za pomocą strzykawki, nie inaczej.

Na twarzy antifeministy pojawił się grymas odrazy.

Może to tylko żarty, zaczął nagle powątpiewać Berdyczowski. Udaje głupiego? No dobrze, pal diabli idiotyczne teorie psychopaty. Pora zająć się tym, co istotne.

— Jakże byłoby to wspaniałe: żyć tylko w męskim otoczeniu, w kręgu sobie podobnych — oznajmił z rozmarzeniem radca stanu. — Słyszał pan, że pewien amerykański milioner odbudowuje biblijną Sodomę?

— Słyszałem. Ciekawy objaw amerykańskiej dobroczynności. Z punktu widzenia filantropii należałoby, rzecz jasna, przeznaczyć owe miliony na chleb dla głodujących, ale tym świata nie zadziwisz. I jaki z tego pożytek? Żebracy zjedzą darmowy chleb, a nazajutrz zażądadają więcej, nigdy nie da się ich nasycić. A tu mamy lekcję dla ludzkości. Mister Cyrus — przykładowy ojciec rodziny, który nie znosi „zwyrodnialców”, ale który chce jednocześnie wskazać współczesnym wzór tolerancji i miłosierdzia. Och, Amerykanie nauczą nas moralności, pozwólmy im tylko działać.

— Wynikałoby z tego, że sodomskie przedsięwzięcie ma wielu wrogów. — Matwiej Bencjonowicz przybliżył się do kluczowej kwestii. — Wśród bigotów i fanatyków religijnych. Tak wiele pojawiło się teraz sekt, które powołują się na starotestamentową nietolerancję.

Z tego punktu zamierzał poprowadzić linię do Manujły — wy badać, jak jego wielmożność odnosi się do proroka, którego usiłował zabić jednooki Bronek.

Rozmowa jednak urwała się. Do jadalni, poskrzypując błyszczącą skórą, wszedł Filip i przekazał gospodarzowi długą papierową wstęgę.

Czyżby w średniowiecznym zamku był telegraf? Ta nowość jakoś nie spodobała się prokuratorowi.

Czarnokucki przebiegł wzrokiem dość długą depeszę.

— Innocent, nierozsądny chłopcze, należą ci się baty — oznajmił nagle. — Kogo przywiozłeś?

Urodziwy blondynek zakrztusił się kawałkiem pomarańczy, a Berdyczowskiemu zakołatało serce. Niepewnym głosem zawołał:

— Co pan chce przez to powiedzieć, hrabio?!

— Jakąż to wy, Żydzi, jesteście bezczelną nacją. — Magnat pokręcił głową i zamiast do Matwieja Bencjonowicza zwrócił się do Kieszy: — Posłuchaj tylko, co pisze Mikki. „W Zawoźsku gubernialnym marszałkiem jest hrabia Rostowski. Powiatowi marszałkowie to: książę Biekułatow, baron Stackelberg, Sielaninow, Kotko-Kotkowski, Łazutin, książę Wacznadze, Barchatow i hrabia Bieznosow; trzy pozostałe powiaty nie mają marszałków z uwagi na zbyt małą liczbę szlachty. Osoba, o którą pytasz, mieszka istotnie w Zawoźsku, ale ma inne nazwisko i inne stanowisko. Nie Matwiej Berg-Dyczowski, tylko Matwiej Berdyczowski, prokurator okręgowy. Radca stanu, lat czterdziestu, przechrzta”.

Policzki Kieszy z różowych stały się zielonkawe. Padł na kolana i zaszlochał:

— W życiu bym się nie spodziewał, przysięgam!

Hrabia trącił go czubkiem pantofla w czoło — młody człowiek przewrócił się na dywan i zaczął jęczeć.

— Kto panu nadesłał te bzdury? — zapytał Matwiej Bencjonowicz, który nie zdążył przystosować się jeszcze do ka-

tastrofalnej zmiany sytuacji; wszak do tej chwili wszystko toczyło się gładko!

Hrabia wypuścił kłęb dymu z cygara. Przyglądał się prokuratorowi z pełnym obrzydzenia zaciekawieniem, jak jakimś nieznanemu owadowi albo rozdeptanej żabie. Zaszczycił go jednak odpowiedzią.

— Mikki to jeden z naszych. Wieceelka figura. Nie dziś, to jutro zostanie ministrem. I słusznie, bo to wspaniały pracownik. Nawet o północy można wysłać do niego telegram — z pewnością zostanie się go na służbie.

Trzeba było pilnie zmienić taktykę: nie iść dalej w zaparte, tylko — jak to się mówi — wyłożyć karty na stół.

— Skoro wie już pan, że jestem prokuratorem, to powinien pan zrozumieć, że nie przyjechałem tutaj dla żartu — oświadczył surowo Berdyczowski, odczuwając nawet ulgę, że nie musi dłużej odgrywać komedii. — Proszę natychmiast odpowiedzieć, czy to pan spłacił długi Racewicza?

Tu zdarzyła się rzecz niesłychana.

Radcę stanu pochwycono z tyłu za łokcie, boleśnie wykręcając mu ramiona.

— Zostaw, Filipie — skrzywił się hrabia. — Po co? Niechaj Żydek się postraszy.

— Ma w kieszeni żelazo — wyjaśnił lokaj. — Proszę.

Ująwszy bez trudu jednym łapskiem obydwą przeguby więźnia, wyciągnął z kieszeni prokuratora lefochera i wręczył hrabiemu.

Ów ujął rewolwer dwoma palcami, spojrzął na niego mimochodem i odrzucił na bok.

— Byle co!

Berdyczowski na próżno próbował się uwolnić ze stalowego uścisku.

— Puszczaj, łotrze! Jestem radcą stanu! Trafisz za to na Syberię!

— Puść — pozwolił Czarnokucki. — Zęby jadowe zostały usunięte, a wymachiwać pięściami Żydzi nie zwykli. Czy wie pan, żydowski radco, za co nie lubię waszej nacji? Nie za to, że ukrzyżowaliście Chrystusa. Ten Żyd na to zasłużył. Za to, że podobnie jak kobiety jesteście karykaturą ludzi. I tylko udajecie mężczyzn.

— Reprezentuję władzę! — zawołał Matwiej Bencjonowicz, trzymając się za zdrewniały przegub. — Jak pan śmie tak ze mną...

— Nie — przerwał hrabia z nieoczekiwaną zaciętością. — Jesteś szczurem, który po złodziejsku wdarł się do mojego domu. Gdybyś nie był Żydem, wyrzuciłbym cię zwyczajnie za bramę. Za to jednak, że ja, Czarnokucki, poświęciłem ci prawie godzinę i częstowałem cię trzydziestoletnim koniakiem, zapłacisz mi życiem. Nikt o tym się nie dowie. Nie ty pierwszy, nie ty ostatni.

— Jest pan tylko figurantem w tej sprawie! — próbował uspokoić szaleńca Berdyczowski. — Jakkolwiek przybyłem tutaj konspiracyjnie, to prowadzę ważne śledztwo! Jest pan głównym podejrzanym! Jeśli nie wrócę, jutro pojawi się tutaj policja!

— Co do śledztwa, to kłamie — zapiszczał Kiesza, który wciąż nie miał odwagi podnieść się z dywanu. — O panu dowiedział się ode mnie; wcześniej nie znał nawet nazwiska.

— A woźnica? — przypomniał prokurator. — Przywiózł mnie tutaj i wrócił do miasta! Jeśli zniknę, woźnica o wszystkim opowie!

— Kto to był, Innocent? — zapytał Czarnokucki.

— Siemion. Przecież nie wziąłbym nikogo obcego.

Hrabia rozgniół cygaro w popielnicy i znowu przechodząc z Matwiejem Bencjonowiczem na „pan”, tyle że w tonie szyderczym, z rozbawieniem oznajmił:

— Nasi wołyńscy chłopcy, w których słownictwie miesza się dwanaście języków, powiadają: „Osaczyli wilka, zostało mu chwil kilka”. Proszę nie zwieszać swego krzywego nosa, panie Berdyczowski. Noc przed nami długa, czeka pana wiele interesujących rzeczy. Zejdziemy teraz do lochów, gdzie покаżę panu sekretną część mojej kolekcji. Są tam eksponaty, których nie kupiłem, ale które stworzyłem sam. Dołączyć pana do kolekcji nie mogę — już się pan zorientował, że mam tylko kobiety. Może tylko jakiś niewielki kawałeczek, coś w rodzaju wyjątku?

Przesłuchanie pod przymusem

Patrząc na wyciągniętą ze strachu twarz więźnia, hrabia zaniósł się swym kogucim, niemym śmiechem.

— Nie, nie ten kawałeczek, o którym pan pomyślał. Było by to bluźnierstwem w stosunku do męskiego ciała. Innocent, mój przyjacielu, co powiesz na eksponat „żydowskie serce”? W słoju ze spirytusem?

Kiesza nie odpowiedział, poprawił jedynie nerwowo węzeł krawata.

Czarnokucki zaś podszedł do stołu, wziął z wazy brzoskwinie i pogładził jej aksamitną skórę.

— Nie! — Sytuacja wciąż go bawiła. — Mam lepszy pomysł! Funt żydowskiego mięsa! — Tu wydeklamował najczystsza angielszczyzną wychowanka Eton: — *Equal pound of your fair flesh, to be cut off and taken in what part of your body pleaseth me**. Pozostawiam panu nawet wybór, nie tak jak Szajlok biednemu Antoniuszowi. Co pan woli?

Matwiej Bencjonowicz nie potrafił mówić tak doskonałą angielszczyzną i dlatego odpowiedział po rosyjsku:

— Ochłapy to nie dla mnie. Niechaj będzie tak jak w pańskiej antysemitkiej sztuce — „jak najbliżej serca”.

Rozpiął marynarkę i poklepał się po lewym boku, gdzie w kieszeni kamizelki spoczywał „podarunek od firmy”, jednostrzałowa kapiszonowa zabaweczka o lufie niewiele grubszej od słomki. No cóż, tonący, jak wiadomo, nawet słomki się chwyta.

Tak właśnie postąpił prokurator — chwycił pistolecik, i to tak gwałtownie, że złamał sobie o kurek paznokiec kciuka.

— Co to takiego? Rurka do lewatywy? — Hrabia ani trochę się nie przestraszył. — Jakaś mała.

W tej sekundzie w Berdyczowskim dokonana się zadziwiająca metamorfoza — nagle uwolnił się całkowicie od strachu i wpadł w straszną, niezwykłą dla siebie wściekłość. Był ku temu powód.

* „Funt twego ciała nadobnego, który wytnę z tej części jego, z której zechcę” — William Szekspir, *Kupiec wenecki*, w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.

Wspominaliśmy już o przemianie, jaka zaszła w charakterze owego spokojnego, a nawet bojaźliwego człowieka w rezultacie niespodziewanych zapałów miłosnych, jednakże w danym momencie iskrą, która spowodowała wybuch, stała się okoliczność znacznie mniej romantyczna. Rzecz w tym, że Matwiej Bencjonowicz zawsze niezwykle nieufnie traktował swoje paznokcie. Mikroskopijny zadziorek albo, nie daj Boże, pęknięcie całkowicie wyprowadzały go z równowagi, a przysłowiowe „paznokciem po szkle” przyprowadzało o dreszcze. Konieczna operacja higieniczna, jakiej cywilizowana część ludzkości poddaje swe paznokcie raz na cztery dni, była dla Berdyczowskiego udręką, zwłaszcza w końcowej fazie, wymagającej użycia pilnika. A tu od paznokcia odłamał się cały kawałek i sterczał w najbardziej odrażający sposób! Ta mała nieprzyjemność, istne głupstwo w porównaniu z całą sytuacją, okazała się „ostatnią kroplą”: radcy stanu pociemniało w oczach z niepohamowanego gniewu, strach ustąpił miejsca wściekłości.

— To pistolet kamizelkowy! — ryknął Matwiej Bencjonowicz, oblewając się rumieńcem. — Rzecz niezastąpiona przy nocnej napaści. Posiada wyjątkową jak na swój kaliber siłę rażenia!

Hrabia zmarszczył się leciutko.

— Filipie, odbierz mu to paskudztwo!

Tu należałoby palnąć w podłego arystokratę i zademonstrować mu doskonale zalety zlekceważonego pistoletu, prokurator przypomniał sobie jednak, że subiekt ze sklepu z bronią uprzedzał: „Oczywiście przy odległości większej niż dwa sążnie siła rażenia słabnie, a przy pięciu sążniach w ogóle nie warto tracić naboju”.

Magnat stał w odległości mniejszej niż pięć sążni, ale też, niestety, większej niż dwa.

Dlatego Berdyczowski żwawo odskoczył w bok i wycelował w byczkowatego Filipa. Na głupie ostrzeżenia („Stój, bo będę strzelał!” i tym podobne) czasu nie tracił, ale po prostu odciągnął kurek i natychmiast go spuścił.

Puknięcie było słabsze niż przy otwarciu szampana. Ręka prawie nie wyczuła odrzutu. Dym, który wydobył się z maciupkiej lufy, przypominał wacik, jaki co najwyżej można by wsunąć do nosa.

Jednakże — rzecz niewiarygodna — dryblas zgiął się wpół i pochwycił rękami za brzuch.

— Wasza wiel... — wystękał. — On mnie w brzuch! Boli, siły braknie!

Na kilka chwil jadalnia stała się scenerią czegoś w rodzaju pantomimy albo *pas de quatre*. Na twarzy hrabiego odbijało się bezgraniczne zdumienie — któremu towarzyszyło pojawienie się co najmniej dwóch, trzech zmarszczek — a ręce same rozłożyły się na boki. Kieszka zastygł na podłodze w pozie umierającego, a nawet prawie już umarłego łabędzia. Ranny sługa kołysał się na piętach, zgięty we dwoje. A i sam Berdyczowski, który w głębi ducha niezbyt wierzył w skuteczność swej broni, zdrętwiał na moment.

Pierwszy oprzytomniał radca stanu. Odrzucił bezużyteczny pistolecik, dopadł do leżącego na podłodze lefochera, chwycił go i zaczął szukać palcem języka spustowego. Ach, tak, przecież jest składany!

Odwiódł kurek, przełożył rewolwer do lewej ręki, a kciuk ze złamanym paznokciem wsunął do ust, by obmacać go językiem.

Niechby nawet lefocher był — jak wyraził się hrabia — „byle czym”, ale sześć kul to niejedna. No i bije nie na dwa sążnie.

— Och, boli! — zawył na cały głos Filip. — W brzuch mi strzelił! Mamusiu, gorąco! Umieram!

Przestał się kiwać, upadł i zaczął wierzgać nogami.

— Milczeć! — okropnym, piskliwym głosem wrzasnął nań poblady z wściekłości Berdyczowski. — Leż cicho, bo jeszcze raz wystrzelę!

Drab natychmiast zamilkł, zagryzał jedynie wargi i ocierał łzy, które dziwnie wyglądały na z gruba ciosanej, brodatej twarzy.

Kieszka zaś prokurator, oblizując paznokcie, nakazał:

— Ty, pafkudniku, marf pod ftół i zęby ciebie też nie było flychać!

Młody człowiek natychmiast dokonał dyslokacji na wskazaną pozycję, przy czym przeprowadził ów manewr na czworakach.

Teraz można było zająć się główną figurą.

Figura zaś wciąż jeszcze trwała w osłupieniu — bez ruchu, z nadgryzioną brzoskwinia w dłoni.

— Az wami, węża wielmożnof, położmawiamy fobie — powiedział Matwiej Bencjonowicz, nie wyjmując palca z ust, i uśmiechnął się tak, jak jeszcze nigdy w życiu się nie uśmiechał.

Z radcą stanu działo się coś mało zrozumiałego, lecz jednocześnie było to wspaniałe. Przez całe życie Berdyczowski uważał siebie za tchórza. Czasami zdarzało mu się dokonywać śmiałych czynów (był wszak prokuratorem), ale za każdym razem wymagało to od niego ogromnego napięcia, a później kończyło się uciskiem w sercu i nerwowymi dreszczami. Teraz zaś Matwiej Bencjonowicz nie doznawał żadnych emocji — wymachiwał rewolwerem i czuł się doskonale.

W dzieciństwie bywało, że on, syn szewca i jedyny Żydek w całej robotniczej osadzie, pociągając rozbitym do krwi nosem, wyobrażał sobie, że wstąpi do wojska i powróci jako oficer, przy szabli i epoletach. Wtenczas policzy się i z Waską Praczkinem, i z podłym Czuchą. Będą pełzali i błagali: „Mordka, kochany, nie zabijaj”. Zamachnie się szablą i powie: „Nie jestem dla was Mordką, jestem porucznikiem Mordechajem Berdyczowskim!” A potem im wybaczy, niech tam.

Wszystko spełniło się niemal co do joty, tyle że w ciągu trzydziestu lat, jakie od tamtej pory minęły, Matwiejowi Bencjonowiczowi najwyraźniej stwardniało serce — nie miał ochoty wybaczyć hrabiemu Czarnokuckiemu, pragnął zabić tę nikczemną kreaturę tutaj i teraz, nie od razu jednak, ale tak, żeby się nacierpiał.

Zdaje się, że owo pragnienie dało się wyraźnie wyczytać w oczach rozgorączkowanego prokuratora, jego wielmożność bowiem upuścił nagle brzoskwinie i chwycił się krawędzi stołu, zupełnie jakby trudno mu było utrzymać się na nogach.

— Jeśli mnie pan zastrzeli, żywy pan z zamku nie wyjdzie — powiedział pospiesznie magnat.

Berdyczowski spojrział na wilgotny palec i zmarszczył się.

— Bo też nigdzie na noc nie zamierzam iść. Przede wszystkim wykończę pana, bo swoim istnieniem obraza pan świat. Potem pański Filip, jeśli nie chce dostać jeszcze jednej kulki, pójdzie ze mną do telegrafu i wystuka depeszkę do pana naczelnika policji. No co, Fila, wystukasz depeszkę?

Lokaj skinął — głośno bał się odezwać.

— Właśnie. Tam się zabarykaduję i zaczekam na policję.

— Za zabójstwo hrabiego Czarnokuckiego trafi pan na katorgę!

— Po tym, jak policja znajdzie w lochach pańską sekretną kolekcję? Zasłużę na order, a nie na katorgę. No!

Matwiej Bencjonowicz wycelował w środek ciała jego wielmożności, ale zaraz się rozmyślił — nakierował lufę na głowę.

Twarz Czarnokuckiego, i bez tego błada, stała się całkowicie kredowa. Jeden granatowoczarony wąs opadł nie wiadomo kiedy, drugi jeszcze się trzymał.

— Czego... czego pan chce? — wybełkotał właściciel zamku.

— Będziemy tu mieli przesłuchanie pod przymusem — oznajmił Berdyczowski. — O, bardzo, ale to bardzo będę stronniczy! Niesłuchanie trudno będzie mi się powstrzymać od przedziurawienia pańskiej przegniłej głowy.

Hrabia popatrywał to na wykrzywioną twarz radcy stanu, to na podskakującą w jego niepewnej ręce lufę. Rzeki szybko:

— Odpowiem na wszystkie pytania. Tylko proszę zachować spokój. Ma pan wystarczająco twardy spust? Proszę się napić mozelskiego, działa uspokajająco.

Berdyczowski uznał ten pomysł za nie najgorszy. Przysunął się do stołu. Nie spuszczać oczu z hrabiego, namacał jakąś butelkę (mozelskie czy nie — wszystko jedno) i wypił łąpczywie.

Po raz pierwszy w życiu Berdyczowski pił wino prosto z butelki. Okazało się, że smakuje lepiej niż z kielicha. Zaprawdę, dla radcy stanu była to noc zdumiewających odkryć.

Odstawił butelkę, otarł wilgotne wargi — ale nie chusteczką, tylko rękawem. Tak dobrze!

— Co pana łączy ze sztabsrotmistrzem Racewiczem?

— To mój kochanek — odrzekł bez najmniejszego wahania hrabia. — To znaczy były kochanek... Nie widziałem go od pół roku i nie miałem o nim żadnych wieści — aż do pańskiej wizyty.

— Bo uwierzę! Wszak to pan spłacił jego długi!

— Nic podobnego! Z jakiej racji? Gdybym za każdego ze swoich kochanków płacił po piętnaście tysięcy, to nie wystarczyłoby całego majątku Czarnokuckich.

— To nie pan?! — Prokurator natychmiast stracił rezon. — Nie pan?! To... to kto w takim razie?

Hrabia wzruszył ramionami.

Wersja numer trzy, która tak poręcznie pojawiła się na gruzach dwóch poprzednich, runęła. Czas zmarnowany na próżno! Znowu figa z makiem!

— Zbladł pan — powiedział zaniepokojony pan na zamku. — Proszę wypić jeszcze wina. Słowo honoru, nie wiem, kto wykupił Racewicza. Broniek mi tego nie powiedział.

Kiedy do prokuratora dotarło znaczenie ostatniego zdania, zapytał:

— A zatem widział się pan z nim po jego uwolnieniu?

— Tylko raz. Zachowywał się zagadkowo, mówił niejasno. Był bardzo wyniosły. Oznajmił: „Wyrzucili Racewicza niczym zdarte trzewiki. To nic, panowie, tylko poczekajcie”. Odniosłem wrażenie, że ci „panowie” to jego zwierzchnicy.

— Może ktoś inny? Niechże pan sobie przypomni, do jasnej cholery!

Czarnokucki wciągnął głowę w ramiona i zamrugał oczyma.

— Zaraz, zaraz. Wypowiadał się nad wyraz mętnie. Miałaby go jakoby odwiedzić w więzieniu jakaś ważna persona. Powiedział dokładnie: „Ważna osobistość, bardzo ważna”. A potem go splacono. To wszystko, co wiem...

Pelagią nie jestem

Z tyłu dał się słyszeć jakiś ruch.

Berdyczowski obrócił się i zobaczył, że ranny lokaj, wykorzystując fakt, iż o nim zapomniano, biegnie zgięty w kierunku salonu.

— Stój! — rzucił się za nim prokurator. — Zabiję!

Filip padł plackiem i zakrył głowę rękoma.

— Krwawie! Siły nie ma! Umieram!

Ponownie rozległ się odgłos biegnących nóg — tym razem z przeciwnej strony.

Tutaj Matwiej Bencjonowicz nie zdążył. Spostrzegł jedynie, jak postać w czarnym szlafroku, ze srebrzystym smokiem na plecach, znika za drzwiami. Szczęknął zamek i najważniejszy jeniec przepadł.

— Leż, padalcu! — huknął na sługę radca stanu i pognął za hrabią.

Szarpnął drzwi — na próżno.

Podbiegł do stołu i wyciągnął stamtąd Kieszę.

— Co jest za tamtymi drzwiami?

— Gabinet.

— Można wezwać stamtąd służbę?

— Tak. Jest tam dzwonek elektryczny. Poza tym wewnętrzny telefon...

Berdyczowski i tak już usłyszał przenikliwy trel dzwonka i histeryczny głos magnata, który wrzeszczał albo do słuchawki, albo wprost przez okno.

— Jak liczna jest służba w zamku?

— Około dziesięciu ludzi... Nie, więcej.

A nabojów tylko sześć — pomyślał Matwiej Bencjonowicz, ale bez paniki, z absolutną trzeźwością.

Podbiegł do okna, które wychodziło na podwórzec. Z od dali przybliżyły się jakieś cienie. Rzucił się w przeciwną stronę — czerniał tam las, a w dole była woda.

Podniósł ramę, wyjrzał.

No tak, fosa. Dosyć wysoko. Ale też nie ma wyboru.

Wdrapał się już na parapet, gdy coś sobie przypomniał i zeskoczył z powrotem.

Przed wszystkim podbiegł do drzwi salonu i zamknął je na klucz. Potem chwycił Kieszę za klapy.

— No, kolego, proszę oddać pieniądze. Nie potwierdziła się pańska hipoteza.

Blondyn drżącą dłonią wręczył prokuratorowi cały portfel. Matwiej Bencjonowicz wyjął z niego swoją setkę.

Rozległ się tupot nóg i drzwi zadrżały — ktoś walił w nie całym ciałem.

Obejrawszy po raz ostatni komnatę, Berdyczowski pochwycił ze stołu niedopitą butelkę i dopiero wtedy wrócił do okna.

Drzwi traktowane były systematycznie czymś ciężkim. Od filunku odpadł pozłacany ozdobnik.

Byle szybciej, byle bez strachu — prokurator rzucił się w niewiadome.

— U-uuu! — wydarł mu się z gardła rozpaczliwy krzyk, ale już w następnej sekundzie trzeba było zamknąć usta, bo radca stanu wpadł z głową w cuchnącą, czarną wodę.

Natrafił nogami na miękkie dno, odbił się od niego i wynurzył.

Wypluł oślizgłe wodorosty i skierował się do brzegu. Płynąć nie mógł, bo w jednej ręce trzymał butelkę, a w drugiej lefochera. Trzeba było podskakiwać niczym pasikonik: odbijesz się nogami, zaczerpniesz powietrza i znowu pogrążasz się z głową. Co prawda, nie było tu głęboko, dłonie sięgały nad powierzchnię. Pięć albo sześć podskoków wystarczyło, by wydostać się na płycznę. Knykciami natknął się na coś śliskiego, krągłego i ustępliwego — zawrzasnął z całych sił, przypomniawszy sobie o bagiennym gadzie. Jednak ani butelki, ani rewolweru nie wypuścił.

Chwała Bogu, nie był to wąż, tylko stare, nasiąkłe wodą kłody, którymi wymoszczono brzegi fosy.

Berdyczowski namacał grunt nogą, wykaraskał się z wody i doczołgał do najbliższych krzaków. Dopiero wtedy obejrzał się na zamek.

W oświetlonym oknie (wcale nie tak wysoko, jak wydawało się, gdy patrzył z góry) sterczały dwie głowy, a po chwili wepchnęła się między nie trzecia.

— Złapać! — dobiegł głos hrabiego. — Daję tysiąc rubli!

Prokuratorowi brakowało sił, by uciekać lasem po nocy — skok z okna i wodne doświadczenia pozbawiły go całkowicie zapału do ćwiczeń fizycznych. Należało ostudzić gorliwość sług — niechaj wiedzą, że życie warte jest więcej niż tysiąc papierków.

Matwiej Bencjonowicz wylał wodę z lufy rewolweru i dwa razy wystrzelił w stronę murów.

Głowy natychmiast zniknęły z oświetlonego prostokąta.

— Pogasić lampy! — zawołał ktoś przenikliwie. — On nas widzi! Pozabija!

W salonie, a potem na całym piętrze pogasły światła.

I dobrze.

Przedarli się przez zarośla, mokry i utyłtany prokura-

tor wy dostał się na bitą drogę. Łyknął z butelki i potruchtał, żeby się rozgrzać.

W dół biegło się lekko i przyjemnie. Zrobisz pół setki kroków i gołniesz sobie. Następne pół setki — i znowu łyk.

Nastrój radca stanu miał wprost wspaniały.

Do Żytomierza dotarł na chłopskiej furze dopiero o świcie.

W numerze umył się i przebrał. U nocnego portiera kupił spod lady butelkę portwajnu — w ten sposób stał się współwinni naruszenia ustawy o zasadach handlu spirytualiami.

Połowę wyciągnął od razu — po nowemu, prosto z butelki. Nie upił się jednak, przeciwnie, łatwiej mu było zebrać myśli.

Za oknem wstawał dzień. Prokurator siedział w szelkach na łóżku, popijał z butelki portwajn i ustalał kolejność dalszych działań.

Szukanie pomocy policji w sprawie hrabiego do niczego nie doprowadzi. Nocą Czarnokucki, rzecz jasna, pochował albo nawet zniszczył sekretną część swojej kolekcji (ciekawe, jakie miał tam paskudztwa?). Za tego zbroczeni ca trzeba będzie wziąć się na poważnie, wciągając w sprawę Kijów i kancelarię generała-gubernatora. Sprawa przewlekła, a czym się zakończy, z góry wiadomo: nie katorgą, tylko komfortową kliniką psychiatryczną.

No dobrze, to może poczekać. Są sprawy znacznie pilniejsze.

O której tutaj w soboty zaczynają urzędowanie?

Dokładnie o dziewiątej Berdyczowski pojawił się w komitecie więziennictwa, gdzie znajomy inspektor zaopatrzył go w polecenie dla naczelnika gubernialnego więzienia.

W więzieniu prokurator nie wdawał się w żadne wyjaśnienia. Zapytał od razu:

— Czy prowadzona jest księga odwiedzin aresztantów?

— Tak jest, panie radco. Tu nie ma zmiłuj. Ktokolwiek przyjdzie, choćby sam gubernator, wszystko zapisujemy — zameldował dyżurny strażnik.

„No właśnie, od tego należało zacząć — wyrzucił sobie Matwiej Bencjonowicz — a nie taplać się w zamulonych fosach. Marny ze mnie detektyw. Pelagią nie jestem”.

Otworzył dziennik pod datą dziewiętnastego listopada zeszłego roku (tego dnia wypuszczono Racewicza). Przejechał palcem po linijkach od dołu do góry.

Osiemnastego listopada nikt nie odwiedzał aresztanta z jedenastej „szlacheckiej”, chociaż tego dnia było dwudziestu sześciu odwiedzających.

Siedemnastego listopada — trzydziestu dwóch, ale znowu nikt do Racewicza.

Szesnastego listopada... Tak, to właśnie to!

W rubryce „Do kogo” starannym, kancelaryjnym pismem odnotowano: „O godzinie jedenastej do dłużnika Racewicza”. Obok, w rubryce: „Dane odwiedzającego: podpis, imię, nazwisko, tytuł”, jakieś bazgroły.

Prokurator zaniósł rejestr do okna, gdzie było jaśniej.

Wziął się do odcyfrowywania niedbałego zapisu.

Kiedy litery złożyły się w nazwisko, Berdyczowski upuścił dziennik na parapet i zamrugał oczyma.

Objawi się Najnowszy Testament

Droga do Bet-Kebiru była męcząca i monotonna.

Jordan rozczarował pątniczkę: był wężutki i wcale nie malowniczy. W pewnym sensie Polina Andriejewna obraziła się nawet na Opatrzność, która uznała za właściwe pomieścić największe wydarzenia w historii ludzkości nad owym żalonym strumieniem, a nie, powiedzmy, nad brzegami jej ukochanej Rzeki, gdzie nieba i ziemi nie nękają żar i znój, gdzie spoglądają one na siebie szeroko rozwartymi oczyma.

Kiedy jednak Jordan połączył się z Morzem Martwym, zwanym także Asfaltowym, widoki stały się jeszcze mniej ciekawe.

Po prawej łysymi wzgórzami garbiła się Pustynia Judejska, po lewej, zasnuwane mgiełką, rozpościerało się lustro wody. Początkowo Pelagii wydawało się, że morze pokryte jest pancerzem srebrzystego lodu, co przy takim upale było niewyobrażalne. Mniszka zeszła na brzeg i zamoczyła rękę. Nawet z bliska iluzja lodowej pokrywy była nieodparta. Palce zetknęły się jednak nie z zimną, twardą skorupą — zanurzyły się w ciepłej, absolutnie przezroczystej cieczy, która skrywała grubą warstwę białej soli. Polina Andriejewna polizała mokrą dłoń i poczuła smak łez.

Oczy bolały od nieznośnego blasku. Pobłyskiwało nie tylko morze, ale także szczerbate skały, pustynia, droga. Cisza zaś panowała taka, jakiej Pelagia nigdy i nigdzie nie doświadczyła. Piasek nie szeleścił, woda nie pluskała, a kiedy Salach zatrzymał się, by konie mogły odpocząć, niemota najbliższego świata stała się nie do zniesienia. Martwa cisza

nad Martwym Morzem, pomyślała Pelagia mimowolnym kalamburem.

W miarę jak zbliżali się do południowego krańca słonego jeziora, okolica stawała się coraz bardziej pozbawiona życia i coraz bardziej przeciwna naturze. Z ziemi powylażyły ostre skały — niczym jakieś drzazgi, niczym wyszczerzone zęby. Góry podeszły aż do samej wody, zupełnie jakby chciały zepchnąć wóz do żrącej słonej brei.

Polinie Andriejewnie zrobiło się straszno. Nie za przyczyną odpychającego pejzażu, lecz na myśl o tym, do jak niesłychanych wydarzeń doszło tutaj wiele wieków temu.

Była tutaj kwitnąca kraina, która „cała do Segoru zraszana była wodą jako ogród Pana, jako ziemia egipska”. Ale rozgniewany Bóg spuścił na Sodomę i Gomorę siarkę i ogień z nieba i powstał ów ogromny lej, wypełniony gorzkimi łzami. Na jego dnie, pod grubą warstwą soli, leżą tysiące martwych niegodziwców, a może nawet kilku sprawiedliwych. Wszak zanim dokonała się straszna rozprawa, Abraham targował się z Bogiem.

„I przystąpiwszy się, rzekł: Izali zatracisz sprawiedliwego z niebożnym? Jeźliż będzie pięćdziesiąt sprawiedliwych w mieście, zginąż społem? I nie przepuścisz miejscu onemu dla pięćdziesiąt sprawiedliwych, jeźliż będą w niem? Niech to daleko będzie od ciebie, abyś tę rzecz uczynić miał, i zabił sprawiedliwego z niebożnym, ażeby był sprawiedliwy jako i niebożny: nie twoja to, który sądzisz wszystkę ziemię: żadną miarą nie uczynisz sądu tego. I rzekł Pan do niego: Jeźli najdę w Sodomie pięćdziesiąt sprawiedliwych w samem mieście, odpuszczę wszystkiemu miejscu dla nich. A odpowiadając, Abraham rzekł: Izem raz począł, będę mówił do Pana mego, aczem proch i popiół. A jeźliby mniej pięcią było sprawiedliwych niż pięćdziesiąt, czy zatracisz dla czterdziestu i pięci wszystko miasto? I rzekł: Nie zatracę, jeźli tam najdę czterdziestu pięci. Rzekł jeszcze do niego: A jeźli się tam najdą czterdzieści, co uczynisz? Odpowiedział: Nie zatracę dla czterdziestu. Rzekł: nie gniewaj się, Panie, proszę, jeźli przemówię. A jeźli się tam najdą trzydzieści? Odpowiedział: Nie uczynię, jeźli tam najdę trzydziestu. Rzekł: Gdyżem raz począł, będę mówił do Pana mego: A jeźli się tam

najdą dwadzieścia? Odpowiedział: Nie zatracę dla dwudziestu. Proszę, rzekł, nie gniewaj się, Panie, jeśli jeszcze raz przerzekę: A jeśli się tam najdą dziesięć? Odpowiedział: Nie zatracę dla dziesięci. I poszedł Pan, jako przestał mówić do Abrahama..."

Pelagia całą duszą była po stronie Abrahama, który drżąc ze strachu, próbował walczyć z Wszechwładnym o uratowanie sodomskiej krainy, ale boska cierpliwość okazała się mniejsza niż ludzka. I co, wychodzi na to, że Dostojewskiemu wystarczyła jedna jedyna łza dziecka, by zbawić świat, a Najwyższemu mało było dziewięciu sprawiedliwych — oddalił się, przerwał rozmowę? Zapewne w owych odległych czasach Bóg był młody i dlatego nieprzejednanie okrutny. Nie nauczył się jeszcze cierpliwości i miłosierdzia, które ujawniły się w Nowym Testamencie.

Bóg się zmienia — pojęła nagle Pelagia. Podobnie jak ludzkość. Mijają stulecia, a on dorośleje i mądrzeje. A jeśli to prawda, to można mieć nadzieję, że z czasem zamiast Nowego Testamentu zostanie objawiony nam Najnowszy, jeszcze bardziej miłosierny i wyrozumiały. Bo przecież ludzie i społeczeństwa tak bardzo zmieniły się w ciągu tych dwóch tysięcy lat!

Spróbowała wyobrazić sobie, jaki będzie ów Najnowszy Testament Pański. Stary mówił o tym, że Żyd powinien traktować dobrze innych Żydów. Nowy o tym, że wszyscy ludzie powinni się kochać. Najnowszy zaś doda do tego najpewniej miłość do zwierząt. Czy koń albo pies nie mają duszy? Oczywiście, że mają!

Byłoby świetnie, gdyby Najnowszy Testament dał nadzieję na szczęście w życiu doczesnym, a nie wyłącznie po śmierci, w Królestwie Niebieskim.

Co jeszcze... Tu Pelagia pohamowała się, powstrzymała swoje zapędy. Jakież to Najnowszy Testament? Czy to jej sprawa? Poza tym czy sama myśl o weryfikacji Pisma nie jest przypadkiem diabelskim poduszczeniem, które wzmogła martwa pustynia?

Obóz rozbili w maleńkiej oazie, gdzie nad źródłem rosło kilka drzew. Był to już trzeci nocleg po tym, jak podróżnicy opuścili Dolinę Izraelską.

Rankiem zaś, gdy tylko chantur ruszył w drogę, zdarzył się cud. Salach, który bywał w tych stronach dwa lata wcześniej, był zaskoczony jeszcze bardziej niż Pelagia.

Z Pustyni Judejskiej wypełzła ku morzu prosta jak strzała szosa, połknęła nędzną nadbrzeżną drogę i pobiegła na południe. Cherlawe koniki Salacha nabrały wigoru i żwawo zastukały kopytami po asfalcie. Trzęsączka ustała, chantur ruszył trzy razy szybciej.

Polina Andriejewna nie mogła się nadziwić.

Świat zaludnił się nagle i przestał sprawiać wrażenie opuszczonego. Co rusz jechały z naprzeciwka jednakowe białe furgony, zaprzężone w potężne kosmatonogie perszerony. Na brezencie pysznił się emblemat: podobizna akropolu i litery „S&G Ltd”. Pelagia zaczęła się zastanawiać, co by to mogło oznaczać, i domyśliła się: „Sodom and Gomorrah Limited”. Aż zdrygnęła się na tę dziwną nazwę.

Tuż po południu dotarli do arabskiej osady Bet-Kebir. W czasie podróży Polina Andriejewna miała okazję napatrzeć się do woli na tubylcze wioski, podobne do siebie jak dwie krople wody: ślepe glinobitne domki, ledwie przewyższające wzrost człowieka; ściany i dachy zawsze oblepione plackami schnącego wielbłądziejego nawozu, który wykorzystuje się jako opał; uliczki wąskie i zaśmiecone; przyjezdnego opada natychmiast gromada gołych dzieciaków, wrzeszczących: „Bakszysz! Bakszysz!”, a smród taki, że trzeba zatykać nos.

A tu nagle nowe bielutkie domki, brukowane ulice, świeżo posadzone krzewy! Żadnych żebraków, oberwańców, trędowatych. Zajazd zaś, w którym Salach się zatrzymał, by dowiedzieć się o dalszą drogę, wydał się wyczerpanej podróżą Pelagii prawdziwym pałacem.

Wzięła prysznic, wypła mocną herbatę, rozczesała włosy i zmieniła bieliznę. Salach tymczasem prowadził poważną rozmowę z właścicielem. Zanim ustalił wszystko, o co prosiła go Pelagia, wypił siedem, a może osiem filiżanek kawy.

Okazało się, że nowo zbudowane miasto Usdum (tak po arabsku nazywa się Sodoma) oddalone jest od Bet-Kebiru zaledwie o piętnaście wiorst, ale kobiety mają tam zakaz wstępu. Lutowie to ludzie dobrzy, pracę i dostawy opłacają szczerze, ale mają swoje zasady.

— Kim są „Lutowie”? — zapytała Polina Andriejewna.

— Lutowie to ludzie Luta. Tego, co to uciekł z Usdumu, a miasto spłonęło.

Ach, tak, zrozumiała Pelagia, ludzie Lota, to znaczy pederasci.

Salach wyjaśnił, że robotnicy z Bet-Kebiru dostają się do Usdumu za specjalnymi przepustkami, dla kobiet zaś ostatnią granicę stanowi roгатka w odległości pięciu wiorst od miasta. Droga jest tylko jedna, przebija się między morzem a wydłużoną górą Dzebel-Usdum. Na roгатce stoją tureccy żołnierze, ich dowódca nazywa się Said-bej. Turcy strzegą drogi bardzo pilnie, nie śpią nawet w nocy, co w ich przypadku może zdumiewać. Ponadto nie biorą bakszyszu, co zdumiewa podwójnie. A wszystko dlatego, że Lutowie bardzo dobrze ich opłacają. Dawniej Said-bej i jego żołnierze koczowali w namiotach na pustyni. Łapali przemytników i żyło im się bardzo, bardzo źle, a teraz Lutowie poprosili czcigodnego juzbaszę, żeby przeniósł swój posterunek na drogę, i Turkom zaczęło się żyć bardzo, bardzo dobrze.

Informacje nie były pocieszające, Pelagia zaniepokoiła się.

— Czy nie można obejść roгатki przez pustynię, z drugiej strony góry?

Salach udał się do właściciela na kolejne kawy.

— Nie, nie można — powiedział po powrocie. — Za dnia żołnierze zobaczą z góry, mają tam wieżyczkę. A w nocy przez pustynię nie przejedziesz ani nie przejdiesz: dziury, kamienie, noga połamiesz, szyja skręcisz.

— Powiedz gospodarzowi, że temu, kto przeprowadzi mnie przez posterunek, dam dwadzieścia franków.

Wierny pomocnik znowu udał się na pertraktacje. Po czterech filiżankach kawy wrócił z zagadkowym i zadowolonym wyrazem twarzy.

— Można. Góra Dzebel-Usdum dziurawa. Wiosną woda płynie, dziurka znajduje. Tysiąc lat woda płynie — tam jaskinia. Gospodarz wie, jak przeleźć, ale dwadzieścia frank mało. Chce pięćdziesiąt. Jaskinia straszna, żyją tam dżiny ognia.

Usłyszawszy o jaskini, Polina Andriejewna zadrżała. Znowu pchać się w głąb ziemi? Mowy nie ma — niechby tam nawet nie było żadnych dżinów.

Salach zrozumiał jej grymas po swojemu. Pomyślał chwilę, podrapał się po głowie.

— No tak, pięćdziesiąt frank to bardzo dużo. Daj mnie dwadzieścia pięć, a ja cię przewiozę bez jaskinia.

— Jak?!

— Moja sprawa — odrzekł Palestyńczyk z chytrym uśmiechem.

I oto jechali wzdłuż niezbyt wysokiego grzbietu, który jednak wyróżniał się tym, że leżał poniżej poziomu morza. Przed nimi ukazał się duży brezentowy namiot i szlaban — turecki posterunek.

Polina Andriejewna rozejrzała się.

Z tyłu toczyła się potężna fura z napisem „S&G Ltd” na boku, wyładowana ziemią ogrodniczą.

— Gdzie mnie ukryjesz? — Mniszka po raz setny zapytała milczącego tajemniczo Salacha.

— Nigdzie. Odwróć się.

Wyjął z podróźnej torby lakowe pudełeczko.

— Co to?

— Podarek. Marusi kupił. Trzy frank płacił — oddasz.

Pelagia ujrzała w malutkich przegródkach bielidło, pomadkę do ust, puder i jeszcze coś lepkiego, czarnego.

— Nie kręć głowa — powiedział Salach, przytrzymując ją za brodę.

Zanurzył palec i szybko namalował Polinie Andriejewnie coś na policzkach. Roztarł. Pociągnął pędzelkiem brwi i rzęsy. Potem pomalował pomadką usta.

— Po co?! — wymamrotała zaskoczona mniszka.

Wydobyła lusterko i wpadła w przerażenie. Patrzyła na nią okropnie wymalowana fizjonomia: buraczkowe policzki, ogromne rozstrzelone brwi, podkreślone oczy, wulgarnie soczyste wargi.

— Oszalałeś?! Zawracaj! — zawołała Pelagia, ale chantur podjeżdżał już do szlabanu.

— Milcz i uśmiechaj się, cały czas uśmiechaj, i rób tak. — Salach poruszył brwiami w górę i na dół, przewrócił oczami. — Szerzej się uśmiechaj, całkiem szerzej, żeby wszystkie zęby było widać.

Na protesty było za późno. Pelagia rozciągnęła wargi, jak tylko mogła.

Podeszli dwaj żołnierze w wypłowiałych niebieskich mundurach i oficer przy szabli — z pewnością ów Said-bej.

Gniewnie wskazał palcem Pelagię i zaczął kłąć. Na furę z ziemią zaś nawet nie spojrział — przejechała najspokojniej pod uniesionym szlabanem.

Polina zrozumiała słowo *kadyn* — zdaje się, że po turecku oznacza ono kobietę. No pewnie, za chwilę oficer zawróci ich i na tym koniec podróży.

Salach nie przestraszył się wymyślań — powiedział coś ze śmiechem. Said-bej popatrzył na Pelagię z zaciekawieniem i zadał jakieś pytanie. W jego głosie wyraźnie słyhać było powątpiewanie.

Palestyńczyk pochwycił nagle i unióśł dół sukni pasażerki. Ze strachu Pelagia uśmiechnęła się tak, że aż poruszyły jej się uszy.

Żołnierze zarżeli, oficera także to rozbawiło — machnął ręką: no dobra, jedź.

— Co... coś ty mu powiedział? — zapytała lękliwie Pelagia, kiedy roгатka została z tyłu.

— Że ty chłopiec przebrany za babę. Że Lutowie kupili ciebie w Jaffie. Juzbasza najpierw nie wierzył. To mówię: „Nie wierzysz — patrz mu między nogi”. I chcę tobie sukienkę podnieść. Said-bej nie będzie chłopiec patrzeć między nogi, bo żołnierze myślęć, że ich juzbasza też jest Lutem.

— A... a gdyby jednak zajrzał? — zapytała pobladła Pelagia.

Salach filozoficznie wzruszył ramionami.

— Wtenczas źle. Ale on nie zajrzał, roгатka przejechali, a od ciebie jeszcze dwadzieścia pięć frank.

Dług Poliny Andriejewny wobec jej woźnicy, przewodnika i dobroczyńcy urósł od dnia wyjazdu z Jerozolimy do astronomicznych rozmiarów. Pieniądze, które wypłaciła Fatimie, okazały się tylko zadatkiem. Salach dodał do tej sumy opłatę za strach, jaki przeżył w czasie czerkieskiej przygody, potem za drogę do Morza Martwego i oddzielnie z Bet-Kebiru do Usdumu. Po drodze zdarzały się i inne haracze, drobniejsze. Pelagia już sama nie wiedziała, ile wynosi całko-

wita kwota, i zaczynała się obawiać, że z tym szantażystą nigdy się nie rozliczy.

Nagle spostrzegła, że przygląda się jej dziwnie, nawet jakby jakoś poruszony.

— Co takiego? — zapytała Polina Andriejewna.

— Jesteś mądra i odważna — odrzekł z uczuciem Salach. — Najpierw myślałem, jaka nieładna. Bo czerwone włosy i chuda. Ale czerwone włosy można przywyknąć. I chuda nie będziesz, jeśli w domu siedzieć, dużo spać, dobrze jeść. A jak dać puder, pomadki, jesteś prawie ładna. Wiesz co?... — Głos mu zadrażał, a oczy błysnęły wilgocią. — Chodź do mnie czwarta żona. Wtenczas dług można nie płacić.

Oświadcza mi się, zrozumiała Pelagia i ku własnemu zdumieniu poczuła się pochlebiona.

— Dziękuję — odparła. — Bardzo mi przyjemnie, że tak mówisz. Nie mogę jednak zostać twoją żoną. Po pierwsze, mam Oblubieńca. A po drugie, co powie na to Fatima?

Drugi argument podzielał, jak się zdaje, mocniej niż pierwszy. Ponadto zaś w czasie oświadczyn Polina Andriejewna wyjęła flaszkę i zaczęła zmywać z twarzy „makijaż”, przez co jej uroda najpewniej przyblakła.

Salach westchnął, strzelił z bata i chantur potoczył się dalej.

Góra zakończyła się ostrym, niemal pionowym urwiskiem, a zza zakrętu wynurzyło się nagle miasto.

Rozłożyło się w niewielkiej kotlinie, z trzech stron otoczonej wzgórzami, i było niewyobrażalnie piękne, zupełnie jakby przeniesione tutaj ze starożytnej Hellady.

Nie wierząc oczom, Polina Andriejewna patrzyła na ozdobione posągami frontony, smukłe kolumnady, marmurowe fontanny, czerwone dachówki. Otoczone kwitjącymi ogrodami miasto chybotąło się w płynnym, rozpalonym powietrzu.

Miraż! Miraż na pustyni, pomyślała zachwycona podróżniczka.

Podjechali do zielonej alei, gdzie leżały stosy tłustego czarnoziemu. Stała tam już znana im fura, na razie jeszcze nierozładowana. Woźnica zniknął — zapewne poszedł po wskazówki. Kilku Arabów kopało doły pod drzewa, podlewało klomby, kosiło trawę.

— To prawdziwe Elizjum — wyszeptała Pelagia, wdychając aromat kwiatów.

Zeskoczyła na ziemię, stanęła za krzewami róż, żeby nie ściągać na siebie uwagi, i wciąż nie mogła się napatrzeć na czarowny widok.

Kiedy pierwsze zachwyty minęły, zapytała:

— Ale jak ja dostanę się do miasta? Salach wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Ja tylko obiecałem wieźć cię przez rogatka.

Taniec Herodiady

Sunąc po marmurowej podłodze, wciąż próbowała pochwycić umykającą melodię.

Pram-pam-pam, pram-pam-pam, dwa obroty z rozwiewającym się leciutkim tiulowym peniuarem, następnie dygnięcie, a potem lot, unoszenie się, a ręce niczym łabędzie skrzydła.

Dawniej tańczyła przy gramfonie, ale teraz mechaniczna muzyka nie była już jej potrzebna. Boskie melodie, których nie potrafiłby odtworzyć sam Paganini, rodziły się w jej wnętrzu. Żywot ich był krótki, tylko chwilowy, i dlatego tak piękny.

Dzisiaj jednak coś muzyce przeszkadzało, tłumiło ją, nie pozwalało ujawnić się jej czarodziejskiej sile.

Para-para-ram-pa-pam, para-para-ram-pa-pam... Nie, to nie to!

W błogosławionej oazie, dobrze chronionej przed brutalnym światem, Herodiada odkryła w sobie dwa źródła nieustannej rozkoszy, dwa nowe talenty, o których wcześniej nie miała nawet pojęcia.

Przede wszystkim taniec — nie dla domowników, nie dla gości, a już tym bardziej nie dla postronnych widzów: wyłącznie dla samej siebie.

Stać się harmonią, stać się wytwornym ruchem. Poczuć, jak ciało, tak niegdyś nieposłuszne, zardzewiałe, poskrzypujące, staje się lżejsze niż puch, bardziej sprężyste niż ciało węża. Któż by mógł pomyśleć, że przy piątym krzyżyku, kiedy, jak się wydaje, od własnego ciała nie można oczekiwać

nic oprócz zawodów i rozczarowań, odczuje doskonałość swego organizmu!

W domu cichutko. Lowuszka i Salomeą wylegują się w sypialni, wstaną pod wieczór, kiedy zelżeje upał. Antinousek pływa w basenie, nie wyciągnąłby go z wody nawet cały arteł burłaków.

Codziennie w poobiedniej godzinie Herodiada, pozostawiona samej sobie, w całkowitej ciszy tańczyła przed lustrem. Elektryczny wentylator rozpraszał po atrium fale aromatyzowanego powietrza. Tancerka wykonywała niezwykle wyszukane *pas*, a po jej twarzy spływały kropelki potu i natychmiast wysychały.

Pół godziny szczęścia absolutnego, potem wspaniały zimny prysznic, kielich smolistego wina z lodem i wreszcie, w jedwabnym chitonie, uda się na spotkanie z inną przyjemnością — do ogrodów.

A jednak całkowite oddanie się ruchowi nie było dzisiaj możliwe, w głowie zaś, która winna być przepelniona wyłącznie muzyką, merdała mysim ogonkiem jakaś niewyraźna, niepokojąca myśl.

Przepadnie, zagaśnie — Herodiada usłyszała nagle dziwny głos i znieruchomiła.

Ach, tak.

Wczorajsza rozmowa.

Dziwnego człowieka w przepasanych niebieskim sznurem łańcuchach przywieźli do miasta Zbyszek i Rafałek, dwaj postrzeleni warszawiacy. Ścigali się wozami wzdłuż morza i zabrali ze sobą napotkanego włóczęgę, którego wygląd ich rozśmieszył.

Kiedy dowiedzieli się, że wędrowiec przybył z Rosji, zaprowadzili go do swych rosyjskich przyjaciół.

Była wtedy w domu sama. Lowuszka obradował w Areopagu, a dzieci poszły na plażę.

Kiedy oberwaniec przedstawił się jako Manujła, przywódca „znajd”, gospodyni zaśmiała się w duchu. Biedakowi nie przyszło do głowy, że ona zna przypadkiem okoliczności śmierci prawdziwego Manujły, którego zamordowano, by tak rzec, na jej oczach.

Herodiada nie spieszyła się, by go zdemaskować, czekała na stosowną chwilę. Kiedy warszawscy nicponie poprowadzili włóczęgę do miasta, poszła z nimi.

Rzekomy Manujła kręcił głową na wszystkie strony, dziwił się nieustannie i zasypywał ich pytaniami. Zbyszek i Rafałek przeważnie chichotali i zabawiali się, tak że rola przewodnika przypadła w udziale Herodiadzie.

A co z kobietami, czy w ogóle ich nie uznajecie? — zdumiewał się samozwaniec.

— Uznajemy i szanujemy — odpowiedziała. — Na placu Zachodnim mamy pomnik żony Lota; znaleźliśmy na brzegu słup soli i zamówiliśmy u rzeźbiarza statwę. Wielu, co prawda, sprzeciwiało się nagiej kobiecej postaci, ale większość wyraziła zgodę. Nie mamy niczego przeciwko kobietom, tyle że nam lepiej bez nich, a im bez nas.

No cóż, to pewnie kobiece miasto także gdzieś istnieje, domyślił się „prorok”.

— Na razie nie — wyjaśniła Herodiada — ale wkrótce będzie. Nasz dobroczyńca, George Cyrus, zamierzał kupić ziemię dla lesbijek na wyspie Lesbos, ale nie otrzymał zgody rządu greckiego. Wówczas wpadł na pomysł odbudowania Gomory — roboty już ruszyły. Będziemy przyjaźnić się z naszymi sąsiadkami, jak ludzie przyjaźnią się z delfinami. Wszakże środowiskiem delfina jest morze, człowieka zaś ląd, a zatem po cóż człowiek miałby spółkować z delfinem?

Zabawny spryciarz zachwycił się pięknem budowli i technicznymi udoskonaleniami, których w Sodomie było mnóstwo: i tramwajem elektrycznym, który kursował od Akropolu do plaży, i kinematografem, i lodowiskiem ze sztucznym lodem, i wieloma, wieloma innymi.

Fałszywego Manujłę zainteresowały jednak przede wszystkim stosunki między sodomitami: czy mają rodziny, czy też każdy żyje na własny rachunek?

Herodiada, która zawczasu smakowała moment zdemaskowania, odparła uprzejmie, że rodzin z dziećmi, takich jak jej własna, jest tutaj bardzo mało. Niektórzy łączą się w pary, ale większość korzysta po prostu ze swobody i bezkarności.

Rafałek i Zbyszek zapraszali potem do Labiryntu, szczególnego miejsca, gdzie młodzież oddaje się w ciemności roz-

maitym nieprzyzwoitościom. Herodiada nie poszła, bo osiągnęła wiek, kiedy człowieka nie zajmują już cielesne bezceństwa — teraz bardziej ceniła uczucia. Ku jej zdumieniu, włóczęga także nie chciał iść do Labiryntu; powiedział, że w tych zabawach nie ma niczego nowego, że znali je i Rzymianie, i Grecy, i Babilończycy.

Tak więc Herodiada została z nim sama.

— To cóż, Boży człowieku, czy Pan spuści na nas ogień i siarkę za nasze występki? — zapytała drwiąco, wskazując głową w stronę Labiryntu, skąd dochodziły chichoty i dzikie wrzaski.

Za to najpewniej nie, „prorok” wzruszył ramionami. Wszak nikt tu nikogo do niczego nie zmusza. Niech im będzie, jeśli tak im lepiej. Radość jest święta, złem jest smutek.

— To ci prorok! — rozbawiła się Herodiada. — Może ty też należysz do naszych?

Jak to on odpowiedział?

Nie, odrzekł, nie należę. Żal mi was. Droga mężczyzny, który kocha mężczyzn, żalсна jest i wiedzie ku rozpacy, bo bezpłodna jest.

Ubrał to w jakieś inne słowa, mniej składne, ale sens był właśnie taki. Zaskoczona Herodiada zadrzała. Próbowwała jeszcze żartować:

— Bepłodna dlatego, że nie możemy mieć dzieci?

On zaś poważnie: Tak, dlatego też. Ale nie tylko. Mężczyzna to ciemna strona duszy, kobieta zaś jasna. Wiesz, skąd bierze się nowa dusza? Stąd, że z Boskiego ognia krzesze się maleńka iskierka. A krzesze się, kiedy połówki duszy, jasna i ciemna, stykają się ze sobą, próbując ustalić, czy stanowią całość, czy nie. Wy zaś, biedacy, nigdy swej połówki nie odnajdziecie, bo ciemne z ciemnym nie łączy się. Zagubi się twoja półdusza, zaniknie. Trudny taki los — wieczna samotność. Ile byście stykali się ze sobą, iskra się nie pojawi. Oto w czym nieszczęście: nie w grzechu ciała, tylko w grzeszności duszy.

Herodiada zapomniała już, że zamierzała pośmiać się z samozwańca. Bo w istocie jaka to różnica, kim on jest naprawdę? Włóczęga mówił o tym, co sama czuła, nie wiedziała tylko, jak to ująć.

Zaczęła oponować.

To jasne, że nie chodzi tu wcale o sprawy cielesne. Kiedy odpadły zakazy i nie trzeba już było ukrywać się przed społeczeństwem, okazało się, że namiętne zbliżenia z ukochanym wcale nie są jej tak bardzo potrzebne. Ważniejsza okazała się czułość i poczucie bezpieczeństwa, jakich nigdy nie zaznasz z kobietą, bo kobiety są inne. Tutaj zaś nie trzeba udawać, rozumieją cię w pół słowa, a nawet bez słów — oto co jest istotne. Jesteśmy razem, jesteśmy tacy sami. Żadnej walki przeciwnieństw, żadnego rozdarcia. Błogość i spokój.

Klarowała to wszystko obcemu człowiekowi, przejęta i rozgorączkowana — do tego stopnia poruszyły ją jego pouczenia.

Wysłuchał do końca, a potem ze smutkiem pokiwał głową i powiada: A iskry i tak nie będzie. Nie ma iskry, to nie ma też Boga.

Wczoraj Herodiada nie zgadzała się z nim, trwała przy swoim, a dzisiaj, kiedy fałszywego Manujty już nie było, rzuczone przez niego słowa — „wieczna samotność”, „grzeszność duszy” — wypłynęły nagle z pamięci i wyparły muzykę.

Lowuszka jakoś coraz więcej czasu spędza z Salomeą.

Nie, to nie zazdrość, ale to, o czym mówił wędrowiec: lęk przed samotnością. Antinous też prawie w domu nie bywa — znalazł nowe zajęcia, nowych przyjaciół. Możliwe, że są nie tylko przyjaciółmi...

A przecież minął zaledwie miesiąc, odkąd przyjechali do owego męskiego raj. Powiadają, że w Sodomie rodziny długo się nie trzymają. To co pozostaje?

Nie tak mało, dodała sobie otuchy Herodiada. Pozostają tańce i ogrody.

No właśnie, ogrody.

Nadszedł czas, by zajrzeć do peonii i nieszpuki. No i zobaczyć, co z różami — czy przypadkiem Dżemal nie przesadził z podlewaniem.

Herodiada odegnęła od siebie niewesołe myśli. Włożyła lekki chiton, obwiązała włosy błękitną wstążką.

Słońce przypiekało jeszcze porządnie, ale od Gór Awarimskich wiał już wiaterek, który obiecywał wieczorny chłód.

Przeszła cienistą uliczką do Bramy Zachodniej, witając się przyjaźnie z napotkanymi — z niektórymi nawet się całując.

Wszystkie myśli krążyły teraz wokół ogrodu.

Przed wieczorem trzeba będzie spulchnić klomby, żeby rozsada mogła pooddychać. Jutro powinni dostarczyć z Hajfy dżdżownicę. Wtedy będzie można na serio zabrać się za brzoskwińnię aleję. Po roku, dwóch w Sodomie będą takie ogrody, jakich ta nieszczęsna kraina nie widziała nawet za czasów Lota.

Oto czemu należało poświęcić życie! Nie uczyć gimnazjalistów łaciny, tylko zajmować się ogrodami i kwietnikami. Rosja to dla roślin raj. I wody tam pod dostatkiem, i ziemia żyzna, nie to co tutaj.

Nawiasem mówiąc, takiego czarnoziemiu, jaki dostarczają tu furgonami, nie znajdzie się nawet w Rosji. Jakiś szczególnie tłusty, kosztuje bardzo dużo. Chwała Bogu, panu Cyrusowi pieniędzy nie brakuje.

Za murami miasta Herodiada przyspieszyła kroku. Zapomniawszy o upale, obeszła drzewa, krzewy, klomby. Napomniała starszego ogrodnika — tak jak myślała, podlewał krzewy róż równomiernie, gdy tymczasem od strony wschodniej, gdzie nocami wieje bryza, należałoby oszczędniej. Dżemal słuchał uważnie — wiedział, że stary Lut ma od Allaha szczególny dar rozumienia życia roślin, odnosił się zatem do owego talentu z szacunkiem.

Na uniwersytecie, oprócz innych zbędnych mądrości, Herodiada uczyła się także hebrajskiego i dlatego arabski przychodził jej zdumiewająco łatwo. Już po dwóch tygodniach wspólnej pracy porozumiewała się z Dżemalem doskonale.

— Co to ma być? — Herodiada popatrzyła niezadowolona na wóz z czarnoziemem. — Gdzie woźnica? Dlaczego nie rozładował?

— Tam kobieta — powiedział Dżemal, wskazując na ostatni różany krzew. — Jak się dostała, nie wiadomo. Sadyk poszedł powiedzieć strażnikowi.

Uklonił się i wrócił do podlewania klombów. Herodiada rozejrzała się. Istotnie, za krzakiem ktoś się ukrywał.

Podeszła bliżej — bez wątpienia kobieta. Z daleka widać, że nie jest to przebieraniec. Nie tyle nawet po samej figurze, ile po sposobie trzymania głowy, po lekko odchylonej od ciała ręce. Tego żadną miarą nie da się podrobić.

Trzeba jej powiedzieć, żeby wyniosła się stąd jak najszybciej. Szef ochrony to były brytyjski pułkownik — z nim nie ma żartów. Przekaze podejrzaną tureckiej straży, ponadto zaś ukarze Said-beja grzywną za niedbalstwo, a ten wyrze całą złość na głupiej ciekawskiej — Azjaci dżentelmenerii nie uznają.

Jakow Michajłowicz podsłuchuje

Kto by pomyślał, że z tą furą tak się trafi! Udało się — w odpowiednim czasie znalazł się w odpowiednim miejscu.

A z początku przeklinał siebie, że przedobrzył, kiedy, by tak rzec, legł za życia w ziemi. Gdy wlekli się szosą, pomstował na cały świat. Gorąco, robaki pchają się pod ubranie. Jeden, ścierwo, wlaź nawet do nosa — Jakow Michajłowicz cudem powstrzymał kichanie.

Oddychał przez trzcinkę, wysuniętą na zewnątrz. Potem wymyślił też sposób, żeby coś widzieć. Miał ze sobą gliniany dzbanek z długą szyjką — na wodę. Zawartość stopniowo wychłptał (przy okazji najadł się ziemi rodzicielki), ale dla pustego naczynia znalazł pożyteczne zastosowanie. Szyjkę odłamał u podstawy i pozostała mu rurka, którą przepchnął przez czarnoziem. Dzbanek miał ziemistą barwę, zatem szyjki nawet z bliska nie można było dostrzec. Prawdę powiedziawszy, owa mała rurka niespecjalnie odsłaniała jakieś widoki, ale zawsze to lepsze niż być całkowicie ślepym. Obrócisz ją tu i tam i patrzysz jak przez lunetę. Albo jak przez optyczną sztycę na łodzi podwodnej — nazywa się to peryskop.

Że osiągnął cel, stało się pewne, kiedy fura zatrzymała się, przybywszy do miejsca przeznaczenia. Okazało się, że Ruda, której Jakow Michajłowicz całą drogę wyglądał przez swój peryskop, przebiera nogami tuż obok. Zsiadła ze swojej tatarajki i stanęła za krzakiem róż, a od tego krzaka do punktu obserwacyjnego Jakowa Michajłowicza było już na wyciągnięcie ręki.

Mniszka zaczęła wzdychać i rozważać głośno, jak teraz dostać się do miasta. Jej Arab (zwie się Salach) nie okazał żadnego współczucia.

Trzeba było przebrać się za chłopca, kozo bezmyślna — wyrzucił jej w myślach tajny obserwator. Może i teraz nie jest za późno, próbuj.

Ona jednak wciąż przestępowała z nogi na nogę i wzdychała.

Nie kłopotał się wszakże. Już wiedział — nie jest ona wcale bezmyślna i coś postanowi, swego nie popuści. Na Rudą można było stawiać w ciemno.

Niepokoilo go coś innego — żeby znowu nie przepadła, jak przytrafiało się to wcześniej. Nazbyt żwawa i nieprzewidywalna. Panu Bogu nie zawsze będzie chciało się marnować cuda dla Jakowa Michajłowicza.

Nagle kroki. I głos — wysoki, piskliwy, ni to babski, ni to męski.

— *Madame, vous n'avez pas le droit de rester ici**. — A po tem po rosyjsku, ze zdumieniem: — To pani?!

Jakow Michajłowicz nakierował swoją „lunetę” w stronę dziwnego głosu. W kółeczku ujrzał niemłodą wymalowaną babę w peruce, w lekkiej szacie i w sandałach (stopy jakoś za szerokie). Jasne: wyszykowany na babę sodomita.

Mniszkę ucieszył widok starego pederasty niczym spotkanie z własną mamą.

— Ach, jakież to szczęśliwy zbieg okoliczności, że panią spotkałam! Witam serdecznie, droga Heroido!

— Herodiado — poprawiła baba-chłop i klasnąwszy w rękę, zagadała: — Skąd pani się tutaj wzięła, najdroższa? I dlaczego nie w riasie? Co pani tutaj robi?

Ruda nie odpowiedziała od razu; Jakow Michajłowicz skierował na nią rurkę. Marszczyła czoło, jakby nie była pewna, czy ma mówić prawdę, czy też nie.

Powiedziała prawdę.

— Chcę, żeby pani wiedziała... Muszę pilnie odnaleźć pewnego człowieka.

— Kim on jest?

* Madame, nie powinna pani tutaj przebywać (franc.).

— To człowiek dosyć dziwny. Dziwnie się odziewa, dziwnie wyraża. W Bet-Kebirze powiedziano, że był tam wczorajszego ranka i że wyruszył w stronę Sodomy. Nie wracał... Pomyślałam zatem, że najpewniej został tutaj... Taki wychudzony, z nastroszoną brodą, w białej chlamidzie z niebieskim pasem...

— Manujła? Szuka pani człowieka, który zwie się Manujła? — wyrzekł zmienionym głosem zboczeniec.

— Tak! Widziała go pani? Naprawdę? Muszę z nim koniecznie porozmawiać! Gdyby mogła pani go tutaj sprowadzić...

— Nie ma go.

— Jak to?! — zawołała mniszka. — Coście z nim zrobili? Jakow Michajłowicz skierował pospiesznie rurkę na przebierańca i ujrzał, jak ów wskazuje ręką w stronę morza.

— Odplynął kutrem do Ain-Dzidi. Już o świcie, zanim zaczęło przypiekać.

— Chwała Bogu! — zawołała nie wiedząc czemu mniszka. — Ain-Dzidi to oaza na północ od Bet-Kebiru? Przejęźdzaliśmy tamtędy.

— Tak, stamtąd prowadzi droga do Jerozolimy.

— To on kieruje się do Jerozolimy?

Pederasta rozłożył ręce.

— Pojęcia nie mam... Mówił o jakimś ogrodzie.

— Boże, proszę sobie przypomnieć! — krzyknęła mniszka. — To bardzo ważne!

Jakow Michajłowicz także zamienił się w słuch — nawet rurkę przystawił do ucha.

Herodiada odrzekł niepewnie:

— Zdaje się, że mówił tak: „W nocy z czwartku na piątek muszę koniecznie być w pewnym ogrodzie”.

Nuże, nuże, zachęcał go w duchu Jakow Michajłowicz. No, przypomnij sobie.

— To wszystko. Niczego więcej na ten temat nie mówił.

— Ach! — zawołała Ruda.

Obserwator czym prędzej przystawił szyjkę dzbanka do oka. Mniszka zakryła usta dłonią, a jej brwi uniosły się omal do połowy czoła.

Coś ją zdziwiło? A może w czymś się połapała?

Co to za ogród, Jakow Michajłowicz, rzecz jasna, wie-
dzieć nie mógł, ale to nieważne. „Najważniejsze, że ty, moja
złociutka, zrozumiałaś” — szepnął pod adresem Rudej i wy-
pluł kolejnego robaka.

Noc z czwartku na piątek — to jutro czy pojutrze? W tym
całym palestyńskim błędzeniu dni tygodnia przemieszały się
w głowie.

I zdaje się, że nie tylko jemu.

— Co dzisiaj mamy? Środę? — zapytała mniszka.

— Nie wiem, kochana, my tutaj żyjemy wedle kalendarza
antycznego. Dzisiaj jest dzień Księżyca, jutro będzie dzień
Marsa, pojutrze...

— Tak, tak, środa! — przerwała mu Ruda. — Proszę mi
powiedzieć, czy nie mogłabym skorzystać z waszego kutra?

— Co też pani! Musi pani czym prędzej unosić nogi, bo
inaczej panią aresztują. Już pobiegli po strażę. To własność
prywatna, chroniona w dodatku bardzo pilnie.

— Jak daleko stąd do Jerozolimy? — Mniszka zdawała się
jej nie słuchać.

— Nie wiem, doprawdy. Jakieś sto, sto pięćdziesiąt wiorst.

— Salach, na jutro wieczór dowiesz?

— Konie padną — warknął Arab. — Cały tydzień praco-
wać nie będą.

— Ile wart jest tydzień twojej pracy?

— Dwieście frank.

— Rozbójnik!

— Jak dla żona, bezpłatnie — odrzekł tajemniczo Arab.

— Dobrze. Jedziemy!

— Co dobrze? — zapytał Salach. — Dwieście frank do-
brze czy żona dobrze?

— Zobaczymy! Jedźmy!

Tu mniszka zniknęła z pola widzenia. Pół minuty później
rozległ się stukot kopyt i skrzypienie kół. Wyruszyli do Jero-
zolimy.

Pora była wylazić z obrzydłego wozu. Półtora wiorst
przez pustynię, i to na własnych nogach... No nic, damy sobie
radę.

W Bet-Kebirze można będzie zdobyć dwukółkę. Z zagło-
wą osłoną, czymś w rodzaju namiotu. No i zabrać ze sobą

kilka tych namiocików w rozmaitych kolorach. Zmieniać je od czasu do czasu, żeby nie zauważyli obserwacji.

No, już cię tu nie ma, popędził Jakow Michajłowicz pederastę.

Ten zaś jak na złość zwlekał.

Po kilku następnych minutach zastukały wojskowe buty, brzęknęły szable. Przybiegli dwaj tureccy żołnierze, a wraz z nimi woźnica furgonu, który przywiózł do Sodomy na gapę Jakowa Michajłowicza.

Coś po swojemu zagadali. Sodomita odpowiedział im gładko, uspokajającym tonem. Na pewno nakłamał, że nie było tutaj żadnej baby, bo jeden z żołnierzy wymierzył woźnicy policzek — a w dodatku nawymyślał mu. Jakow Michajłowicz, rzecz jasna, po ichniemu nie rozumiał, ale odgadnąć nie było trudno: ożeż ty taki owaki szajtanie, naplotłeś byle czego i biegaj tu dla siebie po upale.

Żołnierze odeszli, ukarany Arab także, a obrzydły sodomita wciąż sterczał obok krzewów. Nie wiadomo po co macał kwiaty i liście i ze smutkiem kiwał głową.

No, diabli by cię nadali, czasu szkoda!

Zniecierpliwiony Jakow Michajłowicz poruszył się i z fury posypała się ziemia.

Baba-chłop, zaskoczona, zbliżyła się do wozu — wydawało się, że patrzy prosto w rurkę, dokładnie w oko Jakowa Michajłowicza.

Ów ostrzegł go w duchu po dobremu: Odsuń się, bałwanie. Może przeżyjesz.

A ten nie, podszedł.

Był tak blisko, że przez dziurkę widać było tylko pół biustu (patrzajcie go, waty napchał) i gładko wygoloną rękę.

Naga dłoń rozwarła się i całkowicie zasłoniła widok.

— Co to za szmata? — rozległo się mamrotanie i w następnej sekundzie pociągnięto Jakowa Michajłowicza za rękaw.

Cóż, miej żal do siebie.

Pochwycił głupka za nadgarstek i uniósł się gwałtownie.

Ujrawszy, jak z ziemi wylania się czarny człowiek, stary zboczeniec wytrzeszczył oczy, a potem wywrócił je białkami ku górze i osunął się miękko.

Zupełnie jak baba. Zemdłał.

Jakow Michajłowicz pochylił się nad nieruchomym ciałem i zaczął się zastanawiać.

Skrećić mu kark i zagrzebać zwłoki w najbliższej kupie ziemi? Dzień się kończy, nie odkopią go wcześniej niż nazajutrz, rankiem zaś będziemy już daleko, w połowie drogi do Jerozolimy.

A jeśli odnajdą od razu? Na wieżyczce mają heliograf. Wyślą sygnał na roгатkę.

Po co ryzykować?

Jakow Michajłowicz podskoczył parę razy, strząsając z siebie grudy ziemi. Zebrał je dokładnie i umieścił z powrotem na furze. Potem uklepał rękami ziemny stożek, przywracając mu poprzedni kształt. Dużym susem, bez rozbiegu, skoczył na gazon, żeby nie zostawiać w pyle śladów.

Obejrzał się.

Sodomita wciąż leżał jak worek.

Dobra, niechaj sobie żyje.

Co może powiedzieć? Że spod ziemi wylazł czarny człowiek, a potem zniknął bez śladu? Kto mu uwierzy? Sam sobie nie uwierzy. Pomyśli, że to od słońca.

Jakow Michajłowicz podciągnął szarawary i sprężystym, wyćwiczonym truchtem puścił się drogą w stronę zachodzącego słońca.

Aby zachować regularny oddech, powtarzał:

— Raz-dwa, raz-dwa, nie ma jak, nie ma jak, raz-dwa, raz-dwa, nie ma jak, nie ma jak...

Zamiast powietrza wciągnął ustami gorący pył. Zakrzusił się.

Och, przeklęta okolica.

To nic, wygląda na to, że jutro wieczorem koniec.

Stary znajomy

„Rrs Dolinin, czł. Rady Min. Spraw Wewn.” — oto co było zapisane nierównym, trudnym do odczytania pismem w rubryce „odwiedzający”.

— Rzeczywisty radca stanu Dolinin? — wymamrotał Matwiej Berdyczowski, mierzwiąc swą złocistoczerwonawą fryzurę. — Dolinin?!

— Właśnie tak — potwierdził nadzorca. — Jego ekscelencja był u nas z inspekcją. Zaszczycił rozmową. Mówił, że należy rozdzielić więzienia: dla podejrzanych jedno, dla zatwardziałych przestępców drugie, dla wszelkiego drobiazgu trzecie. Składem aresztantów raczył się zainteresować. No to wziąłem i opowiedziałem mu o żandarmskim oficerze, kacie rozbójców i nihilistów. Niby że do czego prowadzi niepoahomowana potrzeba. Jego ekscelencja zażyczył sobie przyjrzeć się osobiście. Z panem Racewiczem raczył rozmawiać nie krócej niż przez godzinę.

Nie są już potrzebne żadne inne wersje, zrozumiał z absolutną pewnością Berdyczowski. Wszystko zgadza się dokładnie, chociaż nie ma jeszcze pewności co do niektórych szczegółów.

Opuściwszy więzienie, spacerował długo ulicami, nie widząc niczego wokół siebie. Chaos porządkował się stopniowo, fakty układały w logiczny łańcuch.

Powoli, powoli, co rusz hamował się prokurator. Bez pospiesznych wniosków. Tylko konsekwencje, wynikające z faktów.

A konsekwencje były następujące.

Pół roku temu niewypłacalnego dłużnika odwiedza „znacząca figura” — wszystko wskazuje na to, że bez z góry powziętego zamierzenia, przypadkiem. A może nie całkiem przypadkiem? Nie, nie, domysły pozostawmy sobie na później.

Wysokiego inspektora i reformatora systemu śledczo-dochodzeniowego zainteresował odszczepieniec z wilczymi nawykami. Dlaczego? Może Dolinin też ma skłonność do męczyzn? Wątpliwe jednak, by więzień od razu przyznał się ważnemu petersburskiemu urzędnikowi do swoich upodobań. Niewiarygodne. Nawet absolutnie niewiarygodne.

Jedno nie ulega wątpliwości: zainteresował się.

Na tyle, że po trzech dniach z Rosyjskiego Banku Handlowo-Przemysłowego, który, nawiasem mówiąc, ma siedzibę w Sankt Petersburgu, wpływa kwota, która pokrywa dług. Racewicz wychodzi na wolność i wkrótce opuszcza Żytomierz na zawsze.

Pytanie: dlaczego Dolinin to zrobił i skąd miał tyle pieniędzy? Pelagia mówiła, że nie jest arystokratą, że wybił się talentami. Jeśli tak, to skąd u niego takie pieniądze?

Fakty, tylko fakty — ponownie pouczył się Berdyczowski.

No dobrze. Przez pięć miesięcy po uwolnieniu Racewicza — czarna dziura. Nie wiemy, co też w tym czasie śmiały żandarm robił i gdzie przebywał. Wiadomo jednak, że wieczorem pierwszego kwietnia znalazł się na parowcu „Jesiotr” i zabił włościanina Szełuchina, biorąc go za „proroka” Manujłę.

Tegoż wieczoru pojawia się na parowcu Dolinin, który przypadkowo znalazł się w sąsiednim powiecie z kolejną inspekcją. Znaczący zbieg okoliczności, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę żytomierskie *rendez-vous* w więzieniu.

Rzeczywisty radca stanu kieruje osobiście śledztwem, zabójca zaś tymczasem znika tajemniczym sposobem ze statku. A kto prowadził poszukiwania? Nikt inny, Dolinin. Matwiej Bencjonowicz przypomniał sobie relację Pelagii: do kajuty rzekomego Ostrołyżeńskiego śledczy wybrał się sam, a potem oświadczył, że nikogo tam nie ma, i nakazał wystawić przed drzwiami wartę, by nikt nie mógł tam się dostać. A może żytomierski znajomy sprytnego śledczego siedział w środku? To łatwe. Potem Dolinin wypuścił go niepostrzeżenie na brzeg — przy zmianie posterunków albo jakoś ina-

czej. Dla prowadzącego śledztwo, któremu wszyscy podlegają i wszyscy ufają, to rzecz nietrudna.

Co było dalej?

Wielki człowiek z Petersburga chciał koniecznie wybrać się osobiście do odległej wsi, towarzysząc zwłokom jakiegoś łotrzyka. Jakież to dziwne! Wówczas siostrze Pelagii i wszystkim innym uczestnikom śledztwa wydało się, że Dolinin dosyć ma biurokratycznej roboty i że w ogóle, będąc człowiekiem zasadniczym, zwykł doprowadzać każdą sprawę do końca. Tymczasem zaś w ślad za ekspedycją udał się zabójca, związany z Dolininem niejasnymi więzami. Niewykluczone, że kiedy płynęli barką, Racewicz tam właśnie się ukrywał — w ładowni. Potem towarzyszył im lasem, wciąż trzymając się w pobliżu. Kiedy Pelagia natknęła się przypadkiem na tego szpicla, Dolinin tak zręcznie ją podszedł wykładem o sile nieczystej, że bystra mniszka nic nie podejrzewała.

Dalej samo sedno.

Po ustaleniu tożsamości zamordowanego Dolinin wyjechał, ale Racewicz został.

Poco?

Wiadomo: trzeba było zabić Pelagię. Tylko dlaczego nie zrobił tego wcześniej — choćby podczas spotkania w lesie?

Po chwili zastanowienia Matwiej Bencjonowicz znalazł odpowiedź także na to pytanie.

Dlatego że wcześniej nie miał rozkazu. A zatem polecenie zabicia mniszki zostało wydane dopiero po wyjeździe śledczego.

Kto je wydał?

Oczywiście Dolinin, nikt inny.

Berdyczowski już zapomniał, że wnioskowanie zostawił na później, i zaczął stawiać kolejne hipotezy — zresztą były ku temu podstawy.

Może śledczy chciał, żeby Pelagię zabito, kiedy jego, Dolinina, już tam nie będzie? Dla zapewnienia sobie alibi, a możliwe też, że klóciło się to z jego wrażliwością — wołał tego nie widzieć.

Najpewniej jednak w grę wchodziło coś innego. Zdaje się, że w Stroganowce Pelagia zrobiła albo powiedziała coś takiego, iż Dolinin zrozumiał: bliska jest rozwiązania zagadki

zabójstwa na parowcu. Najprawdopodobniej śledczy zabrał ją ze sobą w podróż po to, aby ustalić w drodze, jak dalece jest ona niebezpieczna. I ustalił: tak, niebezpieczna, przy życiu zostawić jej nie można.

Nawiasem mówiąc, w czasie dedukcji pojawiła się także odpowiedź na pierwsze z nierozstrzygniętych pytań. Zwyrrodnialec z wilczymi nawykami przydał się panu Dolininowi właśnie dlatego, że, po pierwsze, był zwyrrodnialcem, a po drugie, specem od ciemnych sprawek. Homoseksualizm zaś nie ma tu raczej nic do rzeczy. Bardzo możliwe, że petersburżanin nie dowiedział się nawet o tej okoliczności. Czy zresztą jest to tutaj istotne?

Teraz drugie pytanie spośród tych bez odpowiedzi: czy Dolinin trafił przypadkiem do jedenastej „szlacheckiej” celi gubernialnego więzienia? A może w swoich inspekcyjnych rozjazdach po imperium celowo wypatrywał ludzi, którzy mogliby być przydatni dla jego nieokreślonych jeszcze zamierzeń? To tylko przypuszczenie, zaledwie przypuszczenie, ale nader prawdopodobne.

W głowie Matwieja Bencjonowicza jakby przerwała się jakaś tama: myśli, domysły i olśnienia runęły takim strumieniem, że prokurator zaczynał topić się w owym zalewie.

Tymczasem pojawiła się już przed nim nowa tama, mocniejsza niż pierwsza, a za nią kipiała i pieniała się wzburzona woda.

Kim jest rzeczywisty radca stanu Dolinin?

Berdyczowski zaczął przypominać sobie wszystko, co było mu wiadomo o tym człowieku od Pelagii i z innych źródeł.

Przez wiele lat Dolinin pracował jako śledczy do spraw kryminalnych. Zdarzył się rodzinny dramat — odeszła żona. Pelagia opowiadała o tym ze współczuciem, widocznie znała jakieś szczegóły, tyle że Matwiejowi Bencjonowiczowi ich nie ujawniła. Powiedziała jedynie, że porzucony mąż pogrążył się w rozpacz, ale napotkał jakiegoś mądrego, dobrego człowieka, który zwróciwszy go ku Bogu, uwolnił od zgubnych myśli. Tu akurat nastąpił przełom w karierze — Dolinin poszybował wysoko i szczęśliwie zapamiętał się w pracy nad ważnym państwowym projektem.

Tak, tak. Pytania same cisnęły się na usta.

Po pierwsze, jakież to mędrzec uratował miotającą się duszę śledczego?

Po drugie, nieźle ją „uratował”, skoro ów zaczął werbować profesjonalnych zabójców.

Po trzecie, czy to przypadek, że „iluminacja” Dolinina i gwałtowna kariera zbiegły się w czasie?

Wreszcie czwarte i najważniejsze: co powoduje Dolininem? Albo kto? I jaki jest cel tego wszystkiego?

W głowie się mąciło. Pewne było jednak, że w Żytomierzu nie ma już czego szukać. Jak powiedział książę Hamlet, jest mocniejszy magnes.

Amerykański szpieg

Matwiej Bencjonowicz wysiadł z pociągu na Dworcu Carskosielskim i przede wszystkim udał się na petersburską Poczta Główną — sprawdzić, czy nie ma wieści od przewielebnego. Prokurator przesłał władcy z Żytomierza krótki raport, nie wdając się wszakże w szczegóły — to nie na telegraf. Nie zdecydował się na przykład napisać o Dolininie. Poinformował jedynie, że nic „znanej Waszej Ekscelencji sprawy” prowadzi do stolicy cesarstwa.

Pisma z Zawolńska nie było, ale w zamian na radcę stanu czekał przekaz na pięćset rubli i krótki dopisek na blankiecie: „Niechaj Bóg Cię strzeże”.

Brawo, przewielebny! Powściągliwie i tylko to, co Berdyczowskiemu było teraz najniezbędniejsze: pieniądze i błogosławieństwo.

Od kolegi z uniwersytetu, pracującego obecnie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, prokurator dowiedział się, że Sergiusz Siergiejewicz Dolinin dzisiejszego wieczoru wraca z podróży inspekcyjnej do guberni nad dolną Wołgą i nazajutrz oczekiwany jest w urzędzie. Było mu to bardzo na rękę. Popatrzymy sobie, kogo odwiedzi zaraz po przyjeździe — postanowił Matwiej Bencjonowicz. Zajrzał na Dworzec Nikołajewski i dowiedział się z rozkładu, że pociąg przyjeżdża o wpół do dwunastej w nocy.

Miał zatem wolny niemal cały dzień.

Jako student Berdyczowski spędził w Petersburgu kilka lat i znał niezłe owo piękne, zimne miasto. Z punktu widzenia prowincjusza stolicy bardzo szkodziła mnogość budowli urzędowych — ich żółto-biała gama zakłócała i przygłuszała pierwotne barwy miasta: szarość i błękit. Gdyby usunąć stąd ministerstwa i urzędy, rozmyślał Matwiej Bencjonowicz, Piter złagodniałby i stał się bardziej przyjazny, zwłaszcza dla mieszkańców. Poza tym co to za miejsce dla stolicy — na samym skraju ogromnego imperium? Z powodu tej przypadłości Rosję ściąga na bok. Przenieść by siedzibę władz na wschód, ale nie do Moskwy, która i tak sobie poradzi, tylko gdzieś do Ufy albo Jekaterynburga. Tylko patrzeć, jak państwowa nawa wyrównałaby kurs i przestała nabierać wody.

Nie można zresztą powiedzieć, żeby Matwiej Bencjonowicz oddawał się podobnie zasadniczym rozmyśleniom w czasie całego spaceru.

Środek dnia spędził w pasażu handlowym, wybierając prezenty dla żony i dzieci. Potrzebował na to kilku godzin, bo rzecz była kłopotliwa i odpowiedzialna. Nie daj Boże zapomnieć, że Anusia nie znosi zielonego, że Waniusza uznaje tylko parowozy, że Maszeńka kicha od wełnianych tkanin, i tak dalej, i tak dalej.

Zakończywszy owo przyjemne, lecz męczące zajęcie, prokurator oddał się drobnej przyjemności: przeszedł się po sklepach, próbując sobie wyobrazić, jaki gościniec kupiłby Pelagii, gdyby nie była mniszką i gdyby ich stosunki pozwalały na ofiarowywanie jej podarków. Nieziszczalne marzenia zaprowadziły radcę stanu do stoisk z perfumami, następnie zmusiły do odwiedzenia galanterii, opamiętał się zaś dopiero w dziale koronkowych *dessous*. Oblał się rumieńcem aż po korzonki włosów i czym prędzej wyszedł na ulicę — tam ostudził go wilgotny bałtycki wiatr.

Dzień chylił się ku wieczorowi. Pora była przygotować się na przyjazd Dolinina.

Zgodnie z księgą adresową członek rady ministerialnej mieszkał w domu Szolca na prospekcie Zagorodnym. Matwiej Bencjonowicz przyjrzał się budynkowi (zwyczajny trzypiętrowy dom na wynajem, mieszkanie generała na pierwszym), ustalił, które to okna.

Zamówił pokój w hotelu „Helsingfors”, położonym bardzo dogodnie, bo prawie naprzeciwko.

A tu tymczasem pomalutku zapadł zmrok. Wkrótce trzeba było jechać na Dworzec Nikołajewski.

Z dorożkarzem udało się Berdyczowskiemu wyjątkowo. Numer 48-36 okazał się młodym, pojętym chłopakiem. Kiedy dowiedział się, czego od niego żądają, zabłyśły mu oczy — zapomniał nawet potargować się o cenę.

Moskiewski pociąg przybył o czasie. Prokurator zetknął się z Dolininem w Zawołżsku i miał okazję z nim rozmawiać, nie chciał zatem rzucić się w oczy: zaczął za kioskiem z gazetami, a kiedy Sergiusz Siergiejewicz przeszedł obok, ruszył za nim.

Nikt rzeczywistego radcy nie witał — niestety. Berdyczowskiemu rysowała się jakaś tajemnicza kareta i ręka, która uchyli drzwiczki przed inspektorem. Nie zwykła ręka, lecz z jakimś wyszukany pierścieniem i koniecznie w obszytym złotem rękawie.

Nic z tych rzeczy — ani ręki, ani karety. Dolinin wziął skromniutko dorożkarza, umieścił obok siebie swój niepozorny sakwojaż i pojechał.

Numer 48-36 nie potrzebował dodatkowych wyjaśnień — ruszył, zanim jeszcze Berdyczowski zajął miejsce. Prokurator wskoczył w bieg i rzucił: „Tylko nie za blisko, nie za blisko”.

Dorożkarz utrzymywał idealny dystans, na jakieś sto metrów, przepuszczał nawet dwa, trzy ekwipaże, ale nie więcej, żeby nie zasłoniły mu widoku. Dorożka z Dolininem na Newski nie pojechała, ale skręciła w ulicę Ligowską. Zdaje się, że, ku rozczarowaniu Matwieja Bencjonowicza, kierowała się ku domowi radcy. No właśnie — wjechała w Zwienigorodzką.

Pod domem Szolca trzeba było jakiś czas zaczekać.

W oknach mieszkania Dolinina zapaliło się światło, ale po chwili zgasło — pozostało tylko w jednym. Szykuje się do spoczynku, pisze sprawozdanie? A może przebiera się, żeby wyruszyć gdzieś w środku nocy?

Prokurator nie wiedział, co robić. Sterczeć tutaj do rana?

No, przynajmniej dopóki będzie paliło się światło. A może Dolinin oczekuje późnej wizyty?

Jednakże światło w ostatnim oknie paliło się jeszcze przez czterdzieści dwie minuty, po czym zgasło.

Zapewne położył się.

— Kto to, śpieg? — zapytał półgłosem dorożkarz.

Berdyczowski skinął z roztargnieniem, zastanawiając się, czy nie powinien urządzić sobie noclegu w dorożce.

— Merykański? — dopytywał się 48-36.

— Dlaczego amerykański? — zdziwił się prokurator.

Chłopak pociągnął nosem. Diabli wiedzą, co kołatało mu się po głowie i dlaczego obdarzył przypuszczalnego wroga ojczyzny tak odległym obywatelstwem.

— Nie, austro-węgierski. — Matwiej Bencjonowicz wybrał nieco bardziej prawdopodobny wariant.

Dorożkarz skinął.

— Wasza wielmożność, a może bym tak tych okienek przypilnował? Choćby do rana? Dla nas to nic takiego, nie zaśpimy. Bo co? Owies dla konia mam. I wezmę niedrogo. Trzy rubelki. No, dwa i połówkę.

Widać było, że strasznie chciałby się tym austriackim szpiegiem zająć. Najważniejsze, że nie był to wcale głupi pomysł. No i cena przystępna.

— Dobra. Będę tam, w hotelu. Widzisz okno? Narożne, na parterze. Jeśli on gdzieś wyruszy albo ktoś do niego przyjdzie, jeśli nawet zapali się światło, natychmiast daj mi znać. — Berdyczowski zamyślił się. — Tylko jak?

— Zagwizdę — zaproponował 48-36. — Umiem jak nikt, jak Słowik rozbójnik.

Złożył palce w kółko i przesywając zagwizdał — konie przysiadły, z drzwi „Helsingforsu” wyrżał szwajcar, a z dwóch stron odpowiedziały gwizdki policjantów.

— Nie, gwizdać nie będziemy — powiedział prokurator, wciskając się w siedzenie i popatrując uważnie na okna Dolinina, czy przypadkiem nie drgnie tam kotara. — Lepiej rzucić kamykiem.

Położył się do łóżka, nie zdejmując ubrania ani butów. Wypił trochę zakupionego w pasażu handlowym mozelskie-

go — z butelki. Nie za dużo — jeszcze tego brakowało, aby w dojrzałym wieku oddał się pijaństwu.

Leżał, zarzuciwszy rękę za głowę. Od czasu do czasu sięgał po butelkę. Myślał i o Maszy, i o Pelagii. Obydwie kobiety, całkowicie różne, jakimś niepojętym sposobem łączyły się w jedną istotę, a czułość dla niej wyrażała się łzami w oczach Matwieja Bencjonowicza.

Berdyczowskiego zbudził jakiś ostry, nienaturalny dźwięk — nie od razu zrozumiał, co to mogło być. Dopiero kiedy w okno uderzył drugi kamyczek, na tyle mocno, że pękło szkło, prokurator zerwał się, jeszcze nie w pełni przytomny, i zaczął się miotać po pokoju.

Było jasno. Ranek.

Prokurator uniósł ramę, wyrżał.

Przy chodniku czekała dorożka.

— Jaśnie panie, szybciej, szybciej! — 48-36 zamachał ręką. — Dawajcie, bo ucieknie!

Radca stanu tak właśnie postąpił — pochwyił surdut i kapelusz i „dał” prosto przez parapet. Poobijał sobie nogi, za to natychmiast oprzytomniał.

— Gdzie? — wytchnął.

— Skręcił za róg! — Dorożkarz zaciął konia. — Zaraz dogonimy!

Berdyczowski wyjął z kieszeni zegarek. Wpół do ósmej. Sergiusz Siergiejewicz jakoś wcześniej wybiera się do pracy.

Senność jak ręką odjął, prokurator całkowicie poświęcił się gorączkowej pogoni.

— Tam jest! — wskazał 48-36.

Przodem jechała zamknięta czarna karetka, rządowa, z tych, co to zwykle wożą do pracy urzędników w generalskiej randze.

Skręciła na Zabałkański, przez chwilę jechała nabrzeżem, ale skręt w prospekt Izmajłowski minęła.

Ach, tak, nie do pracy! Kancelaria ministerstwa jest przecież na Morskiej!

— Co było w nocy? — zapytał niecierpliwie Berdyczowski.

— Nic, wasza wielmożność. Nie spałem ani minutki, niech pan nie myśli.

— Masz tu.

Wcisnął nie dwa i pół, nawet nie trzy, ale cztery ruble za pilność. Dorozkarz jednak nawet nie spojrzął, ile mu dają — włożył tylko pieniądze do kieszeni. Przydałbyś się, braciszku, do sekcji śledczej — pomyślał Matwiej Bencjonowicz. Byłby z ciebie doskonały agent.

Kareta przejechała nabrzeżem Fontanki, przeturlała się przez most Jekaterynhofski i wkrótce zatrzymała pod domem z dużymi oknami.

— Co to może być?

— Gimnazjum, wasza wielmożność.

Matwiej Bencjonowicz sam już się domyślił. Gimnazjum. Zdaje się, że piąte męskie. Czego Dolinin mógłby tutaj szukać?

Sergiusz Siergiejewicz nie tylko nie wysiadł z ekwipażu, ale zaciągnął firanki.

Ciekawe.

Wokół gimnazjum nic ciekawego się nie działo. Wysokie drzwi otwierały się raz po raz, wpuszczając uczniów i nauczycieli. Woźny zdjął kaszkiet i ukłonił się nisko, witając jakąś nadętą personę — może dyrektora, a może inspektora.

Raz tylko Berdyczowskiemu wydało się, że firaneczka lekko drgnęła, po chwili jednak ktoś ją zaciągnął i zaraz potem ekwipaż ruszył z miejsca.

Po co? Dlaczego Dolinin przyjechał tutaj tak wcześnie? Wszak nie po to, by przyglądać się dzieciom.

Właśnie dzieciom — olśniło nagle Matwieja Bencjonowicza. A ściślej, jednemu z nich. Pelagia mówiła, że przy rozwodzie żona zabrała Sergiuszowi Siergiejewiczowi syna.

Rzecz jak najbardziej zrozumiała. Ojciec wyjeżdżał, stęsknił się. Synowi jednak nie chce się pokazywać — może złożył taką obietnicę, może powodowany dumą, a może nie chce niepokoić chłopca, który zżywa się z nowym ojcem.

Wydawałoby się, nic takiego, zwykły ludzki postęp, Berdyczowski był jednak zaskoczony. Jakoś nie oczekuje się zwykłych ludzkich odruchów od złoczyńcy, który wynajmuje zabójców i przelewa niewinną krew.

A może Dolinin wcale nie jest złoczyńcą?

Prokurator nie miał przecież osiemnastu lat, życie i praca powinny go nauczyć, że nie wszyscy nikczemnicy są tak czarni jak hrabia Czarnokucki, a mimo to był skonfundowany —

żadną miarą nie spodziewał się, że potwór, który umyślił zgładzenie Pelagii, może mieć w sobie coś ludzkiego.

— No cóż, nawet żmija kocha swoje żmijęta — wymamrotał radca stanu, odsuwając od siebie niestosowne wątpliwości.

Miasto rozbudziło się na dobre. Ulice wypełniły się ekwipażami, po chodnikach spieszył do pracy tłum ludzi.

Musieli skrócić dystans, bo inaczej mogli zgubić obiekt obserwacji.

Tak się jednak stało obok pałacu Maryjskiego. Regulujący ruch policjant machnął ręką, czarna kolaska pojechała w kierunku konnego pomnika Mikołaja I, a Berdyczowski utkwiał na moście. Chciał już puścić się biegiem, ale to mogło wywołać sensację: szacowny obywatel w dojrzałym wieku pędzi po jezdni, przytrzymując kapelusz.

Dorożkarz uniósł się na koźle, a potem nawet stanął na siedzeniu.

— I co, skręcił w Morską? — niecierpliwie zapytał prokurator.

— Nie, dał prosto, do Isaakija!

Znowu nie do pracy, nie do ministerstwa!

Wreszcie mogli ruszyć.

48-36 zaciął konia, zręcznie wyminął fiakra, zajechał drogę czterokonnemu omnibusowi i już po minucie turkotał po placu Senackim.

Ściągnął nagle wodze i zatrzymał konie.

— Co takiego?!

Chłopak wskazał głową w bok. Z naprzeciwka jechała powoli znajoma czarna kareta. Zastłonki w oknie odsunięte. W środku pusto.

Wsiadł! Tylko gdzie?

Po prawej — plac i pomnik Piotra. Na wprost — Newa. A wysadzić pasażera na nabrzeżu Angielskim i wrócić kareta by nie zdążyła.

A zatem Dolinin wszedł do jednego z potężnych gmachów, które mieściły się po lewej, między bulwarem a nabrzeżem: albo do Senatu, albo do Świętego Synodu. Raczej do Senatu, najwyższego organu sądowego cesarstwa. Bo co śledczy mógłby robić w Synodzie?

— Wasza wielmożność, gdzie teraz? — zapytał dorożkarz.

— Czekaj tam. — Berdyczowski wskazał ogrodzenie skweru.

Do kogo w Senacie udał się Dolinin zaraz po powrocie z wyjazdu służbowego? Człowiek, którego odwiedza wcześniej niż własnych zwierzchników, jest z pewnością kluczową figurą w tej złowieszczej konspiracji.

Co należy zrobić? Podejść do dyżurnego, który prowadzi księgę gości, i powiedzieć: „Powinien pojawić się u was rzeczywisty radca stanu Dolinin z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zapomniał o ważnych dokumentach, zaczekam tutaj, żeby mu je przekazać”. Urzędnik odpowie: „Jego ekscelencja już przybył, jest u tego a tego”. A gdyby nie powiedział, do kogo poszedł Dolinin, to można zapytać. To natarczywe, rzecz jasna, ale zwykle skuteczne.

A może lepiej poczekać i kontynuować obserwację?

Dręczące wahania prokuratora przerwało czyjeś delikatne pochrząkiwanie.

Matwiej Bencjonowicz odwrócił się zaskoczony. Obok stał uroczyście szwajcar — w trójgraniastym kapeluszu, w mundurze z galonami i w białych pończochach. Nie tyle szwajcar, ile feldmarszałek. Przyglądając się budynkowi Senatu, Berdyczowski nie spostrzegł, jak owa figura podeszła.

— Panie radco, jest pan proszony — powiedział szwajcar-feldmarszałek z uszanowaniem, ale jednocześnie surowo, jak potrafią jedynie słudzy, którzy obracają się przy samym olimpie władzy.

Berdyczowski zwlekał.

— Kto prosi?

— Proszę i już — wyrzekł odźwierny z takim naciskiem, że prokurator o nic już nie pytał.

— Jaśnie panie, czekać? — zapytał 48-36.

— Czekaj.

Matwiej Bencjonowicz tak przygotował się na wizytę w Senacie, który mieścił się najbliżej nabrzeża, że nie od razu połapał się, o co chodzi, kiedy przewodnik pociągnął go delikatnie za rękaw.

— Tutaj zapraszam — wskazał wejście do Świętego Synodu.

Dyżurnemu, który siedział przy drzwiach i leniwie opędział się od much, szwajcar oznajmił z powagą:

— Do Konstantego Pietrowicza. Czekaają.
Z ukłonem poprowadził Berdyczowskiego po schodach.
Do Konstantego Pietrowicza? Och... och, tępak!
Matwiej Bencjonowicz przystanął i palnął się boleśnie w
czoło — to kara za ślepotę i brak czujności. Przewodnik
odwrócił się.
— Muszkę pan przyklapnął? Mamy tu z nimi. Rozmnożył
ty się okropnie.

Jednomysłni

Przewodnik przekazał spokojnego już Matwieja Bencjonowicza leciwemu urzędnikowi, który czekał na schodach. Ów złożył uprzejmy ukłon, ale się nie przedstawił. Gestem wskazał drogę.

W gabinecie przyjęć wielkiego człowieka, którego uważano za najbardziej wpływową osobę w cesarstwie — nie tyle nawet z racji stanowiska, ile z powodu duchowego oddziaływania na monarchę — oczekiwało półtora dziesiątka gości: byli tutaj i generałowie w paradnych mundurach, i dwaj biskupi przy orderach, ale także publiczność całkiem zwyczajna — dama z zaczerwienionymi, zapłakanymi oczyma, podenerwowany student, młody oficerek.

Urzędnik podszedł do sekretarza i wymówił znane już magiczne słowa:

— Do Konstantego Pietrowicza. Oczekują.

Sekretarz uważnie przyjrzał się Berdyczowskiemu, wyfrunął zza stołu i zniknął za wysokimi białymi drzwiami. Po chwili pojawił się znowu.

— Proszą uprzejmie...

Nie wiedząc, gdzie podziąć kapelusz, Matwiej Bencjonowicz położył go bez wahania na biurku sekretarza. Jeśli już taki honor, że wpuszczają poza kolejnością, to niechaj i kapelusz dostąpi zaszczytu.

Zagryzł dolną wargę, a palce prawej ręki zacisnęły się odruchowo w pięść.

Wszedł.

Na samym końcu olbrzymiego gabinetu, przy biurku gigantycznych rozmiarów, siedziały dwie osoby. Jedna twarzą do Berdyczowskiego — i chociaż Matwiej Bencjonowicz nigdy wcześniej oberprokuratora nie widział, to natychmiast rozpoznał znaną z portretów ascetyczną twarz, surowo ściągnięte brwi i nieco odstające uszy.

Drugi mężczyzna, w wyszywanym złotem cywilnym mundurze, siedzący w fotelu, nie od razu spojrzał na gościa. Kiedy zaś odwrócił się, to tylko na chwilę. Potem znowu skierował wzrok na Pobiedina.

Konstanty Pietrowicz, znany ze swej staromodnej petersburskiej uprzejmości, wstał z krzesła. Okazało się, że oberprokurator jest wysoki, ma wyprostowaną sylwetkę, ostre rysy twarzy i głęboko osadzone oczy, które jaśniejają rozumem i siłą. Patrząc w owe niezwykle oczy, Berdyczowski przypomniał sobie, że ludzie niechętni oberprokuratorowi nazywają go Wielkim Inkwizytorem. Nic dziwnego — wypisz, wymaluj.

Dolinin (to on, rzecz jasna, siedział w fotelu) nie podniósł się — przeciwnie, patrzył demonstracyjnie gdzieś w bok, jakby chciał pokazać, że z tym, co się dzieje, nie ma żadnego związku.

Konstanty Pietrowicz odezwał się miękkim, dźwięcznym głosem.

— Dziwi się pan, panie Matwieju? Widzę, że tak. Niepotrzebnie. Sergiusz Siergiejewicz to zbyt cenny dla Rosji człowiek, by pozostawiać go bez ochrony i nadzoru. Wiem, wszystko wiem. Doniesiono mi. I o wczorajszej obserwacji, i o dzisiejszej. Wczoraj nikt pana nie niepokoił — trzeba było ustalić, co z pana za ptaszek. Ale dzisiaj, kiedy już wiemy, postanowiłem z panem porozmawiać. Bez obsłonek i zupełnie otwarcie. — Pobiedin przychylnie, wręcz przyjaźnie, uśmiechnął się cienkimi wargami. — I ja, i Sergiusz Siergiejewicz rozumiemy przyczyny, jakie skłoniły pana do podjęcia samorzutnego śledztwa. Jest pan człowiekiem mądrym, energicznym, odważnym — tak czy owak, dokopałby się pan prawdy, nie dziś, to jutro. Toteż postanowiłem pana zawezwać. Aby spotkać się, by tak rzec, z otwartą przyłbicą. Mnie ukrywać się nie wypada. Zapewne wydaje się

panu, że pan Dolinin jest jakimś niesłychanym złoczyńcą i spiskowcem?

Matwiej Bencjonowicz niczego na to nie odpowiedział, pochylił jedynie głowę, ale wzroku nie spuścił — można by rzec, że się nastroszył.

— Proszę tutaj, naprzeciwko Sergiusza Siergiejewicza — wskazał oberprokurator. — Proszę się nie obawiać, to żaden przestępca, a ja także, jego opiekun i nadzorca, nikomu źle nie życzę, cokolwiek by kłamali na mój temat panowie liberałowie. Czy wie pan, Matwieju Bencjonowiczu, kim jestem? Jestem sługą i ofiarnikiem narodu. A co się tyczy zbrodniczego spisku, jaki z pewnością pan sobie wyobraził, to przyznaję otwarcie: tak, spisek istnieje, tyle że nie zbrodniczy, lecz święty, który stawia sobie za cel ratowanie Rosji, Wiary i Tronu. To taki spisek, w którym powinni uczestniczyć wszyscy wierzący, dobrzy i uczciwi ludzie.

Berdyczowski otworzył już usta, by odpowiedzieć: większość spisków, w tym także zbrodniczych, powołuje się na jakiś uświęcony cel, na przykład na ratowanie ojczyzny, jednakże Konstanty Pietrowicz uniósł władczo dłoń.

— Proszę zaczekać, proszę o nic na razie nie pytać i niczego nie mówić. Wcześniej powinienem panu wiele wyjaśnić. Dla wielkiego zadania, którego się podjąłem, potrzebni mi są pomocnicy. Dobieram ich rok po roku — po okruchu, po kawałeczku i tak już od wielu lat. To ludzie pewni, całkowicie jednomyślni. Oni także ze swej strony dobierają sobie odpowiednich pomocników. Poinformowano mnie, że idąc tropem takiego właśnie pomocnika, wszczął pan śledztwo. Jak że on się zwał?

— Racewicz — po raz pierwszy otworzył usta Dolinin.

Siedział naprzeciwko zawołczanina, ale jakimś cudem na niego nie patrzył. Twarz miał chmurną i jakby nieobecną.

— Tak, tak, dziękuję. Postępując śladami owego Racewicza, natrafił pan, panie Berdyczowski, na Sergiusza Siergiejewicza, jednego z moich współpracowników — niedawno pozyskanego, ale już zasłużonego. I wie pan, co panu powiem?

Matwiej Bencjonowicz nie odpowiedział na to retoryczne pytanie, tym bardziej że nie miał pojęcia, w jakim kierunku potoczy się owa zdumiewająca rozmowa.

— Wierzę w Opatrzność — oświadczył uroczyście Pobiedin. — To Ona pana tutaj przywiodła. Powiedziałem Sergiuszowi Siergiejewiczowi: „Tego prokuratora można, rzecz jasna, usunąć, żeby nie zaszkodził naszej sprawie. Ale proszę przyjrzeć się jego działaniom. Ów Berdyczowski postępuje konsekwentnie, mądrze, bezinteresownie. Czyż to nie te właściwości, jakie cenimy w ludziach? Porozmawiam z nim jak dobry pasterz. Popatrz mi w oczy, ja jemu, i bardzo możliwe, że zyskamy kolejnego współwyznawcę”.

Przy słowie „usunąć” Berdyczowski zadrżał lekko i dalszej części wypowiedzi oberprokuratora nie wysłuchał zbyt uważnie — w głowie zatrzepotało paniczne myślatko: teraz, w tej właśnie chwili, decyduje się twój los.

Zdaje się, że Konstanty Pietrowicz niewłaściwie zrozumiał skrępowanie rozmówcy.

— Chyba słyszał pan, jakobym był judofobem, wrogiem Żydów? To nieprawda. Nigdy nie klasyfikuję ludzi wedle przynależności narodowej. Nie jestem wrogiem Żydów, ale żydowskiej wiary, dlatego że to trujący kąkol, który wyrasta ze wspólnego z chrześcijaństwem korzenia i bywa stokroć bardziej niebezpieczny niż islam, buddyzm albo pogaństwo. Najgorszym wrogiem staje się nie obcy, ale ten, co jest ci bliski! I dlatego Żyda, który odrzucił fałszywą wiarę ojców i przyjął Chrystusa, cenię wyżej niż Rosjanina, który tkwi w łonie prawdziwej wiary z racji urodzenia. Widzę wszakże, iż chciałby pan mnie o coś zapytać. Teraz można. Proszę pytać.

— Ekscelencjo... — zaczął Matwiej Bencjonowicz, starając się opanować drżenie głosu.

— Konstanty Pietrowiczu — poprawił go łagodnie oberprokurator.

— Dobrze... Konstanty Pietrowiczu, nie całkiem zrozumiałem to o spisku. Czy to w przenośni, czy też...

— W znaczeniu jak najbardziej bezpośrednim. Tyle że zazwyczaj spisek zawiązywany bywa po to, by obalić istniejący ustroj, tymczasem mój spisek istnieje po to, by go uratować. Nasz kraj, przepełniony cierpieniem, znalazł się na skraju przepaści. Jeśli się zachwieje i upadnie w otchłań — wszystko skończone. Ciągnie go ku zgubie potężna szatańska siła, a mało jest takich, którzy by z nią walczyli. Brak więzi, upa-

dek obyczajów, a najbardziej niewiara — oto gogolowska trójka, która wie dzie Rosję nad urwisko, a bliskie jest ono, zaprawdę bliskie! Buchają stamtąd ogień i siarka!

Przejście od spokojnego racjonalizmu do proroczego patosu dokonało się u Konstantego Pietrowicza w sposób naturalny, bez jakiegokolwiek wysiłku. Niewątpliwie oberprokurator miał nieprzeciętny talent oratorski. Kiedy zaś rozognione spojrzenie przenikliwych oczu i cały ładunek duchowej energii kierowały się na jednego tylko słuchacza, obrona przed takim naporem była niemożliwa. Zresztą on nie ma potrzeby występować wobec tłumów, pomyślał Berdyczowski. Wystarczy mu audytorium jednoosobowe, albowiem osobą tą jest samowładca Wszechrusi.

I Matwiej Bencjonowicz mimo woli poczuł się wyróżniony. Jakże to, sam wielki Pobiedin traci dla niego, takiego pionka, cały zapal i żar swego państwowotwórczego ducha?

Próbując jednak nie poddawać się magnetyzmowi oberprokuratora, radca stanu powiedział:

— Proszę mi wybaczyć, ale nie do końca rozumiem... — Tu zaplątał się i zaczął raz jeszcze. W tym przypadku słowa trzeba było dobierać bardzo ostrożnie. — Jeśli przyjęta przeze mnie wersja jest słuszna, to przyczyną wszystkich... działań pana Dolinina był zamiar usunięcia sekciarskiego proroka Manujły. Aby osiągnąć ów cel, pan rzeczywisty radca stanu nie cofnął się przed niczym. Trzeba było pozbyć się Bogu ducha winnej mniszki — proszę bardzo. Nawet wiejskiej dziewczynki nie było mu żal!

— Co to za dziewczynka? — przerwał mu Pobiedin, spojrzawszy z niezadowoleniem na Sergiusza Siergiejewicza. — O mniszce wiem, lecz o dziewczynce — niczego.

Dolinin, poruszony, odpowiedział:

— To Racewicz. Zawodowiec, ale zbyt zapalczywy, a ponadto okazało się, że ma zboczone nawyki. Już mówiłem: to był mój błąd, że włączyłem go do naszej sprawy.

— Błędy mogą przydarzyć się każdemu — westchnął oberprokurator. — Bóg wybaczy, jeśli pomyłka wynikała ze szczerych intencji. Proszę mówić dalej, Matwieju Bencjonowiczu.

— A zatem chciałbym zapytać... Co jest w nim takiego szczególnego, w tym szalbierzu Manujle? Dlaczego z jego powodu trzeba było wszystkie te... zrobić to wszystko?

Konstanty Pietrowicz skinął głową i niezwykle poważnie, wręcz uroczyście odrzekł:

— W istocie jest pan bardzo mądrym człowiekiem. Dostrzegł samo sedno. Niechże pan zatem wie, że persona, o której pan wspomniał, niesie w sobie niebezpieczeństwo dla Rosji, a nawet więcej — dla całego chrześcijaństwa.

— Kto, Manujła? — zdumiał się Berdyczowski. — Proszę wybaczyć, ekscelencjo! Czy to nie przesada?

Oberprokurator uśmiechnął się ze smutkiem.

— Jeszcze nie nauczył się pan wierzyć mi tak, jak wierzą moi stronnicy. Mylić się może mój umysł albo serce, ale nigdy nie mylą się jednocześnie. To dar od Boga. Moje posłannictwo. Proszę mi wierzyć, Matwieju Bencjonowiczu, widzę o wiele dalej niż inni ludzie i otwiera się przede mną to, co przed nimi jest zamknięte.

Pobiedin patrzył Berdyczowskiemu prosto w oczy i podkreślał każde słowo. Zawołński prokurator słuchał jak zaczarowany.

— Każdy, kto zetknie się z Manujłą, zaraża się śmiertelną chorobą niewiary. Rozmawiałem z nim, sam poczułem tę zniewalającą siłę i uratowałem się tylko dzięki modlitwie. Czy wie pan, kim on jest? — Konstanty Pietrowicz zaczął nagle przemawiać straszliwym szeptem.

— Kim?

— Antychrystem.

Wypowiedział to słowo cicho, lecz z naciskiem.

Berdyczowski zamrugał przerażony.

Masz ci los! Najbardziej wpływowy człowiek w państwie, oberprokurator Najświętszego Synodu — to szaleniec! Biedna Rosja!

— Nie jestem szalony i nie jestem religijnym fanatykiem. — Oberprokurator odczytał jego myśli. — Wierzę wszakże w Boga. Od dawna wiedziałem, że pojawi się Nieczysty, od dawna go oczekiwałem, wedle wszelkich zapowiadanych oznak. Okazuje się, że już tutaj jest. Nie wiedzieć skąd się wziął, włóczy się po Rusi, przewąchuje, przepatruje bez po-

śpiechu — dano mu na to trzy i pół roku. Powiedziane jest wszak w Objawieniu świętego Jana: „I dane jej są usta, mówiące wielkie rzeczy i bluźnierstwa, i dano jej moc czynić czterdzieści i dwa miesiące. I otworzyła usta swoje na bluźnierstwa przeciwko Bogu, aby bluźniła imię jego i przybytek jego, i te, którzy mieszkają na niebie. I dano jej walkę czynić z świętymi i zwyciężać je. I dano jej władzę nad wszelkim pokoleniem i ludem, i językiem, i narodem. I kłaniali się jej wszyscy, którzy mieszkają na ziemi, których imiona nie są napisane w księgach żywota Baranka, który zabity jest od założenia świata”.

Owe groźne, wstrząsające słowa poruszyły Matwieja Bencjonowicza. Już nie widział w Pobiedinie szaleńca, ale też wciąż nie był skłonny uwierzyć w to, że żalosny włóczęga Manujła to właśnie owa apokaliptyczna Bestia.

— Wiem — westchnął Konstanty Pietrowicz. — Panu, człowiekowi praktycznego umysłu, trudno w coś takiego uwierzyć. Inna sprawa czytać o Antychryście w literaturze teologicznej, a zupełnie inna wyobrazić go sobie wśród ludzi w naszym wieku pary i elektryczności, i to jeszcze w Rosji. Ale powiem panu. — Oberprokurator ponownie się uniósł. — Właśnie w Rosji. W tym powołanie i przeznaczenie naszego kraju: aby stał się polem bitwy między Światłem a Ciemnością! Bestia wybrała Rosję dlatego, że to szczególnie miejsce: nieszczęsna jest najdalej od Boga, a jednocześnie ze wszystkich krain Mu najbliższa! Ponadto dlatego, że od dawna wszystko jest u nas chwiejne — i porządki, i wiara. Nasze państwo to najśłabsze ogniwo w łańcuchu państw chrześcijańskich. Antychryst spostrzegł to i przygotował natarcie. Wiem, jakie to będzie uderzenie — sam mi się do tego przyznał. Pan i Sergiusz Siergiejewicz nie musicie o tym wiedzieć, niechaj ciężar tej wiedzy spoczywa wyłącznie na mnie. Powiem tylko jedno: to cios, po którym nasze państwo się nie podniesie. Bo czymże jest Rosja bez wiary? Dębem bez korzeni. Wieżą bez fundamentów. Obali się i rozsypie w prc — Antychryst? — niepewnie powtórzył Berdyczowski.

— Tak. Przy czym nie alegoryczny, jak na przykład Napoleon Bonaparte, ale najbardziej dosłowny. Tyle że bez ro-

gów i ogona, za to z łagodną, wzruszającą mową i ujmującym spojrzeniem. Wyczuwam ludzi, znam ich. I pewne jest: Manujła — to nie człowiek.

To, jak zwyczajnie, bez emocji oberprokurator wymówił to zdanie, przypawiło Matwieja Bencjonowicza o gęsią skórkę.

— A siostra Pelagia? — zaproponował słabym głosem. — Czy w czymkolwiek zawiniła?

Oberprokurator odrzekł surowo:

— W każdym państwie stosuje się karę śmierci. W krajach chrześcijańskich odwołuje się do niej w dwóch przypadkach: albo kiedy ktoś najciężej naruszył przyjęte obyczaje, albo kiedy stanowi poważne zagrożenie dla społeczeństwa. W pierwszym przypadku to niepoprawni kryminaliści, w drugim — ci, którzy kwestionują zasady ustrojowe.

— Ale Pelagia nie była ani morderczynią, ani rewolucjonistką!

— Niemniej jednak stanowi ogromne niebezpieczeństwo dla naszej sprawy, a to jeszcze gorsze niż zagrożenie społeczne. To można w końcu wybaczyć, sam Chrystus nam to zalecił. — Tu mięśnie twarzy Pobiedina zdrząły, ale natychmiast się opanował. — A kobieta nie zrozumie mnie nigdy, bo dla niej szczegóły ważniejsze są niż Cel. Pan i ja poświęcimy jednego człowieka gwoli uratowania setek tysięcy i milionów, nawet gdyby ów człowiek był nam najdroższy i gdyby krwawiły nasze serca. Kobieta nigdy by na to nie poszła, a owe miliony zginęłyby razem z owym nieszczęśnikiem, którego pożałowała. Poznałem pańską Pelagię i wiem, o czym mówię. Nie będzie chciała i nie będzie potrafiła milczeć. Bardzo żałuję, że jest skazana i że nic jej nie uratuje. Wzniosła się już nad nią karząca prawica. Bardzo boleję nad tą niezwykłą kobietą, a jeszcze bardziej Sergiusz Siergiejewicz, bo zdążył ją pokochać.

Berdyczowski spojrział przerażony na Dolinina, temu jednak nie drgnął ani jeden mięsień twarzy.

— Razem będziemy jej żałować — zakończył oberprokurator. — I niechaj pociechą dla nas będzie, że połączy się z Panem w Ziemi Świętej.

Zrozpaczony Matwiej Bencjonowicz z trudem powstrzymał jęk. Wiedzą, o wszystkim wiedzą!

— Tak, wiemy — potwierdził Konstanty Pietrowicz, który opanował sztukę przenikania myśli rozmówcy. — Na razie żyje, bo tak trzeba. Wkrótce jednak, i to niedługo, jej zabraknie. Innego wyjścia, niestety, nie ma. Niekiedy ludzie jednomyślni podejmują z bólem i goryczą podobnie trudne decyzje — i nie zawsze chodzi o zwykłą mniszkę, czasami też o ludzi znacznie bardziej zasłużonych.

Berdyczowskiemu przypomniały się pogłoski o nagłej śmierci młodego generała Skobielewa, który jakoby został skazany przez tajną organizację monarchistyczną pod nazwą „Święta Drużyna”.

— „Święta Drużyna”...? — wyrzekł niepewnie.

Pobiedin skrzywił się.

— My nie mamy nazwy. A „Święta Drużyna” to była dziecinada, głupi pomysł nadwornych karierowiczów. My zaś nie jesteśmy karierowiczami, chociaż każdy z moich pomocników zajmuje odpowiedzialne stanowisko, na którym może przynieść ojczyźnie maksymalny pożytek. Zadbam również o pański los, może pan być pewien, ale chciałbym, żeby przyłączył się pan do nas nie z uwagi na karierę, tylko z przekonania... Tak właśnie. — Oberprokurator popatrzył uważnie na radcę stanu, Berdyczowski zaś aż skulił się pod tym przenikliwym spojrzeniem. — Powiem panu coś, o czym wie jedynie krąg moich najbliższych przyjaciół. Opracowaliśmy plan przedsięwzięć nadzwyczajnych na wypadek, gdyby groźba wybuchu rewolucyjnego stała się realna. Całe nieszczęście polega na tym, że i władze, i społeczeństwo są niefrasobliwie niczym dzieci. Ludzie zwykli lekceważyć zagrożenie, jakie niosą w sobie idee i teorie. Dopóki nie popłynie krew. Ale my otworzymy społeczeństwu oczy! Przejmiemy inicjatywę! Dziś w Rosji wrzód terroryzmu wypalony został żelazem, ale tylko chwilowo. Kiedy nowa fala rewolucyjnych gwałtów stanie się nieunikniona, my ją wyprzedzimy. Sami wprowadzi my terror.

— Będziecie zabijali rewolucjonistów?

— To nie ma sensu. W ten sposób zapewnimy im tylko współczucie. Nie, zabijemy któregoś spośród powszechnie szanowanych dygnitarzy. Jeśli zajdzie potrzeba, nie jednego. I przedstawimy to jako początek rewolucyjnego terronu.

Wyberzemy dostojnego, szacownego człowieka — takiego, żeby wszyscy się zatrwożyli... Proszę zaczekać, Matwieju Bencjonowiczu, proszę się nie wzdragać. Nie powiedziałem panu jeszcze wszystkiego. Jeśli mała będzie zabójstwa ministra albo generała-gubernatora, wysadzimy dworce, wysadzimy domy mieszkalne. Niestłchana prowokacja, powie pan zapewne. Tak, odpowiem panu. Niestłchana i ohydna. Czy jednak czytał pan *Katechizm rewolucyjny* Nieczajewa? Nasi wrogowie dopuszczają i prowokację, i okrucieństwo. A zatem i my mamy prawo wykorzystać tę broń. Błagam Boga, aby do tego nie doszło. — Pobiedin przeżegnał się gwałtownie. — Żeby jednak nie uważał mnie pan za piekielne nasienie, powiem panu coś jeszcze... Zanim zaczną się zamachy, zginie jeszcze jeden nader wysoko postawiony dostojnik, którego szanuje i słucha sam monarcha. Niestety, nie słucha wystarczająco uważnie...

— Pan?! — wykrzyknął Berdyczowski.

— Tak. I nie jest to ostatnia ofiara, jaką gotów jestem złożyć dla ludzkości! — zawołał z bólem Konstanty Pietrowicz, a z jego oczu popłynęły łzy. — Bo czym jest poświęcenie życia? Głupstwem! Ja zaś składał w ofierze coś znacznie bardziej cennego — własną nieśmiertelną duszę! Oto najwyższa cena, jaką w razie konieczności winien zapłacić przywódca duchowy gwoli szczęścia ludzkości! Czy sądzi pan, że nie rozumiem, jakie ściągają na siebie przekleństwo? Nie ma służby, wymagającej większej ofiary niż moja. Powiem rzecz obrazoburczą, wręcz straszłą: moja ofiara stanie wyżej niż Jezusowa, albowiem On swoją duszę uchronił. Jezus wzywał do kochania bliźniego jak siebie samego, ja zaś kocham bliźnich bardziej niż siebie. Dla nich nie żal mi będzie nawet mojej nieśmiertelnej duszy. To prawda, nakazując zabijanie niewinnych, ale niebezpiecznych dla naszej sprawy ludzi, gubię duszę! Ale przecież to wszystko gwoli miłości, gwoli prawdy, gwoli ludzkości!

Oczy oberprokuratora były skierowane w tej chwili już nie na Berdyczowskiego, ale ku górze — na sufit, pośrodku którego poblyskiwał wspaniały kryształowy żyrandol.

On nie mówi tego do mnie, ale do Pana Boga, zrozumiał Matwiej Bencjonowicz. Zdaje się, wciąż ma nadzieję, że Bóg mu odpuści.

Konstanty Pietrowicz otarł chustką łzy i zwrócił się do Berdyczowskiego — surowo i wymagająco, na „ty”:

— Jeśli gotów jesteś iść ze mną tą drogą krzyżową, bierz krzyż na ramiona i chodźmy. Jeśli nie — odejść, nie przeszkadzaj! Co zatem? Przyłączasz się czy odchodzisz?

— Przyłączam się — cicho, ale pewnie odrzekł Berdyczowski po ledwie dostrzegalnym wahaniu.

Spacer jego ekscelencji

Z siedziby Najświętszego Synodu Matwiej Bencjonowicz wyszedł po godzinie — i już nie jako radca stanu, tylko jako osobistość czwartej, generalskiej rangi. Awans dokonał się z niewiarygodną szybkością i łatwością. Konstanty Pietrowicz zatelefonował do ministra sprawiedliwości, rozmawiał z nim nie dłużej niż trzy minuty, a potem połączył się z Pałacem i konferował z Kimś Takim, że Berdyczowskiemu spocily się dłonie. „Człowiek dla państwa wyjątkowo przydatny, rękę za niego całkowicie” — oto co powiedziano o nikomu nieznanym zawołczaninie, i do kogo to powiedziano!

Urzędnicy, którzy nawet dotrwali do odpowiedniego terminu, oczekują na awans długimi miesiącami, a tu wszystko odbyło się w mgnieniu oka, co więcej, rozporządzenie miało być wystawione natychmiast, z dzisiejszą datą.

Matwiej Bencjonowicz uzyskał obietnicę szybkiego awansu na odpowiedzialne stanowisko. Tymczasem oberprokurator znajdzie dla nowego wyznawcy stosowne miejsce (potrzeba na to tygodnia, dwóch), i to koniecznie w stolicy. Konstanty Pietrowicz nie radził wracać do Zawołzka. „Czy potrzebne są panu dodatkowe rozmowy z pańskim duchowym ojcem? — powiedział, po raz kolejny demonstrując, że wie o wszystkim. — Zawołzki gubernator dowie się o tym z depeszy, a pańską rodzinę przeniesiemy. W ciągu najwyżej dwóch dni ministerstwo przygotowuje dla was mieszkanie całkowicie umeblowane, tak więc kłopoty z urządzaniem się

Tymczasem nowo upieczony ekscelencja o sprawach bytowych nawet nie myślał.

Wyszedł z Synodu na plac. Zmrużył oczy na ostre słońce, nałożył kapelusz.

Przy ogrodzeniu czekała kolaska. 48-36 wpatrywał się pilnie w pogromcę austro-węgierskiego wywiadu i czekał na znak. Zawahawszy się nieco, Matwiej Bencjonowicz podszedł do niego i powiedział leniwie:

— Przewieź mnie, braciszku.

— Gdzie pan każe?

— Doprawdy nie wiem, może bulwarami.

Wzdłuż Newy jechało się wprost wspaniale. Słońce, co prawda, schowało się za chmurami, a z nieba poleciał drobny deszczyk, ale pasażer podniósł skórzaną osłonę, co pozwoliło mu odgrodzić się od świata. Potem znowu przejaśniło się i osłonę trzeba było opuścić.

Jego ekscelencja jechał sobie, uśmiechając się do nieba, do rzeki, do słonecznych zajęczków, które podskakiwały na ścianach domów.

— Skręcaj nad Mojkę — polecił. — Albo nie, zaczekaj. Lepiej się przejdę. Jak się nazywasz? Drugi dzień jeździmy, a nie zapytałem.

— Matwiej — odpowiedział dorożkarz.

Berdyczowski nieco się zdziwił, ale nie za bardzo, bo dzisiejszy ranek pozbawił go niemal całkowicie tej zdolności.

— Piśmienny?

— Tak jest.

— Zuch. Masz tutaj za swoje starania.

Do przepastnej kieszeni dorożkarskiego kaftana wsunął kilka papierków.

Woźnica nawet nie podziękował — tak był poruszony.

— I to wszystko, wasza wielmożność, niczego więcej nie potrzeba?

Nawet zadrżał mu przy tym głos.

— Nie „wielmożność”, tylko „ekscelencja” — poprawił z godnością Matwiej Bencjonowicz. — Ja ciebie, 48-36, od szukam, kiedy będzie trzeba.

Poklepał zadowolonego chłopaka po ramieniu i ruszył dalej na piechotę.

Był nieco przygnębiony, ale jednocześnie spokojny. Bóg jeden wie, o czym myślał były zawołzski prokurator, idąc lek-

kim spacerowym krokiem po ulicy Błagowieszczenskiej. Raz tylko, na brzegu Kanału Admiralicji, zapatrzył się na bonę, która prowadziła dwie malutkie dziewczynki, i wymamrotał coś, co nie całkiem było zrozumiałe: „I co, czeka je lepszy los, jeśli tatuś będzie szubrawcem?”

Na ulicy Pocztowej zaś w odpowiedzi na jakieś swoje myśli wyszeptał: „Prościutko, a przy tym elegancko. Etiuda Berdyczowskiego”. Chrząknął z zadowoleniem.

Gdy wchodził po schodach na pocztę, choć pozbawiony słuchu, nucił pod nosem jakąś nierozpoznawalną melodię bez słów.

Szybko wypełnił blankiet telegramu: „Pilnie odszukać P. Jej życie zagrożone. Berdyczowski”.

Wręczył telegraficznie w okienku, podyktował adres:

— Zawołżsk, siedziba archijereja, do przewielebnego Mitrofaniusza, „blitzem”.

Zapłacił za depeszę rubel jedenaście kopiejek.

Wyszedłszy na zewnątrz, jego ekscelencja zatrzymał się chwilę na schodach. Powiedział cicho:

— No cóż, skończone. Mogło wypaść lepiej, ale dobrze jest, jak było...

Matwiej Bencjonowicz miał najwyraźniej nieprzepartą ochotę z kimś porozmawiać, skoro jednak nie było rozmówcy, poprowadził dialog z samym sobą. Ale nie wszystko wypowiedział głośno — jedynie jakieś strzępy myśli bez wyraźnego logicznego związku.

Wymamrotał na przykład:

— Rubel jedenaście kopiejek. To ci dopiero cena.

Roześmiał się cicho.

Popatrzył w lewo, w prawo. Ulica pełna była przechodniów.

— Czyżby tutaj, tak po prostu? — zapytał nie wiadomo kogo.

Skulił się, ale zaraz uśmiechnął się zażenowany. Skręcił w prawo.

Następne zdanie było jeszcze dziwniejsze:

— Ciekawe, czy dojdę do placu?

Ruszył niespiesznie w stronę soboru Isaakijewskiego.

Złożył ręce na piersi; podziwiał lśniąca kostkę na ulicy, miedziany pobłysk kopyły, krążące po niebie stado gołębi.

Wyszeptał:

— *Merci*. To piękne.

Wydawało się, że Matwiej Bencjonowicz czeka na coś albo może na kogoś. Potwierdzałyby to także jego kolejna uwaga:

— No, ile można? Jest to co najmniej niegrzeczne.

Co mianowicie uważał za niegrzeczne, tego się nie dowiemy, ponieważ w tym właśnie momencie na rzeczywistego radcę stanu wpadł gwałtownie mocno zbudowany, spieszący gdzieś młody człowiek. Osilek (miał na sobie prążkowany garnitur) uprzejmie zresztą przeprosił i nawet podtrzymał za ramię osłabłego nagle Matwieja Bencjonowicza. Uniósł słomkowy kapelusz i potruchtał dalej.

Berdyczowski zaś chwiał się przez chwilę z uśmiechem na ustach, po czym nagle zwałił się na chodnik. Uśmiech zastygł mu na twarzy, a piwne oczy patrzyły spokojnie gdzieś w bok, na tęczową kałużę.

Wokół niego zebrał się natychmiast tłumek — kręcili się, nawoływali, łapali za głowy, młody siłacz zaś wchodził tymczasem na pocztę drzwiami dla personelu.

Przy okienku telegraficznym czekał już na niego urzędnik.

— Dokąd? — zapytał prążkowany.

Przekazano mu telegram, adresowany do Zawołńska.

Treść prążkowanemu była najwyraźniej znana, bo na depeszę nawet nie spojrzął — złożył ją jedynie skrupulatnie i wsunął do kieszeni.

W pobliżu ogrodu i w samym ogrodzie

Za Bramą Jafską Pelagia poleciła skrócić w lewo. Stare miasto objechali od południa, wzdłuż Doliny Cedronu. Po prawej białe nagrobki cmentarza żydowskiego na Górze Oliwnej, z daleka przypominającego ogromne kamienne miasto. Polina Andriejewna ledwie zerknęła na ową słynną nekropolię, której mieszkańcy pierwsi powołani zostaną na Sąd Ostateczny. Umęczona podróżniczka nie myślała teraz o świętych miejscach i zabytkach. Okrągły księżyc stał na niebie już dosyć wysoko, a mniszka bardzo bała się spóźnić.

— Jeśli w ciągu pięciu minut nie będziemy tam, gdzie potrzebuję, dwustu franków nie dostaniesz. — Szturchnęła woźnicę pięścią w plecy.

— A żenisz się? — Salach się odwrócił. — Powiedziałaś „zobaczymy”.

— Powiedziałam ci, że mam już Oblubieńca i innego nie potrzebuję. Popędzaj konie, bo nie dostaniesz pieniędzy. Palestyńczyk obraził się, konie jednak popędził. Chantur zagruchotał po moście i skręcił w prawo w uliczkę, która prowadziła stromo do góry.

— Masz tu swój ogród — wyburczał Salach, wskazując ogrodzenie i furtkę. — Pięć minut nie było.

Z mocno bijącym sercem Polina Andriejewna patrzyła na wejście do najświętszego spośród wszystkich ziemskich ogrodów.

Na pierwszy rzut oka nie było w nim niczego szczególnego: ciemne korony drzew, za nimi zaś kopuła cerkwi.

Czy Emmanuel już tam jest, czy jeszcze nie?

A może pomyliła się całkowicie?

— Zaczekaj tutaj — szepnęła Pelagia i weszła przez furtkę.

Jakiż on malutki! Od krańca do krańca ledwie pięćdziesiąt kroków, nie więcej. Pośrodku zapomniana studnia, wokół niej dziesiątek powykrzywianych, wężlastych drzew. Powiadają, że oliwki są nieśmiertelne, w każdym razie mogą żyć i dwa, i trzy tysiące lat. To by znaczyło, że niektóre z tych drzew słyszały modlitwę w Ogrójcu? Na tę myśl mniszce zamarło serce.

Ucisk w piersi powiększył się jeszcze bardziej, kiedy Pelagia spostrzegła, że oprócz niej nie ma w ogrodzie nikogo innego. Księżyc świecił tak ostro, że ukryć się nie było można.

„Nie wolno popadać w zwątpienie — nakazała sobie Polina Andriejewna. — Możliwe, że przyszłam zbyt wcześnie”.

Wyszła z powrotem na ulicę i powiedziała do Salacha:

— Zjedźmy tam. Zaczekamy.

Skierował konie w dół, bliżej drogi. W zwietrzałym murze była tam wyrwa, nad którą zwisały gęste gałęzie drzew, tak że wóz można było dostrzec tylko wówczas, kiedy wiedziało się, że tam stoi.

Salach zapytał szeptem:

— Na kogo czekamy, co?

Nie odpowiedziała, machnęła tylko ręką, żeby zamilkł.

Dziwna rzecz — w tym momencie Pelagia nie miała żadnych wątpliwości, że Emmanuel przyjdzie. Ale nie zmniejszyło to napięcia, wręcz przeciwnie, wzmocniło je.

Usta mniszki poruszały się w bezgłośniejszej modlitwie: „Jako miłe przybytki twoje, Panie zastępów: żąda i ustaje dusza moja do pałaców Pańskich. Serce moje i ciało moje rozweseliły się w Bogu żywym”. Modlitwa rodziła się sama, bez jakiegokolwiek udziału świadomości. I dopiero kiedy Pelagia doszła do słów: „Albowiem lepszy jest jeden dzień w pałacach twoich niż tysiące: obrałam być najpodlejszą w domu Boga mojego niżli mieszkać w przybytkach niezbożnych”, zrozumiała, że wznosi błagania o przeniesienie z życia doczesnego w wiekuiste.

Kiedy to do niej dotarło, zadrżała.

Dlaczego dusza wybuchła nagle psalmem przeznaczonym dla człowieka, który stoi na progu wieczności?

Zanim jednak siostra Pelagia zdołała odmówić inną, mniej poruszającą modlitwę, w wyboisty zaułek skręcił z drogi człowiek w powłóczyściej szacie i z kosturem w ręku.

To było wszystko, co zdążyła spostrzec mniszka, albowiem w następnej chwili księżyc skrył się za niewielką chmurą i zapadła absolutna ciemność.

Wędrowiec przeszedł obok nich bardzo blisko, może o jakieś pięć kroków, zakonnica nie była jednak pewna, czy to jest ten, na którego czeka.

Patrzyła w ślad za nim — skręci do ogrodu czy też nie.

Skręcił.

A zatem to on!

Tu księżyc zdążył wyrwać się z chwilowej niewoli i Pelagia dostrzegła zmierzwione włosy do ramion, białą koszulę i ciemny pas.

— To on! — zawołała głośno i już chciała rzucić się za nim do ogrodu, gdy nagle zdarzyła się rzecz nieprzewidziana.

Ktoś pochwycił ją za rękę i ostro szarpnął.

I Pelagia, i Salach tak pilnie wpatrywali się w plecy człowieka z kosturem, że przegapili innego, który się do nich podkraśli.

Był to mężczyzna o przerażającym wyglądzie. Brodaty, barczysty, o płaskim, bezwzględny obliczu. Zza ramienia sterczała mu kolba karabinu. Na głowie miał arabską chustę.

Nieznajomy jedną ręką trzymał za kołnierz Salacha, drugą zaś Pelagię za łokieć.

— Co za jedni? — wychrypiał po rosyjsku. — Dlaczego się kryjecie? Chcecie go skrzywdzić?

Zdaje się, że dopiero teraz zorientował się, że ma przed sobą kobietę, bo puścił jej łokieć, w zamian za to jednak pochwycił Palestyńczyka obydwoma rękami za kołnierz, i to tak, że niemal oderwał biedaka od ziemi.

— Ruscy, my Ruscy — wybełkotał przerażony Salach.

— Co z tego, że Ruscy! — ryknął straszny człowiek. — Jego wszyscy chcą zgubić, Rosjanie też! Po co wy tutaj? Chcieliście go przypilnować? Mówcie prawdę, bo inaczej...

Tu machnął tak potężną pięścią, że biedny Palestyńczyk zamknął oczy. Siłacz bez żadnego wysiłku trzymał go w powietrzu jednym swoim łapskiem.

Kiedy minął wstrząs, Pelagia powiedziała pospiesznie:

— Tak, czekaliśmy na Emmanuela. Muszę z nim porozmawiać, mam dla niego ważne wiadomości. A pan... kim pan jest? Pewnie jednym ze „znajd”, tak?

— „Znajdy” to ci, co szukają zbawienia duszy — z niejakim lekceważeniem powiedział brodac. — A ja muszę ratować jego. Moja dusza, no dobrze, niechaj tam... Byle jego zachować przy życiu. A ty to kto?

— Siostra Pelagia, mniszka.

Reakcja na tę, zdawałoby się, całkowicie niewinną prezentację była niesłychana. Nieznajomy cisnął Salachem o ziemię i chwycił zakonnice za szyję.

— Mniszka! Wrona! To ten kościej cię przysłał? No tak, to on, któż by jeszcze? Mów, bo poderżnę ci gardło!

Przed nosem zmartwiałej Pelagii błysnęło ostrze noża.

— Jaki „on”? — wydobyła z siebie na wpół podduszona siostra, która przestała cokolwiek rozumieć.

— Nie kręć, żmijo! To ten najgłówniejszy nad waszym złym ziele naczelnik! Wszyscy dla niego szpiegujecie, gotówicie wleźć dla niego w każdą dziurę!

„Najgłówniejszy naczelnik nad złym ziele” — pewnie mowa tu o duchowieństwie?

— Ma pan na myśli oberprokuratora Pobiedina?

— Właśnie! — zatryumfował brodaty. — Przyznałaś się! Leż! — Kopnął Salacha, który próbował usiąść. — Już raz uratowałem Manujłę przed tym starym upiorem i zrobię to znowu! — Szerokie usta rozciągnęły się w krzywym uśmiechu. — I co, może Konstanty Pietrowicz modli się za sługę bożego Trofima Dubienkę?

— Za kogo? — wydobyła z siebie Pelagia.

— Co, nie powiedział ci, jak to świętego człowieka kłamliwie oskarżył o kradzież i wsadził do ciupy? A mnie przykazał go pilnować. Ja przy Konstantym Pietrowiczu tyle lat służyłem jak pies łańcuchowy! I zdechłbym jako ten pies, nie mógłbym stać się człowiekiem. „Ty — powiada — Trofimuszka, przypilnuj tego bandytę i podżegacza, to człowiek niebezpieczny. Policjantom nie dowierzam. Pilnuj go do jutra w cyrkule i nie pozwalaj mu z nikim rozmawiać, rankiem zaś zdobędę nakaz przeniesienia go do Szlisselburga”.

Pelagia przypominała sobie opowieść Sergiusza Siergieje-wicza o złotym zegarku, który został skradziony oberproku-ratorowi. Oto co wydarzyło się naprawdę! Nie było żadnej kradzieży, Konstanty Pietrowicz zaś nie wybaczył rzekome-mu złodziejaskowi, wręcz przeciwnie. Bystry oberprokura-tor dostrzegł w wędrownym proroku jakieś istotne dla siebie zagrożenie. Na początek posadził go w policyjnym cyrkułe i posłał tam zaufanego człowieka, a potem postanowił za-mknąć go na dobre — możliwości Pobiedina są znane.

— Nie pozwolił pan Emmanuelowi z innymi strażnikami pogadać, ale sam pan sobie z nim porozmawiał, tak? — Nie tyle było to pytanie, ile stwierdzenie. — Proszę puścić moje gardło. Nie jestem pana wrogiem.

— Porozmawiałem. Nigdy w życiu nikt ze mną tak nie mówił. Konstanty Pietrowicz wielki spec od mielenia języ-kiem, ale jego słowa naprzeciwko Manuńłowych to czysta plewa.

Palce Trofima Dubienki pozostały na szyi mniszki, ale nie ścisnęły jej już tak mocno, a ręka z nożem opadła.

— I wyprowadził pan aresztanta z cyrkułu? Ale jak to się panu udało?

— A zwyczajnie. Nocną porą siedzi tam przy drzwiach tylko jeden mundurowy. Dałem mu w kark i po krzyku. A potem mówię Manujle: pójdę za tobą na kraj świata, bo ty nie umiesz się obronić. Sam przepadniesz, a trzeba ci żyć długo, mówić do ludzi. Ale mnie nie wziął. Nie trzeba, powiada, i nie należy się. Muszę sam. Nie bój się o mnie, powiada — strzeże mnie Bóg. Nie chce, to nie, na siłę się nie pchałem. Nie poszedłem z nim, ale poszedłem za nim. Gdzie on, tam i ja. Bóg to może ustrzeże albo i nie, a Trofim Dubienko ukrzyw-dzić nie da na pewno. Który to już miesiąc chodzę za Manuj-łą! Po Rosyi rodzonej, przez morze, po Ziemi Świętej. To człowiek błogosławiony, nijakiej podejrzliwości w nim nie ma. Uwierzysz? Pół Ziemi za nim przeszedłem, a on niczego nie wie. Byleś mu nie włożył przed oczy — taka to i cała chy-trość. Czy wiesz, jak on chodzi? Nigdy nie ogląda się za sie-bie. Idzie sobie, wymachuje kijem. Nawet pod nogi nie pa-trzy. Tylko przed siebie albo do góry, na niebo. No, lubi jesz-cze kręcić głową na boki. Nie ma co — błogosławiony.

W głosie Manujlowego obrońcy słychać było czułość i zachwyt, Pelagia zaś przypomniała sobie nagle o „cudzie”, o którym opowiadała Małke.

— Proszę powiedzieć, czy to pan zabił w Górach Judejskich beduińskiego rozbójnika?

— Tego z szablą? Tak. Mam karabin. Zamieniłem się w Jaffie. Miałem pamiątkowy zegarek, Konstanty Pietrowicz podarował go za służbę. Napluć na tę służbę, na niego, kościeja, i na jego podły zegarek. Ale co tam rozbójnik! Manujła prawie co dnia ściąga na siebie biedę. Żeby nie Trofim Dubienko, dawno by już go zakopali w ziemi — pochwalił się brodac i nagle zeszytniał. — Ach, ty, jaka bystra! Patrzajcie, język mi rozwiązała! Dawno po naszymu nie mówiłem, to i nie dziwota. Mów: przysłał cię Pobiedin?

Znowu machnął nożem.

— Nie, ja tu z własnej woli. I Emmanuelowi... Manujle źle nie życzę, przeciwnie, chciałabym go ostrzec.

Trofim Dubienko przyjrzał się jej uważnie.

— Pokaż no.

Obmacał ją swoimi łapskami — czy nie ma ukrytej broni. Nieszczęsna Pelagia podniosła rękę.

— Dobra — zdecydował. — Idź. Ale sama. Ten twój tutaj zostanie. Umawiamy się: o mnie ani słowa. Bo inaczej przepędzi, a przecież bez ochrony nie można go zostawić.

— Przyrzekam. — Siostra skinęła głową.

W pierwszej chwili wydawało się, że wewnątrz nie ma nikogo.

Mniszka, rozglądając się, przemierzyła cały ogród, ale nie dostrzegła żadnej osoby. Kiedy jednak zatrzymała się niepewna, usłyszała głos, który łagodnie pytał o coś w nieznanym jej języku.

Dopiero teraz ujrzała postać, która siedziała na trawie obok starej studni.

— Kto tu? — Zakonnica zadrżała i zatrzymała się.

— Hosjanka? — odezwał się ktoś, po dziecięcemu zniekształcając literę „r”. — Pytam, czego szukasz. A może kogo?

— Co pan robi? — wyszeptła.

Człowiek ów siedział na ziemi całkowicie nieruchomo, w bladym świetle księżyca. Ten bezruch spowodował właśnie, że wcześniej go nie spostrzegła, choć przeszła tuż obok.

Zbliżając się niepewnie, Pelagia zobaczyła ascetyczną twarz z szeroko rozwartymi oczyma, strzępiastą brodę (lekką chyba siwiejącą), wydatną grdykę i uniesione wysoko brwi, jakby zawsze gotowe na radosne zdumienie. Prorok ostrzyżony był po chłopsku, na fajerkę, ale musiano tego dokonać jakieś pół roku temu, bo włosy odrosły i opierały się niemal na ramionach.

— Czekam — odrzekł Manujła-Emmanuel. — Księżyc nie jest jeszcze na śhodku nieba. Mówi się „w zenicie”. Trzeba choćę poczekać.

— A... a co się stanie, kiedy księżyc znajdzie się w zenicie?

— Wstanę i pójde tam — wskazał kraniec ogrodu.

— Ale tam jest przecież płot.

Prorok rozejrzał się, zupełnie jakby ktoś mógł ich podsłuchiwać, i konspiracyjnym szeptem oznajmił:

— Zhoiłem w nim dziuhę. Kiedy byłem tutaj wcześniej. Odsuwa się jedna deska, a wtenczas przez klasztoh można wejść na góhę.

— Ale dlaczego nie ulicą? Ona także prowadzi do góry. — Pelagia zniżyła głos.

Westchnął.

— Nie wiem. Phóbowalem, ale nie wychodzi. Pewnie wszystko musi być dokładnie jak wtedy. Ale najważniejsza jest tu pełnia księżyca. Całkiem o tym zapomniałem, ale te-haz sobie przypomniałem. Kiedyś Pascha zawsze była przy pełni, to Żydzi później wszystko poplątali.

— Co poplątali? — Siostra zmarszczyła czoło, na próżno próbując odnaleźć w jego słowach sens. — Po co panu pełnia księżyca?

— Widzę, że zjawiłaś się tutaj, żeby ze mną pohozmawiać — powiedział nagle Emmanuel. — Mów.

Pelagia zadrzała. Skąd on o tym wie?

Prorok wstał tymczasem i spojrział mniszce w twarz — okazało się, że jest od niej wyższy o całą głowę. W jego oczach odbijało się światło księżyca.

— Chcesz mnie o czymś uprzedzić — powiedział, mrużąc oczy, zupełnie jakby pragnął odczytać w mroku jakiś tekst, co wymagało natężenia wzroku.

— O czym?

— Długo mnie szukałaś, bo chcesz uprzedzić o czymś niedobrym. Albo o tym, co tobie wydaje się niedobrze. Chętnie z tobą pohozmawiam. Ale teraz już poła. Jeśli chcesz, chodź ze mną. Pohozmawiamy po drodze.

Zaprosił ją gestem ręki i skierował się ku ogrodzeniu.

Okazało się, że jedna z desek istotnie trzyma się tylko na pojedynczym gwoździu. Emmanuel odsunął ją i przecisnął się przez szparę.

Zmartwiła nagle Pelagia zrobiła to samo.

Przeszli ciemny podwórzec jakiegoś klasztoru i przez furtkę wyszli na uliczkę, wciąż kierując się ku górze.

Po obydwu stronach stały arabskie chaty, ale w żadnej z nich nie paliło się światło. Raz tylko, na zakręcie, mniszka obejrzała się i zobaczyła naprzeciwko Wzgórze Świątynne, zwieńczone krągłą kopułą meczetu Omara. W świetle księżycy Jerozolima wydawała się równie martwa jak rozciągający się w pobliżu żydowski cmentarz.

Spostrzegłszy, że przecież się nie przedstawiła, inokinia powiedziała:

— Jestem Pelagia, mniszka...

— Ach, Chłystusowa oblubienica — zaśmiał się Emmanuel. — Syn Boży ma tyle oblubienic! Więcej niż tuhecki sultan. Gdyby choć jedna zapytała, czy chce On ją za żonę.

Bluźnierczy żart zaszokował Pelagię, zniszczył szczególny, na wpół mistyczny nastrój, jaki powstał pod księżycem w ogrodzie Getsemani.

Przez jakiś czas szła w milczeniu. Pora, by mu wszystko wyjaśnić, pomyślała — i zaczęła mówić sucho, z rezerwą, wciąż mając w pamięci kpinę z Chrystusowych oblubienic.

— Mam złe wiadomości. Grozi panu śmiertelne niebezpieczeństwo. Ma pan potężnych wrogów, którzy chcą pana zabić i których nic nie powstrzyma. To, że wyjechał pan z Rosji, nie jest dla nich...

— Nienawiść to rzecz dwusthonna — przerwał jej bez zastanowienia przywódca „znajd”. — Jeśli nie jestem nikomu

whogiem, to i whogów mieć nie mogę. Tak to jest. Ludzie, o których ty mówisz, myślą się, sądząc, że mógłbym im zaszkodzić. Powinienem z nimi pohozmawiać i wszystko się wyjaśni. Na pewno z nimi pohozmawiam —jeśli dzisiaj znowu się nie uda. Ale gdyby się udało, już mnie tutaj nie będzie, a wtenczas uspokoją się.

— Co miałyby się udać? — zapytała zbita z pantałyku Pelagia.

— Mógłbym ci to wyjaśnić, ale i tak nie uwierzysz.

— Przecież oni nie będą z panem rozmawiać! Oni chcą pańskiej śmierci. Pańscy wrogowie z łatwością, bez najmniejszego wahania, zabijają każdego, kto stanie im na drodze! A to znaczy, że pozbycie się pana jest dla nich rzeczą niezwykle ważną.

Tu prorok spojrział z ukosa na Pelagię, ale bez lęku, tylko z pewnym zakłopotaniem, zupełnie jakby nie rozumiał, co ją tak porusza.

— Ciii! — wyszeptał, unosząc palec ku wargom. — Do tarliśmy na miejsce. I księżyc jest akuhat w zenicie.

Popchnął skrzydło zmurszałej bramy i weszli na porośle suchą trawą podwórze. Pelagia dojrzała w głębi chałupinę z zapadającym się dachem.

— Czyj to dom? — zapytała cicho.

— Nie wiem. Nikt w nim już nie mieszka. Obawiam się, że wydarzyło się tu nieszczęście — ja takie rzeczy wyczuwam...

Emmanuel zadrżał i objął się ramionami.

Zapomniana chałupa w ogóle Pelagii nie interesowała. Mniszka była zirytowana i rozdrażniona. Tak długo szukała tego człowieka, tyle straciła sił, a on nie chce jej nawet wysłuchać!

— Może sądzi pan, że opuszczając Rosję, pozbył się pan zagrożenia? — powiedziała gniewnie. — Mowy nie ma! Znajdą pana i tutaj! Zdaje mi się, że wiem, z której strony spadnie cios, chociaż jest to tak niewiarygodne... A poza tym dlaczegóż to on tak pana znienawidził? Co prawda, mam pewną teorię, ale do tego stopnia...

Pelagia straciła wątek. Patrząc na śmieszoną figurę „znajdowego” proroka, który stał na jednej nodze (drugą drapał

się w kostkę), gotowa była uznać swoje „domysły” za jakąś fantasmagorię.

— Pobiedin to szaleniec, inaczej być nie może... — wymamrotała.

— Mówisz niezrozumiale. — Emmanuel odłożył swój kostur, podniósł z ziemi kijek i zaczął nim rozgrzebywać kupę śmieci. We wszystkie strony poleciały gałązki, skorupki, gru-
dy ziemi. — I nie mówisz tego, co jest najważniejsze.

— A co jest najważniejsze? — zdumiała się Pelagia, obserwując jego dziwne poczynania.

Spod śmieci wyciągnął jakieś deski, odsłaniając głęboką czarną jamę w ziemi.

— To podziemne przejście?

Emmanuel opuścił się ostrożnie w dół, jednocześnie wydobywając coś z worka za plecami.

— Nie, to ghobowiec. Jaskinia. Pochowani są tutaj ludzie, którzy żyli dawno, może dwa tysiące lat temu, a może i dawniej. Wiesz, co to takiego „eneolit”? A „chalkolit”? — wy-
mówił z powagą owe dźwięczne słowa.

Pelagia miała okazję czytać o starożytnych żydowskich pochówkach. Wszystkie jerozolimskie wzgórza poryte są jaskiniami, w których niegdyś grzebano zmarłych. Nic zatem dziwnego, że jedna z pieczar znajduje się na podwórku opuszczonego obejścia. Ale czego szuka tam Emmanuel?

Zapalił zapałkę, przytknął ją do nasączonej oliwą szmaty.

Z dołu patrzyła na Pelagię brodata twarz, oświetlona szkarłatnym płomieniem. Noc natychmiast stała się ciemniejsza.

— Na mnie poha — powiedział Emmanuel. — Ale widzę, że chcesz mnie o coś zapytać i nie możesz się zdecydować. Nie bój się, pytaj. Jeśli znam odpowiedź, powiem ci phawdę.

Tam, na dole, jest jaskinia! — olśniło nagle Pelagię. Jaskinia!

Mniszka nie pomyślała nawet, że przysięgła sobie nigdy więcej nie zapuszczać się w żadne podziemia.

— Czy mogę zejść z panem? Bardzo proszę!

Spojrzał na księżyc, który tkwił dokładnie pośrodku nieba.

— Jeśli obiecasz, że zahaz odejdiesz. I że nie będziesz czekała na mnie na zewnątrz.

Pelagia skinęła, a on podał jej rękę.

Początkowo przejście było bardzo wąskie. Schodzili po kamiennych stopniach, miejscami pokruszonych ze starości, ale w ogóle niestartych. Bo i kiedy miały się zetrzeć?

Gdy schody się skończyły, Emmanuel podniósł wysoko pochodnię i okazało się, że grobowiec jest dość duży. W jego ścianach ciemniały jakieś nisze, ale z powodu słabego światła nie można było przyjrzeć im się dokładnie.

Prorok odwrócił się do Pelagii i powiedział:

— Zobaczyłaś? Tehaz zadaj swoje pytanie i odejdz.

Nagle jego brwi, i tak umieszczone wysoko, uniosły się jeszcze wyżej, niemal ku samym włosom. Emmanuel nie patrzył na rozmówczynię, ale gdzieś ponad jej głowę, jakby zobaczył tam coś bardzo interesującego.

Pelagia jednak nie śledziła jego spojrzenia. Okropnie przejęta, zaczerpnęła głęboko powietrza, mimowolnie uniosła rękę ku skroni i drżącym głosem zadała swoje pytanie.

Koniec wieńczy dzieło

Kiedy chantur dojechał do Bramy Jafskiej i skręcił za nią w lewo, Jakow Michajłowicz natychmiast się domyślił, że będą objeżdżali mury. To znaczy, że nigdzie się nie zapodzieją, można pchnąć telegramik do Pitra. Nie dawał znaku od ponad tygodnia, to niedobrze. A tu akurat zauważył w pobliżu całodobowy telegraf — stąd ten pomysł.

Nie ma co, był przykładem roztropności: potrzebował ledwie dwóch minetek, żeby wsunąć do okienka zawczasu napisaną depeszę i zapłacić.

Depesza zawierała, co następuje: „Obydwa ładunki dostaną dzisiaj. Nifontow”. „Nifontow” to takie umowne nazwisko; podpisywał się nim, dopóki zadanie nie było wykonane. A jak zostanie wykonane, wtenczas w telegramie będzie mógł napisać cokolwiek, ale podpis pod nim musi być koniecznie „Ksenofontow”. Zrozumie, kto powinien.

Jakow Michajłowicz (na razie jeszcze jako Nifontow) doskonale sobie ze wszystkim poradził: i doniesienie wysłał, i dopędził chantur — niedaleko rozpadliny zwanej Gehenną.

Tej właśnie, Piekielnej, gdzie wedle słów świętego apostoła „robak nie umierał i ogień nie zagasał”. Mieszkańcy starożytnej Jerozolimy wrzucali do wąwozu ciała skazańców i zasypywali je nieczystościami, a żeby z ohydnej jamy nie rozpełzała się na miasto zaraza, dniem i nocą paliły się tam ogniska.

Oto całe ludzkie życie, westchnął Jakow Michajłowicz, popędzając konika. Żyjemy w wychodku, na innych paskudzimy, a jak zdechniesz, to i na ciebie nawalą gówna i podpala, żebyś nie śmierdział. Takie to niewesołe filozofowanie przyszło do głowy.

Było wprost wspaniale, że jest pełnia i że prawie nie ma chmur. Udało się wyjątkowo. Trzeba powiedzieć, że cała ta wyprawa, długa i uciążliwa, przebiegała jakby pod Najwyższą Ochroną. Mógł ślad zgubić i w Jerozolimie, i pod górą Megiddo, i w Sodomie, ale pilność i szczęście zawsze przychodziły z pomocą. Jakow Michajłowicz sam się starał, to i Bóg o nim pamiętał.

A teraz zostało tyle co nic. Jeśli Ruda wymiarkowała dobrze (a baba z niej bystra), to tylko patrzeć, jak zaraz wszystko obłatwimy, po czym z nedorajdy Nifontowa przechrzcimy się w zwycięskiego Ksenofontowa.

Ciekawe, jaka za tak trudne zadanie może być nagroda?

Zazwyczaj, dopóki sprawa nie była zakończona, nie pozwalał sobie na takie miłe rozważania, ale księżycowy wieczór nastrojał marzycielsko. Bo i koniec już całkiem blisko, Jakow Michajłowicz wyczuwał to instynktownie.

Ostateczne zamknięcie historyjki, z całkowitym zniszczeniem dotyczącej jej dokumentacji policyjnej — to obiecano na pewno. Nie będzie już dłużej ten Damoklesowy miecz wisiał nad główką. I odpuść nam, Panie. Ale pewnie można będzie wydębić jeszcze coś ponadto, jakieś szeleszczące i przyjemnie chrzęszczące papierki. Przeczucie podpowiadało, że dadzą premię, jak nic dadzą. Jak to naczelników z powodu tego Manujły rozebrało. Co on im tam przeszkrobał, Bóg jeden wie, nie nasza sprawa.

Próbował wyliczyć, ile mogą dać pieniążków, i zastanawiał się, na co je przeznaczyć. Kupić domek gdzieś na Ochcie? A może lepiej włożyć w oprocentowane papiery?

A na odpoczynek za wcześnie. Teraz, kiedy skończy się z historyjką, będzie można pracować nie ze strachu, ale sumiennie — to znaczy, za prawdziwe wynagrodzenie. Zaczynać skąpić, to bez łaski. Na usługi wysokiej klasy fachowca od spraw delikatnych zawsze znajdują się klienci. Gdyby tak, na przykład, za palestyńską poniewierkę brać wedle pełnej taksy — ze wszystkimi morskimi przeprawami, błąkaniem się po pustyni i innymi przyjemnościami — to ile by można zaśpiewać?

W głowie Jakowa Michajłowicza stłoczyły się zera, ale w całość nie zdążyły się ułożyć, bo chantur z mniszką skręcił z szerokiej drogi na most i natychmiast zniknął w wąskim zaułku.

Trzeba było zmniejszyć odległość.

I znowu Jakow Michajłowicz zachował się przytomnie. Nie ruszył w zaułek, lecz odjechał drogą nieco dalej. Odgadł, że skończyły się konne podróże, teraz pozostają własne nogi.

Zeskoczył na ziemię, klepnął kobyłkę z Bet-Kebiru po zadzie: idź, dokąd zechcesz, ekwinusie. Dzięki za pracę, nie jesteś już potrzebny. Dwukólkę możesz sobie zabrać.

Ostrożniutko wysunął się z za węgła.

Arab został przy koniach, mniszki nie było. Jednak po chwili pojawiła się i ona — wyszła z jakiejś furtki i skierowała się do swego Salacha. Rozmawiali o czymś, a potem zjechali niżej i umieścili chantur w cieniu, gdzie zupełnie nie było go widać.

Ehe, zmiarkował Jakow Michajłowicz. Czyżby zasadzka?

No, no.

Ręce świerzbiały — miał wielką ochotę powyłamywać sobie palce, ale teraz nie można było hałasować.

Pątnika zauważył wcześniej niż ci dwoje.

Wysoki, chudy człowiek szedł ścieżką w świetle księżyca, postukując kosturem.

To on, domyślił się Jakow Michajłowicz i w tym samym momencie z Nifontowa zmienił się w Ksenofontowa. Wszystko, co miało nastąpić, było problemem technicznym, a zatem żadnym problemem.

Wcisnął się w ogrodzenie, wyczekując, aż Manujła skreći w zaułek.

Tu jednak pojawiła się okoliczność, którą należało zaliczyć do kategorii przykrych niespodzianek.

Za głównym obiektem, w odległości około pięćdziesięciu kroków, ktoś się skradał. Jak na złość księżyc zaszedł właśnie za chmurę, tak że temu drugiemu nie można było się od razu przyjrzeć. Widać było tylko, że to prawdziwe niedźwiedzisko i że chodzi też jak niedźwiedź, bezgłośnie się kolebiąc.

Któż to taki?

Konkurent?

Jakow Michajłowicz potrafił skradać się nie gorzej niż Niedźwiedź. Ulokował się z tyłu i podążył za nim — przy murku, przy murku.

O czym Ruda z Niedźwiedziem rozmawiała, nie słyszał, ale rozmowa była gorąca. Dostało się i Arabowi, i mniszce. Potem jednak jakby się dogadali. Ruda przemknęła się przez furtkę, a chłopisko zostało z woźnicą — o czymś ze sobą mówili.

Jakow Michajłowicz podkraść się bliżej.

Rozmowa toczyła się po rosyjsku. Patrzajcie no!

— ...Zginie ci on bez dopilnowania — dotarł do niego przygłuszony bas. — Przecie to małe dzieciątko. Jakże go można puścić samego?

— Ja też pilnuję — powiedział z godnością Arab. — Jej pilnuję. Kobieta! Beze mnie sto razy by przepadła.

— Ano tak. Baba to baba — zgodził się Niedźwiedź.

Ach, oto kim jesteśmy. O tym, że Manujła ma ochroniarza, zwierchność nie raczyła Jakowa Michajłowicza powiadomić. Poczł się nieco urażony. To wszakże, drodzy panowie, nie są żarty, trzeba było uprzedzić.

Skupił się, zebrał cały w sobie. Problem techniczny okazał się bardziej złożony, niż początkowo sądził.

Wpatrując się w mrok, próbował ocenić przeciwnika.

Zdaje się, że bardzo silny i dosyć niebezpieczny. Ten zwalisty gatunek Jakow Michajłowicz znał dobrze — takiego jednym ciosem nie położysz, za dużo w nim życia. A trzeba koniecznie załatwić go akuratnie, bez żadnego hałasu.

Araba można nie brać w rachubę. Chłopina cherlawy, bojaźliwy, wystarczy na niego warknąć. W czasie wędrówki Ja-

kow Michajłowicz przyzwyczał się do tego gadatliwego Salacha. Można by rzec, że wręcz się doń przywiązał. Wesoły, białe zęby cały czas w szerokim uśmiechu. Zdarzało się, że w czasie noclegów Jakow Michajłowicz podkładał się bliżej chantura, żeby posłuchać, jak Arab wyśpiewuje.

Już wcześniej postanowił, że jemu daruje. Szkoda go. Znaczy się, gdyby była potrzeba, załatwiłby go i nawet nie mrugnął. Ale ten zajęczy ogon na pewno nie doniesie — tak podpowiadała psychologia, nauka, do której Jakow Michajłowicz odnosił się z dużym szacunkiem.

Arabowi nie wolno było zrobić jednego: podnieść krzyku. Też, nawiasem mówiąc, zadanko.

No właśnie. Zadanko z dwiema niewiadomymi: jak zatkać gębę Arabowi i jak położyć Deptułę — rzecz jasna, bezszmerowo.

Chwilkę pomyślał i wymyślił.

Wycofał się na dół, do rogu. Tam, na drodze, znalazł pałkę — zdaje się, była to szprycha od wozu z dużymi kołami, długa na jakieś półtora arszyna. Koniec się rozszczepił, to wyrzucili. Akuratnie to, czego potrzeba.

Jakow Michajłowicz wszedł z powrotem w zaułek, kulejąc. Przygiął się, zaczął niewyraźnie mamrotać coś pod nosem. Włókł się z trudem, oparty na kiju. Kto będzie się bał takiego żalosnego kaleki?

Niedźwiedź i Arab obejrzeni się jednak i patrzyli na nocnego przechodnia bardzo czujnie.

Jakow Michajłowicz przykuśtykał bliżej i udał, że dopiero teraz ich zauważył. Oj! — przestraszył się: może źli z was ludzie?

Przykulał się tuż do nich i skłonił. Lewą ręką oparł się na pałce, prawą zaś, jak przyjęte jest u miejscowych, przyłożył do piersi i do czoła.

Zwrócił się do Araba piskliwym, żałośliwym głosem:

— *Dżamal li wallachi ibn churtum?*

Sam nie wiedział, o co pytał, jako że słowa nie miały żadnego sensu, ale rosyjskiemu Deptule powinny wydać się arabską mową.

Niedźwiedzisko, usłyszawszy taką chińszczyznę, rozluźniło się nieco — ze strony tutejszego kaleki nie dostrzegło żadnego zagrożenia.

Za to Salach był zdumiony.

— *Ejsz?*

Jakow Michajłowicz znów skłonił się przed nim powoli, aż nagle wyprostował się niczym sprężyna i knykciami bach Arabowi w podstawę nosa! Walnął mocno, ale z pomiarkowaniem, bo inaczej kość nosowa wbije się w mózg i człowiekowi kryska.

Salachowi krew buchnęła z nozdrzy — obalił się na wznak i zastygł. Tak było trzeba, bez najmniejszego hałasu.

Nie zwlekając ani chwili, Jakow Michajłowicz obrócił się do Niedźwiedzia. Ten zdążył tylko rozdziawić usta. Deptuły, których matka natura obdzieliła potężną posturą, mają nieco spowolnione reakcje, naukowo nazywa się to „reaktywna retardacja”. Ale to tylko w pierwszym momencie, tak że nie ma co za bardzo liczyć na tę retardację. Niegdyś, jeszcze w czasie pokatornej zsyłki, Jakow Michajłowicz widział, jak misiek łowi w rzece ryby. Gdzie tam do niego rybakowi z ościeniem! Z kosołapym nie ma żartów — rozerwie cię i nawet nie zdążysz kichnąć.

Toteż Jakow Michajłowicz nie żartował. W rozdziawioną ze zdumienia gębę wbił koniec pałki — i to tak, że aż zęby zachrzęściły. Po to, żeby nie mógł krzyczeć.

W lewym rękawie Jakow Michajłowicz miał poręczny nóż fińskiej roboty, ze specjalnym mechanizmem sprężynowym. Ostrze szczęknięło i uderzył — ale nie w serce, bo takiego dragala pchnięcie w serce nie położy, i też nie w gardło, bo znacznie chrypieć i bulgotać. Uderzył w dołek, tam gdzie w środku rodzi się krzyk.

Zrobił swoje i odskoczył na parę kroków, żeby nie wpaść w rozłożone szeroko łapska.

Deptuła wyrwał z ust pałkę, odrzucił. Krew pociekła po brodzie.

Chce krzyczeć, ale nie może — nie pozwala wbite w dołek ostrze. Tu, jak było do przewidzenia, Niedźwiedź zgubił siebie sam. Wie o tym każdy myśliwy: nadziany na rohatynę Deptuła wyrwie ją natychmiast, a tym samym powiększy ranę. Ten też to zrobił. Gdyby nóż wciąż tam tkwił, życie nie opuściłoby go tak szybko. Tymczasem ten głupiec pochwycił rękojeść, stęknął i wyciągnął nóż. Chwiejąc się, ruszył na Ja-

kowa Michajłowicza. Ów odskoczył na kroczek, na dwa, na trzy — to wystarczyło. Siłaczowi podcięło nogi, padł na kolana. Tkwił tak, kołyszając się na boki, zupełnie jakby modlił się do swego niedźwiedziego boga, po czym buchnął twarzą w dół.

Uff!

Tymczasem zaś oprzytomniał Arab. Unosi się na łokciu, siąka rozkwaszonym nosem i zasłania go dłonią.

Jakow Michajłowicz, zadowolony z dobrej roboty, pochylił się nad nim i spokojnie powiedział:

— Pójdę teraz i zabiję tę dwójkę. A co z tobą — chciałbyś żyć? Salach skinął, błyskając wytrzeszczonymi oczyma.

— Żyj sobie, nie mam nic przeciwko temu — zgodził się Jaków Michajłowicz. — Wynoś się stąd, pókiś cały. I żeby ani słowa. Zrozumiałeś?

Ów szybko stanął na czworakach.

— No już — poklepał go po ramieniu wielkoduszny człowiek.

— To moja narzeczona! — powiedział nagle Arab.

Jakowowi Michajłowiczowi wydało się, że nie dosłyszał.

Arab tymczasem, z cichym stęknieniem, chwycił swego dobroczyńcę za kolana i próbował przewrócić go na ziemię. Było to tak zaskakujące, że Jakow Michajłowicz rzeczywiście omal nie stracił równowagi.

No cóż, pomylił się co do człowieka. Przypisał mu niewłaściwą psychologię.

Jak już jesteś takim bohaterem, to lepiej, żebyś zawrzasała na całe gardło — wtedy istotnie byłaby komplikacja, bo łapanie za kolana to nie dla nas.

Jakow Michajłowicz palnął niewdzięcznika w skroń, a kiedy ów zarył nosem w ziemię, poprawił nogą poniżej karku, aż zachrząściło.

Postanowił sobie na przyszłość: żadnego zmiłowania i żadnych psychologii. Znalazł ci się doktor Haas.

Za furtką była jakaś pustać z kilkoma powykrzywianymi drzewami. I komu to przyszło do głowy, żeby tę jałową działkę grodzić tak solidnym płotem?

Jakow Michajłowicz natychmiast spostrzegł, że nie ma tu nikogo, głowy jednak nie stracił. Przebiegł po obwodzie, szu-

kając innego wyjścia. Drugiej furki albo przejścia nie znalazł, odkrył za to ruchomą deskę. Tędy kochaniutcy przeszli, nigdzie indziej.

Przebiegł klasztorny podwórzec i znalazł się na prowadzącej w górę ścieżynie. Tam przypadł uchem do ziemi.

Odgłos kroków słyhać było z prawej strony. Ruszył za nim.

No, to mamy tych bezcennych. Dłuższy cień to Manujła, obok zaś jeszcze jeden, kobiecy, który suknią zamiata ziemię.

Tu jestem, moje drogie obiekty, wasz Ksenofontow.

Ręka sięgnęła do kieszeni po rewolwer. Nie ma co kombinować, miejsce jest idealne — wokół ani żywej duszy, ani ogienka. Nie ma co się patyczkować. Kto tu podejmie jakieś śledztwo?

Dopędzić i bach mu w tył głowy, i bach jej. A potem jeszcze po razie, żeby mieć pewność.

Mimo wszystko jednak Jakow Michajłowicz nie spieszył się.

Po pierwsze, przeciągał chwilę, która, jak powiedział wielki pisarz, była piękna.

A po drugie, zaciekawiło go, gdzie też oni się wspinają.

Czego szukają na szczycie Góry Oliwnej?

Prorok i mniszka skręcili w jakieś podwórze.

Jakow Michajłowicz zobaczył zza płotu, że Manujła rozgrzebuje kupę śmieci, i bardzo go to poruszyło: a nuż to jakiś skarb? Aż spocił się na tę myśl.

Potem obydwójce — i to Dziwadło, i Ruda — zniknęli w jakiejś jamie.

Bardzo uprzejmie z ich strony, pochwalił Jakow Michajłowicz. Potem wystarczy tylko znowu przysypać dół śmieciami i po wszystkim.

Wlażł w dziurę, ruszył za pełgającym wewnątrz światłem.

Broń trzymał w gotowości.

Manujła zauważył Jakowa Michajłowicza, który wypłynął z mroku, i patrzył na niego ponad głową Rudej. A mniszka nic — jak stała tyłem, tak stała.

Powiodła nerwowo palcami poniżej ucha i drżącym głosem zapytała:

— Czy był pan... tam?

Część trzecia

TAM

XVI EWANGELIA WEDŁUG PELAGII

List z tamtego świata

Najpierw nadeszła wiadomość telegraficzna, później list.

Depesza służbowa, przysłana do kancelarii zawołzkiego gubernatora, z telegraficznie lakonicznym żalem powiadała, iż rzeczywisty radca stanu Berdyczowski zmarł nagle w Sankt Petersburgu na udar serca.

W pierwszej chwili zrodziła się słaba nadzieja, że to nieporozumienie, Matwiej Bencjonowicz bowiem był radcą stanu, owszem, ale nie „rzeczywistym”, jednak w ślad za pierwszym telegramem nadszedł zaraz drugi: o tym, że ciało zostanie przewiezione na koszt państwa takim to a takim pociągiem, który przybędzie na położoną najbliższej Zawołzka stację kolejową wtedy to a wtedy.

No cóż, wszyscy byli poruszeni, wielu też popłakało sobie — zmarły miał w Zawołzsku sporo przyjaciół, nie mówiąc już o licznej rodzinie. Do Marii Gawriłowny, która nie płakała, ale bez ustanku powtarzała: „Ależ nie, nie, nie!”, i potrząsała głową, skierowano najlepszego lekarza. Sierotki zabrała do siebie tymczasem gubernatorowa, miasto zaś zaczęło przygotowywać się do uroczystego powitania ciała i nie mniej uroczystego pochówku.

Władyka Mitrofaniusz zupełnie jakby zapadł się w siebie z żalu. Podobnie jak wdowie, Bóg poskąpił mu zdolności do płaczu, który przynosi ulgę. Archijerej przemierzał swój gabinet, z pobielałymi, kurczowo splecionymi za plecami dłońmi, a wyraz twarzy miał taki, że czeladź, która zaglądała przez szparkę, natychmiast się wycofywała. Połowę nocy miotał się porażony bólem, a przed świtem usiadł przy stole,

złożył głowę na skrzyżowanych rękach i w końcu rozsłochał się. Pora była stosowna — ciemno, głucho i nikt nie mógł być świadkiem jego słabości.

Rankiem przewielebny poczuł się źle. Chwytał się za serce i brakowało mu oddechu. Bano się, że spotka go to samo, co ukochanego chrześniaka — porażenie mięśnia sercowego. Sekretarz, ojciec Starowny, pobiegł poradzić się z wikariuszem — czy aby nie należy udzielić ostatniego namaszczenia. Wieczorem jednak dostarczono z parowca list; po jego lekturze Mitrofaniusz przestał się dusić, usiadł, spuścił nogi z łoża.

Przeczytał jeszcze raz. I jeszcze.

Na kopercie koślawym pismem, z błędami, było nagrymolone: „Miasto Zawołżsk tejże zawołżskiej guberni archiereju Mitrofaniusza i żeby szybko i żeby sam pszczytał a więcej nikt”. Dlatego właśnie przyniesiono to choremu, że „szybko” i że „więcej nikt”.

Wewnątrz zmięta karteczka. Na niej ręką Berdyczowskiego: „48-36, wyślij tę zapiskę pocztą «ekstrapilnie» na adres: gubernia zawołżska, miasto Zawołżsk, przew. archijerejowi Mitrofaniuszowi do rąk własnych”. Co mogło oznaczać owo zagadkowe polecenie, dlaczego zostało zapisane wielkimi literami i co to takiego „48-36”, Mitrofaniusz nie mógł się domyślić; pewne wszakże było jedno: posłanie jest niezwykle ważne i zawiera wyjaśnienie petersburskiej tragedii.

Władyka tak pilnie studiował niewiele mówiącą zapiskę, iż nie od razu odwrócił ją na drugą stronę.

A tam było to, co najistotniejsze — gorączkowo skreślone już nie wielkimi literami, tylko pospiesznym, rozdygotanym pismem.

„Litery podskakują — piszę w dorożce. Deszczyk — to dobrze, zakryłem budę i niczego nie widać. Pelagia zagrożona. Proszę ją ratować. Kim jest winowajca, wiem, ale wy nie powinniście tego wiedzieć — nie trzeba. Proszę po nią jechać i wywieźć jak najdalej, na kraj świata. Ja sam niczego już nie mogę. Śledzą mnie i, rzecz jasna, będą śledzili. Niech tam. Wymyśliłem doskonałą kombinację. «Etiuda Berdyczowskiego» — z ofiarą figury, by uratować i tak już przegraną partię. O rodzinę się nie kłopotczę. Wiem, że się nią zajmiecie. Żegnam. Wasz syn, Matwiej”.

To władcyce wystarczyło w zupełności. Nie zaczął stawiać hipotez ani roztrząsać sensu niezbyt jasnego listu, ale przyjął go jako wyraźne, bezpośrednie wezwanie do działania.

Przewielebny był teraz znowu oficerem kawalerii: kiedy trąbka daje znak „do ataku” i kiedy dochodzi do walki na szable, nie ma miejsca na rozmyślanie — musisz słuchać instynktu i szalonego przypływu krwi.

Choroby jakby zupełnie nie było. Biskup zerwał się z pościeli i gromko zawezwał posługujących braciszków i sekretarza.

W chwilę później rezydencja archijereja zamieniła się w przebudzony wulkan. Jeden z braciszków pognął na przystań, by zamówić kuter do Niżniego. Inny popędził na złamanie karku, by zarezerwować bilet kolejowy z Niżniego do Odessy i kajutę na szybkim parowcu morskim. Trzeci został wysłany do gubernatora z pospiesznie napisanym bilecikiem, w którym Mitrofaniusz informował, iż musi pilnie wyjechać i że mszę żałobną po Berdyczowskim odprawi wikariusz. Bóg tylko wie, co może o tym pomyśleć jego ekscelencja i całe zawołskie towarzystwo, tym jednak w tej chwili przewielebny w ogóle się nie przejmował.

Wydawszy stosowne polecenia, władcyka zajął się toaletą i pospiesznymi przygotowaniem do podróży. Starowny zaś nie mógł pohamować ciekawości i korzystając z okazji, że archijerej zniknął w garderobie, ściągnął z biurka pisemko, które dokonało w Mitrofaniu tak znaczącej przemiany. Notatka nieboszczyka niezwykle ojca Serafima zainteresowała — do tego stopnia, że postanowił przepisać ją do swego notesika. Poświęciwszy się temu zadaniu, archijerejowy kancelista nie usłyszał, jak do gabinetu wraca przewielebny, już w podróżnej riasie, ale jeszcze nieobuty.

Kiedy Starowny zorientował się, że został przyłapany, pobladł, a jego twarz wykrzywił strach. Cofnął się przed bezgłośnie zbliżającym się biskupem, potrząsnął głową, ale nie był w stanie wymówić ani słowa.

— Ach, to tak! — złowieszczo odezwał się Mitrofaniusz. — I ja, i Matusza łamaliśmy sobie głowy, skąd nasze sekrety znane są nieprzyjaciołom, a to wszystko twoja sprawa, Judaszu. Doniosłeś i o odcisku buta, i o Palestynie. Komu służysz? No!

Owo „No!” władyka palnął tak, że aż zadrżał żyrandol, a sekretarz padł na kolana. Jego urodziwe oblicze nie wyglądało w tej chwili zbyt ciekawie.

— Mów, nikczemniku!

Sekretarz drżącym palcem wskazał na sufit.

— Zwierzchności? Z uwagi na karierę? Wiem, chciałbyś zostać biskupem, dlatego się nie ożeniłeś. Komu donosisz? Ochronie? Synodowi?

Przewielebny złapał roztrzęsionego Starownego za kołnierz, a ten zmrużył oczy i z pewnością ujawniłby swoje sekrety, gdyby nie to, że Mitrofaniusz rozluźnił uchwyt.

— Dobrze. Matusza nie chciał, żeby się dopytywać — nie będę. To głowa nie od parady, zabronił nie bez powodu. A ty masz tu na koniec moje pasterskie błogosławieństwo.

Zamachnął się oszczędnie — tak jak wiele lat temu w czasie junkierskich bijatyk — i rąbnął ojca Serafima po fizjonomii, w żadnym razie nie symbolicznie, lecz na tyle prawdziwie, że nos mu zachrzęścił i zjechał na bok.

Biedaczysko zwałił się na dywan i zalał krwią.

Zostanie biskupem, pomyślał mimochodem Mitrofaniusz, kierując się do wyjścia. Zostanie bez wątpienia. Tyle że z krzywym nosem.

W przedpokoju czekał braciszek z pospiesznie spakowaną walizką.

Przewielebny przeżegnał się zamasyżycie przed wiszącą naprzeciwko wejścia ikoną szczególnie cenionego przezeń świętego — apostoła Tadeusza Judy, pocieszyciela zrozpaczonych i patrona beznadziejnych przypadków. Pochwycił laskę, podróżny kapelusz z szerokim rondem i wybiegł na podwórzec, gdzie już niecierpliwie czekała zaprzężona czwórka.

Od momentu, kiedy przyniesiono list, nie minęło nawet pół godziny.

Władyka czyta jeszcze jeden list i śni dwa sny

Dwa dni później, zanim wsiadł na odeski parowiec, Mitrofaniusz wysłał telegram do ojca archimandryty z jerozo-

limskiej misji: czy znane jest waszej przewielebności miejsce pobytu i stan zdrowia pątniczki Lisicynej?

Zdażył uzyskać odpowiedź. Archimandryta informował: tak, była tutaj taka, zatrzymała się w zajeździe, jednakże minęło już osiem dni, jak wyjechała w nieznanym kierunku i dotąd się nie pojawiła, chociaż jej rzeczy wciąż pozostają w wynajętym pokoju.

Mitrofaniusz zeszywniał, ale nie pozwolił sobie na rozpaczliwe myśli.

Przez całe pięć dni, kiedy parowiec płynął do Jaffy, oddawał się modlitwie. Nigdy jeszcze, jak się zdaje, nie poświęcił temu zajęciu tyle czasu — modlił się niemal bez przerwy.

Pątnicy tłoczyli się pod oknem kajuty i patrzyli z szacunkiem na wybijającego pokłony biskupa. Umówili się nawet między sobą, że nie będą niepokoić świętego człowieka osobistymi prośbami o błogosławieństwo — niechaj pobłogosławi ich wszystkich razem przed zejściem na ląd.

Ósmego dnia po wyjeździe z Zawołzka przewielebny był już w Jerozolimie w misji prawosławnej. Natychmiast poszedł do kancelarii, by dowiedzieć się, czy nie wróciła jego duchowa córka.

No tak, powiedziano mu. Była zaraz następnego dnia po zapytaniu waszej ekscelencji. Wysłaliśmy niezwłocznie do Odessy drugi telegram, ale widocznie już ekscelencji nie zastał.

— Chwała Ci, Panie! Gdzie zatem jest Pelagia?! — zawołał Mitrofaniusz, a poczucie ulgi omal nie ścięło go z nóg. — Dobrze się czuje?

Tego nie wiemy, odpowiedziano. Nikt z nas jej nie widział. Minionej soboty jednak pani Lisicyna przysłała posłańca, który przyniósł pakiet dla waszej ekscelencji. Następnego dnia ojciec archimandryta chciał ją powiadomić, że władyka Mitrofaniusz się o nią niepokoi, ale pani Lisicynej w numerze nie było. Później także nie można było jej zastać, chociaż sprawdzano wielokrotnie.

Zrozumiawszy, że niczego więcej nie uzyska, władyka wytłumaczył się zmęczeniem po długiej podróży i zamknął w pokojach, przeznaczonych dla wyjątkowych gości. Usiadł za stołem, nie zdejmując nawet kapelusza, i trzęsącymi się dłońmi otworzył kopertę.

Ujrzał cały stosik karteczek, zapisanych znajomym charakterem pisma. Poruszony upuścił *pince-nez* i rozbił prawe szkielekko. Musiał czytać przez krzyżujące się pęknięcia.

„Władcyce Mitrofaniuszowi z życzeniami światła, siły i radości.

Mam nadzieję, że nie przeczytacie tego listu. A może, przeciwnie, mam nadzieję, że jednak go przeczytacie? Sama nie wiem. Jeśli jednak przeczytacie, to wszystko to jest prawdą, ale przecież to niemożliwe.

Zle zaczęłam. Zamaçałam Wam w głowie. Proszę wybaczyć.

Proszę wybaczyć także kłamstwo, to, że wykorzystywałam Waszą ufność. Chcieliście wyprawić mnie do odległych klasztorów, aby mnie uchronić, ja tymczasem zataiłam powód, dla którego wybrałam Ziemię Świętą. Nie wyruszyłam do Palestyny po spokój i pojednanie, ale po to, by zakończyć rozpoczętą sprawę. Powiedzieliście niegdyś prawdę: nie ma we mnie mniszej pokory — takiej, by modlić się za całą ludzkość. Spośród wszystkich Chrystusowych oblubienic jestem najmniej godna. Na temat «oblubienicy» napiszę później, teraz jeszcze nie pora.

Jak pamiętacie, trzykrotnie próbowano mnie zabić: raz w Stroganowce, dwa razy w Zawołzsku. Kiedy zaczęłam o tym myśleć, stało się dla mnie jasne, że ja sama nie mogłam aż tak tym potężnym niktzemnikom przeszkadzać. Nie było powodu. A zatem sprawa nie mnie dotyczy. Kogo w takim razie?

Od czego wszystko to się zaczęło? Od zamordowania rzekomego proroka, a dalsze wydarzenia tak czy inaczej wiązały się ze słynnym Manujłą. Jaki to człowiek, nie miałam pewności, widziałam jednak, iż jedni chcą go zabić, drudzy ochronić, przy czym ci pierwsi byli mocniejsi i wszystko wskazywało na to, że prędzej czy później swój cel osiągną. Co do mnie, to wpadłam w to całkowicie przypadkowo i jakoś im przeszkodziłam. Toteż postanowili mnie usunąć, jak usuwa się kamień z drogi, żeby więcej się już o niego nie potykać. Dla wrogów Manujły nie mogłam stanowić żadnego innego zagrożenia.

Jak wiecie, wiele razy miałam okazję rozwiązywać kryminalne zagadki, ale czy najważniejsze nie jest to, aby do zabójstwa nie dopuścić? Nawet jeśli sądzisz, że przekracza to two-

je siły, to czyż grzech zaniechania nie jest grzechem śmiertelnym? Jeśli zwiodłam Was przemilczeniem, to tylko z obawy, że w innym wypadku nigdy byście mnie nie wypuścili.

Był jeszcze jeden powód, oprócz chęci uratowania Emmanuela (tak chcę go teraz nazywać). Wiąże mnie z nim znane Wam zdumiewające zdarzenie w jaskini. Zdarzenie, dla którego nie mogłam znaleźć wyjaśnienia i które wciąż nie dawało mi spokoju. Emmanuel był w tej jaskini, a wedle świadectwa wioskowych stamtąd się wziął. To może wyjaśni mi tę tajemnicę?

Dwie rzeczy były pewne.

Po pierwsze, że szukać tego proroka albo niby-proroka (nie mnie to rozstrzygać) należy w Ziemi Świętej. Albo już tam jest, albo za chwilę tam przybędzie — mówiły o tym «znajdy», a Szełuchin, pseudo-Emmanuel, też kierował się do Palestyny nie bez powodu.

Po drugie zaś, że Emmanuelowych wrogów odnaleźć można wśród tych, którzy płynęli z nami «Jesiotrem». (Odm razu powiem, że to ustalenie nie okazało się ścisłe, ale doszłam do tego dopiero w trakcie podróży po Judei, Samarii, Galilei i Idumei).

Sporządziłam sobie listę podejrzanych.

Czyje zlecenie mógł wypełniać były żandarm Racewicz? — pomyślałam.

«Warszawscy bandyci», o których mówił Matwiej Bencjonowicz, nie wchodzi w rachubę. Rabusie, nawet najbardziej zuchwali, nie mieliby powodu tak uporczywie mnie nękać. A to, że aż tak miałyby przeszkadzać im jakiś kaznodzieja, jest tym bardziej niewiarygodne.

Ale szalonym nienawistnikom, którzy nazywają siebie «Chrystusowymi oprycznikami», nauczyciel wiary, odwołujący Rosjan od prawosławia do «żydowania», może wydawać się straszliwym i niebezpiecznym wrogiem.

To samo dotyczy przeciwnego obozu—fanatycznych stronników ortodoksyjnego judaizmu, którzy patrzą na Emmanuela jak na złośliwego błazna, natrząsającego się z ich wiary.

Na parowcu była też grupa syjonistów, nader zdecydowanych młodych ludzi, którzy podejrzewali Emmanuela o związki z Ochraną. Wiadomo dobrze, iż wśród zwolenników idei

żydowskiego państwa zdarzają się ludzie opętani, którzy gotowi są na wszelkie skrajności, byle jak najszybciej osiągnąć swój cel.

Później, kiedy byłam już tutaj, w Palestynie, pojawiła się jeszcze jedna wersja, ale nie będę Was w nią wtajemniczała, żeby nie powodować zamętu, tym bardziej że jak poprzednie okazała się wątpliwa.

Kierując się wykazem podejrzanych, sporządziłam plan działań i natychmiast po zejściu ze statku zaczęłam go realizować. Popędzał mnie strach, że potężni wrogowie Emmanuela odszukają go wcześniej i że nie zdążę.

Po pierwsze, skierowałam się do Jerozolimy..."

Władyka czytał, jak Pelagia sprawdzała jedną po drugiej swoje wersje i odrzucała je, skracając jednocześnie dystans czasowy, jaki dzielił ją od niepohamowanego proroka, który żadną miarą nie mógł usiedzieć w miejscu.

Z Mitrofaniuszem działo się coś dziwnego. Od początku był bardzo mocno wzburzony, a stan ten pogłębiał się z każdą przeczytaną stronką. Ręce drżały mu coraz silniej, tak że w końcu trzeba było położyć kartki na stole i przycisnąć je futerałem na okulary. Po twarzy przewielebnego ściekał pot, ale on tego nie dostrzegał. Z roztargnieniem zdjął jedynie kapelusz i położył go obok. Potem strącił go niechcący łokciem na podłogę i też tego nie zauważył.

W końcu nerwowe pobudzenie osiągnęło punkt krytyczny i zamieniło się w swoje przeciwieństwo. Władyce zakreśliło się w głowie, ogarnęła go niepowstrzymana sennaś.

Pewnego razu, wiele lat temu, przyszedł biskup, wówczas dowódca szwadronu, widział, jak w czasie bitwy pod Bałakławą generał, który dowodził wojskami, zasnął na punkcie obserwacyjnym. Siedział przy składanym stoliku skoncentrowany i napięty, patrzył przez lunetę, wydawał rozkazy, gdy nagle, w rozstrzygającym momencie boju, osłabł — opuścił głowę na skrzyżowane ramiona i zasnął. Rzucili się do niego wystraszeni adiutanci, ale szef sztabu, stary i doświadczony wojak, powiedział: „Nie ruszajcie. To zaraz minie”. I rzeczywiście; pięć minut później zbudził się rzeński i zupełnie, jakby nic się nie wydarzyło, dowodził dalej.

To samo przytrafiło się teraz Mitrofaniuszowi. Linijki

rozpełzły się w długą węzłąstą nić, a nić owa pociągnęła archijereja w ciemność. Chwilę przedtem jeszcze czytał, a tu nagle opadła mu głowa, przyłożył prawy policzek do leżącego na stole łokcia i zapadł w głęboki sen.

Przewielebnemu jeden po drugim przyśniły się dwa sny.

Pierwszy był błogi.

Mitrofaniusz ujrzał przed sobą Pana Boga w postaci jakiegoś jaśniejącego obłoku, obłok zaś zwrócił się do niego dźwięcznym głosem: „Po co mi, archijereju, twoje świętoszkowate modlitwy? Po co mi zakony i zakonnicy? Głupstwo i przykrość, nic więcej. Kochajcie się nawzajem, ludzie, mąż żonę, a żona męża — taka będzie dla mnie najlepsza wasza modlitwa”.

Zaraz potem Mitrofaniusz znalazł się w jakimś domu.

Dom stał na brzegu jeziora, w oddali widać było góry, dołem granatowe, a wysoko białe. Świeciło słońce, w sadzie zwisały z gałęzi ciężkie jabłka, a cichy kobiecy głos nucił kołysankę. Mitrofaniusz odwrócił się i ujrzał dziecięce łóżeczko, a obok niego Pelagię, ale nie w riasie i w apostołniku — w domowej sukience, z rozpuszczonymi do ramion rudymi włosami. Pelagia spojrzała na Mitrofaniusza i czule się uśmiechnęła, on zaś pomyślał: „I czemuż to ja tyle lat straciłem na próżno?! Gdybyż to Obłok przemówił do mnie wcześniej, kiedy byłem młodszy! Ale to nic, na razie jestem krzepki, długo jeszcze będziemy szczęśliwi”.

Tu przełożył głowę z prawego policzka na lewy i zaraz przyśniło mu się coś całkiem innego.

Miał wrażenie, że się obudził i że dalej czyta list swej duchowej córki (choć w istocie przebudzenie jeszcze nie nastąpiło). Początkowo przebiega tekst oczyma, a potem jakby już nie czyta, ale słucha — i ma przed sobą nie papier, tylko samą Pelagię.

„Nie ma już mnie wśród żywych — szepcze. — Na Ziemi już mnie więcej nie zobaczysz, bo żyję teraz Życiem Wiecznym. Ach, jakże tutaj wspaniale! Gdybyście wy, żywi, wiedzieli o tym, to ani trochę nie balibyście się umrzeć, lecz czekalibyście na śmierć z radosną niecierpliwością, jak dziecko oczekuje Bożego Narodzenia albo dnia urodzin. Bóg wcale

nie jest taki, jak naucza Cerkiew, jest dobry i absolutnie wszystko rozumie. Wy, głupiutcy, żałujecie nas i płaczecie po nas, a my żałujemy was. Bardzo się męczycie i bardzo wszystkiego się boicie".

Spiący słyszał teraz nie tylko głos Pelagii, lecz widział także ją samą, otoczoną blaskiem — nie tak ostrym jak u obłocznego Boga, ale w zamian za to mieniącym się tęczowo, radosnym dla oka. „Cóż mam czynić? — porwał się Mitrofaniusz. — Chcę do ciebie! Trzeba umrzeć? Bardzo proszę, to głupstwo. Tylko weź mnie do siebie!" Roześmiała się cicho, niczym matka na gaworzenie małego głuptaska. „Jaki szybki. Tak nie wolno. Żyj, ile ci przeznaczono, i nie obawiaj się: będę czekała. Przecież tutaj u nas czas nie istnieje".

Na owe słowa Mitrofaniusz poczuł w duszy spokój, po czym obudził się.

Przetarł oczy, nałożył *pince-nez*, które mu spadło.
Zaczął czytać dalej.

Czerwony kogut

— Czy pan tam był? — zapytałam Emmanuela i chciałam dodać: «w tamtej jaskini», ale w tym momencie usłyszałam z tyłu szmer.

Odwrociłam się i ujrzałam mężczyznę, który tam stał. Ubrany był jak Arab, więc w pierwszej chwili pomyślałam, że to ktoś z miejscowych, kto zobaczył przypadkowo, jak schodzimy do podziemia. Jednak okrągła, o wydatnych wargach twarz nieznanego rozciągnęła się w szyderyczym uśmiechu, a on sam przemówił najczystsza ruszczyzną:

— No, no, co tam macie, gołębiczki? Skarb? Mnie, mnie go dajcie. Wam się on już nie przyda.

— Jaki skarb? — wymamrotałam i nagle spostrzegłam, że obcy trzyma coś w ręku, coś, co błysnęło matowo.

Zrozumiałam: to właśnie to, czego tak się bałam. Spóźniłam się. Dopadli go i zaraz zabijają. Dziwne, ale w tamtej chwili zupełnie nie przyszło mi do głowy, że mnie też zabijają — tak byłam na siebie zirytowana. Ileż to dni straciłam na poszukiwania! A przecież czułam, wiedziałam, że czas ucieka!

Okrągłolicy zabójca wymierzył mi jeszcze jeden cios:

— Dziękuję, siostrzyczko. Niuch masz niczym ogar. Wy prowadziłaś mnie prosto na zwierza.

Kiedy to powiedział, poczułam się jeszcze gorzej. Wygląda na to, że Emmanuel odnaleźli dzięki mnie. I to ja jestem wszystkimu winna!

A najgorsze było to, że w tym strasznym momencie zachowałam się sromotnie, po babsku: rozbeczałam się. Poczucie poniżenia i wstyd przygniotły mnie i zmiażdżyły; byłam pewna, że jestem najnędniejszym stworzeniem na świecie.

— Co, nie ma skarbu? Szkoda. Ale i tak niezwykle jestem rad naszemu spotkaniu — kpił złoczyńca. — Pogawędziłbym sobie z wami, lecz robota to robota.

Gotów strzelać, podniósł już swoją broń, gdy Emmanuel odsunął mnie na bok i postąpił w stronę zabójcy.

— Zarabiasz pieniądze, zabijając ludzi? Takie twoje rzemiosło? — zapytał bez gniewu i przygany, raczej z ciekawością, a nawet, jak mi się wydało, z radosnym zdumieniem.

— Do usług. — Okrągłolicy ukłonił się błazeńsko, zupełnie jakby dziękował za należyty mu komplement. Czuł się wyraźnie absolutnym panem sytuacji i godził się nawet, by odwlec nieco spełnienie swoich złowrogich zamiarów.

— Jak to dobrze, że się spotkaliśmy! — zawołał Emmanuel. — Ty właśnie jesteś mi potrzebny!

Postąpił jeszcze krok naprzód i rozłożył ręce, jakby chciał zamknąć łotra w objęciach.

Ów usunął się z ręcznie i podniósł lufę, celując teraz prorokowi prosto w czoło. Zmienił mu się też wyraz twarzy: nie był już urągłiwy, nabrał czujności.

— No, no... — zaczął, lecz Emmanuel mu przerwał.

— Ty jesteś potrzebny mnie, a ja tobie! Wszak przyszedłem do ciebie i po ciebie!

— A w jakim to znaczeniu? — Zabójca był całkowicie zaskoczony.

Czekałam przerażona — zaraz wystrzeli, za chwilę! Emmanuel zaś w ogóle nie patrzył na broń i według mnie nie bał się ani trochę. Teraz, już po wszystkim, sędzę, że było to niesłychane widowisko: bezbronny zbliża się do uzbrojonego, ów zaś cofa się i cofa drobnymi kroczkami.

— Nie ma na świecie nikogo bardziej nieszczęśliwego niż ty. Twoja dusza wzywa pomocy, albowiem Diabeł całkiem wypchnął z niej Boga. Dobro w duszy to Bóg, a zło — Diabeł. Czyż nie mówiono ci o tym w dzieciństwie?

— Aha — wyszczerzył się zabójca. — Tu cię mamy. Kazanie. No, ale to nie ten adres...

Usłyszałam szcęk odwodzonego kurka i krzyknęłam ze strachu. Emmanuel zaś, jakby nic się nie działo, odwrócił się do mnie i powiada:

— Przyjrzyj się, pokażę ci zaraz jego oblicze z dzieciństwa. Nie rozumiałam, co ma na myśli. Oprawca też nie rozumiał.

— Co pokażesz? — zapytał, opuszczając nieco łufę, a jego małe oczka niepewnie zamrugały.

— Twoją dziecięcą twarz — powiedział poważnie prorok. — Czy wiesz, że każdy człowiek, w każdym wieku, zachowuje swoje pierwotne oblicze, z jakim przyszedł na świat? Czasami to oblicze trudno rozpoznać. Jak by ci to wyjaśnić? Spotykają się dwaj koledzy ze szkoły, którzy nie widzieli się od trzydziestu albo nawet pięćdziesięciu lat. Przypadkowo. Patrzą na siebie i rozpoznają się — przypominają sobie swoje dawne śmieszne przydomki. Ich postarzałe twarze stają się na chwilę tymi, którymi były wiele lat temu. Oblicze dziecka to rzecz najprawdziwsza. Nigdy nie znika, ukrywa się jedynie pod zmarszczkami, bruzdami,

— Innym razem pogadałbym sobie z przyjemnością z tak ciekawym rozmówcą — oprzytomniał zabójca, przerywając Emmanuelowi. — Ale teraz odwróć się.

W tym strasznym człowieku coś się działo — raptem to rozumiałam. Nie może już strzelić do proroka, patrząc mu w oczy. W myślach błagałam Emmanuela: Nie wolno ci milczeć, mów dalej!

Ale ten jak na złość zamilkł.

Podniósł powoli rękę, z dłonią skierowaną do przodu, powiódł nią z lewej do prawej i zdarzył się cud.

Zabójca zamarł nagle, ręka z pistoletem opadła, a jego wzrok utkwił jak zaczarowany w otwartej dłoni.

Czytałam o hipnozie i nie uważam jej za cud, ale tutaj cud się dokonał, i to na moich oczach.

Twarz tego człowieka zaczęła się zmieniać. Nabrzmiące policzki wpały, nos zadął się nieco bardziej, zmarszczki wygładziły się, a ja ujrzałam oblicze chłopczyka — okrągłe, zabawne, ufne oblicze łakomczucha i maminsynka.

— Jasza, Jaszeńka, co ty ze sobą zrobiłeś? — wyrzekł Emmanuel ciekawym kobiecym głosem.

Po twarzy zabójcy przebiegł skurcz i dziwny obraz zniknął. Znowu była to pobrużdżona fizjonomia mężczyzny, który wiele i źle przeżył, i tylko oczy wciąż były po dziecięcemu szeroko rozwarte.

Odmachnął się od Emmanuela ręką, w której miał broń. Odmachnął się i drugą — zupełnie jakby chciał się pozbyć jakiegoś omamu albo widziadła.

Potem odwrócił się gwałtownie i wypadł z grobowca.

— Czy nie wróci, żeby nas zabić? — zapytałam wstrząśnięta tym, co zobaczyłam.

— Nie — odrzekł Emmanuel. — I bez nas będzie miał się teraz czym zająć.

— Skąd zna pan jego imię? — wciąż pytałam. — Czy istotnie wołają go Jasza?

— Usłyszałem. Kiedy patrzę człowiekowi w twarz, wiele słyszę i widzę, dlatego że gotów jestem słyszeć i widzieć. To bardzo ciekawy człowiek. Całkowicie czarny, a jednak z białym znamieniem. Nie bywa tak, żeby w człowieku nie znalazła się ani odrobina białego. Z najbielszymi to samo — choćby kropelka czarnego, ale jest. Bez tego Bóg nie ma awantazu.

Tak właśnie powiedział — «nie ma awantazu».

Nie jestem w stanie przekazać właściwego mu sposobu wyrażania się i dlatego upraszczę, gdy tymczasem mowa Emmanuela jest niezwykle barwna. Przynajmniej przed wszystkim bardzo śmiesznie graseje. Mówi gładko, ale lubi, ni przypiął, ni przylatał, używać wyszukanych słów — jak chłopski samouk, który czyta gorliwie wszystko, co mu się nawinie, ale rozumie to na własny sposób.

W pierwszej chwili po ucieczce straszego człowieka nie mogłam dość do siebie i plotłam jakieś babskie głupstwa. Pytam na przykład:

— Czyżby nie bał się pan iść tak wprost na łufę?

Odpowiedział dosyć zabawnie:

— Zwyczajny jestem. Taką mam okupację, żeby rozmawiać z mizerablami.

Jakkolwiek byłoby to dziwne, zrozumiałam. Na słowo «okupacja», w znaczeniu francuskiego *occupation*, musiał natrafić w jakiejś książce z XVIII wieku, «miserable» zaś pociągały go bez wątpienia samym swoim brzmieniem.

— Dobrym ludziom — mówił dalej — nie jestem potrzebny, ale złym («mizerablom») tak. Są niebezpieczni i mogą poranić, ale co możesz zrobić? Przychodzisz do nich niczym pogromca do klatki z lwami. — Tu Emmanuel ożywił się nagle, oczy mu zabłyśły. — Widziałem to w Permie, w cyrku Cinisello. Jakimż dzielnym człowiekiem był ten pogromca! I jakim pięknym! Lew szczyrzy paszczę, zęby w niej jak noże, a pogromca podkręca tylko wąsa i trzask batem!

Zapomniał zupełnie o «mizerablach»; zaczął opowiadać z podziwem o cyrkowym treserze, a ja patrzyłam na niego, gestykulującego gwałtownie, i nie wiedziałam, co myśleć — ponownie ogarnęły mnie wątpliwości.

Teraz, kiedy opowiedziałam Wam, jak Emmanuel poradził sobie z zabójcą, a do Was dotarło, że człowiek to niezwykły, nadeszła pora, aby poruszyć temat, którego dotąd unikałam, nie chcąc Was wzburzyć.

Czy pamiętacie, jak opowiadając o swej podróży do Sodom, napisałam: «Wystarczyło mi usłyszeć słowa p i ą t e k i ogród, a wszystko znalazło się na swoim miejscu. Odgadłam, gdzie i kiedy znajdę Emmanuela. Potwierdziła się moja hipoteza».

No cóż, co do hipotezy — jest ona na tyle absurdalna, że ośmielałam się przedstawić ją dopiero teraz.

Za chwilę, zaraz. Zbiorę tylko siły.

Zatem:

A JEŚLI JEST TO DRUGIE OBJAWIENIE?

Widzę wyraźnie, jak szarpnęły się Wasze krzaczaste brwi, i dlatego spieszę z uściśleniami.

Oczywiście nie miałam na myśli tego, że «prorok Manujła» jest Chrystusem, który po dwóch tysiącach lat został ponownie zesłany ludziom. Ale co począć, jeśli ów człowiek wierzy prawdziwie, że jest Jezusem?

Cały sposób życia, wszystkie jego słowa i czyny, samo imię

(pamiętacie zapewne, że przybrane imię Zbawiciela to Emmanuel?) skłaniały mnie do tej myśli.

Nie kaznodzieja, przekonany do prawdy Jezusa, ale człowiek, który ma się za Mesjasza i dlatego ze spokojem kwestionuje reguły i podstawy chrześcijaństwa, jak uczyniłby to Chrystus, który sam był prawodawcą i reformatorem.

W czasie wędrówki po Ziemi Świętej tak przywykłam do owej fantastycznej hipotezy, że chwilami pojawiała się bluźniercza myśl: a może on naprawdę jest Jezusem?

Skąd on się wziął, ów «dziki Tatarzyn»? Czy możliwe, aby wiacki albo zawoźzki chłop znał języki starohebrajski i aramejski?

Całkiem zagubiona między rzeczywistością a fantazją, oponowałam wobec samej siebie: jeśli to mieszkaniec starożytnej Palestyny, jakimś cudem przeniesiony do Rosji naszych dni, to w ciągu trzech lat nie mógł w takim stopniu przyswoić sobie języka. I zaraz przesywały mnie dreszcze: On by nie mógł? Jeśli to On, to nie takich rzeczy może dokonać!

Kiedy usłyszałam, że Emmanuel koniecznie musi być w nocy z czwartku na piątek w jakimś ogrodzie, natychmiast przypomniała mi się piątkowa noc, kiedy wydano i pochwycono Zbawiciela w ogrodzie Getsemani.

Tam zatem prowadziła moja droga.

I przecież odnalazłam go nie gdzie indziej, tylko w Getsemani!

Doszedłszy nieco do siebie po niedawnych przeżyciach, nakazałam sobie spokój. Przerwałam mu opowieść o lwie i treserze i zapytałam wprost:

— Czy jesteś Jezusem Chrystusem?

Czy to nie dziwne, że takiego pytania nie sposób zadać, zachowując formę «pan»? A przecież do tej chwili zwracałam się do Emmanuela zgodnie z nakazami grzeczności.

Zapytałam i aż się wzdrygnęłam. Zaraz twarz mego rozmówcy wykrzywi grymas szaleństwa, a ja usłyszę gorączkowe majaczenie chorego, w którego mózgu określone słowo — w tym przypadku imię Zbawiciela — wywołuje atak manii prześladowczej.

Oto co mi powiedział (powtarzam, przekazuję jedynie treść,

nie jestem bowiem w stanie odtworzyć całej osobliwości jego sposobu wyrażania się).

— Rodzice nazwali mnie Emmanuelem, co oznacza «z nami Bóg». Imieniem Jehoszua wołali mnie moi *szetuchin*, a po rosyjsku wyklada się to «pomoc Jehowy»; słowo «Chrystus» zaś usłyszałem po raz pierwszy dopiero tutaj, u was, i długo nie do myślałem się, kim jest ten ukrzyżowany Bóg, do którego wszyscy się modlą. Ale kiedy wyuczyłem się rosyjskiego i przeczytałem Nowy Testament, jakby piorun we mnie uderzył. Wiele w tej księdze jest poplątane i opowiedziane nieprawdziwie, pełno tam rozmaitych bajan, ale im dłużej czytałem, tym większej nabierałem pewności: to o mnie, Ukrzyżowany — to ja! Ukrzyżowany — to ja!

Kiedy usłyszałam, jak powtarza gniewnie: «Ukrzyżowany to ja, Ukrzyżowany to ja!», byłam przekonana, że mam przed sobą chorego na umyśle. Jednakże ów człowiek, niechby nawet upośledzony psychicznie, i tak był mi sympatyczny i interesujący.

Pragnąc przywrócić jego myślom równowagę, powiedziałam ostrożnie:

— Jakże możesz być Jezusem? Czyżby to ciebie ukrzyżowano?

Na to pytanie wzburzył się jeszcze bardziej.

— Nie mnie, nie mnie! Nie od razu zrozumiałem, ale potem mnie olśniło! Wszystko to jest straszliwą pomyłką, która trwa dwa tysiące lat!

— Kogo zatem ukrzyżowano? — zapytałam jeszcze łagodniej.

— Nie wiem. Może Didymosa, a może Tadeusza Judę. Odkąd zrozumiałem, co tam się wydarzyło, wciąż próbuję odgadnąć, kogo zabito. Didymos to wykapany ja, dlatego tak go nazwano, po grecku słowo to znaczy «bliźniak». Tadeusz Juda też do mnie podobny, przecież to mój brat. (Ścisłej, Emmanuel użył komicznego w podobnych okolicznościach słowa «kuzyn», a ja przypomniałam sobie, że apostoł Tadeusz Juda istotnie był dla Jezusa bratem ciotecznym). Didymos był taki zuchwały! I uparty... Ale nie, to nie był on. Śmiałem się bardzo, kiedy przeczytałem w Ewangelii, jak wkładał palce w rany po gwoździach. Tomasz-Didymos tak właśnie by po-

stąpił, a zatem ukrzyżowano nie jego. Z pewnością był to Juda, krewniak mojej matki. A może jednak Natanael? Też miał niebieskie oczy. W Jerozolimie mało kto znał moją twarz, tak więc każdy z *szeluchin* mógł się za mnie podać... Nie, nie odgadnę, którego z nich stracono. Wiem za to z całą pewnością, kto to wszystko wymyślił — drugi Juda, ten z Kariotu. To Judejczyk, a oni byli bystrzejsi od nas, Galilejczyków. Juda, syn Szymona, namówił Kefasa, ów zaś przekonał pozostałych. Tamci zawsze go słuchali! Wszak to oni przyprowadzili mnie tutaj i zaparli — Kefas i Judasz.

Wskazał ręką na pieczarę.

Jego dalszą opowieść przekażę w skrócie, opuszczając moje pytania, jego okrzyki, a także moje sądy na temat wiarygodności opisywanych wydarzeń. Będzie lepiej, jeśli sami wyrobicie sobie zdanie co do prawdopodobieństwa owej historii.

A zatem, jeśli wierzyć opowiadającemu (to jest wędrownemu kaznodziei Emmanuelowi-Jehoszui, który żył w Palestynie dziewiętnaście wieków temu), przyszedł on do Jerozolimy w przeddzień święta Paschy. Towarzyszyło mu dwunastu uczniów, którzy przyłączyli się do niego w czasie jego wędrówek. Większość z nich była rybakami znad Morza Galilejskiego, pozostałych zaś można zaliczyć do kategorii «mizerablów» — najwyraźniej Emmanuel zawsze miał słabość do «czarnych ludzi».

W Jerozolimie, gdzie nikt o nim wcześniej nie słyszał, zaczął wedle swego zwyczaju rozmawiać z różnymi ludźmi — jedni go wyzywali, inni słuchali z uwagą. Koniec końców ktoś doniósł do władz miejskich na bluźniercę, który podważa zasady wiary, i kaznodzieja musiał się ukrywać. W nocy z czwartku na piątek on i jego uczniowie zebrali się za miastem w ogrodzie Getsemani i naradzali się, co robić dalej. Uciekać z miasta? Ale wszystkie bez wyjątku drogi są obstawione, a konni strażnicy z łatwością dopędzą uciekinierów.

Wówczas, najważniejszy spośród *szeluchin*, Kefas, powiedział: «Nauczycielu, jest tutaj w pobliżu miejsce, gdzie można się ukryć. Spędzisz tam dwa albo trzy dni, dopóki ci, którzy na ciebie dybią, nie zaprzestaną poszukiwań». Kefas i jeszcze jeden *szeluach* imieniem Judasz, syn Szymona, którego Emmanuel określił jako «bardzo mądrego i chytrego», zaprowa-

dzili swego przywódcę na szczyt Góry Oliwnej do obejścia pewnej biednej wdowy. Pod ziemią odkryto tam niedawno jaskinię, w której niegdyś grzebano zmarłych, ale zaprzestano, bo w grobowcu zabrakło już wolnych miejsc.

Uczniowie zostawili Emmanuelowi kaganek, wodę, chleb i oddalili się. On jednak po pewnym czasie, ogarnięty wyrzutami sumienia (ma tu wysiadywać ukryty, kiedy jego *szeluchin* narażają się na niebezpieczeństwo?), postanowił wrócić do ogrodu, ale okazało się, że uczniowie zawalili wejście kamieniami.

A potem zdarzyło się coś w rodzaju trzęsienia ziemi. Emmanuel stracił na chwilę przytomność, a ocknął się, gdy usłyszał głos dziewczynki, która powtarzała nieznanne słowo: «Pieetia! Pieetia!» Była to Głuptaczka ze Stroganowki, która szukała swego koguta.

— Myślałem początkowo, że umarłem w czasie trzęsienia ziemi i że trafiłem do świata zmarłych — opowiadał. — Tam wszystko jest inne niż w świecie żywych: inna natura, inni ludzie, inny język, inne obyczaje. Nie mogłem tylko pojąć, czy to jest raj, czy też piekło. W różnych porach wydawało mi się różnie. Raz — że to bez wątpienia raj: mnóstwo drzew, mnóstwo wody, żadnej spiekoty. Innym razem zaś myślałem: nie, to piekło. Tylko w piekle bywa tak zimno, a ziemia staje się biała i surowa niczym martwe ciało. Potem ustaliłem: nie jest to piekło ani raj, tylko inny świat, gdzie trafiasz po śmierci i gdzie trzeba żyć jak w dawnym świecie — robić rzeczy miłe Bogu i zwalczać w sobie Nieczystego. Później najpewniej znowu umrzesz i będzie jeszcze inny świat, i jeszcze inny, i jeszcze — dopóki dusza nie przemierzy całej drogi, wytyczonej jej przez Pana.

Mówiłam Wam, że coś podobnego przeżyłam w jaskini w Stroganowce. Tam także drżała ziemia i działo się coś dziwnego z czasem. Jak mówi się w pewnym starym traktacie, który odnalazłam w Waszej bibliotece: «A jeszcze są jaskinie, zwane Osobliwymi, gdzie nie bieży czas, a człowiek, który tam trafi, może zginąć na wieki wieczne alboż być wrzucony w inny czas, a nawet do innej Osobliwej Jaskini».

Jak pamiętam, najbardziej zaintrygowały mnie te właśnie «Osobliwe Jaskinie», gdzie «nie bieży czas». Emmanuela zaś,

człowieka o zupełnie innej osobowości, istota nadprzyrodzonych wydarzeń ani trochę nie zdziwiła, a nawet nie za bardzo zainteresowała. «Cuda Boskie nie mają granic» — zauważył mimochodem, a potem przez cały czas mówił o czym innym: O tym, jak niesprawiedliwa jest Ewangelia dla jego ukochanych *szetuchin*. Ten temat zajmował go najbardziej.

— Nie zdradził mnie Judasz z Kariotu! Nikt nigdy mnie nie zdradził! To on wymyślił ten fortel (powiedział: «tę awenturę»), żeby mnie uratować. Poszedł do najwyższego kapłana i powiedział: «Wskażę wam, gdzie ukrywa się Jehoszua z Nazaretu, wydajcie mi obiecaną nagrodę». Zrobił to celowo, aby ukrzyżowali innego i uspokoili się. Powiesił się później także z rozmysłem, ażeby nikt nie powątpiewał w jego zdradę. Och, nawet nie wiesz, jaki on był przebiegły, ten mój Judasz! A jaki przy tym szlachetny! Tymczasem teraz wszyscy go przeklinają i plują na jego prochy! To nie do wytrzymania! Judasz wskazał strażnikom jednego z moich *szetuchin* — albo Didymosa, albo drugiego Jude, albo jeszcze kogoś innego, ów zaś powiedział: «Tak, to ja jestem Jehoszua z Nazaretu», a pozostali potwierdzili. Najpewniej był to jednak Tadeusz; obydwaj i wzrostem, i wyglądem poszliśmy w jego dziadka. Czy to jego ukrzyżowano? Czy wiesz, czym jest ukrzyżowanie? To najstraszliwsza ze wszystkich kazi. Nawet śmierć na palu nie jest tak ciężka, tam życie wycieka razem z krwią. A tu wciąż się unosisz, unosisz na stopach, aby zaczerpnąć powietrza — słońce wpija ci się prosto w mózg, kat zaś podstawia ci wilgotną gąbkę na kopii. Wiesz, że pić nie wolno — to przedłuży tylko twoje cierpienia, ale suche i tak przez wiele godzin, dopóki tłum i straż nie mają dosyć. Wtedy połamią ci gołenie, żebyś nie mógł się już unosić, żebyś wkrótce się zadusił...

Tu zapłakał, a ja go pocieszałam. Rozmazywał łzy po twarzy i wciąż powtarzał:

— Muszę wrócić. Muszę wrócić do swoich. Ale przeklęta pieczara nie wpuszcza mnie! Przez trzy lata chodziłem po Rosji. Najpierw niczego nie wiedziałem, nie rozumiałem, co się wydarzyło. Później domyśliłem się, ale dalej nie wiedziałem, co należy robić. A niedawno usłyszałem nagle głos. To mi się czasami zdarza — słyszeć Głos. Jego głos. (Emmanuel wska-

zał na sklepienie pieczary). Głos powiedział mi: «Wracaj do siebie. Ukrzyżowali nie tego, komu było to przeznaczone, i z tej przyczyny ludzie niczego nie zrozumieli. Gorzej — zrozumieli wszystko na opak! I niemal od dwóch tysięcy lat wciąż dręczą i dręczą się nawzajem!» Pojąłem, że muszę wrócić i wszystko naprawić. Wyjechałem z Rosji, spieszo mi było dostać się tutaj w przeddzień żydowskiej Paschy. Udało mi się odnaleźć jaskinię. Miałem szczęście, że obejście jest porzucone i nikt tutaj nie mieszka. Długo kopałem, zanim odnalazłem wejście — w ciągu dwóch tysięcy lat zniknęło na siedem łokci pod ziemią. W nocy z czwartku na piątek zszedłem do pieczary i siedziałem tam do rana. Nic się nie wydarzyło. Następnego czwartku postanowiłem ściśle powtórzyć całą drogę z oliwkowego ogrodu — może na tym rzecz polega. Znowu nic. Próbowałem jeszcze kilka razy, ale mój czas nie chciał zabrać mnie z powrotem, jego bramy były zamknięte. Wtedy wyruszyłem, by obejść rodzinną ziemię — popatrzeć, pomyśleć i porozmawiać z ludźmi. Na trzeci dzień coś sobie nagle przypomniałem. Przecież wtedy była pełnia księżyca! Paschę świętowano zawsze piętnastego dnia miesiąca, podczas pełni. Wszedłem do jaskini akurat w nocy z czternastego na piętnastego nisana.

Tu Emmanuel spostrzegł się i zamachał rękami.

— Ach, kobieto, zagadałem się z tobą! Co z księżycem?

Wypadł na zewnątrz. Ja za nim.

Księżyc już zaszedł, Emmanuel zaś aż zajęczał wzburzony.

— Przegapiłem go! Ze mną tak zawsze — zagadam się z kimś...

Z oddali dobiegło pianie koguta — było już blisko do świtu.

Emmanuel podjął gniewnie:

— A Kefasa też oczerniono. Nie mógł wyrzec się mnie po trzykroć, zanim zapieje kur. W to, że Kefas poszedł do domu najwyższego kapłana, wierzę. Chciał zapewne sprawdzić, czy moi prześladowcy spostrzegli zamianę. Ale że «wyszędłszy z dworu, gorzko płakał», nie wierzę. Czy można wyobrazić sobie, żeby Kefas płakał, zasłyszawszy krzyk koguta?

Dopiero w tym momencie wreszcie sobie przypomniałam.

— Ale co oznacza kogut? Nie ten z Ewangelii, ale inny, czerwony? Na czym polega jego znaczenie?

Wytrzeszczył oczy, z czego wywnioskowałam, że nic nie wie o magicznych właściwościach czerwonego koguta i że niepotrzebnie zawracałam sobie głowę starymi traktatami i nierozsądnymi hipotezami. Bo i prawda, co tu ma do rzeczy kogut?

Emmanuel jednak klepnął się nagle rękami po bokach i zawołał tak głośno, że z drzewa, wymachując skrzydłami, zerwał się jakiś nocny ptak.

— Kogut! No pewnie! Kogut!

I dodał coś jeszcze po hebrajsku albo po aramejsku.

— Co? Co? — zakrzyknęłam przestraszona.

— Tu nie chodzi o pełnię! — zaczął wyjaśniać, zachłystując się. — Rzecz cała w kogucie! Całkiem o nim zapomniałem! Oto dlaczego jaskinia mnie nie wpuszcza! Jakże ci jestem wdzięczny, kobieto! Ale skąd dowiedziałaś się o kogucie?

Strasznie mnie to poruszyło — oto za chwilę odsłoni się przede mną niesłychana tajemnica, a to, być może, odmieni całe moje spojrzenie na świat. Mówię mu:

— Z pewnej księgi. Napisano tam, że jeśli w porze przed świtu w Osobliwej Jaskini zapieje czerwony kogut, to dusza i ciało człowieka zawisają między światami i może on zostać wrzucony w inny czas i w inne miejsce. Czy to prawda?

Zapytałam i zamarłam. On zaś wzruszył ramionami.

— O tym niczego nie wiem. Ale muszę mieć koguta!

— Czerwonego?

— Tak, tak, tamten był czerwony. Czy masz pieniądze?

To pytanie mnie zaskoczyło.

— Mam.

— Czy kupisz mi na targowisku czerwonego koguta? Bo ja nie mam czym zapłacić.

— Kupię, pewnie. A zatem czerwony kogut ma tu duże znaczenie?

— Ależ tak! — zawołał. — Bez niego stara Miriam po prostu zginie!

Przestraszyłam się, że coś bredzi.

— Kto?

— Miriam, biedna wdowa, do której w moich czasach należała ta ziemia. Hoduje kury i żyje ze sprzedaży jajek. Tymczasem jej kogut polazł za mną do grobowca. Te koguty są ta-

kie ciekawskie! Zauważyłem go dopiero, kiedy Kefas i Judasz już sobie poszli. Staruszka bez koguta nie przeżyje! Kto będzie deptał jej kury? Teraz wiem, dlaczego Bóg nie wpuszcza mnie z powrotem! Jakże On jest sprawiedliwy i miłosierny! Zapytałam:

— To znaczy, że w jaskini był z tobą kogut? I zapiał przed tym, jak zadrżała ziemia?

— Zdaje się, że tak.

Zamilkłam, próbując pojąć sens tego dziwactwa. Nie potrafiłam. Pytam:

— Ale co to za dziwactwo — czerwony kogut? Jak to możliwe?

Emmanuel uśmiechnął się.

— Czyż znajdzie się mędrzec, który pozna wszelkie reguły, wedle których urządzony został świat? Dlaczego mielibyśmy się dziwić, kiedy Bóg daje nam kolejną lekcję albo posługuje się nową przenośnią?

— Ale w czym może się zawierać znaczenie tak dziwnej przenośni?!

Zastanowił się przez chwilę i pyta:

— Powiedz mi, czy wiara w cuda to świadectwo głupoty?

— Nie — odparłam. — To znaczy tak. Nie wiem. Mieć nadzieję, że w twoim życiu wydarzy się cud i rozwiąże wszystkie twoje bolączki, to głupie.

— Tak, nadzieja na cud to naiwność — zgodził się. — I bezmyślność. To coś takiego jak piejący w Osobliwej Jaskini czerwony kogut.

Na tym nasza rozmowa się skończyła. Nagle poczułam niesłychane zmęczenie i ledwie utrzymałam się na nogach. Odezwały się najpewniej przeżycia tej zdumiewającej nocy.

Zeszliśmy ponownie do grobowca i przespaliśmy tam noc. Ziemia była twarda, ale nigdy jeszcze nie spałam tak dobrze i tak spokojnie.

Kiedy zaś przez otwór wpadły promienie słońca, wyruszyliśmy na miejskie targowisko, aby kupić czerwonego koguta.

Ptaka o pożądanym ubarwieniu znaleźliśmy bez trudu — to nader powszechny tutaj gatunek, wyhodowany najpewniej parę tysięcy lat temu.

Wzięliśmy pierwszego, jaki nam się nawinął. Bez targów, bez oceny — okazało się, że nie był to udany zakup: ptaszko miało paskudne obyczaje. Emmanuel musiał nosić go przez cały dzień, a ten szkaradnik dziobem i pazurami pokaleczył mu ręce. Mój towarzysz znosił to bez żadnej skargi, starał się jedynie uspokoić krasnopiórego zbója. Kogut, niestety, okazał się mniej podatny na perswazję niezwyklego kaznodziei aniżeli zatwardziali przestępcy.

Przy okazji o przestępcach. Pewnego razu w ulicznym tłumie poczułam na sobie czyjeś spojrzenie. Odwróciłam się gwałtownie i ujrzałam okrągłolicego zabójcę Jaszę. Ukrył się za węglem, ale zdążyłam go rozpoznać.

Chciałam pochwycić Emmanuela za rękaw i uciekać, żeby uniknąć niebezpieczeństwa, ale „okrągły” nagle znowu się pojawił i przyłożył palec do ust.

Przypomniałam sobie wtedy Trofima Dubienkę i uspokoiłam się. No cóż, pomyślałam, niechaj Emmanuel ma dwóch obrońców, a nie jednego.

Ach, Władko, jakież to był cudowny dzień! Gdybyż jeszcze nie ten przekłety kogut, który nękał nas swoim paskudnym zachowaniem! Trzeba było kupować nie rankiem, ale później, pod wieczór, i wybrać ptaka nieco spokojniejszego.

Rozmawialiśmy o rzeczach najrozmaitszych, nie sposób wszystkiego odtworzyć. Przytoczę Wam jedynie kilka jego opinii, które najbardziej zapadły mi w pamięć.

Emmanuela słucha się z zajęciem, bo wiele jego myśli zaskakuje paradoksami. Jak na kaznodzieję, to rzecz niezwykła — nie ma w nim ani odrobiny bigoterii. Na przykład kiedy zobaczył kobiety publiczne, które pod wieczór wyszły przed Bramę Syjońską, aby uprawiać swoją profesję, wszczął ze mną rozmowę na temat miłości fizycznej, chociaż wiedział, że jestem mniszką. Oznajmił: w cielesnych zaspokojeniach nie ma grzechu, przeciwnie, grzech przed Bogiem mają ci, którzy swą cielesność zaszuszą wstrzeźliwością. Pewne jest jednak, że nie wolno obrażać i poniżać owej radosnej tajemnicy, wymieniając ją na miedziaki. To tak, jakby natrzęsać się nad innymi wielkimi tajemnicami — tajemnicą narodzin i śmierci. Tu rzucił się, by pouczać jerozolimskie nierządnicę, że nie wolno im brukać Boskiej radości.

Siłą odprowadziłam go od rozjuszonych dziewczek, które zamierzały przetrzeć mu skórę.

Był pewien temat, którego starałam się unikać, aby nie wywołać w nim kolejnego ataku maniackalnej obsesji: Jezus Chrystus. Ale kiedy zatrzymaliśmy się napić wody na Via Dolorosa, obok drewnianej rzeźby Pana, który zgina się pod ciężarem krzyża, Emmanuel długo przyglądał się figurze, jakby chciał się do czegoś przymierzyć, po czym odwrócił się nagle i powiada:

— A wiesz, że nie jesteś pierwszą osobą, która mnie rozpoznała? Był ktoś jeszcze — prokurator.

Znowu się zaczyna — westchnęłam w myślach i zrezygnowana zapytałam:

— Dwa tysiące lat temu?

— Nie, trzy miesiące temu, w Petersburgu.

To, co w ślad za tym mi opowiedział, postaram się przekazać jak najściślej, dlatego że z pewnością domyślicie się, o kim mowa.

— Prokurator zawezwał mnie do siebie i długo mówił ze mną o Bogu, o Cerkwi i o innych rozmaitych rzeczach. Prokurator to człowiek mądry i potrafi słuchać. Rozmawiać z nim było miło i ciekawie. Nie ujawniałem się przed nim, żeby go nie zaskakiwać — cały jego gabinet (a był to pokój bardzo duży i bardzo piękny) obwieszony był wizerunkami Ukrzyżowanego. Na temat Cerkwi powiedziałem mu, że jest ona całkowicie niepotrzebna. I popi też są zbędni. Każdy powinien przemierzyć swoją drogę sam, a przewodnikiem może mu być jakikolwiek dobry człowiek, czasami nawet zły, to też możliwe. I co to w ogóle za zajęcie — być popem? Skąd wiadomo, czy to dobry człowiek? I dlaczego tylko mężczyźni mogą być kapłanami? Czyż kobiety nie są lepsze i bardziej ofiarne niż mężczyźni? Jeśli chodzi o Boga, to powiedziałem prokuratorowi, że wcześniej, w dawnych czasach, był On bardzo potrzebny, aby wzbudzać w ludziach bojaźń Bożą. To jak w rodzinie: dopóki dziecko jest małe i nie potrafi samo odróżnić zła od dobra, rodzice powinni oddziaływać na nie groźbą kary. Jednakże w ciągu dwóch tysiącleci ludzkość do rosła, przestała bać się gniewu Bożego, dlatego teraz należy postępować inaczej. Nie oglądać się na Wszechmocnego, ale

wsluchiwać się we własną duszę. Tam właśnie jest Bóg, w duszy, nie zaś w niebiosach, nie między obłokami. Powiadam prokuratorowi: chodzę tu i tam, przyglądam się ludziom i widzę, że stali się znacznie lepsi niż dawniej. Bardziej rozumni, bardziej miłosierni. Nie całkiem jeszcze dorośli, ale też nie są już niemądrymi dziećmi jak w czasach Mojżesza albo Jana Chrzciciela. Potrzebne jest teraz inne przymierze między Bogiem a ludźmi, zupełnie inne. Starzec machnął nagle ręką, abym zamilkł. Nasepił swoje gęste siwe brwi i długo, przez minutę albo dwie, wpatrywał się w moją twarz, a potem przenikliwym szeptem zapytał: «To Ty? Ty?!» I zaraz sam sobie odpowiedział: «Ty...» A ja zrozumiałem, że się domyślił. «Po co przyszedłeś mi przeszkadzać? — powiada. — I bez Ciebie jest mi bardzo ciężko. Mylisz się co do ludzi, nic nie rozumiałeś. To wciąż jeszcze głuptasy, bez surowych pasterzy zginą. Przysięgam, człowiek jest znacznie słabszy i stoi znacznie niżej, niż Tobie się wydaje! Jest słaby i podły. Przyszedłeś za wcześnie». Chciałem mu wyjaśnić, że to przypadek, ale nie uwierzył. Padł na kolana, ręce złożył i płacze. «Wracaj, skąd przyszedłeś. Na Chrystusa... nie, na Ojca Niebieskiego, błagam Cię!» Odpowiedziałem mu zgodnie z prawdą, że rad bym wrócić, ale nie mogę. «Tak, tak, wiem o tym» — westchnął. Wstał, przeszedł się po pokoju i na wpół do siebie wyrzekł z goryczą: «Ach, dusza moja, dusza... Ale to przecież nie dla siebie, to dla wszystkich...») Potem zadzwonił nagle dzwoneczkiem i polecił mnie odprowadzić. A ja tak wiele chciałem mu jeszcze powiedzieć.

No to macie, Władko, rozwiązanie naszego «rebusu», jak mawiał Sergiusz Siergiejewicz Dolinin. Tylko co z tym rozwiązaniem począć?

Już żałuję, że to napisałam. Wy, z Waszą odwagą, będziecie chcieli zdemaskować przestępcę, ale nic nie osiągniecie — najpewniej uznają Was za szaleńca.

Błagam Was, to niepotrzebne. «Prokurator» sądzi, że podniósł rękę na Syna Bożego, i gotów jest zapłacić za to swoją duszą. Niechaj zapłaci. I nie nam zapłaci, tylko — Jemu.

Ach, to już wieczór! Za oknem całkowita ciemność. Przesiedziałam przy liście cały dzień, a jeszcze tyle rzeczy zostało mi do przekazania!

Zanim zacznę wyjaśniać Wam sprawy najtrudniejsze, których sama do końca nie rozumiem, przytoczę jeszcze garść Emmanuelowych opinii, bo wciąż mi się one przypominają.

Zdumiał mnie, kiedy powiedział, że nie wie, czy Bóg jest, czy go nie ma, to zresztą nieważne. No cóż, powiada, jeśli Boga nie ma, to czy człowiek może sobie pozwalać na niego-dziwości? Wszak nie jesteśmy dziećmi, aby zachowywać się przyzwoicie tylko w obecności dorosłych.

Powiedział ponadto:

— Nie próbuj kochać całego świata, niewielu tylko wystarczy na to miłości. Jeśli chcesz wznieść wysoką wieżę, usiądź najpierw i wylicz, czy masz środki, by tę budowlę dokończyć. Bo też wielu przyrzeka kochać cały świat i wszystkich ludzi, a nie wie, czym jest miłość, nawet miłość własna. Nie trwoń swej miłości, nie rozmazuj jej cieniutką warstwą niczym kropelkę tłuszczu po blinie. Lepiej już kochaj tylko krewnych i przyjaciół, ale za to z całej duszy. A jeśli braknie ci sił, to kochaj samego siebie, byle tylko szczerze i prawdziwie. Nie zdradzaj siebie. A to znaczy: nie zdradzaj Boga, dla tego że On jest twoim «ja». Będziesz sobie wierny — już samo to wystarczy do zbawienia.

O najciekawszych rzeczach jednak rozmowy nie dokończyliśmy. Zapytałam go, czy wierzy w życie pozagrobowe. Czy po śmierci coś jest, czy też nie? Zdziwił się:

— Skąd miałbym to wiedzieć? Jak umrę, to wtedy się dowiem. Dopóki żyjesz tutaj, myśl o życiu doczesnym, a nie o tamtym. Choć, rzecz jasna, pomarzyć można. Wydaje mi się, że inne życie istnieje na pewno i że śmierć ciała to nie koniec człowieka, że to jakby nowe narodziny. — Tu zmieszał się i powiada: — Mam na to nawet całą hipotenuzę...

— Hipotezę. — Domyśliłam się, że poplątał «uczone» słowa. — Bardzo cię proszę, opowiedz, to dla mnie niezwykle ważne!

Emmanuel zaczął był mówić:

— Sądzę, a nawet prawie jestem pewien, że każda dusza w momencie śmierci...

Tu nieznośny kogut wyrwał mu się spod pachy i pognał przed siebie. Trzeba było go dopędzić i złapać. Możecie to sobie wyobrazić: niewiarygodny koguci wrzask, gwizdy i pod-

szczuwanie włóczęgów, latające wokół pióra. Koniec końców nie dowiedziałam się, co Emmanuel chciał mi powiedzieć na temat życia pozagrobowego.

Teraz, kiedy jestem sama, widzę, że zbyt beztrąsko traciłam drogocenny czas, jaki mogłam z nim spędzić. Zbyt wiele mówiłam sama, zamiast słuchać. Czasami wszczynałam rozmowę o głupstwach, a czasami po prostu milczeliśmy.

Jakże dzień dzisiejszy różni się od wczorajszego! Jakże zbędne jest wszystko, na co pada mój wzrok! Jakaż pustka wokół! Świat osierociał!

Dlaczego pozwoliłam mu iść! Czemu go nie zatrzymałam?

Sądziłam, że rankiem przyjdzie do mnie do zajazdu skruszony, a może nawet oprzytomniały. I że pośmiejemy się wspólnie z tego głupiego koguta.

Przez całą minioną noc nie spałam. Śmiałam się w duchu, myśląc o tym, jak to będę sobie z niego żartować. Zastanawiałam się, o co go zapytam, kiedy wróci.

On jednak nie wrócił.

Boże, co ja narobiłam!

Może to wszystko prawda?

Wówczas on — to On, wówczas pochwyć Go i będą biczowali, i włożą Mu cierniowy wieniec, i umęczą na krzyżu!

A ja go opuściłam!

Ale czy mogłam zatrzymać? Jest łagodny, dobry, niezdarny, ale zatrzymać go nie sposób. Mądry «prokurator» zrozumiał to doskonale.

Minionej nocy Emmanuel poszedł do jaskini, z kogutem pod pachą. I nie wrócił.

Dzisiaj sobota.

Początkowo czekałam na niego, ale potem zrozumiałam: nie przyjdzie — i zasiadłam do tego listu. Przerwałam sobie tylko raz — poszłam na bazar, aby kupić czerwonego koguta.

Mam teraz doświadczenie. Nowy kogut jest spokojny i jeszcze bardziej czerwony niż poprzedni. Zezuże w tej chwili na mnie okrągłym okiem i dziobie sobie proso.

List zostawię w misji, chociaż przekonana jestem, że jutrzejszego ranka trzeba będzie go odebrać.

Wszystkie pieniądze, jakie mi zostały, wyślę zaraz Salachowi. Nie doczekał się mnie, biedak, tamtej nocy. Myśli zapewne, że zniknęłam bez podziękowania i bez zapłaty.

Jeśli mimo wszystko czytacie list, nie uważajcie mnie, proszę, za zbiegłą mniszkę, która sprzeniewierzyła się własnym ślubom. Wszak jestem oblubienicą Chrystusa, za kim więc mam iść, jeśli nie za Nim?

Znajdę się tam dzień później niż On. A jeśli został ukrzyżowany, obmyję ciało łzami, namaszczę mirrą i aloesem.

Tylko się nie krzywcie, proszę, nie krzywcie się! Nie postradałam zmysłów, po bezsennej nocy i trwożnym oczekiwaniu jestem po prostu bardziej skłonna do egzaltacji.

Przecież wszystko doskonale rozumiem. I wiem, co wydarzyło się w istocie.

Trzy lata temu cudaczny chłopina, włóczęga, włożył do uralskiej jaskini, aby przenocować, tylko że jaskinia była dziwna, zwidują się tam ludziom niesłychane rzeczy, włóczędze zaś przywidziało się coś takiego, że stracił język i pamięć, a potem wyobraził sobie, że jest Jezusem Chrystusem.

To bez wątpienia jakiś rodzaj obłąkania, ale dobrego, niegroźnego, jak w przypadku nawiedzonych Bożych ludzi.

Czy tak?

Ale najbardziej zdumiewa jedno: niczego w tej historii udowodnić albo sprawdzić nie sposób, tak jak to zawsze bywa w sprawach wiary. Jak powiedziano w pewnej powieści, cały świat stoi na absurdzie, bo bez niego na ziemi ani rusz. Jeśli chcesz i możesz wierzyć w cuda — wierz; jeśli nie chcesz i nie możesz — szukaj racjonalnego wyjaśnienia. A że na świecie wiele jest zjawisk, które początkowo wydają nam się nadprzyrodzone, a potem znajdują naukowe wytłumaczenie, to wiadomo od dawna — przypomnijcie sobie choćby nasze własne doświadczenia. Czy pamiętacie Czarnego Mnicha?

Z tego, co wydarzyło się wczorajszej nocy, też przecież zdaję sobie sprawę.

Emmanuel-Manujła oszukał mnie. Postanowił pozbyć się natrętnej baby, bo lubi wędrować po świecie sam. Powie-

dzień wprost: «Odejdź ode mnie, kobieto» — nie zdecydował się, bo jest na to za dobry. Zostawił mi na pamiątkę możliwość cudu i ruszył pielgrzymować dalej.

Rzecz jasna, nic mi się nie przytrafi. Nie będzie żadnego przemieszczenia w czasie i przestrzeni. Bzdura, brednia.

A jednak wejść dzisiaj nocy do jaskini, a pod pachą będę miała czerwonego koguta".

Spis treści

Część pierwsza TUTAJ

I. Na „Jesiotrze”	11
II. Rozwiązujemy rebusy	46
III. Strąk	62
IV. Czy to sen?	82
V. V. Mózg ważniaczki	111
VI. Rozum i uczucie	137

Część druga TUTAJ I TAM

VII. Byle zdążyć	157
VIII. „Chrystusowi oprycznicy”	177
IX. Szmulik — Władca Świata	203
X. Gniazdo pająka	233
XI. Miasto Szczęścia	250
XII. Zamek Szwarcwinkel	288
XIII. Morze martwych	318
XIV. Etiuda Berdyczowskiego	338
XV. Pełnia	364

Część trzecia TAM

XVI. Ewangelia według Pelagii	385
--------------------------------------	------------